



PORTUGALIA.

## WSTĘP.

W żadnym kraju europejskim, wyjąwszy zaledwie prowincye państwa Tureckiego, nie objawia się większa i smutniejsza sprzeczność pomiędzy błogostawieństwem przyrody a przewrotnością ludzką, jak na półwyspie Pirenejskim. Obszerny ten i piękny kraj, położony w najpyszniejszej sferze nieba, otoczony jest w około naturalnemi granicami, a w środku swoim posiada mnóstwo z natury mocnych położań. Brzegi jego, oblانة z trzech stron morzem i kryjąc w sobie najwygodniejsze, gęsto rozsiane przystanie, powołują ziemię do handlu, uzdolniają ją do panowania nad handlem świata. A sama ziemia, poprzerzynana we wszystkich kierunkach pięknymi rzekami i strumieniami, — w swęj głębi niewyczerpane zapasy metalu; żyzna zaś powierzchnia, urozmaiconą w dziwny sposób górami i dolinami, niziną i wielkimi obszarami wysoko położonych płaszczyn i pochyłości, wydaje hojną ręką plody wszystkich prawie stref, od owsa do ryżu, od dzikiego jabłka do złotej pomarańczy.

Bogactwo półwyspu jest w nim samym zawarte, i dziś w nim leży w całej swęj niewyczerpalności, — lecz leży w zakłęciu.

Szczytne pomniki, dowodzące dawniej czynności i dawnego ducha przedsiębiorczego w narodzie, leżą od kilku wieków zaniedbane, jako nieme świadki niedbałości, niewdzięczności, gnuśności ludów, które wydały Calderona, Murilla, Camoensa. A same te ludy? dumne z swój przeszłości, z pięknej ziemi, — roślinkują od dnia do dnia w swych cudnych ogrodach hesperyjskich; niedawno jeszcze rozszarpywały się pomiędzy sobą, bez litości wzięły do rusztowania tych, których niegdyś pod niebiosa wynosiły; wynosiłyby może pod niebiosa to, co niegdyś w błocie na śmierć tratowały!

Kilka lat temu, tudy te przedstawiały nieodgadnięty, serce zakrwawiający obraz chaosu politycznego, — dziś już przedstawiają. — kiedy opuścimy kraj, — zdają się poddawać do tego stopnia losowi, — jakadne z zagranicy podszywane fakeye wielkiej w nich nie zdołają wzbudzić zapalczywości: — obraz znękania, — nic więcej jak obraz znękania!

Jeszcze nie widzę, żeby lud portugalski w widoku postępu materialnego krajów najmniej szczęśliwie położonych, czerpał szczerą chęć wydzwignienia się z nędzy, wyzwolenia się nareszcie z pod wpływu przewodzców, zaślepionych bratobójczą ambycją.

Piękna Luzytania! niegdyś pani handlu, czémże jesteś dzisiaj, jeżeli nie wzięta w przedsięwzięcie kusięctwa niewolnicą kompanii negocyantów? Drogę do swych dzieł wskazał ci własny twój syn, i do nich dążąc podbił ci światy nieznane, — a dałaś sobie wydrzeć wszystkie owoce jego geniuszu, i dziś bądź zadowolniona, że możesz zwieźć grób Vasco de Gamy, bez opłacenia się obcemu Ciceronowi.

Luzytania! w niej się odbiły, jak w zwierciadle ognistém, wszystkie wpływy zagraniczne nieskończonymi dwadzieścia kilka lat trwającymi pożogami, rewolucjami,

kontr-rewolucjami, restauracyami i upadkami, które półwysep krwią zalewały. Rozum ludzki ginie w tym wiecznym chaosie wstrząśnień wprost sobie przeciwnych, sprzecznych, a z jednej ręki wychodzących. Wczoraj oglądaliśmy ludzi jaśniejących na horyzoncie Portugalii całą świetnością bohaterstwa i patryotyzmu; dziś ich widzimy w wygnaniu, odartych z czci i z zaszczytów; jutro ich zobaczymy znów, w własnym ich kraju, na czele stronnictwa jakiego, usiłujących zostać przez intrygi częścią *tego*, czém *niegdys* byli *całkowicie* *własną* *zasługą*.

Kto ich wyniósł, kto ich strącił, kto ich ułaskawił? Czyli raczej, przez czyje ręce byli wyniesionemi, strąconemi, ułaskawionemi?

A kto władał namiętnościami tego ludu przez lat tyle? w czyjéż-to usługę wrzały jego uczucia, płynęła krew jego?

Odpowiedź na te pytania ma być właśnie celem méj pracy. W niej staram się wykazać: że w tym labiryncie zawikłanym dążności wprost sobie przeciwnych, jest przecież nie jakaś, prowadząca do prawdy mniej serce zakrwawiającej; że w tych ciągłych, szalonych burzach jest pewna loika,—że na tém niebie zachmurzoném kryje się zbrojny Mars, że na dnie tego rozhukanego oceanu siedzi kupeczący Neptun.

Mało nam są znane stosunki towarzyskie półwyspu w ogóle, a Portugalii jeszcze mniej. Wszakże Portugalia nie tak dawno znaną jest sama sobie, z przyczyny braku komunikacyj pomiędzy jéj prowincjami. Napoleońskim wojnom winniśmy poznanie ich naturalnych i towarzyskich osobliwości. Lecz od tego czasu nowa zupełnie w tym kraju rozpoczęła się era. Od tego czasu widzimy tu tylko chaos i bezrozum, i pojąć nie możemy ważności wypadków tyle krwi kosztujących dlatego, że w oddaleniu

nie widzimy węzła łączącego ich do przyczyn pewnych, stałych lub w coraz nowych objawiających się kształtach.

Wiele pisano o Portugalii w najnowszych czasach w Anglii, Francyi, Niemczech, gdyż półwysep ściągał na siebie przez czas bardzo długi oczy całej Europy, i wiele wzbudzał ciekawości, chciwości i namiętności.

Lecz wiele z tych pism obrachowane były tylko na interes chwilowy, i noszą na sobie cechę ulotności i powierzchowności. Inne służą tylko dążnościom i namiętnościom jednego lub drugiego stronnictwa, i przekrzywiają, przeinaczają fakta, stosunki i osobiste charaktery. Inne jeszcze straszą obszernością i ciasną systematycznością, lub też nie zadowolniają krótkością. Największa ich część ma na oku szczególną publiczność, i jęj tylko stara się podobać, poświęcając często prawdę smakowi lub usposobieniu chwilowemu swęj publiczności.

My zaś, od dawna i głęboko przekonani, że tylko w prawdzie, w *najnieubłagańszej prawdzie*, leżą żywioły wszelkiego rozumu i wszelkiego zdrowych istot ludzkich godnego szczęścia, wystawimy Portugalie jak ją znaleźliśmy, pozostając zewnątrz każdego stronnictwa, i nie narzucając czytelnikowi żadnego zdania własnego co do przyszłości narodu.

## ROZDZIAŁ I.

KLIMAT LONDYNU. — ODJAZD. — IRLANDZKI PAROSTATEK. — IRLANDZKA UPRZEJMOŚĆ. — ANGIELSKA DUMA. — PAN TEOFIL. — LA TOUR D'AUVERGNE. — KORNWALLIA. — FALMOUTH. — WIOSNA. — PODEJRZANY OKRĘT. — DIANA. — PAROSTATEK ANGIELSKI. — WIELKI ŚWIAT. — PACYENTKA. — REDSZYD PASZA. — MISSIONARZ.

---

Londyn w środku miesiąca marca nie ma wiele powabu. W powietrzu toczy się jeszcze walka pomiędzy cofającą się zimą a następującą wiosną; a ziemię, zaledwie wyzwoloną zpod śniegu, zalegają mgły grube i nieprzejrzyste. Nic też jeszcze nie przepowiadało, że wiosna miała nareszcie przyjść i wyrwać nas z brudnej, niestałej zimy angielskiej, chyba jeden kalendarz. Wytrzymawszy w niej rok cały, wiedzając, że się jej przypatrzył zbliska, że żadnej nie zaniechał sposobności korzystania naukowo, zażęknętem za krajami pod względem przyrody szczęśliwiej uposażonemi.

Zresztą stan mego zdrowia wymagał pobytu w klimacie cieplejszym, a nadto wszystko w kraju poetyczniejszym jak Anglia. — Znekany fizycznie bezustanną, siły zrywającą pracą, znekany widokiem dotkliwej nędzy osób najbliżej mnie obchodzących (jako lekarza ubogich i jako podróżującego mimo swój woli), dotknięty do żywego śmiercią kilku dobrych przyjaciół; nadto, obawiając się być ciągle ofiarą podobnych zmartwień, i czując, że mnie widocznie opuszczają siły, i cierpiącym dalej służyć nie pozwolą; — umyśliłem pod dalekiem niebem południa szukać wypoczynku i zdrowia. Korzystałem tedy, z wielką radością, z ofiarowanej mi sposobności podróżowania jako lekarz i przyjaciel, w towarzystwie człowieka godnego wszelkiego szacunku.

Przy wsiadaniu na statek parowy, lekarz daleko był słabszym niż pacjent, to prawda; lecz pacjent doskonale znał przyczyny choroby swego lekarza, wiedział, że pogodne niebo Portugalii wywoła siły przygniecione zmartwieciem.

Pragnęliśmy więc oba jak najspieszniej udać się do Portugalii, lecz wprzód mieliśmy zwiedzić Dublin i zabawić tam dni kilka.

Parostatek nasz należał do kompanii dublińsko-londyńskiej; musiał on być jednym z pierwszych wybudowanych od czasu zastosowania pary do żeglugi, klekot w najwyższym stopniu, brudny jak żaden, którym kiedykolwiek i gdziekolwiek przerzynał fale morza. Jako prawdziwy Irlandczyk, nazywał się »the Mighty Daniel« (potężny Daniel); lecz nazwisko the noisy Daniel (hałaśliwy Daniel), byłoby nazwiskiem stosowniejszém i dla statku—i dla ojca chrzestnego może.

Samych też wiozł prawie Irlandczyków. Żywioł téj narodowości tak był hojnie reprezentowanym na naszym statku, że prócz mnie, mego towarzysza i trzech czy czterech Anglików, całe towarzystwo podróżujących składało się z Irlandczyków wszystkich stanów, płci i wieku. Szczęście tak się wyraźnie na ich twarzach malowało, radość tak niepohamowana przebijała się w ich śmiechach, w głosie ich mowy, w ruchach, że nas to uderzyło i spowodowało do spytania o przyczynę tego ogólnego szczęścia. »Wracają do swego kraju,« odpowiedziano nam. Pojęliśmy.

Towarzysze podróży, widząc że nie jesteśmy Anglikami, weszli z nami w rozmowę. Irlandczyk kocha każdego, byleby nie był Anglikiem, a żywy z natury, szczery, wcale się nie kryje ze swemi uczuciami.

Anglik zarzuca Irlandczykowi nierzetelność, chytróść, a nawet brak godności graniczący z niczemnością.

Przystaję na to, że Irlandczyk, w ogóle lekki z charakteru, mniej systematycznie dochowuje słowa jak Anglik, choć go nieskończenie przewyższa dobrocią serca. Co zaś do mniemanéj niczemności Irlandczyków—ta nie pochodzi tyle z braku godności, co z braku dumy.

Nie każdy może być dumnym jak Anglik, to jest wyłączone jego usposobienie; być dumnym w szczęściu każdy potrafi, najłatwiej zaś człowiek z krótkim rozumem i zi-



mném sercem, człowiek obawiający się w bliższych stycznościach z towarzystwem wykryć miałkości swego dowcipu, a nie kochający swego bliźniego dostatecznie, aby przystępnością swego charakteru chciał się stać mu przyjemnym. Dumą przybraną Anglicy usiłują zidealizować brak umysłu i uczucia, i nie źle im się udaje.

Irlandczyk jest ludzkim i łatwym w obejściu, i tém zyskuje sobie prędko przyjaciół;—tego Anglik nie dokaże swa mniemaną godnością. *Inde ira.*

Dość, że nie dojechawszy jeszcze do Woolwich, mieliśmy licznych znajomych, a nie dopłynąwszy do ujścia Tamizy, mieliśmy przyjaciół. Lecz teraz statek, popychany dotychczas biegiem wody Tamizy i kołami maszyny, zaczął walczyć z przypływem morza i rozbujanemi jego falami; trzeszczał we wszystkich swych spojeniach, drżał jak wiatr pod tętniącym ruchem maszyny, i kołysał się na zapienionych grzbietach bałwanów, z jednego szczytu fali na drugi się przesuwając. Wiatr dał potężnie i sprowadzał na przemian mgły, tumany śniegu i deszcze.—Radość ustępowała powoli uczuciu niewypowiedzianej nudności. Zaczęto spoglądać tęsknie na łóżka piętrzące się nakształt półek w bibliotece; wkrótce szukano w nich schronienia. Statek przemienił się w szpital cholerycznych. Przekłête uczucie! w niem najbardziej rozkochany człowiek gotów sobie zniewidzieć najpiękniejszą kochankę; nie jeden błaga, żeby go dobić. Te sceny trwały z krótkimi przestankami aż do Plymouth, brzegi Albionu przesunęły się w mglistej pomroce jak niewyraźne cienie. Wypoczęliśmy w przystani godzin kilka, nie zsiadając z poczwarzy parowej, która nas niosła, i pomimo burzy i fali wypłynęliśmy z pięknej spokojnej przystani na rozhukane morze.

Wiatr się zmienił, teraz dał z strony prawie przeciwnéj kierunkowi drogi naszej; to było za wiele na okręt, który już od dawna, według zdania samych majtków, »nie był godzien morza, a nawet dla Irlandczyków nie dość dobry«. Jednak walczył jak mógł przeciw burzy i falom, huczał, jęczał, trzeszczał, ale swe siły wyczerpał, nareszcie prawie jednym zamachem całe prawe koło odpadło w morze, statek zwrócił się, podał cały brzeg swój wściekłości niezmiernéj fali, fala wpada na pokład i zwała nań komin

z okropnym trzaskiem, a do tego pożar wszczął się na okręcie. Położenie było krytyczne, lecz kapitan nie stracił ani na chwilę swęj zimnej krwi. Zwrócono tył okrętu ku fali, przygaszono pożar, wraz z ogniem na kotlinie. Byliśmy na wysokości portu Falmouth, i wystrzałami działek alarmowych prosiliśmy o pomoc. Szczęściem w przystani znajdował się statek parowy gotów do wyjścia. Nie tracąc ani chwili czasu wybiegł z portu, puścił się za nami pędzonemi w stronę wschodnio-południową ku brzegom Normandyi, i złapawszy statek nasz, podobniejszy do podstrzelonej kaczki, niż do potężnego Daniela, przytwierdził go liną do siebie i zawłókł do spokojnej, cudnie pięknej przystani Falmouth.

Takim sposobem wyszliśmy z niebezpieczeństwa, powiększającego się z każdą chwilą, a mogącego się skończyć bardzo smutnemi wypadkami.

Z przybyciem do hotelu w Falmouth, wszedłem w me obowiązki lekarskie. Towarzysz mój, w skutek choroby morskiej i niedogodności urozmaicających krótką naszą lecz nieprzyjemną podróż, dostał nieznośnego bólu głowy.

Podlegał on tym napadom oddawna; były to skutki ran odniesionych w głowę podczas kampanii hiszpańskiej w r. 1823, w wyprawie księcia Angoulême. Pan T. de Kers..... pochodził z świetnej familii Bretońskiej, i tak się odznaczył w krótkiej wojnie przeciw Hiszpanom, że nie mając lat 20, został rotmistrzem najpiękniejszego pułku huzarów francuzkich, kawalerem Kalatrawy, S. Ferdynanda i Legii honorowej. Matka jego była ulubioną synowicą Teofila de La Tour d'Auvergne, sławnego z bohaterstwa i nauk szlachcica francuzkiego (a), który nie przyjął stopnia generała, ani też godności członka ciała dyplomatycznego, i poległ w r. 1800. pod Neuburg w Szwajcaryi, jako prosty grenadyer francuzki. Napoleon przezwiał go pierwszym grenadyerem Francyi, i to imie zostanie mu na wieki. Serce jego, noszone w puszcze złotej na chorągwi batalionu, odziedziczył później, jako najbliższy krewny, to-

a) La Tour d'Auvergne był znakomitym uczonym, znał wszystkie języki europejskie, nie wyjmując polskiego i rossyjskiego, które nawet bardzo lubił. Dzieło jego: „Origines gauloises” kilka już wydań miało, i po dziś dzień bardzo jest cenionem.

zaś stał dom, dość wielki, prawie bez podwórka, gdyż mała odnoga przystani jego miejsce zabrała i blisko domu przytykała. W tej odnodze głębszej, gdyż jej dno sztuką rozprzestrzeniono, leżał okręt, nie zupełnie jeszcze skończony, osłonięty całkiem od strony ulicy budowlami, od strony zaś portu innymi statkami stojącymi na kotwicy. Z tylnego pokoju jednakże mogłem się zbliżyć przypatrzeć kryjącemu się przed okiem ludzkim okrętowi, i świadomy cokolwiek sztuki żeglarskiej rozemnać, że w budowie swój, jako też w szczególnych około niego przedsięwziętych staraniach, zawierał coś niezwykłego.

Najprzód statek ten był za długim i za wązkim na pocziwy statek kupiecki, maszty miał podwójne, składane: jedne długie i pochylone, jak gdyby na szybkość biegu wyrachowane, drugie krótsze i prosto stojące. Galerya z tyłu okrętu, pięknie malowana, tak była urządzoną, że ją w oka mgnieniu wraz z doniczkami kwiatów i salaty zdjąć można było. Litery gotyckie wypisujące imię »Diana«, były z wyłatanej miedzi, i w taki sposób urządzone, że je zdjąć i na małe dziury pozostające inne jakie litery wsadzić można było. Zresztą i statwę pięknie wyłataną, reprezentującą na przodzie okrętu Dianę, z sajdakiem na plecach, z gwiazdą na głowie i łukiem w ręku, detronizować można było, i na piedestał inną jaką statwę wprowadzić!

Najważniejszą jednak rzeczą było, że statek nasz mógł w razie potrzeby pokazać zęby i przedstawić z każdej strony sześć dział: bo na cóż innego te luki pomiędzy wyższym a niższym pomostem? luki tajone, gdyż widocznie szczeliny ich kitem oblepiono i czarną obmalowano farbą. Lecz znałem dobrze i te figle; nie darmo przysłuchiwałem się przez cały czas pobytu mego w Norwegii, opowiadaniom kapitanów okrętowych, kiedy ich grok i wino ośmielił do chwalenia się, w jaki sposób mają celników i policję morską, jeżeli chcą prowadzić kontrabandę, łagodną lub też zbrojną ręką, podług potrzeby.

Gospodarz mój, stary wystużony sternik, milezący jak sfinx morski, nie dał się użyć do żadnych wyjaśnień w tym względzie.

Ale na cóż się przyda dyskrecya gospodarza, kiedy ma kobietę za żonę? Jójmość tedy łaskawsza opowiadała mi:

»że nietylko okręt tajemniczy, ale i kilka innych zastaniających go od strony portu, i wiele innych krążących po morzach, ale i dom sąsiedzki, i ogród nawet z pawilonem na drugiej stronie ulicy leżący, należą do niejakiego pana Davenport, bogatego frotkarza, czyli właściciela okrętów, a dawniej kapitana okrętu kupieckiego, korsarza podczas wojen Napoleońskich, później nawet handlarza niewolnikami, jak mówią złe języki (gadała Mississ Steffens, uśmiechając się znanym światu od czasów Ewy r... chem), a teraz bogatego pana, puszczającego się rzadko na morze; a jeżeli się puści, to chyba na ważną wyprawę, gdzieś z bronią do Ameryki lub Afryki, albo na brzegi Portugalii i Hiszpanii. Ale co ja wiem o tém, gotowam się wymówić z czémsiś, com nie powinna powiedzieć. Panna Davenport w domu nie ma, a miss Diana, jego córka, od rana do wieczora, z książką w ręku, w ogrodzie lub na spacerze na brzegach morza. Zaznajom się pan z młodą Miss, a dowiesz się czego ci potrzeba, więcej nawet,« konczyła pani Steffens uśmiechając się raz jeszcze.

»Więc to panna Diana jest chrzestną matką statku tajemniczego?« spytałem dalej.—»A któżby go chrzczył tém pogańskim nazwiskiem, jeżeli nie ta romantyczna Miss Davenport, która od czasu, jak romanse francuzkie czyta, i siebie samą przechrzcila (ponieważ ja sama na chrzcinach jej tańczyłam, i wiem że się nazywa Dorotą, a nie Dianą).« I znów nastąpiło nowe wydanie tego znanego nam od czasów Ewy uśmiechu.

Dowiedziałem się, czego mi powodowanemu jedynie ciekawością potrzeba było. Czy zaś korzystałem z rad méj gospodyni, i czym się zaznajomił z piękną Dianą, gdyż była piękną i wiedzieć o tém sama musiała koniecznie, kiedy śmiała przyjąć imie to obiecujące,—o tém dowiemy się może gdzieindziej. Tu tylko dla ważniejszych wypadków, dotyczących historii świata, jakimkolwiekbyż węzłem jest miejsce; i nie byłbym się rozwodził nad opisem Diany, kołysającej się w przystani Falmouth, gdybym ję później nie był oglądał metamorfozowanej przy ujściu Gwadyany, później zaś w porcie Tangeru na brzegach Afryki, wykładającej światu przy odgłosie swych dzieł, co Anglia rozumie przez wyrażenie: przyjaźń, neutralność, prawo narodu.

Na początku kwietnia opuściliśmy Falmouth na pysznym statku parowym »the Duchess of Braganza« (księżna Braganzy).

Pierwsze miejsce na jedną osobę na tym statku kosztowało do Lizbony tylko 16 funt. szt. (blisko 680 złp.). Drogato rzecz podróżować jako *grand seigneur* na statkach parowych angielskich. Prawda że przepych i wygody nie nie pozostawiają do życzenia; lecz i to nie usprawiedliwia drogości, gdyż na drugiem miejscu, na przodzie okrętu, tenże sam prawie znajdziemy przepych, a cena o połowę tańsza. Płaci się tutaj zaszczyt pierwszego miejsca. Anglicy przedewszystkiem dbają o to, żeby się nie znajdowali w najmniejszej styczności z ludźmi ubogimi, których wszystkich bez wyjątku uważają za ladaco, i dlatego barykadują się funtami szterlingami w swych siedziach stałych i niestałych.

Towarzystwo było nieliczne, lecz bardzo świetne, a kilka imion europejskiej sławy brzmiało pomiędzy niemi, jak np. Redszyd-Pasza, który wówczas wprawdzie nie był jeszcze ambasadorem, ani pierwszym ministrem Sułtana. Były także obecne dwa towarzystwa zupełnie odrębne Portugalczyków. Nie komunikowały się z sobą zupełnie, tylko zdaleka patrzyły na siebie, podobne dwom zapaśnikom pozostającym na neutralnym gruncie.

Mroziły mnie nieprzyjemnie te zimne spojrzenia, zaprzysięgające sobie nawzajem wieczną, męubłąganą nienawiść. Nigdy nie pojmowałem nienawiści długo tłumionej, choć doskonale pojmuję przyczyny fizyologiczne i psychologiczne gniewu wywierającego się natychmiastową żądzą zemsty. Ostatnie usposobienie jest wadą krwi, i wola ludzka, długo i sumiennie walcząc z własnym temperamentem, odnieść może nad niem zwycięztwo. Pierwsze zaś, to jest tłumiona nienawiść, głębiej leży, bo w złości; właściwą jest wszystkim narodom południowym, mianowicie Portugalczykom, i robi z ludzi, oddających się wyłącznie polityce lub dyplomacyi, nienawistne sobie i innym istoty.

Towarzysz mój, w skutek kołysania okrętu, znów zachorował na głowę i położył się spać; ja zaś widząc się samotnym pomiędzy tylu wielkimi panami, Turkami i dyplomatami, z których żaden mnie nie zaczepił, i z których

żadnego zaczepić nie śmiałem, zatęskniłem do ludzi, i prze-myśliwałem nad sposobami dostania się, bez obrażenia przystojności i nadwreżenia własnej swój arystokracji, na pomost. Tu mnóstwo było żołnierzy, udających się do Gibraltaru, i wielu innych passażerów i passażerek, dążących do Hiszpanii, Portugalii, Sycylii, Malty i Konstantynopola, a zmuszonych przetrwać dobre i złe czasy na pomoście przez cały ciąg podróży.

Czekałem na pozór, wtém zjawiała się istotna przyczyna. Jedna z passażerek, wdowa po angielskim sierzancie, wracając do Gibraltaru, z kąd była rodem, wpadła w gorączkę skutkiem już w dniach poprzednich na pokładzie zniesionych niewygód. Porwały ją delirye, zaczęła głośno majaczyć. Lekarz okrętowy nie był obecnym, czekał na statek w Lizbonie. Zstąpiłem tedy z wysokiego mego stanowiska, z pomostu tylnego, na niski pokład ludu, i ofiarowałem biednej kobiecie mą pomoc. Rzecz nie cierpiała zwłoki; trzeba było krew puścić natychmiast, gdyż przy nagłym przechodzie z sfer zimniejszych do cieplejszych, na początku wiosny mianowicie, gorączki zapalne najczęściej się lokalizują w głowie. Pytałem się głośno, czy pomiędzy passażerami nie ma cyrulika; słaby głos z przodu okrętu odpowiedział mi, że jest, i zbliżył się do mnie poczciwy jakiś sędziwy missyonarz katolicki, ofiarując swe usługi.

»Przepraszam księdza dobrodzieja,« rzekłem do niego, »lecz nie śmiem go trudzić taką czynnością, i sam już wolę ją wypełnić. Pytałem się tylko dlatego o cyrulika, aby się zastonić od zarzutu ubliżenia swój godności zbytnią gotowością pełnienia podrzędnych obowiązków lekarskich.«

»Znam ja dobrze te przesady, którym się pan widać niechętnie poddajesz,« odpowiedział mi missyonarz.

Kiedym już puścił krew biednej kobiecie, przybył jeden z Turków, towarzyszących Baszy, mówiąc, że jest lekarzem, i że ofiaruje swą pomoc. Przyszedł nawet sam Basza z swym adjutantem, lecz z gentlmanów angielskich i panów portugalskich żaden się nie zjawił.

Oddaję sprawiedliwość Turkom: bardzo są ludzkimi, kiedy się nie gniewają, ale się gniewają często.

Kazałem się spytać kapitana o cenę łóżka do Gibraltaru, chciałem je nająć własnym kosztem dla chorągów.

»Six pounds« (sześć funtów), krzyknął kapitan, nie ruszając się z miejsca i spoglądając na chorągiewkę poruszającą się na szczycie masztu.

Missyonarz wydobyl natychmiast pieniądze żądane i chciał zapłacić; lecz Basza zbliżył się do niego, i rzekł z godnością, ale w tonie mowy tak proszącym, że mi wiecznie zostanie w pamięci: »Reverend father, let me have the merit of doing this good action.« (Wielebny ojciec, zostaw mi zasługę zrobienia tego dobrego uczynku.)

Tyle było szlachetności i dobroci w tych słowach, że się dał zwalczyć niemi poczciwy missyonarz; twarz jego chuda i zmarszczona zajaśniała w tej chwili pełnym uroku rzeźnym wyrazem. Jak ludzie są piękni w chwilach kiedy są dobrzy! i miło jest żyć na tym świecie, kiedy się przynajmniej od czasu do czasu dobrych spotyka!

Już nie byłem samotnym, miałem przyjemnego towarzysza podróży w skromnym, starym, a pełnym światła i dobroci missyonarzu. Był on professorem greckiego i hebrajskiego języka, jako też i filozofii w kolegium angielskim missyi katolickiej, założonej w Lizbonie jeszcze za czasów prześladowań doświadczanych przez katolików za Jakóba I. króla Angielskiego. Znał doskonale języki wschodnie; podróżował przez 12 lat jako missyonarz w Kochinchinie, Chinach, Japonii i Indyach Wschodnich; walczył w świętej sprawie religii z niebezpieczeństwami tak okropnego rodzaju, że na ich opowiadanie serce cierpnie i skóra się kureczy. Któż nie zna opisu podróży wielbego ojca Izydora?

Czcigodny ten mąż, mogący, *gdyby chciał*, władać milionami, gdyż katolicy angielscy powierzali mu bezwarunkowo wszystkie fundusze missyi, podróżował na drugim miejscu dla oszczędności.

Rozmowy me z missyonarzem były źródłem niewyczerpanym nauki i wiadomości, były manną niebieską dla mnie, udającego się do kraju, którego historię i geografję znałem tylko ze szkół, a politykę z najróżnorodniejszych, z najsprzeczniejszych artykułów gazet, i to rozmaitych odcieni politycznych. Nie miałem wówczas najmniejszego wyobrażenia o związku logicznym, istniejącym pomiędzy

jednym a drugim wypadkiem; mniemałem, z wieloma innymi zapewne, że wszystkie zaburzenia miotające losami Portugalii, są tylko wynikiem chwilowych kaprysów ludu i niemocy rządu.

Wyobrażenia moje, powzięte tu i owdzie o wpływie wywieranym przez duchowieństwo na lud Portugalski, zostały sprostowanemi. Niemało mnie zadziwiły zaręczenia ojca Izydora, że część oświeceniowa duchowieństwa Portugalskiego nie brała nigdy żadnego udziału w sprawach politycznych kraju, i że bynajmniej nie pochwałała gorliwości mnichów, wiodących lud do boju, lub namawiających go do niego.

»Świętość religii,« mówił ojciec Izydor, »musi ucierpieć, jeżeli się da nakłonić do wzbudzenia nienawiści pomiędzy stronniectwami politycznemi. Są w Portugalii księża, i tych jest bardzo wiele, mianowicie w Algarwii, którzy doskonale pojmują godność powołania swego i wiedzą, że każde słowo potępienia będzie im dłużej pamiętane, niżeli tysiące słów pochwały. Ci chwalić nie mogą, co mnichy nie posiadający żadnej konsekracji naukowej przedsiębrali, i dziś Bogu dziękują, że się liczba mniej godnych tego nazwiska sług kościoła zmniejszyła.«

Ojciec Izydor, osiadły w Lizbonie od dwudziestu lat, świadkiem był naoczny wszystkich burz wstrząsających tym krajem. Z jego rozmów i opowiadań czerpałem znajomość historyczną ostatnich mało znanych wypadków.

---



## ROZDZIAŁ II.

ZATOKA BISKAJSKA.—PRZYŁĄDEK FINISTÈRRE.—VIGO.—PAROSTATEK MARYNARKI KRÓLEWSKIEJ WIELKIEJ BRYTANII.—SMUTNA HISTORIA HRABIEGO VERDUGO.—OPORTO.—UJŚCIE TAGU.—ROZMOWA NA PŁATKI.—HRABIA AMARANTE INCOGNITO.—WIELORYB.—TAG.—BELEM.—RADOŚĆ MIESZKAŃCÓW LIZBONY.—KRÓLOWA OKRĘTÓW.—KOMORA CELNA.—HOTEL.—ADJUTANT KSIĘCIA TERCEIRY.—POMBAL.—ULICA ALEMCRIN.—WODOCIĄG.—RUINY.—TRZĘSIENIE ZIEMI.—AMFITEATR RZYMSKI ODKOPANY.—DOBRA KOŚCIELNE.—KLASZTORY.—ANGLIK POSIADACZ KLASZTORU.

---

.....Cisza w powietrzu zupełna; niebo pogodne, żadnym obłokiem nie zachmurzone, wspiera się około nas na krawędziach widnokregu w kształcie olbrzymiego lazurowego sklepienia. Słońce już bliskie zajścia; żaden szmer nie przerywa ciszy w powietrzu, ogrzewaném kiedyniekiedy ciepłymi południa powiewami. Lecz jesteśmy na bezsennej zatoce Biskajskiej, a na jej falach nie masz nigdy pokoju. Pędy kanału Manszy, tak gwałtowne, walcą tu wiecznie z nurtami bliskiego Atlantyku, spierają się bezustannie o panowanie nad temi odmętami. Oceany walcą tu z sobą, z nieubłaganą wściekłością idei ludzkich. Bałwany morskie—myśli ludzkie! uragan was nie nagli, burza nie porusza: pocóż ta próżna walka? Tyle wściekłości wywieranych od tak dawnego czasu; dlaczego? żeby zginąć w bezdenności własnych nurtów!

Ocean nie usłyszysz, człowiek niezrozumie, gdyż oba pełnią swe przeznaczenie.

Słońce zaszło, zapadło szybko, nie tak wolno i krwawo, jak u nas na północy zachodzi. Księżyc jeszcze nie wszedł. Błyszczą gwiazdy, małe, okrągłe, świecące punkta na pełnym, głębokim lazurze nieba; lecz nie iskrzą się, jak nasze w pogodną noc zimową. Jedna tylko iskrzy się i pryska czerwonym, migającym światłem, tam daleko ku południowi i zachodowi, a tuż nad widnokregiem. To nie

gwiazda, to blask latarni morskiej na przylądku Finistèrre. Witaj pierwsza pochodnio ogrodu Hesperyjskiego!—witaj!

W kilka godzin później biegliśmy jak szaleni po rozkołysanej powierzchni morza, i maszyna roztrącała swemi kołami największe fale; w kilka godzin później doszedł nas jęk i łoskot rozbijających się o przylądek bałwanów. Jest coś przerażającego w tym ciągłym gniewie morza, wywieranym na ten koniec ziemi. W świetle już weszłego księżyca połyskał spieniony własną wściekłością ocean, fale unosiły pianę o pół mili od skalistego brzegu—aż tuż pod boki naszego statku.

Jeszcze kilka godzin później, a zawijamy do przystani miasta Vigo w Galicyi hiszpańskiej; tu czekał naszego przybycia mały pocztowy parostatek królewskiej marynarki angielskiej. Przykomenderowany do wizyty młody kadet marynarki wskoczył na pokład. Dumny i piękny jak księżniczka, opryskliwy jak paż, zimny jak Anglik, zawezwał kapitana do jego kajuty; tam się z nim rozmówił w sekrecie, wziął od niego papiery, i nie kłaniając się nikomu, wskoczył do łodzi i wrócił do swego statku. W dziesięć minut później statek ten opuścił przystań i dążył ku południowi całą siłą swych szczupłych, ale długich, fale prujących piersi.

Może na całym świecie nie masz tak głębokiego portu, jak pod Vigo. Tworzy go mała zatoka, wchodząca wąską szyją pomiędzy amfiteatr wysokich skał. Na jednej z nich, na lewej ręce, leży forteca; baterye w nią, napiętrzone jedne nad drugimi, bronią portu. Na drugiej zaś, pionowo w niebo wyskakującej, pochylonej nawet naprzód, tak, że okręt nasz dosłownie szczytami masztów bił o opokę; na drugiej mówię skale, po nad naszymi głowami, wznosił się na dość szerokiej płaszczynie groźny zamek, najeżony niegdyś ogromnemi działami, broniącemi na milę przystępu do brzegu. Dziś dział tych nie ma; Francuzi zatopili czego z sobą wziąć nie mogli. Zamek spustoszyli, prochem w powietrze wysadzili. Zostały tylko ruiny.

Lecz ruiny te nie są nieme; przemawiają one do serca, gdyż okropna do nich przywiązana jest pamiątka.

Czytał kto piękny, serce rozdzierający poemat Adalberta de Chamisso?

Ja tu w krótkości skreślę jego osnowę.

W r. 1809. Francuzi przyszli do Hiszpanii jako przyjaciele, i jako tacy opanowali podejściem wszystkie punkta warowne. Forteca w Vigo wpadła w ich ręce, tym samym prawie fortelem, co Mont Jouy w Barcelonie. Hiszpanie poznali się nareszcie na wartości przyjaźni francuskiej; przyszło do scen krwawych w Madrycie. Kartacze Murata i jego bagnety, więzienia i zdrady, rozdrażniły Hiszpanów aż do wściekłości. Zemsta! zemsta! wołali od brzegów Bidassoy aż do brzegów Gwadyany. »*Guerra hasta al cuchillo!*« (wojna choćby na noże) odpowiedziały echa Pireneów i Sierry Moreny.

Anglicy korzystali z tego usposobienia i pomoc swą ofiarowali. Hiszpanie w rozpacz przyjęli przyjaźń zwycięzców pod Trafalgar, burzycieli potęgi swój morskiej.

W zamku Vigo mieszkała rodzina Hidalgów hiszpańskich, dawnych właścicieli całego miasta. Zamku przodków pozbawić jej nie śmiano. Rodzina ta składała się: z ojca, matki, dwóch synów i córki; córki młodej, pięknej jak anioł, a kochającej oficera francuskiej załogi.

Hrabia de Vigo wiedział, że eskadra angielska krąży około portu, zdaleka; lecz port w ręku Francuzów. Zaprosił na ucztę oficerów, by ich otruć; opoić kazał żołnierzy, by ich zabić. Córka instynktem przeczuła niebezpieczeństwo kochanka; miłością wiedziona szukała pewności, znalazła ją, i zapominając nienawiści narodowej i siebie samej, prosi kochanka, by na ucztę nie przychodził.

Prośby te obudzają podejrzenie kochanka. Garnizonowi nie mówi słowa, lecz się wykrada z cytadeli na noc całą, i biegnie ku miastu Orense. Tu stoi korpus generała Reigner, i tu sam wódz zostaje.

»Garnizon w Vigo dziś ma być wyrznięty. Wodzu! ocal go, lecz ocal i kochankę, której winienem piekielnego spisku odkrycie.« Wódz przyrzeka i natychmiast podsuwa się z wojskiem.

Przybyli wtedy, gdy już się zaczęła uczta i kilka jej padło ofiar. Uwięziono sprawców sprzysiężenia, na sługach wymogli wyznanie. Anglicy już się zbliżali, lecz grad kul ich odstraszył.

Sądem wojennym skazani na śmierć wszyscy spiskowi, cała rodzina hrabiego, prócz donny Maryi Dolores. Lecz ona łaski przyjąć nie chciała, i od generała francuskiego

wyżebrała ułaskawienie innego członka rodziny, tego, którego ojciec wybierze.

Ojciec wybiera syna najstarszego; każe mu żyć, by przyszłej rodziny był ojcem i w niej wieczną ku Francuzom zaszczyt nienawiść.

Generał Reigner rzekł: »I na to przystaję, lecz pod warunkiem, by syn twój pierworodny ręką swą wykonał wyrok śmierci na własnej rodzinie. Pod tym warunkiem syna zachowasz; inaczej, córka twa żyć musi.

Syn nie przystaje, lecz ostatni surowy rozkaz ojca każe mu żyć dla nadziei zemsty, każe mu rodziców zabić, by w przyszłych synach znaleźć mścicieli. Ojciec w Hiszpanii pierwszym jest po Bogu.

Tu, na płaszczyźnie, wysoko nad naszymi głowami, wykonano wyrok. Młody dziesięcioletni brat Don Alfonsa najprzód podaje głowę, i mówi: »Na mnie się zapraw, mnie ją zdjąć najłatwiej.« Pada jego głowa, pada głowa pięknej siostry, i ojca głowa spada.

Matki ściąć nie mógł, nawet na jej prośby. Do takiego czynu żadna synowska ręka nie stworzona. Żywą ją strącić musiano wraz z ciałami zabitych tu w te odmęty, nad którymi stoimy.

Don Alfons żył, i spełniając wolę ojca swego, ożenił się, aby mieć synów mścicieli. Bóg mu dał synów; lecz te dzieci, przeznaczone jeszcze przed urodzeniem zemście, są idyotami, do niczego niezdolnemi.

Tak się mści natura nad człowiekiem, płodzącym w imieniu nienawiści to, co w miłości powinno być poczętym, jeżeli ma być doskonałym. Tak karze Bóg chrześcianina, zapominającego, że pierwszą nauką Chrystusa jest: »Kochajcie się pomiędzy sobą i przebaczajcie nieprzyjaciółom.«

Nie masz życia w nienawiści, tak jak nie masz szczęścia w kłamstwie: gdyż nienawiść i kłamstwo są potęgami ujemnymi, i wiodą powoli do śmierci.

Dodam tu jeszcze, że Don Alfonso nosił aż do skonu Ferdynanda VII. tytuł honorowy przez króla nadany »*el verdugo*«, kat. Potem rzucił ten smutny tytuł; lecz i urzędowe zabóstwienie jego posłuszeństwa synowskiego, jego nadprzyrodzonej odwagi, nie zdołało ani jednej chwili po-

jedną go z losem. Nieznośnym mu było życie; pamięć tego czynu zatrzymała wszelkie szczęście.

Smutna ta i okropna, a niestety! aż nadto prawdziwa historia, jak głębokie dla rozumu ludzkiego nasuwa rozpałtęwanie!

Wszyscy aktorzy tej tragedji działali w imieniu honoru; ani jeden nie działał jako chrześcianin.

I dlatego też silnie przekonany, że wypadek tak straszny nie mógł zdarzyć się bez szczególnego dopuszczenia Boskiego, wydzwignąłem go z niepamięci ludzkiej na światło, aby służył za przykład owym ciasnego wyobrażenia ludziom, utrzymującym, że w obrębie praw honoru znajdują się wszystkie przepisy powinności ludzkich.

A teraz opuścimy razem z portem Vigo smętne nasze myśli, i płynmy ku Oporto, gdyż tu kilka godzin zatrzymać się musimy.

Minęliśmy Oporto; przy innej sposobności opiszemy ważne to miasto. W nocy mijamy drobne wyspy Berlingi; nad ranem stajemy przy ujściu Tagu. Przed nami leżą piękne brzegi Portugalii. Tu, na lewo rzeki, sterczą niebieskawe szczyty gór Cintra; tam na prawo, na drugiej stronie rzeki, rozciągają się na milę płaszczyzny prowincyi Alemtejo.

Lecz cóż się to dzieje tuż nad brzegami morza? Masa jakaś niezmierna, czarna, podobna do okrętu przewróconego, leży na ziemi, a naokoło mnóstwo ludzi, z dwiście tego, krząta się i kopie ziemię i taczkami pracuje.

To nie okręt, to trup ogromnego wieloryba, zarzucony burzą na brzegi. Niewygodny to podarunek morza, gdyż przeszedłszy w zgniliznę, zaraził powietrze wokoło. Dlatego mu grób wykopują głęboki, i weń wciągają stoma koźmi i mułami. Gdzieindziej umianoby korzystać z tłuszczu na tran, a z kości na szkielec do muzeum, mianowicie, że rzadko się zdarza widzieć tak wyrosły potwór, 123 stóp długości; ale w Portugalii nie umieją korzystać z żadnych darów przyrody, nawet z zdechłego wieloryba.

Wszystko, co podpadało pod oczy, było niezwykle, prawie nadzwyczajne.

Tu przy samém ujściu, jeszcze w wodach Tagu, krążyła piękna fregata marynarki wojennej angielskiej z zaciągniętymi żaglami, i czekała widocznie na kogoś, a tymczasem zabawiała się strzelaniem do celu. O dobre bowiem staje kołysze się na powierzchni morza zwyczajna beczka, z małą flagą kolorową na niej zatkniętą. Do téj beczki strzelała fregata, i pomimo małości celu, pomimo jego i okrętu kołysań, rzadko strzelił cztery razy do jednéj beczki nie zatopiwszy jéj.

Z tą fregatą statek nasz, będąc jeszcze prawie o milę odległy, musiał na wezwanie wejść w rozmowę. Raport naszego kapitana trwał długo, dobry kwadrans, i odbywał się zmianami małych chorągiewek pięciu różnych kolorów i pięciu różnych kształtów. Wciągano je, przymocowywano w pewnym porządku i krótkich ustępach; na jednéj linie z galeryi, w środku wielkiego masztu umieszczonej, wciągano je na szczyt masztu w taki sposób, że się rozwijały dopiero w chwili, kiedy do samego szczytu doszły, a natychmiast zwijały, kiedy jedna z szczytu schodziła, a druga następowała.

Tym umówionym językiem (gdyż cóż innego mogło przedstawiać pięć flag różnokolorowych pięciu różnych kształtów, jak litery albetu?) kapitan nasz opowiadał zapewne kapitanowi fregaty królewskiej coś bardzo ważnego; pewno nie swe wrażenie chwilowe lub nowiny dotyczące jego familii. Za zbliżeniem się bowiem do ujścia, widzieliśmy łódź obszerną odpływającą od fregaty i zbliżającą się do nas; na łodzi, prócz ośmiu majtków robiących wiosłami i sternika, siedział znów z dumną i zimną miną kadecik marynarki w krótkim mundurze, zbliżył się do naszego statku, wstąpił nań i zażądał od kapitana, aby mu dał listę passażerów. Pięciu z nich (było to właśnie jedno z dwóch sobie nieprzyjaznych stronnictw portugalskich) poprosił z sobą. »Panowie będą łaskawi przyjąć gościnność flagi królewskiej na ten dzień, przez który statek parowy zabawi na wodach Lizbony; proszę z sobą panie margrabbio i wy panowie.« Było w istocie hrabia Amarante margrabia de Chaves, ten sam legatyczny zwolennik don Miguela, który jeszcze przed jego powrotem w r. 1827. rokosz w Portugalii podniósł. Tym razem pewno nie przybywał w chęci robienia zamieszek, chciał

zapewnie tylko pod protekcją flagi angielskiej i na neutralnych deskach statku zwiedzić ojczyznę, za którą tęsknił i do której wrócić nie mógł; ale i to obudziło podejrzenie. Zapisany był pod nie swoim nazwiskiem, dlatego też opuszczając statek, okropnie rzucił spojrzenie na drugie stronnictwo Portugalczyków: winił ich niezawodnie o wydanie swego *incognito* kapitanowi, którego znów powinnością było uwiadomić władzę wojskową swego kraju o zrobioném odkryciu. Z tego to powodu toczyła się zapewne długa owa rozmowa na płatki różnokolorowe.

Już jesteśmy w szerokiem, czystém korycie złoto toczących wód Tagu, już bliscy starożytnego zamku Belem, zbudowanego w środku wód wzburzonych. Wystawili go królowie Emmanuel (a) i Jan V. Jest to właściwie tylko wieża z wystającą baterią, która broni przejścia przez rzekę; lecz cała budowa jest ogromna, oryginalna, i tak silna, że leżąc w środku wód, tłuczona burzą i bałwanami, w niczem jeszcze nie ucierpiała.

Jeszcze pół godziny, a jesteśmy przed Lizboną, wznoszącą się amfiteatralnie na spadzistościach siedmiu wysokich pagórków. Na najwyższym, najspadzistszym z nich, na prawo, piętrzą się baterie, a na szczycie leży groźnie cytadela świętego Jerzego. Na średnim, w środku miasta, wznosi się czysto i jasno w eterze nieba kościół »Coracao do Christo« (serca Chrystusowego), zbudowany na wzór watykańskiego, z wielką wysoką kopułą. Pyszne pałace Lizbony, ogrody na wzniosłych zawieszane tarasach, błyszczą w świetle słońca, jaśniejącego nigdy nie widzialnym blaskiem; a tu na niezmierném zwierciadle Tagu

a) Emmanuel król Portugalii, zwany Wielkim przez niektórych historyków, Szczęśliwym przez większą ich liczbę, panował od roku 1496. do r. 1521. Panowanie jego zasługuje na największą uwagę, gdyż obfitóm było w ważne wypadki. Emmanuel, spełniając życzenia swój żony Izabelli, wyгнаł z Portugalii Maurów i Żydów, i przez to pozabawił ją mnóstwa rąk czynnych i zręcznych. Vasco de Gama najprzód okrążył przylądek Dobrzej Nadziei w r. 1497. Alvares de Cabral zapewnił Portugalii panowanie nad Brazylią w r. 1500. Jacenty Figueira podbił jej wyspę Sumatrę w r. 1510, a Alburkierke w r. 1511. miasto Goa i Malaca. Zdobywszy te, które były dla Portugalii źródłem sławy i bogactw, dały Emmanuelowi tytuł Wielkiego.

krążą tuż pod miastem tysiące statków różnych wielkości i kształtów, od dumnych okrętów liniowych Anglii i Francyi, do małych feluk przewoźniczych.

A właśnie natrafiliśmy na wielką uroczystość. Królowa zaprzysięgała nowe wydanie nowo-zmodyfikowanej najnowszej konstytucyi, i w świetnym orszaku, w wozie tryumfalnym, ośmioma białemi mułami zaprzężonym, otoczona gwardyami i kompanią starodawną łuczników, uzbrojonych na teraz w halabardy, przejeżdża przez wspaniały plac Inkwizycyi, przez najświetniejszą część Lizbony. Grzmią działa na cytadeli św. Jerzego, grzmią w Belem; odpowiadają im salwy licznych statków wojennych Anglii, Francyi i Szwecyi. I stary niezmierny okręt liniowy portugalski, zwany »Rainha Nao« (a) (królowa okrętów), największy z istniejących na całym świecie, gdyż na 180 dział zbudowany, rozbija powietrze odgłosem swych wystrzałów. Na wszystkich okrętach powiewały radośnie owe tysięczne chorągwie i flagi, któremi się stroją okręty w dni świąteczne. Dzwony całej Lizbony rozkołysane wtorowały swą poważną harmonię, a liczne zegary wieżowe wybijały w brylantowych kurantach hymny narodowe tak żywe i radośne, jak gdyby prowadziły Portugalczyków na same tylko uczy i gody, a nie do bratobójczej walki.

Uroczy to był i pełen wspaniałości widok! Każdy nim był przejęty, nawet owi zimni Anglicy, których pierwszą jest zasadą: *nil admirari*. Wieczne żywioły: powietrze, woda, ziemia i ogień, cieszyły się z radości tego ludu, który zapomniał, że się tu krew jego lała na ulicach dwadzieścia pięć dni temu.

Porywające uczucie radości sympatją mimowolną ogarniało wszystkich.

Nie! nie wszystkich! Jest tu na pokładzie naszego statku grupa ludzi, grupa Portugalczyków, którym wi-

a) Okręt ten tak się podobał Nelsonowi, że posiadanie jego stało się celem wszystkich zabiegów jego; lecz Portugalia przywiozła do tego okrętu losy swego istnienia i umiała go bronić. Później Rainha Nao był statkiem admirałskim Don Miguela, i w krwawej bitwie pod San Vincente dostał się w ręce walecznego kapitana Napier. Bronił się zacięciój jak wszystkie inne, i sami Anglicy utrzymują, że losy Portugalii byłyby mny wzięły obrot, gdyby reszta eskadry Don Miguela tak się była broniła, jak stara morską królowa.



dok ten radości sprawia uczucie goryczy, malujące się wyraźnie na zółcią przesiąkniętych, surowych, myślących twarzach. Oni może także nie mogą wstąpić na ziemię rodzinną i dzielić radości ogólnej? I to nie. Właśnie ułaskawieni amnetyą królewską wracają do kraju. Jest to książę Terceiry, ów mężny obrońca Azorów, ów wierny zwolennik Don Pedra, wracający z wygnania z swemi powiernikami.

On może zna lepiej swój kraj, płochosć ludu, zmienność woli klas wyższych?

On może żałuje straconego wpływu i przemysła nad środkami odzyskania go?

On może uznaje, że w sereu ludzi kierujących polityką nie masz nigdy szczęścia zupełnego, a żądza władzy trwa w niem wiecznie, wiecznie!

Ucichły działa, dzwony, kuranty, okrzyki ludu i muzyki wojskowe na ziemi i na wodzie.

Urzednicy Alfandegi, to jest komory celnej, wrócili do zatrudnień; teraz można było zająć się wylądowaniem.

Trudna tu przeprawa z celnikami, bardzo niegrzeczni, przyznać trzeba; a byłaby jeszcze trudniejszą, gdyby ojciec Izydora, dobrze tu znany i nadzwyczaj poważany, nie był załatwił wiele trudności.

Za dwie rzyby bibuły angielskiej, którą przeznaczałem na suszenie roślin portugalskich, i za kilka tuzinów słoików z flintglasu z szlifowanemi korkami, przeznaczonych na konserwowanie innych istot organicznych Portugalii, kazano mi zapłacić 12,000 reisów cła.

Dwanaście tysięcy! Struchlałem. Szczęście, że ta ogromna summa wynosiła tylko osmdziesiąt kilka złotych na naszą monetę, inaczej byłbym się zrzekł szkła i bibuły, roślin i zwierząt portugalskich.

Portugalczyk wyraża się pompatycznie: dwanaście tysięcy reisów; Anglik byłby powiedział skromnie: dwa funty szterlingów.

Ubogi Portugalczyk ma się cyframi w braku samej rzeczy, i liczy swe summy rozbiorowo, aby się sam choć pozorem oślepił. Bogaty Anglik liczy swe kapitały zbiorowo, dla ułatwienia rachunku.

Pocziwy misyonarz pożegnał mię z wielką serdecznością, mówiąc mi: »Gdyby się panu co nieprzyjemnego wy-

darzyło, nie zapominaj, że masz w skromnej missyi angielskiej przyjaciela, zawsze gotowego do służenia ci radą i czynem.« Później uznałem z rozrzewnieniem, że spotkanie nasze musiało być dziełem Opatrzności.

Kazaliśmy się zaprowadzić do pierwszego hotelu Lizbony, blisko Caesodré, to jest *głównego bulwaru*, leżącego, a przez wdowę Portugalczyka, Francuzkę rodem, utrzymywanego.

Dano nam dwa obszerne pokoje, w których, prócz bardzo skromnych łóżek i kilku krzeseł, żadnych nie było mebli. Istna pustynia dla nas, przyzwyczajonych do komfortu angielskiego.

Lecz tam, gdzie klimat jest pięknym i wzywa do podziwiania przyrody, mniej dbają o wygody w domu, i odwrotnie. Wkrótce do tej zmiany przyzwyczaić się zdołaliśmy.

Podczas obiadu, gdyż hotel miał *table d'hôte*, siedziałem niedaleko oficera portugalskiego w odstawce, wypytującego mię, czy przypadkiem nie znajdował się w naszym towarzystwie na statku pan jeden, około 50 lat mający, czarny, żółtawy, z blizną na twarzy, podróżujący w towarzystwie czterech młodszych, a nazywający się don José Caldeiro.

Odpowiedziałem mu, że istotnie podróżował z nami pan jeden tego wieku, czarny, żółtawy, z blizną, w towarzystwie innych czterech, ale się nazywał hrabią Villaflor księciem Terceiry.

Na to nazwisko, wymienione bez ogródki, oficer zbladł jak gdyby piorun w niego uderzył, i spytał: »Zkąd pan wiesz, że to była ta osoba?«—»Bo mi ją tak nazwał ksiądz jeden znający go dobrze, a niewiedzący może, że ksiądz chciał podróżować incognito« odpowiedziałem.

»A kto był ten ksiądz? gdzie jest ten ksiądz?« spytał dalej.

»Pozwolisz pan, że popełniwszy raz mimowolną niedyskrecyę odpowiedzią na pytania pańskie, nie popełnię jej z własnej woli teraz«, odpowiedziałem.

»Zobaczymy, zobaczymy,« odrzekł oficer wstając od stołu i miotając na mnie wzrokiem jak jadowitemi pociskami.

Był to właśnie adjutant księcia Terceiry, wzięty do niewoli w bitwie wojsk królowej przeciw szartystom Pedrystowskiemu, i wypuszczony z więzienia dopiero od tygodnia za dekretem amnestyjnym królowej, prześladowanej, jak to już wiemy, bardzo niechętnie ludzi, którzy właściwie za nią, choć przeciw własnemu jej wojsku, walczyli, lecz która prześladować musiała dla ocalenia pozoru.

Omylone nadzieje, więzienie, niepewność przyszłości, wyrodziły w adjutancie tę podejrzliwą drażliwość, aż za nadto powszechną u wszystkich ofiar polityki, a u Portugalczyków przechodzącą w nieubłaganą zapalczywość.

Towarzysz mój, pan K..., lepiej ich znający, winszował mi: »Eh bien vous y allez rondement, vous voiei aux prises avec un s..... payen auquel un coup de poignard ne coulera pas plus, qu'un coup de lancette a vous-même«.

Zbytne były te obawy tym razem. Książę Terceira, doznawszy dobrego przyjęcia u królowej, znajdującej się po raz drugi w stanie nadziei, a łagodzonej tym stanem w swym charakterze, i nie doświadczywszy żadnych objawień niechęci u ludu, znajdującego się w stanie nadziei lepszych czasów, poznał, że incognito jego, zresztą łatwe do przejrzenia, nie było rzeczą niezbędnie potrzebną.

Adjutant uznał niewłaściwość swego uniesienia, gdyż zbliżył się do mnie z grzecznością, oznajmując mi, że się mścić nie będzie.

Postanowiłem być ostrożniejszym na przyszłość z ludźmi, zawsze gotowymi do wynajdywania przyczyn gniewu, zawsze gotowymi mścić się wszystkimi podstępными środkami za urojone krzywdy.

Lizbona jest ogromnym, choć pełnym ruin miastem. W jakąkolwiek prawie spojrzysz stronę, wszędzie jeszcze zobaczysz ślady owego okropnego nawiedzenia Boga, owego trzęsienia ziemi, które 95 lat temu zniszczyło całe prawie miasto. Wielki Pombal (a), ów Richelieu portugalski.

a) Don Seb. Joz. Carvalho-Melho, hrabia Oeyras, margrabia de Pombal, urodzony w r. 1699. w Soura, blisko Coimbrę.—Król Józef I. mianował go w 1750. r. swym ministrem spraw zagranicznych, a wkrótce potem został ministrem wszechmocnym. Władzę zachował podczas 27 lat, i bezustannie starał się o nadanie siły rządowi, o przytłumienie fakcyj, o osłabienie przemocy szlachty, o rozkrzewienie światła

odbudował część miasta w rozmiarach prawdziwie imponujących; część ta, dziś najwięcej ożywiona, leży w środku doliny, zawartej pomiędzy łukiem siedmiu pagórków, a cięciwą szerokiego Tagu.

Z głównego placu Lizbony wychodzą cztery piękne ulice; pomiędzy temi ulica Złota (rua da Ouro) i ulica Srebrna (rua de Prata), tak zwana od kowali złota i srebra tam mieszkających, zastanawiają wspaniałością. Domy mają ogromne rozmiary, i tak są wysokie, jak największe zamki. Niezmierne słupy wspierają ogromne arkady w około placów, i te służą na przechadzkę w czasie wielkich upałów. Ulice środka miasta są zupełnie zrównane i dobrze brukowane, i tém się korzystnie odróżniają od ulic reszty miasta, szczególnie od ulicy Alemerin czyli Rozmarynowej, która wychodzi na bulwar Caesodré, i tak jest spadziwą i w czasie obfitych deszczów do strumienia podobną, że nie łatwo po niej chodzić. Po obu stronach tej ulicy wznoszą się pałace szlachty portugalskiej: budynki ciężkie i groźne, lecz zarazem okazałe i malownicze z owemi ogrodami, wiszącymi wysoko nad ulicą.

Pomimo wszelkich ruin i spustoszeń, Lizbona jest niezaprzecznie najosobliwszém miastem całego półwyspu, i prawie tyle zasługującym na uwagę artysty, co Rzym. Prawda, choć jej nie braknie pięknych kościołów, nie posiada ona tak olbrzymiej bazyliki, jak jest kościół S. Piotra, przyciągający oko podróżnego i zapełniający je cudami. Lecz cóż z drugiej strony może się równać z tym wie-

i handlu. Bezprawia inkwizycyi zdołał ukrócić; umiał nawet, dzięki swej światłej administracyi, zmniejszyć nieszczęście, spowodowane okropnym trzęsieniem ziemi, które pogrzyzło całą prawie Lizbonę w gruzach (1755. r.). Jezuitów ścigał gdzie tylko mógł; odebrał im administracyę kraju Paraguay, wymógł nawet w Rzymie dekret reformujący to braterstwo; później wygnał ich zupełnie z Portugalii i z Brezylji (1760.). Starał się wydrzeć Anglikom handel portugalski. Obsypany łaskami i zaszczytami przez Józefa I. stracił swą władzę i więźność po śmierci tego króla r. 1777. Obarczony tysiącami oskarżeniami, został wygnanym i wkrótce umarł na wygnaniu (1782.). Pombał jest największym ministrem jakiego miała Portugalia. Odstupując władzy, zostawił 240 milionów fr. w skarbie krajowym. Lecz formy jego były tyrańskie, zawziętość jego przeciw szlachcie i Jezuitom zawiadka, zamiłowania jego w ideałach filozoficznych XVIII. wieku zanadto bezwzględne.

cznym pomnikiem pracy, cierpliwości i sztuki ludzkiej, z tym wspaniałym wodociągiem Lizbony? Niezmiernymi, do 160 stóp wysokimi nogami przekracza on w stronie północnej głęboką dolinę, potem nurza się pod ziemią, biegnie pod nią milę całą, znów na jaw wychodzi, znów się zapada, nareszcie przybywa do gór Cintra, odległych od miasta o pięć mil geograficznych, i ztąd czerpie w czystych krynicach ów płynny-kryształ, tak potrzebny ludziom. Tam bierze go na swe silne barki i wraca niezmiernym strumieniem do spragnionego miasta, składa go w głęboką cysternę, wydrążoną w olbrzymiej oponce w środku ogromnego gmachu, zwanego poetyckim językiem: *Maj das agoas*, matką wód. Ztąd go roznosi tysiące rur do wielkiego mnóstwa fontan publicznych i prywatnych, i trzykroć sto tysięcy ludności (a) żywi się bezprzestannie jednym, ręką ludzką wzniesionym strumieniem.

Na szczycie wysokich arkad, po obu stronach strumienia, ciągną się na ośm stóp szerokie ganki, któremi można dojść, dojechać nawet, do pałacu królewskiego Bemfica, o trzy ćwierci mili od miasta odległego. Ganki te przecudne, z których widok na morze, miasto, góry, pola i rzeki pod nimi głęboko płynące, tak piękny i uroczy, ganki te na nieszczęście są widownią częstych rozbojów; niejednen podróżny padł tu ofiarą swego zachwycenia. Podczas mego pobytu w Lizbonie zrabowano tam, a potem zabito młodego Anglika.

Część jedna miasta nigdy nie powstała od pamiętnego trzęsienia ziemi, które zabiło 30,000 ludzi i zrobiło na 2000 milionów złp. szkody. Dziwna to rzecz! że ta sama ziemia, która pochłonęła w sobie tyle skarbów i życia, wyrzuciła z swych ciemnych głębi to, czego dawniej strawić nie mogła: szczątki amfiteatru rzymskiego, o którego istnieniu nie wiedziano nawet, a który, wnosząc z rozmiarów kolumn i głazów wyrzuconych, musiał być niegdyś równie pięknym i obszernym, jak amfiteatr w Nimes, we Francyi południowej; pochodził z czasów, kiedy się Lizbona nazywała Felicitas Julia, z drugiego wieku po Chry-

a) Ludność stała Lizbony dochodziła, według najnowszej w rzeszłym sporządzonej statystyki, do 276,000, lecz z ludnością niestałą dochodzi czasem do 300,000.

stusie; dwa głazy napis ten noszą. Najdawniejszém nazwiskiem Lizbony było Olisippo, podobno od Ulissesa założyciela.

Piękna Lizbona przedstawiała w wielu miejscach obraz serece rozdzierającego zniszczenia. Przestraszony byłem widokiem całej części miasta, leżącej od wieku prawie w gruzach: tego przedmieścia, spalonego przez Don Miguela jeszcze w r. 1833., a którego nikt odbudować nie myślał; tych arkad wodociągu, porażonych pociskami z armat; tych pięknych niegdyś ogrodów klasztornych, tak gęsto wokoło miasta rozsianych, teraz spustoszałych, zarosłych chwastem i służących za knieje i kryjówki rabusiom i różnego rodzaju złoczyńcom.

Z klasztorów tych spekulanci artystyczni a la Lord Elgm powywozili za marne pieniądze wszystkie arcydzieła sztuki, od tak dawnych czasów nagromadzone, a potem u tandeciarzy archeologicznych w Paryżu i Londynie drogo sprzedawali lubownikom sztuk pięknych. Powywożono i drzwi kościelne, jeżeli były pięknej roboty, okna kolorowe powijmowano, i framugi nawet okien marmurowe nie oparły się chciwości pustoszycieli.

Klasztory były własnością narodową, to jest właściwie do nikogo nie należały. Nikt się tém dobrém nie opiekuje, dopóki zostaje w rękach narodu; a biada temu prywatnemu, który je nabywa, jeżeli się wprzódy bandytom drogo nie opłaci.

Kilku Anglików nabyło dobra narodowe jeszcze przed edyktem senatu, zakazującym sprzedawać je cudzoziemcom; pożalowali téj śmiałości, czyli raczej rodziny ich pożalowały, gdyż oni już nie żyją.

Jeden tylko cieszy się jeszcze swém kupnem. Nabył cały klasztor, prócz *kościola*, z pysznym ogrodem i dwunastu morgami pięknego pola, za 24,000 złp. Sprowadził sobie kilkunastu parobków angielskich i założył w swój posiadłości rodzaj kolonii wojskowej. Jest w ciągłym stanie oblężenia, w własnym domu; połowa załogi patroluje, kiedy druga oddaje się spoczynkowi. Pomimo stróżów i psów, zamków i samostrzałów, pomimo wszystkich wysileń, tysięcznych ostrożności, bezustannego czuwania, nie może ustrzedz się skutków nieprzyjaźni. Drzewa najpiękniejsze podcięto mu w ogrodzie, spalono kilka-

krotnie plony tuż przed zniwem, powrzucono jadowite węże do oranżeryi, zatruto wodę w studni; słowem, nie masz tygodnia, żeby się nie dopuszczono jakiegoś brzydkiego, złośliwego bezprawia.

Tylko punkt honoru wstrzymuje Anglika; już dawno byłby opuścił swą posiadłość, a tém samém zrzekł się wszelkiego do niej prawa, gdyż w jego nieobecności niktby nie śmiał nią zawiadywać; posiadłość zaś należąca do cudzoziemca, a nie zawiadywana przez dwa lata, z prawa przypada na rzecz skarbu.

Lecz piękność nieba i przyrody, cudna, pełna siły i życia vegetacya, usposobienie jakieś wyjątkowo wesołe Lizbończyków, chwilowo zadowolnionych obrotem spraw politycznych, tak błogi na nas stęsknionych wpływ wywierały, żeśmy umyślili zabawić w Lizbonie kilka tygodni; dlatego opuściliśmy hotel, i aby wejść bliżej w życie familijne portugalskie, najeliśmy mieszkanie w domu prywatnym, przyjmującym dobrze rekomendowanych cudzoziemców.

---

## ROZDZIAŁ III.

PORTUGALKI. — DUMA ICH. — MAGNACI. — SPOSÓB ICH ŻYCIA. — SARDYNKI. — P. MEYER DZIENNIKARZ NIEMIECKI. — P. TURNBUK DZIENNIKARZ ANGIELSKI. — DR. LANGE. — PRZYWILÉJ POLOWANIA W PARKACH KRÓLEWSKICH. — GOŚCINNOŚĆ. — SZCZĄTKI LEGII. — PAN K. — KOLONIE. — KAPITAŃ M. — KAPITAŃ D. — DUCHOWIEŃSTWO.

---

Było to w części miasta dość odległej, niedaleko od pięknego kościołka i jeszcze piękniejszego cmentarza angielskiego.

Domu tego boginiami były trzy siostry, panny już nie w pierwszym kwiecie młodości, śniade przytém bardzo, nadzwyczajnie dobre i nabożne, ale nie ładne, nawet weale nieładne.

W ogólności tak trudno jest zobaczyć ładną Luzytankę, jak trudno jest zobaczyć brzydkiego Luzytańczyka. Prawda, że z wyższych stanów damy bardzo rzadko wychodzą na ulicę, nawet do kościoła. W każdym większym domu znajduje się kaplica i kapelan, o którego nietrudno i za najtańsze pieniądze, od czasu zniesienia klasztorów.

Duma portugalska nie pozwala damom wyższego towarzystwa pokazywać się na ulicy inaczéj, jak w lektykach i pojazdach, a od zniesienia praw feodalnych pańszczyzny, panowie portugalscy tak znacznie podupadli na majątkach, że największej części nie stać na pojazd lub lektykę.

Z téj przyczyny damy muszą siedzieć w domach, nie mogą z nich nawet wychodzić na świeże powietrze, jeżeli nie masz przy mieszkaniu ogrodu. Przez okno nie pokazują się nigdy, gdyż ich nie stać na brylanty i kosztowne stroje, a Portugalka znacznego rodu tak się wstydzi bez brylantów, jak w Anglii pokojówka bez kapelusza, lub u nas młodsza bez rękawiczek.



Nietylko córki niegdyś tak zamożnej arystokracji, lecz i młodszy jej synowie nie wychodzą prawie nigdy na jaw, a to dla tej samej prawie przyczyny:—dla dumy i biedy.

Przedtém słońce tylko dla nich świeciło, woda tylko dla nich płynęła, kwiaty tylko dla nich rosły.

Dziś światło świeci, woda płynie, kwiaty rosną dla wszystkich dzieci Boga zarówno.

Ale oni z tym dziwnym stanem rzeczy pogodzić się nie chcą, i dlatego czekają lepszych czasów, kryją się w domach, do niczego się nie biorą, niczego się nie uczą; najstarszego tylko syna, przyszłego dynasta, pięknie ubierają, sprawiają mu konie, karyolkę, służącego, i wysyłają go na ulicę utrzymywać sławę rodu. Sami zaś siedzą w domu, wszyscy razem w stancyjce najodleglejszej, z swym kapelanem, mówią pacierz, złorzeczą światu i jedzą pomarańcze, chleb z kukurydzy i sardynkas.

Sardynkas są to ryby mniejsze daleko od śledzi, lecz z tego samego rodzaju. Poławiają się milionami milionów na brzegach Portugalii. Mało kosztują, a świeże, osmażane w taniiej tutaj a wyborniej oliwie, doskonale smakują.

Sardele są tém dla całej prawie Portugalii, czém są kartofle dla ludu polskiego.

Bez sardelów nie byłoby Portugalii.

Dziwięćdziesiątych części każdego Portugalczyka składa się z sardelów, bez przypuszczenia metempsychozy. Dziwięćdziesiąt setnych każdej Portugalki składa się z sardelów. Niemi tylko żyją, i niemi tak wszystkie kobiety, domy, ulice w Portugalii przepachniały, że zapach jednych przypomina w pamięci istność drugich.

Taki i nasz dom posiadał znakomity przywilej być główną kwaterą tych interesujących ryb.

Współmieszkańcem domu był pan Meyer, Niemiec, tłumacz i professor języka niemieckiego dworu tutejszej księżny de Braganza, byłej cesarzowej Brazylii, damy powszechnie ubóstwianej, która nie chcąc przysięgać na wierność innej konstytucyi jak tej, którą zmarły jej mążonek nadał krajowi, wołała (już po mym wyjeździe) opuścić Portugalie z wielką boleścią serca Portugalczyków, z mniejszą może boleścią serca Donny Maryi, i wrócić do wysokiej rodziny, do Bawaryi.

Pan Meyer jednocześnie jest korespondentem Gazety Augsburskiej.

Jak pan Meyer może jednocześnie służyć księżnie Bragancyi, której małżonek nadał prawo zasadnicze, i razem Gazecie Augsburskiej, to pojmie tylko ten, kto zna wysoki polot filozofii uczonych niemieckich, i wie, że zawsze są gotowymi poświęcić jaknajuniżej względne *ja* bezwzględnemu *on*.

Dość, że nim był; lecz zresztą najlepszy człowiek w świecie; opinii właściwie żadnej nie miał, wiedział tylko, że wino portugalskie jest wyborne, i używał tego daru natury z bezwzględną nieskończonością. Zdrowie miał po temu. Nie tak jak jego przyjaciel i kolega Anglik, także tłumacz, professor i korespondent londyńskiego *True Sun* (Prawdziwego słońca). Ten umarł dwa tygodnie temu z butelką w ręce, nie w znaczeniu przenośnym, lecz w rzeczywistym, prozaicznym znaczeniu:—z butelką w ręce, jednym słowem.

Ja teraz zabrałem miejsce nieboszczyka, ale tylko w mieszkaniu, nie w sercu pana Meyer; na to trzeba było mieć lepiej władać butelką, niż ja umiem.

Jednakże towarzyszyłem panu Meyer nieraz do *quintas*, czyli domów wiejskich okolicznych, które znał doskonale, w każdym bowiem dostanie dobrego wina, sera, chleba, wybornych pomarańcz i wyśmienitych oliwków.

Towarzystwo nasze domowe powiększyło się jeszcze za powrotem znanego mi już doskonale z wielokrotnych opisów, oryginalnego doktora Lange, uczonego naturalisty, którego sławny professor Schoenlein (teraz w Berlinie, wówczas jeszcze w Zurych rezydujący), wysłał w świat dla przesyłania mu egzemplarzy do swego zbioru botaniczno-zoologicznego.

Doktor Lange miał zaledwie lat trzydzieści kilka, a już był typem tego rodzaju jednostronnych uczonych, którzy z zawodu swego umieją robić monomanię, z wszystkich sił swych kółka jedną sprężyną popychane. U niego to tylko miało wartość, co można było w bibule przechować, wypchać, w spirytusie konserwować, szpilką przekłuć i na kapelusz wsadzić. Kobieta, żeby była najpiękniejszą, nie zwracała bynajmniej jego uwagi; oddałby ją był za ową gąsienicę z świecącym fosforycznym łebkiem, o której gdzieś

wyczytał, że ktoś ją miał odkryć w bliskości Lizbony. O niej tylko myślał, o niej marzył, ona sny jego czarowała. Kopał dołki we wszystkich ogrodach, gdzie tylko mógł, i całe noce przepędzał nad niemi, pilnując z rozwartemi oczyma i czekając zjawienia się tego łebka świecącego, który był zenitem jego nadziei, ideałem serca. Raz mu się śniło że ją spotkał kłaniającą mu się z kapeluszem w ręce,—i omało co rozumu nie stracił z radości. Na tych, którzy mu dowodzili, że łatwiej wynaleźć kwadraturę koła, lub odkryć kamień filozoficzny, jak znaleźć glisty z latarniami, spoglądał z politowaniem, gdyż z jego rachub, opartych na analogii zoologiczno-filozoficznej, wynikało, że takie stworzenie musi istnieć, że takiego jestestwa braknie do uzupełnienia szczebli téj logicznej drabiny jestestw organicznych, po której od podłego wymoczka, powstałego w wodzie, można dojść wolno, stopniowo, bez podskoków, aż do organizacyi najdoskonalszego zwierzęcia, to jest człowieka. »Musi istnieć ta annelida« dowodził nam doktor Lange, »i musi wyglądać ot tak, jak ją tu wyrysowałem« dodał wskazując na rysunek, »inaczej Stwórca byłby popełnił coś bardzo nielogicznego tworząc ten świat, co być nie może.«

Kobiety europejskie nie interessowały go, choćby były najpiękniejsze ze wszech względów, z budowy i wzrostu ciała, z regularności twarzy, z koloru oczu, włosów, z nadobności w ruchach; a takim aniołem była Donna Julia, mieszkająca w domu naszym, baletniczka hiszpańska. Wskazując na wrażenie, jakie sprawiała na wszystkich, pytaliśmy go, czy je choć w części dzieli. Odpowiedział zimno i zdziwiony: »Rasa kaukazka! znana w Europie; ja sam do niej należę, cóż mi z tego przyjdzie?«

Murzynki jednakże uwielbiał, szczególnież kiedy były z najbrzydszych pokoleń, kiedy miały jak najmniejsze czoło, a jak największą paszczę i z pół funta warg przy najmniej. W domu naszym znajdował się taki ideał, w kuchni do posług. Ciągłe téż przesiadywał w kuchni i wpatrywał się w ten potwór jak w tęczę, śledził jego ruchów i cieszył się jak dziecko, kiedy w nich dostrzegł coś do małpy podobnego. »I cóż myślisz zrobić z Marykittą?—spytałem się raz doktora Lange;—naszpilkować ją,

w spirytusie konserwować, wypchać, lub się z nią ożenić?»

»Nie, nie ożenię się z nią—odpowiedział namyśliwszy się nasz zoolog—i cóż świata przyjdzie z tego? dzieci moje będą mulaty, a to już rzecz znana.«

Z tém wszystkiém nasz zoolog, choć się tylko za zwierzę uważał, był pocziwém stworzeniem; fałszu w jego sercu i ustach nigdy nie było; niezmordowana praca jego, rzadka odwaga i wystawianie się na wszystkie niebezpieczeństwa w swych ciekawych wycieczkach w odległe okolice, nieugięta wola dojścia do celu,—zjednały mu szacunek nawet tych, którzy dla zabawy towarzystwa ciągle go na dysputy najśmieszniejszej natury wyzywali.

Co do wiadomości naturalnych, chemii i fizyki, geografii i astronomii, równie uczonego a tak młodego nie widziałem nigdy człowieka! Był to istny chodzący dykcyonarz wiadomości naturalnych. Lecz polotu poetycznego, religijnego i prawdziwie filozoficznego, nie zgoła nie było w tej duszy, oddanej całkiem nauce materyalnej.

Serce miał dobre, był usłużnym i pomagał swym kretytem chcącym z czasu korzystać kolegom.

Poznał mię z doktorem Kellermann, lekarzem przybożnym króla don Fernando de Saxe-Coburg. Za jego i Dra Hamilton okulisty angielskiego wstawieniem się, otrzymaliśmy, Dr. Lange i ja, wyraźny firman czyli patent od intendenta królewskiego dworu, pozwalający nam herboryzować, a nawet polować we wszystkich parkach i ogrodach królewskich, pod warunkiem jednakże, abyśmy duplikaty znalezionych roślin, złapanych, złowionych i ubitych zwierząt, raczyli złożyć do muzeum królewskiego, na co chętnie przystaliśmy, i cośmy nawet sumiennie wypełniali z wielkiém zadowoleniem dworu.

Dzięki boskiemu klimatowi Portugalii, dzięki spokojności politycznej, dzięki nareszcie ciągłym wycieczkom naukowym, towarzysz mój pan K. przychodził widocznie do zdrowia; mizantropia ogarniająca go w Anglii zaczęła ustępować.

Dzielił bowiem nasze wycieczki naukowe pan Teofil K., choć się bardzo mało znał na kamieniach, roślinach i zwierzętach; dzielił je, już to dla mego towarzystwa, już to dla zbierania widoków: rysował bowiem bardzo

pięknie i szczegółny miał dar oddawania *au vol d'oiseau* całych ogromnych krajobrazów.

Zwiedziwszy w kilka dni piechotą bliskie okolice Lizbony, tak piękne i tak urozmaicone rzeką, morzem, ogrodami, pałacami królewskimi, spustoszałemi klasztorami, —umyśliliśmy wybrać się w dalsze wycieczki. Pan Teofil ułatwił urzeczywistnienie tego zamysłu, gdyż najął na cały pobyt w Lizbonie trzy muły, przyjął do służby dobrego przewodnika znającego drogi, i kupił dla niego ośła.

Teraz nastąpił szereg wycieczek, których rezultat, specjalnie naukowy, w inném, jeżeli Bóg pozwoli, publiczności podam dziełku; tu się ograniczę na opisanie tego, co się kraju portugalskiego w stosunkach społecznych dotyczy. Lecz nie opuszczajmy jeszcze Lizbony bez przedstawienia czytelnikowi kilku oficerów, którzy podczas pobytu mego w Portugalii wspierali mnie koleżeńskimi radami. Było ich trzech: ostatnie szczątki korpusu do 200 osób liczącego. Reszta była rozsianą pod tą ziemią portugalską, za którą walczyła, lub też jęczała pod skwarem słońca afrykańskiego, w twierdzach i koloniach, w odległych i zatrutych krajach na przyładku Zielonym, na wyspach św. Tomasza, w Mozambiku, w Angoli i Bengeli. Ledwo dziesiąty ztamtąd wraca; lecz nieubłagana potrzeba życia zmusza dawnych obrońców Don Pedra do szukania w śmiertelném niebezpieczeństwie przytułku przed nędzą. Na kilka godzin przed mém przybyciem do Lizbony, pułkownik U.... z dwoma jeszcze innemi oficerami popłynął do wyspy św. Tomasza, z kąd, jak się później dowiedziałem, żaden już nie wrócił nigdy. Jeden z towarzyszów podpułkownika, mianowanego podgubernatorem odległej kolonii, zabrał z sobą żonę, dwoję dzieci i matkę żony. Cała ta rodzina padła w rok ofiarą szkodliwości klimatu; nikt ztamtąd nie wrócił.

Oficer inżynieryi, o którym już wprzód wspomnieliśmy, zdobył sobie prawo narodowości portugalskiej ważną usługą, wyświadczoną królowej, i jedynym był w służbie czynnej zostającym oficerem.

Kapitan M. odznaczył się jako dzielny kawalerzysta; Don Pedro lubił go bardzo, ozdobił nawet krzyżem wojсковym portugalskim *Tores y spada*. Pomimo tego, po

kampanii został wraz z innymi cudzoziemcami wykreślonym z kontrol armii czynnej; usługami swemi zyskał tylko też same korzyści, z których i Miguelistowskich nie wyzuwano oficerów, to jest: otrzymał połowę żołdu.

Płaca ta, któraby wystarczyła na opędzenie pierwszych potrzeb życia, gdyby była gotowizną wypłacana, nie mogła i na roślinkowanie wystarczyć, gdyż ją wypłacano bonami zabezpieczonemi na przyszłym, a dziś zupełnie próżnym skarbie.

Bony te wypadało więc negocjować z żydami i innego rodzaju spekulantami; rząd przyjmował je napowrót do skarbu, tylko jako podatek gruntowy, a oficerowie w odstawce gruntów nie posiadali.

Na tych bonach straciło się zatem często i połowę wartości. Szczęściem, że się utworzyła kompania bankierska angielska, wypłacająca dwie trzecie wartości tych bon.

Kapitałiści angielscy śmielsi są od innych spekulantów bankierskich; wiedzą bowiem, że czuwa nad ich handlem flaga Wielkiej Brytanii, i że się ta wda czynnie w sprawę, skoro tylko mały jaki kraj zadłuży się głęboko jej kupcom.

Tym sposobem kompania angielska umiała sobie naj-niewinniej zabezpieczyć kilkanaście milionów czystego zysku, gdyż wszystkim pensyonarzom i urzędnikom wypłacano bonami, i wszyscy udawali się po wymianę do tego kantoru, w którym najmniej tracili.

Pan M., nie mogąc wyżyć bonami skarbowemi, ofiarował rzec się zupełnie swój kapitański pensyi, pod warunkiem, żeby mu rząd dał w wieczną posiadłość piękny młyn skonfiskowany OO. Kapucynom, położony nad brzegiem Tagu w bardzo romantyczném położeniu. Na własne prośby kapitana rząd awansował go na młynarza. Młynarz zaś religijny zaprosił do domu swego na kapelana, jednego z Ojców Kapucynów, pozostałych w Portugalii na *peseta de consolaço*, to jest na pensyi rządowej 50 gr. dziennie.

Ojciec Kapucyn, już nie młody, cokolwiek głuchy, a zatem na kapelana arystokracyi niezdolny, przyjął miejsce u kapitana młynarza, który teraz mógł spać spokojnie pod swym dachem, gdyż go strzegła obecność wielebnego ojca przed gniewem szanownych gerylasów, zawsze goto-

wych do płatania bolesnych figlów właścicielom dóbr kościelnych.

Kapitan-młynarz jest najszcześliwszym ze wszystkich legionistów Pedrystowskich.

Nie tak postąpił kapitan artylerji pan D..... Będąc jeszcze w służbie czynnej, ożenił się z ładną, ale ubogą, młodzieuchną Portugalczką. Nasz kapitan miał już lat 40, prócz chlubnych ran i bohaterskich reumatyzmów.

Ta okoliczność, później strata połowy żołdu, wypłacanie jej bonami, skłoniły kapitana do przypomnienia sobie, że i on jest szlachcicem, że i on powinien być dumnym z swego rodu.

Przyjął tedy systemat życia arystokracji. Zamknął młodą żonę wraz z jej matką w domu, przyjął kapelana i abonował się na dziesięć tysięcy sardelów w porcie rybackim.

Czasem tylko, ale bardzo rzadko, wyprowadzał żonę do kościoła, na mszę najrańszą rozumie się; te bowiem są najzbawienniejsze dla duszy i najzdrowsze dla ciała, bo wówczas śpią lwy lizbońskie lub też grają w karty, i nie mogą rozrywać nabożności Portugalek.

Z tej historii dwóch kapitanów dowiedzieliśmy się, że jedna i taż sama bieda może zmusić jednego do demokracji, drugiego do arystokracji.

Dowiedzieliśmy się także, i to jest może ważniejszém, że nie masz w Portugalii możliwości szczęścia i bytu bez kapelana, księdza i mnicha. I to nam tłumaczy rzadkie, zastanawiające zjawisko, że na dziewiętnaście osób świeckich przypada jedna osoba duchowna (a). Tak wielka

a) Liczono w Portugalii 427 klasztorów męzkich i 109 klasztorów żeńskich. Rygor klasztorny nie był wcale surowym w największej ilości tych zakładów, które powinnyby służyć tylko za przytułek prawdziwie powołanym, a nie za sposób życia. Kto jak ja był świadkiem niewymuszoności z popolitością graniczącej, często nawet namiętności niczém niepowściąganéj mnicha portugalskiego i hiszpańskiego, ten nie pojmie wcale, że on może być bratem naszych zakonników, odznaczających się po największej części pokorą chrześcijańską, a zarazem godnością duchowną.

Według najprawdziwszych statystyków, liczba duchowieństwa portugalskiego, wliczywszy w to seminarzystów i sługi kościelne, dochodziła do 200,000. Na czele jego stał Patriarcha w Lizbonie, któ-

konsumcya tego artykułu powinna była przekonać każdego o jego niezbędnej potrzebie, a jednak śmiano targnąć się na klasztory!

Nie braknie wprawdzie jeszcze zakonników. Wydaleni zostali z kraju tylko ci, którym dowiedziono, że czynny brali udział w wojnie, jako podszezwawcze lub zapaśnicy. Inni z własnej woli kraj opuścili, schronili się do klasztorów włoskich, poszli cywilizować dalekie kraje Afryki lub Ameryki. Największa część pozostała, bierze wsparcie od rządu, przytém trudni się kapelaństwem, nauczycielstwem wiejskiem, jeżeli się sami czegoś nauczyli; jakięś nawet czystém rzemiosłem, naprzykład introligatorstwem, stolarstwem, zegarmistrzostwem, jeżeli są pracowici. Niewyświęceni poszli do wojska; dziś już są niektórzy oficerami, gdyż rząd widocznie ich faworuje, kiedy pokazują szczerą chęć pogodzenia się z swym losem.

Wielu także pogodziło się z tym losem, lecz mała do tego przyzna się liczba; pochodzi to z braku zaufania w trwałość stanu rzeczy, a zaprzeczyć nie można, że słabość rządu aż zanadto nieufność tę usprawiedliwia.

Ztémwszystkiém można wyrokować bez bojaźni omylenia się, że gdyby ten stan *niepewności nawet* potrwał jeszcze lat dziesięć, potrzeba tak wielkiej liczby mnichów dałaby się czuć daleko mniej gwałtownie, jak dotąd.

rego dostojęństwo i władzę król Jan V. zdołał wymódz i wyprosić na Papieżu wielkimi wysileniami pracy i pieniędzy. Prócz tego jest trzech Arcybiskupów: w Lizbonie, w Braga i w Evora, mających za Suffraganów dziesięciu Biskupów w Portugalii i koloniach.

Wysokie duchowieństwo posiadało niesłychane dochody; król z nich ciągnął jednakże czwartą część dla siebie. Prócz tego wybierano pod różnemi tytułami podatki dla Papieża, i z nich posyłało mu 2,000,000 złp. rocznie. Później kraj tak podupadł, że nie mógł posyłać Rzymowi ani grosza. Rzym z tej przyczyny nazwał Portugalczyków nędznymi żebrakami i polecił ich modłom wiernych. To było niepolityczném. Portugalczyk zniesie nazwę zbójcy i bezbożnika; epitetu nędznego żebraka nigdy, i do dziś dnia go nie strawił.



## ROZDZIAŁ IV.

CINTRA.—WAROWNIA MAURÓW.—PAŁAC KRÓLA SEBASTYANA.—  
BOM JANA DE CASTRO.—PAŁAC ANGLIKA.—JASKINIA VASCO DE  
GAMA.—ESTALAGEM.—ZOOLOGIA.—MAFRA.—KLASZTOR.—KSIĘ-  
GOZBIÓR.—POLOWANIE NA DACHU.—GOŁĘBIE.—AUGUSTYANIN.—  
TORRES VEDRAS.—CALHARES.—LEYRIA.—COIMBRA.

Pierwszym celem odleglejszych wycieczek była Cintra. Jeżeli jest gdzie w świecie miejsce godne nazwać się krainą czarowną, tém miejscem być musi Cintra. Kto widział raj portugalski, ten wkrótce zapomni Aranjuez, Trianon, Schoenbrunn, a nawet Tivoli.

Pod tém nazwiskiem nie rozumiem ja małego tylko miasteczka; przez Cintra rozumiemy całą krainę, miasto, pałac, domy letnie i wiejskie, lasy, opoki, skały, ruiny zamczyska maurytańskiego, które nagle jak sztuką magiczną stworzone, wpadają w oczy, skoro obejdziemy boki smutnej, dzikiej góry skalistej, przegradzającej widnokrąg jak ściana jaka olbrzymia.

Nie w istocie nie masz smętniejszego, mniej obiecującego, jak widok téj ogromnej opoki ze strony południowo-zachodniej z Lizbony; zdaje się, że ona chce ukrywać Cintrę przed oczami świata; lecz druga strona przedstawia niewyczerpaną widownię czarującego piękna, sztucznej elegancyi, dzikiej wielkości: kopuły, wieże, niebotyczne drzewa, śliczne kwiaty, grotty, kaskady, domy letnie, jakich nigdzie indziej pod słońcem nie znajdziesz.

Oh! są tam dziwne i zachwycające rzeczy w Cintra, a dziwne są i straszne owe pamiątki do nich przywiązane. Ruiny na tym wysokim szczycie skalistym, które strącone nieubłaganą ręką czasu zalegają część téj spadzistej drogi, wijącej się niegdyś jak wąż około opoki; rui-

ny te były dawniej główną warownią luzytańskich Maurów, i tutaj, kiedy księżyc w pełni, a wiatr świszczce od Atlasu, zbiegają się cienie dzikich Santonów, by modlić się na grobie sławnego Marabu, spoczywającego pomiędzy skałami.

W owym szarym, starodawnym pałacu, zebrały się po raz ostatni kortezy, by pożegnać młodego króla Sebastjana, udającego się na romantyczną wyprawę przeciw Maurom, w której znalazł śmierć pod Alcazarquibir.

A w tym skromnym domku wiejskim, stojącym w cieniu wysokich aleornoków, mieszkał niegdyś stary bohater Jan de Castro, vicekról prowincyi Goa, który zastawił wasy syna swego dla uzyskania pieniędzy, potrzebnych mu do odbudowania wałów fortecy, zagrożonej przez Indyan; on to przyniósł z Indjów sceny swój chwały, te walące się głązy, stojące przed domem z głęboko rytymi wierszami Vandy sanskryckiej.

Nad tą zaś cudną, bystrym strumieniem przerziętą doliną, na spadzistości tego dziwnie bujną wegetacją okrytego przedgórza, walą się kształtne posągi i marmury, piętrzą się pęknięte ściany, z których deszcz i słoty nie zdołały jeszcze zmyć lazuru, strącić purpury i cudnych złotych arabesków.

Co mogą znaczyć wabne te ruiny, podobne do ruin teatralnych, lub do chaosu garderoby aktorki podróżującej?

Są to szczątki pałacu wzniesionego kosztem wielu milionów, ręką jednego angielskiego Monte-Christo, który tutaj żywił chimeryczną fantazyę umysłu swego, tak dzikiego, bogatego, pstrego i dziwaczного, jak owe sceny nas otaczające.

W jednym roku stanął cudny pałac, dzięki tysiąca rąk, tysiąca głów wysileniu.

Dwa lata używał Anglik swego raju wesoło i serdecznie; miał z sobą anioła, piękną Andaluzkę z Sewilli.

Lecz anioł ten umarł trzeciego roku; pochował go Anglik w głębi opoki; opuszczając na zawsze pałac swój czarodziejski, prochem go w powietrze wysadził: taki ko-chance pomnik wystawił.

Anglik z swego Monte-Christo zrobił Monte-morto, Francuz ze swego robi Monte-Fiasco, jak mu protekcyę wygnają; wie o tém niestety p. Aleksander Dumas, wła-

snego pierwotworu własny historyograf, i własna kopia nieszczęsna.

Lecz nie tu koniec ruin i pałaców: jest przedmiot, przedstawiający jedno i drugie razem. U podnóża skały, na której szczycie, z po za świerków i sosien wysokich, jeszcze wyższa od nich, dziś może już niższa wygląda wieża; u podnóża téj skały, w trudno dostępném miejscu, leży szereg obszernych jaskiń i podziemnych ganków, wiodących z jednych pieczar do drugich.

Tu w tych jaskiniach długi czas przemieszkiwał sławny Vasco de Gama, i autor Luizyady, wielki poeta Camoens.

Vasco de Gama przez lat blisko dwadzieścia był zapomnianym od króla i kraju, których z bogactw i których potęgę w dalekich ustalił stronach. Rozdawszy wszystko co posiadał pomiędzy towarzyszy dawnéj chwały, walk i zwojów, cofnął się z ich śmiertelnym wieszchem Camoensem do jaskiń Cintra, i zabrał z sobą tylko kotwicę swego statku i sławny ów prom z drzewa korkowego, na którym zapłynął, ratując się przed Indyanami, z Madagaskaru aż do wyspy św. Maurycego (Ile de Bourbon).

Drzewem z promu wysłał wilgotne mury pieczar, kotwicę zaś wkopał w ziemię. Ona służyła mu za godło religijne, za godło nadziei chrześcijańskiej, jedynéj, która pocieszyć zdoła duszę znękaną niewdzięcznością ludzką.

Tam żyli przez lat kilka, bohater i poeta Luizyady; nikt ich nie poznał w stroju pustelników, zarosłych gęstą brodą; żyli zaś mlekiem kilku kóz, chlebem miłosierdzia dusz pobożnych i wspomnieniami dawnéj chwały.

Tu Vasco de Gama miał czas żałować swéj *nieudolności*; jakże bowiem inaczej nazwać ową wiarę, owo zaufanie w własne zasługi, ów wstręt do płaszczenia się, niechęć pochlebiania nieprzyjaciołom, by rozmyślnie nie szkodzili; unikania przyjaciół źle widzianych, by nie szkodzili mimowolnie? Odkrywając i podbijając panu swemu nowe światy, Vasco zapominał, że na starym świecie, skoro się zdarzy prawdziwéj zasłudze osiąść łaskę możnych, pamięć téj zasługi nie wystarczy na utrzymanie się w niej długo.

Cintra! pod pieczęią twych gór i skał, niebotycznych drzew i przeslicznych kwiatów, leżą tutaj zakłète, niewy-

czerpane żywioły smętnych marzeń, głębokich myśli. Leżą zakłete! lecz tknięte różczką poety, żyją od razu, wznoszą się w widzialnych dla niego tylko, lecz pewnych jasnych kształtach, ponad te łąki, góry i niziny, i przeistaczają powabny ten raj ziemski w istne elizejskie pola.

Jeden dzień byłby nam nie wystarczył na sumienne wyczerpięcie tej krainy, ani jako geologom, botanikom, zoologom, ani jako pejzażystom i poetom. Zamieszkaliśmy tedy na dni kilka w małym miasteczku Cintra, zaledwie ośmset mieszkańców liczącym, szczęśliwi, że w jednej *estalagem* (oberży) miasteczka, choć jedna szczupła była izdebka, służyć nam mogąca na nocleg. Przez dzień nie brakło nam miejsca do zachwycania się, i chłodu do odpoczynku; lecz pozostać nocą pod gołym niebem, w kraju przepelnionym rabusiami, byłoby istotnie lekkomyślnością nie do darowania.

Łóżek porządnych niech nikt nie wymaga w środku Portugalii; nie znajdzie ich jak zaledwie w kilkunastu większych miastach. Podróżnemu radzę naśladować nasze postępowanie, to jest: wieźć z sobą sienniki z angielskiego wodotrwałego płótna żaglowego, i kazać je napełnić na noc paprocią, której w miejscach górzystych pełno, lub też liśmi kukurydzy, której znowu w nizinach podostatkiem.

Kto zaś w podróży po Portugalii żadnym sposobem wyrzec się nie może apetytu do dobrego i świeżego mięsa, temu radzę być doktorem medycyny lub filozofii, a przytém zoologiem, i prosić w Lizbonie o pozwolenie dostarczania, z fuzyą na plecach, duplikatów do muzeów królewskich.

Przytém niech się zamiętuje, naukowo rozumie się, w tym rodzaju zwierząt, do którego należą króliki, w Portugalii lepsze daleko od zajęcy; kuropatwy czerwone, kwiczoły, figojadki wyborne tutaj, a jeszcze lepsze w Algarwii, a nawet jarząbki dość często w górzystych miejscach.

W pobliskiej rzece pies fundlandzki pana T..., korzystający bez zachęty nawet z każdej sposobności popisywania się z swym talentem nurkowania, upolował piękną wydrę, której wypchaliśmy skórę, a zjedli mięso, wcale dobre w sosie niebieskim, sporządzonym z winem, cytryną i korzeniami.

Płody naszych naukowych badań, nietylko nam samym wystarczały, ale nas jeszcze często stawiały w możności częstowania zwierzyną i gospodarzy oberży, i gości nawet; co nam wszędzie zjednywało Portugalczyków, w ogólności bardzo podejrzliwych, cudzoziemcom nieprzyjaznych, lecz czułych na grzeczności i znających się na postępowaniu kawalerskiem.

O dwie dobre mile geograficzne na zachód od Cintra, leży Mafra. Największa część drogi pełza po szczytach i spadzistościach gór, i jest nie tylko uciążliwą, ale nawet prawdziwie niebezpieczną dla podróżnych.

Muły zaledwie iść chciały, przewodnik zaś nasz nie mógł wymóżyć na swym osle jednego kroku naprzód, bez ciągnięcia go za ogon w tył. Wówczas osieł, mniemając że na przekór robi, szedł naprzód różnym krokiem i wesoło strzygł długimi uszami. (Wielu jest ludzi podobnych do tego osła.) *Muły i osieł nie chcą iść naprzód*

Mafra jest obszerną wsią, położoną w pobliżności niezmiernego budynku, mającego służyć za klasztor i pałac królewski, a wzniesionego niesłychanym kosztem przez Jana V., cokolwiek na wzór Eskuryalu hiszpańskiego.

Strachowi Filipa II. świat winien oryginał; próżności Jana V. świat winien kopię.

Gmach ten ogromny, długi na 800 stóp i na tyleż szeroki, ozdobiony piękną kopułą, dwiema wysokimi wieżami, czterema imponującymi bastyonami,—tworzy kwadrat. W nim znajduje się najpiękniejsza biblioteka Portugalii, zawierająca do 100,000 ksiąg i manuskryptów we wszystkich rodzajach nauk i języków, i bardzo odpowiadająca wielkości i świetności budynku.

Lecz nie było już Augustyanów, pilnujących niegdyś tego szacownego księgozbioru; wygnano ich razem z innymi mniej godnymi mnichami, dlatego, że zanadto brali udział w sprawach politycznych kraju, zanadto wiele nienawiści w ludzie zaszczepiali. Wielu z nich poszło do Hiszpanii służyć pod sztandarami don Carlosa, kilku mogło pozostać w kraju jako nauczyciele wiejscy i kapelani, lecz kilku niestety poszło w góry pomiędzy bandytów.

Cały budynek powierzony był pieczy trzech czy czterech sług królewskich, w dość niedbałym stroju.

Zwiedziwszy klasztor i kościół, który, pomimo że skarbiec do Lizbony zabrano, dziś jeszcze posiada wiele kosztowności i kilka pięknych malowideł, weszliśmy na wysoko umieszczone a płaskie dachy budynku, z kądem widok na bliskie morze, na dzikie góry bardzo piękny.

Na tych dachach, obszernych jak cztery place publiczne, komunikujących się z sobą gankami okrążającymi bastiony, cztery bataliony żołnierzy wygodnie mogłyby maszerować. Spłoszyliśmy tu chmary gołębi, gnieźdzących się w licznych kominach, z których się oddawna już nie kurzy. Gołębie te pół dzikie, pół swojskie, większe były od turkawek, ciemno-ceglastego koloru, i wszystkie prawie jednaki.

Nasze *espingardy*, to jest dubeltówki portugalskie z długimi lufami, nigdy nas nie odstępowały; trudno było oprzeć się pokusie. W imieniu zoologii i pod zastłoną firmanu, zaczął się na dachach klasztoru okropny ogień rotowy, jakiego przybytek ten nigdy nie był świadkiem. Gołębie ruszone, wysuwając się z kominów, padały pojedynczo; potem wzbity się nigdy niewidzianymi chmarami w powietrze, i krążyły nad dachami gmachu. Sokoły, których tu także pełno, czyhały na zdobycz i uderzyły na nią z wysokości obłoków. Gołębie, z dwóch stron zagrożone pazurami i szrótęm, wróciły strwożone całą chmarą do kominów: tuśmy je przyjęli sześcioro wystrzałami i okropną sprawili rzeź. Przeszło sto gołębi padło ofiarą naszej miłości do nauk. Wszystkie muzea europejskie można było uszczęśliwić egzemplarzami gołębia portugalskiego. Częścią zdobyczy udarowaliśmy sługi królewskie, których łaknące fizyognomie rozweseliły się bardzo przyjemnie dobrym rezultatem naszego polowania.

Tuzin cały posłałiśmy nauczycielowi wiejskiemu, dawnemu zakonnikowi Mafry. Rozpłakał się z rozczulenia na widok dawnych pensjonarzy, pielęgnowanych z taką pieczołowitością przez zakonników, a zjadanych przez nich tylko w stanie pierwszej młodości, za pośrednictwem kominarza. Ale oddał sprawiedliwość naszej grzeczności i krzyknął: »Oto widzicie! heretycy litują się nad mym losem, a właśnie rodacy Portugalczycy! *proh dolor!*«

Trzeba wiedzieć, iż heretykami nazywają w Portugalii każdą, kolorem włosów i twarzy do Anglików zbliżoną istotę ludzką lub zwierzęcą.

Małpy owe z blademi włosami i wygolonemi twarzami, zwane *koty morskie*, Portugalczycy nazywają heretykami.

Część zaś gołębi, gdyż o nie tutaj głównie idzie, kazaliśmy w estalagem upiec, usmarzyć, ugotować i zpotrawkować, to jest na cztery sposoby przyrządzić. Na improwizowaną ucztę zaprosiliśmy wielebnego nauczyciela wiejskiego, i wielu innych, każdego nawet, kto chciał w niej przyjąć udział. Wina nie brakło; cała butelka stołowego wina kosztowała pięć groszy polskich, a starego przechowanego i pieczętowanego, groszy dwadzieścia, lecz to istotnie było za mocne na użytek zwyczajny.

Książd professor rozwodził się z swemi żalami, utyskiwał na zepsucie ludzi, na bezbożność świata, na biedę i na konstytucję. Wypytywał się nas, co tam słyhać ze strony Hiszpanii. Odpowiedzieliśmy, że źle słyhać; że don Carlos straciwszy najlepszego swego generała, bohaterskiego Zumalacarreui, nie postępuje naprzód, i że, pomimo wszystkich wysiłen krajowych i zagranicznych, będzie zapewne musiał uleść i zrzec się korony.

»Tak, tak, odpowiedział, to jest prawdą, niestety aż z nadto wielką prawdą; będzie on musiał uleść duchowi czasu, złemu duchowi czasu. Cóż robić? ale wszędzie są dobrzy ludzie i tu ich nawet znajdujemy,« dodał ze szczerą grzecznością, podając nam tabakierkę.

Tabakierka jest gałęzią oliwną dla Portugalczyka; kto sobie życzy być w dobrych z nim stosunkach, niechaj w tej chwili uroczystej głęboko zatopi swe palce w miłym, pulchnym proszku, i serdecznie wciągnie go w nozdrze.

Wkrótce byliśmy, jak to mówią, w najlepszej komitywie z sobą. Jakże nie żałować człowieka, który zestarawszy się w pięknym, wygodnym, zamożnym klasztorze, musiał w sędziwym wieku opuścić go, i aby nie umrzeć z głodu, uczyć dzieci wiejskie abecadła? Na taki widok serce się kraje, na taki widok przyznać trzeba, że prawa ludzkie, choćby były najsumienniejszemi, nie zdołają nigdy przewidzieć wyjątków, i częstokroć niewinnego ukarzą z winnemi.

Około wieczora pożegnał nas biedny Augustyanin, nie szczędząc błogosławieństw; my zaś wróciliśmy do Cintra, spiesząc się, aby nas noc nie zaskoczyła na zdradliwych przepaściach gór.

Dodać winniśmy, że sumienni przedewszystkiēm, posłaliśmy cztery egzemplarze gołębia augustyańskiego, wypchane w czterech najwięcej interesujących pozycjach, do muzeum królewskiego. Do tego dołączyliśmy opis zoologiczny i sposób skłonicnia indywiduów do służby naukowej.

Od tego czasu weszły w modę polowania na dachach Mafry, o których wprzód ani wyobrazenia nikt nie miał.

Drugim celem wycieczek naszych była Colhares, przedudna wioska, w najromantyczniejszēm położona miejscu.

W Colhares mieliśmy sposobność poznania się z oficerem, dowodzącym eskortą wojskową, daną znacznemu jakiemuś »Titulado« (a) z Coimbrzy do Lizbony jadącemu, a wracającą teraz do Coimbrzy. Lepszej sposobności dostania się do Coimbrzy, odległej jeszcze o piętnaście mil geograficznych od Colhares, życzyć sobie nie było można; puszczać się bez eskorty byłoby szaleństwem w tym kraju, tyle niepokojonym od gerylasów, codziēn zakrwawionym pozogami i mordem.

Zawsze gotowi do podróży, a zatē wszystko z sobą noszący, puściliśmy się na całą noc do Alenquer, a tu spocząwszy, przez góry portugalskie Estremadury do Leyry. Santarem zostawiliśmy na prawo. Leyra czyli także Leiria, leży w pośrodku najpiękniejszego lasu oliwnego. Starodawne to miasto, jeszcze przez Sertoryusza na sto blisko lat przed Chrystusem założone, jak świadczą znajdujące się tutaj pomniki, dziś jeszcze zachowało niektóre ślady dawniej swęj wielkości, mianowicie groźny zamek, katedrę biskupią i część dawnego pałacu króla Dyonizego. W bliskości znajduje się wielka fabryka szkła, zwana *Marinia grande*. Mieszkańców pozostało do 3,000.

W Leiria zostawiliśmy eskortę piechoty znuzoną pochodem, korzystaliśmy z rzęźwości naszych mułów i ze zdarzonej sposobności podróżowania dalej pod zastłoną

a) Tytuł wyższej szlachty, odpowiadający grandowi hiszpańskiemu.



eskortującą kasę wojskową, i tak w niespełna 30 godzinach odbyliśmy przestrzeń piętnasto-milową: niesłychany pośpiech w tym kraju, w którym drogi są złe i niepewne, w którym w dzień dla gorąca, w nocy zaś dla ciemności, częstokroć nawet i zimna, trudno podróżować z szybkością.

Coimbra sławna jest uniwersytetem, założonym przez króla Dyonizego roku 1291. Będąc jedynym tego rodzaju zakładem, cieszył się ten uniwersytet aż do najnowszych czasów licznymi uczniami; lecz urządzenie jego i wsteczny duch profesorów, nie pozwolił krajowi odnosić z niego owoców, odpowiednich ogromowi zakładu, kosztem wyłożonym na zakupienie książek, aparatów, zbiorów różnego rodzaju. Ducha wyższego naukowego nie było pomiędzy profesorami, należącymi przedtém, z małym wyjątkiem, do stanu duchownego; gdyż istotnie przed kilku jeszcze latami, prócz profesorów anatomii, medycyny praktycznej, chirurgii i akuszerji, wszyscy inni profesorowie medycyny byli duchownymi. Pięćdziesiąt trzy katedr uniwersytetu uważano po prostu za sposób zapewnienia losu pięćdziesięciu trzem księżom. W liczbie tych byli i godni posad mężowie, lecz ogół zupełnie nie odpowiadał celowi; nie umiał wznieść w młodzieży żadnego zapału do nauk, żadnej nawet iskierki zajęcia naukowego. Najpilniejsi uczniowie uczyli się na pamięć z kajetu spisane go za profesorem, który, aby mu towar wystarczył na długo, dyktował go poprostu wolno i ku największej dla słuchaczy wygodzie.

Półroczce trwało cztery miesiące; potem następowały egzamina półroczne, na które młodzieniec, jaką taką obdarzony pamięcią, mógł się przygotować w dziesięć dni, nie słuchając nawet kursów, i wyjść z niego z *eminencyą*.

Uczniowie tępi chodzili regularnie na kursa i tęp starali się zyskać względy profesorów podczas egzaminu, i, choć nie nie umieli, otrzymywali *eminencyę* w nagrodę cierpliwości.

Drugie półroczce, następujące zaraz po egzaminach, trwało także tylko cztery miesiące, potem szły egzamina przez dni piętnaście, później wakacje na miesiący trzy, podczas których żaden uczeń ani ruszył książki, bo jój dla wysokiej ceny książek naukowych portugalskich kupić nie mógł,

ani też kajetu, bo go przecież kiedyś doskonale na pamięć umiał.

Nauka seksternowa, znana niestety aż zanadto dobrze, wyrodziła tu między młodzieżą dwa główne rodzaje typów seksternowych:

1) Owych zarozumiałych mędrców z tępemi i ciężkimi głowami, którzy wysiliwszy całą swą pamięć, przewlekli się jak ów żółw przez wszystkie kursa i egzamina, a złożywszy ostatni, ani jednej chwili nie przypuszczają, że nie są w posiadaniu wszystkich a wszystkich nauk, potrzebnych im do dostąpienia doskonałości w swym zawodzie; owych doskonałych ludzi, gardzących wszelką nauką, która w ich kajecie miejsca nie miała.

2) Owych w wartość żadnej nauki nie wierzących, weześnie wyzwolonych filozofków, którym, dzięki dobrej pamięci, łatwo było nauczyć się tyle, ile koniecznie potrzeba do przebrnięcia przez egzamin, a dzięki płochości charakteru, łatwo było zapomnieć tyle, ile umieli. Ci stanawszy u kresu, wiedzą w głębi duszy, jak mało umieją, a nie mając wyobrażenia o wyższości umysłowej, do jakiej się przez prawdziwą naukę wznieść można (tój bowiem przykładu nigdy nie widzieli), uważali naukę w ogólności jako rzecz chimeryczną, konwencyonalną, wymyśloną tylko dla utrudzenia dostępu do miejsc ludziom niezdolnym, do wydatkowania czasu i pieniędzy, dla dania sobie jakiego takiego wychowania.

W mniemaniu tych, świat należał do najzręczniejszego, a Voltaire, w swych najmniej dobrych częściach pojęty, był ich Bogiem.

Dwa te typy wyradzają się jako zjawiska naukowe z niezliczonej liczby odcieni, zawartych pomiędzy tępemi próżniakami, a pracowitemi i zdolnymi uczniami. Ci właśnie są najwięcej do pożałowania, a to dla dwóch różnych przyczyn, spowodowanych jedną i tą samą fatalnością.

Nie masz zaiste nieszczęśliwszego stworzenia na świecie, jak młokos niezdolny zapracować czémkolwiekbyż na swe utrzymanie, a porywający się do udziału w sprawach kraju.

A tych młokosów znajdziemy właśnie w dwóch na ostatniem miejscu wyliczonych kategoriach: pomiędzy najzdolniejszymi i najtępszymi.

Zdolny uczeń, nie żywiony dzielną, sumienną i na szeroką skalę zakrojoną nauką, nie uczuje się dostatecznie zadowolonym, zatrudnionym w swym duchu; a nie będąc oczarowanym naukami, wpadnie pomimowolnie na szalony pomysł zatrudnienia się *czynem*, i złąd niepowściągliwa żądza brania udziału w polityce.

Tępy zaś próżniak, sam siebie w gruncie serca potępiający, z największą ochotą da się użyć do wszystkiego, co tylko gnusność jego fałszywym pozorem politycznego niezadowolenia uszlachetnić może, i służy za wykonawcę szalonych pomysłów głów zdolniejszych.

Słowem, co jeden czyni z braku zajęcia umysłowego, odpowiadającego zdolnościom, i podniecany źle zrozumianą poczytą, to drugi czyni z braku rozumu i chęci nabycia go; a obaj grzeszą, szafując życiem, któremu żadną pracą i prawdziwą praktyczną umiejętnością wartości nie nadali, a grzeszą jeszcze więcej, zmuszając do przedwczesnych działań ludzi świata potrzebniejszych.

## ROZDZIAŁ V.

MIASTA UNIWERSYTECKIE.—COIMBRA.—DON PEDRO.—WIEŚNIACY.—KOWAL Z PRZEDMIEŚCIA COIMBRY.—DON MANOEL ERICEYNA.—PROFESSOR WETERYNARYI.—LEONOR.—CHARAKTERYSTYKA NARODÓW.—HISTORIA DON MANOELA.—DON JAIMÉ.—REKTOR UNIWERSYTETU.—KLASZTOR.

---

Miasta uniwersyteckie, szczególnie miasta mniejsze co do obszerności i ludności, mają dla mnie bardzo wiele uroku. W nich bowiem najlepiej, najżywiej się objawiają skutki ruchu umysłowego młodzieży uczącej się myśleć, w nich odbija się jak w najczystszym zwierciadle objaw stopnia czujności, do jakiego dojść może czucie terażniejszości i przeczucie przyszłości.

W miastach stołecznych, w miastach bardzo ludnych, ognisko naukowe, ognisko umu i działalności umysłowej, nie jest tak skupionem i świecącym, żeby mogło oddziaływać swemi promieniami na wszystkie otaczające przedmioty. Dlatego też Coimbra, to małe miasto, zawierające w swych murach zakład naukowy przez dobrego króla założony, a od sześciu wieków żywiony skarbami bogatego niegdyś kraju, rozumem zdolnego bardzo narodu; Coimbra, mówię, miała wiele bardzo dla mnie wartości.

Coimbra, niegdyś stolica królów Portugalii, stała się później stolicą jej światła, i wielki wywierała wpływ na losy kraju.

Dziś, dzięki nowej reorganizacyi, wielki zakład naukowy wyszedł z pod opieki owych ojców, w których rękach zdolności młodzieży stawały się najczęściej zgubnemi dla ludzkości. Dziś się tutaj najpiękniejszy dar boski swobodniejszego doczekał rozwoju; i człowiek, któremu niegdyś nakazywano wierzyć, że największym jego nieprzyjacielem

jest rozum, ubolewa dziś nad łatwowiernością swych przodków i tylu wieków w błędzie strawionych.

Klassie uboższej narodu ułatwiano przystęp do niewyczerpanych krynic nauki i światła.

Teraz i rolnik wie, czém jest uniwersytet, i nim się interesuje. Nie jeden ma syna lub krewnego na ławkach wszechnicy, i dumnym jest z tego, że go od czasu do czasu może oglądać, podczas uroczystości akademickich, ubranego w długą togę, zasiadającego jako *civis reipublicae litterariae* w birecie na głowie.

Don Pedro postanowił, aby świetne muzea Coimby stały w niedzielę otworem, nietylko dla wykwintnej fraczkowej i koronkami obszytej publiczności, ale i dla wieśniaków, skromnie, lecz czysto przybranych.

Uczniowie słuchający kosztem rządu nauk przyrodzonych, winni kolejno pełnić służbę *ciceronów* w tych muzeach, i tłómaczyć wieśniakom znaczenie i użytek aparatów, machin i preparatów. W każdym z oddziałów muzeum znajduje się także jeden z młodych doktorów, repetycyę wykładających, dla pilnowania, aby uczniowie, zawsze gotowi do żartów i figlów, nie durzyli chłopa, i młodych wieśniaczkę nie bałamucili w podwojach do nauki przeznaczonych.

Trudno sobie wyobrazić, ile dobrego z tego osvajania niższej klasy narodu z światłem i czynnościami świetnej wszechnicy wypływa. Wieśniacy przybywają chmarami o kilka mil czasem do Coimby, i wysłuchawszy mszy i oczyściwszy się z kurzu, przebiegają wolno i z rozważą pyszne muzea, znajdują tam dla siebie rozwiązanie nie jednego pytania, którego częstokroć i sformułować nie są w stanie; czerpią tam zachęcenie do kształcenia własnych dzieci, do wspierania szkółek wiejskich, tej pierwszej najpotrzebniejszej instytucji każdego ucywilizowanego kraju.

Przytém wieśniacy przekonując się, jak dla dobra nauk może być użytecznym każdy numizmat, każdy odłam starożytnego marmuru, każdy szczątek zbroi, każde rzadkie zwierzę; znoszą nieraz do muzeów w darze bardzo ciekawe rzeczy, i dumni są z tego, że ich nazwiska bywają umieszczone pomiędzy dobroczyńcami zbiorów, w corocznie drukowanych sprawozdaniach wszechnicy.



Sumiennie zaręczyć można, że uniwersytet lizboński znajduje się znowu w położeniu bardzo sprzyjającym korzystnemu dla kraju rozwojowi. Liczba katedr powiększyła się nawet, mianowicie w fakultecie lekarskim, którego pięć oddziałów, to jest: medyczny, chirurgiczny, obstetryczny, farmaceutyczny i weterynarski, cieszą się szczególną opieką nie tylko rządu i rektora, ale i publiczności, przykładającą się z własnego natchnienia do pomnażania funduszów fakultetu.

Szczególnemu zbiegowi okoliczności, oddział weterynarski był winien utworzenie jednej katedry, jaką dotychczas tylko szkoła weterynarska w Alfort pod Paryżem posiadała.

Szczególnemu także zbiegowi okoliczności winni byliśmy poznanie i zaprzyjaźnienie się z nowym professorem. Opowiem tok całej rzeczy; opis jej przyłoży się wiele do charakterystyki interesującego kraju Luzytanów, téj zanadto mało znanéj i zanadto często spotwarzanéj ziemi.

Dochodząc już do miasta, bogatego w kościoły i wysokie wieże, tak, jak srogo nawiedzony Kraków, spostrzegliśmy, że muły nasze potraciły kilka podków podczas nocy, na nierównych i skalistych drogach. Stanęliśmy zatem na przedmieściu lizbońskim Coimbry, w małej ale schludnej gospodzie, obok której wznosiła się piękna murowana kuźnia, ozdobiona wizerunkiem św. Aloizego, patrona kowali.

Wstępujemy do gospody dla pokrzepienia się szklanką wina, i zwyczajem w Portugalii przyjętym, pijemy zdrowie przytomnych. Pomiędzy gośćmi znajdował się człowiek z twarzą męską, przystojną, z czołem otwartym, około czterdziestu lat mający. Mężczyzna ten ubrany był ubogo i niechędogo, w koszulę grubą zasmoloną, z pozawijanemi w górę rękawami, tak, że odstaniały całkiem muszkularne jego, silne, okrągłe, ale także zasmolone ramiona.

Przytém miał wielki fartuch z grubéj, gdzieniegdzie wypalonej na wylot skóry, i nosił owe spodnie, które w braku szelek często zlatywały z bioder, i bezustannych wymagały przywoływań do porządku. Na granatowo-czarnych kędziorach powiewała jaskrawo-czerwona chułka.

Z opisu ubioru używanego przez ojca Wulkana, niestety za nadto mało o swój ubiór dbającego, poznać można łatwo, że nowy nasz znajomy był kowalem.

—*O Senhor ferrador sine dubita?* (Pan kowal bez wątpienia?) zapytał grzecznie nasz towarzyszy p. Teofil.

—Do usług pańskich!—odpowie grzecznie, ale z powagą, senhor ferrador.

—Muły nasze pogubiły podkowy i pokaleczyły sobie kopyta; prosilibyśmy, żeby je przekuć, nim na ten bruk krzemienisty miasta Coimbry wejdą—mówił dalej p. T.

—Dobrze, chętnie panie, ale po śniadaniu. Zdrowie pańskie i w ręce pańskie—odpowie znów ze swobodą kowal, podając panu Teofilowi szklankę.

Odmówić, byłoby nieprzyzwoitością, ubliżeniem, wystawieniem się na wielkie nieprzyjemności.

Szklanka wałęsa się tedy od jednego do drugiego gościa, i wraca próżna do senhora ferrador.

—Panowie mułami podróżują? gdzieś zdaleka zapewne przybywają?—pyta kowal.

—Tylko z Lizbony, ale nie prostą drogą: często zbaczamy, nie opuszczamy żadnego miejsca godnego widzenia, żeby i najgorsze doń prowadziły drogi. I dlatego używamy mułów a nie koni, wygodniej dla jeźdźca chodzących, ale nie dość wytrzymałych i daleko więcej wymagających starań.

—Bardzo słusznie—odpowie kowal;—muł na to stworzony, żeby księży i uczonych dźwigał. Widzę bowiem, żeście państwo uczeni: wnoszę to z puszek blaszanych do herboryzowania, z ksiąg do siodek przytroczonych, z worczków muślinowych do łapania motylów, i z fizygnomii tego pana, który niezawodnie pochodzi z Niemiec, z ojczyzny wędrujących uczonych—dodał kowal patrząc na Dra Lange, i kłaniając się lekkiem skinieniem głowy.

—A tak, Niemiec, ani słowa—odpowiedział zagadniony, rumieniąc się nie wiem czemu. \* Szczególna rzecz, że żaden Niemiec z swęj narodowości nie jest kontent.

—Oh!—mówił dalej senhor ferrador z pewną przesadą—Oh, *nostra alma mater Conimbriga* sławna jest na świat cały i wiele do siebie przyciąga uczonych z różnych stron ziemi. Teraz służę panom, chodźmy zrobić inspekyę tych kopyt.

*Nostra alma mater Conimbriga!* powtarzam sobie w myśli, to jest jakiś klasyczny kowal: musiał widać kuć pegaza uniwersyteckiego.

Senhor ferrador, obejrzawszy kopyta naszych mułów z miną tak doktorską, na jaką się tylko lekarz III. klasy zdobyć może, rzekł o jednym:—*fissura cornu mediana cum bifurcatione ad latus*; o drugim: *inflammatio matricis cornu cum ulcere tarsi*; *cauterisatio et balnea necessaria*; o trzecim: *fissura simplex lateralis*. Trzy różne deformacje kopyt, moi panowie, wymagające trojakięj formy podków, zastosowanych do natury choroby. Ale zrobimy tu podług naszego zwyczaju: *cito, tuto et jucunde*, tak jak nasz ojciec Hippokrates zaleca.

Na te słowa Dr. Lange otworzył oczy jak stajenne wrota; pan Teofil nie rozumiejąc łaciny, powiedział pod nosem: *Sacré charlatan, qu'est-ce que tu me f...la?* Ja zaś cieszyłem się, zwyczajnie jak z każdej oryginalności.

—Dalej Pablito, do miecha!—krzyknął uczony kowal, zadowolony ze sprawionego wrażenia. —Dalej, dmuchaj co masz sił!

I wówczas Wulkan nasz wsadził w rozżarzone węgle kawał nowego żelaza, i zaczął kuć z taką szybkością, że w minutę podkowa jedna była gotową. Jak żyję nie widziałem takiej szybkości przy podobnym dziele. Niekształtny kruszec przybierał po każdym spadnięciu młota nową, do podkowy więcej zbliżoną postać. W dwóch rozgrzaniach podkowa była urkutą i dziury w niej wybite; pasowała jak trzewik warszawski. Rzecz prawdziwie nadzwyczajna!

—*C'est St. Eloy en personne!*—krzyknął teraz pan Teofil, kawalerzysta urodzony.—*Je n'ai jamais vu rien de mieux et de plus vite fait, ma parole d'honneur!*

W mgnieniu oka podkowa była przybitą na zebrane wprzód kopyto. Muł, dotychczas kulający, boleścią dręczony, zaczął teraz weselęj spoglądać.

Przekucie oddało mu duszę, tak jak owemu elegantowi, gdy zdejmie swe lube, ciasne buty, dając mu nogę dziecka, a wyraz twarzy opętanego.

Wulkan spozierał na nas czasem z pod zmarszczonych brwi, a spostrzegłszy nasze zdumienie, zagrzany dumą, jeszcze z większą zręcznością wykonał drugą i trzecią podkową.



—*Bravo, bravissimo, o senhor ferrador!*—krzyknął znów towarzysz kawalerzysta;—ty jesteś pierwszym kowalem świata, nikt tobie nie wyrównał nigdy, ani nawet święty Aloizy; jemu trzech ogrzewań potrzeba było do ukućcia podkowy.

—I na anatomii podkowy nie znał się wcale, mój panie—dodał nasz Wulkan.

—A więc panowie nie wiedzą kto ja jestem, kiedy się tak nadzwyczajnie dziwią? Muszę się tedy sam przedstawić. Ja jestem Manoel Eryceyra!—rzekł z godnością kowal, opierając się o filar kuźni.

—Bardzo nam przyjemnie znać twe nazwisko, o senhor Manoel Eryceyra—odpowiedzieliśmy.

—Ja jestem Manoel Eryceyra, professor uniwersytetu Coimbrzy!—rzecze raz jeszcze nasz kowal z coraz większą godnością, a w tonie mowy przebijało się cokolwiek niezadowolonia.—Jakto! panowie uczeni jesteście, a o mnie nigdy nie słyszeliście?

—Professor uniwersytetu, kowal, i professor w Coimbrze—rzecze do siebie półgłosem pan Teofil, skupiając w ściśnionych brwiach całą swą pamięć.—*Ha, parbleu!* Don Manoel Eryceyra, professor weterynaryi, dawny weterynarz sztabu głównego cesarza Don Pedra?

—Ah, przecież!—rzecze zadowolony professor.—Przecież sława moja choć do Paryża doszła; widzę bowiem, żeś pan Francuz, wnioskuje to z częstych bugrów, parblów i crenondediów. Tak jest, jestem istotnie tym samym Manoelem Eryceyra, czyli raczej tym samym Don Manoelem Eryceyra, bo jak się pan dokładnie wyśłowił, tytuł Dona, Dominusa przez abrewiację, należy mi się tak, jak każdemu graduowanemu obywatelowi Rplitej literackiej.

—Ah! drogi panie professorze!—rzecze pan Teofil z niezwykłym zapałem—jakie szczęście, żeśmy się tak niespodzianie poznali! A przecież twe nazwisko głośnie na całą Europę. Powiedz tedy professorze najprzód, cośmy ci winni za przekucie mułów, a potem rącz z nami wypić butelkę szampana, doskonałego szampana; wieziemy go jeszcze z Lizbony.

—Od kolegów podróżujących w celu naukowym nie mam zwyczaju przyjmować zapłaty za opatrzenie ich *mon-*

*turas* (a); ubliżałoby to méj godności. Na ochłodzenie się szampanem zezwalam, pod warunkiem, że się *pokrzepicie* u mnie w domu, ot naprzeciwno, szklanką mego Oporto, które spodziewam się warto także wieźć ztąd do Paryża, a może i dalej. Radbym mieć zaszczyt zaznajomienia się bliżej z kolegami tak dystygowanymi i uczonymi.

I my także pragnęliśmy gorąco poznać w prywatném życiu sławnego w całej Portugalii kowala, który się wyniósł prosto z kuźni na katedrę uniwersytecką, i godzien był swego pięknego losu i swéj czystéj sławy, pomimo próżności, którój całkiem, jako człowiek prosty, utaić nie zdołał.

Idziemy tedy do domu profesora, rozporządziwszy, żeby nam przewodnik przyniósł cały zapas szampana, znajdujący się w jukach. Kowal zaś wychodząc z kuźni, następującą dał półgłosem instrukcyę chłopakowi od miecha. Ja ją podśłyszałem, i jako sumienny i niedyskretny podróżny, podaję publiczności.

»Pablito!« mówił tedy kowal do swego miechodmucha półgłosem. »Pablito! zawołaj Benedykta, niech mnie wyręczy *w laboratorium* (to jest w kuźni), i powiedz każdemu mnie potrzebującemu, że Don Manoel Eryceyra jest na konferencyi z trzema uczonymi, którzy przybyli go odwiedzić z trzech odległych krajów. Pablito! pamiętaj co ci mówię: Don Manoel Eryceyra jest na *konferencyi* z trzema *uczonymi*, przybyłymi z trzech różnych *cesarstw* świata. Słuchaj! jeżeli się na jedną syllabę pomylisz, potrzaskam ci ręce i nogi podług mego zwyczaju,« dodał professor grożąc pięścią chłopakowi.

Wchodzimy do domu kowala, do wcale porządnie utrzymanéj stancyi.—»Spocznijcie panowie nieco w tym pokoju, ja tymczasem oddalę się na chwilkę: zapiszę lekarstwo dla jednego z mych pacjentów, i zmienię ubiór«—proś gospodarz.

Siedliśmy na lekkich, ryżową słomą wyplatanych krzeselkach, w bieluteńko malowanym pokoju, na którego ścianach wisiały wizerunki koni różnych ras i narodów.

a) Montura po portugalsku i hiszpańsku znaczy to samo, co monture po francuzku, to jest bydlę, na którym się jeździ.

W szafach leżały za szkłem preparaty anatomiczne, narzędzia weterynarskie i podkowy tureckie, brazylijskie i angielskie.

—»Leonoro! Leonoro!—zawoła znów do swęj córki professor w przyległym pokoju—weź tę receptę i biegnij z nią do tego pasztetnika, co to posiada owego siwego dychawicznego konia. Powiedz mu, że mam kupca na jego szkapę, że przyjdę z nim około wieczora. Tymczasem niech da szkapie to lekarstwo, żeby się zaraz przy próbie z swą dychawicą nie zdradziła. A pasztet kaź sobie dać jaknajlepszy i największy, pasztet z przepiórek i kuropatw, bo mam u siebie trzech uczonych, z trzech sławnych uniwersytetów różnych części świata, ludzi wysokiego rodu, rozumiesz? a pasztet niech będzie dobry, bo inaczej szkapy nie sprzedam. Słuchaj Leonoro, nie gap mi się po ulicy, i nie daj się zaczepiać studentom, bo cię wsadzę do klasztoru i różgami każe oćwiczyć w przyszły piątek. Żartować nie jest moim zwyczajem, ani systematem, ani metodą: o tém wiesz dobrze. Dalej! ruszaj galopem!«

Wkrótce zjawił się professor Eryceyra, czysto przebrany. Wyglądał porządniej niż wszyscy professorowie filologii, przystojniej niż professorowie matematyki. Hiszpanie i Portugalczycy, nawet najniższych stanów, nie przybierając od urodzenia żadnego układu, żadnych porużeń uniżoności, wyglądają jak gentlemani, skoro się ubiorą jak gentlemani.

Nie tak wszędzie bywa! gdzieindziej zdradzi się niewolnik i pod pokrywą wielkiego pana.

—Jestem na wasze usługi *cari illustrissimique collegae*. Ha! już i ta francuzka limoniada na stole; dobrze, ochłodźmy się tym trunkiem, ale wkwaterujmy ją wprzódy w głąb studni na dziesięć minut, boby chybiła celu.— Tak się wystowił Don Manoel, siadając przy nas.

Pan Teofil, tknięty pogardą, z jaką kowal portugalski śmiał już wprzódy mówić o najpiękniejszym utworze Francyi, kazał podać cały zapas szampana nam pozostający, to jest cztery butelki, aby spoić, jeżeli będzie można, pogardzającego Francją Portugalczyka.

I to nam się przecież udało. Gość rozgrzany pił lekkiego na pozór szampana jak wodę, i łatwo w nim za-

smakował, gdyż obawiać się jego ani myślał, ani też spostrzegł, żeśmy mu dwa razy więcej niż sobie nalewali.

—A to nie zły trunek!—powiedział nareszcie—i nie tak mdły jak limoniada. Widzę, że obmówiono szampana, i przepraszam go jaknajuroczyściej niniejszém. Widzę, że możnaby wyżyć we Francyi, gdyby reszta produktów mogła się mierzyć z szampanem.

Już nasz gospodarz był w niezłym humorze, kiedy przybiegła Leonora z paszulem. Piękne to trzynasto-letnie dziecko Luzytanii, cokolwiek śniade, ale oka tak długiego, tak żywego i myślącego razem! Kolor jęj źrenicy był brunatny, ciemno-brunatny, połysku najdelikatniejszego aksamitu; rzęsy długie, jak włosy pędzelka, tworzyły naturalną umbrelkę na te prześliczne oczy, a w poruszeniach powieki tyle było uroku i życia, ile w całym ciele zapaśniej limfatyczki nie masz od kolebki aż do grobu.

W prostém była ubraniu: w czystej koszulce, wzdymającej się już bardzo znacznie w najroskoszniejszych zarysach w dwóch miejscach; w spódniczce wiszącej na biodrach pod talią wciętą, giętą, okrągłą jak kielich tego kwiatka, co go dzwonkiem nazywamy; żadnego przylém gorsetu: na nogach w białą pończochę obleczonej, nosiła płyciuteńkie trzewiki. Taki był cały ubiór młodej Leonory; tylko wychodząc z domu brała ów ni-znośny płaszcz brunatny, który z najpiękniejszej dziewczyny robi brzydkiego mnicha.

Leonora miała wiele dowcipu. Wdałem się z nią w rozmowę i zaraz w parę minut zaczęła mi opowiadać, jak cudne znajdują się spacerki w Coimbrze, jakie *quintas*, i jak powabna owa *quinta dos enamorados*, ten ogród rozkochanych, gdzie niegdyś żyła i kochała owa prześliczna Inez de Castro, którą król-wicz Don Pedro tak namiętnie kochał, a jego ojciec Alfons IV. król portugalski zamordować kazał. »Ah! idź pan tam«, mówiła Leonora prawie ze łzami, »idź pan tam, i zmów *ave Maria purissima* za jęj piękną duszę, a ona protegować będzie *os amores de Vuessa Senhora* (miłość Waszj Mości).«

Tak mówiła trzynastoletnia Leonora. Ojciec jęj spoglądał na mnie z ukosa; nareszcie rzekł po hiszpańsku umyślnie, żeby córka nie zrozumiała: »Teraz wiem, do jakiego pan należysz narodu; wiedziałem, żeś pan ani Fran-

cuz, ani Niemiec, ani Włoch, Anglik, Amerykanin lub Holenderczyk. (Więcej nie wymienił narodów: szczęśliwy lud Portugalski innych nie zna.) Teraz wiem, żeś pan Polakiem, choć z twarzy tego nie poznałem.»

—A z czegoż poznałeś? panie profesorze!

—*Porque no hay gente que le gustan mas las Portuguezas, que a la gente Polacca. No es verda Sennor?* (Ponieważ nie masz narodu, któremoby się więcej podobały Portugalki, jak narodowi polskiemu. Nie prawdziż panie?)—odpowiedział profesor.

—Prawda, masz rację panie profesorze, bardzo słuszna uwaga, masz wielki talent spostrzegania—odpowiedziałem uradowanemu gospodarzowi; ale pomyślałem sobie, że takim sposobem każdy inny cudzoziemiec mógłby wysledzić naszą narodowość, byleby był ojcem pięknej córki.

Szampan cudów dokazał, i pozbawił naszego gospodarza téj nieufności i powagi, jakie zawsze i wszędzie zwykły towarzyszyć Portugalczykom. Korzystając z tego prosiliśmy Don Manoela, aby nam raezył opowiedzieć historję swego życia, a mianowicie swego nagłego wyniesienia się. — Znamy wprawdzie niektóre jego szczegóły z dzienników, ale nie doskonale i nie jednako opowiadane—dodaliśmy.

—»Wierzę, moi panowie! Są w méj historyi rzeczy, które nie radbym, żeby do potomności przeszły; ale zapewne jednak przejdą, bo się świat mną zanadto interesuje, i nie jeden biograf sili się na mój życiorys. Wam jednakże opowiem wszystko, jako dbającym o honor ciała uczonego kolegom.

»Otóż trzeba wam wiedzieć, najoświeceńsi współbracia! że Eryceyrowie byli od niepamiętnych czasów, zapewne od chwili wygnania Maurów z Portugalii, kowalami poświęcającymi się wyłącznie leczeniu *das monturas* (to jest bydła siodłowego). Znali się także doskonale na chorobach koni, i na wielu sposobach zabezpieczających od oszukaństw i figlów cygańskich, lub odkrywających je. Ja miałem szczególną sposobność poznania sztuki weterynarskiej: służyłem bowiem w wojsku przeciw Napoleonowi, i byłem pomocnikiem głównego weterynarza wojska angielsko-portugalskiego. Mam na to świadectwo bardzo chlubne.

»Po śmierci ojca zostałem na gruncie jego, jako syn najstarszy; inni bracia poszli w świat szukać chleba, i znaleźli go: jeden w Brazylii, drugi na wyspach, trzeci w królestwie.

»Ożeniłem się, taki bowiem także był zwyczaj w naszej rodzinie od wprowadzenia wiary chrześcijańskiej. Ożeniłem się z córką ekonomki z klasztoru śtėj Klary: panną ładną, uczoną nad swój stan (umiała bowiem czytać z *pisanego*), religijną, fanatycznie wierzącą w mnichów, i złośliwą.

»Pomimo tego, dzieci przychodziły bardzo żwawo na świat. Ożeniłem się w r. 1815., a w r. 1822. było tego już sześcioro, a potem przybywało kiedy niekiedy jeszcze jedno.

»Mój ojciec był bogobojny, ale mnichom nie wierzył, i w chwili swėj śmierci zaklął mnie, żebym nie zawsze szedł za ich radą. Ja przestrogi ojca nie zapomniałem.

»Spokojność w naszym kraju została do reszty zakłócona po śmierci dobrego króla Jana VI. Tutaj w Coimbrze wrzały rozmaite namiętności. Professorowie Jezuitci w jedną stronę, a uczniowie i mały poczet professorów świeckich w inną, zupełnie inną. Neutralnym pozostać nikt nie mógł. Nieprzyjaciela nienawidzą, człowiekiem bez charakteru gardzą; a Portugalczyk woli znieść nienawiść, jak wzgardę.

»Majątniejsza młodzież uniwersytecka trzymała sobie konie wierzchowe, a ja je opatrywałem w mojem laboratorium, które wówczas prostą tylko było kuźnią. I jakoś mnie zwerbowali do siebie ci młodzi ludzie, pomimo klątw i grózb mojej dobrej żony, pomimo zakonników miotających na mnie anatema, a spijających me wino jak najsmaczniej.

»Nieraz zazdrościłem Wulkanowi, naszemu starożytnemu pradiadkowi. I on miał przyjaciela domu, ale wojskowego: z tym łatwiejsza sprawa niż z owemi, których suknia zasłaniała od mego gniewu.

»Dość, że po długich cierpieniach, po dłuższej niepewności, nadeszła wieść, że Don Pedro, nasz dobry monarcha, spieszy z Terceiry na nasze wybawienie; dalejże młodzież manowcami, górami do Oporto, a ja z młodzieżą. Przybył Don Pedro, wylądował w oddaném mu całym sercem mieście. Ja zostaję weterynarzem głównego szta-

bu, a akademik, z którym się do wojska wybrałem, oficerem i adjutantem samego Don Pedra. Młodzieniec ten był synem terażniejszego rektora Coimbry, hrabi Terrena, patrycyusza, którego Don Pedro i młodzież uniwersytecka bardzo kochała.

»W ciągu kampanii uratowałem dwa razy życie młodemu szlachecowi, którego mi sam ojciec powierzył, i któremu w chwili boju nigdy z oka nie spuszczałem. Don Pedro ozdobił mnie własną ręką krzyżem wojskowym, dawanym prawie wyłącznie tylko oficerom, ale stopnia oficerskiego osiągnąć nie mogłem; żaden weterynarz za dawniej organizacji wojskowej do niego nie miał prawa.

»Po kampanii wróciłem do mego dawnego zatrudnienia. Więcej jak kiedykolwiek potrzebny byłem mym dzieciom, gdyż żona moja umarła zaraz po wojnie, w skutek podobno zniesienia klasztorów.

»Nastąpił pokój, przerywany wprawdzie rozruchami różnego rodzaju, ale na niższe warstwy ludu mało oddziaływanymi.

»I teraz właściwie zaczyna się istotna historia mego publicznego życia. Tak, jak owa grecka Helena była kiedyś przyczyną upadku Troi, tak moja najstarsza córka Helena stała się weale niechcący i nie zamierzając sobie tego, powodem mego wyniesienia.

»Był w uniwersytecie i uczęszczał na prawo młody szlachec, Don Jaimé, młodszy brat dość mającego pana, ale sam nie posiadał nic, prócz pensyi rocznej pół miliona rejssów (3,000 fran.). Młody, piękny, nie oddawał się wiele naukom, lecz więcej miłostkom, i rzucił swe oko na moją Helenę, także bardzo ładną, i jak potem utrzymywały ciotki i sąsiadki, bardzo zapalną: o czem zatrudniony w méj kuźni nie wiedziałem. Młody szlachec tak się długo wiercił po méj kuźni z swym wierzchowcem, któremu co drugi dzień podkowy ginęły, iż i mnie rozum do głowy przyszedł, że to nie bez kozery. Zacząłem wglądać w rzecz, ale się z późno wybrałem. Młody szlachec nie czekał, aż mi rozum do głowy przyjdzie. Uwiedziona ma córka płakała, u nóg mych przebaczenia błagała, listy pokazywała, w których Don Jaimé obiecywał zaślubić się z nią, skoro wydział skończy i zyska

urząd. Córkę zaprowadziłem do klasztoru, a sam udałem się z listami do hrabiego Terrena, wówczas już rektora.

»Godny to był człowiek. Widząc mnie bladego, straskanego okropnym ciosem honorowi memu zadany, i on zbladł z bólu i rzekł:—»Bogu niech będą dzięki, żeś do mnie się udał, i że nikt, nawet młody uwodziciel, o twém odkryciu nie wie. Bogu niech będą dzięki, żeś jeszcze o zemście nie pomyślił. Manoel! będziesz miał zadosyćczynienie, i to tak uroczyste, jak go sobie nie obiecujesz. Don Jaimé de Salvaterra musi się zenić z twą córką.«

—Ah panie hrabio! żaden trybunał do tego go zniewolić nie jest w stanie. On jest szlachcicem, a ja prostym człowiekiem; tego zadosyćczynienia nie mam prawa żądać. Ah! gdyby jeszcze żył nasz nieodżałowany Don Pedro, onby słudze swemu, krzyżem ozdobionemu, téj zniewagi bezkarnie wyrządzić nie pozwolił«—odpowiedziałem. Ale na to rektor:—»Nie jesteś szlachcicem, ale nim będziesz.«

—»Panie hrabio! ja szlachcicem?«

—»Tak jest, ty szlachcicem.«

—»Ale kto mnie nim zrobi?«

—»Ty sam«—odpowie mi hrabia, ale z taką pewnością, że struchlał.

—»Tak jest, ty sam«—mówił dalej.—»Słuchaj, nowa otworzy się katedra w szkole weterynaryi, konkurs będzie ogłoszonym za miesiąc, a odbędzie się za cztery. Powołani będą do konkursu wszyscy rodowici Portugalczycy, lub mający prawa obywatelskie cudzoziemcy, posiadający świadectwa, od professorów weterynaryi lub weterynarzy znanych. Żądać będziemy znajomości anatomii konia, chorób bydła, a mianowicie chorób kopyta i protezy kopyta, to jest *kucia*. Szczególnym bowiem obowiązkiem nowo mianowanego profesora będzie *uczyć kuć*, tak, jak to już we Francyi w szkołach weterynaryi uczą. Trzeba będzie nauczyć się łacińskich nazwisk chorób koni. Ja ci będę własnym kosztem posyłał profesora łaciny lekarskiej. Wiem, żeś bystry człowiek i wielkiej woli. W kuciu i leczeniu koni nikt cię nie przewyższy. Człowiek honoru, jakim ty jesteś, chcący ratować honor swego dziecka, potrafi więcej, jak ugodzić puginałem. Idź do domu. Ni-



komu nie o tém nie mów. Córki nie wypuszczaj z klasztoru. Za godzinę Don Jaimé będzie w karceresie, gdzie pozostanie tak długo, dopóki ty nie zostaniesz szlachcicem. Potém się z nim rozmówimy. Bądź spokojnym. Ufaj słowu ojca, któremuś dwa razy uratował syna.«

»Powróciłem do domu jak nowo narodzony, i téj nocy wzięłem się—do ksiąg. Poszło wszystko jak rektor przepowiedział. Żądza zemsty dała nadprzyrodzone siły: w cztery miesiące nauczyłem się tyle łaciny, ile nie jeden professor innych wydziałów może nie umie. Na konkursie zdumiałem całe miasto, spółzawodników i rektora. Konkurs trwał cały tydzień. Miasto ogłosiło mnie pierwój professorem, nim mnie senat uniwersytecki zamianował. Rektor płakał z radości, uczniowie krzyczeli: *vivat!* a ja na klęczkach Bogu dziękowałem za ten cud, za ten dowód jego miłosierdzia, za ten sposób dopomnienia się o me prawo, bez uciekania się do ohydnej, ale często koniecznej zemsty.

»Końca panowie jednak nie przewidują. Don Jaimé prawdziwie kochał mą córkę. Wypuszczony z karceresu, dowiedziawszy się o mém wyniesieniu, dającém mi prawo do przywilejów szlachectwa, najchętniej się zgodził na zaślubienie méj córki. Wkrótce też nastąpiło zaślubienie. Don Jaimé był uszczęśliwionym, zobaczywszy mą córkę istotnie piękną, i której stan ówczesny jeszcze prawie dodawał wdzięku. Miała zaledwie lat 15.

»Po obrzędku, Don Jaimé myślał, że mu oddam córkę, i że ją sobie przyprowadzi do domu, jak gdyby nigdy nie.

»Nie tak panku! powściągnij twą radość—powiedziałem mu. Być szlachcicem i mieć tylko małą pensyjkę z łaski starszego brata, to nie znaczy posiadać sposób do życia. Popracuj jegomość lat kilka, zostań dobrym adwokatem lub też dostań dobrą posadę, a potém dopiero zgłoś się do mnie po twą żonę. Tymczasem zostanie ona w klasztorze, będzie się modlić, żeby pan Bóg dobrodziejowi dał miłość do pracy, wytrwałość, uczciwość; będzie pielęgnować swą lalkę przedwcześnie sprawioną. Możesz ją widywać, o miły Don Jaimé, raz na tydzień z za kraty, możesz jéj przynieść bukiet, ale bez listu; możesz z nią pomówić, możesz nawet pocałować przez kraty. Ale na tém koniec.

»Smutno się zrobiło młodzieńcowi, ale rozum znalazł przecież drogę do jego duszy. Jął się do pracy z szczerością, dostał urząd, i we dwa lata wyprowadził mą córkę i syna już biegającego, z klasztoru do swego domu.

»A ja wychowuję trzech synów na tymże samym uniwersytecie. Benedykt, najstarszy i najmniej pojętny, przeznaczony jest na mego następcę w kuźni. Leonora zapewne znajdzie męża, bo i ładna i z *dobrej familii*, a Pablito ma zaledwie lat ośm i służyć musi za miechodmu ha, nim się wyższe w nim wyjawią zdolności. Tak wszyscy jesteśmy szczęśliwi z łaski Boga i dobrych ludzi. Szkoda, że biedna ma żona tego nie jest świadkiem.«

---

## ROZDZIAŁ VI.

SMUTNA HISTORIA TRZYNASTU AKADEMİKÓW.—REHABILITACYA.—KAZNODZIEJA.—POŁOŻENIE KOIMBRY.—ULICE.—ODWIECZNE DRZEWO.—KLASZTORY.—ICH TERAŹNIEJSZE PRZEZNACZENIE.—WPŁYW POMBALA NA LOSY WSZECHNICY I OŚWIĄTY.—JEZUICI.—DON PEDRO.—KOLEGIUM.—SALE EGZAMINACYJNE.—BIBLIOTEKA.—IĘTRO PODZIEMNE.—OBSERWATORYUM.—MUZEUM ANATOMI-CZNE.—DOCHODY UNIWERSYTETU.—OSOBLIWOŚCI.—WIERNOŚĆ DON MARCINA.—PROFESSOR DON DÍEZ PINTO.—OGRÓD BOTANI-CZNY.—SEMINARIUM.—AKADEMICY.—QUINTA DAS LAGRIMAS.—KLASZTOR ŚW. KLARY.—KANĄŁ MIŁOŚCI.—INEZ DE CASTRO.—MOST NA MONDEGO.—FIGUEIRA.—ALDEA FRANCESA.

---

Trudno było ustrzedz się najsmutniejszych zastanowień, na widok tego, co się działo na uniwersytecie w Coimbrze podczas naszego tam pobytu. Robiono wielkie przygotowania na uroczyste przywrócenie do czci i sławy dziesięciu akademików, powieszonych jednocześnie za morderstwo polityczne, w którym, jak się wykazało w dziesięć lat później, czynnego nie brali udziału.

Warto znać cały tok rzeczy.

W r. 1828. Don Miguel wrócił do Portugalii, jako Regent i przyszły małżonek Donny Maryi, a to z własnej woli Don Pedra, ojca młodej królowej, a brata samego Don Miguela.

Wysyłano zewsząd deputacye na przywitanie Infanta, starano się wszelkimi możliwymi pochlebstwami o łaskę księcia, którego znano srogi charakter.

Uniwersytet także Coimbry, to jest senat akademicki i obywatele tak nazwanój »reipublicae litterariae«, wysłał deputacyę *dla przywitania Don Miguela jako Regenta państwa*. Wybrano do téj deputacyi czterech professorów.

W kilka godzin po ich odjeździe rozeszła się pogłoska, że professorowie mieli prosić Don Miguela, aby się raczył ogłosić królem absolutnym.

Trzynastu uczniów poszło w pogoń za professorami, aby się przekonać, czy istotnie mieli taki zamiar, i prze-

konawszy się o t $\acute{e}$ m zmusi $\acute{c}$  ich do odwrotu, ostatnich nawet u $\acute{z}$ y $\acute{c}$  s $\acute{r}$ odk $\acute{o}$ w w razie oporu.

Bocznemi kr $\acute{o}$ t $\acute{s}$ zszemi drogami dogonili professor $\acute{o}$ w, wygodnie w dw $\acute{o}$ ch pojazdach podr $\acute{o$ żuj $\acute{a}$ cych.

Pod zas $\acute{o}$ nan $\acute{a}$  masek dopadli pojazd $\acute{o}$ w, zatrzymali je i nie spuszczaj $\acute{a}$ c professor $\acute{o}$ w z oka, przetrz $\acute{a}$ śli wszystko.

Znaleziono pi $\acute{s}$ mienny dow $\acute{o}$ d: adres wystosowany do Don Miguela.

Zaproszono tedy professor $\acute{o}$ w do powrotu. Ci  $\acute{z}$ adnym sposobem na to zezwoli $\acute{c}$  nie chcieli, stawili nawet zbrojny op $\acute{o}$ r. Wszcz $\acute{e}$ ła si $\acute{e}$  nier $\acute{o}$ wna walka, w kt $\acute{o$ r $\acute{e}$ j dw $\acute{o}$ ch professor $\acute{o}$ w s $\acute{m}$ iertelne otrzyma $\acute{o}$  rany, jeden zdo $\acute{ł}$  ucie $\acute{c}$ , a czwarty, professor botaniki, ju $\acute{z}$  widzia $\acute{l}$  pugina $\acute{l}$  podniesiony nad sob $\acute{a}$ , kiedy w rozpacz $\acute{y}$  przyskoczy $\acute{l}$  do twarzy przeciwnika, zdar $\acute{l}$  z ni $\acute{e}$ j mask $\acute{e}$ , i pozna $\acute{l}$  — domownika, swego ucznia prywatnego, swego *amanuensis*, jak go nazywaj $\acute{a}$ . Rzuca mu si $\acute{e}$  do n $\acute{o}$ g strwo $\acute{z}$ ony professor i wzywaj $\acute{a}$ c Boga na s $\acute{w}$ iadka,  $\acute{z}$ e mu szkodzi $\acute{c}$  nie b $\acute{e}$ dzie, a obiecuj $\acute{a}$ c uczniowi pi $\acute{e$ k $\acute{n}$ ą sw $\acute{a}$  siostrzenic $\acute{e}$  za  $\acute{z}$ on $\acute{e}$ , zmie $\acute{k}$ cza jego serce i zyskuje zagro $\acute{z}$ one  $\acute{z}$ ycie.

Akademik ujęty pro $\acute{s$ b $\acute{a}$ , a wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j jeszcze mo $\acute{z}$ e obietnic $\acute{a}$ , darowa $\acute{l}$  mu  $\acute{z}$ ycie, wiedz $\acute{a}$ c,  $\acute{z}$ e tym czynem sw $\acute{e}$ j w $\acute{l}$ asnej istno $\acute{s}$ ci niebezpiec $\acute{e}$ nstwem zagra $\acute{z}$ a. By $\acute{l}$ o to pod wiecz $\acute{o}$ r. Zdaleka da $\acute{l}$  si $\acute{e}$  s $\acute{l}$ ysz $\acute{e}$ c $\acute{e}$  tentent liczn $\acute{e}$ j kawalkady; akademicy umkn $\acute{e}$ li.

Professor botaniki, powróciwszy do Coimbr $\acute{y}$ , chwili jedn $\acute{e}$ j nie czeka $\acute{l}$ , uda $\acute{l}$  si $\acute{e}$  wprost do gubernatora i rzecz ca $\acute{ł$ ą wyda $\acute{l}$ .

Oskar $\acute{z}$ onego akademika znaleziono s $\acute{p}$ iącego w sw $\acute{e}$ m ł $\acute{o}$ zku, w domu professor $\acute{o}$ a. Obietnicami i gro $\acute{z$ bami  $\acute{l}$ atwo wym $\acute{o}$ dz zdo $\acute{ł}$ ano wyznanie. Wszystkich wsp $\acute{o}$ lnik $\acute{o}$ w zamachu ujęto, ka $\acute{z}$ dego w swym domu, pr $\acute{o}$ c $\acute{z}$  trzech, kt $\acute{o$ rych *amanuensis* professor $\acute{o}$ a za sprawc $\acute{o}$ w zbrodni wymieni $\acute{l}$ .

Pomimo najokropniejszych katusz, nie mo $\acute{z}$ na by $\acute{l}$ o wym $\acute{o}$ dz na  $\acute{z}$ adnym z m $\acute{o}$ ldzieńc $\acute{o}$ w przyznania si $\acute{e}$  do po $\acute{p}$ elnionego zab $\acute{o}$ stwa.

Wszyscy jednog $\acute{l}$ osnie oskar $\acute{z}$ yli o nie trzech nieobe-  
cnych koleg $\acute{o}$ w, kt $\acute{o$ rych nie mo $\acute{z}$ na by $\acute{l}$ o znale $\acute{z}$  $\acute{e}$  nigdzie.

Jednak zostali skazani na s $\acute{m}$ ier $\acute{c}$ , a wyrok ten wyko-  
nano przez powieszenie.

Jeden z obżałowanych, zaledwie siedemnaście lat liczący, stanawszy pod szubienicą przypomniał sobie, że jeszcze nie jest chrzconym, tylko z wody, prosił tedy o chrzest.

Kazano go ochrzcić natychmiast, nie sprawdzając nawet, czy to nie bojaźń śmierci na biednym delikwencie wymogła fałszywy powód do zwłoki, i czy mu dwa razy nie udzielono tegoż samego sakramentu.

Ochrzczono go więc natychmiast—i powieszono.

Tak okropnych scen uniwersytet tutejszy był świadkiem w r. 1829.

Lecz prawda, która na nieszczęście nie zawsze jest jak owa oliwa wychodząca na wierzch, była tą razą jak owa plama krwi, której wszystkie wody oceanu zmyć nie zdołają.

Siedm lat minęło. Umysły uspokoiły się pod gojącą ręką czasu, nadzieja pokoju wstąpiła nareszcie w strapione serca Portugalczyków.

Młody jakiś porucznik kawaleryi, ozdobiony krzyżem wojskowym, staje przed królową i błaga ją o posłuchanie. Zyskawszy je, przyznaje się, że będąc siedm lat temu akademikiem w Coimbrze, dopuścił się morderstwa na profesorze, ale dopiero wtenczas, kiedy ugodzony przez niego kutym kijem, stracił zimną krew i mścił się za zniewagę.

Pięć lat służył pod przybraném nazwiskiem w wojsku królowej, odznaczył się nietylko męstwem, lecz i dobrém sprawowaniem, zyskał stopień oficerski i krzyż wojskowy.

Lecz życie pod przybraném nazwiskiem stało mu się niemiłym, chciałby odzyskać prawa rodzinne. Rodzice oplakują go za straconego, a on nie śmie wrócić do nich. Domaga się tedy sądu, lecz błaga o względy na jego młodość i usługi oddane.

Osadzono go w więzieniu, czekając dalszych dowodów.

W rok potem przybywa z Hiszpanii drugi o tęż samą zbrodnię zaocznie skazany i in effigie powieszony akademik. Bieda i tęsknota tyle mu dokuczały, że wołał poddać się surowości praw, jak pędzić nędzne życie w obcym kraju.

On potwierdza we wszystkich punktach zeznanie porucznika, i wyznaje, że razem z innym odebrał życie jednemu z profesorów.

Wkrótce potem ksiądz jeden wystąpił z oświadczeniem potwierdzającym to zeznanie. W rok po popełnionem na trakcie Coimbro-Lizbońskim morderstwie, spowiadał podróżując w górach młodego człowieka, śmiertelnie chorego, który przyznał się do udziału w złym czynie, i w miesiąc potem przykładowie jako chrześcianin, żałując za grzechy, życie zakończył.

Te dowody wystarczyły.

Sąd skazał porucznika na stratę urzędu i krzyża i na pięć lat więzienia. Drugiego zaś na dziesięć lat podobnego więzienia.

Królowa ułaskawiła pierwszego w rok potem i powróciła go do stopnia, z przeznaczeniem do kolonij Afrykańskich. Drugiego zaś ułaskawiła we dwa lata potem.

Pamięć zaś młodzieńców śmiercią ukaranych miała być uroczyście do godności przywróconą, na usilne prośby ich rodziców i całego uniwersytetu.

Dziesięciu niewinnych cierpiało za trzech winnych;— tak pospolicie bywa w przedsięwzięciach podobnego rodzaju.

Smutną była uroczystość odkopania śmiertelnych szczątków z gruntu golgoty Coimbryjskiej. Odbyło się wśród łez i łkania licznie zgromadzonego ludu, wśród serce rozdierających jęków: ojców, matek, siostr i braci tak młodo straconych ofiar. Hymny religijne duchowieństwa, głos żałobny dzwonów wtórował ogólnej boleści, i łagodził serca ludzi.

Sędziwy kaznodzieja umiał w tej ważnej chwili pojąć świętość swego powołania.

Zresztą, dzięki wpływowi religii, wszystko się odbyło z poważną uroczystością, choć w bezustannem wzruszeniu, i niepotrzeba było pomocy innej siły do utrzymania uczuć ludu w karcach przyzwoitości.

Wojsko wprawdzie stało pod bronią gotowe do działania, ale oddawało honory pogrzebowe biednym ofiarom.

Coimbra leży na kilku pagórkach, wznoszących się stromo na brzegach rzeki Mondego. Przez rzekę tę rzucony jest długi żelazny most. Brzeg południowy, umajony lasem, uwieńczony klasztorami i quintami czyli domami wiejskimi, przedstawia widok nieporównany. Quinta das lagrimas i klasztor Santa-Clara przyciągają oko i duszę

podróznego. W pośrodku miasta wznosi się wysoka piękna wieża. Obserwatorium tuż w bliskości głównych zabudowań uniwersyteckich, których część jedna zawieszoną jest na wysokim spadzistym brzegu po nad falami Mondego; a wokoło mnóstwo wysokich wież i niezmiernych klasztorów.

Ulice miasta są wąskie i spadziste, przytém brukowane drobnymi okrągłemi krzemieniami, co je robi nieznośnemi dla ludzi z delikatnemi nogami. Domy prywatne z zewnątrz nie wyjawiają wykwintności i przepychów zawartych w środku. Drzewo jedno starożytne, tak grube, że je czterech ludzi zaledwie opasać może, a tak stare jak samo miasto, jest jedną z ciekawości tutejszych.

Połowa obszaru Coimbrę zajęta jest klasztorami. Szeroka i długa ulica św. Zofii mało ma innych zabudowań prócz klasztorów. Kilka z nich spożytkowano przecież na różne dobroczynne cele: na biura, koszary, szpitale i szkoły. Ale nie sposobny było znaleźć dla wszystkich podobne zastosowanie, i dlatego wiele z nich niszczeje. Z ogrodu i pola jednego z klasztorów zrobiono ogród botaniczny, którego tutaj wcale nawet nie było, dopóki mnichy losami uniwersytetu zarządzali.

Coimbra jest miastem bardzo interesującym i malowniczym, okolice jego są nader powabne, kościoły wspaniałe, pyszne są obie katedry miasta, nowsza należała wprzód do Jezuitów.

Pombal zdołał wyrwać uniwersytet rękami Jezuitów i wznosił jego sławę do wysokiego stopnia, osadził katedry godnymi, uczonymi mężami, którzy w młodzieży zaszczytli duch naukowości. Lecz po śmierci króla Józefa I., Jezuici pod różnemi kształtami zamaskowani znaleźli znów powoli miejsce do katedr, i przyduszali jak mogli święty ogień emulacyi naukowej. Z tego na nieszczęście wyrodziła się między młodzieżą owa chęć wdawania się w polityczne sprawy kraju. Lękano się, że Don Miguel odda znów otwarcie Jezuitom, losy młodzieży uniwersyteckiej, ale na nieszczęście, Don Pedro zwalczył brata i wygnał szkodliwą ludzkość sektę.

Zwiedziliśmy kollegium uniwersyteckie. Wstąpiliśmy przez tak nazwaną Żelazną bramę na piękny dziedziniec. Na prawo jego wznosi się wielki gmach z olbrzymiemi

Jest tu także muzeum osobliwości, założone przez Pom-balę, na którego rozkaz wszystko, co tylko było osobliwo-ścią historyczną, zostało zabrane właścicielom i pomimo ich oporu przechowane w tutejszém muzeum. Dzięki tak despotycznemu rozkazowi, bardzo się zbhogacił ten zakład.

Znajduje się tutaj magnes najsilniejszy ze znanych. Podnosi niezmierny ciężar 2,786 funtów. Wyrwał nam, nie pytając o pozwolenie, scyzoryki z kieszeni. Doktorowi Lange wyrwał nawet młotek żelazny z kieszeni z taką siłą, że mu poję od surduta przedarł. Szczęście, że nasze pieniądze nie były z żelaza, byłby nas zostawił bez grosza. Znajdują się tu także muszkiety, któremi mężny Joan De Castro Dia, bronił się przeciw niewiernym, trofea z broni średniowiecznej, wielki zbiór broni amerykańskiej i indyjskiej, pierścień Donny Inez de Castro, klucze miasta z r. 1248., których wierny Don Marcin de Freytas nie chciał oddać uzurpatorowi Alfonsowi, lecz poszedł złożyć podczas zawieszenia broni samemu prawemu monarsze do Toledo, i dopiero znalazłszy go umarłym i w trumnie, oddał mu je w ręce, i zapytał: »Królu i panie mój, nie wzbraniaasz mi oddać tych kluczy bratu twemu Alfonsowi?« Umarły król nie odpowiedział. Don Marcin wziął milezenie za przyzwolenie, powrócił do Coimbrzy i otworzył bramy miasta. Alfons wzruszony wiernością i walecznością tego męża, potwierdził go w dostojności Gubernatora, nie wymagając nawet hołdu, co więcej, udarował go wielkimi posiadłościami; lecz Don Marcin przyjąć tych posiadłości nie chciał i nawet dziedzicom swym aż do czwartego pokolenia zakazał *pod klątwą* korzystać z darowizny Don Alfonsa. Takię wierności i bezinteresowności przykłady, winny być przechowane w pamięci ludzkiej.

Nie przyjęliśmy żadnych zaprosin na obiad, pomimo grzeczności i uprzejmości, z jaką nas doktorowie i profesorowie uniwersytetu zapraszali. Panowie ci uważali sobie za obowiązek uprzyjemnić pobyt w Coimbrze kolegom z tak daleka przybyłym, a obeznanym z urządzeniami prawie wszystkich wszechnic Europy.

Po obiedzie odwiedził nas jeden z profesorów i raczył zaprowadzić do ogrodu botanicznego. Droga wiodła przez



praza de Feira, obok starożytnej katedry i pod wysokim wodociągiem, sprowadzającym zdroje z gór pobliskich aż do klasztoru Santa Cruz. Ogrody otoczone są pięknymi żelaznami, brązem złożonym ozdobionymi sztachetami. Leżą one napiętrzone po szerokich i licznych tarasach, schodzących z wysokości góry w dolinę. Wszystkie pokryte są drzewami, krzewami i kwiatem. Głębsze i cieplejsze miejsca przeznaczone są dla roślin najcieplejszych stref naszego globu. Wiele z nich wybujało tutaj bez pomocy szklanych pokryć. Na jednej stronie wznoszą się cieplarnie, a nad nimi sterczy wysoko klasztor, który teraz jest własnością towarzystwa botanicznego. Naprzeciwko zaś, na wzgórzu porośnięm drzewami, leży szpital chirurgiczny; dawniej był on także klasztorem.

W bliskości tych ogrodów znajduje się seminaryum. Kościół do niego należący, lubo nie wielki, bogato jest ozdobiony. Dach jego wznosi się na wysmukłych wysokich filarach marmurowych. Seminarzyści w kościele zgromadzeni, klęczeli z wzniesionemi ku niebu rękoma, i śpiewali monotonne śpiewy. Gimnastyka ta nie bardzo się podobała młodym ludziom, jak można było wnioskować z niezadowolonego wyrazu twarzy. Księża pilnowali porządku i spisywali sobie każdego, który ręce nie dość sprężyście wyciągał, lub je spuszczał. Widok ten już nękał duszę.

Opuszczamy kościół i biegniemy ku nadobnemu tarasowi na szczyt publicznej góry, z kądem widok na ciemny gaj oliwny, na złote drzewa pomarańczowe, na domki wiejskie i młyny, najpowabniejszy. Tu się zbierają co wieczór akademicy, każdy z gitarą, i tu nucąc i śpiewając, pozostają do ciemnej nocy. Portugalczycy wszystkich stanów są namiętni miłośnikami muzyki, lecz szczególnie się jej oddają muz synowie, z których wielu tak jest biednych, że podczas wakacyj chodzą od miasta do miasta, od miasteczka do miasteczka, i śpiewając tercety, kwartety i kwintety, zarabiają sobie na opędzenie wydatków podczas miesięcy nauki. A potem, któryż z tych młodzieńców nie jest mniej więcej zakochanym, i nie wie, że muzyką i śpiewem można zmięczyć i najtwardsze serce kobiece, tak jak granit ociem?

Ztąd udaliśmy się już wieczorem do Quinta das Lagrimas, do ogrodu też,—do sceny namiętnych miłości Don Pedra i owój pięknej, niestety nie zupełnie od winy wolnej Donny Inez de Castro, której przedwczesną śmierć wszyscy kiedyś opłakiwaliśmy.

Zeszliśmy ze sromego wzgórza, na lewą stronę rzeki, owym długim już wspomnianym mostem. Tuż przy brzegu rzeki sterczą zwaliska owego starożytnego klasztoru Stój Klary, wzniesionego dawno temu bardzo na rozkaz królowej Izabelli. Został on zniszczonym przez nagłą powódź. Teraźniejszy klasztor, gmach bardzo obszerny, stoi daleko wyżej, i pod nim wybudowano jeszcze drugi, należący wprzód do jakiegoś braterstwa mnichów. Lewe skrzydło przeznaczone na przyjmowanie gości. Dawniej bowiem nie wiele było hotelów i gospod w kraju, i każdy prawie klasztor przyjmował podróżujących i zadowalniał się dobrowolnym datkiem za dany przytułek i za wyżywienie. Klasztor stój Klary, podobnie jak klasztor tegoż samego nazwiska w Lizbonie i Oporto, rekrutował się tylko z pomiędzy córek szlacheckich. Dziś jeszcze było ich do pięćdziesięciu w Coimbrze.

Zbaczając na lewo, doszliśmy brzegiem rzeki do »Canal dos Amores«, to jest do kanału miłości, tak nazwanego według podania z tego, że Donna Inez na małych czółenkach przesyłała tym kanałem listy Don Pedrowi, oczekującemu ich z wielką niecierpliwością. Część ogrodu odgraniczono w nowszych czasach od reszty, i obok mieszkania nieszczęśliwej Inez wystawiono piękny pałacyk. Właściciel tych ogrodów starał się nawet zagarnąć pod zamknięcie cały ten ogród, i zagrozić nawet ścieżkę prowadzącą do źródła, nad którym siedziała piękna Inez, pogrążona w smutku i dumaniach, zalana łzami, tak czystymi jak krynica w którą wpadały. Mieszkańcy miasta oparli się temu zbrodniczemu zamiarowi, a właściciel widząc, że nie poradzi woli mieszkańców, zaniedbał to miejsce w nadziei, że je tym sposobem swego uroku pozbawi.

Zbliżyłem się do tego klasycznego gruntu Camoensa, z wielkiem, głębokim uszanowaniem. Zdrój czystej wody wytryska tutaj z małej jaskini, na wysokości mechem obrosłej skale. Kilka wspaniałych cedrów i jedna wierzba płacząca, rzucają gruby chłodny cień na strumyczek wijący się pod

ich stopami. Wpada najprzód w kamienny stawek i ztąd wychodzi *kanal miłości*, który na swych małych falach niósł niejedno tęskne słowo, skreślone ręką kochającej, miłością tylko żyjącej dziewicy. Kamień, na którym siadywała pod pochyloną skałą, jest jeszcze na swém miejscu; twardy to kamień, ale nie tak twardy jak serca okrutnych jej morderców.

Pochyliłem się ku źródłu i piłem jego czyste wody, w nadziei, że mnie natchną, jak wody Helikonu. Niestety! i tym razem me nadzieje zostały omyłone!

To jest krynica miłości, ów »Fonte dos Amores«, którą Camoens uwiecznił wierszami nieporównanej piękności! Nie, żaden z poetów go nie przeszedł jeszcze.

Widok z Quinta dos Amores, z pomiędzy rozłożystych drzew, jest czarujący: widzisz tu Mondego, Coimbę i góry odgraniczające ją od widnokregu.

Z załem opuszczałem to miejsce, lecz cienie nocy szybko się posuwały, a nasz towarzysz zdawał się być znękanym. Siedliśmy na moście, by spocząć. Grupy gorzko spozierających księży i poważnych professorów przechodziły po moście, chłodząc swe skronie w powiewie pędem rzeki sprowadzonym. Towarzysz tymczasem wiele nam opowiadał szczegółów interesujących o uniwersytecie. Liczba uczniów dochodziła do 1,200;—»duch młodzieży zawsze jeszcze zanadto liberalny, rokuje krajowi wiele nieszczęść,« utrzymywał pan professor.

O półtory mili od Coimbry, ku ujściu rzeki Mondego do morza, leży Figueira, bardzo ulubione miejsce kąpieli morskich. Wielki świat, titulados i fidalgos, zjeżdżają się tutaj w jesieni, i to bardzo licznie od lat kilku. Towarzystwo ma być wówczas bardzo świetne. Fidalgowie zaczynają wychodzić z skorup i z letargu; już raczą udzielać się światu.

Podczas wiosny mniejsi tylko ludzie uczęszczają do kąpiel. Było ich i tym razem nie mało, pomiędzy nimi wiele skrofulicznych, artrytycznych i reumatyzmem trapiomych. Orzeźwiwszy się kąpielą i widokiem morza, zawsze uroczego i poważnego, nawet wtenczas kiedy nie jest zagniewaniem i leży równe i świecące jak zwierciadło, wróciliśmy do Coimbry, złożyli wizytę pożegnalną profesorowi Don Diaz Pinto, który nam robił honory uniwer-

Oni przyzwyczaili się uważać ją za wieczną lenniczkę własnych fabryk. Czepiano się tedy pod wszelkimi pozorami kolonii, oskarżono ją o zamiar wprowadzenia socyjalizmu do Portugalii, i nareszcie w r. 1846. kazano Francuzom sprzedać grunta i wynieść się z kraju. Tak powstała, wzrastała i upadła biedna Aldea Francesa, dzięki zazdrości wiernych przyjaciół Portugalii, i dzięki łatwowierności słabego rządu.

---

## ROZDZIAŁ VII.

STAN ÓWCZESNY PORTUGALII. — PODRÓŻ W GÓRY. — WIDOKI. —  
PRZEWODNIK NASZ. — PONTE DE MURCELLA. — JOAKIMCINO. — VI-  
SCONDE DE MOLLERAS. — DOLINA ZAGADKOWA. — PIELGRZYMI. —  
KLAZTOR W SAN. ROMAO. — BUSSACO. — GÓRALE. — SĘP ESTREL-  
LI. — JEZIORO TAJEMNICZE. — GÓRAŁKI Z COVELNIAS.

---

Bawimy już od miesiąca w pięknej Luzytanii. Już na-  
wet zwiedziliśmy jej stolicę—Lizbonę, jej raj—Cintre, jej  
Eskuryal,—Mafre, jej Ateny—Coimbrę, słynną uniwersy-  
tetem, od sześciu wieków założonym.

Teraz zaś zbaczając z drogi, prowadzącej prosto z Co-  
imbrzy do celu podróży naszej, do Oporto, puszczaemy się  
w wysokie, nigdy jeszcze nieopisane góry Estrelli, panu-  
jące nad Portugalią, jak Mont-Blanc panuje nad Sabaudyą,  
Szwajcaryą i Lombardyą.

Podróż ta potrwa dni kilka, i przedstawi wszystkie  
uroki okropności, jakich tak często widownią bywają nie-  
dostępne miejsca w krajach, gdzie tak silne wrą namię-  
tności, jak w Portugalii.

Dla lepszego ocenienia wrażeń, których razem dozna-  
my, niech mi wolno będzie poprzedzić opis naszej podróży  
krótkim rysem stanu, w którym się znajdowała Portuga-  
lia podczas mego w niej pobytu.

Już były minęły wojny, zakrwawiające kraj ten nie-  
szczęsny.

Ale niestety! Ojciec Donny Maryi, szczerze kraj swój  
kochający, już nie żyje! Już się nawet z nim złączył  
w krainie cieniów zięć jego, ów młody książę, który za-  
raz na swym wstępie do kraju umiał sobie ująć do tego  
stopnia serca Portugalczyków, że swój wrodzonćj zapo-  
mnieli nieufności.

Młoda Donna Marya już nawet łyż otarła po swym ojcu, i tak świętym, tyle obiecującym małżonku, i w powrotnych węzłach miłości szukała dla siebie pociechy, a dla kraju nowych zasobów nadziei i szczęścia. Dwóch młodych infantów już przyszło na świat zwiastować Portugalii długi szereg jeszcze przybyć mających.

Rany kraju zaczęły się goić. Czasem tylko intryga przewrotną swą wznosiła głowę, spekulanci polityczni szafowali jeszcze kiedy niekiedy namiętnościami biednego, durzonego ludu, i wiedli go do walki z po za kulis, nie wystawiając siebie samych nigdy na niebezpieczeństwo. Egzaltowani domagali się jedności ciała reprezentacyjnego, i nie pojmowali potrzeby wyższej izby. Don Fernando zawsze pragnął być małżonkiem absolutnej Donny Maryi. Bractwo pewne, zawsze czynne i cierpliwe, rozlatało swą pałę zaraz po jej zburzeniu.

Wielu też wypadkom religia i polityka służyły tylko za pozór. We wszystkich warstwach towarzystwa znajdziesz na nieszczęście ludzi chciwych krwi, własności i sławy bliźniego, i godzących na nie w imieniu najszlachetniejszych uczuć.

Taki był wówczas stan Portugalii. Stan ten nazywano pokojem. Względnie uważając, był on pokojem dla Portugalczyków, od dzieciństwa przyzwyczajonych do silnych, krwawych wrażeń, łaknących ich nawet.

Istotnie rozwojowi umysłowemu, materialnemu nawet, nie był ten stan zupełnie nieprzyjazny. Tak słabo okiełznane żywioły niespokoju, pozwoliły jednakże porządkowi organizować się we wsiach i miastach. Stan finansowy kraju poprawił się znacznie; wojsko, wyglądające niegdyś jak horda bandytów w obdartych sukniach i brodach po pas zapuszczonech, oblekło się w piękne mundury i postrzygło brody; miasta się porządkowały, rolnik dźwignął się z swój bezczynności i uprawiał chętnie tę ziemię, której mu nie wydzierano pólów: błoga ziemia portugalska wystarczyła na wyżywienie narodu, i jeszcze wysyłała za granicę, nie tylko owoce i wino, lecz zboże i jarzyny.

Handel się ożywił i przemysł do kraju zawitał. Nauki nawet obudziły się z letargu i kwitnąć zaczęły.

A ruiny porosły pysznym bluszczem i dzikiem winem, i stały się pomnikami przeszłości.

Wiedząc, jak okropnych, serce rozdzierających scen Portugalia jeszcze przed laty kilku była widownią, a widząc ją potem tak się chętnie krzątającą około poprawy bytu swego: musiałem uznać, że lud portugalski, jakkolwiek nieco świecony i zabobonny, nie dał z siebie zrobić bydlęcia, niezdolnego korzystać z klęsk i doświadczeń przeszłości.

Teraz obznajmieni z stanem ogółu, puśćmy się w góry i poznajmy, co się dzieje w szczególe w tych zakątkach, gdzie ani światło dojsć, ani władza sięgnąć łatwo nie może.

Opuszczam tedy Coimbrę w towarzystwie dwóch przyjaciół: pana T. K., majątnego Bretończyka, dawnego kapitana wojsk francuzkich, i Dra L. Niemca, naturalisty.

Deszcz rześisty padał podczas poranku i tak nam ochłodził powietrze, żeśmy się wybrać mogli w samo południe, kiedy słońce prawie pionowo na nas godziło. Prowadził nas senhor José, przewodnik zawołany, znający wszystkie kąty i złe i dobre, a przytém żyjący w stosunkach przyjaźni z wszystkimi mieszkańcami gór i jaskiń, złemi i dobremi. Senhorowi José polecił nas ojciec Anzelm, dawny Augustyanin, dziś kapelan Siostr miłosierdzia, opiekujących się szpitalem cywilnym, przeznaczonym na klinikę uniwersytetowi.

Pierwsza stacya, zwana Ponte de Murcella, odległą była tylko o cztery mile geograficzne, ale wymagała sześć godzin podróży. Droga prowadziła nas najprzód około klasztoru św. Krzyża, obok wodociągu, na lewo od ogrodów botanicznych; potem ciągnąc się około stóp wysokiego pagórka, zawiodła nas na brzegi rzeki Mondego. Wkrótce znikła nam od razu Coimbra z przed oczu, skorośmy wstąpili na drogę, odgranieczoną od pól dwoma szeregami żywych płotów.

Ögromne aloesy, splecione silnym bluszczem z granatami i z grubemi purpurą kwitnącemi kaktusami, tworzyły ten żywy płot. Gdzie nigdzie wyrastały z niego, jak wieże, wysokie palmy. Przebić się przez taki płot nie sposób; kule nawet działowe nie zdołają go powalić.

W tym wąwozie roślinnym pozostaliśmy z godzinę, odgranieczeni od świata jakby murem chińskim. Potem grunt zaczynał być skalistym, droga wznosiła się w górę,

wegetacya powoli znikąca, nareszcie znikła zupełnie i ustąpiła głazom.

Wzniesiliśmy się tym sposobem do dość znacznej wysokości, z kądem, stanawszy na najwyższym szczycie granitowego grzbietu, pożegnaliśmy raz jeszcze widokrąg zachodni, tak pięknie uprawiony, kwiatami zasiany, oświatą technicy, i przywitaliśmy widokrąg wschodni, skalisty, nagi, przepaścisty, jak chaos dziki.

Stroma, nierówna, okrągłemi kamieniami zasiana ścieżka, prowadziła z tego punktu w głąb czarnego, ponurego parowu. Zsiadliśmy z mułów i powierzyli je własnemu instynktowi, przymocowawszy lejce do siodła; sami nie śmiejąc patrzeć w głąb przepaści, schodziliśmy podpierając się długimi kijami. Kamienie okrągłe, które kiedyś tu podczas potopu morze zanieść musiało, nadzwyczajnie nam utrudzały pochód; naprzód dlatego, że noga na nich nie znajdowała punktu oparcia, powtóre dlatego, że kamienie poruszane, staczały się do parowu i nieraz nas boleśnie po nogach raziły.

Ścieżka tak była stromą, że naszemu mułowi jucznemu pakunek spadł przez łeb na ziemię i o mały włos go nie powalił. Muł byłby nas wszystkich z sobą w przepaść wtrącił, a na spodzie téj przepaści wił się szeroki i bystry Mondego.

Zeszliśmy i strumień łodzią przepłynęli, mostu bowiem ani promu nie było. Muły same za nami przepłynęły; zwierzęta te niechętnie podlegają człowiekowi, którego nie lubią, ale podlegać muszą, i o tém bardzo dobrze wiedzą. »Muł na to *zrobiony*, żeby nosił księży i podróżnych uczonych,« mówił nasz przyjaciel Manoel Eryceyra z Coimbry.

Z drugiej strony rzeki pięły się w górę wysokie tarasy, piętrzące się jedne nad drugimi, a pokryte winogronami, drzewami oliwnemi, święto-jańskimi i modrzewiem. Ścieżka wiła się zygzakiem na szczyt tych tarasów, a widok z niego jeszcze powabniejszy, jak z grzbietu skalistego, któryśmy z drugiej strony rzeki pozostawili.

Na północ sterczało pasmo niezmiernych gór, a pomiędzy niemi wznosił swe sędziwe, szronem okryte czoło stary Busaco, gór portugalskich patriarchy.



Z zachodu błyszczały szmaragdowe błonia Mondego, i wiała się pomiędzy nimi srebrna rzeka; dalej widokrąg ginął w modrym przestworze oceani.

Na południe pięły się dobrze uprawne pola u podnóża gór Condeisa coraz wyżej i wyżej, w miarę jak usilność ludzka wzrastała i praca popłacała; a z wierzchołków spadały z szumem dwa zapienione strumienie: Zezerre i Vereza, i spieszyły żywień nurty Tagu swemu wodami.

Ku wschodowi wyzierały z po za pagórków obszerne i skaliste płaszczyzny wyższej Beiry.

Słowem, z każdej strony odkrywał się inny widok, świadczący o niewyczerpanych zasobach wiecznej natury.

I my tutaj w tém błogosławioném miejscu stoimy, i w podziwieniu przyrody pogrążeni, nie mamy czasu myśleć; niekiedy tylko głębokiem westchnieniem dziękujemy Bogu, że nam dał zdolność ubóstwiać Stwórcę w naturze. Bo innéj nie mieliśmy myśli.

Nie siliłem się jeszcze wówczas na wyformułowanie przyczyn mego chwilowego szczęścia, na dyssekowanie mych wrażeń, na rozdrobnienie chaosu czarującego mnie piękna.

Byłem wówczas młodym i nie przewidywałem, że mi przyjdzie żyć wspomnieniami przeszłości, by mieć chwilę rokoszy!....

Ruszyliśmy nareszcie dalej, nagłeni prośbami przewodnika.

»Na Boga! panowie, powściągnijcie się w waszych ubóstwianiach, to jeszcze nie najpiękniejszy punkt Portugalii; jeżeli się już tu zachwycacie, cóż dopiero zrobicie później, kiedy wam pokażę trzydzieści potoków wytryskujących z pod nóg waszych i zalewających całą prowincję swym kryształem. To chyba głowę stracie wówczas, a ja za was odpowiadam ojcu Anzelmowi, spowiednikowi méj żony.«

Tak sobie gdyrał stary José, batożąc nielitościwie swego muła, którego kochał jak własne dziecko; ale idąc za radą Salomona: »gdy szcędzisz różgi, popsowasz dziecko«, niesłuchanie karał *postnumerando* i *praenumerando*. Nas zaś chciał prowadzić jak wróbli na nitce: nieubłagany to był opiekun, ten senhor José.

Nie będę opisywał szczegółów naszej drogi, tak urozmaiconej niestałością gruntu. Wszystkie żywioły podczas kształcenia się ziemi wywierały swój gniew na ten grunt portugalski, i pozostawiły go dziwnie uformowanym.

Lękam się także opisem bliższych szczegółów nadużyć cierpliwości czytelników, z których zapewne żaden nie pójdzie ich sprawdzać. Każdy zapewne woli w swych podróżach przechadzać się po wydeptanych ścieżkach tysięcy razy *prospektami* już opisanych miejsc, i potykać się raczej z kaprysami owego koła toczącego się poziomo, niż z niebezpieczeństwem dróg i gospod dzikiej Estrelli. Każdy woli odzuc jeszcze raz, już po milion razy przez innych strawione wrażenia, niż iść czerpać nowe myśli w świeżych jeszcze, nieogadanych krynicach. Każdemu prawie wystarczy powiedzieć: »i ja tam byłem«, a rzadko kto myśli się spytać samego siebie: »cóż tam spostrzegłem? coż tam uczułem?«

Dość, że tułając się po górach i dolinach, czołgając się po nad przepaściami i gramoląc na wierzchołki; ubolewając nad ruinami wielu pięknych klasztorów, podziwiając jeszcze nie zburzone kościoły: dostaliśmy się na szczyt Sierry de Murcella, gdzie stoi mała kapliczka, i ztąd ujrzeliśmy tuż przed nami niezmierny grzbiet Sierry de Estrela, cel naszej podróży.

Przenocowaliśmy w dość nędznej gospodzie we wsi Ponte de Murcella, mniej znużeni podróżą, jak życiem ugotowanej nam kury, której ani kawałka przełknąć nie można było. Stara ta jęmość przeszła w mumię jeszcze za życia: tak była suchą z temperamentu.

Nazajutrz posiliwszy się mlekiem kozim, chlebem z kukurydzy i figami fioletowemi, wyruszamy w dalszy pochód, drapiemy się na nową górę, i doszedłszy jej szczytu, napotykamy najwygodniejszą drogę, wysadzoną jarzębiną, kasztanami, święto-jańskim i oliwném drzewem. Dziwna to rzecz ta wygodna kareciana droga tu na wierzchołku niedostępnej góry; ale to kaprys pana barona, mieszkającego tam w owym zamku. Należy on do rodzaju dąsających się magnatów: z nikim nie żyje, synom daje domowe wychowanie, trzyma sobie czterech kapelanów i prosi Boga, aby Don Miguel wrócił jaknajprędzej.

Czas szedł swoim torem, a pan baron zgrzybiał przedwcześnie i dostał defektu w wątrobie; przytém zarosło mu trawą podwórko, dzieci dziczały i klną, aż się po parku rozlega, a kapelani ziewają i kłócą się pomiędzy sobą.

A czas idzie ciągle naprzód, nie pytając pana barona o pozwolenie.

Na śniadanie zawitaliśmy do *vendy*, należącój do bardzo porządných i uprzejmých włościan. Gospodarz miał pięcio-letniego synka, którego zdawał się nadzwyczajnie kochać, gdyż go z niezwykłą wykwintnością ubierał. Chłopczyk przylgnął do mnie bardzo prędko, tak jak zwykle przylegają dzieci, które jako najlepszych ludzi serdecznie kocham.

Wkrótce zawarliśmy wielką z sobą przyjaźń. Chłopak wskoczył mi bez wielkich ceremonij na kolana, i szturmował rozmaitemi pytaniami, a odpowiedzi słuchał z wielką uwagą. Nareszcie zagadnął: »Słuchaj panie, umiesz ty czytać?«

—Umiem, życie, umiem z drukowanego i z pisanego—odpowiedziałem.

—To słuchaj, zostań ty z nami; ojciec cię przyjmie na mego nauczyciela, będzie ci dobrze z nami. Ojciec nikogo nie bije—zapewniał chłopaczek.

Ojciec dosłyszał, jak mnie syn na guwernera werbował, i śmiejąc się, rzekł do niego:—Joakimcino, Joakimcino! co ty gadasz? dziecko; a przecież to wielki pan, bogatszy tysiąc razy odemie; to chyba ty w jego służbę wstąpisz i pójdiesz z nim w świat daleko od rodziców.

Chłopak się zamyślił głęboko i zasępił, a potém spojrział na mnie badawczym wzrokiem: z jego pięknych ócz jaśniała roztropność i dusza. Nareszcie spytał mnie:—A nauczysz mnie czytać i pisać panie? i pięknych pacierzy także? to pójdę z tobą.

—Nauczę z pewnością, bylebyś pozostał grzecznym.

Dziecko wstało z mych kolan, poszło do matki i łzy wylewając upadło jój do nóg, potém ojcu upadło do nóg, potém uściskało starszych braci i siostrę, nareszcie wzięło swój płaszczyk i czapkę i ciągle łzy wylewając, przybiegło do mnie i usiadło, już nie na mych kolanaech, lecz u mych nóg.

Wszyscy nie spuszcżając oka z dziecka, byliśmy zdumiałemi świadkami tego uroczystego wyrzeczenia się domu

dla nadziei nauki, w pięcioletniem dziecku, coś bardzo zastanawiającego.

Nawet pan T., który rzadko kiedy wychodził z przyrodzonego mu, a doświadczeniem jeszcze wzmocnionego stoicyzmu, tą razą nie powściągnął swego zadziwienia, i spytał gospodarza:

—Powiedz przyjacielu, zkąd ta żądza nauki w twém dziecku?

—Miesiący temu siedm, czy też ośm—odpowie gospodarz—Joakimcino złamał sobie nogę i w skutku tego długiego czasu strawić musiał w łóżku. Zawsze to było ciekawe i wiedzy pragnące dziecko. Dla bawienia go, daliśmy mu starą książkę z obrazkami, przedstawiającemi sceny z Pisma świętego. Książka ta zapewne pochodziła z zrabowanego klasztoru; kupiliśmy ją za kilkanaście reissów od jakiegoś łapserdaka. Dziecko całą uwagę zwracało na obrazki i ciągle się pytało o ich znaczenie. Ale z nas tu we wsi nikt a nikt czytać nie umie. Joakimcino ciągle się trapił odgadywaniem, aż przecież nadszedł jakiś podróżny czytać umiejący, i objaśnił mu wizerunki. Od tego czasu dziecko o niczem nie marzy, jak o książkach i cudownym sposobie zrozumienia rzeczy w nich zawartych, i ciągle mnie błaga, bym mu przyjął nauczyciela.

—I jakże, czy z téj ochoty do nauk dziecka twego zadowolonym jesteś?—pytał dalej pan T.

—Byłbym nią uszczęśliwiony, gdybym posiadał sposobność korzystania z niej dla dobra tego dziecka, które zupełnie do innych niepodobne: bawi się tylko historyami, uczeniem się długich pacierzy lub śpiewek na pamięć. Ale tu na dwie mile w około nikt czytać nie umie, a ja nie jestem w stanie opłacać sprowadzonego z Coimbrы nauczyciela.

—Jakto? na dwie mile nikt czytać nie umie, a o pół mili ztąd czterech jest kapelanów, prawie niczem nie zatrudnionych?—zagadłem.—Czyby który z tych wielebnych panów nie podjął się chętnie wychowania twego dziecka?

—Jezus Marya!—krzyknie gospodarz—co pan myślisz? a wszakże to nie księża świeccy, tylko mnichy. Dobrzeby mi było, gdybym się odezwał do nich z taką propozycją.

—A wy, wieśniacy, uważacie ukształcenie rozumu za rzecz potępienia godną?

—Dawniej lękaliśmy się nauki jak samego czarta; od lat jednakże kilku innego nabraliśmy przekonania. Wprzódy szliśmy za zdaniem mnichów, dziś idziemy więcęj za zdaniem naszych księży—odpowiedział gospodarz.

Istotnie, trzeba oddać sprawiedliwość wieśniakom portugalskim. Korzystali oni z zapałem z nowo zakładanych szkółek wiejskich i nigdzie nie wzbraniali dzieciom do nich uczęszczać.

Pan T. umiał być wspaniałym *a propos*, i zadawszy jeszcze kilka pytań małemu Joakimcino, na które śmiało i rozumnie odpowiedział, rzekł do jego ojca:

—Słuchaj, żądza nauki w twym synie nie jest przechodnim, dziecinnym kaprysem, lecz istotną potrzebą duszy. Staraj się zadosyć uczynić tój potrzebie. Ja ci ułatwię początek. Napiszę do przyjaciela jednego w Coimbrze. On ci wyszuka ucznia ze szkoły normalnej, i przyśle go na początku wakacyi, aby uczył twego syna czytać podczas czterech miesięcy. Ja biorę na siebie wynagrodzenie pieniężne, a ty tylko powinieś zobowiązać się wyżywić nauczyciela twego dziecka. W cztery miesiące pokaże się, czy Joakimcino posiada istotnie zdolności godne rozwijania, i w tym razie przyjaciel mój będzie się nim opiekował nadal. Czy przystaniesz na mą propozycję?

Łatwo można odgadnąć odpowiedź poczciwego wieśniaka, ale nie łatwo wystawić sobie wdzięczność całej rodziny.

Pan T. słowa dotrzymał, ale czy Joakimcino nadziei naszych nie zawiódł? tego nie wiem. Nie miałem nigdy sposobności odnowienia mych stosunków z mieszkańcami Estrelli.

Teraz pniemy się znów coraz wyżej ku wierchołkowi Sierry: raz gramoląc się po stromych ścieżkach, drugi raz schodząc w głębokie parowy.

Tak nam spieszo było zwiedzić tajemnicze jeziora, lasy i skały Estrelli, żeśmy nie dotrzymali naszego słowa, i nie odwiedzili vice-hrabiego de Molleras, który nas poznał u rektora uniwersytetu w Coimbrze i grzecznie do siebie zaprosił. Zrażeni nieszczerą grzecznością wysokiej szlachty portugalskiej w Lizbonie, nie przypuszczaliśmy, żeby

się miał znaleźć wyjątek właśnie pomiędzy Miguelistami, gdyż Visconde dowodził częścią armii pretendenta. Już za Napoleona był generałem w wojsku portugalskiem.

Dość, żeśmy nie wstąpili do starego generała i tego później bardzośmy żalowali. Vice-hrabia oczekiwał nas dni kilka i nawet ułożył plan zwiedzenia wszystkich cudów Estrelli w sposób dla nas najdogodniejszy i dla nauki najkorzystniejszy.

O milę za pałacem vice-hrabiego, pośród lasów, gór, strumieni i przepaści, w okolicy bardzo dzikiej, przestraszonych wzbudzającej, leży starożytny, ale dziś jeszcze obronny zamek rodziny rycerskiej portugalskiej, słynnej po dziś dzień z drapieżności. Zamek ten nazywa się Castro Vulturno (sępiam zamkiem), a dzieje jego są straszne. Później poznamy pana tego zamku, i razem z nim podróżować będziemy aż do Oporto.

Teraz droga nasza pełzała tuż przy brzegu skalistych ścian, spadającej może na tysiąc kroków tak stromo w niezmierny głąb przepaści, że dusza się wzdrygała w nią spojrzeć. Nawet muły nasze odwracały głowę i drżąc ze strachu nogi stawiały.

W tej głębokiej przepaści mieszkali jednakże ludzie, a dachy ich domów wyglądały jak małe szafasiki w niezmiernym odległości. Jak ci ludzie tam doszli i z czego żyją? tego nie wiem. Wiem tylko, że skrzydeł nie mają, i że jednej piędzi ziemi uprawnej zobaczyć nie byłem w stanie przez wyborną perspektywę drezdeńską. A jest tych ludzi sporo, przeszło 120 z dziećmi i kobietami, i to źle licząc.

Istnienie tej osady jest zagadką dla wszystkich okolicznych mieszkańców, z których żaden nie zna drogi prowadzącej do owej zakłętą doliny, nie zna nawet sposobu dostania się doń za pomocą sznurów i drabin. Rzeczki, przebiegającej ciasną, zewsząd pionowemi skałami zamkniętą doliną, nikt nie zna źródła. Rzeczka sama zapadła się gdzieś w ziemię, lub ginie w szczelinach skał; nikt nie wie gdzie się podziewa.

—Kto są ci ludzie? jak tam doszli i z czego żyją?— oto pytania, któremi niepokoiłiśmy naszego przewodnika.— Co tu robią w tym Erebie, gdzie żadna nie rośnie roślina? co gotują w tych domach, z których się kurzy, jak z in-

nych poczciwych mieszkań ludzkich? Dalej, senhor José, opowiedz, ręczę, że wiesz wszystko, tylko nas chcesz wytrzymać. Oto piast hiszpański na rozkazy jegomości dobrodzieja, może on ci rozwiąże język.

Stary lis wyciągnął drżącą łapę po wielki hiszpański talar, lecz wahał się jeszcze chwycić go; spozierał w około z nieufnością, nareszcie nie mógł się oprzeć pokusie, porwał za piast i rzekł półgłosem:

—Zaklinam się na mą duszę, że nie znam drogi do tego podziemnego świata, choć nieraz byłem w stycznościach z jego mieszkańcami. Ale im samym tylko wiadomy jest sekret wrót piekielnych, prowadzących do owęj doliny, zewsząd zamkniętej ścianami na ćwierć mili wysokimi, a tak stromemi, że mysz po nich nie przejdzie. Jednakże żyją ludzie w tym kraju i rozmnażają się; często mieszkańcy téj zagadkowej doliny uprowadzają z wiossek najpiękniejsze dziewice. Nieraz się zdarzy, że te kobiety wracają za lat kilka, mówiąc, że je porwano, z zawiązanymi oczyma po Bóg wie jakich drogach prowadzono i windowano, i nakoniec po kilku latach dobrego obejścia się w dolinie jakiejś, zewsząd zamkniętej, hojnie obdarzono, i w ten sam sposób odprowadzono. Istotnie wszystkie przybywają z majątkiem, *moralnie* nie popsute, nie zapomniawszy swych pacierzy; nie nabrawszy żadnych przywar, tylko zestarzewszy się cokolwiek. Nigdy się nie żałą na złe obejście i łatwo zyskują u księży wiarę, rozgrzeszenie i wszelką pomoc, w razie, gdyby im się chciało pójść za mąż; a to najczęściej bywa potrzebnem po takich wycieczkach do czarodziejskich krajów. Takich niedostępnych dolin jest kilka w górach Portugalii; są nawet takie, których nietylko droga, ale nawet i istność są jeszcze tajemnicą.

—Nie wątpimy o prawdziwości twych słów przyjacielu, i wkrótce za pomocą balonu z bogacim jeografię twęj ojczyzny; ale powiedz tymczasem, senhor José, z czego żyją i kto są mieszkańcy tych dolin?

—Kto są? tacy, którzy się kryć muszą przed sprawiedliwością prawa. Ludzie skazani za grzechy, ludzie pozostający po za prawem, a nie chcący dlatego opuszczać kraju, w którym się rodzili. Domyślcie się panowie reszty. Są pomiędzy nimi dobrzy i źli; ale i źli muszą mieć tutaj

charakter i honor, bo dotychczas nikt jeszcze nie zdradził tajemnicy wejścia do tego przytułku. Oto wszystko co wiem o tej dolinie, którą nazywamy Refugio.

Wązka nasza i skalista ścieżka raz się zbliżała do przepaścistej krawędzi, to się oddalała, aż nareszcie zoczyła nagle na lewo, i znikła na zawsze z przed naszych oczu owa tajemnicza dolina, w której żyli odosobnieni od świata dobrzy i źli ludzie.

I znów zstępujem w jakiś głęboki parów, i potem pniemy się krętymi ścieżkami na jeszcze wyższą górę. Jodły, sosenki, świerki, cedry i modrzewie wznosiły się na ścianie wystawionej ku południowi; co chwila witał nas szmer strumieni wytryskujących z ziemi, i obracających koła licznych małych młynów.

Pełno wszędzie krynic i płynnego chłodnego krzysztalu, i wielka ztąd rokosz dla nas i dla naszych mułów, którym, jak i koniom, wcale nie wzbraniają pić najzimniejszej wody, choćby były i najwięcej zmęczone, byleby tylko szły potem natychmiast w pochód. Zwyczaj to tatarski, zaprowadzony do Portugalii zapewne przez Maurów, a nieszkodliwy zupełnie, choć o tém inaczey utrzymują weterynarze francuzcy i niemiecscy.

I znów okolica inny przybiera charakter. Ścieżka nasza ciągle się rozprzestrzenia i zmienia w szeroką, wcale dobrze utrzymaną drogę; mnóstwo ścieżek pobocznych schodzi się do niej z gór i dolin, z wiosek, z szataśów pasterskich, z młynów i folwarków. Pielgrzymi i gromady innych pobożnych chrześcian, poprzedzone sztandarami, krzyżami i innemi godłami wiary, zstępują śpiewając godzinki i łączą się w wielki orszak, dążąc razem z nami ku San Romao. Po drodze wiele krzyżów, posągów i kapliczek wzniesionych na cześć Matki Boskiej; jaskinie zamieszkałe przez pobożnych pustelników; wszystko tchnie religią i gorliwym katolicyzmem. W kraju, w którym tak żywe wrą namiętności, chwilowa pobożność zawsze idzie ręka w rękę z długotrwałą przewrotnością. Jedno usiłuje zatrzeć ślady drugiego; ciągła w uczuciach walka. Tkliwość nie jest tu bardzo daleką od zapalczywości, korzenie się, od tyraństwa, skrucha od zaciętości.

Ale po cóż rozbierać z tak bliska przyczyny i pobudki zjawiska, które mnie wówczas do żywego rozrzewniło?



Jestem pewny, że pomiędzy pielgrzymami był nie jeden, którego głos więcej do rozkazu i groźby, jak do śpiewania godzinek przyzwyczajony, którego ręka częściej nosiła strzelbę lub puginał, jak krzyż lub chorągiew z wizerunkiem Boga-Rodzicy; a jednak w tej chwili nie myślałem o tém, i razem z innymi kłękałem przed wizerunkami, dawałem jałmużnę pustelnikom, bogatszym zapewne odemnie, i korzystałem się przed Majestatem Tego, którego świętość uzna choć czasem i najsurowsze i najprzewrotniejsze serce.

Dążyliśmy tedy wszyscy razem do San Romao, gdzie jest sławny klasztor z cudownym obrazem *naszej Pani z puszczy* »de nossa Senhora do estierro«, jak się wyraża Portugalczyk.

I cudowna woda, mająca przywilej uzdrawiania ran i wrzodów, znajduje się w San Romao. Z zakonników pozostało tylko trzech, najstarszych do odprawiania mszy; po zniesieniu klasztoru, który z rozkazu rządu zamieniono na *hospederyę*, to jest na dom przytułku dla podróżnych, oddających cześć cudownemu obrazowi. Resztę mnichów wydalono z klasztoru dlatego, że się zanadto do doczesnych rzeczy mieszali, i za wielki brali udział w polityce.

Równy z zachodem słońca, zapadającego jak ogromny świecący balon w ozłoconych, na szczycie gór wspartych obłokach,—równy z zachodem słońca stanęliśmy w *hospederyi*, gdzie nas przyjął bardzo uprzejmie gospodarz. Muły nasze umieścił w stajni, nas zaś w najpiękniejszych salach klasztoru. Żona gospodarza zniósła nam w oka mgnieniu talerze, filiżanki, noże i materace. Służącego i przewodnika wystaliśmy na wieś dla zakupienia kurcząt, jaj, masła, chleba i wina.

Kury tutejsze na nasze szczęście mniej były nerwowe i gadatliwe, jak owa sławna kura w Ponte de Murcella. Gospodyni upiekła nam z pół tuzina kuropatw na przyszły dzień, w którym pod przewodnictwem hospedera i senhora José, równo ze świtem postanowiliśmy zgłębić tajniki ciemnych i niezgłębionych jezior Estrelli.

Mieliśmy tedy tuż przed naszymi oczyma owego światu mało znanego Tytana, który szronem okrytą głowę grzeje wysoko w czystym lazurze nieba. Prowadzi na szczyt jego stroma ścieżka. Tylko na dobrych, wypoczętych i do tej podróży przyzwyczajonych mułach, można się puszczać

tą ścieżką. Nasze muły były znużone, innych dobrych nie było można dostać we wsi; nie tracąc zatem czasu, zaufaliśmy sile własnych nóg, i piechotą puściliśmy się w tę uciążliwą podróż. Tylko jednego wzięliśmy z sobą muła, aby nosił nasze płaszcze, kosze napełnione żywnością i winem, i inne do podróży naukowej potrzebne sprzęty; pomiędzy nimi łośdź ze skóry morskiej, rozpiętą na sztabach fiszbinowych, zaledwie trzydzieści kilka funtów ważącą, a tak wielką i mocną, że dwóch ludzi unieść mogła, byleby ci ludzie nie mieli objętości słonia, jak się to czasem i bardzo genialnym zdarza.

Ale nikomu nie radzę naśladować nas w tym względzie, jeżeli w jednym dniu chce odbyć tę podróż. Znużenie odbiera siłom duszy część polotu.

Sierra Estrella jest tak dziką, że widziana z punktu, z którego na nią wstępowaliśmy, przestrasza swym ogromem, spadzistością i surowym kolorytem.

Do naszego towarzystwa przypuścić musieliśmy dwóch ogromnych psów owczarskich, do gospodarza hospederyi należących. Łatwo w górach spotkać się z wilkiem lub niedźwiedziem, a wówczas przyda się tego pies i dla bezpieczeństwa i dla zabawy. Strzelby nie odstępowały nas ani na chwilę.

Po dwugodzinnéj uciążliwéj pielgrzymce stajemy na granicach ostatniej, ręką ludzką pielęgnowanéj vegetacyi, na polu zasianém owsem. Tu zaledwie wzrosły oziminy, a tam pod Coimbrą już dojrzewa pszenica. Ale też jaka różnica w temperaturze! Znajdujemy się w początku maja, szczyty Estrelli jeszcze pokryte śniegiem, a ten nawet za miesiąc nie zniknie.

W godzinę później dochodzimy do wysokości blisko czterech tysięcy stóp po nad powierzchnią morza, i znajdujemy się na brzegach małego jeziora, zwanego *Lagoua Redonda*, żywionego częścią z wewnątrz źródłami, częścią też z zewnątrz strumykami, pochodzącymi z stopniałych śniegów i ze źródeł.

Pniemy się jeszcze wyżej ku wierzchołkowi. Około nas szumiały strumienie spadające z łoskotem, sterczały niezmierne skaliste bryły. Potém znów powabna dolinka, gęsto zarosła jałowcem. Spłoszyliśmy chmary kwiczołów, kilkanaście pada pod naszymi razami.

Opadają nas psy, pilnujące tuż blisko licznej trzody kóz. Wszczyzna się walka pomiędzy tamtymi a naszymi. Przybywają pasterze i rozbijają walczące stronnictwa.

Pięknyto lud, ci górale Estrelli! Podobni do naszych karpaccich górali z wzrostu, układu, a nawet ze stroju. Noszą bowiem kapelusze z szerokimi skrzydłami, płaszczki dość krótkie, ale fałdzone, z sukna brunatnego, na nogach sandały plecione z korzeni perzu, i bardzo ciasne spodnie z skóry koziej, siercią na wierzch. Tylko zamiast owęj klassycznej, krótkiej, smołą balsamowanej koszuli, noszą rodzaj krótkiej bluzy z płótna czerwono farbowanego korzeniem marzanny.

Postawa tych górali może nie tak piękna i silna, jak karpaccich, wyrażała także mniej wrodzonej dobroci; ale za to więcej swobody, samoistnego życia i godności.

Zabraliśmy wkrótce z nimi bliższą znajomość, za pomocą naszej botygi z winem.

—Dobre tam u was wino w dolinach, czemuż je opuszczacie? Co was tu zwabia do tych zimnych, dzikich miejsc, gdzie nie rośnie jak wrzos i mizerna trawa?— spyta nas najstarszy góral, ojciec i dziad całego tuzina dorosłych synów i wnuków.

—Ciekawość, nie jak ciekawość, mój dobry człowieku; taż sama przyczyna, która was czasem do miast sprowadza—odpowiedziałem.

—O! mylicie się panowie, nas nigdy nie trapi płocho ciekawość; gdyby nie potrzeba, nie postąpilibyśmy nigdy o krok dalej jak nasze kozy, nigdy!—rzekł znów stary góral, patrząc na nas z politowaniem.

Górale wszystkich krajów, choć tak poetycznie nam się przedstawiają na scenie, nie wielkimi są przyjaciołmi postępu.

Nie tak dawno temu podróżowałem w Karpatach, i pytałem się pasących owce górali:

—Daleko jeszcze do Morskiego Oka?—a mogło być ze dwie godziny podróży.

—My ta nie wiewa paneczku, my tam nigdy nie byli, my wyżej nie chodziewa jak nasze owce—odpowiedział poczciwy góral, zdejmując kapelusz.

Góral Estrelli przemawiał z dumą, karpaccik z uniożnością, ale obaj to samo powiedzieli.

Wystarczy im na widownię całego życia kawał ziemi, na którym trzody ich znajdują wyżywienie; wystarczy im przestwór nieba, unoszący się nad tą *ojczyzną*. W nim czerpią wszystkie żywioły dla duszy, a nie w książkach lub w pożyciu z cywilizowanymi ludźmi; a jednak są dobrzy, bogobojni i ludzcy, może dlatego właśnie, że zależą wprost i tylko od nieba.

Jeszcze dwie godziny niewygodnej pielgrzymki, a znikł wszelki ślad wegetacyi. Śnieg tkwił jeszcze w szerokich szczelinach skał, opoki sterczały pionowo w górę, niezmiernie i zaokrąglone głazy leżały rozsiane na dnie głębokich wyżłobów skalistych. Byłyto łoża dawno wyschłych jezior. Kilka z tych głazów miało postać sarkofagów egipskich. Nie w życiu mém nie widziałem dzikszego: ani Hebrydy, ani Norwegia, nie przedstawiały mi nic równie posępnego, wyjąwszy ich nieprzejrzaną mgłę, której dziś w Estrelli ani śladu.

Dochodzimy nareszcie do wschodniego brzegu gór.— Przepyszny nas tutaj oczekiwał widok. Pod naszymi stopami leży przepadzista, na pół mili głęboka otchłań, a na jej dnie, w które słońce rzuca, jakby umyślnie, prawie pionowo swe promienie, rozeznajemy domy nie większe jak naparstki, i ludzi nie większych jak muchy. Na prawo sterczy wysoka śniegiem pokryta opoka, a na lewo piętrzą się góry w chaotycznym nieładzie. Tuż blisko niezmiernie jezioro odbija w swém zwierciadle lazur pogodnego, jak uśmiech dziecięcia, nieba, i ów niezmierny biały dziwotwór: opokę pokrytą śniegiem.

—A cóż?—przypominał nam José—czy słowa nie dotrzymałem? Widzieliście panowie coś równie pysznego w swém życiu? Ale nie na tém koniec: jeszcze mam piękniejszy widok w zapasie, i tam będziemy obiadować, gdzie go znajdziem.

Postępowaliśmy jak w krainie zaczarowanej od cudów do cudów. Nigdy niespodziewane piękności nie objawiały się tak licznie naszym zdumiałym oczom.

Tutaj na kilkaset stóp pionowo w niebo wznoszący się kamienny kregiel, tam znów blok ogromny, zawieszony nad przepaścią, a wszędzie jeziora, strumienie i kaskady spadające z niesłychanej wysokości, z łoskotem zagłuszającym odgłos pioruna.

I cudów tych, których systematycznem wyliczeniem nie chcę nękać cierpliwości czytelnika, żaden jeszcze podróżny nie opisał, a mało kto je zoczył! Każdy się widać obawiał przesady portugalskiej, i opisom krajowców nie zaufał.

Jeszcze z półtorej godziny drogi, a stajemy na miejscu, na którym wolno nam było spocząć pół godziny i posilić się nieco. Wybraliśmy kamień płaski na nasz stół, a leżące około niego głązy na krzesła. I siedliśmy jak niegdyś towarzysze Fingala, otoczeni w około głazami, postaciami wież, kazalnicy, mnichów, minaretów i sfinksów naśladowającami.

Dla wzroku naszego nie było granic. Ze wschodu sięgał on gór Hiszpanii, płaszczyzn królestwa Leonu, aż do Ciudad Rodrigo, ba! nawet aż do uczonej Salamanki. Na zachód przedzierał się aż do Coimbrzy i oceanu Atlantyckiego nieskończonej powierzchni. Na południe błakał się po niwach i błoniach Estremadury. Na północ tylko wysoka dla wzroku naszego zapora: szczyt śniegiem pokrytego Busaco.

Tytanie! wkrótce na twój głowie wzniesiem toast Portugalii, nad którą panujesz tak dumnie!

Po nad nami bujał swobodnie w czystym eterze nieba ptak niezmierny. »To sęp Estrelli«, krzyknie z gniewem senhor José. »Ha! idź sobie precz przebrzydłe ptaszysko, nie strasz nas tutaj swym złowróbnym widokiem.«

I tak się szarpiąc i gniewając, przewodnik nasz porwał za swą długą jak śmigownica espingardę, i wsparłszy ją na głazie, długo mierzył w ptaka; nareszcie strzelił. Echo odbiło długim rykiem huk wystrzału, ale ptak na 300 przynajmniej kroków oddalony nie spadł, tylko zakręciwszy się, dążył ku urwiskom skały.

—Tak! bylebyś sobie poszedł precz złowróbnym ptaku. Precz z tego miejsca, gdzie o nieszczęście nie trudno—zawołał José, nabijając swą strzelbę.

—Coś widzę senhor José nie jest w stosunkach przyjaźni ze wszystkimi mieszkańcami Estrelli?—zapytał Dr. L.

—Wszystkie sępy tej góry są czarnoksiężniki, moi panowie. Wolę spotkać bandytę, niż sępa. Ale gdzie jeden, tam najczęściej i drugi. Oni wietrzą ścierwo ludzkie je-

szcze za życia: to rzecz wszystkim wiadoma. Nie prawdaż *senhor hospederio*.

—Wątpliwości nie podlega, że to są istoty najgorszą reputację mające w całej Portugalii, i zdające się zasługiwać na nią—odrzekł ostrożnie i sentencyonalnie *senhor hospederio*.

—Ha, ha! to jakiś nowy zabobon portugalski! —odezwał się znów doktor L.

—Heretycy w nic nie wierzą, bo im się zdaje, że cały rozum ludzki posiadli—mruknął sobie pod nosem José.

W dalszym ciągu téj podróży, sępy Estrelli ważną i krwawą grą będą rolę.

—*Vamos Senhores!* zawołał znów *senhor José*.—Jeszcze jedno wysilenie, jeszcze godzina, a jesteśmy u celu podróży, na punkcie najwyższym Portugalii, zkąd mój patron, święty pustelnik Józef de Visu, został wziętym do nieba.

Zbieramy znużone członki, i za pomocą lin, drabin i haków, kopiemy się przez śniegi, walczymy z zimnem i znojami. Wzruszony śnieg stacza się zpod nóg naszych, i zwijając się w coraz większe kłęby, spada w lawinach w doliny, porywa z sobą ogromne głazy i roztrąca powietrze hukiem silniejszym, jak wystrzały ogromnych móżdziejczy: powiedziałybyś, że się góra rozpada na kawały.

Muła z jukami musieliśmy zostawić pod strefą śniegów; miał okrążyć górę i oczekiwać nas w miejscu oznaczoném na północnej pochyłości Sierry.

Przecież jesteśmy u celu podróży, ale w jakim stanie! Znużenie i rozrzedzone powietrze ledwo nam nie rozsadzi piersi; każdy z nas kaszle, i pocąc się, drży od zimna. Zmęczenie pozbawiło nas wielkiej części przyjemności, jakichbyśmy doznali ze zwalczenia tak wielkich trudności, z dopięcia celu.

Szczyt góry Busaco jest wyniesionym na 7,300 stóp po nad powierzchnią morza. Miejsce to ma ćwierć mili objętości i jest okrągłe i płaskie. Pobożny Jan V. kazał tu wzniesić wysoki obelisk ze statuą świętego Józefa.

Mało jest w świecie punktów, zkądby oko dalej sięgać było w stanie. Wzrok tu nie znajduje żadnych granic, ginie w nieskończoności.

Trzy wielkie rzeki: Mondego, Alva i Zezerre, i kilkanaście pomniejszych, biorą początek u stóp starego Busaco, w naszych oczach wytryskują, roztaczają się w dalekie strony, i wpadają do Douro, Tagu i do morza. Lecz i tu nie dano nam bawić długo. Nieubłagany mentor znów krzychał: »Dalej, spieszmy się, moi panowie! niech nas zachód słońca nie zaskoczy ani tu, ani o trzy godziny drogi ztąd. Przepadlibyśmy niezawodnie. Ciemność, zimno, przepaści, śnieg, deszcz, wilki i niedźwiedzie, wszystko nam grozi zagładą.«

—A gdyby który z nas nogę wybił?—spytałem.

—Toby był nieodwołalnie straconym, on i przyjaciel chcący z nim pozostać. Ja po prostu zapowiadam, że z nikim nie pozostaję za nic w świecie, nawet gdyby mnie sam śty Józef do tego nakłaniał. Szatański sęp i tak mnie już przestrasza. Dalej panowie! zjeżdżajmy na saniach.

I to mówiąc, senhor José usiadł na śniegu i zjechał po jego zmarzłej powierzchni w głąb pierwszego parowu, na 500 stóp głębokiego. My poszliśmy za jego przykładem; i tak zjeżdżając w parowy, gramoląc się rękoma i nogami na krawędzie zewnętrzne parowów, stanęliśmy w kwadrans na granicy strefy śnieżnej, z kądem z wielką pracą i w godzinę nie zaszlibyśmy na szczyt góry. Później skacząc ze skały na skałę po nad przepaściami, pełzając na czworakach, windując się po sznurach, stajemy przecież na brzegach Czarnego jeziora, wyniesionego na blisko 5,000 stóp nad powierzchnię morza. Obwodu ma ćwierć mili, a brzegi jego skaliste, w górę wyniesione i zewnątrz wywrócone, dochodzą do 80 stóp wysokości. Wielkiej doznałszy trudności w przedarciu się aż do powierzchni wody. Nie widziałem nigdy nic podobnego w życiu, ani nawet nie słyszałem, nie czytałem o niczym podobnym. Żaden znak życia na jeziorze, lub w nim, lub około niego; żaden ptak, żadna ryba, żaden owad. Klątwa jakaś cięży na tych czarnych, zimnych wodach: ono musi być siedzibą jakiegoś zaklętego ducha!

Jezioro to jest prawdziwą ciekawością i godnym największego zastanowienia. Głębia w niem niesłychana. Za pomocą łodzi naszej dopłynąłem z Dr. Lange aż do środka. Ołowianka nasza, na 1,000 sążni długa, nie znalazła w tém miejscu gruntu. Może brakowało kilka sążni,

może ich brakło tysiąc jeszcze, nie wiem, dość, że zgłębić nie byliśmy w stanie jeziora w jego środku. Oficerom inżynierii francuskiej także nie udało się zgłębić je podczas wojen Napoleońskich, choć pewno wszelkiego w tém dziele dołożyli starania. Termometr, zatopiony razem z ołowianką i długo na dnie trzymany, potem zaś z szybkością wyciągnięty, opada o sześć do dziesięciu stopni na powierzchni; ale żadnego śladu życia w głębokich nurtach, i tém jezioro Czarne różni się od Morskiego Oka Karpat, w którym żyją ryby.

Zad n też przyptyw zewnętrzny nie żywi tego tajemniczego, zagadkowego jeziora, zewsząd otoczonego brzegami, wznoszącemi się jak wał; łożysko tych wód zdaje się być kraterem zatopionego wodami morza wulkanu. Wody te są lekko słonawe; spostrzegać się daje na ich powierzchni słaby ślad peryodycznego opadania i przybierania, mający związek z przyptywem i odpływem oceanu; ale szczątków okrętów zatopionych w morzu, algów lub morskich muszli, znaleźć nie mogliśmy nigdzie. Geologowie utrzymują, że istnieje jakaś podziemna komunikacya pomiędzy nurtami Czarnego jeziora, a wodami oceanu, lecz że wody przechodząc z oceanu przez podziemne warstwy, utracają w nich wielką część swych pierwiastków słonych. Formacya skał zdaje się być wulkaniczna; wnoszę to z pochyłości warstw, ze śladów bazaltu, tu i owdzie rozrzuconych.

—Panowie! na Boga! słońce się chyli ku zachodowi, a my jeszcze tutaj!—krzyknął José, lękając się nocy, przepaści i wilków.

Zapakowawszy łądz, udajemy się w dalszy pochód, to jest wracamy do San Romao. Nocować tu nie można bez wielkiego zapasu drzewa na tych górach, a ten bardzo trudno zebrać; spieszymy tedy na dół. Zimno ustępowało tak szybko, jak gdybyśmy balonem zjeżdżali z po za obłoków na ogrzaną ziemię. Po kilkogodzinnym marszu wychodzimy z obłoku, którym się otuliła Estrella, i spostrzegamy znów świat zamieszkały. Pragnienie dokuczało nam okropnie, a zapas wina wypróżniony aż do ostatniej kropli.

—Dukata dałbym za kawon z San Romao—zawołałem.

—Będiesz go pan miał wkrótce taniiej. Widzisz pan te dwie postacie? to są kobiety z Covelinias, niosące na głowie koszyki napełnione owocami z San Romao. Pozwól-



cie mi panowie tój trąbki—mówił José i przybliżywszy ją do ust, wołał co tylko miał siły:

—»*Montaneiras, montaneiras, ariesten se!* (Góralki! góralki! zatrzymajcie się!)

Góralki stanęły i w nas się wpatrywały długo; nareszcie siadły na ziemi i wydobywszy z kieszeń pończochy, zaczęły je wdziewać na nogi.

Spostrzegły widać, żeśmy *Caballeros*, i że ich spódniczki za krótkie na gołe nogi.

—Wysokie, wysmukłe, czarnobrewne, śniadolicie anioły! macież melony lub kawony dla spragnionych podróżnych?—przemówiliśmy z rozczuleniem do naszych góralek.

A góralki parsknęły ze śmiechu, i młodsza z nich, która była panią drugiej, cokolwiek starszej, kazała nam podać koszyk napełniony melonami, kawonami i pomarańczami.

—Niech wam to *nossa Senhora do estierro* wynagrodzi, o anioły pocieszyciele! ale siadźcie z nami tu obok tój krynicy—rzekłem.

I wszyscy siedliśmy obok srebrnego, mruczącego źródła. Góralki podawały nam przesłiczne owoce, litując się nad naszym znużeniem, czerpały nam wodę z krynicy i piły do nas przezczysty kryształ.

—Biedni panowie! i któż wam kazał chodzić tak daleko i tak się srogo męczyć? Zapewnie *votum* jakie ślubowane świętemu Józefowi z Viseu? Musicie być panowie bardzo nabożni?—mówiły góralki.

A my odpowiadaliśmy:—»Tak, tak moje dzieci, to ślub, to nabożeństwo, a nie płocho ciekawość, broń Panie Boże!«

I nuż góralki litować się jeszcze więcej nad nami, i obmywać nam czoła, i polecać się naszym modłom.

A potem, jak już nic nie pozostało w koszykach, chciały pożegnać nas dobre istoty, nie żądając nawet zapłaty za owoce, które same dla swych krewnych zakupiły.

—Oh! nie tak, moje dziewczęta: oto dla każdej z was po kruzadzie.

—Panowie! na Boga! to zanadto wiele; nie, nigdy nie przyjmiemy—rzekły razem nasze góralki, kryjąc ręce pod fartuszkami.

Ale i tam je znaleźliśmy: przyjąc musiały po długich korowodach.

—To już z panami wrócim do San Romao, i tam na mszę oddamy część naszego bogactwa, by was Pan Bóg i nasza Pani z puszczy zachowali w swęj świętej opiece. Tam u znajomych przenocujemy, i jutro jeszcze z piękniejszemi owocami wrócim do Covelinias, do naszych—powiedziały góralki, naradziwszy się z sobą.

I poszły z nami poczciwe niewinne istoty. U nich religia nie jest przechodnią rzewnością, ani też znękaną, przesyconą duszy ostatnim ratunkiem: u nich religia jest wiarą, przekonaniem, splecioną z poezją nieodstępującą ani na chwilę umysłu, w podziwianiu nieba i natury wzrosłego.

Towarzyszyły nam skacząc z skały na skałę i podając nam ręce. Zawstydzaly nas dziarskością swych małych nóżek, tak silnych jak jelenie.

Jeszcze jeden parów, jeden gaik i jeden wąż. Psy nasze biegnące naprzód, witają wesołym szczekaniem gościnną hospederyę.

Gospodyni czeka nas. »Już kąpiel i herbata dla panów gotowa. Biedni panowie, tak jesteście znużeni!«

—Bądźcie zdrowe, kochane *montaneiras!*

—Do jutra, do mszy ranej *Caballeros!*

One i na chwilę nie wątpily, że z każdej mszy korzyść przywykliśmy. Nie zawiodły się nateraz, jak to zobaczymy jutro.

Po kąpeli, po herbacie, legliśmy na naszych łozach, i anioł snu uniósł nasze dusze w błogie krainy pokoju i słodkich marzeń.

## ROZDZIAŁ VIII.

MSZA RANNA W KOŚCIOŁKU WIEJSKIM. — FRANCUZ I NIEMIEC. — DOBRY PRZEOR. — SANTA SOFIA. — WODOCIĄG NOWEGO WYNAŁAZKU. — TORTOLINA. — JÉJ SEN. — ODPOCZYNEK W GAIKU. — RÓWNINY VISEU. — NIEMIEC OSIADŁY W PORTUGALII. — TEATR. — GUBERNATOR. — LUD. — OKRZYKI.

---

Świtało. Drżące, nieśmiałe światło przekradało się cienkim promieniem przez szczelinę okiennic do naszej sypialni; a tam na dworze, odgłos małej a dźwięcznej jak srebro sygnaturki, wzywa już chrześcian do modlitwy.

Przebudzam się. Ale już nie śpią moi towarzysze: jeden w jednym, drugi w drugim końcu długiej sali ubiera się prawie po ciemku i cichaczem, zapewne żeby mnie nie przebudzić. Zkąd te zbytne względy?

—Ho, ho! panowie! jakoś się bardzo rano wybieracie dzisiaj: czemu tak spiesznie?—zapytałem.

—W istocie jeszcze bardzo rano, ale chciałbym przed odjazdem zwiedzić ruiny owój forteczki, leżącej tam na wzgórzu, i zdjąć jój plan. Mnie to interesuje jako wojskowego; jakieś wcale nie źle pojęte dzieło. Spij jeszcze, masz prawie godzinę czasu—odpowiedział kapitan T. K.

—A ty doktorze?—zapytałem pana L.

—Ja chciałbym obznajmić się jeszcze lepiej z Florą tego kraju. Wiesz, że są takie kwiaty, które się najlepiej w rosie porannej rozwijają; naprzykład pewne tak nadobne krucyfery. Interesująca to rzecz podejść naturę *in flagranti delictu* rozwijania. Prześpij się jeszcze! — odpowiedział znów Dr. L.

—Dobrze, dobrze—mówię do nich, ale do siebie samego powiadam: to coś zawikłanego, owe fortece maurytańskie, owe krucyfery, które *in flagranti delictu* rozwijania podchodzić trzeba. Zobaczymy.

Udaję tedy śpiącego, chrapię. Kapitan wychodzi cichaczem jednymi drzwiami, doktor wykrada się drugimi.

Wyskoczyć z łóżka, ubrać się i wyjść długim kurytarem na dziedziniec klasztorny, było dziełem jednej minuty.

Jeszcze słońce nie weszło nad zębate pasmo gór, przedzielających wschodni widokraj; tylko obłoki wsparte na jego szczytach jaśniały pysznym purpurowym światłem, i rozwijając się, rozchodząc w coraz cieńsze, przezrocystsze złote głązy, rzucały drżącą i niepewną jasność w ciemne tajniki dolin Estrelli. Wielki Busaco, panujący nad całą krainą, otulił się niezmiernym złotolitym płaszczem, i dźwiगाł na swój głowie ów posąg Świętego, z pod stóp którego wczoraj spoglądaliśmy na ten ogromny krajobraz, jakby z balonu bujającego nad obłokami.

Uderzony, przyciągnięty, oczarowany tym pysznym widokiem, stanąłem i zapomniałem płochych przyczyn, dla których tak szybko opuściłem me łóżko. Spętane nogi unieść mnie dalej nie mogły, całe me życie skupiło się w mych oczach.

Nie wiem, jak długo stałem oczarowany, nie wiem, czy chwila była wiekiem, czy wiek był chwilą, gdy wtém budzi mnie odgłos sygnaturki bliskiego kościołka. Żadrzał on w mém sercu jak głos archanioła, zatętnił w méj duszy całą siłą uroczych wspomnień tego wieku, w którym mnie codzieln, w małym miasteczku nad rzeką Nidą, głos szkolnego dzwonka powoływał do nabożeństwa i do pracy. I oko me już nie widziało przed sobą, i posłuszne głosowi dzwonka nogi ocknęły się z letargu, i zawiodły mnie do kościoła.

Msza ranna, cicha w kościołku wiejskim! Ludzie, których kształty w słabém świetle zaledwie rozeznac możesz, ludzie korzący się przed Bogiem tak rano, równo ze świtem, kiedy jeszcze żadna myśl ziemska zbudzić się nie mogła w ich duchu! To powietrze świeże, ten uroczy pomrok zalegający nieokreśloną żadnemi granicami przestrzeń! Te świece rzucające blask słabo niebieski na ołtarz i na siwą głowę sędziwego pasterza! Westchnienia skruchy i pokory przerywające to święte uroczyste milezienie, i hymn ten jednogłośny tak prosty i serdeczny! Czyż dusza takim się oprze wrażeniom? któż w takiej chwili nie podda się chętnie wzruszeniu, pomimowolnie wdzierającemu się do serca?

i któż nie przyzna, że miło je doświadczać? któż nie żałuje, że dobrodziejstw jego częścię nie użyje?

Ileżto razy w podobnych chwilach większej nad wszystkie inne roskoszy, nie pytałem siebie: czemu ich częścię nie szukałem? Czyto z obawy, żeby przyzwyczajenie nie stępiło méj czułości, nie pozbawiło mnie wrażliwości? czy też z obawy, żebym nie doznawszy raz dobroczynnego a tak zbawiennego wpływu, nie zwątpił o sile własnych mych uczuć? czy też może z obawy, żeby mnie nie wzięto za jednego z tych świętoszków, którzy wzywają Boga codziennie i *przed licznymi świadkami*, a bliźnich swych nie kochają, o sobie jedynie myśląc; za jednego z owych, którzy Pana Boga skonfiskować usiłują na własny użytek? Nie wiem. Wiem tylko, że nie wszędzie wstawać można równo z świtem, że nie wszędzie są kościołki ciche, wiejskie, że nie zawsze duchowni z sędziwemi *duchownemi* głowami. Wiem także, iż trudno w miejskich kościołach zapomnieć téj szalonej wrawy namiętności dzisiejszego wieku, i uwierzyć, że świat będzie lepszym.

Ale już świece gaszą, nabożny lud wolnym krokiem niechętnie opuszcza ten święty przybytek, wychodzi jednakże do pracy; wychodzą i młode *montaneiras*, nasze dobrodziejki z dnia wesorajszego, a za nimi—czy mnie oczy nie mylą? Nie, doprawdy, to oni: za nimi idzie najprzód kapitan, a potem kilka kroków za nim kryjący się w tłumie doktor filozofii.

—To tutaj zbierałeś plan fortecy, kapitanie? to tutaj podchodziłeś twe krucyfery *in flagranti delictu* rozwijania, doktorze?—zapytałem.

Niemiec wstydził się jak kozieł zdybany w kapuście, a Francuz jak wilk spotkany w owczarni.

—*Ma foi, les beaux esprits se rencontrent partout*—rzecze Francuz; Niemiec zaś utrzymywał, że się kwiaty tą razą nie rozwinęły: zapewne dla pewnych przyczyn telluryczno-atmosferycznych, których działanie będzie przedmiotem jednej z jego późniejszych rozpraw *in folio majori* z drzeworytami.

Jeszcze się Francuz żarcikami wykpiwał, a Niemiec erudycją wyłgiwał, kiedy do nas przystąpił sędziwy przeor, ten sam, który właśnie celebrował, i spytał: czy może korzystać z naszego towarzystwa i puścić się do miasteczka

Viseu, gdzie się rozpocznie jutro odpust i targ sławny na całą Portugalie, przyciągający z daleka bardzo wiele ludu.

—A któżby nie chciał podróżować pod opieką twój sukni? księżę dobrodzieju; więcej ona warta w tym kraju, niż cały pluton żandarmeryi—odpowiedzieliśmy.

—Dobrze, moi panowie, będę się starał zasłonić was od wszelkiego niebezpieczeństwa, od którego suknia księża zasłonić może; ale komu czas, temu w drogę. Mamy siedm mil opętanych przed sobą. Wypada wyruszyć najdalej za godzinę i posilić się przed wyjazdem. Wyświadczenie mi panowie zaszczyt przyjęcia u mnie czekolady, proszę panów jak najserdeczniej.

Już miałem przyjąć szczere zaprosiny przeora, kiedy mi kapitan T. K. przerywa mowę słowami: »Księżę, bądź raczej łaskaw podzielić się naszym śniadaniem; my już zaprosiliśmy na nie owe dwie góralki z Covelinias, które nas wczoraj tak dobrą uraczyły kolacją i mają prawo do naszej wdzięczności.

—To się wszystko da pogodzić, kochany panie, bylebyś tylko zechciał. Proszę do siebie całe towarzystwo wraz z owymi dobrymi dziewczynami, fundatorkami mszy dzisiaj, które znam bardzo dobrze. One się podzieliły z Bogiem swym majątkiem, słusznym jest, żebym ja podzielił się z nimi mym chlebem—naglił ksiądz przeor.

—A rygor klasztorny czy pozwala księdzu przeorowi przyjmować u siebie kobiety?

—Od pewnego czasu jestem zostawiony w tym względzie własnemu memu sumieniu, i pozwoliłem sobie przyjmować u siebie kobiety, bylebym to zrobił w przytomności tej siedmdziesięcioletniej głowy, którą na karku noszę. Dobry to stróż taka stara głowa, przekonacie się panowie o tém za lat kilkadziesiąt—zaręczał przeor.

Góralki chętnie przyjęły zaprosiny i pocałowały księdza w rękę. Towarzysze widząc to, przystali także. Takim sposobem Kowelinianki uszły niebezpieczeństw zdradzieckich nięglów Francyi, i ciężkiej erudycyi niemieckiej, a ja zyskałem znajomość jednego z najmilszych starców, jakich w życiu mém spotkałem.

Książ ten czeił Boga, nie ową bierną miłością, nie z powinności, z przyzwyczajenia, lub też z trwogi, lecz ową rzewną, głęboką, codziennie świeżą miłością, jaką się kocha

najszczytniejsze piękno, najczulszą dobroć, tak jak się kocha jedynego pana świata i ojca wszystkich ludzi. Wiek nie stępił w nim serdeczności, rzeźwości uczucia, a fanatyzm nigdy się nie mieszał do niego. Owszem, umiał kochać bliźniego i w różnowiercu nie wyszukiwał nigdy co jest w innych wyznaniach złego, ale czczył co w nich pozostało dobrego. Myśl o Bogu nie odstępowała go nigdy, ale dlatego nie miał tego usposobienia solennego, które mrozi swém zimnem, czasem nawet odpycha; przeciwnie, umiał i żart znieść i sam pożartować, lubił ludzi wesołych, bo i w wesołości serca znajdował dowód jego dobroci. Rozumem nabytym w książkach nie sięgał daleko; ale tym rozumem, który się czerpie w prawości i czystości uczuć, w przekonaniu na postrzeganiu i doświadczeniu opartém, władał bardzo zręcznie.

Żywot tego kapłana był prosty tak jak on sam. Jedną się tylko różnił rzeczą od ogółu swych kolegów: był kapłanem z powołania i został nim, nie będąc do tego nagłym potrzebą zabezpieczenia sobie losu, i w wieku, w którym człowiek zna się doskonale i ręczyć może za siebie sumiennie.

Jako syn dość majątnego obywatela, miał, po skończeniu w szkole koimbryjskiej wychowania, osiąść na roli ojca, gospodarować razem z nim, a potem ożenić się, skoro mu się zdzudzi samemu. Ale chęć małżeństwa nie objawiała się nigdy z siłą bardzo przemagającą, czy też inne uczucia daleko głębsze, a ciągle towarzyszące młodemu człowiekowi, zwalczało w sercu jego owe uczucie, które jest najczęściej wynikiem funkcji fizyologicznej. Wcześniej odezwało się w nim powołanie najświętsze, jakie na tym świecie spełnić można, jeżeli jest czystém i szczerém: to jest jako *ofiara*. Długo się wahał młodzieniec, długo samemu sobie nie dowierzał, długo i często oddalał pod różnemi pozorami spełnienie życzenia rodziców, namawiających go do połączenia się ślubnym związkiem z jaką godną siebie towarzyszką. Tak nadszedł dla Don Antonia rok trzydziesty, i wtenczas dopiero, będąc pewnym siebie, wyznał rodzicom, że się czuje być powołanym do służby Boga, że nie zaniedbując żadnej z powinności syna i obywatela, kilkanaście lat strawił

nad badaniem swęj wiary i swęj siły, że teraz dopiero, widząc się dojrzałym i w stanie ręczenia za sobą, widząc się nieodwołalnie utwierdzonym w swych chęciach, prosi rodziców o błogosławieństwo na zawód tak różny od tego, który mu gotowali. Spodziewał się wielkiego oporu, żalu i wyrzutów ze strony rodziców. »Ale jaka radość w me serce wstąpiła—opowiadał dobry starzec—gdy sędziwy mój ojciec, otarłszy swe łzy, rzekł: Dobrym byłęs synem, dobrym będziesz i kapłanem, i nie skrzywdzisz nigdy świętęj sukni kapłańskięj. Niech się stanie wola Boga! Wstąpiłem wkrótce potęm do Augustyanów tutaj w San Romao, poświęcających się, tak jak owi zakonnicy góry św. Bernarda, usługę Boga, chorych i podróżnych, których zimą tutaj nieraz przywalają śniegi. Zamknąłem późnięj powieki memu rodzicowi i męj rodzicy, którzy mnie znali podczas lat kilkunastu kapłanem. Majątek mój darowałem klasztorowi, a teraz, po zniesieniu tych przytułków, żyję tu samotny i prawie z jałmużny w tęp miejscu, którego byłęm przed lat trzydzieści kilka dobroczyńcą. Niech się zawsze i wszędzie dzieje wola Boga!«

Prosta ta historia bardzo nas wszystkich ujęła. Miłe nam było towarzystwo kapłana, który sam dla siebie był surowym, dla innych zaś pobłażającym, który teraz widząc się prawie żebrakiem w sędziwęj starości, nie szemrał nigdy przeciw wyrokowi ludzi, który cały oddany Bogu i ludziom, nie mieszał się nigdy do polityki, nie intrygował, i żadnych nienawiści nie był apostołem.

I znów jesteśmy w podróży. Góralki wróciły do Covelinias, pożegnawszy się czule z bogobojnemi podróżnikami. Hospederowi zostawiliśmy piękny upominek za wszystkie doznane grzeczności. Wsiadliśmy na nasze muły, a przeor w długięj czarnej sukni, w kapeluszu z wielkiemi podwiniętemi skrzydłami, w butach z wysokimi cholewami i niezmiernemi ostrogami, dosiadł żwawego konika. Służący jego zaś wdrapał się na ośła objuczonoego przedzą, którą przeor sprzedać zamyślał na targu w Viseu. Podarunek to wieśniaczek okolicy.

Coraz niższemi górami, coraz mniej głębokiemu wąwózami doszliśmy powoli do obszernęj doliny, zawartęj pomiędzy górami Estrelli od południa, od wschodu zaś i półnoocy pomiędzy pasmami gór Caramulo i Marao.



Już minęliśmy powabne wioski Folgoza i Figueredo, łączące na wzgórzu pomiędzy lasami drzew rosochatych. Przed nami leży smutna, jednostajna dolina, w której nie nie przyciąga oczu.

Tuż blisko znacznej wsi, zwanąj Santa Sofia, spotykamy liczne grupy wieśniaków, przystrojonych w świąteczne suknie. Kobiety w jaskrawe płaszcze i czepee ubrane siedzą na osiołkach, inne młodsze biją w jakieś czworograniaste tarabany, śpiewają i tańczą, mężczyźni zaś rozrywają uszy odgłosem piszczałek, skrzypców i gitar. Wszystko to ciągnie do Viseu na odpust, zwabiający z dalekich stron wszystko co żyje. Za wsią, w obszernym ogrodzie, wznosi się dziwnie wielki i ozdobny budynek. Jestto początek wodociągu. Niezmierne koło, wodą ze spodu pędzone, czerpie żywioł dający mu ruch, wznosi go do wysokości wodociągu na czterdzieści kilka stóp, i tam wylewa w kamienne łożo strumienie czystej wody. Wcałe nieźle wymyślona machina hydrauliczna i w bardzo dobrym zachowana stanie, co rzadką jest rzeczą w owęj niedbałej Portugalii.

Po pięknym murowanym moście przekraczamy znów rzekę Mondego, tak krętą i wijącą się, że jęj pełno wszędzie na naszej drodze. Wyminąć ją tak trudno, jak nudziarzy lub próżniaków na tym świecie.

W pośrodku gajku jodłowego rozwinęła się zupełnie niespodziewanie bardzo piękna i żywa widownia. Tutaj wystawiono wiejski szałas dla wygody podróżnych, udających się na odpust. Pod cieniem drzew stało kilka bud z stołami i piecami, piekły się ryby, kuropatwy i kurczęta, leżały tam wielkie snopy młodej kukurydzy dla koni i mułów, stały beczki z wodą i antańki z winem.

Panią tego improwizowanego karawan-seraju była młoda kobieta, wprawdzie bardzo przystojna, ale wcałe nie skromna, ani też obyczajna. Należała do rodzaju Jewek z pamiętnej marymontskiej Bryłówki, tylko może jeszcze wyuzdańsza w mowie. Zobaczywszy nas z daleka zbliżających się, przybiegła do przeora z serdecznemi okrzykami radości, zaręczając, że jęj sen zwiastował przybycie wielebnego ojca.

—To niewielka rzecz, *mi vielha tortolina* (stara turkawko); wiesz dobrze, że się żaden odpust w Viseu beze-

mnie nie obejdzie, przynajmniej dopóki żyję—rzecze uśmiechając się przeor.

—Ale mi się inna jeszcze rzecz śniła, i wyśnić się musi koniecznie. Oto, że mnie ksiądz przeor pocałował—do dała wdzięcząc się turkawka.

—Oho! z tego nic nie będzie! — krzyknie strwożony przeor.—*Appage Satanas!* idź precz ty bezwstydna, idź ty kusicielko!

Opisać nie zdołam wyrazu twarzy wielebnego ojca; w jego świętym gniewie było tyle dziecinnego wstydu, rumieniec tak żywy wystąpił na jego sędziwe lica. Bronił się jak panienka szczerze się broniąca. Widać było, że pierwszy raz w życiu znajdował się w podobnym położeniu. Konia popędzał ostrogami i walił go gromnicą, którą mu właśnie wieśniaczka jedna w przechodzie darowała.

Ale kusicielka złapała mocną dłońią konia za lejce i rzekła dalej: »A ocknąwszy się ze snu, ślubowałam, że jeżeli mi się sen wyśni, wówczas dam dla hospederyi w San Romao antałek wina dla chorych, i wstąpię na trzy miesiące do klasztoru Wizytek w Viseu na rekolekcyę.«

—Tak ślubowałaś kobieto?—pyta ksiądz, przestając konia popędzać ostrogami i gromnicą.

—Jak mi *Nossa senhora de estierros* miłą i świętą, tak ślubowałam i ślubuję w tej chwili, w obec wszystkich tu zgromadzonych świadków—zaręczała kusicielka.

—Słuchaj tedy Magdaleno, bo tak ci zapewne na imię?—spyta przeor.

—Tak mnie przynajmniej zawsze księża nazywają. Oh! bo nie każdy daje się tak prosić jak ksiądz dobrodziej; od innych ledwo się mogę opędzić, zwłaszcza od.....

—Nie kończ Magdaleno, nie kończ, bo głupstwa chcesz pleść najbezpieczniejsze. Słuchaj kobieto! jeżeli się w ślubie przeniewierzysz, wówczas całus mój kością ci w gardle stanie, i na sumieniu ciężyć ci będzie jak kamień młyński—powiedział ojciec Augustyanin z namarszczeniem, grożąc gromnicą.

—Wiem o tém, księżu przeorze, wiem o tém; ale dalej! prędko! inny byłby już sto razy wycałował—odpowie rozpustnica.

Passował się biedny ksiądz z sobą, kapelusz zdjął i do nieba westchnął, i wszyscy przytomni toż samo zrobili. Wybierał się na pocałowanie młodej i pięknej kobiety, jak inny na ścieście; ale nastąpiło nareszcie uroczyste pocałowanie na jeden i drugi policzek, i wszyscy przytomni krzyknęli: »Niech żyje nasz dobry ojciec przeor!« Ksiądz aż się spocił, tak mu trudna była przeprawa.

Dziwny to lud, ci południowcy: religia u nich miesza się do wszystkich zabaw i do wszystkich śmieszności, a nikt z niej nigdy nie szydzi, nikt nie bluźni nigdy. Śmieszność nieraz miesza się do najuroczystszych obrządków religijnych, a nigdy nie uwłacza ich świętości. Żyć bez religii w żaden sposób nie mogą w żadnej chwili; ale żyć według religii.... to rzecz inna: u nich jęj świętość nie jest celem życia, leez raczej żywiołem szczęścia, szczęścia chwilowego, doczesnego.

Przeor ochłonawszy z pierwszego wzruszenia, sam się pierwszy śmiał z niego, i to serdecznie.

—Nie pamiętam, kiedym pocałował kobietę — mówił do nas;—ale żebym mógł memi całusami zrobić tyle dobrego, ile dzisiaj, wówczas chętniebym się rozpuścił na starość, i całował wszystkie turkawice.

—Więc ksiądz przeor wierzy w szczerotę ślubu tej Magdaleny?—zapytał kapitan.

—Czy wierzę? Najmocniej. Tego ślubu ona nie złamie: najprzód dlatego, że jest dobrowolny, a powtóre dlatego, że w obecności tylu świadków ponowiony. Publicznej wzgardy nie chciałyby za nic w świecie ściągnąć na siebie. Ta kobieta musi przecież mieć coś świętego dla siebie, kiedy się tak bez oporu poddaje natchnieniom zmysłowości. Jedno ją rehabilituje za drugie w oczach świata. Jestem pewnym, że wolałyby znieść wszystkie męczarnie śmierci, jak przeniewierzyć się w tym ślubie. A kto wie? może te trzy miesiące rekolekcyi będą początkiem skruchy, bardzo jęj potrzebnej. Młodać ona wprawdzie jeszcze—dodał dobry ojciec przeor, smutno kiwając głową—młoda i czerstwa, zapewne się tak prędko nie nawróci.

—I mnie się tak zdaje, niestety!—rzecze kapitan—zapewne będzie chciała spełnić aż do ostatniej kropli kielich rokoszy, nim rozpocznie pić gorzki kielich skruchy. A po-

tém są pewne nałogi, które mężczyźni prędzej niż kobiety opuszczają.

—A tak utrzymują pewne książki; nie wiem czemu taka zachodzi różnica pomiędzy jedną a drugą płcią—powie przeor.

—Ale ja wiem—odezwie się z zapałem naturalista;—każdy co wie, co jest *activum* i *passivum*, musi pojąć tę różnicę.

—Prócz tych może, którzy z siebie zrobili *deponens*—dodał śmiejąc się przeor;—ale nie zgłębiajmy tej gramatyki; owóz i Dalilia z kuropatwami, rzućmy się na nie z sprężystością godną lepszej sprawy.

Pieczone kuropatwy, doskonały chleb z kukurydzy, wcale ładne wino wysokiej Beiry, muzyki licznych wirtuozów, śmiechy młodych dziewcząt tańczących około nas, dla wypoczęcia z trudów podróży, tysiączne i nieraz bardzo dowcipne żarty rozhulaniej gospodyni, wesole rżenie koni, parskanie mułów, śmieszny śpiew ostów, przerywających harmonię swemi trąbami jerychońskimi: oto żywioły, pomiędzy którymi trudno zostać hipokondrykiem, nawet Anglikowi.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, kiedyśmy stanęli pod Viseu. Miasto to leży na małym wzgórzu prawie w pośrodku równin wysokiej Beiry, pomiędzy dwoma pasmami gór. Mówiąc o równinach portugalskich, nie rozumiem, żeby to były płaszczyzny równe jak kregielnie, ale raczej miejsca otwarte, zabałwanione wzgórzami niezbyt wysokimi. Płaszczyzny jak u nas, nigdzie tam nie zocysz: wszędzie, na każdym punkcie widokrag jest wzniesiony i tworzy dla oczu twych zaporę.

Viseu jest jednym z najstarszych miast Portugalii; często ono było widownią walk pomiędzy Gotami i Rzymianami, Maurami i Hiszpanami. Wiele tu znajduje się szczątków dawnej potęgi rzymskiej i gotyckiej. Rzymianie mieli tu wielki obronny obóz. Viseu jest bowiem punktem, do którego łatwo ściągnąć żywność z okolicy dla licznego wojska. Obóz ten służył nawet Anglikom w czasie walk Napoleońskich za punkt oparcia.

Ulice miasta są ciasne, kręte, źle brukowane i niebardzo czyste; domy dość niskie, źle budowane i zaniedbane. Je-

dném słowem, Viseu jest starożytném, od wielu wieków opuszczoném miastem.

Przeor nasz stanął u proboszcza; my zaś z trudnością zdołali się umieścić w hotelu trzymanym przez jakiegoś Hiszpana. Jednocześnie prawie z nami przybyło tu kilku Anglików i jégomość tłusty, gruby, z dobrą porcją fizyonomii tłustej, rúmianej i opatrzonej należytą liczbą podbródków. Ubrany był po portugalsku, mówił także płynnie po portugalsku, ale nie wyglądał ani na Portugalczyka, ani na południowca.

Dr. Lange, jako naturalista, zaraz wyśledził z opisanych tu charakterów narodowość tego indywiduum: uznał go za Niemca, i zaczął zaraz do niego gadać po niemiecku.

Ale strzel w łeb—Niemiec już ani słowa w swój ojczyściej mowie powiedzieć nie umiał. *Przywędrował* tu z wojskiem Napoleona, *dezertował* podczas wielkiej *rejterady* z Albufera, *rozromansował* Portugalkę mającą pieniądze, ożenił się z nią, osiadł, został dyrektorem kopalń w pobliskości, i zapomniał po niemiecku; ale się zbożcił i jest znakomitym obywatelem.

Poszliśmy wszyscy razem do teatru: Anglicy, Niemcy, Francuz i Polak. Sam pan gubernator przemawiał do publiczności i krzychał: »Niech żyje królowa! niech żyje konstytucya!«

Zwyczajny to manewr agentów partyi ministeryalnej, potrzebny bardzo do obrachowania z siły okrzyków publiczności, ile rząd liczy obrońców pomiędzy ludem. Odgłos służy wówczas za puls ludu i za skazówkę, czy można to a to prawo wniesić, siaki lub taki podatek nałożyć. Można było, bo lud dobrze krzychał: »Niech żyje, niech żyje!«

Aktorowie mniej dobrze swą rolę odgrywali. Krzyczano i na aktorów, a le wcale inaczej; krzyczano *muera! muera!* niech ginie, niech ginie!

Pierwszy tenor nie był przy głosie, a Terpsychora jakoś nie przy całej sile swych organów tancerskich.

Nie podobała mi się taka cywilizacya; lepiej było wczoraj w klasztorze. Spaliśmy marząc o górach i kaskadach, i o rusałkach z melonami w koszyku.

## ROZDZIAŁ IX.

KATEDRA W VISEU.—MALOWIDŁA.—KRÓL RODRYG.—ODPUST.—  
TRZEŹWOŚĆ LUDU.—SZKOŁA ŁACIŃSKA.—WIĘZIENIE.—SZPITAL.—  
PLAC TARGU.—STAROŻYTNOŚCI.—OBÓZ RZYMSKI.—SENIOR JO-  
SÉ.—TENDELLA.—TABOR FIDALGA.—DRAGONI.—KAPITAN DAS  
ALVEYRAS.—BAZON.—HERSZT BANDYTÓW.—NOCLEG.

Ale zwiedzić osobliwości miasta zawsze warto, nim się znów puścimy w góry i wąwozy—przekładał mi następnego poranku Dr. L., przecierając swe oczy.

—Dobrze! niechże i tak będzie; odłożmy pół dnia na to, a potem znów w góry i lasy, między ruiny i dzikich ludzi—odpowiedziałem.

—Ale po obiedzie, rozumie się samo z siebie; nie wielkim jestem amatorem głodu i pragnienia—dodał kapitan.

—Jeszcze raz dobrze! przystaję na wszystko, bylebyśmy nie nocowali w Viseu, między samemi synami Merkurego, kupczącemi od rana do wieczora. Nie lubię ludzi, których celem życia *pieniądz*, środkiem życia *to-war*, Bogiem *złoto*, a temperamentem *arytmetyka*. Chodźmy do kościoła panowie, zacznijmy od Boga.

Viseu posiada jedną z najstarożytniejszych katedr w Portugalii. Do niej właśnie zmierzamy. Jestto wielki budynek stylu mieszanego staro-niemieckiego z florenckim. Stylu takiego nie jestem lubownikiem, wolę coś czysto charakterystycznego. Zresztą, tylko styl gotycki w całej swój czystości umie połączyć massywność z lekkością, w sposób oko czarujący.

Ale wewnątrz katedry jako całość jest piękną, choć kolor biały, którym powleczono filary i nawę, ujmuje przybytkowi uroku starożytności. Sklepienie wznoszące się

nad wielkim ołtarzem, wspiera się na wysmukłych złoconych słupach, i całe jest wyłożone cudnymi arabeskami. Chór, na którym umieszczono organy, jest z drzewa kasztanu, precudnie dłutowany, a same organy, obie ambony, krzesła kanoników, ołtarze i sufit, tylko lekko w arabeski złoczone. Lepsze to sprawia wrażenie, jak owe sute przesadzone złocenia. Katedra ta prawdziwie zasługuje na podziwienie.

Zakrystya mieści w sobie kilka pięknych malowideł, które cudem jakimś potrafiiono ukryć przed oczyma Francuzów i podobnego rodzaju tanio rzeczy kupujących miłośników sztuk pięknych.

Jeden Zurbaran, przedstawiający świętego Franciszka, wart ośmset funtów szterlingów, zaręczał mi Anglik, umyślnie podróżujący w Portugalii dla spisania arcydzieł sztuki, pozostałych w tym kraju. Musi to być zapewne wysłannik jakiegoś domu handlowego, od którego rząd portugalski pragnie zaciągnąć pożyczkę.

Z portugalskich malarzy, Vasco zostawił tutaj piękne tło, przedstawiające św. Piotra, i malowidło na drzewie, wyobrażające św. Hieronima. Gata zaś, inny znakomity malarz Luzytanii, złożył tu malowidło na płótnie, wyobrażające modlącego się anioła.

Trudno widzieć co piękniejszego; w tej pięknej dziecinnej twarzy błyszczy razem z wdziękiem niewinności tyle świętego porywającego natchnienia! Przysięgłbyś, że to może istnieć razem w naturze; a to jednak czysty utwór sztuki bez pierwotworu, bez wzoru, chyba tylko w niebie.

Ale przez co wyjawia się potęga sztuki? Przez to, że zdaje się być naturą, a nią nie jest jednakże.

Więcej o tém, kiedy będzie mowa o Murillu i o Szekspirze, kiedy będziemy w Sewilli.

W kolumnadach kościoła znajduje się wielka liczba starożytnych grobowców rycerzy i biskupów, wielkich pań i książęcych dzieci. Żadnego pomiędzy nimi nazwiska wstawionego nauką lub sztuką.

Na innym kamieniu grobowym spisano imiona długiego szeregu mężów, poległych w r. 1832. za kraj rodzinny.

Ale Viseu słynie na świat cały jako miejsce, w którym pochowany Rodryg, ostatni król Gotów; a tu jego grobowca nie widzimy. Nie w katedrze, lecz w najstar.

szym kościołku miasta, poświęconym archaniołowi Michałowi, pochowano króla Rodryga. Leży teraz za miastem ten kościółek. Francuzi obdarli go z wszelkich kosztowności, i szukając wszędzie skarbów, tak go spustoszyli, że od ich pobytu nigdy w nim nabożeństwa odprawiać nie było można.

Na prawo od wielkiego ołtarza, w bardzo prostój frumudze, stoi sarkofag z granitu, a pod nim następujący napis:

*Hic jacet, aut jacuit, postremus in ordine regum  
Gotorum, at nobis nuntia fama refert.*

Trzeba przyznać, że autor tego napisu wyraża się z wielką ostrożnością:

Tu leży, czy leżał, ostatni z rządu królów  
Gotyckich, jak nam powszechna sława głosi.

Wszyscy autorowie napisów grobowych nie są na nie-szczęście historyi tak sumienni. O niejednym nieboszczyku każą nam wierzyć, że był wielkim wojownikiem, świętym z cnót obywatelem, wiernym małżonkiem i dobrym ojcem; a on tymczasem i nie tego się bił, i rzecz publiczną sprzedawał i..... ale *de mortuis nisi bene*. Dla okazania cnoty *wybaczenia*, mamy niewyczerpane zasoby w przeszłości.

Wróćmy do Rodryga. I jego życia dzieje giną w grubym niepewności pomroku. Najwiarogodniejsi historycy utrzymują, że król Rodryg zgwałcił (czyli zapewne prosto zbałamucił) piękną Floryndę, córkę hrabi Juliana, szwagra zrzuconego z tronu króla Wissigotów Vityzy, i że tenże hrabia, chcąc się pomścić zniewagi, przywołał do Hiszpanii Taryka kalifa Arabów w r. 711. ery chrześcijańskiej. Rodryg wyruszył przeciw Arabom z wojskiem liczącym do 90,000. Obie armie spotkały się na płaszczyznach *Xeresu de la Fronteira*, i walczyły zacięcie przez dni dziewięć. Trzeciego już dnia miał zginąć Rodryg, i nie być świadkiem upadku Gotów.

Inni historycy hiszpańscy, idąc zapewne za mylnemi wiadomościami, za podaniami małej wiary godnemi, lub też nawet za natchnieniem własnej wyobraźni, zapewniają, że Rodryg nie poległ, że się długo tułał jako wygnaniec w własnej ojczyźnie, trapiiony wyrzutami sumienia. Jedna kronika, uważana za dość wiarogodną, utrzymuje na-



wet, że Rodryg, nie mogąc dłużej znieść zgryzotą nękanego życia, poszedł za radą dobrego przyjaciela, pułstelnika żyjącego w bliskości miasta Viseu, i kazał się żywcem zakopać w towarzystwie żyjącego węża do głębokiego grobu. Brzydki płaz wżarł się w ciało nieszczęsnego króla, i tak długo je toczył, aż doszedł do środka serca, a potem zrobił sobie otwór w ziemi i wyłazł nim z grobu.

Tak siebie miał ukarać Rodryg za to, że jedną swą płochością stał się przyczyną wkroczenia Maurów do jego ojczyzny. Wymierzył sobie karę w stosunku skutków, nie w stosunku ich przyczyny. Straszny to przykład sumienności! nie każdy posiada podobną: nie starczyłoby węzów.

Idźmy teraz na targ. Odbywa się on za miastem nie daleko *Campo de Viriato*, tak zwanego od obozu zdobytego na Rzymianach przez bohatera portugalskiego nazwiskiem Viriato.

Mnóstwo tu było bud i szałasów, namiotów i kiosków, domów nawet drewnianych wybudowanych na piętro i z gankami umyślnie na tę okoliczność. Wyroby kraju wystawiono w długich budach. Sukna, płótna, trzewiki z drzewa i ze skóry, kapelusze z szerokimi skrzydłami, wyroby żelazne, bawełniane, rymarskie, naczynia i narzędzia gospodarskie, chleb i sery kozie, wędliny, gitary, pi-szczaki i kastaniety: słowem, wszystko, co zaspokoić może skromne potrzeby ludu, znalazłeś tutaj w obfitości, ale żadnego artykułu przepychu.

Na wielkim wolnym placu harcowały rumaki. Było ich do sześciuset, niektóre bardzo piękne, choć nigdy nie dochodziły piętnastej miary. Muły były roślejsze, ale te kosztowały do 2000 złp., to jest trzy razy więcej niż piękny koń zdatny pod oficera huzarów.

Kilkanaście wielkich beczek z wodą, ciągnionych przez osły, wałęsało się od jednego do drugiego końca wielkiego placu, odwilżając ziemię i strącając tumany kurzawy z powietrza. To jedyny artykuł przepychu.

Mnóstwo ludu w jaskrawe barwy przybranego otaczało cyrk, na którym popisywali się hecarze na linie i bez liny, konno i pieszo; inni kręcili się około teatru kuglar-skiego, inni jeszcze gapili się na scenę, na której wrzeszczały maryonетки i poliszynel bił djabła w pyski.

Co nie miało pieniędzy i gapić się nie lubiło, to poszło w płasy.

Było niemało uciechy dla tego poczciwego ludu, który lada czém ubawić można. Co mnie zdziwiło, że pomiędzy wieśniakami, których tutaj było ze dwanaście tysięcy, żadnego nigdzie pijaka odkryć nie byłem w stanie. Musi ich nie być tedy.

Istotnie, Portugalia ani Hiszpania nie byłyby rajem dla ludzi żyjących z propinacyi.

Z czegoż tedy żyje szlachta tego kraju? zapyta może nie jeden; pańszczyzna tam zniesiona, danin nigdy nie było, lud gorzałki nie pije, a podatki idą swoją drogą: to jakiś kraj dziwny, ta Portugalia.

Podobno że dziwny. W nim każdy żyć musi z tego co istotnie posiada, albo też z tego, co sumiennie zarobi. O kubanach coś także nie słychać tutaj.

„Ah! co to, to już utopią pachnie; co? kubanów nie ma?” rzecze może ktoś.

Oj nie! tu nie utopią ani uczciwości w winie, ani też rozumu w wódce. Podczas téj rozmowy z samym sobą, doszliśmy do sędziwego budynku z wielkimi kamiennymi schodami, dźwigającymi się własnym ciężarem. Jedyne to schody swego rodzaju w całej Portugalii. Na frontonie tego budynku następujący napis:

*Collegium latinum erectum in Nomine Dei omnipotentis anno MDLXV*; co nas przekonało, że to była szkoła łacińska założona przed trzystu prawie latami.

Portyk otaczający budynek, dźwigał dwa piętra galerij, a z tych galerij liczne drzwi prowadziły do sypialni uczniów.

Młodzież wstępuje tutaj najwcześniej po skończonym dwunastym roku, po złożeniu egzaminu z elementarnych wiadomości, to jest z czytania, pisania, arytmetyki, katechizmu, z geografii i historii, z początkowych wiadomości łacińskiego języka, z grammatyki i t. d. Kurs klasyczny w kolegium łacińskim trwa lat pięć najmniej, lat siedm najwięcej. Uczą podczas tych lat łaciny, greckiego i francuzkiego języka, historii, nauk przyrodzonych, matematyki, rysunków, przytém religii, retoryki i loiki. Słowem, tutaj usposabiają uczniów do wyższych nauk uni-

wersyteckich. Prawie wszyscy profesorowie są księża. Rząd bardzo mało łoży na ten instytut, posiadający swe własne dobra.

Uczeń płaci za wyżywienie i ubiór, jednostajny dla wszystkich, 120 kruzad, to jest 540 złp. rocznie. Rząd utrzymuje 30 stypendystów, miasto także 30, collegium samo jeszcze 15. Za nauki, książki, papier, atrament, za pranie, linały, ołówki, stłuczone okna, koszta korespondencyi, podarunki dla profesorów, za koszta spacerów, illuzoryczne lekcye tańców i muzyki, za placki, nie się nie płaci.

Młodzież zdrowa, silna, wesółą, porządnie choć skromnie ubrana, trochę figlarna wprawdzie, ale dobrze się uczy i na zdatnych ludzi wychodzi.

Professorowie bez czerwonych nosów wprawdzie, ale jednak szczęśliwi: cieszą się miłością uczniów i nigdy nie narzekają na okropność swego zawodu, na niewdzięczność uczniów i ich rodziców.

Nauczyciele i uczniowie zbierają się codziennie o godzinie dziewiętej rano w kościele, gdzie po odbytym apelu, wszyscy razem się modlą, i już nikomu wychodzić nie wolno z zakładu, ani uczniom, ani profesorom.

Kollegium to spalone przez Francuzów w r. 1811. odbudowanem zostało przez dobrego biskupa, który tygodni temu kilka umarł w Lizbonie.

O ile mi się podobała szkoła, o tyle nabrałem wstępu do więzienia, do którego jestem zniewolony zaprowadzić czytelnika. Ogromny gmach, w nim trzy tylko sale, dla trzech rodzajów przestępców: dla politycznych, cywilnych i kryminalnych; ale obie płci są pomieszane. Nie było wprawdzie ani żadnej Miguelistki, ani żadnej egzaltowanej w sali politycznej, ale trzy były dłużnice razem zamknięte z dwudziestu dłużnikami, a kryminalistek było z piętnaście z trzydziestu kryminalistami.

Nie chciałbym się przyłożyć do pogorszenia losu zadanego więźnia, ale mi się zdaje, że więzienia nie są przeznaczone na rozmnażanie więźniów. Tych nigdzie nie zabraknie, w żadnym kraju, a najmniej w Portugalii, gdzie takie wrą namiętności w tej gorącej krwi południa.

Zaręczono mi wprawdzie, że pan gubernator sam uznaje niestosowność podobnych styczności jednej płci z drugą;

że już się buduje nowe więzienie, w którym przestępcy będą rozklassyfikowani według winy, płci i wieku;—ale dla większej połowy kryminalistek, i dla dwóch powabnych dłużniczek będzie wtenczas już za późno: mogłem o tém sądzić lepiej, jak ślepy o kolorach.

Wyjdźmy jak najprędzej z tego smutnego domu, w którym się rozlegają śmiechy od rana do wieczora. Nie lubię patrzeć na wesołych więźniów: swoboda jest tak pięknym darem niebios, że straty jej zawsze żałować wypada.

Oto inny zakład więcej czyniący zaszczytu miastu Viseu, oto szpital miejski. Stoi ten pyszny budynek na najwyższym miejscu miasta, zajmuje czworogran bardzo obszerny, a fronton jego jest prawdziwie okazały. Apteka i laboratorium chemiczne, umieszczone na prawo od głównego wejścia, w najprzykładniejszym znajduje się porządku. Dwóch subjektów i trzech pomocników w ciągłej tu są pracy.

Nieboszczyków z każdego piętra spuszczaają osobnym otworem przez wszystkie piętra idącym do suterren, gdzie umieszczona jest sala anatomiczna i szereg salek, w których leżą nieboszczyki po jednym, dopóki się znaki zgnilizny nie okażą. Osobni są ludzie do pilnowania tych suterren; każdy trup ma na każdym palcu pierścień komunikujący z bardzo czułemi dzwonekami, a zegar na korytarzu jest opatrzony silnym budzicielem, zrywającym się do nieznośnego hałasu, jeżeli go na warcie będący stróż co kwadrans nie poruszy. Takim sposobem dokładnie kontrolować można pilnujących stróżów.

Szpital ten istnieje od sześciu lat zaledwie. W tym czasie umarło w nim 893 osób, ale żadnego w nim jeszcze nie było przypadku letargu, tak, że stróże, infirmary, Siostry miłosierdzia, nawet chirurgi, nie wierzą w istność pozorną śmierci. Lekarze jednakże tutejsi wierzą w letarg, i dobrze robią, że bliźnich swych zabezpieczają od możliwości okropnych męczarni. Każdy lekarz znający prawa fizyologii wierzyć powinien, że funkcyje życia mogą być w jestestwie organiczném do tego stopnia zawieszony, że śladów ich istności zmysły nasze odkryć nie są w stanie; a uciekać się do wstrząśnień bardzo silnych, w celu przekonania się, czy pozostaje jeszcze w człowieku iskierka życia, jest to samo, co je przygasić od razu.

Czystość w salach mężczyzn pozostawia cośkolwiek do życzenia, pomimo obszerności tych sal; ale w salach kobiecych, choć szczuplejszych, wszystko było w największym porządku: firanki od łóżek bieluteńkie, ołtarze wznoszące się w końcu każdej sali tak pięknymi i świeżymi kwiatami przystrojone!

Kobieta, choć chora, choć umierająca, wie do czego była stworzoną: do upiększenia tego świata, na którym najmędrzy, najzimniejsi i najstarsi mężczyźni nie znajdą bez niej ani szczęścia, ani przyjemności!

Przytém Siostry miłosierdzia pilnują porządku w salach kobiet, a nie jawią się nigdy na salach mężczyzn. Portugalki mniej są śmiałe jak Francuzki. Portugalska Siostra miłosierdzia obawia się chorego mężczyzny, Francuzka i zdrowego się nie zleknie; czerpie zapewne odwagę w świętości swego powołania.

Wygodne schody prowadzą aż na wysoki dach szpitala. Zład widok przepyszny na góry Estrelli, Caramula, Marao i Douro. Gmach ten panuje swym ogromem i wyniosłością nad całą okolicą; ujrzeć go można z najodleglejszych wiosek. Biedny wieśniak, trapiiony chorobą, zdaleka patrzeć może na przytułek, w którym wszystko, co tylko dobroć i umiejętność ludzka dokazać mogą, będzie na jego zawołanie, skoro tylko zechce do niego się udać.

Liczba, wielkość i położenie szpitalów przemawiają więcej jak każde inne pochwały za narodem portugalskim.

W czymże się lepiej objawia wartość ludzka, jeżeli nie we względach mianych dla bliźniego w nieszczęściu? Cywilizacya wybujała kosztem serca, nie jest cywilizacyą; mieć ona może powierzchownego turystę, lecz człowieka podróżującego dla ocenienia swych bliźnich, nie utłdzi nigdy.

W powrocie przez najstarsze ulice miasta, przechodziliśmy około tych gotyckich i maurytańskich budowli. W jednej z wież czworograniastych urodził się, według podań ludu, Edward I. król portugalski. Wielką część domów teraźniejszych zbudowano na sklepieniach starożytnych zamków, a dawne mury miasta służą za ściany nowożytnym budowlom.

Wodociąg całkiem dobrze utrzymany pozostał.

Widzieliśmy i owe ciasne wrota, o które sobie Alfons Henriques król Portugalii, wypadając konno na Maurów, tak silnie stłukł udo, że potem w skutek tego wypadku umarł.

Dwie także pozostały rzymskie wieże, szczątki owęj groźnej cytadeli, którą wystawić kazał konsul Decius Junius Brutus.

Powróciwszy jeszcze raz na plac targu, aby się pożegnać z naszym dobrym przeorem, który tymczasem przędzę swą sprzedał, i za to nakupił lekarstw dla swęj trzody, zwiedziliśmy dawny obóz rzymski, *Campo do Viriato*. Jeszcze stoi wysoki tak dawno usypany wał, jeszcze wodą zalany głęboki rów. Szczyt wału osadzono pięknemi drzewami, i teraz służy za miejsce przechadzki mieszkańcom. Obwód całego obozu przechodzi ćwierć mili, a szaniec przerwany jest czterema bramami, z których jedna nosi nazwisko konsula zabitego przez wojsko Viriata.

Powracamy znużeni do hotelu. Tu nas czekają Anglicy z objadem i z prośbą, żebyśmy im odstąpili naszego przewodnika Senhora José. Pokochali się w nim wyspiarze dlatego, że był oryginałem, i że, jak się pokazało później, wcale za kołnierza nie wylewał; z czego jednakże nam nie dał się poznać.

Ofiarowali nam nawet dwa funty i 10 szylingów odstępnego za Senhora José. Anglik przyzwyczaił się okupywać sobie wszystkie grzeczności, dlatego że sam nikomu z dobrego serca grzeczności nie wyświadczy.

—Nie chcemy waszych pieniędzy, dumne syny Merkurego, ale powiedzcie, kto nas zawiedzie do Oporto?—pytaliśmy się.

—Oto przewodnik, który nas właśnie przyprowadził z tego miasta, i który nakupiwszy jakichś towarów na targu, rad wrócić do Oporto: wprowadzie nie najkrótszą drogą, bo ta bardzo jest niepewną z przyczyny bandytów, ale cokolwiek na lewo przez miasteczko zwane Tendella, zkad prowadzi do Oporto główny trakt z Coimbrą—odpowiedzieli Anglicy.

—I cóż ty Senhor José, zgadzasz się na to, chcesz nas opuścić?—zapytaliśmy naszego mentora.

—Za nic w świecie nie opuściłbym panów, aż do śmierci chciałbym z nimi podróżować; ale ci Anglicy ofiarowali

mi prawie trzy razy więcej jak panowie płacą; wiem, że nie chcielibyście robić krzywdy biednemu ojcu rodziny, tak szlachetne macie serce..... Boże wielki!.... tedy.... tedy....

—Dobrze, dobrze, stary lisie. A ręczysz za twego następcę, zna on drogi?

—Jak za siebie samego, przysięgam na mój luzytański honor. Drogi zna jak gdyby je sam był sypał; przytém nie zedrze panów, będziecie mu płacić tyle, ileście mnie płacili, to jest trzy kruzady dziennie. Ale panowie raczą mi dać świadectwo, że ich zdrowych przyprowadził aż dotąd; bez niego nie ważę się pokazać ojcu Anzelmowi—zaręczał José.

—Będiesz miał świadectwo i list z pieniędzmi do ojca Anzelma—odpowie kapitan.—Odpowiedzi będę czekał w Oporto na ten list. Piszę w interesie Joakimcina; spodziewam się, że łba nie skręcisz listowi.

—*Ah santa Maria purissima!* *Senhor capitán*, wolałbym łeb skrócić najzdrowszemu człowiekowi, jak listowi bronić się nieumiejącemu. Gwałcić tajemnicę listu! a przecież za to wieszają w porządném towarzystwie!

—I bardzo dobrze robią—rzecze kapitan.

—I bardzo cnotliwie i chwalebnie robią—odrzecze *Senhor José*.

Następnie objad, potem korespondencya, nakoniec rachunki i wyruszenie w pochód.

Spaliśmy na naszych mułach, nękał nas upał i jedno-stajność kraju.

Wieczorem przybywamy do Tendella, miasteczka leżącego o pół czwartej mili od Viseu. Stajemy w jedynéj oberży tak napełnionej, że nie sposób dostać miejsca; z trudnością i za dobre pieniądze wyżebraliśmy sobie kilka snopów kukurydzy, kilka wiązek drzewa i butelkę wina. Nasz przewodnik taki gamoń, że nam do niczego pomódz nie mógł. Uczuliśmy boleśnie stratę *senhora José*, który sobie wszędzie umiał dać powagę.

Oberża, jeżeli się godzi tak nazwać rodzaj niezmiernego szafasu, podzielonego z jednéj strony na szczuple klatki, a zawierającego z drugiejj niekształtny komin, pod którym palił się wielki ogień na ziemi,—oberża, mówię, zajęta była w całości przez rodzinę jakiegoś *fidalga*, który cią-

gnął z całym taborem, z koczem, karetą, czterema furgonami i wozami do Oporto. Miał z sobą gwardyę przyboyczną, złożoną z pastuchów, owezarzy, ratai, fornali, kuchców, lokai i strzelców, słowem, z całej służby wiejskiej.

Było ich przeszło trzydziestu, a mułów i koni do sześćdziesięciu, a wszyscy byli pod rozkazami dwóch młodzieńców, z których jeden wyglądał jak katastrofa, a drugi jak farsa. Ten drugi tkwił w mundurze oficera gwardyi narodowej i uzbrojony był od stóp do głów jak arsenał.

Pomimo tych zbytnich ostrożności, fidalgo lękał się bardzo widocznie przeprawy przez pasmo gór przed nami stojące. Zastraszające wieści o rozbojach i ruchach gerylasów dochodziły co chwila.

Fidalgo wysłał więc intendenta swego do pobliskiego miasta z prośbą o eskortę wojskową, i opatrzył go potrzebnymi papierami; nie każdemu bowiem wolno domagać się eskorty wojskowej, nawet za pieniądze.

Nie znalazłszy nigdzie miejsca pod szałasem, zapaliliśmy mały ogień, rozstali słomę i położyli się pod gościnnem choć goluteńkiem niebem, nie wypuszczając z rąk naszych broni.

Widocznem było, żeśmy nie mieli szczęścia podobać się ani fidalgowi, ani jego rodzinie, ani walecznemu hufcowi sług dworskich. Obchodzono nas w około, patrzano na nas z ukosa. Ten i ów pozwolił sobie nawet gróźnie na nas spojrzeć; nikt nie jest bezwstydniejszym jak tchórz, kiedy się czuje popartym.

Dziwne było nasze położenie; pierwszy raz doświadczyliśmy w Portugalii podobnej nieufności, niechęci i niegrzeczności.

—Dobrze ci tak, spieszyłeś się do twych gór jak do jakiego raj, trzeba było zanoćować w Viseu, i puścić się jutro do Oporto z kupcami, którzy do tego miasta wracają—mówili mi towarzysze podróży.

Nareszcie tętent koni oznajmia nam, że eskorta wojskowa niedaleko.

—Bogu dzięki!—rzeknę—w każdym wojskowym jest więcej serca, jak w tych chytrych fidalgach i tych głupich ciurach.

—Kto idzie?—krzyknie ciura, którego postawili z ruznicą w rękę na warcie.



Nie powtórzę, co dragoni odpowiedzieli ciurze: coś bardzo jędrnego, kurdygardą pachnącego.

—*Tant mieux*—powie śmiejąc się kapitan T. K.—*les ennemis de nos ennemis, seront nos amis.*

Zbliża się hufiec dragonów: dwunastu żołnierzy i oficer. Tęgie wiarusy, na rączych choć niewielkich koniach. Czerwone buńczuki powiewają na wysokich czarnych kaszkietach, żółte wyłogi, rabaty, lampasy i wypustki, dobrze odbijają na tabaczkowym tle mundurów, i na czerwonych, skórą podbitych szarawarach.

Stają, zsiadają, czaty rozstawiają, ogień zapalają, biwakują.

Oficer miał lat przeszło 30, średniego wzrostu, pięknie zbudowany, brunet, opalony, z bystrzym i roztroprnym okiem; w każdym ruchu, w każdym wyrazie marsowój a bardzo przyjemnej twarzy, wyjawiał, że był żołnierzem z serca, nieubłaganym, kiedy pełnił swą powinność, walecznym zawsze, honorowym wszędzie.

Fidalgo wziął go na bok i długo mu coś przedstawiał, wskazując na nas ukradkiem. Wkrótce potem oficer przybył do nas, ukłonił się bardzo grzecznie, ale prosił węzłowatą mową o nasze paszporta.

—Panowie wiecie, że w braku żandarmeryi, my dragoni pełnić musimy jój służbę—powiedział.

Przeczytał najprzód mu wręczony paszport kapitana T. K., z wielką uwagą sprawdzając rysopis, o ile się dało na oko. »Wszystko w największym porządku, panie kapitanie« rzekł salutując po wojskowemu i zwrócił paszport.

Taż sama procedura z doktorem L.

Teraz na mnie kolej przyszła. »A więc pan musisz znać kapitana Michałowskiego w Lizbonie?« spytał oficer dragonów spojrzawszy na mój paszport.

—Od bardzo dawna go znam, to mój kolega, przyjaciel. Oto jeszcze mappa Portugalii, którą mi podarował na wyjeździe—rzekłem.

—Znam doskonale tę mapę: nie odstępowała go ona ani na chwilę podczas całej kampanii. Kapitan Michałowski był moim zwierzchnikiem, potem moim kolegą, przyjacielem i więcej jak to—mym dobroczyńcą. Jemu jestem winien mą wolność, a zapewne i życie. A że przyjaciele moich przyjaciół są zawsze memi przyjaciółmi,

więc niech mi panowie pozwolą przedstawić im się. Jestem don Ramon das Alveyras, kapitan trzeciego pułku dragonów, i zapraszam się tutaj do panów na pogadankę i na nocleg. Ale panowie, tu i chłodno i głodno i twardo, i wina także nie widzę.

—Nie mogliśmy nic wykołatać od gospodarza, nawet za wielkie pieniądze; utrzymuje, że mu podróżni całą spiżarnię zjedli i wypili—odpowie p. T. K.

—Sprawdzimy to natychmiast—rzecze don Ramon.—Wachmistrzu Barbastro! proszę tutaj!

Idzie wachmistrz Barbastro: stary, pod bronią osiwiwały wiarus, podobny do swego własnego nazwiska, jak jedna kropla wody do drugiej.

—Wachmistrzu! weź te cztery kruzady i tyleż żołnierzy, idź do gargotnika i proś go, aby mi był łaskaw przysłać tyle owoców suchych, tyle chleba i wina, ile wystarczy przez godzinę na cztery dobre apetyty; przytém tyle drzewa, ile się spali na jednym stosie podczas nocy, tyle słomy, ile trzeba na cztery postania. Gdyby przypadkiem gargotnik skrobał się w głowę, lub robił trudności, spytaj go tylko po cichu, czy sobie przypomina owego cygana z obietnami uszami, co go nazywali Marialva. Ho! ho! znam ja sposób na tego łotra. Idź wachmistrzu i spraw mi się dobrze, a żołnierzom każ zdjąć kaszkiety, obwiązać głowy chustkami i przywdziać płaszcze, żeby ich rozpoznać nie można zdaleka od wieśniaków. Bandyci mogą się kręcić tu nieopodal podczas nocy, wziąć na cel jakiego żołnierza i zabić go lub ranić, jak to nie raz robią.

Prośba kapitana czarodziejski wywarła wpływ na gospodarzu wenty, ale dopiero po wymienieniu nazwiska Marialvy. Przyniesiono nam podostatkiem wszystkich do rozgrzania ciała i duszy potrzebnych żywiołów.

Położenie nasze znacznie się poprawiło i wkrótce w najlepszej byliśmy zażyłości z kolegą portugalskim. Widząc to zdaleka nasz fidalgo, zbliżył się ku nam, prosząc don Ramona w ceremonialnych słowach, by go raczył przedstawić miłemu towarzystwu, to jest nam.

Byłto człowiek wysoki, około pięćdziesiąt lat mający, lecz silny, żyłasty. Włosy miał siwe, ale na czarno farbowane i najeżone, nos zgięty jak u krogulca, i oczy także krogulcze zaczajone i śledzące, cerę śniado-żółtawą,

zmarszczki arystokratyczne, to jest pociągłe, głębokie, ale regularne, przytém stereotypowy szyderczy uśmiech siedział około ust jego wązkich i wciągniętych, a broda spięzasta wystająca, wyrażała nieugiętą siłę woli.

Widocznie się starał oczarować nas, odurzyć rozmową swą encyklopedyczną, godnie lekką, dowcipnie uczoną. Znał się na wszystkiém, o swój własnej ojczyźnie mówił z pewną chrześcijańską litością: »Pomimo najszczerzego patriotyzmu, trudno w niej wyżyć, nie odświeżając sobie od czasu do czasu zateętych myśli w wielkim europejskim świecie.«

Tacy ludzie ojczyzny nie mają, wiemy o tém.

Ztém wszystkiém nie przebłagał nas pan baron swoją porywającą rozmową. Mieliśmy ciągle na sercu pamięć jego przeszłego nieufnego obejścia się. Nie długo też popasał z nami. Ofiarowawszy nam na dalszą podróż protekcyę swęj prywatnej i wojskowej eskorty, życzył nam bardzo ceremonialnie dobrej nocy, i poszedł sobie precz.

—Coś panów nie podbił don Joao swą grzecznością?— spytał się kapitan das Alveyras.

—A! ha! czy nas kapitanie liczysz do rzędu owych dobroduszných ludzi, których jedna dostojna grzeczność tak oczaruje, że natychmiast głowę tracą? Zresztą, sam wznasz, że w całym ustroju barona, w jego oczach, ustach, minach i słowach wiele się maluje nieszczerości, chytrności nawet. Trudno pokochać go od razu bardzo szalenie. Może za prędko o nim wyrokujemy, może on być tak dobrym z serca, jak niezawodnie jest honorowym; ale z pierwszego wejrzenia nie nie przemawia na jego korzyść—mówił pan T. K.

—Ha, ha, ha! dobrym? honorowym? on?—przemówi kapitan das Alveyras, gorzko się śmiejąc i głos swój tłumiąc—Ha! ha! żebyście panowie wiedzieli, jaką okropną rolę odegrał nasz fidalgo podczas ostatnich wojenných wypadków, żebyście wiedzieli, co on tam wywozi z kraju w owych zewsząd pozamykanych, pilnie strzeżonych furgonach! dopierobyście polubili go szalenie.

—Opowiedz kapitanie, zmituj się, opowiedz.

—Chętnie, ale nie dzisiaj, bo to długa historia, a północ niedaleko, nam zaś trzeba wypocząć. Jutro wyruszamy równo ze świtem, będziemy mieli dosyć sposobności mó-

wienia z sobą, gdyż i ja nie łaknę towarzystwa pana barona. Ale panowie, broń opatrzcie doskonale, zdać się ona może każdej chwili. Chcecie wiedzieć dlaczego? oto nasz don Joao był kilka lat temu przewodcą tych samych bandytów, których dziś tak się obawia. Sam ich wyćwiczył w rzemiośle zrad, zasadzek i okrucieństw, nie myśląc, żeby sam na siebie biec kręcił. Ale niech wam ta wiadomość snu nie odbiera; jesteście pod protekcją don Ramona i dwunastu dragonów królowej Maryi da Gloria. Dobra noc!

I to mówiąc nasz komendant, otulił się w wielki płaszcz brunatny i legł na snopie kukurydzy; a ja naśmiawszy się cokolwiek z miny bladłej i rozstrojonej doktora L., poszedłem za przykładem don Ramona i usnąłem natychmiast.

---

## ROZDZIAŁ X.

KARAWANA.—HISTORIA O BANDYTACH.—LORD WATER....—BARBONE.—HISTORIA BARONA.—GLUCHONIEMA MALARKA.—SYN BARONA.—KLASZTOR.—NAPAŚĆ.—ODPARCIE.—SĘPY ESTRELLI.—JENIEC.—ŚMIERĆ JEGO.

---

Budzą mnie, choć dopiero świta. Ale już wszystko do pochodu przygotowane, nawet nasze śniadanie, dzięki staraniom don Ramona, który się po koleżeńsku nami opiekuje.

Karawana rusza z miejsca. Strzeżoną była jak gdyby z sobą prowadziła skarby całych Indyj przez puszcze Arabii.

Bohaterski synowiec barona, ów młokos tkwiący w mundurze oficera gwardyi narodowej, jechał na czele; goły pałasz dzierżył w dłoni, pistolety miał w olstrach, i za pasem wraz z puginałem i flaszeczkę trucizny, dubeltówkę przewieszoną na ramieniu, karabinek przytwierdzony do siodła. Istna karykatura!

Za nim idzie sześciu chłopów w jednym szeregu z rusznicami na ramieniu, z toporkami przy boku!!!

Teraz toczy się koczyk zaprzężony czterema końmi, a w koczku pan baron w własnej osobie, otoczony bronią palną różnych rozmiarów i wieków, pistoletami szturmakami, gardłaczami; jest i dubeltówka, śmigownica, karabin i sztuciec.

Obok koczyka czterech uzbrojonych fagasów, a za nim wielka karetka ośmiu mułami zaprzężona, karetka zewsząd otoczona firankami i uzbrojonemi wieśniakami.

Kto w tej karecie? nie wiem; żaden z niej głos, żaden szmer nie wychodzi.

Teraz idą cztery furgony woskowanym płótnem pokryte, przy każdym dwóch zbrojnych.

Za furgonami tyleż powózek dwukonnych ze skrzynkami i pakami, także strzeżonych.

W tylnej straży, na czele sześciu zbrojnych, jechał na bardzo pięknym koniu, ponury i posepny syn fidalga. Za ledwie dwadzieścia dwa lat mógł liczyć, ale w rysach jego pięknych i szlachetnych było coś tak smutnego, a zarazem nieugiętego, że zapomnieć nie było można tej twarzy.

Ani słowa, wyglądał jak tragiczna katastrofa.

Dragoni na dzielnych, lekkich koniach galopowali około karawany we wszystkich kierunkach; zsiadali często z konia i z karabinem, bagnetem opatrzonym, drapali się na skały, by wystraszyć gerylasów, mogących się znajdować w zasadzce.

Dobry to wcale żołnierz, tylko go nie wiele posiada Portugalia.

My z komendantem eskorty jechaliśmy raz przed przednią strażą, drugi raz za tylną, jak nam było najwygodniej.

Kapitan das Alveyraś znał każdą piędź zagrożonego gruntu, o każdej dolince, o każdym klombie sosien umiał opowiedzieć legendę.

Pnącą się po skałach, spadziśtą, lecz zresztą dobrze utrzymaną szeroką drogą, wdrapaliśmy się na szczyt dość wysokiego wzgórza. Niedaleko drogi rosły trzy wysokie sosny, dalej zaś na prawo pięł się w górę po skałach i przepaściach las okazały. Pół mili za tym wzgórzem wznosiło się inne podobne i podobnemiż drzewami uwieńczone, a na prawo zawsze ten sam ciągnął się las, zawsze też same przepaści, jaskinie i kryjówki.

Oba te wzgórza panowały nad daleką przestrzenią drogi snującej się po grzbiecie góry w jedną i drugą stronę pasma. Każdy podróżny już zdaleka mógł być spostrzeżonym z wierzchołka sosien.

Mówił nam don Ramon, że te szczyty były ulubionym stanowiskiem nielicznej, ale bardzo przemyślniej bandy rabusiów. Było ich za ledwie dziewięciu, ale wszyscy doskonale dobrani, doskonale strzelający i wysmienicie konno jeżdżący. Panowali tu blisko dwóch lat, popełnili czternaście zabójstw, kilkanaście ładnych kobiet z sobą wprowadzili, i do trzechset ludzi obdarli z mienia.

Konie ich zawsze okiełznane i osiodłane stały w krzakach pod sosnami, a dwóch szpiegów, jeden na każdym wzgórzu, czatowało na szczycie sosien i podawało sobie sygnały za pomocą zwierciadeł odbijających promienie słońca.

Dopiero zbliżeni napadali na swe ofiary, krzyżąc: *rendete pıcaro!* poddaj się łajdaku! Rozbijali, kradli i uprowadzali w lasy kobiety, kiedy były piękne, a mężczyźni, kiedy się spodziewali drogiego wykupu.

»Stałem wówczas garnizonem w Oporto—mówił dalej don Ramon—i wszystkich użyłem starań i fortelów, żeby zbrodniarzy wyłapać i kraj oswobodzić z tak wielkiej klęski. Ale wszystko na próżno. Bandyty u nas wszędzie mają swych przyjaciół, którzy ich ostrzegają o ruchach wojska. Przecież mi się udało dopiąć zamierzonego celu, i to dziwnym przypadkiem. Bawił u nas w Oporto znany w całym świecie jako oryginał lord Waterf..., Anglik, zadający sobie nieskończoną pracę, żeby się wszędzie wstawić excentrycznością. Pił niestęchanie i często zapadał na podagrę, co mu bynajmniej nie przeszkadzało włożyć się po wszystkich kątach, nie konno wprawdzie ani też w powozie, lecz w lektyce, do której noszenia przyjął do swjej służby cztery sfory łapserdaków w Oporto. Razu jednego, trapiiony więcej jak zazwyczaj podagrą, powziął myśl szaloną puszczania się lektyką z Oporto do Coimbrę dla zasięgnięcia od profesorów fakultetu rady lekarskiej. Dowiedziałem się o tej podróży i zaraz plan mój zrobiłem. Nocą pokryjomu puściłem się z Oporto w pogoń za mylordem, z poczetem dość mocnym. Dogałem go na ostatniej stacyi, poprzedzającej to pasmo gór ze strony miasta Oporto, to jest w miasteczku Paos, i właśnie w chwili kiedy się mylord miał puszczać w podróż, napadłem na lektykarzy i kazałem ich związać.

»Mylord, pomimo przybranęj flegmy, bardzo się zadziwił i spytał się mnie, czemu robię te rozboje. »Uspokój się *senhor milordo*, odpowiedziałem mu, daję ci sposobność wyświadczenia światu wielkiej usługi; pozwól tylko, żeby moi ludzie przebrali się za lektykarzy i ponieśli cię w dalszą podróż, a mnie pozwól przebrać się za twego *grooma* i siąść na twego konia. Wiem że na ciebie czekają bandyci, że cię złowić myślą, bo z twemi lektykarza-

mi są w zмовie. Podaję ci sposób, o *senhor milordo!* zrobić to z bandytami, co bandyci umyślili zrobić z tobą.

Trudno sobie wystawić radość mylorda. Na wszystko przystał najchętniej, tylko prosił, żeby mu wolno było zabrać z sobą na tę ekspedycję swego *grooma* przebranego za lektykarza, na co chętnie zezwoliłem, wiedząc, że Anglik nigdy nie ztchórzy.

»Ale tu inna rzecz zachodziła. Zareczyłem Anglikowi, że lektykarze byli w zмовie z bandytami, ale powiedziałem to na chybił-trafił, mając tylko moralne przekonanie, a tu mi chodziło o pewność. Kazałem ich tedy wszystkich przyprowadzić do osobnego pokoju i w ten sposób do nich z serca przemówiłem: »Słuchajcie, szelmy! wiem, że światu tylko zdradę służyć możecie: zdradę kupuje się pieniędzmi, a oto pieniądze! Przyznajcie się, wiem, że jesteście w zмовie z bandytami, wydajcie tajemnicę, a te pieniądze wasze; upierajcie się, a stryczek.« Takim argumentem wymogłem na poczciwcach wyznanie, że bandyci wiedzą o przybyciu mylorda, że jeden z lektykarzy miał im dać znać upuszczeniem płaszcza, że *wszystko dobrze*, nakoniec, że wszyscy lektykarze mieli uciec z placu w chwili, kiedy bandyci napadną na lektykę.

»Moi ludzie i *groom* przebierają się za lektykarzy, a ja za *grooma*. Poświęciłem na to me ukochane wąsy, ale co człowiek nie zrobi dla dobra ludzkości? Perukę przywdziałem ryżą, minią twarz uróżowałem, aby mieć minę pijanego, i żeby się niczém nie różnić od syna Albionu. Broni palnej nabitej podostatkiem umieściłem w lektyce mylorda, każdy z mych ludzi miał przytém pod płaszczem ogromny gardłacz, nabity garścią siekańca, a zaraz na początku sceny kazałem kilku za chłopów przebranych dragonom pilnować drogi i nie dopuszczać żadnej wiadomości do bandytów.

»Wszystko się stało jak przewidywałem. Znak umówiony dał jeden z mych ludzi upuszczeniem płaszcza. Ja się chwiałem na koniu aby udać pijanego. Uderzają na nas bandyci. Lektykarze nibyto uciekają, ale wydobywszy gardłaczów, palnęli z nich rabusiom w oczy. Mylord strzela jak Apollo. Jeden tylko rabus ucieka; ja puszczałem się za nim na angielskim koniu mylorda, i strzałem pistoletu powalam go na ziemię. Wszyscy mniej więcej



ranni, ale dwóch straciło oczy, a jeden pachwinę miał przeszytą kulą.«

—A cóż myślisz robić z temi poczciwemi ludźmi?—pyta mylord wskazując na tarzających się w piasku rannych bandytów.

—Odstawić ich do Oporto, mylordzie!—odpowiedziałem.

—A kto ich sądzić będzie? sąd wojenny, czy też kryminalny?—pyta znowu Anglik.

—Sąd kryminalny sądzić ich będzie; sąd wojenny ustał razem z stanem oblężenia lat temu kilka—odpowiadam.

—Nie! ja tego nie chcę, ja na to nigdy nie pozwolę, ja chcę mieć satysfakcyę za moje trudy—krzyknął mylord jak opętany.—Alboż ja nie znam waszych sędziów kryminalnych? Oni bandyty nigdy nie ukarzą śmiercią, z bojaźni, żeby ich koledzy na nich się nie mścili. Słuchaj, panie oficerze: chodźmy pod owe sosny, na owe ulubione stanowisko tych łotrów, ja wam opowiem zabawną powiastkę.

Myślałem, że to będzie jakieś nowe dziwactwo Anglika, i przenieść kazałem cały mój tabor pod owe sosny, a mylord nie wysiadając z lektyki postawionej na ziemi, opowiedział nam w swym dziwnym sposobie następującą historyjkę, której pilnie przysłuchiwali się dragoni i bandyci.

»Było temu lat dziesięć. Bogaty jeden Anglik podróżował w charakterze dyplomatycznym we Włoszech, z Sieny do Rzymu, i został napadnięty przez bandytów już koło wieczora. Bronił się Anglik wraz z swemi służącemi tak walecznie, że bandyci ustąpić musieli. Anglicy poszli za nimi w pogoń. Tymczasem drugi oddział bandy przypadł do koczka, w którym, prócz tych łotrów pocztylionów papieżkich, żaden nie pozostał mężczyzna; wyciągnął z koczka najstarszą córkę mylorda Dan.... i uprowadził ją z sobą.

»Córka ta, cud piękności, ubóstwiany przez całą Anglię, miała lat siedmnaście, i słynęła ze swęj dobroci i ukształcenia tyle, ile ze swęj urody. Była to jedna z owych miłych córek nieba, które się tylko w Anglii rodzą.

»Mylord wraca do pojazdu i zastaje swą żonę i swe dzieci w rozpacz; zdaleka zoczył swą córkę omdlałą w rękach bandytów.

»Wyprzęga konia, puszcza się za bandytami, ale skały i lasy tamują mu drogę. Jedzie więc dalej do Rzymu, całą wzrusza policję, wszystkich wysłał dragonów papieżkich, sam przewodniczy wyprawie. Wszystko napróżno.

Nareszcie nadchodzi do mylorda list, podpisany straszniem na całe Włochy nazwiskiem: *Barbone*; list, w którym ten zbrodniarz upewnia zmartwionego ojca, że córka jego będzie mu wydaną nietknięta, jeżeli za dni najdalej cztery złoży w oznaczonym miejscu sto tysięcy funtów szterlingów; inaczej niech się spodziewa najgorszego rozwiązania rzeczy.

»Nieszczęsny ojciec nie mógł zebrać w całym Rzymie tej ogromnej summy; zresztą tyle zaufał powziętym środkom, że nie chciał nawet wejść w układy z bandytami. Myślał, że prawo tryumfować musi w Rzymie, tak jak w Anglii. Nieszczęsne zaślepienie!....

»Minął czas oznaczony, pieniędzy nie złożono, śladu bandytów nie znaleziono nigdzie. Jednego poranku poczta składa w hotelu ambasady angielskiej pudło jakieś adresowane do mylorda.

»Co było w tém pudle?—Błada krwią zboczona głowa pięknej Miss Clarissy, przytém list Barbonego, w którym ten potwór pisze mylordowi, że córka jego nie będąc wykupiona przez ojca, przeznaczoną została na najhianiebniejszy użytek całej bandzie, że skończyła nasyciwszy rajską rozkoszą siedmnastu łotrów, że sobie wyprosiła przed śmiercią, żeby jej głowę przesłano rodzinie.

»Tak się okropnie skończyła ta tragedia,—mówił dalej mylord,—i tą razą łaza błysła w jego stoickim oku. We dwa lata potem schwymano Barbonego i na śmierć go skazano; ale złoczyńca tak dobrze umiał udać skrucę i poprawę, że księza zbudowani jego bogobojnością, za nim się wstawili. Ułaskawiono więc tego ludożercę, który paręset swych bliźnich wymordował. Ułaskawiono go na wieczne więzienie. Barbone został wkrótce potem dozorcą innych więźniów: do tego stopnia umiał durzyć władze swą pozorną poprawą. Nareszcie jednej nocy uciekł

z twierdzy Civitavecchia i niedługo potem znów całe Włochy zdrząły odgłosem jego okrucieństw.

»Drugi jeszcze raz schwytano złoczyńcę, i drugi raz potrafił ująć z kajdan. Dziś jeszcze jest postrachem wszystkich podróżnych.«

Mylord zamyślił się na chwilę; widać było, że walczył sam z sobą, nareszcie rzekł:

»Panowie wszyscy tu przytomni! Nieszczęsna Miss Clarissa była moją narzeczoną! Teraz osądźcie sami, czy ja przystać mogę na to, żeby ukaranie bandytów powierzono podobnym sądom?«

Tak skończył mylord swe opowiadanie, i spojrzał kolejno na nas i na bandytów. Dragoni wlepili pytające oczy we mnie, bandyci głowy spuścili. Skinąłem. W minutę pięciu bandytów drgało w śmiertelnych konwulsjach na owych gałęziach. Sami uznali sprawiedliwość wyroku; żadnego nie stawili oporu, żadnego nie wydali jęku. Oszczędziłem obu oślepionych i w pachwinę postrzelonego. Oddałem ich sądom. Wszyscy trzej już na wolnej są stopie, ale kalectwo czyni ich mniej szkodliwemi.

Duchowieństwo dowiedziawszy się, że własnym mem *motu proprio* bez absolucyi wyprawił na tamten świat pięciu złoczyńców w *stanie grzechu*, domagało się kary dla mnie. »Jakto! już nie świętego nie pozostanie na tej ziemi? już i po duszę ludzką sięgać będzie zuchwały rozbestwiony żołnierz?« wołali z ambony nasi księża. »Zabij ciało, ale ratuj duszę, bo ona wieczną! Targać się na nią, jest to wkraść w najświętsze prawa Boga, jest to popełnić wieczne, niczem okupić się nie dające zbrojstwo. Niech będzie wyklętym potwór, który nie ma litości nad duszą swego bliźniego; niech go wieczna na tamtym świecie ściga kara, jeśli tu, w tym nieszczęsnym Boga się wyrzekającym kraju, nie masz kary na podobnego zbrodniarza.«

Tak gromili księża i już się zbierano do obłożenia mnie klątwą kościoła, kiedy nasz rząd z obawy, żeby sprawa za daleko nie zaszła, kazał mnie uwieźć i w kajdany okuć. Tak tedy własną osobą przypląciłem usługę wyświadczoną ludzkości. W kilka miesięcy uspokoiły się przecież umysły żarliwych obrońców praw Boga. Wypuszczono mnie z więzienia, ale przeniesiono do nędznego miasteczka, do Sabuży, gdzie lepszych czekając czasów, wegetuje jak

krzew aloesu. Bandytów jednakże ścigam więcej niż kiedykolwiek, rzadko kiedy biorę ich do niewoli, chyba tylko bardzo ciężko rannych. Innych każę ubijać w miejscu, że bym ich wieszać nie miał ochoty.

—A Lord Waterf...? jak się z nim rozstałeś kapitanie?— zapytałem.

—»Jak najlepiej. Widząc z jaką miłą ochotą moi ludzie wieszali rabusiów, rozczulił się prawie do łez i przysięgał, że nigdy w swém życiu niewidział takich *fashionable and sentimental dragoons*. Każdemu dał po uncy złota. Mnie zaś chciał obdarzyć swym angielskim koniem, ale go nie przyjął, mówiąc, że taki dar byłby uważanym jako cena krwi bandytów. Ofiarował mi tedy swą przyjaźń, i tej nie wzdragałem się przyjąć. W Coimbrze nie mało narobił dziwactw wespół z akademikami, których tak rozbałamucił, że go rektor nareszcie musiał prosić, aby sobie wyjechał. Nie wiem gdzie się teraz obraca.«

To wszystko opowiedział nam don Ramon nie w jednym ciągu, lecz w częstych przestankach. Nieraz bowiem badał podróźnych, których spotykaliśmy, nieraz sprawdzał rysopisy, aresztował nawet dwóch wieśniaków, którzy mu się wydawali być podejrzanymi.

Raz nawet ścigał na swym bystrym koniu człowieka zaczajonego za krzakami, a którego pies pana T. K. wytropił. Człowiek ten nie miał przy sobie żadnego innego paszportu, jak puginał i parę dubeltowych krucic, przytém krzyżował się w odpowiedziach. Baron zaręczał, że go zna jako wielkiego łotra. Związano mu więc ręce i odprowadzono do Oporto.

Z temi ludźmi nie można być dość ostrożnym. Znają wszystkie drogi, ścieżki, przesmyki, bagna, jaskinie, lasy i góry; posługują się wszystkimi wieśniakami z natury zawsze lekliwemi i do służenia bandytom zawsze gotowemi; przytém strzelają nadzwyczaj celnie, umieją udawać krzyki i wycia wszystkich zwierząt; przed własnym sumieniem zastaniają się częstém spowiadaniem, słowem, ufają w bezkarność na tym i na tamtym świecie. Dlatego też wielu awanturników w naszym kraju bierze się do rzemiosła bandytów, tak jak inni do rzemiosła szulerów, prosto aby się zabawić dobrze kosztem życia, niewinności i pieniędzy swych bliźnich.

—Kapitanie, opowiedziałeś nam wyborną historję o bandytach i o mylordzie. Ulisses nie byłby jęj opowiedział lepiej, i tęm nam jeszcze zaostrzyłeś ciekawość na historję naszego fidalga. Prosimy cię, nie trzymaj naszej ciekawości dłużej na torturach, i opowiedz, kto jest ten zagdkowy szlachciec z krogulczemi oczyma.

—Krogulczemi? z sępiemi chyba. Dobrze panowie, opowiem wam historję naszego Krezusa i jego skarbów: znana ona dobrze całej prawie Portugalii, a za jęj wiarogodność ręczę. Mamy właśnie czas, drapiemy się na wierzchołki tęj stromęj góry, uwieńczonej ruinami niegdys pysznoego klasztoru. Historia wystarczy nam na całą drogę. Zaczynam tedy:

»*Don Pedro Joao José Elisondo de Carvalho Branco, Baron do Castro Vulturno em Estrella*, otrzymał wychowanie godne swego wysokiego rodu i szumnego nazwiska. Już w ośmnastym roku życia swego umiał doskonale jeździć konno, bić się na szpady, grać w karty i nieźle bałamucić kobiety. Jako oficer gwardyi przybocznej króla Jana, żył hucznie, wydawał wiele pieniędzy, przegrywał jeszcze więcej, i zadłużył swój majątek ile tylko można było. Takie życie potrwało lat kilka; ale później nasz fidalgo, syt chwały dworskiej, a raczej dręczony przez wierzycieli, poddał kark jarzmu małżeńskiemu, i bardzo prozaicznie ożenił się z majątną, ale nieładną, a co gorsza, nieszlachetnie urodzoną panną, i osiadł w swym rodzinnym zamku w górach Estrelli.

Nie długo też nosił maskę, którą przywdziać potrzeba było dla uzyskania panny: nie oszczędzał ani pieniędzy, ani miłości własnej pani baronowej. Długo znosiła żona wszystkie kaprysy swego męża, ale nareszcie zgorszona widokiem rywalek, które pan baron w własnym jęj domu utrzymywał, sprosiła sobie świadków, przekonała ich o słuszności swych krzywd, zabrała z sobą swego synka, zaledwie kilka miesięcy liczącego, i wróciła do domu rodzicielskiego. Później zaś, pomimo intryg męża, uzyskała od sądu formalną seperacyę, rozvodu bowiem u nas nie ma.

Pan baron widząc się ogołoconym z funduszów, zabrał resztę posagu i wyjechał do Paryża, do Niemiec i do Włoch. Pełno go zawsze było wszędzie, gdzie grano w karty, gdzie się pojedynkowano i gdzie kochano brunetów z krogulczemi

nosami. Tu go widziano z niemiecką hrabiną, tam z angielską ladyską, owdzie z włoską księżną. Jednym słowem, nasz Don Joao był prawdziwym Don Żuanem, rozumie się XIX. wieku, gdyż kwestya pieniężna zawsze była podstawą i celem jego romansów. To życie europejskie potrwało lat coś ze dwanaście. Tymczasem wierzycciele wzięli dobra w sekwestr, a krynice miłości zaczęły się wyczerpywać. Pani baronowa, zniszczona kłopotami i nie chcąc się nikim pocieszać, w nieobecności męża umarła, zapisawszy niewdzięcznemu tyle, ile wystarczyło na oczyszczenie z długów zamku Vulturna z przyległościami.

Wraca nasz baron, bo już miał do czego; wraca, ale nie sam, tylko z cudnie piękną, imponującej postaci Rzymianką.

Nigdy nie wiedziano i dziś nikt nie wie jeszcze, czy ta osoba jest jego żoną, czy też tylko kochanką. Ona sama na to zapytanie nie mogłaby żadnym sposobem odpowiedzieć, jest bowiem głuchoniemą. Wprawdzie śmiało spojiera na każdego, nie wstydzi się, i w domu swym rozrządza jak pani z wielką godnością, ale bardzo rozkazująco; zdawałoby się, że to żona, ale są znów tacy, którzy utrzymują, że baron jeszcze przed śmiercią tamtej żony żył w Rzymie z tą osobą *incognito*. Zresztą co mi do tego, ani dragon, ani też nawet żandarm nie jest stróżem moralności, tylko stróżem porządku, co nie zawsze na jedno wychodzi.

Tak tedy baron przybywa z swą piękną Rzymianką do ojczystego zamku, o syna swego wcale się nie pyta, oddaje się całkiem gospodarstwu i siedzi kamieniem w swych dobrach przez lat kilka. Tylko od czasu do czasu robi z swą Włoszką wycieczki do pobliskich, a nawet czasem do odleglejszych klasztorów.

Nie sama tylko nabożność była przyczyną tych podróży. Baron wiedział, że nasze klasztory zawierały mnóstwo arcydzieł sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej i złotniczej, wyszłych z pod pędzla i dłuta wielkich mistrzów hiszpańskich, włoskich i portugalskich. Z upadkiem ducha religijnego, czyli raczej z przekrzywieniem jego w nietolerancję i fanatyzm, zatraciło się u nas pojęcie piękna artystycznego. Nikt u nas nie znał wartości cudnych utworów pędzla, któreśmy posiadali; nikt u nas nie wiedział, jakie w zakopconych klasztorach posiadamy skarby, gdy we Francyi i Anglii naj-

mniejszy utwór pędzła wielkich malarzy, niezmiernemi płacono summami.

Baron stał się za granicą człowiekiem bardzo przenikliwym. Przypatrzył się z bliska światu, przewidywał wielkie zmiany polityczne, i założył sobie korzystać z zamieszanej burzą wody, by w niej ryby łowić. Jednym słowem, wyszedł na spekulanta politycznego, jakich wówczas już mnóstwo było we Francyi.

Baronowa zaś od dzieciństwa oddawała się malarstwu; mówią nawet, że córką jest sławnego malarza w Rzymie, i że ją baron przy portretowaniu uwiódł czy też zbałamucił. Zna się tedy, taką szkołę przeszedłszy, na dobroci pędzła. Dlatego ją też baron oprowadzał po klasztorach, aby się dowiedzieć, które malowidło jest dobrém, a które mało warte.

Zachmurzył się horyzont polityczny naszego kraju, przyszło nawet do wybuchu burzy. Potworzyły się tajne i jawne partje, potworzyły się zbrojne fakte, wspierane domowemi i obcemi wpływami. Do wszystkich uciekano się środków, aby tylko zwyciężyć.

Baron mieszkając w swym niedostępnym zamku, wznoszącym się pomiędzy górami i lasami, gdzie bandyci często przytułku szukali i swe kryjówki im tylko znane mieli; baron, mówię, musiał dla własnego bezpieczeństwa wchodzić czasem w pewne układy i rozejmy z hersztami bandytów. Stosunki te posłużyły mu przy wybuchu burzy, oddawna przewidywanęj, do utworzenia sobie z samych bandytów znacznej siły zbrojnej, na której czele stanął jako partyzant w obronie praw don Miguela.

W Hiszpanii zniesiono klasztory prawem przez kortezy zawotowaném i wolą królewską zatwierdzoném. W Portugalii zaś, na nieszczęście, jeszcze nim zniesienie prawne klasztorów nastąpiło, rzucano się tu i owdzie na wypędzenie mnichów, zanadto wielki udział w polityce wstecznej biorących.

Baron w takiej chwili nie pozostał bezczynnym. Stosunki miał przez bandytów i ich przyjacioł z całym krajem. W wielu miejscach umiał podburzyć, przez swych tajnych agentów, egzaltowanych do rzucania się na klasztory, wysyłał ich na rabunek, a potem zniecka na obciążonych łu-

pami napadał, odbierał im łupy i brał je do swego zamku, niby dla przechowania.

Takim sposobem upadło wiele klasztorów, upadł i ów piękny klasztor, którego dwie wieże widzimy tam, wysoko, między modrzewiami. Takim sposobem wielka część malowideł, posągów, naczyń świętych, monstrancyj, ornatów perłami i kamieniami haftowanych, dostała się w imieniu religii i króla na zamek pana barona. Pieniądze i mniejszej wartości rzeczy rozdawał hojnie pomiędzy swych bandytów, którzy mienili się być, i wierzyli, że są *obrońcami prawego porządku*.

Długo trwały rozruchy, nieporządek, niepewność i prześladowania, wojny i intrygi. Don Miguel, tryumfując w Portugalii przez czas niejaki, zawezwał barona do zwrócenia skarbowi łupów kościelnych, które, idąc za popędem szlachetnego swego serca, zechciał własnem wojskiem i własnym kosztem odbić egzaltowanym. Pan baron, widząc don Miguela dość mocno i nieubłaganie władającego berłem swój młodej bratanki, pospieszył z wielką pompą do Lizbony, i zaniósł w wielkiej processyi łupy kościelne do zamku królewskiego: naturalnie przy odgłosie dział, dzwonów, orkiestr wojskowych i hymnów religijnych, bo bez tego nie się w Portugalii nie dzieje.

Wydzielono nagrody za tak wielką cnotę obywatelską.

Teraz widzimy, że pan baron zwrócił co sam chciał, a zatrzymał co mu się podobało z łupów klasztornych. Któż mu mógł dowieść, co się do jego rąk dostało, a co się w innych uroniło. Rozeszła się potem pogłoska, że pomiędzy malowidłami zwróconemi przez barona, zamiast oryginałów arcydzieł, poznajdowano tylko kopie malowane na starych tłach wziętych z innych obrazów, a naśladujące skrupulatnie nietylko piękności, ale i wady obrazów, nawet i wiekami nabyte uszkodzenia.

Utrzymywano, że Rzymianka była autorką tych kopij. Utrzymywano także, że najpiękniejsze i najkosztowniejsze naczynia i ornaty pozostały w rękach barona. Lecz któż mógł mówić lub też tylko myśleć długo o tych podrzędnych sprawach podczas okropnych klęsk, nękających biedną naszą ziemię?

W wojnie don Pedra przeciw Miguelowi, baron popierał sprawę ostatniego; ale gdy go zoczył chwiejącym się, za-



czął parlamentować z don Pedrem. Amnestya i potwierdzenie donacyi były warunkami odszczerpienia, bo senatorstwa sam się zrzekł. Przyszło do zgody. Baron ściągnął swych bandytów do zamku.

Później, gdy się porządek ustalił, fidalgo widząc, że czasy anarchii nie wrócą tak prędko, chciał się pozbyć całej swój armii, która mu się stawała codziennie niewygodniejszą, chciał się uwolnić od owych obrońców niebardzo zadowolonych z odszczerpienia swego wodza. Podzielił ich tedy pod różnemi pozorami na małe hufce, i na różnych punktach, ale prawie jednocześnie, wydał ich wojsku królowej.

Najlepiej, że pomiędzy dowódcami bandytów czyli, jak ich z grzeczności nazywali, gerylasów, był bliski kuzyn barona, kochający się zapamiętale w pięknej niemiej Włoszce, i od niej nawzajem kochany. Pan baron był bardzo zazdrosnym i pozbył się rywala, oświadczywszy wprzód, że ten jest jednym z najgorszych. Wszystkich wydanych bandytów, gerylasów, razem z kuzynem barona okuto w kajdany, wrzucono ich na okręty, i odesłano do najodleglejszej kolonii portugalskiej w Afryce, do Angoli.

Kilkudziesięciu jednakże bandytów zdołało uniknąć wydania i transportacyi. Ci rozsypali się w góry, zaprzysięgli się na życie barona, i niezawodnie tu gdzieś czekają na nas; jestem pewnym, że nam tak na sucho nie przejdzie.

Ale właściwie w naszej historyi nie na tém jeszcze koniec. Jawi się na scenę naszego niedokończonego dramatu jedna jeszcze osoba, syn, którego miał baron z swój pierwszej żony, a który tymczasem wyrósł bardzo pięknie, jak się panowie przekonywają. Wychował się on pod okiem swego dziadka, dawnego bankiera, człowieka nieugiętej rzetelności i fanatycznie zamiłowanego w cnotcie. Młody człowiek nabrał tego samego sposobu myślenia, kształcił się bowiem na wzór spartański swego dziadka. Wszyscy jednogłośnie chwalą tego młodzieńca, jako rzadki przykład cnoty, charakteru i zdatności. Szkoda, że nie jest przystępniejszym, bo sami moglibyśmy o tém sądzić.

Dość, że ojciec słyszał pochwały dawane swemu synowi, dość, że wola Boska chciała, żeby się ojciec pokochał w reputacyi syna, którego nigdy nie widział. Długo

się pasował sam z sobą, ale nakoniec zwalczył wszystkie wstręty i udał się do swego syna od tak dawna zapomnianego.

Ale syn, który o swym ojcu słyszał wszędzie tyle złego, nie miał żadnej ciekawości widzieć go; nawet wstręt tak wziął górę w sercu młodego człowieka, że wołał nosić mieszczańską nazwę swój matki, jak szlacheckie nazwisko ojca. Musiał tedy dumny baron zrobić pierwszy krok do zgody; poszedł więc do domu ojca swój żony. Spotkanie bardzo było dziwne, serce rozrywające. Syn zdrzął zobaczywszy swego ojca i zapłakał, zdaje się, że sąd Boga przemawiał wówczas przez nieme, blade lica młodzieńca: baron bowiem, ten dumny, nieubłagany, w szczęście swe tyle ufający baron, widząc się wzgardzonym przez własne dziecko, padł jak gdyby piorunem rażony na kolana, i przeproszał syna za wszystkie krzywdy jemu, matce i nazwisku swemu wyrządzone.

—Nie za to przeproszaj, okrutny, płochy, samolubny człowiecze, coś sobie samemu i twój rodzinie złego wyrządził, ale za to pokutuj, żeś na twój kraj rodzinny tyle okrutnych klęsk sprowadził, a będzie ci może przebaczeniem—rzekł syn do własnego ojca.

I baron, który dotychczas nikomu nie podlegał, pierwszy raz posłuszny w swém życiu, pełni wolę jeszcze małoletniego swego syna, zwraca dane mu przez don Miguela dobra tym, którym zostały skonfiskowane, opuszcza na lat dziesięć Portugalię, a przed opuszczeniem *daruje narodowi* wszystkie te wozy i furgony napelnione arcydziełami sztuk i rozlicznymi kosztownościami. Tak jest, ojciec, widząc się wzgardzonym przez własnego syna, nie dba o łupy, które z takim wysileniem, kosztem tyła krwi i krzywdy przez czas tak długi zbierał; poznał przecież jeszcze na tym świecie, że w dogodzonej chciwości, w skarbach nieuczciwie zebranych, nie masz zasobów trwałego szczęścia. Poznał może dlatego, że rozumu swego trunkami nie zalewał, i że czucia swego od pewnego czasu niecniemi kartami nie tępił. Nałogi są większymi nieprzyjaciółmi moralności ludzkiej, jak same zbrodnie.

Zehodzi tedy nasz fidalgo ze sceny naszego kraju, ze sceny łzami oblanęj, ale jeszcze drży ze strachu, bo tu może śmierć na niego czycha w tych wąwozach, a on wi-

dzi, że potrzebuje życia dla przebłagania nieba i swego syna.

Niech się jednak nie lęka! Ja go bronić będę aż do ostatniej kropli krwi. I ja pragnę, by żył długo i służył temu chciwemu światu za przykład.

Taka jest historia życia naszego barona, jego rodziny i jego skarbów.«

Don Ramon, skończywszy swe opowiadanie, zsiadł z konia wraz z połową eskorty wojskowej i pobiegł z nią ku ruinom klasztoru, dla zapewnienia się, czy gdzie w piwnicach, gankach, pod dachem lub sklepieniem, nie kryje się jaki bandyta lub szpieg rozbójników. Tam bowiem mieliśmy odbyć *siestę*; dziesiąta godzina dochodziła, a upał nieznośny ciężył na naszych piersiach, jak Alp nielitościwy.

Szkoda tego kościoła! Budowa jego tak piękna, tak lekka, cały prawie z ciosowego kamienia wielkim kosztem postawiony. Dziś prawie jest opuszczonym: od sześciu lat nie odprawiano w nim nabożeństwa. Staremu pustelnikowi, niegdyś braciszskowi zakonnemu, powierzono klucze kościoła: on jeden tu mieszka, prócz puszczyków, sokotów i starój sowy uszatěj. Kawki, nawet wróble i jaskółki, nie chcą tu przebywać, bo im tu zatęskno; ludzi nie widzą, chyba przechodnia kiedy niekiedy.

W obszernych salach, gankach i korytarzach klasztoru wszędzie głucho i pusto. Starożytne mury opierają się jak mogą zniszczeniu, choć bite nawałnicą, choć deszcz przecieka przez spalone dachy. Ale burze już naznosiły ziemię w szczeliny, i wiatr tam zagnał nasienie skrzydlate, i już z niego wykwita brzezina. Wilezy bluszcz pnie się po ścianach i drze je ku ziemi, aloes nielitościwy rozpiera gruzy i zwała je w wąwóz, tysiące jaszczurek, ładnych jak szmaragdy, a szybkich jak błyskawica, gnieździ się pomiędzy kamieniami i wapno wygrzają, torując drogę innym żywiołom zniszczenia. Co człowiek zburzyć nie miał czasu, to dokonają niższe jestestwa, wolniej, ale nieochybnie. Wegetacya wybuja tu kosztem mozolnego dzieła ludzkiej pracy i pochłonie w swych chaotycznych pięknościach starożytną zakonników siedzibę.

W świątyni, dawniej tak białej, pięknej, bez zbytku jaskrawych ozdób utrzymywanej, pozostały jeszcze niektó-

re ślady dawniej świetności: mianowicie chór cały tafłami białego marmuru wyłożony, płaskorzeźbą ozdobiony, piękna kazalnia i alabastry białe zdobiące ołtarze.

Znajdzie się zapewne wkrótce jaki lubownik sztuk pięknych, który marmury te zedrze i na paryzkim rynku Anglikom za ruiny w Pompei wydobyte sprzeda.

Z chóru, na którym wprzód stały organy, widzieliśmy niepostrzeżeni, jak Don Joao prowadził milczącą swą rodzinę do zakrytych na spoczynek. Dwie piękne okazałe postacie! Starsza blada, zaledwie trzydzieści lat mająca, nosiła na swój klasycznie regularnej i szlachetnej twarzy wyraz głębokiego, szacunek wzbudzającego smutku. Spojrzała na te sprofanowane mury, na te z obrazów odarte ołtarze, i łzy błysnęły w jej wielkich ciemno-niebieskich oczach.

Byłyżto łzy wyciśnięte żalem, czy też zgryzotą?

Druga dama młoda, zaledwie 14 wiosen licząca, ale już wysoka, piękną była także, ale tą nietrwałą jak kwiatek pięknnością, którą daje młodość, a łatwo niweczają lata. Znadto była podobną do swego ojca z przenikającego wzroku, a brak tak potrzebnego ludziom zmysłu słuchu, dawał młodej dziewczynie wyraz zbytnej niecierpliwości.

Jeszcze trzy pomniejsze córki do tej niemiej należały rodziny. Dwie milczące murzynki, podobne do dwóch czarnych sfinksów, pilnowały tej rodziny, która nigdy nie mówiła.

Syn barona nie uznawał tej rodziny za swoją, nie przybliżał się doń nigdy. Z nikim nie przestawał ten młody purytanin, jak ze swym starym służącym, wyglądającym tak zimno i surowo, że aż krew krzepła. Czasem tylko posyłał po swego ojca i z nim krótko rozmawiał. Największą część czasu trawił na czytaniu jakiejś książki, bardzo staroświecko wyglądającej. Bardzo żałuję, że n bliżej nie mógł poznać tego młodzieńca, tak się różniącego od tegoczesnej codzienniej młodzieży; ale tak był niedostępnym, jak Mont-Blanc.

Ogród klasztorny obszerny i niegdyś piękny, zarastały wybujałe chwasty. Grunt roztaczały krety i dzikiej bawełny korzenie; drzewa owocowe dławił okrutny bluszcz, dzikie wino i ów wilk wegetacyi, nardusz koleczasty.

Kapitan das Alveyras, rozstawiwszy czaty na szczycie wieży i na wszystkich wzgórzach porośniętych krzewami, za-

prosił nas do dawnego refektarza, gdzie w chłodzie, pod cieniem kwitnących gałęzi pomarańczy i akacyj, przyniesionych z ogrodu i pozatykanych w szczeliny ściany, spoczęliśmy na słomie kukurydzy. Okropnie znużeni, zasnęliśmy od razu.

Spaliśmy ze trzy godziny, kiedy nas nagle zbudził stary wachmistrz Barbastro wiadomością, że żołnierz, stojący na warcie na wieży, zoczył od strony góry zwanéj Monte-alto, pośród skał i krzaków, człowieka czołgającego się na brzuchu i zbliżającego się pomału do miejsca, gdzie się zaczyna pole kukurydzy, przytykające z téj strony do napół zwalonego muru ogrodowego. »Pytanie, czy ten człowiek jest przednią strażą bandytów, lub też tylko ich szpiegiem?» dodał Barbastro.

—Szyldwach musi się mylić—odrzekł kapitan—bandyci za wiele mają rozumu, żeby się pośród jasnego dnia podsuwali w sposób tak widzialny.

—Panie kapitanie, szyldwach byłby nie zdołał odkryć człowieka tego pośród krzaków zasłaniających go całkiem, gdyby mu do tego szczególna okoliczność, zaszła w powietrzu, nie była dopomogła. Wysoko pod obłokami krąży całe stado sępów, owych sępów Estrelli, które się zawsze tam ściągają, gdzie wkrótce będą trupy ludzkie. To obudziło uwagę szyldwacha, szukał tedy kandydatów na tych przyszłych nieboszczyków, i znalazł ich właśnie pod sępami za pomocą pańskiej perspektywy. Bedzie bójka, panie kapitanie, będzie bójka!—tak zaręczał Barbastro.

Wtém znów wpada kapral i oznajmia, że już trzech spostrzedz można ludzi, zhlizających się jak węże do pola kukurydżowego. „Ludzie ci są zbrojni, panie kapitanie. Ciekawość, czy są w zмовie z ludźmi barona? Ja myślę że są“, twierdził kapral, nasuwając swemu oficerowi domniemywania.

—Nieźle się domyślasz, kapralu; idź proś do mnie barona, a dragonom powiedz jak najskryciej, żeby czuwali nad wszystkimi ruchami, ale zresztą żadnej nie wyjawiali niespokojności. Baczność jak największa wszędzie!

Przyszedł baron i zbladł słysząc co się dzieje.

—Możesz pan liczyć na wierność swych przyjaciół?—pytał go uszczypliwie kapitan.

Oczy barona wyrzały z swych jam jak dwa puginały; usta się ścięły, rumieniec wystąpił na blade lica.

—To nic, baronie—mówił dalej kapitan—wystarczy my sobie sami. Pojmuję ja myśl nieprzyjaciela. Chce on podkraść się cichaczem do muru ogrodowego i dać nam odciągnąć spokojnie z klasztoru po drodze spadzistej schodzącej gzygzakiem w głęboką dolinę. Ta droga bieży najprzód z dwieście kroków na północ, potem zwraca się pod kątem ostrym na zachód, tak, że wyszedłszy z klasztoru i oddalwszy się od niego o 200 kroków, potem z wróciwszy się ku zachodowi i uszedłszy z 250 kroków, będziemy zaledwie o 50 kroków poniżej muru ogrodowego. Tu właśnie, za tym murem, chcą nas oczekiwać; parę minut czasu, które strawimy na zejściu ową łamaną drogą, chcą spożytkować na przebieżeniu ogrodu i uszykowaniu się pod murem. Zład nas chcą uraczyć rześistą salwą pionowo z góry spadającą, i ręczę, że tyle będzie pomiędzy nami-trupów, ile mają nabojów.

Baron znowu zbladł bardzo.

—Nie lękaj się baronie—mówił dalej nieubłagany Don Ramon:—ja twego życia pilnuję jak źrenicy w oku. Łatwo by mi było zniszczyć plany rabusiów, ale tu idzie o coś więcej: tu idzie o ukaranie ich przykładne, o wytępienie ich, jeżeli można. Aby tego dopiąć celu, złudzimy nieprzyjaciela pozornym odciągnięciem. Dwunastu ludzi pańskich przywdzieje cichaczem mundury mych dragonów i siądzie na koń, a dragoni pozostaną tu zemną ukryci w korytarzach. Pan nam pożyczysz swego arsenału podróznego, żebyśmy mieli jak najwięcej wystrzałów, i poczęstujemy nimi nieprzyjaciół właśnie w chwili, kiedy się zabierać będą do bombardowania pańskiego koczka; a o pana najbardziej im idzie, wiem o tém.

Baron znów mienił się, i z oczów strzelał jak z pistoletów.

—Koniec końcem, panie baronie, przyślij mi tu po jednym z twych ludzi najstosowniejszych do maskarady, przyślij także broń pod płaszczami. Urządź w ten sposób karawanę, żeby nieprzyjaciel spoglądający na was, nie spostrzegł ubytku ludzi. Wszystko rób ostrożnie, a będziemy mieli sławne polowanie!—rzekł Don Ramon, zacierając ręce z zadowolenia.

Myśl kapitana była istotnie genialną. Tak nas oczarował swą ochotą do boju, żeśmy się ofiarowali podzielić z nim jego niebezpieczeństwa; lecz tego przyjąć nie chciał. „Panowie tam potrzebniejsi w karawanie do utrzymania porządku, w razie, gdyby się nasze zamiary tutaj nie udały,, —wymawiał się kapitan.—Ale ręczę, że jedynie honor wojskowy nie pozwalał mu przyjąć naszej ofiary, i pojmuję tę ambicję żołnierza.

Odbyło się przebranie. Strzelec barona, wzrostem do kapitana podobny, przywdział jego mundur.

Nareszcie około godziny trzeciej zaczęto przyprzegać konie i muły; pościągano czaty, przebrano w ich mundury resztę sług wybranych przez barona. Ruszamy z miejsca zwykłym porządkiem. Z bijącym sercem oddalamy się od tego klasztoru, za kilka minut tak krwawych scen będzie widownią. Na twarzach każdego z nas malowało się głębokie wzruszenie.

Zehodzimy wolno po spadzistój drodze, krok nasz opóźniamy mimowolnie; bo życie ludzkie jest rzeczą nie małej wagi, a tu wkrótce krew bliźnich naszych będzie się lała.

Droga się załamuje. Zstępując coraz głębiej, zbliżamy się znów ku klasztorowi. Jeszcze więcej zwalniamy kroku, oddech zatrzymujemy w piersiach, serce puka niezmiernie, oczy zwracamy ku murowi ogrodu, wiszącemu prawie pionowo nad naszymi głowami. Już jesteśmy tuż blisko. słyszemy jakieś spieszne kroki, drapie się coś na mur; — wtém grzmot wystrzałów, jęk rannych, klątwy, i znów wystrzały i jęki—nareszcie okrzyki radości i kiedy niekiedy pojedyncze wystrzały. Wszystko trwało dwie minuty, a zdawało się że to wieki.

Coś drapie się na mur. To kapitan das Alveyras krzyczy: »Wszystko dobrze! dziewięciu na placu, drugie tyle uciekło. Karawana niech idzie naprzód i stanie dopiero u podnóża góry. Konie nam odprowadzić, i przysłać tutaj jedną z powózek najwygodniejszą. Mamy jeńca, którego trzeba opatrzyć. Pan doktor łaskaw będzie.«

Wracamy na plac boju. Widok okropny! ośmiu brodatych, strasznych i od stóp do głów uzbrojonych ludzi leży w ogrodzie, brocząc we krwi własnej i ducha oddając.

Ślady krwi wszędzie w ogrodzie; widać, że i uciekający byli rannymi.

Jednego tylko nie ubito. Byłto człowiek około trzydziestu kilku lat mający, szlachetnego oblicza, lecz w ubiorze nie różniącym się niczem od innych. Nosił spiczasty kalabryjski kapelusz, szpencer wyszywany z pętlcami, szeroki pas, krótkie manszestrowe spodnie i kamasze skórzane wysokie i haftowane. Ranny był lekko w łopatkę, ale w udzie miał postrzał, który mu kość zgruchotał, lecz głównej arteryi nie nadwerekzył. Cierpiał bardzo i prosił w wyrazach pełnych godności, by mu życie przedłużyć choć na dni kilka. »Nim umrę, chciałbym oznajmić światu, jakiej dziwniej fatalności jestem ofiarą, i co mnie do tego zamachu skłoniło«, mówił składając ręce do prośby.

—Panowie, miejcie o tym człowieku staranie, ma on ważne tajemnice do wyjawienia—rzekł kapitan, polecając nam swego jeńca.

Zrobiłem co można było zrobić w tej chwili: kulę i kilka odłamków kości wydobyłem z dość głębokiej rany, opatrzyłem ją i zimną wodą obłożyłem. Nareszcie kazałem włożyć pacyenta jak najostrożniej na wóz dobrze wyłożony słomą. Pacyent uczuł ulgę.

Dragoni znów dragonami, a słudzy barona ciurami, to jest, przebrano się znowu. Ruszamy powtórnie z miejsca. Jeniec przykrył twarz swą chustką i prosił pilnujących żołnierzy, żeby go nikomu odstępować nie pozwalano. I kapitan to sam polecił.

Dopędzamy karawanę czekającą w dolinie. Baron chce wiedzieć szczegóły przygody. Kapitan opowiada. »A tego jeńca czemu oszczędziłeś? kapitanie,—pyta fidalgo.

—Mam moje w tém powody—odpowiedział Don Ramon, spiął konia ostrogami, i w przelocie znów polecił warcie, żeby się nikomu nie pozwolili zbliżać do jeńca, prócz doktora. Baron zaszepił się i wrócił do koczka.

Don Ramon wraca do nas. Barbastro zbliża się i mówi: »A cóż? panie kapitanie! sępy Estrelli nie kłamią. I tą razą przewidziały dla siebie ucztę, pomogły nam nawet do polowania. Patrz pan, jak krążą nad ogrodem klasztoru, spuszczać się coraz niższemi, węższemi kręgami; jest ich właśnie ośm, jeden trup na każdego. Mądre to



ptaki, bardzo mądre! Pamięta pan kapitan, kiedyśmy rok temu maszerowali całym szwadronem z Castel Rodrigo do Monsanto. Od samych stóp Estrelli towarzyszyło nam pięciu sępów. Dzień cały nie spuszczały nas z oka. Ja wówczas mówiłem: Jeszcze do Monsanto nie dojdziemy, a będzie nas o pięciu mniej.—Śmiano się ze mnie, nazwano mnie starym gadułą, zabobonną babą i tym podobnemi nazwiskami. Aż tu w wąwozie zwanym Smoczą-szyją okropny gwałt, oddawna nachylony, pada pomiędzy szwadron, pięciu ludzi zabija, sześć koni na kawały łamie i tak drogę tamuje, że reszta szwadronu ledwie za dwa dni bocznemi ścieżkami do nas dojść mogła! Aha! nie miały sępy racyi?

—Starój jesteś daty człowiek, mój wachmistrzu—rzecze Don Ramon—chętnie wierzysz w gusła, upiory i cuda, i dlatego zwracasz uwagę na wszystkie przepowiednie; a raz jak ci ślepy traf potwierdzi twe wyrachowania, zapominasz, żeś się dziesięć razy na nich zawiódł. Patrz i teraz w niebo; wisi tam nad nami jakiś ptak wysoko pod obłokami. Może i to sęp i przepowiednia śmierci.

—Panie kapitanie, to dalibóg sęp z Estrelli, rozpoznaję jego czarne skrzydła, białą pierś i nagą szyję. Umrze z nas ktoś, nim do Oporto dojdziemy; zapewne ten ranny jeńiec.

—Doktor mi ręczy za niego, zresztą patrz, jak leży spokojny—rzecze Don Ramon.

—Co doktor wiedzieć może?—odparł wachmistrz—chyba to, co z książek spamięta lub podczas życia spostrzeże. Sępy mają instynkt wieszcezy, i więcej wiedzą, choć do szkoły z teką nie chodzą. Wierz mi pan kapitan.

—Zresztą zobaczymy—odpowie kapitan;—spytaj się więźnia, czyby się nie napił wody z tego pięknego źródła.

Ranny z wdzięcznością przyjął ofiarowany mu nektar, zerwał chustkę z twarzy i napił się. W tej samej chwili jeden z ludzi barona spojrział jeńcowi w twarz, i oczy słupem mu stanęły. Pobiegł do kocza barona i coś mu powiedział. Baron także zdumiał się niemało.

Zchodzimy z ostatniego podnóża gór w obszerną i kwitnącą dolinę. Oko znękanie blaskiem słońca i nagich skał widokiem, pokrzepia znów zieloność murawy umajonej kwiatami, ożywioną strumieniem, dąbrową i wieśniakami.

Znów nas dochodziło mruczenie kół windujących wodę z dna głębokich studzien, i odgłos tęsknego śpiewu rolników, pracujących w polu.

Lecz sęp towarzyszył nam ciągle, nawet tu, w téj nadobnej dolinie, gdzie żadnych nie ma skał i opok. Gdzie tu spocznie na noc to ptaszysko?

Już po zachodzie słońca stajemy w małym rolniczym miasteczku, zwaném San Vicente. Wóz dźwigający jeńca wtoczono do stodoły, poruczono go straży dwóch żołnierzy i opiece dziewczki gospodarza, która miała choremu okładać zimną wodą ranę i dawać mu pić od czasu do czasu.

W pobliskim prywatnym domu mieściliśmy się na noc wraz z kapitanem.

—Panie kapitanie! sęp dobrze przewidział! — krzyknie stary Barbastro, wpadając przed świtem jeszcze do naszego pokoju z latarką w rękę.

—Bodajżeś milion djabłów zjadł z twemi sępami! sam jesteś sępem! — odpowie Don Ramon.

—Panie kapitanie, nasz jeńiec umiera! A cóż, sęp się mylił?

—Jeńiec umiera? na co umiera? — krzyknie zdziwiony.

—Na co umiera? na śmierć umiera, zdaje mi się — rzecze wiarus.

Wstaję, ubieram się, wrywam latarkę z rąk wachmi-strza, biegnę do stodoły. Prawda! ani słowa. Jeńiec już ducha oddaje; blado-siny, zimny, oczy ma bez życia, w górę wywrócone, twarz zapadłą, oddech chłodny. Usta jego drgają, puls prawie nie bije, palce ciągle coś chwytają, tak jak gdyby tonął i chciał się ratować. Czy go krew uszła? Nie, ani kropli. Może krwotok zaskórny? część ranna nie opuchła wcale. Ani też śladu apopleksyi mózgu, ani płucowej. Krzyczę mu w ucho: »Ocknij się na chwilę, powiedz co ci jest człowiecze!« Daję mu wachać ammoniak, kilka kropli wlewam mu w usta, każę go trzeć i łechtąć, młotkiem we wrzącej wodzie maczanym nacierano mu dołek.

Otwiera przecież oczy, usta drgać przestają. Chce coś mówić, ale język nieposłuszny bełkocze; chwyta coś ręką w słomie, sili się, pasuje z uciekającą duszą, chce ją przymusić, by mu służyła choć na jedną chwilę, nareszcie wy-

mawia niewyraźnie: *orchada veneno!* chwyta za szklankę wstawioną w słomę, opada na swém łożu, wysiliwszy resztę życia, i kona.

W szklance była mała reszta orszady, może łyżka stolowa, a ta orszada śmierziała okropnie migdałami gorzkiemi.

—Kto podał choremu orszadę? — pytałem dragonów.

—Oto ta dziewczka, której panowie polecili opiekować się jeńcem—odpowie dragon.

—Czy on sam zażądał orszady?—pytam dalej.

—Nie, panie doktorze! dziewczka mu ją zaproponowała.

—A kto robił tę orszadę? — pytam młodej dziewczki, drżącój ze strachu.

—Oto kucharz tego pana barona; to on radził mi spytać się rannego, czyby się orszady nie napił, bo woda w naszej studni niezdrowa.

—Kto dał migdały do téj orszady, kto dał cukier?—pytam dalej, ale wtém kapitan das Alveyras, który był przyszedł przed minutą, przysłuchał się mym pytaniom, pojął od razu rzecz całą, i przerwał mi mowę słowami: »A co pomogą te pytania? panie doktorze. Jeniec umarł, bo miał umrzeć, to rzecz całą; zresztą dobrze zrobił, że umarł, byłby i tak nie uszedł śmierci.«

Pocięhu zaś dodał: »Na Boga! co robisz? rzecz całą pojmuje, rozumiem. Nie obudzaj nienawiści lwa, który cię rozszarpać może.«

Potém zbliżył się do umarłego, długo się wpatrywał w jego blade, szlachetne oblicze, i rzekł cicho ze łzą w oku: »Biedny Alfons!«

Nakoniec kazałem dragonom wziąć kilku chłopów z eskorty barona i zakopać trupa w polu, i porwawszy mnie pod ramię, wrócił ze mną do domu, w którym noc przepędziliśmy.

—Biedny Alfons!—rzekł raz jeszcze kapitan—jak marnie zginął! Razem w jednej wychowaliśmy się szkole, razem w jednym, przed kilkunastu laty służyliśmy pułku. Potém wystąpił z wojska i osiadł na wsi; później przeszedł do gerylasów Don Miguela pod rozkazy swego kuzyna pana barona. To on! kochanek owéj pięknej Włoszki, wydanej tak zdradziecko wojsku królowéj. Widać, że zdołał umknąć z fortecy afrykańskiej i wrócił do kraju, by się

zemścić na swym kochanym kuzynku. Bóg chciał inaczej! Teraz wszystko się skończyło, ostatnia scena tragedyi minęła!

Umaczałem kawałek ośrodka od bułki w pozostałej w szklance orszadzie, i rzuciłem go kurczęciu, biegającemu w sieni. Kurczę bułkę pożarło i zaraz zdechło.

Teraz wiemy, co się działo w górach Portugalii, na dziesięć lat przed końcem pierwszej połowy XIX. wieku.

## ROZDZIAŁ XI.

BURZA. — GNIEW NATURY I GNIEW CZŁOWIEKA. — KOSZARY. — OPORTO. — HANDEL WIN. — ANGLICY. — SZPITAL. — PROTEKTOR. — KURS ANATOMII PORÓWNAWCZÉJ. — ZAROZUMIAŁOŚĆ PORTUGALSKA. — QUINTAS. — BOHATERSTWO KAPITAŃA M. — PAN BARON. — POŻEGNANIE. — ODJAZD DO LIZBONY.

---

Reszta drogi z Paos przez San Vicente do Oporto nie przedstawiała nic bardzo interesującego. Wszyscy pogrążeni byliśmy w smutnych myślach; gorąco ciążyło na nas jak atmosfera łożnianych dachów więzienia Wenecyi; żadnego powiewu w powietrzu. Nareszcie ku wieczorowi, kiedy pięknie uprawne winnice zwiastowały nam bliskość Oporto, tumany czarnych chmur ściągnęły się nagle na błyszczącym jak stal firmamencie; zdawało się, że to hufce jakiejś dzikiej kawalerii zawiane uraganem z puszczy nadpowietrznych. Promienie słońca przebić nie zdołały tych gęstych czarnych szeregow, które nie czekając długo, uderzyły na siebie z wściekłością, zapaliły się migającym, oślepiającym ogniem, i roztrąciły niebo i ziemię niesłychanym łoskotem. Zdawało się, że bieguny ziemi wypadną z swych podstaw pod ciosami grzmotu i piorunów rozderżających drzewa i pagórki. Konie nasze i muły przyklekły drżąc jak liście, i dźwigać nas nie były w stanie, tak się chwiały. »Las agoas! las agoas!« (wody idą! wody idą!) krzyknęli z przestachu ludzie, i wkrótce krople wody wielkie jak orzechy włoskie padły na nas z nieba pionowo na głowy. Biada temu, którego kapelusz nie mógł stawić dość silnego oporu kamieniom tym płynnym; zwierzęta nasze padały pod niemi, jak pod razami kul. Każdy chronił swą szkapę gdzie tylko mógł, muły wyprężone szukały schronienia pod urwiskiem skał, pod

mostami, kładły się nawet pod wozy, głowy przynajmniej kryły i żałośnie jęczały.

Wody wezbrały w kilka minut, piorunem możnaby powiedzieć, i przeistoczyły wszystkie strugi w strumienie, strumienie w potoki, ścieki w stawy, a stawy w jeziora, potworzyły nawet w oka mgnieniu potoki i jeziora tam, gdzie ich nigdy nie było. W tej chwili puszczać się w wąwozy, byłoby wystawiać się na śmierć nieochybną. Największe głazy, staczały się, parte spadającą wodą, na dno wąwozów, a wody pęd tak był gwałtowny, że ludzi i zwierzęta z nóg ścinał.

Nie koniec na tém. Wiatr przynajmniej milezał dotychczas przy tém rozkiełznaniu się żywiołów, ale nareszcie wykradł się i on z jaskiń Eola, i zaczął wyć nielitościwie i dąć z taką gwałtownością, że drzewa wyskakiwały z głębi ziemi z wszystkimi korzeniami. Ogromne krople wody, padające dotychczas pionowo na nasze głowy, padały nam teraz ukośnie na twarz i rozbijały oczy. Nie było inszej rady, tylko położyć się obok koni i mułów na ziemi przesiąkniętą wodą, i kryć twarz gdzie tylko można. Los nie chciał nam oszczędzić i jednej nawet przykrości. Węże i jaszczurki, wystraszone z nor zalanych wodą, szukały schronienia, gdzie? pomiędzy nami, jak gdybyśmy najlepszymi ich byli przyjaciółmi. Biegły ku nam obces, czując zdalrka ciepłik. Dr. Lange bardzo był uszczęśliwiony tą wizytą padalca i węża, żmii i jaszczurki; nie tak my. Człowiekowi wrodzony jest wstręt jakiś nieprzewyciężony do wszystkiego co pełza.

Uragan poprzewracał kilka furgonów, a między niemi karetę mieszczącą rodzinę barona. Biedne dzieci piszczały na wszystkie tony skali chromatycznej, nawet córka Barona, tak dumna i złośliwa, jęczała litośnie i żywe w nas w zbudzała współczucie.

Taką jest burza w stronach południowych, górzystych; tym razem niezwykle wysiliły się żywioły na wywarcie swój złości; zdawało się że chcą zatrzeć, zmyć z naszej duszy smutne wrażenie sprawione ostatnimi wypadkami.

Dąsało się i szalało niebo przez godzinę całą; potem znów nagle nastąpiła cisza. Promienie słońca przerwały grube tumany chmur, część ich spadła na ziemię rześystemi poto-

kami, część rozproszyła się po wszystkich stronach firmamentu.

Bogata dubeltowa tęcza opasała wysokie niebios sklepienie, i zwiastowała koniec gniewu, początek przebaczenia. Struchlałe ptaszki otrząsały skrzydełka, skowronki ze łżą jeszcze w oku wzniosły się ku niebu, nucąc hymn dziękczynienia, wróble świergotały wesoło, jaskółki opowiadały sobie gadatliwie swe wrażenia, a przepiórki ukryte w zbożu ważyły się nawzajem i wybijały liczne kuranty.

Nawetbydłęta nasze podniosły się własnem natchnieniem, rżały konie, ziewały muły, a przezorny osieł wylewał sobie wodę z długich uszów, nie czując na sobie ciężaru pakunku poskoczył w kukurydzę i zajadał najsmaczniej.

I my także, choć do nitki przemokli, zbici i z zimna drżący, pocieszyliśmy się łątvo po doświadczonej niedogodności. Gniew natury strasznym jest ale wspaniałym, a uśmiech jój tak rzewnym i powabnym, że najtępszy człowiek nie oprze się jego urokowi, i zaraz jest gotów uznać w gniewie żywiołów dowód wielkości Boga, a w ich uśmiechu dowód jego dobroci, korzyć się przed tym wszechwładnym majestatem, i w téj pokorze znajdować przyjemność, a nie upokorzenie.

Nie tak z gniewem ludzkim, co czyni człowieka podobnym do zwierzęcia. Biedni! co go znosić muszą często! dusza takich ludzi musi stępieć lub też nabrać chytrości.

Daléj w pochód. Dochodzi nas nareszcie głos dzwonów z Oporto, już i wieże miasta wyzierają, już i słońce zachodzące odbija się krwawém światłem w tysiącznych szybach.

Baron kazał oznajmić komendantowi, że stanie tymczasowo w pierwszej oberży na przedmieściu, i że mu dziękuje za eskortę.

„Niech sobie zostanie tutaj baron z całym swym taborem, panowie dążcie daléj; ja, kazawszy sobie poświadczyć kartę eskortową, złączę się z panami pod tamtym kościołem, gdzie na mnie bądźcie łaskawi poczekać, i zaprowadzę ich do miejsca, gdzie im dobrze i bezpiecznie będzie. Spodziewam się, że mi pozwolicie oprowadzić was po Oporto, po mym bohaterskiém, rodzinném mieście.“

Don Ramon dotrzymał słowa. „Teraz jestem całkiem na panów usługi, wolny od wszystkich względem owego barona obowiązków. Chciał mi ofiarować tabakierkę złotą na upominek; lecz ja mu powiedziałem: Oficer portugalski

tylko od swęj królowęj przyjmuje nagrody, za pełnienie swych obowiązków. Dragonom dał po pół uncyi złota (70 złp.)“

Poprowadził nas do koszar, i ulokował w jednęj z dwóch stancyj, do których miał prawo, naturalnie za pozwoleniem zwierzchnika, któremu opowiedział był w krótkich słowach całe zdarzenie z rannym jeńcem. Potém zaś pobiegł do gubernatora złożyć raport szczegółowy.

Oporto, największe miasto Portugalii po Lizbonie (liczy dziś do 85,000 mieszkańców), rozłożone amfiteatralnie na podnózu dwóch pagórków, po obu brzegach ujścia rzeki Duero do morza. Prócz Krakowa i Walencyi, nie masz w świecie miasta z równą ilością kościołów. Jest ich tutaj do dziewięćdziesiąt, przytém siedmnaście klasztorów, bez zakonników w prawdzie. Szpitalów jest tyleż, po części dość dobrze, na stopę francuzką urządzonych. Bulwary są okazałe, czystość daleko większa jak w Lizbonie.

Nad wygodną przystanią, do której niegdys do 1500 okrętów rocznie wpływało, wznosi się broniąca ją cytadela, lecz wnijsie do tęg przystani dość jest niebezpieczne, częścią zamulone piaskiem, częścią najeżone głazami.

Wiele to miasto ucierpiało: na jego bruku pisała się nieraz strumieniami krwi historia całego kraju, tu się odbijały boleśnie wszystkie katastrofy na Portugalie spadające. Marszałek Soult zdobył w r. 1809. Oporto i nie szęczył krwi mieszkańców. Serce się kraje na wspomnienie scen, jakich to miasto wówczas było widownią. Tu wybuchła w r. 1820. sierpnia 24. rewolucya owa, bez przelewu kropli krwi dokonana, a przez Króla Jana IV. uroczyscie w Rio-Janciro w dwa miesiáce uznana.

To bohaterskie miasto obleganém było przez trzynaście miesiáce: od lipca 1832. do sierpnia 1833. roku przez wojska Don Miguela; wytrzymało kilkanaście krwawych szturmów, i nie poddało się, owszem, odparło nieprzyjaciela i tryumfowało.

Tysiąc śladów kul Don Miguela widziałem jeszcze na murach wiernych miasta Oporto.

Są tu i fabryki i rękodzielnie, jedwabiarnie, przedzielnie bawełny i lnu, garbarnie, ludwisarnie i huty. Są tu zakłady dość znaczne, a jednak tylko miniatURY tego, coby Portugalia w podobnym względzie wznieść mogła.



Najważniejszym płodem téj krainy jest wyborne, w całym świecie znane wino. Wysyła się go corocznie przeszło 90,000 beczek (rachując beczkę po 5 sześciogarnceowych wiader), to jest za wartość przeszło 12 milionów złp.

Lecz na nieszczęście, cały prawie handel miasta jest od dwóch wieków w rękach Anglików. Kilku patriotycznych królów i ministrów Portugalii, a mianowicie Jan V., panujący od r. 1706. do 1750., Pombal i Don Pedro, starali się wydrzeć cudzoziemcom ten przywilej bogacenia się potem ludu Portugalskiego. Pombal, by dopiąć tego celu, dodał niesłychanych starań i tém zraził sobie do tego stopnia Anglików, że ci intrygami swemi, po śmierci Króla Jana V., stali się przyczyną upadku i niełaski tego przedsiębiorczego męża stanu. Po odsunięciu Pombala, wpływ Anglików przemógł na nowo w Portugalii, i ciążył na tym kraju całą siłą chciwego ducha kupieckiego. Jan VI. w ostatnich latach swego panowania, życzliwy krajowi monarcha, starał się uchylić z pod jarzma Anglików, lecz napróżno. Don Pedro, pomimo długu wdzięczności, zaciągniętego u Anglików, dbając przedewszystkiem o dobro kraju, które przekładał nad wszystkie inne względy, nie odnowił kontraktu handlowego z kompanią angielską, posiadającą dotychczas przywilej eksploatacyi wina portugalskiego. Lecz na nieszczęście, po przedwczesnej śmierci tego czynnego, naród swój szczerze kochającego monarchy, głuche a głęboko podkopujące intrygi Anglików wkroczyły znów do Portugalii. Donna Maria da Gloria, po zaślubieniu się z drugim mężem, otworzyła samowolnie intrygom angielskim szerokie pole działań.

W kilka tygodni po mém przybyciu odnowiła na lat 20 kontrakt z kompanią angielską, posiadającą wprzód wyłączny przywilej zakupowania wina portugalskiego, za cenę przez siebie samą ustanowioną, a tak nie pozostawiła konkurencyi innych krajów żadnego sposobu podniesienia tychże cen.

Tryumfowali tedy Anglicy, a co najlepsza, żeby omacić całą Portugalję, wywołali u samych biednych nieoświeconych, interesu swego nieznających włościan, *objawienie zadowolenia* z tego odnowionego kontraktu, i tu, przed naszymi oczyma, odbywała się smutną, kłamliwą maskaradą. Tłumy uprawiaczy, małych właścicieli i kup-

ców wina, chmary ludu zatrudnionego wyciskaniem tego produktu, bednarzy, dystylatorów winnego alkoholu, przebiegały ulice miasta Oporto, i krzychały powiewając chorągwiami Portugalii i Anglii: »niech żyje kompania angielska, niech żyje Anglia!« Wielki to dowód głupoty! kiedy Irlandczyk, Grek lub Portugalczyk krzyczy: »niech żyje Anglia!« trudno, żeby taki okrzyk wyszedł z szczerzego serea.

Ale takim jest mottoch; sprawiedliwym tylko przypadkiem, a najczęściej igraszką, nie własnych, lecz cudzych namiętności.

Cóż mieli robić rozsądni obywatele wszystkich klas społeczeństwa, na widok tych kupionych objawień radości? Ruszali ramionami, potrząsali głową i z wzgardą spoglądali na Anglików zacierających ręce. Każdy się cieszył z chwilowego pokoju, i przypomniawszy sobie, ile krwi już płynęło na tych ulicach, strawił i ten puf angielski.

Pomiędzy zakładami, któreśmy zwiedzili z porucznikiem wywiezującym się z trudną do opisanja grzecznością z samowolnie zaciągniętej powinności, robienia nam honorów swego *bohaterskiego* rodzinnego miasta,—znajdował się i szpital wojskowy, bardzo porządnie utrzymywany i położony w tak pięknym miejscu, jak nasz Ujazdowski.

Do tego szpitala przyłączoną była szkoła chirurgów wojskowych i sala anatomiczna. Przybyliśmy do téj ostatniej, właśnie kiedy prosektor wykładał na preparatach suchych nerwologię. Don Ramon przedstawił nas prosektorowi i słał przedewszystkiém uczoność Dra Lange, który istotnie bardzo był dobrym anatomem. Prosektor prosił pana Lange, aby raczył coś wyłożyć z nerwologii. »Chętnie na to zezwalam«, odpowiedział nasz towarzysz, »ale nie będąc biegłym w języku portugalskim, wolałbym, zamiast kursu teoretycznego, dać panom przykład biegłości, do jakiej doszliśmy w preparowaniu nerwów. Nie macie państwo trupa nienapoczętego?«

»Nie mamy w téj chwili, ale jest kilku umierających na salach gorączkowych«, odpowiedział nieśmiało jeden z uczniów.

»Trudno czekać na ich śmierć, odrzekł Dr. Lange, ale ja sobie poradzę«. I mówiąc to, wyszedł z sali do naszego przewodnika O Domingo, i dawszy mu kilka złotych,

posłał go na targ rybi, tuż na stopie góry położony, z rozkazem, aby za nie kupił jakąś wielką rybę, której mu wymienił nazwisko.

O Domingo przyszedł z żadaną rybą, a Dr. Lange tak zaczął: »Pokażę panom, jak się dyssekują nerwy i mózg ryby. «I z rzadką zręcznością otworzył najprzód piersi ryby dla wykazania wiwisekcyą, jaka zachodzi różnica w budowie serca zwierząt ssących i ryb; wziął się do odkrycia czaszki, dla dowiedzenia na żyjącém jeszcze stworzeniu, że ściągania serca korrespondują z podnoszeniem się mózgu; i potem odsłoniwszy błony mózgowe, dalej prawił o organizacyi porównawczej tego środka innerwacyi; narreszcie porządkiem śledził bieg i rozkrzewienie wszystkich par nerwów z mózgu wychodzących, i do różnych organów głowy udających się.

Przyszła kolej na czwartą parę nerwów, to jest na nerwy poruszające oko; nerw ten zwany jest także *patetycznym*, dlatego, że u człowieka oko jest obrazem duszy, i poruszenia jego wyjawiają jój cierpienia lub radość. Doktor Lange dowiódł swemi sekeyami, że ryby posiadają ten nerw patetyczny, choć nigdy okiem nie ruszają, i pewnie nigdy w patetyczność nie wpadają.

Prosektor, chcąc udać, że i on się zna na rzeczy, wyrwał się z najrozumnniejszą miną z następującemi słowami: »To stara rzecz, panie Doktorze, my wiemy, że nasze portugalskie ryby obdarzone są nerwem patetycznym, u nas widzi pan, wszystko jest namiętniejsze i żywsze, ludzie i zwierzęta.«

Zrazu nie uwierzyliśmy naszym uszom, myśleliśmy, że pan prosektor żartuje; ale gdzie tam! pan prosektor wierzył w patetyczność ryb portugalskich, tak jak w świętość ewangelii, i dowieść nam nie można było żadnym sposobem, że i ryby innych krajów posiadają ten sam przywilej.

Takim jest Portugalczyk prawie wszystkich klass narodu. On mieni się być pierworodnym synem Boga, on i w łachmanach będzie utrzymywał do upadłego, że się Opatrzność szczególniejsz wysiliła na wyposażenie jego kraju i rodu. Zarozumiałość ta, przechodząca wszystkie granice rozumu, jest charakterystyczném znamieniem Portugalczyka. Ileż to razy miałem sposobność przekouania się o tém!

Raz mi się zdarzyło spytać o drogę człowieka z ludu, naturalnie z grzecznością, do jakiej wszyscy tu przywykli od małego dziecka. Mój Senhor wskazał mi drogę, zechciał mnie na nią nawet wprowadzić i wdał się w rozmowę, nareszcie następującą zrobił uwagę: »Jakie to jednak musi być szczęście dla was cudzoziemców, żyć choć dni kilka pod tém świetnym słońcem portugalskiem, pod tém błękitnym niebem, na téj ziemi wydającej tak pyszne owoce, tak prześliczne kwiaty, pomiędzy tym szlachetnym ludem, tak ugrzecznonym, tak dobrym i usługnym. Tego nigdzie nie znajdzie w świecie, nawet w Hiszpanii tak blisko leżącój. Patrz pan na tych Galegów, jaki to lud: służyć nam musi, by z głodu w własnym kraju nie umarł.«

Inny znów, skaleczywszy się przypadkiem w palec, zawołał na mnie i rzekł z dumą: »Patrz pan, oto krew Portugalska!«

Ta zarozumiałość, to ich szczęście. Nie radzę żadnemu cudzoziemcowi obrazić zarozumiałości Portugalczyka, nie go wówczas przebłagać nie zdoła. Woli umrzeć na rusztowaniu, jak zaniechać swój zemsty.

Okolice miasta Oporto są zachwycające; mnóstwo pysznych willów i nadobnych quintas, to jest domków wiejskich, w każdym z nich można dostać podostatkiem wina, pomarańcz, fig, dobrego chleba, migdałów, sera, masła i winogron, i to za bezcen. Nikt nie jest zdolnym skosztować więcej jak za franka, to jest za 48 gr. pol., i choćby nawet największy miał apetyt.

Don Ramon chciał nam pokazać miejsce, gdzie mój przyjaciel kapitan M. uratował mu życie.

Za wschodnią stroną miasta, na prawym brzegu rzeki Duero, ku Boyalwa, gdzie podczas oblężenia była główna kwatera don Miguela, ciągnęła się linia okopów, ale że grunt był bardzo nierówny, musiano zabezpieczyć się od nagłego napadu linią wedet, mających rozkaz strzeżenia za zbliżeniem się nieprzyjaciela. Przytém wysyłano często patrole i rekonesansy konne. Don Ramon dowodził właśnie, będąc świeżym jeszcze podporucznikiem, jednym z tych rekonesansów, posunął się za daleko, blisko miejsca, gdzie siedmiu gerylasów miguelistowskich leżało zaczajonych za rowem, i pozwoliwszy się zbliżyć matemu, tylko z dziesięciu ludzi złożonemu oddziałowi kawaleryi,

dali do niego najwięcej o trzydzieści kroków ognia. Trzech ludzi śmiertelnie ugodzonych padło, koń pod Don Ramonem został ubitym, a reszta kawalerzystów, ogarnięta panicznym strachem, pierzchnęła.

»Przypadli do mnie gerylasy, wydobyli mnie okropnie potłuczonego z pod ubitego konia, związali i uprowadzili ku obozowi Don Miguela. Wiecie panowie, jak srogo księżę ten obchodził się z jeńcami; dla mnie byłby miał jeszcze mniej względów, brat bowiem mój, o rok młodszy odemnie, a zazdroszczący prawa pierworodności od samego urodzenia swego, znajdował się jako adjutant i ulubieniec Don Miguela w obozie nieprzyjacielskim. Wiedziałem tedy co mnie czeka, ale obolały i skrępowany, żadnego stawić nie mogłem oporu. Weszliśmy w wąwóz dość głęboki. Wtém za nami daje się słyszeć tentent konia, jednego tylko konia. Gerylasy zwracają się i widzą tuż za sobą oficera od ułanów. Dają do niego ognia z pośpiechem i chybiają. Oficer sam jeden wpada pomiędzy hołotę gerylasowską, tnie ją na kawały ogromnym swym pałaszem i oswobodzi mnie, przekrawając me pęta pugnałem. Teraz dopiero wróciły moje dragony, i przypadło kilku ułanów. Kapitan wszystkich był wyprzedził na dzielnym koniu, który nie miał sobie równego w całym wojsku, skoro się dowiedział, że jego przyjaciel, Ramon Alveyras, z którym często grywał w karty, został wziętym do niewoli. »Przypomniałem sobie, że ci winien sto kilkanaście kruzad z gry wczorajszej, i żadnym sposobem zezwolić nie chciałem, żeby stryżek pozbawił mnie tak dobrego wierzyciela, jak ty Don Ramonie«, to były pierwsze słowa poczciwego bohaterskiego kapitana. Dragoni moi tymczasem dobili gerylasów i wszyscy wróciliśmy do okopów. Don Pedro dowiedział się jeszcze tego samego wieczora o czynie kapitana, sam do niego przybiegł i ścisnął go jak brata; pytał się czém mu może okazać swą wdzięczność za ocalenie mu dobrego sługi? »Niczém, mój Cesarzu« odpowiedział Kapitan, »to sprawa koleżeńska, prywatna, takich rzeczy się nie wynagradza.« I istotnie żadnej nie przyjął nagrody. Kapitan od tej chwili stał się wzorem dla całego wojska naszego, wszyscy go znali i kochali, od cesarza aż do ostatniego ciury obozowego. Teraz panowie! pojmują, że powinnością moją jest, być

przyjacielem przyjaciół takiego kolegi,« dodał don Ramon.

Na spacerach publicznych, w kawiarniach, na operze włoskiej i w teatrze portugalskim, spotykaliśmy razy kilka dawnego naszego znajomego i towarzysza podróży, pana barona, aleśmy się z nim nawet nie witali. Niech ludzie, którzy intrygami dopięli honorów, znaczenia i majątków, nie myślą, że wszystko zdobyć są w stanie. Szacunku za niego, to jest poczciwego i odważnego człowieka, nie doznają oni nigdy. Fortuna będzie się do nich uśmiechać, ludzie słabi będą przed niemi kapeluszować, ludzie podli pełzać, ale człowiek charakteru pogardzi niemi.

Gubernator wykrył wprawdzie, kim był jeniec ranny, który tak nagle umarł, ale żadnego z tego wykrycia nie śmiał zrobić użytku. Pan baron miał za silnych protektorów.

Cała ta opłakana historia lepiej nam wystawi stan ówczesny Portugalii, jak wszystkie systematyczne rozbiorowe opisy. W obecnej chwili kraj ten biedny wyszedł, dzięki instytucjom i duchowi porządku, zapewne już na zawsze z toru bezprawioń, bezrządu i intryg, w którym się kołatały niegdyś losy całej ludzkości.

Dziś już przyświeca Portugalii jutrzienka cywilizacji, szczęścia i dobrego bytu. Dziś jęj nikt nie zwróci do wstecznego kroku.

Muły nasze sprzedał pan T. za mniejszą cenę niż tę, którą na ten przypadek właściciel ich za nie żądał. Osła zaś darował staremu wachmistrzowi, naszemu protektorowi w koszarach.

Nadszedł czas rozstania się z kolegą, w którego towarzystwie doznaliśmy tyle niezatartych wrażeń, z którym zawarliśmy w dziesięć dni dozgonną, czułą przyjaźń. W takich chwilach doświadcza się, że życie podróżnego nie zawsze jest wolnym od przykrości. Rozstawać się na zawsze, bez najmniejszej nadziei zobaczenia się z ludźmi, których się czule pokocha w wędrówce, jestto ból serca bardzo dotkliwy, zdaje się, że część naszej istności ubywa w tej chwili, przewiduje się, że ją nie łatwo i nie prędko coś innego, nowego zastąpi.

Poczciwy szampan! on wszystko ułatwi! przy odgłosie korków, hucznie wyskakujących z butelek, przy wrzeniu

słodkiego pryskającego nektaru Lety, podniesiono kotwicę parostatku. Już dyszeń zaczęły jego zapienione piersi. Jeszcze jedna butelka! jeszcze cztery butelek! Już się butelki zjawiają, a tu szklanek nie ma. Dalej każdy z swęj butelki. Niech żyją dobrzy ludzie! Bądź zdrów Don Ramonie! kłaniajcie się kapitanowi. Odbił, spieniony bałwan uniósł go na swym grzbiecie, już go nie widać. Jakaś mgła przed oczyma, okręt kołysze nieznośnie, jakoś spać się zacheiało; dalejże każdy do swęj klatki. Spiemy. Kołysanie ustało raptownie. Budzim się. Jesteśmy w Lizbonie. Spaliśmy piętnaście godzin nieprzerwanym ciągiem.

## ROZDZIAŁ XII.

ZAMIARY NA PRZYSZŁOŚĆ. — ODJAZD Z LIZBONY. — PBZEPRAWA PRZEZ TAG. — PRZEWODNIK. — JEGO ZIĘĆ PABLITO, HERSZT GERYLASÓW. — KARCZMA W VENDAS VELHAS. — PEGAZ. — TOWARZYSTWA UPRZEJME. — UCZTA. — VENDAS NOVAS. — SŁODKIE ŻOLEDDZIE AZINGHERÓW. — MONTE-MORO. — MONTEMORANKI. — CYRULIK. — EVO-RA. — ŚWIĄTYNIA DIANY. — INKWIZYCJA. — POWRÓT DO MONTE-MORO. — RUINY I KLASZTOR URSZULINEK. — ESTREMÓS. — OLTARZ DRUIDÓW. — NIENAWIŚĆ NARODOWA POMIĘDZY PORTUGALCZYKAMI I HISPANAMI. — ATALAYA. — IDIOTA. — WODOCIĄG. — ELYAS. — GRANICA HISPANII.

---

Wyjeżdżając z Londynu, nie było właściwie naszym zamiarem podróżować ciągle bez celu, lecz odzyskawszy zdrowie udać się do Hiszpanii i ofiarować rządowi małoletniej niewinnej Izabelli nasze usługi. Pan T. K. był żołnierzem z powołania, od małego dziecka kształcił się na książkach zostawionych mu przez wuja swego, godnego wiekopomnej sławy Latoura d'Auvergne, przezwanego pierwszym grenadyerm Francyi.

Ja zaś byłem lekarzem, a przedewszystkiem chirurgiem z powołania i z upodobania; wszystko co tylko teorią zdobyć można było, to starałem się zyskać dla swego wydoskonalenia i rzewnie pragnąłem mieć sposobność praktycznego zastosowania mych poznań, dla dobra ludzkości i nabrania biegłości w operowaniu.

A gdzież mogłem znaleźć tę sposobność łatwiej jak w wojsku i podczas wojny?

Czując się zdrowym i silnym, przytém podróżą bez celu cokolwiek nasycenem, przystąpiliśmy natychmiast do wykonania naszych zamiarów.

Ówczesnemu ministrowi wojny donny Izabelli przyjaciel mój i towarzysz był dobrze znanym. Pan T. K., jak już wyżej nadmienilem, był kapitanem czwartego pułku huzarów francuzkich podczas kampanii hiszpańskiej 1823. r., został nawet za odznaczenie się dekorowanym nietylko orderem Legii honorowej ale i krzyżem hiszpańskim, na-



dającym mu prawo do indygenatu hiszpańskiego, w razie gdyby tego zażądał. Łatwo tedy mógł uzyskać miejsce w szeregach wojska. Pan T. życzył sobie, aby mu rząd powierzył reorganizację jednego z dezorganizowanych pułków kawaleryi i oddał mu jego dowództwo, przytém aby mnie mianowano lekarzem tego pułku. Pomnąc na stan wyczerpany skarbu hiszpańskiego, pan T. ofiarował pożyczycić rządowi 60,000 franków na reorganizację pułku, która się miała odbyć wedle planu przezeń ułożonego. Później będziemy mieli sposobność mówić o tym planie nowym w swym rodzaju.

Podanie nasze odeszło do Madrytu drogą ambasady hiszpańskiej. Prosililiśmy, aby nam odpowiedziano w najkrótszym czasie do Badajoz *poste restante*, a jeżeli można, przez umyślną sztafetę; raz bowiem zdecydowani nie chcieliśmy tracić czasu.

Badajoz jest, jak wiemy, miastem granicznym i stolicą hiszpańskiej Estramadury, leży o 30 mil pols. od Lizbony na brzegach rzeki Gwadyany.

Pożegnawszy się z mojami przyjaciółmi lizbońskimi, a szczególnie z trzema dawnymi kolegami, których mi smutno było zostawić na tym ostatnim krańcu Europy, tak oddalonych od ojczyzny, puściliśmy się jednego pięknego rana na południowy brzeg Tagu, szerokiego tutaj na milę prawie.

Feluka nasza walczyła z wiatrem i słabo popychana przytływem morza, przybyła dopiero w dwie godziny do Aldea Gallega, to jest do galicyjskiej wsi, zawierającej do 4000 mieszkańców. Tu już czekał na nas almoceve, to jest przewodnik z swym synem i z pięcioma mułami, najęty aż do fortecy Evora. Stary to był i obdarty człowiek ten nasz przewodnik, ale nam go zalecano jako najpoczeźwszego w całej wsi. Zresztą innego sposobu podróżowania nie było wówczas w Portugalii, trzeba się było spuścić na Opatrzność, na wierność ludzi, i na broń naszą.

Wkrótce wstąpiliśmy w prawdziwe morze piaszczyste, jedyne w Portugalii, muły stękały pod naszym i rzeczy naszych ciężarem. Na lewo minęliśmy ruiny jakiegoś dawniej okazałego zamku Maurów. Wydobywszy się z piaszków szerokich na dobrą milę, spotkaliśmy trzech kawa-

lerów na dzielnych koniach, uzbrojonych w fuzye, pałasze i pistolety. Przywitali się z nami grzecznie i pytali dokąd jedziemy, a potem radzili, abyśmy zsiadli z mułów, i przeszli przez las piechotą, ukryci pomiędzy mułami, z bronią gotową do wystrzału, i życząc nam dobrej podróży odjechali sobie.

»Mille tonnerres!« krzyknął pan Teofil, »a cóż nie wyjdziemy już nigdy z rąk rabusiów? a naszego Don Ramona już nie ma, tenby nas przeprowadził przez tysiące ich bez szwanku.« I już zabieraliśmy się pójść za radą kawalerów i zsiąść z mułów; ale widząc to nasz almocreve, powiedział: »Niech się najjaśniejsi panowie nie obawiają, wszakże to Pablito, mój zięć.«

»Jaki Pablito? jaki zięć?«

»No, ów cabecilla gerylasów, który lasu tego pilnuje« mówił dalej almocreve.

»Kto? Bandyta, o którym ci panowie mówili?«

»Bandyta! Bandyty siedzą gdzie indziej, dlatego poczciwi ludzie muszą pracować w lasach i na drogach« mówił dalej przewodnik.

»Wszystko jest względnem« pomyślałem sobie; widzę że nas wiatr zawiął w ręce zażartego Miguelisty«.

»Włos z głowy panom nie spadnie, zaręczam panom. Pablito wie dobrze, że tu dziś przechodzimy, i będzie nas bronił jak własnych braci« zaręczał przewodnik.

»Ale zkądże takie względy do milion kaduków?« krzyknął pan Teofil.

»Zapomniał pan już, że to ojciec Izydor mnie panom nastreczył? Gdzie się ojciec Izydor wda w sprawę, tam się niczego lękać nie potrzeba.«

Istotnie protekcyja dobrego księdza czuwała nad nami jak Opatrzność. Od czasu do czasu przewodnik nasz w miejscach, gdzie najłatwiej byłoby zacząć się rabusiom, wyśpiewywał jakieś dziwne, w chwili improwizowane piosnki, w których imię ojca Izydora bardzo często było powtarzanem. Lecz języka, w którym były ułożone te piosnki, nie rozumiałem i do dziś dnia nie wiem, czy to był cygański czy złodziejski. Las stawał się coraz gęstszym, droga coraz węższą; tu i owdzie kilka wyrębów, kilka łąk, na których pasły się stada pięknych krów i owiec. Dzwonki przyczepione do ich szyi rozlegały dźwięk monotony,

zmysły uspokajający. W półtorej godziny przebyliśmy bez przygody i szwanku złowrózby las jodłowy i wstąpiliśmy na dziką, nierówną, chróstem zarosłą puszcę. Zatrzymano muły dla napojenia ich w miałkiej kałuży; na prawo sterczały jakieś zwaliska.

»Są to szczątki karczmy zwanój Vendas Velhas,« mówił nam przewodnik; »niegdyś była ona główną kwaterą sławnego bandyty, zwanego Sabocha. Miał on, lat temu piętnaście, przeszło 40 ludzi pod swemi rozkazami. Roznosił śmierć i pożogi na całą okolicę, nie jeden podróżny zostawił swe pieniądze i życie w tej przeklętej karczmi, jedynej na dwie mile w około. Tu w tej kałuży poily się konie rabusiów, w niej nie raz obmywano ręce krwią zbroczone. Drugim hersztem bandy był brat owego Sabochy, bandyta niezmiernój siły i okrucieństwa, sławny po dziś dzień z swój zręczności rzucania nożem i przebijania nim swych ofiar o zakład, na odległość 50 kroków.

»Przekonano się nareszcie, że karczmarz był hersztem zbójców. Uciekł on z połową bandy na drugą stronę Tagu, w północne prowincye, lecz został dognanym przez wojsko i wraz z swym bratem i bandą stracił życie pod Coimbrą. Karczma zaś na rozkaz rządu została zburzoną.

»I cóż? przewodniku! czy i ten Sabocha był uczciwym człowiekiem?« zapytałem.

»A Boże uchowaj! jakżeż go pan może porównać z mym zięciem Pablito, który ma swoją nominacyę od wyższej władzy na piśmie.«

»Od jakiej wyższej władzy?«

»Od téj, która dziś nie siedzi na tronie Portugalii, lecz nią rządzi jednakże. Zresztą Pablito nie rozbija, pobiera on podatek, a jeżeli kogo zabije, to chyba takiego, który zbrojny stawia opór jego władzy.«

Teraz wiemy, jaka zachodzi różnica pomiędzy bandytą i gerylasem.

Po dwóch długich godzinach marszu, stanęliśmy zmęczeni upałem w Pegoes, w miejscu, na którym stało kilka nędznych chałup i karczma. Biwakowało tu z dziesięciu piechurów, patrol wysłany z Cabrelli.

Nie masz w całej Portugalii miejsca używającego gorszej reputacyi; karczmę nazywają Estalagem de Landroes, to jest kryjówką zbójczą. Tutaj zwykli się schodzić

bandyci, to jest gerylasy z całej puszczy na trzy mile kwadratowe rozległej, tutaj jedzą, piją, tańczą i bawią się w najlepsze.

Cały pień korkowego drzewa palił się w niezmierniej kuchni. Żołnierze odeszli może w kwadrans po naszym przybyciu, i wkrótce potem nadeszło z różnych stron nielicznymi bandami do dwunastu tęgich, wesołych, ale dziko wyglądających ludzi. Pewny byłem że to gerylasy.

»Obchódźcie się panowie po przyjacielsku z temi kawalerami,« mówił do nas półgłosem nasz almoereve, »a znajdziecie ich bardzo godnemi kochania.«

»*Ma foi, je comprends*« odpowiedział pan Teofil, »*ce sont des brigands*. Na zdrowie panów i w ich szanowne ręce!«

Z rąk pana Teofila przeszła butelka w ręce owych kawalerów, i obszedłszy ich kolejno, wróciła do mnie.

Za minut kilka byliśmy w najlepszej komitywie z znacnym towarzystwem; powiedziała byś, żeśmy od dzieciństwa z niemi rozbijali. Grzeczni, usłużni, rozmowni, pełni poezyi i wesołości, lubiący muzykę i tańce; oto mi rabusie dobrego tonu!

Nie przyszli oni z próżnemi rękoma. Jeden wydobyl z torby parę królików, inny butelkę rumu, tamten parę funtów salamisu, znalazły się i figi, pomarańcze, ser i jabłka, przepiórki i kuropatwy.

Przygotowano wyśmienitą ucztę i zaproszono nas na nią, ale z taką szczerą, kawalerską grzecznością, że odmówić nie można było żadnym sposobem.

Ci panowie nie uważali się za nic innego, jak za wykonawców wyższej władzy; ale w rozmowie najmniejszej nawet alluzyi, ani do sposobu życia, ani do wypadków politycznych. Jeden stawił okolicę tej lub owej części kraju, drugi zachwycał się nad powabnym tańcem donny Julii, naszej znajomej z Lisbony, inny recytował wiersze Luisiady Camoensa. Przeplatano rozmowę śpiewem i tańcami; nareszcie zerwano się na jakiś znak dany, pożegnano z wielką grzecznością i rozproszono w różne strony. Za pół godziny nadciągnął patrol konny z Mont-Moro Novo i nie znalazł nic prócz stłuczonych butelek i skórek pomarańczowych; psy pozjadały kości.

Wieczorem wsiedliśmy znowu na muły, spocząwszy ze dwie godzin w chłodzie drzew figowych. Kraina nie przedstawiała być dziką; tu i owdzie gęste kępy drzew iglastych, tu i owdzie oasis jaka jaśniejąca najpyszniejszymi krzewami. Uszedłszy z półtoręj mili, ujrzelśmy wysoką budowlę, panującą majestatycznie nad całą okolicą. Był to pałac królewski, postawiony na rozkaz króla Jana na wschodnim końcu wsi Vendas Novas, gdzieśmy mieli noc spędzić. Odległa ona była jeszcze o milę przynajmniej, lecz przezroczysta atmosfera Portugalii przedstawiała nam ją tuż blisko.

Kuchnia pałacu królewskiego tak była obszerną, jak gdyby w niej gotowywano jeść dla całej prowincyi Alemtejo.

W Vendas Novas znaleźliśmy wygodną gospodę, spędziliśmy noc w czystych łózkach, co jest bardzo rzadką w Portugalii rzeczą.

Nazajutrz rano puszczaemy się w dalszą drogę; Evora już tylko o siedm mil odległa. Kraina także z każdym krokiem traciła charakter dzikości. Piękne, uprawne wzgórza, żyzne doliny, bujne drzewa, zastąpiły piaski, wrzośy i puszcze.

Okolica ta obfituje w drzewa zwane tu azingheiras, noszące żołędzie tak słodkie, dobre jak orzechy włoskie. Żołędźmi temi żywią się trzody, a trzeba wiedzieć, że wieprze z Alemtejo są najsmaczniejsze w świecie.

Teraz spostrzegamy sławne Monte-Moro, wysoką górę, noszącą na swym szczycie wysokie mury i jeszcze wyższe wieże i bastiony, wzniesione tu kiedyś przez Maurów. Górę samą opasuje dziś jeszcze od północy, wschodu i południa głęboki i bystry strumień, od zachodu wznosi się wysoki taras i zabezpiecza fortecę od napadu.

Przyległe miasto zachowało jeszcze po części charakter miast maurytańskich: jest ono bardzo malowniczym i zawiera wiele pamiątek z czasów Maurów. I w mieszkaniach samych, w ich ustroju i kształcie wiele przeszło, siłą krwi zapewnie, z czasów Saraceńskich. Kobiety zasłaniają się wprawdzie grubemi welonami, ale są zalotne, namiętne, jak nigdzie w Portugalii. Oczy ich są niezmiernie ogniste i zarazem tęskne, kibicie giętkie jak trzcina, nogi drobne, włosy czarne jak heban, nosy cokolwiek za-

darte, usta cokolwiek szerokie, zęby białe i cokolwiek oddalone jeden od drugiego. Słowem są to typy kobiet Wschodu.

Stanęliśmy w hotelu, gdzie dostać można było kąpieli, wina, cygar hiszpańskich i czort wie czego.

Hotelnik był zarazem Figarem i gazetą miasta. Miasto Monte-Moro grało wielką rolę podczas wojny bratniej. Tu nie jednego oficera Don Pedra i Don Miguela złapano, nie jeden poszedł prosto na gałęzie tych azingherów z czarujących objęć Montemorenek.

Monte-Moro jest głową szeregu pagórków, które przekraczają część tę prowincyi Alemtejo, i rozdwiają się ztąd ku wschodowi i południowi. W pierwszym kierunku leży Badajoz, a w drugim Evora. My zboczyliśmy z prostej drogi, chcąc zwiedzić tę ostatnią fortecę; z ciężkiem sercem opuściliśmy Monte-Moro.

Na lewo od drogi naszej wznosił się wysoki pagórek, pokryty aż do samego wierzchołka drzewami korkowemi; z podnóża wytryska obfite źródło czystej lecz mineralnej gorącej wody z wielkim szumem i spada po głazach i kamieniach w głęboko a wąską dolinę, gdzie tworzy małe jeziorko.

Mnóstwo ludzi przychodzi z Monte Moro kąpać się w tém jeziorze, mężczyznom przychodzi rano, kobiety wieczorem, taki już istnieje od wieków zwyczaj.

Przybyliśmy wieczorem, kąpać się zatem nie mogliśmy, ale nasycić oczy, to rzecz inna! I było czém. Chylące się słońce dawało połysk szmaragdowy drzewom pnącym się po ścianach wzgórza, stada pięknych wesołych kóz pasły się po nich, i rozsyłały w powietrze harmonijny dźwięk tysiąca dzwonek; serce rozczułało się na widok tego niewinnego sielskiego krajobrazu.

A tu na dole, z 50 kroków pod naszymi stopami, młode piękne najady pluskały się jak łabędzie z czarnymi czubkami w zapienionym kryształe, i rozderzały powietrze odgłosem swych uśmiechów. I to także piękny, niewinny, idylliczny widok.

Powróciliśmy nareszcie do naszych mułów i ludzi, czekających nas z niecierpliwością na drodze. Droga była dość dobra; w półtrzeciej godziny stanęliśmy ciemną nocą w Evora, w najlepszym hotelu na Largo de San Francisco.

Evora jest to niby forteca, dlatego tylko, że wałem otoczona, ale prawdziwie nie mogłaby wytrzymać jednego dnia oblężenia. Tu kapitulował przed Don Pedrem najprzód Don Miguel, a potem Don Carlos. Miasto, zwane niegdyś za czasów rzymskich *Liberitas Julia*, było przedtem znakomitą i sławną z swego uniwersytetu. Dziś jeszcze ma do 10.000 mieszkańców, zawiera wiele starożytności rzymskich i jest siedliskiem arcybiskupa. Katedra tutejsza niegdyś była meczetem, ale od roku 1166. przywróconą została obrzędowi chrześcijańskiemu. Położenie miasta piękne, ale folwarki i bliższe pola tyle ucierpiały podczas wojny, że się jeszcze wznieść nie zdołały.

Wszędzie widać ślady zniszczenia, nawet w pięknym wodociągu wzniesionym przez Sertoryusza, a przerwany podczas wojny i za naszej bytności nie odbudowanym. kilkanaście domków zatopionych zostało w dolinie, która się przemieniła w jezioro po przerwaniu wodociągu.

Mieliśmy listy rekomendujące do gubernatora. Przyjął on nas bardzo grzecznie i uprzejmie. Przechodząc się z nami po moście, zaprowadził nas do starożytniej budowli, która miała kiedyś przed wybudowaniem innych części służyć za świątynię Dyanie. Część tej budowli była istotnie rzymskiego pochodzenia; któżby był postawił te wysokie kolumny, dźwigające to wspaniałe, a jednak lekkie i trwałe sklepienie? komuż można było postawić ten piękny przybytek, jeżeli nie Dyanie, tej pełnej poezji i czarodziejskiego uroku córce Olympu?

Miejsce pomiędzy wysmukłymi filarami zapełniono później murem, a reszta budowli pochodziła oczywiście z XV. wieku. Inkwizycya, zawsze wyrafinowana w swych gustach, przemieniła świątynię Dyany w salę sądową, gdzie *aplikowano kwestyę* oskarżonemu, to jest gdzie mu lano roztopiony ołów w świeże rany, by z niewinnego wydobyć wyznanie winy.

W pośrodku pałacu gubernatora znajduje się pyszny księgozbiór, zajmujący niezmierną sklepioną salę. Znajdują się tu także malowidła niektórych starożytnych artystów Portugalii, mianowicie portrety królów. Wizerunek Don Sebastjana\* wcale go nie wystawia pochlebnie. Nie-szczęśliwy młody wojownik wygląda jak ośmnastoletni

młokos z tłustą twarzą, zdziwionemi oczami i krótką apoplektyczną szyją.

Zabawiliśmy w Evora całe dwa dni. Mój towarzysz dowiedział się gdzieś, że zamek maurytański w Monte Moro, któryśmy zaniedbali odwiedzić, zawiera wiele ciekawych rzeczy; przypomniał sobie także, że go trapi kiedy niekiedy reumatyzm i że wody góry Almo bardzo są skuteczne na te cierpienia. Z tego wszystkiego wypadło, że zamiast puścić się prosto przez Villaviciosa i Elvas do Badajoz, lepiej będzie wrócić do Monte-Moro, wziąć w niem kilka kąpeli i dojechać do zamierzonego celu przez Evora, Montes, Estremos i Elvas.

Nie sprzeciwiałem się temu zamiarowi; odpowiedź na nasze podanie nie mogła przyjść do Badajoz jak za dni pięć lub sześć. Jedziemy tedy nazad do Monte Moro i stajemy znów u Figara, nie bardzo zdziwionego z naszego powrotu. Widać, że nie jeden chętnie wracał do jego hotelu.

Dogadzamy tedy naszej ciekawości, przekraczamy strumień opasujący stary Maurów grób, drapiemy się na wierzchołek góry, aż do miejsca otoczonego wysokim z ciosowych kamieni wzniesionym murem. Z téj strony muru znów głęboki rów, wyłożony głazami. Prowadzi przezeń most na drugą stronę; długą kamienną poterną, to jest galerią podziemną, dostajemy się na drugą stronę muru o 30 stóp grubego. Żadne pióro nie zdoła opisać chaosu budowli, zwalisk, przepaści, jam, wież i pieczar, zawartych na obszernej płaszczynie tworzącej szczyt góry.

Na lewo zaraz stał starożytny kościół, w którym się jeszcze nabożeństwo odbywało. Kamienny ganek łączył go z klasztorem Urszuliniek, trudniących się wychowaniem małych dzieci i dlatego tolerowanym. Zakonnice, trzymane w ścisłym rygorze, opowiadały nam z za krat wiele dziwnych historyj o duchach przechadzających się nocną porą po zwaliskach, z których wyrastały brzozy, jodły i drzewa figowe. Zresztą utrzymywały, że byłyby zadowolone z swego stanu, gdyby im wolno było przyjmować nowicyuszki, jak za dawnych czasów. Ofiarowały nam wyborne placuszki i małe robótki ręczne, za co my im daliśmy kilka nowo wybitych kruzad, z prośbą, by je pomiędzy najlepiej uczące się dzieci rozdzielily, lub też



z niemi zrobity co im się podoba. Podziękowały nam serdecznie poczciwe te istoty, i na oddalających się spoglądały ciekawie z poza krat swych celi. My im posyłałyśmy całusy palcami, podług zwyczaju półwyspu, one się rumieniły biedaczki i uśmiechały.

Do hotelu przysłały nam jeszcze wieczorem świeże wypieczone placki, dwa ładne szkap'erze i rozmaryn na drogę. Rozmaryn chroni podróżnego od ni szczęścia, według przesądów tutejszego ludu. Były to córki ludu, które się w klasztorze wyuczyły czytać, pisać, ręcznych robót i pacierzy łacińskich; ale zresztą podaniom rodzinnym wierne pozostały, i wiarą nie przestały do ludu należeć.

Monte-Moro, pomimo swych klasztorów i ruin, czarnych ocz i fandangów, nie stał się dla mego towarzysza, ani dla mnie wyspą Cyrcii. W parę dni wszystkie reumatyzmy znikły. Nasz almocreve wynajął się aż do Badajoz, byliśmy nawzajem z siebie zadowoleni. On lubił pieniądze, a my ochoczą posługę.

Droga do Estremos prowadziła przez płaszczynę piaszczystą, najeżoną ogromnemi głazami, które potop z dalekich gór oderwał i tutaj przeniósł. Na lewo od drogi wznosił się dziwnie wielki i starożytny pomnik, świadek czterdziestu wieków może. Był to ołtarz Druidów, najpiękniejszy i najdoskonalszy, jaki mi się zdarzyło widzieć, większy daleko jak ów duński, któregom w pierwszej części tych wspomnień opisał.

Niezmierne głazy, przechodzące wielkością wszystkie rozmiary zwyczajne, stanowiły podstawę. Na niej leżały mniejsze głazy, na tych piętrzyły się jeszcze mniejsze, i tak dalej aż do dziesiątego piętra. Schody w głazie wyrąbane prowadziły na jego wierzchołek, który tworzył szeroki płaski gład, oparty na czterech równej wysokości, do filarów podobnych kamieniach. Czterech ludzi mogło znaleźć miejsce pod tym płaskim głazem, gdzie w szczelinach rosła łożyna. Wszystkie głazy poroste były mchem odwiecznym.

Spoglądałem z poszanowaniem, graniczącem prawie z przestraczem, na ten stos kamienny, na którym pierwsze europejskie kolonie ofiarowały swą cześć nieznanemu bóstwu. Znikły świątynie potężnych Rzymian, stokroć trwalsze od naszych nowożytnych, papierowych budowli.

Skruszyły się kościoły aryańskich Gotów, dziedziców potęgi rzymskiej. Już nie znajdziesz meczetów Maurów, znajdziesz tylko ich zwaliska, lub przeobrażenie tu i owdzie. Ale Druidów kamienne ołtarze wznoszą się dziś jeszcze w niebo i opierają burzom i słońcu; zdają się być tak świeże i zdrowe, jak w dniu, w którym je wzniesiono środkami, nam do dziś dnia niewiadomymi. Trzęsienia ziemi zniweczyły teatry i wodociągi Luzytańskie, i zmieniły kształt ziemi: tu się potworzyły góry, tam znikły jeziora; lecz kamień ołtarza Druidów ani się zachwiał na swój podstawie: potoki deszczów zmywały ziemię, lecz nie wzruszyły podstawy ołtarza, żar słońca nie zrobił szkazy na jego ścianie; a czas, nieubłagany czas, ostrzył na nim swe żelazne zęby od tyłu, tyłu wieków; lecz na Druidów pomniku żadnego nie pozostawił śladu. Owoż stoisz nietknięta stara pamiątka Celtów i Cymbrów, wieczna zagadka dla uczonych!

Ale Rzymianin zostawił po sobie swe nieśmiertelne pisma, swe dzieje i pieśni; Got swą liturgię, swe podania i zarody wszystkich szlachetnych instrukcyj; Maur swą rycerskość i romantyczność; Druid nie pozostawił nam nic prócz tych kamieni.

Pierwszą noc przepędziliśmy w Auroyolos; na drugi dzień rano minęliśmy Monte Moro Novo, górę wysoką, posępną, noszącą na swym gołym szczycie jakieś zwaliska, podobno z czasów maurytańskich. Kraina cała była dziką, posępną, i całkiem się różniła od okolic starego Monte-Moro. Tu ani czarnych ocz, ani śmiejących się twarzy nie znaleźliśmy.

Nareszcie po południu zoczyliśmy z daleka miasto Estremos, rozrzucone na szczycie wzniesłego pagórka. Tutaj dzikość okolicy przybrała charakter klasycyzmu. Ku południowi i zachodowi, tam w bliskości, góry Serra Dorso piętrzyły się jak Tytany ku obłokom. Jest to najpiękniejsze pasmo gór z całej prowincyi Alemtejo, pełno w nich wilków i niedźwiedzi, sławne się tu odbywają polowania za pomocą owych wielkich psów owczarskich, podobnych do Pirenejskich, z których jeden czasem przeszło 2000 złp. kosztuje.

Stajemy w Estremos, w pryncypalnej karczynie, postawionej przy rynku, zupełnie podobnym do Kolbuszowskiego, tak był obszernym i piaszczystym.

Tu, w Estremos, spostrzegać się już daje różnica wielka w wymowie języka portugalskiego: tony gardłowe hiszpańskie wkradają się w mowę, i zastępują piskliwą, śpiewającą, kataralną wymowę Luzytanów. Hiszpan nigdy nie będzie mówił po portugalsku za nic w świecie, zna on dobrze przymioty swego pięknego, czysto i wyraźnie brzmiącego języka; Portugalczyk więc na pograniczu, pozostając w ciągłej styczności z Hiszpanami, musi się uczyć ich języka i chcąc niechcąc przejmując wymowę pięknie brzmiącą i łatwiejszą synów Iberyi.

Bodajby to obeznanie się z językiem Hiszpanów skłoniło kiedyś Portugalczyków do pogodzenia się z narodowością sąsiadów. Ale na to się nie zanosi. Hiszpan gardzi Portugalczykiem, jakby spodlonem jakimś stworzeniem, a Portugalczyk nienawidzi Hiszpana jak personifikację złego, jak rodzinnego swego wroga. Jedni i drudzy wcale się nie kryją z swemi uczuciami. Portugalczyk w własnym kraju musi znosić zarozumiałość i wzgardę swego sąsiada; a Hiszpan w swym kraju patrzy ze wzgardą na iskrzące oczy, grożące miny i ściśnięte pięści Portugalczyka; słowem nie masz w tych dwóch narodowościach żadnego punktu spójnienia, gdyż rozdwojenie istnieje w najniższych warstwach ludu.

Z Estremos do Elvas jest cztery mile polskie. Pierwsza połowa drogi prowadzi przez piękne doliny, zawarte pomiędzy wysokimi, drzewem pokrytymi pagórkami, druga połowa przez dzikie, smutne zasy piaszczyste. Wiatr tu wiecznie rozkiełznany świszcze jak szalony, i roznosi pagórki piaszczyste z jednego miejsca na drugie, przenosi je potem znów w inne miejsca, jak gdyby puszcza ta była przeznaczoną na szkołę gimnastyczną synom Eola. Wegetacyi lub drogi ani śladu nigdzie, oryentować się można było jedynie za pomocą wysokiej wieży, która sterczała w pośrodku puszczy i stawała się widzialną tylko na chwilę, kiedy wiatr nie zrywał z ziemi tumanów piasku i nie zasłaniał atmosfery.

Nareszcie stanęliśmy u źródła, wytryskującego ze stopy stromego pagórka, na którym wznosiła się wieża. Wdrapałem się na szczyt jego nie bez trudności, stopa ma zaledwie mogła znaleźć punkt oparcia na śliskich kamieniach,

a wiatr dał z wściekłością i usiłował wtrącić mnie w groźną przepaść.

Owa wieża była to ruina jednego z strażniczych bastyonów, zwanych w portugalskim języku *Atalaias*. Bastyon ten miał podstawę kwadratową, otoczony był murem zwalonym po największej części. W wieży samej drzwi nie było, spodnią część wzniesiono z granitowych głazów; lecz z jednej strony znajdowały się szpary pomiędzy kamieniami; widać, że stawiając po tych szparach nogi, dochodzono do wnętrza bastyonu, do salki, znajdującej się o piętnaście stóp po nad ziemią. Ja przynajmniej temi niewygodnymi schodami dostałem się do tego obserwatorium, z kąd widok na wszystkie strony bardzo rozciągnął. Tu, w tych bastyonach, ludzie z determinacją mogli się długo opierać wielkiej ilości oblegających, i razić ich śmiertelnymi wystrzałami. Na samym szczycie wieży był rodzaj kotliny, gdzie niezawodnie zapalano stos drzewa za zbliżeniem się nieprzyjaciół.

Opuszczając to miejsce, doszedł mnie głos jakiś dziwny z za części muru przezemnie nie zwiedzonego; obejrzałem się i zoczyłem człowieka młodego i wysokiego, ale w łachmanach najobrzydliwszych. Siedział on na kamieniu i bredził przed sobą lada co. To obłąkany, zostawiony samemu sobie tu, o milę od siedzib ludzkich, tu, gdzie nie rośnie, gdzie wieczny wiatr wyje i rzadko noga ludzka dojdzie.

A ten obłąkany, który zarazem był głuchoniemym, żył jednakże, nie umarł z głodu i jego twarz nie wyrażała smutku, lecz jakąś głupią zwierzęcą radość.

Boże wielki! czy Twoja manna żywi tego biednego człowieka, który sobie samemu żadnej dać nie może rady?

Chodźcie tu przypatrzeć się temu człowiekowi, wy ludzie, którzy z bojaźni, by wam chleba nie zabrakło, tracie codziennie część waszej duszy.

Patrzcie, jak sobie swobodnie spogląda ten idyota! On szczęśliwszy od nas, on jest bez winy.

Temi dręczony myślami, zeszedłem czworakiem z góry, wydobyłem z naszej szpiźarni podróźnej co nam jeszcze pozostało, pomiędzy innymi rzeczami kilka placuszków z klasztoru Urszuliniek z Monte-Moro, i przyniosłem wszystko

biednemu bliźniemu, któremu Bóg rozum, słuch i mowę odmówił, a przepaść z głodu jednakże nie pozwoli.

Z jakąż chciwością biedny idyota zjadł przyniesioną mu strawę!

Kto ciebie pożywi jutro lub pojutrze? biedny człowieku! zapytałem bez nadziei otrzymania odpowiedzi; ale on, czy to przypadkiem, czy też sympatycznie, i jakoby instynktownie wzruszony wyrazem twarzy mojej, wskazał ręką na pogodne z po za chmur wyzierające niebo, i serdeczny jakiś jęk z swych piersi wydobył.

Wielki Boże! czybyś tej nędzniejszej od zwierzęcia, ale ludzkiej istocie, nie był odmówił choć słabego, niewyraźnego dobroci twój przeczucia?

Pogrążony w smutnych lecz uroczystych myślach, zstąpiłem jeszcze raz z góry i wsiadłem na mego muła. Opowiedziałem towarzyszowi przyczyny mego wzruszenia; on tak dobry, tak poświęcający, nie podzielał jednakże méj wiary, i pomimo swych bogactw i świetności urodzenia, jeszcze mniej był szczęśliwym odemnie, wyzutego w tak młodym wieku z wszystkiego, co człowiekowi najmilszym.

Ze szczytu innego wzgórza spostrzeegliśmy na krańcu wschodnim widokręgu miasto jakieś, osiadłe na wysokim pagórku. »Oto Elvas!« zawołał nasz przewodnik. To więc jest najsilniejszą warownią Portugalii. Daleko za nią odbijały się w czystym eterze nieba góry jakieś, wyzierające zębatego szczytami po nad obłoki. »To są Sierras de Albuquerque, najwyższe góry hiszpańskiej Estremadury.«

Teraz wstąpiliśmy w pięknie uprawną krainę, droga wiała się pomiędzy żywymi płotami wężem w dolinę. Tu na prawo wyskakiwał z pod ziemi wodociąg, prowadzący płynny kryształ aż do miasta. Tu zaledwie miał kilka stóp wysokości, ale powoli, powoli wzrastał w górę, w miarę jak my schodzili w dolinę. Coraz wyższy i wyższy, kolosalnych dostąpił wymiarów. Tuż pod dnem doliny zwrócił się na iewo, przekraczając drogę jednym swym łukiem. Spojrzałem w górę. Strumień wody płynął ze 250 stóp po nad naszymi głowami. Zdumiałem się nad ogromem budowli.

Ztémwszystkiém wodociąg ten nie wyrównywał we wspaniałości Lizbońskiemu, dlatego, że nie pojedynczemi

łukami przekraczał głęboką dolinę, ale że nosił swą wodę na szczycie trzech piąter łuków, wybudowenych jeden na drugim.

Praca i wydatek, potrzebne na wzniesienie takiej budowli, musiały być niezmierne; i pomyślawszy sobie, z jak małemi stosunkowo wydatkami dzisiejsza sztuka tego samego dopina celu, nie można powściągnąć uczucia wdzięczności za to, że żyjemy w czasie, w którym nie potrzeba wyczerpywać bogactw w całej prowincyi na opatrzenie jednego miasta pierwszym artykułem życia.

Przybywszy do bramy fortecznej, oficer zażądał naszych paszportów, i kazał nas odprowadzić do biura gubernatora, do którego mieliśmy list rekomendacyjny. Wszystkie trudności paszportowe, nie małe tutaj, na pograniczu zostały wkrótce ułatwione.

Fortyfikacye miasta Elvas są imponujące z pierwszego wejrzenia; zdaje się, że dobry garnizon mógłby się bronić tutaj i najsilniejszemu nieprzyjacielowi. Lecz Elvas ma swą bardzo słabą stronę: o trzecią część mili od miasta znajduje się góra, zkąd działa wydoskonalenia nowożytnego mogłyby z łatwością w perzynę obrocić całą fortecę.

Elvas jest ostatniem miastem w tej części Portugalii. Granica hiszpańska leży ztąd o milę drogi. Elvas został zbudowany, by dogodzić próżności portugalskiej, jako rywal Badajozu, na który się spoziera dumnie przez piaszczystą płaszczynę i rzekę Gwadyanę, ją przekraczającą. Jest to obronne miasto, lecz bronić nie jest w stanie całej granicy, zewsząd otwartej. Nieprzyjaciel chcący najść Portugalję, wcaleby nie potrzebował zbliżyć się do Elvas. Fortyfikacye tak są rozciągnięte, że 10,000 żołnierza zaledwieby wystarczyło na ich obronę. Wojsko to lepiejby było użyte na otwartem polu przeciw nieprzyjacielowi. Francuzi trzymali małą tylko siłę w Elvas, i poddali się Anglikom bez wielkich ceremonij.

Żegnamy się nareszcie z Portugalją, z tym pięknym, biednym, spotwarzonym krajem, który dlatego tylko mniej jest lubionym przez podróżnych, że leży za blisko swęj dumnej, uroczej, powabnej, często sławionej siostry. Żegnamy się z Portugalją, myśląc, że jęj już nigdy nie zobaczymy; inaczęj los chciał, jak to później wyczytamy.

W pół godziny po wyjeździe z Elvas, przybyliśmy do strumienia, którego wody bystro biegły pomiędzy stromemi skałami. Strumień ten, zwany Acaia, odgranicza Portugalię od Hiszpanii.

»Santiago y cierra España!« Jesteśmy na gruncie hiszpańskim.

26/11  
Morizcaz





**H I S Z P A N I A .**

LIBRARY

## ROZDZIAŁ I.

WSTĘP. — MOST NA GWADYANIE. — PRACZKI. — CABALLERO NIE-SZCZĘŚLIWY. — CELNIK LUDZKI. — DUMA ŻEBRAKA. — LISTY Z MADRYTU. — GUBERNATOR CYWILNY W BADAJOZ. — GODNOŚĆ I UNIŻONOŚĆ. — PODUFAŁOŚĆ. — USPOSOBIENIE LUDU. — SĄDY GMINNE. — WPŁYW INTELLIGENCYI. — MIESZCZANIE. — ARYSTOKRACJA. — POŻEGNANIE.

---

Ogrodzie Hesperyjski! rycerska Hiszpanio! kolebko pierwszych marzeń młodziana! do ciebie tęskniłem, jakby do ojczyzny ducha mego; ciebie zwiedzić, to było najgorętszym pragnieniem mego serca; w sympatycznym powietrzu twego powietrza spławić tylu obrazami poetycznymi rozgrzaną wyobraźnię, było potrzebą mego życia. Nie jestem wyjątkiem. Zapewne nie sam jeden doświadczałem tych uczuć, tych potrzeb. Gdzież jest młodzieniec wyobraźnię swą pięknymi płodami geniuszu ludzkiego żywiący, któryby nie zapragnął zwiedzić Hiszpanii, téj ojczyzny rycerstwa i cudów?

Istotnie, wszystko tu jeszcze przyciąga duszę młodzieńca do téj poetycznej ziemi Hiszpanów. Wielkie katastrofy historyczne nie przeminęły tu bez zostawienia głębokich, niezatartych śladów na powierzchni ziemi i w gruncie charakteru narodów. Lud tu żyje i żyć będzie długo zasobami przeszłości.

Rzuć okiem na ziemię Hiszpanii!

Ogromem swym zastanawiające ołtarze Druidów wznoszą się nieopodal od świątyń pierwszych chrześcian; Kartagińskiego męstwa szczątki służą za podstawę Rzymskiej dumy zabytkom; Maurów urocze wieże, świątynie i ogrody, dziś jeszcze tu istnieją w całej swój pierwotnej kształtności, obok gotyckich przybytków późniejszych wieków; a nowożytnie budowle świadczą o nieprzebranych skarbach

kraju, o duchu przedsiębiorczym narodu, który umiał tyle razy powstać z gruzów i zadziwić świat cały żywotnością swęj istności.

Szczęśliwa Hiszpania nie potrzebuje dziejopisarzy. Sama sobie pisała swą historię granitem, marmurem i spiżem, historię niczém niezatartą; tu w Hiszpanii jeden wiek nie chciał ustąpić drugiemu, bez zostawienia na ziemi godnego siebie pomnika, świadka i obrońcy prawdy.

Hiszpania nie chciała zawdzięczyć historii swęj szpargałom. Nie! cały kraj, cały naród wołał się tam przyłożyć do dzieła i, nie ufając wątlęj wiarogodności papieru, powierzyć trwalszym materiałom tajemnice przeszłości.

I ja teraz, pędzony więcęj losem niż własną wolą, wędruję pomiędzy tym okazałym chaosem zabytków przeszłości, na tęg ziemi czynem historii poważnęg, poezyą przesiąktęg, na świadka wielkięg przyszłości wybranęg; i teraz pojmuję, dlaczego mnie jeszcze na brzegach Proсны zajmowały: Guadyana, Sierra Morena, Sevilla i Salamanca, dlaczegom już na brzegach Nidy wtajemniczał się w dźwięzny język Calderona, Lopez de Vega i Cervantesa.

Wszystkie nazwy kraju, który widzę rozwijający się przedemną, brzmią w mych uszach jak dawne znajomości, i łącząc terażniejszość z przeszłością przez stowarzyszenie idei i dźwięku, żywo mi przypominają szczęśliwe lata męj pierwszęg młodości, przeżyte tak wesoło pośród świadków krótkiego, ale całego mego życia. Wówczas ani śmiałem przewidzieć, że się kiedy użeczywistni pragnienie męj duszy, ani też byłbym pojął, że stanę kiedy nad brzegiem Gwadyany, pytać w brzmieniu obcego języka, uroku chwil dawno ubiegłych na brzegach rzek rodzinnych. Wówczas byłem jeszcze dzieckiem, wyobrażenia nie miałem o burzach gotujących się dla mnie, o smutnym zbiegu okoliczności, któremu miałem być winien zaspokojenie męj ciekawości.

Ah! wołałbym był pozostać pragnącym jak Tantal i zgnąć w mękach pragnienia!

Los chciał inaczej; poddajmy się jego wyrokom, lecz i z tęg korzystajmy sposobności dla publicznego dobra.

Już nieopodał od brzegów Gwadyany jesteśmy; dochoǳi nas dziwny jakiś łoskot, jakieś kłapanie, jak gdyby

tysiãca bocianów zebranych w kongres. Czy to parlament Frankfurcki? Nie, to ani bociany, ani parlament; to płeć piękna miastã Badajoz, zatrudniająca się na piaszczystym brzegu Gwadyany praniem bielizny. Klepiã nielitościwie kijankami i śpiewają hymn jakiś pochwalny na cześć rzeki, która im dostarcza wody, przy końcu bowiem każdej zwrotki wznosi się harmonijnym chórem silny i dźwięczny odgłos: »O Gwadiana, Gwadiana! que pura es tu agua! (Gwadyano, Gwadyano! jak czyste są twe wody!)«

Gdyby i najniewierniejszemu Francuzowi pozostawały jeszcze najmniejsze wątpliwości o szczupłości nóg hiszpańskich, znalazłby tutaj na stu przynajmniej parach sposobność przekonania się o rzeczywistości, i to nawet z bardzo bliska.

Sprawdziwszy jak można było najsumienniejszą reputację nogi hiszpańskiej i zanotowawszy w pugilaresie: »*le pied espagnol n'est pas une chimère,*« wstępujemy na most murowany, przekraczający w licznych arkadach poważną choć nie bystrą Gwadyanę. Praczkі tymczasem łają nas za naszą naukową ciekawość i grozą kijankami, starsze spuszczają podkasane spódnice, młodsze tak się wstydzają, że o tej ostrożności zapominają.

Na moście stoi oparty o kamienną poręcz wysoki mężczyzna w czarnym długim płaszczu, w kapeluszu z szerokimi skrzydłami. Mierzy nas ponuremi oczyma. W jego postaci wiele szlachetności, w jego twarzy głębokie ślady cierpienia. On kiedyś widział lepsze czasy, to teraz niewątpliwa!

Zbliżamy się; on zdejmując wolno kapelusz i w dźwięcznym kastylijskim narzeczu, z trudną do uwierzenia gracyą i szlachetnością, przemawia do nas: »*Sennores, ustedes son caballeros, yo soy tambien caballero, mas desdichado, que me den ustedes una limosna por amor de Dios, una limosnita mi Sennores.* (Panowie jak widzę jesteście kawalerami (a), i ja jestem kawalerem, lecz nieszczęśliwym, niech mi panowie dadzą jałmużnę na miłość Boga, małą jaką jałmużnę, moi panowie!)«

a) Kawaler nie znaczy u Hiszpanów to samo co u nas *niekonaty*, lecz *rycerz, człowiek szlachetny*.

I przemówiwszy te słowa z intonacją tak głęboką, że jej uroczystej godności nigdy nie będę w stanie oddać, wyciągnął rękę, u której brakowało trzech palców, a rany jej zaledwie były zagojone.

Głęboko nas wzruszył ten głos i ten widok; złożyliśmy każdy po piastrze w tę dłoń, która kiedyś oręż nosiła. Z pod płaszcza wyzierała zielona kurtka strzelców don Karlosa.—Każdy dobry żołnierz ulituje się nad kolegą choćby z obozu nieprzyjacielskiego.

—»Dzięki wam niech będą! tysiączne błogostawieństwa niech wam towarzyszą wszędzie, o almas cristianas y generosas (o dusze chrześcijańskie i szlachetne). Z waszej łaski nie potrzebuję zebrać przez całe dni dziesięć,« powiedział znów nasz desdichado Caballero, i dodawszy: »Może panom będę mógł być użytecznym w przeprawie przez formalności komory granicznej,« szedł za nami, zarzucając dumnie koniec płaszcza na ramiona.

Z drugiej strony mostu, przy bramie północnej miasta Badajoz, stała budka strażnicza czerwono i żółto zamalowana. Z niej wyruszył ku nam celnik, odziany w długi płaszcz z spiczastym kapeluszem na głowie, i nie mówiąc, wyciągnął rękę, by zatrzymać konia mego za lejce.

—»Precz zład celniku!« krzyknął nasz kawaler; »czy nie widzisz z kim masz do czynienia? ci kawalerowie są memi przyjaciółmi. Ruszaj po naczelnika komory.«

Celnik spojrział żebrakowi w oczy, ukłonił mu się i pobiegł po naczelnika, człowieka dumnego, ale grzecznego, który przejrawszy nasze papiery, rzekł: »Dam panom żołnierza, który was zaprowadzi do szefa politycznego, dla ułatwienia się z paszportem; rzeczy tu pozostaną aż do pańskiego powrotu. Tymczasem racie panowie wpisać swe nazwiska i godność w księgę złożoną w mém biurze.«

Poszliśmy z naczelnikiem do biura i po skończonej formalności zapytaliśmy go: kim jest nasz protektor, którego znajomość zrobiliśmy na moście.

—»To dawny oficer don Karlosa, który dla ran nie mogąc się dłużej bić z nami, wrócił do Badajoz, do swego miasta rodzinnego, żyć z jałmużny, cały bowiem majątek rząd mu skonfiskował. Nieszczęśliwy to człowiek, ale zresztą godny i bardzo bogobojny,« odpowiedział naczelnik.

—»I wolno mu pozostawać w mieście należącym do królowej, przeciw której walczył?« zapytaliśmy.

—»Właściwie nie wolno, właściwie Sennor Herrera powinienby być wywiezionym do Prezydyów afrykańskich; ale któżby się odważył wykonywać jaki wyrok surowy na nim? on niegdyś był i bogatym i szczęśliwym, i wszystko poświęcił dla swój wiary. Dziś żebrze w mieście swém rodzinném, to dość kary dla niego.«

Takie wyjawiał chrześcijańskie uczucia celnik względem nieprzyjaciela swój sprawy. Jakże tutaj wątpić o wpływie chrystyanizmu na ludzi?

Powróciwszy do naszych koni, zastaliśmy naszego caballero pilnującego pakunków w groźnej postawie.

—»Caballero, zrób nam przyjemność i przyjmij od nas śniadanie,« rzekł pan T. K.

—»Tego zrobić nie mogę,« odpowiedział Sennor Herrera. »Ten, co żebrać musi, powinien pilnować swój godności więcej jak kto inny szczęśliwszy i nie bratać się z swemi dobrodziejami. Ja tu pozostanę, dopóki rzeczy pańskich nie złożą w komorze, a potem wrócę do owego spustoszonego klasztoru, gdzie mieszkam razem z puszczykiem i nietoperzem,—dobremi memi przyjaciółmi.«

Grzecznie nas pożegnał i z dumą zarzuciwszy płaszcz na ramiona, odszedł poważnym krokiem. Niech się tu nikt śmiać nie poważy. Ja bronię dumy nieszczęsnego żołnierza w łachmanach, choć się urągam z dumy dorobkowca i lituję nad głupim.

El Illustrissimo Gefe politico Estramadury właśnie naszym interesem był zatrudniony. Nadeszła sztafeta od Jego Excellencyi ministra wojny z Madrytu, adresowana do Jego Excellencyi margrabięgo de K... Szukać nas kazał Gubernator we wszystkich hotelach. Jawimy się w stosownej chwili.

Wręczają sztafetę towarzyszowi memu. Jego ofiara przyjęta z głęboką wdzięcznością. Jest właśnie pułk dragonów potrzebujący reorganizacyi, ale się formuje aż w Cuença w Kastylji. Panu margrabięmu powierza się dowództwo, ale pod warunkiem, żeby wprzódy do Madrytu i to jak najspieszniej zjechał i przedstawił ministrowi plan, według którego ma się odbyć reorganizacya.

Do mnie zaś osobna odpowiedź. I moja ofiara przyjęta.

Radzono mi ubiegać się o stopień uniwersytecki w Kadyksie. Uniwersyteta bowiem Salamanki i Madrytu znajdują się w stanie zupełnej dezorganizacji, w skutku wojny trwającej jeszcze, a w której prawie wszyscy uczniowie i profesorowie fakultetu lekarskiego czynny biorą udział.

Uniwersytet w Kadyksie jest jedynym znajdującym się w komplecie i mogącym potwierdzić mój dyplom po egzaminie, jaki będzie widział stosownym mi nałożyć.

Upoważnia się naczelnika politycznego do ułatwienia mi podróży do Kadyksu i do polecenia muie oficjalnego szefowi politycznemu w Kadyksie, jako ubiegającego się o służbę w wojsku donny Izabelli i posiadającego zaufanie i approbację jej rządu.

Naczelnik Estramadury dał nam pomówić z sobą chwil kilka, potem zaś rzekł:—»Panowie, jak widzę, zgodzili się pójść za radą pana ministra i dobrze robią, on panów w pole nie wywiedzie, to nie Mendizabal, ani Bermudes. Otrzymałem osobnym rozkazem polecenie ułatwić panom podróż. Pan margrabia pojedzie do Madrytu extrapocztą pod eskortą kawaleryi zmieniającą się co stacya, a panu doktorowi radzę korzystać z wyborniej sposobności podróżowania doskonałą i szybką łodzią po Gwadyanie, aż do jej ujścia do oceanu, to jest do Ayamonte. Właśnie bowiem wyprawiamy łódź duanierską do strzeżenia ujścia Gwadyany, niepokojonego przez kontrabandzistów angielskich, których zuchwałość wzrosła w ostatnich czasach do tak wysokiego stopnia, że zbrojną ręką dostarczają Miguelistom w Portugalii, a Karlistom w Hiszpanii, broni i amunicyi. Łódź jest wyborna, budowana w kształcie galary z dwoma piętrami wiosel i silnym masztem, mogącym dźwigać wiele żagli. W Ayamonte polecę pana doktora alcałdemu, który go przy pierwszym powiewie sprzyjającego wiatru odeśle statkiem rządowym do Kadyksu, a tak na falach Gwadyany i Atlantyku przebędziesz pan bez znojów i kosztu przestrzeń, którą przebyć lądem bardzo trudno i kosztownie. Tak ja proponuję panom, ale nie mam najmniejszego prawa wymagać od panów żadnej uległości.«



Rada szefa politycznego przypadła nam do smaku; prosiliśmy, by nas wyprawił jak najprędzej każdego w swą stronę, jednego do Madrytu, drugiego do Ayamonte.

Naczelnik prowincyi posłał natychmiast po kommandanta portu. Ten przybył niebawem. Stary to był, wysłużony w niższych rangach oficer marynarki. Oznajmił naczelnikowi, że łódź celna mogłaby wyruszyć jeszcze tego wieczora, gdyby Jego Excellencya rozkazała wypuścić z więzienia jedyne go sternika, znającego dobrze koryto Gwadyany bardzo nie stałe, bo rok rocznie w innych miejscach zamulone piaskiem.

—»Jakto! uwolnić z więzienia owego Azbudere, przeświadczonego o kontrabandę i podejrzanego o stosunki z Karlistami?« zapyta z oburzeniem naczelnik. »Czy mi ręczysz panie poruczniku za to, że sternik Azbudera będzie na przyszłość wiernym urzędnikiem?«

—»Sennor Gefe politico, por amor de Dios, ja jestem prostym człowiekiem co do znaczenia i rozumu, ale jednakbym nie żądał od jednego podwładnego, żeby mi ręczył za uczciwość drugiego; zdawałoby mi się, że to bardzo nierozsądnie domagać się takich zaręczeń, lub też na nich polegać. Zresztą nie jestem ani bratem, ani swatem Azbudery, a jeżeli przemawiam za jego uwolnieniem, to tylko dla tego, że on jeden zna koryto Gwadyany i jeden jest w stanie zaprowadzić łódź tak głęboko w wodę idącą, bez szwanku aż do Ayamonte, uchronić ją od osięścia na ławach piaszczystych, lub rozbicia się na skrytych w głębi skałach. A szkoda łodzi kosztującej do dwóch tysięcy piastrow. Niech Wasza Excellencya raczy zważyć to wszystko i potem zdecydować. Wyrok jego będzie dla nas prawem, to się rozumie samo z siebie.«

Z taką swobodą sądu przemawiał kommandant portu do naczelnika politycznego, urzędnik rangi podporucznika do urzędnika rangi generalskiej. I dlatego też cytuję tę rozmowę jako przykład godności, z jaką Hiszpan pojmuje swą powiuność względem wyższego i względem własnego rozumu. Nie pomijając ani na chwilę żadnej z form uświęconych kilku-wiekowym zwyczajem, Hiszpan najniższej klasy będzie przemawiał do najwyższego w randze człowieka z gestem pełnym grzeczności, ale też bez wszelkiego uniznienia, z szlachetną godnością. Nigdy w uczeniu ziemskiej

wielkości nie zapomni sobie samemu winnego poszanowania. A jednak Hiszpan ma doskonale wyobrażenie o korzyściach materyalnych przywiązanych do potęgi i majątku, poważa w swym bliźnim wysokość rodu, jako pobudkę, któraby go nakłaniać powinna do szlachetności uczuć, i wie nawet, że bez posłuszeństwa nie masz organizacyi.

El Sennor Cefe politico dał się przekonać i uwolnił sternika z więzienia, w którémby, jak utrzymywał Sennor Teniente, bezemnie jeszcze długo był siedział; przekonano go bowiem o kontrabandę i sam poczuwał się do winy, za ułatwienie ucieczki z kraju kilku skompromitowanym Karlistom.

Naczelnik prowincyi, pełen grzeczności, kazał sprowadzić rzeczy nasze do swego pałacu i prosił, byśmy przyjęli objad u niego. Pozostało nam parę godzin czasu na przebranie się i rozpatrzenie w mieście.

Daleko mniej nas zastanowiły pomniki miasta, jak duch ludu w niém mieszkającego. Na spacerach, ulicach, w kościołach, wszędzie wielkie mnóstwo ludzi niezatrudnionych, odpoczywających sobie w cieniu, lub też przechadzających się pod drzewami. Ludzie ci należeli po największej części do najniższych warstw towarzystwa, ubiór ich bardzo skromny, często nawet nieschludny, o tém świadczył, ale mina i h byłyby tego nigdy nie wyjawiała. Chodzili sobie z wszelką spokojnością, swobodą i godnością ludzi niemających żadnej przyczyny troszczyć się o nic w świecie. Pomędzy temi lazzaronami miasta Badajoz było i wielu włościan z prowincyi w prostém, niemalowniczym ubraniu wieśniaków Estramadury. Taż sama u nich swoboda co i w lazzaronach. Spoglądali śmiało i bystro, choć mniej mądrze, na otaczające ich przedmioty; przechodząc koło nas mówili dość głośno: »Son estrangeros, mas parecen gente de bien (To są cudzoziemcy, lecz zdają się być ludźmi przyzwoitemi).« Inny znów prosty rybak, widząc nas palących cygara, prosił o udzielenie mu ognia do zapalenia swego, bez ambarasu najmniejszego, ale z miną grzeczną i z wystawieniem ceremonialnym: »hacia me usted el favor de su candela (racz mi pan dobrodziej wyświadczyć łaskę i użyć ognia).«

Jeszcze inny spytał się o godzinę w wyrażeniach nie mniej grzecznych. Nakoniec jeden młody jeszcze człowiek,

widząc nas wchodzących do kościoła, zdjął kapelusz i proszącym tonem powiedział: »*Sennores, perdonen ustedes, no tengo moneda* (Panowie, raczcie wybaczyć, nie mam drobnych pieniędzy).«

—»*Un moyen bien poli de demander l'aumone,*« rzekł mój towarzysz i wrzucił do wystawionego kapelusza monetę srebrną dodając: »*Usted es demasiadamente joven para pider limosnas* (Pan jesteś zanadto młodym na żebraka).«

—»*No quiero sus avisos Sennor, quiero dinero* (Nie potrzebuję waszych rad panie, lecz pieniędzy),« odpowiedział dumnie młody żebrak i zwrócił dar dającemu.

—»A ja daję jedno i drugie,« powie pan T. K.

—»Unikaj mnie pan, skoro wyjdiesz z kościoła, jeżeli panu miła skóra,« mruknął pod nosem Hiszpan i ukląkł, żegnając się przed ołtarzem.

Później, podczas obiadu, pan naczelnik prowincyi wypytywał się nas o wrażenia zdobyte na przechadzce. Pan T. K. opowiedział mu nasze zajście z żebrakiem w kościele, co zauważał z usposobienia ludu, i dodał: »Trzeba przyznać, że system konstytucyjny wpłynął tutaj w krótkim czasie na umysł ludu i wywołał u niego wielką dumę. Nic nie widziałem podobnego ani u ludu mego, ani nawet w ludzie niemieckim, angielskim i portugalskim; i to rzecz najwięcej mnie zadziwiająca, że pod tym względem lud Portugalski nie więcej do hiszpańskiego podobny.«

—»Dwie tu pan rzucisz kwestyje, które w ważności nie ustępują jedna drugiej,« odrzeczże pan gubernator. »Zkąd pochodzi ta duma ludu naszego, i czemu jej nie dzieli lud portugalski, zbliżony do naszego kształtem kraju, żyjący pod tym samym klimatem? Ręczę panu, że konstytucya nasza, jeszcze przez całość kraju nie przyjęta, jeszcze się chwiejąca na swych słabych dziecięcych nogach, w niczem nie miała ani czasu, ani siły, przyłożyć się do indywidualnego usposobienia ludu. Lud nasz był dumnym w swych ruchach, szlachetnym w uczuciach, jeszcze pod panowaniem tak zwanego despotyzmu, jeszcze wówczas, kiedy najokrutniejsza inkwizycya na nim ciążyła. Ludu naszego duma przetrwała najgorsze czasy ucisku, i w niczem nie została uszkodzoną. Dziś wojna trwa w połowie Hiszpanii, pożera ona od lat tylu wszystkie siły naro-

du, na nią zwrócone są wszystkie zasoby kraju, niszczy naszą biedną ziemię, której obszerne łąny leżą nieuprawione z przyczyny braku rąk, której handel i przemysł jest sparalizowany kontrabandą angielską; a jednak nasz lud, choć cierpi i żebrze, choć częstokroć i ginie z głodu, nie traci odwagi i wiary w przyszłość, nie traci nawet tej dumy.«

»Wielu filozofów,« rzecze dalej gubernator, »już się zastanawiało nad tém zjawiskiem; przypisują je powszechnie konfiguracyi górzystej kraju. To wszystko nie prawda. Pomimo awanturniczego usposobienia, jakie autorowie całej Europy przypisują Hiszpanom w ogólności, ledwo się znajdzie jeden na tysiąc, któryby przekładał życie po za prawem, szczęście w oddaleniu od rodziny, nad przyjemność życia spokojnego pomiędzy gronem krewnych i przyjaciół, pomiędzy swojemi. Hiszpan kocha swą familię namiętnie, jest dobrym ojcem, dobrym mężem i nadzwyczaj przykładnym synem, i nie tak skorym do opuszczenia swój wsi, swych znajomych, swych świąt i odpustów, dla romantycznej przyjemności ścigania podróźnych i uciekania przed oficerami *de la santa hermandad* i innymi żandarmami. A zresztą, gdyby godność chłopca hiszpańskiego pochodzić miała z łatwości, jaką mu dają wszędzie prawie góry, wąwozy i lasy, wówczas i portugalski chłop, żyjący w tych samych okolicznościach, też samą posiadałby godność w poźyciu z wyższymi; a on, jak panowie sami przyznajecie i my doskonale wiemy, jest chętny, zarozumiały i nieufny, ale nie wiele posiada tej osobistej dumy, która mimowolnie uszlachetnia człowieka i daje mu tę nieporównaną godność w ruchach, słowach i postępowaniu, jaką, z wielkiem dla mnie zadowoleniem, panowie już teraz w ludzie hiszpańskim spostrzegli. Nie, moi panowie; wiercie mi, inne są źródła, inne przyczyny tego honoru kastylijskiego, który przeszedł w serca wszystkich, pod jednem berłem połączonych Hiszpanów. Są to nasze starodawne instytucye gminne, instytucye powstałe pomiędzy ludem. Dlatego też nasza arystokracja największą była nieprzyjaciołką instytucyj gminnych, a monarchowie, obawiający się wpływu przeważnej arystokracji, częstokroć byli wyraźnemi protektorami tych samych sądów. Patryarchalne wyroki starszych wywierały wpływ

bardzo silny na całą masę ludu; żaden chłop nie uważał się za sprawiedliwie ukaranego, jeżeli go jury chłopskie uniewinniło, a pokornie przyjmował karę, jeżeli się ta z wyrokiem tego jury zgadzała. Nieugięta sprawiedliwość znamionowała te wyroki. Dobrzy monarchowie w chwilach zamieszek i trwogi, wojny nawet, powierzali jurysdykcję chłopskiej, istniejącej *de facto*, choć nie *de jure*, rozsądzanie spraw włościańskich, pilnowanie porządku, wybieganie podatków i pobór rekrutów, i nie raz tron był winien tej radykalnej potędze swe ocalenie. W ogólności monarchowie nasi od dawnego bardzo czasu starali się o miłość najniższej warstwy ludu, woleli karać oświeconego przestępcę jak nieoświeconego, woleli nawet użyć prawa darowania kary, i tém się zachowali w świętości u ludu, który w królu swym widział prawie zawsze dobroczyńcę i ubóstwiał go jako jestestwo wyższe, i dziś jeszcze przeniósłby może króla absolutnego nad królowę konstytucyjną.«

—»Ale, na miłość Boga! panie naczelniku,« przerwał pan T. K., »jesteś pan wysokim dygnitarzem rządu królowej konstytucyjnej, a przemawiasz najwyraźniej za monarchią absolutną.«

—»*Sennor Coronel*,« rzekł pan naczelnik, »racz wysłuchać co powiem dalej, a ręczę, że podzielisz mą opinię. Lud wiejski, mówiłem, przeniósłby dziś jeszcze króla absolutnego nad królowę konstytucyjną, gdyby się nie był stał szczególnym zbiegiem okoliczności obojętnym na te kwestye polityki wewnętrznej. Ale zarządy królewskiego faworyta, owego Godoy, co go »księciem pokoju« nazwano, potem wojny napoleońskie, w czasie których wielu bardzo synów ludu dosłużyło się w nagrodę mężstwa stopni oficerskich, nareszcie częste wiarołomstwa i okrucieństwa ministrów Ferdynanda, wyraźna wola tegoż króla, uprawniona legalnym testamentem, znoszącym prawo Salickie,—tak zabałamuciły lud wiejski, że się wcale z swą opinią wyjawic nie śmie, lub że jój wcale nie posiada. Lud wiejski jest w osłupieniu, nasza arystokracja, znikczemiała na duchu i ciele, w bezustannej jest trwodze; nie dziw tedy, że lud miejski, pomiędzy którym zawarta cała działająca siła intelligencji, wziął górę i korzysta z osłupienia jednych, z trwogi drugich, z sąsiedztwa Francji, sprzyjać

nam do pewnego stopnia zmuszonój, i z sąsiedztwa Anglii.—Na nas mieszczanach dotychczas najbardziej ciążył stary stan rzeczy, my jedynie byliśmy, że tak powiem, poza prawem. Od naszych kieszeni poczynały się wszelkie wojny, na naszych głowach kończyły się wszelkie rewolucye, na nas król i inkwizycya spoglądały jako na bezbożników i niebezpiecznych instygatorów, arystokracya jako na uzurpatorów konfiskujących im starodawne przywileje naszym rozumem; a lud wiejski nie wie jeszcze, co o nas ma sądzić, ale już skłania się tu i owdzie do korzystnego dla nas wyroku. My tymczasem idziemy naprzód pędzeni wolą i koniecznością, zwalamy jedne po drugich podstawy dawnego towarzystwa. Dobra kościelne bierzemy na rzecz skarbu, ale na biskupów powołujemy ludzi godnych, kochanych od ludu; przywileje ukracamy arystokracji, ale bogacim niemi poddanych; instytucjom gminnym nadajemy prawomocność, ale wymagamy, iżby były jawne. Nareszcie, czując się na siłach, targnęliśmy się nawet na klasztory, ale dobrami klasztorne, podzielonemi na małe części, obdarzamy wysłużonych lub rannych żołnierzy, wieśniaków liczną wychowującą rodzinę. I wszystko idzie naprzód, pomimo smutnego stanu finansów, pomimo wojny, pomimo ambicyi przewódców, pomimo nareszcie trwogi ultra-umiarkowanych i zbytnej rącości ultra-liberalnych. Oto stan obecny naszego kraju, i teraz racz pan powiedzieć, czy lud nasz, który nigdy nie był uciśniętym, ma powód cieszenia się młodą naszą konstytucją, zwłaszcza w chwili, kiedy się leje krew jego w bratobójczej walce, kiedy jego pola leżą odłogiem, kiedy nie masz już klasztorów żywiących codziennie chmary ubogich i próżniaków, a których sam teraz paść musi. Najlepszy dowód jego rozumu i poczciwości jest *ten*, że płocho nie wierzy w nasze obietnice, i że w obecnych trudnych czasach pełni biernie swą powinność; jest to najlepszą rekojmią, że ją będzie pełnił ochoczo, skoro nabierze przekonania o rzetelności naszych życzeń i naszej wiary. Lud nasz jest najlepszym, najrozsądniejszym w świecie, i tego da dowody całemu światu za lat kilkanaście.«

Tak nam przedstawił usposobienie ówczesne swego narodu pan naczelnik prowincyi. Wyznać musieliśmy, że w swój sprawiedliwości znalazł doskonale miarę szacunku

winnego owemu interesującemu ludowi Hiszpanii, który tyle przelał krwi w obronie swego kraju przeciw obcym najezdnikom, a dziś w wojnie domowej umiał dochować godności i nie dać się zbłąkać ani w imieniu wdzięczności za przeszłość, ani w imieniu obietnic na przyszłość.

W Hiszpanii intelligencya wzięła na siebie odpowiedzialność za przyszłość kraju. Jakże duch ten intelligencyi musiał być mężnym i silnym, kiedy nie będąc wprzódy w żadnej bezpośredniej styczności z arystokracją i ludem, umiała bez użycia krwawych środków strwożyć jedną, a porwać z sobą drugą!

Intelligencya obiecywała, choć dać bezpośrednio nie nie mogła, i lud czekał urzeczywistnienia obietnicy.

W rozmowach z gospodarzem i jego rodziną na przedchadzkach po Alamedzie nadszedł wieczór. Zjawił się w pałacu gubernatora komendant portu, stary, wysłużony porucznik marynarki, i oświadczył, że na chwałę Matki Boskiej i dla uproszenia łaski dla nowo-zbudowanego statku, zrobiono w godzinach popołudniowych pierwszą podróż do miejsca pielgrzymki oddalonego o milę od Badajoz, i że ta podróż ze wszystkiém się powiodła. Teraz wszystko gotowe do wyprawy, księżyc przyświeca, wiatr dmie od zachodu, wszystko w pogotowiu czeka na pana doktora.

Pan naczelnik polecił mnie w wyrazach najserdeczniejszych komendantowi statku, wręczył mi wizowany pasport i list do Ayuntamiento, to jest do rady municypalnej miasta Ayamonte. Potém mnie pożegnał, winszując sobie, że mnie poznał i że tyle we mnie znalazł dobrego i szczerego usposobienia dla swego narodu. »Będę się cieszył pańskiem powodzeniem wszędzie, gdzie cię los zaprowadzi, i proszę, racz przyjąć jedną odemnie radę: nie daj się nigdzie zrażać nieufnością mych rodaków; nie wszyscy znają szlachetność i szczerłość twych chęci tak dobrze jak ja, don Teodoro, ale wszędzie ją poznają wkrótce, skoro, nie spuszczać ani chwili celu twego z przed oczu, będziesz postępował śmiało, bez wahania się i nie zrażając się żadnemi przeciwnościami. U kapitana generalnego w Kadyksie znajdziesz pan dalsze dowody méj życzliwości,« rzekł pan naczelnik.

Rozczulony dobrocią dostojnego urzędnika, udałem się do portu z towarzyszem mym pułkownikiem K. i z synem naczelnika Estramadury, który mnie jeszcze raz w długiej przemowie polecił całej załodze *młodej Izabelli*, gdyż tak się nazwał nowo wybudowany statek kanonierski.

I tak rozstałem się, na czas dłuższy niż przewidzieć można było, z mym dobrym towarzyszem, co mnie wywodził z niegościnnéj Anglii w chwili, gdy skołatany niezczęściem innych i własną tęsknotą, już się żegnałem s życiem.

---



## R O Z D Z I A Ł II.

POSTAĆ OGÓLNA HISZPANII.—GÓRY.—PIRENEE.—PASMO IBERYJSKIE.—PASMO KARPETANO-IBERYJSKIE.—PASMO KARPETANO-WET-TOŃSKIE.—LUZITAŃSKIE GÓRY.—MARYAŃSKIE PASMO.—KUNEJSKIE PASMO.—CHARAKTERYSTYKA KRAJU.—PŁODY.—KLIMAT.—CHARAKTERYSTYKA MIESZKAŃCÓW.—RELIGIA.—POLITYKA.—SZLACHTA.—LUDY.—HISTORIA.—ETNOGRAFIA.—JĘZYK I LITERATURA.—OŚWIATA.

---

Naród, który w losach świata niegdyś grał wielką rolę, który silném ramieniem wspierał jednego z mocarzów swoich po berło wszechwładztwa Europy sięgającego, który niezmierzone obszary ziemi w czterech częściach świata posiadał, taki naród opisać zamierzyłem w życiu jego prywatném, jak się oczom chciwego wiedzy i wrażeń podróżnika przedstawił.

Poznajmy postać ogólną czarującego kraju, w którym mieszka ten naród, poznajmy charakter jego, duch jego dziejów, języka i cywilizacyi, nim wstąpimy dalej w te piękne ogrody Hesperyjskie, na których ledwo jedną stanęliśmy nogą.

Dokładne odmalowanie postaci Hiszpanii nie wchodzi w zakres dzieła niniejszego. Dla uniknięcia jednakże powtórzeń, dla ułatwienia czytelnikowi pojęcia dalszej treści tego dziełka, dla dania mu odgadnąć, dlaczego je autor z takim upodobaniem pisał,—winienem dać przynajmniej ogólny zarys stosunków, w jakich się znajduje interesujący naród hiszpański.

Łańcuch Atlasu, silną kiedyś zaporę między Atlantykiem i Śródziemném morzem, skruszyła potęga natury. Malownicza Greków fantazyja Herkulesa twórcą tego nadludzkiego dzieła mianuje. Odtąd, jak fale dwóch mórz do nieustannéj walki rozwarte znalazły pole, dwumilowy przesmyk skwarną Afryki strefę od umiarkowanego Euro-

py klimatu oddziela, jakkolwiek i po téj stronie Herkulesowych słupów, na znacznym jeszcze przestworze ziemi, piętno afrykańskie wybite. Od szczytu skały, na której po raz pierwszy zuchwałą stopę stawiał ogorzałych Maurów naczelnik, w prawo i w lewo ciągną się ku północy wybrzeża hiszpańskiej ziemi. Z razu, od ostatniego cypla począwszy, ostrego kąta ramiona szłą ku północy; lecz wnet rozszerzają się, kilkakrotnie załamują i tworzą nieforemny wielokąt, którego najkrótszy bok w pasmie Pireneów potężną przegrodę do Gallów ziemi, a razem jedyne ze stałym lądem połączenie stanowi. Mało co więcej nad pięćdziesiąt mil linia zetknięcia się wynosi, gdy tymczasem sto dziewięćdziesiąt pięć mil największej długości półwyspu oznaczają. Przestrzeń całego półwyspu obejmuje przeszło dziesięć tysięcy mil kw. geograficznych.

Dziwna jest postać ziemi hiszpańskiej: rzucone w rozmaitym kierunku głązy, urwiska gór w niezbadanej przed wiekami epoce jakąś rewolucją ziemi poszarpanych, wysoko nad poziom morza wzniesione płaszczyzny, żyzne między pasmami gór doliny, żarem słońca przepalone ziemi obszary, afrykańskie skwarne powietrze i północnego wiatru mroźny powiew: zgoła klimaty i rozmaite ziemi położenia tak się mieszają, że w żadnej innej dzielnicy Europy nie podobnego nie ujrzymy. Tak ta różnica ziemi i powietrza natura, obok rozmaitych kolei losu, jakie kraj przechodził, musiała koniecznie wpłynąć na usposobienie mieszkańców; do tego charakter ludów różnych prowincyj hiszpańskich jest tak rozmaity, jak rozmaita jest ziemia, którą zamieszkują.

Szczyty Pireneów, posuwając się ku morzu Śródziemnemu, nad brzegiem jego sterczącym kończą się cyplem, któremu przyłasku Creuz nazwę dano. Odtąd poczyna się księstwo Katalońskie, hrabiów barcellońskich przez czas niejaki dziedzina. Bok jego wschodni Śródziemne morze oblewa, do zachodniego zaś przytyka Aragonia, potężne i przez długie lata swobodne królestwo, póki ściślej szemi węzły z Kastylią się nie połączyło. Dalej, zwracając się ku morzu Śródziemnemu i brzegiem jego posuwając się, spotkasz rokoszną Walencyę i ponurą Mureyę.

Tuż za niemi Andaluzyjska ciągnie się ziemia, skwarnej Afryki odłamek, zamożne i świetne przez kilka wieków sie-

dlisko wyznawców proroka pustyni. Ścianę jej południową morze Śródziemne i Atlantyckie oblewa, a przesmyk Gibraltaru wspólne dla obudwóch otwiera wrota. Z północną Andaluzji granicą styka się w środku półwyspu Nowa Kastylia, która prowincją swoją Estremadurą do Portugalii przytyka od strony zachodu, o Murcyę zaś i Walencyę opiera się na wschodzie. Spiesząc coraz dalej ku północy, przekroczysz granicę Stariej Kastylji. Wcześniej tu bardzo chrześcijańskie dźwignęło się królestwo, i równie przebiegiem władców swoich, jak szczęśliwym okoliczności wypadkiem, osiągnęło wszechwładztwo. Sąsiednie od strony zachodu królestwo Leonu niedługo cieszyło się udzielnnością. Ztąd krok jeden na zachód, a staniemy na krańcu półwyspu, w Galicyi, gdzie na cyplu północnym Ortegal ujrzyś przed sobą Wasków zatokę, a na cyplu zachodnim rzymski zdobywca, gubiąc wzrok w niedoścignionych Atlantyku falach, mniemał, że na końcu ziemi stanął i przyłdkowi tę dał nazwę: *Finis terrae*. Wzdłuż Wasków zatoki ciągną się z kolei na pochyłości północnej Pireneów: Asturya i Wasków dzielnice: Biskaja, Gwipuskoa i Alava. Ostatniem jest królestwo Nawarry, plac krwawych zatargów hiszpańskich władców z francuzkimi mocarzami.

Takie są nazwy do składu hiszpańskiej monarchii należących prowincyj; nazwy dotąd niezatarte, w życie ludu półwyspu tak silnie wpojone, że mimo zmieniony podział polityczny, mimo skupienie narodu około jedności władzy i zasadniczego prawa, przecież się utrzymują dotąd, nie jako czczy głos długowiecznego nawyknięcia, lecz jako wyraz znaczący, jako godło wewnętrznego życia. Nie badajmy wzajemnych granic tych prowincyj: nasby one zbłąkały, lecz krajowiec zna je dokładnie. Po szczytach gór, po zakrętach strumienia z pośród szczelin skały tryskającego, po wąwozach i opok rozpadlinach, poznaje on kres swojej siedziby, kraniec sąsiedniej dzielnicy.

Rzuciwszy okiem na całą powierzchnię półwyspu, wnet rodzi się w umyśle to przekonanie, że nie ustawy ludzkie, lecz silniejsza od nich władza natury na większe lub mniejsze kawały tę ziemię podzieliła. Od wschodu na zachód, od północy ku południowi, potężne gór pasma zalegają tę krainę, rozciągając na wszystkie strony swoje

ramiona. Trudno, że nie powiem niepodobna, oznaczyć dokładnie wszystkie pasma gór, wskazać ich początek, rozgałęzienie, kierunek, wzajemne między sobą poplątanie. W czasie wojny Napolcońskiej inżynierowie francuzcy nie jedną usunęli wątpliwość, nie wszystko wszakże wyjaśnić zdołali.

Powszechne było mniemanie, że wszystkie góry półwyspu są tylko odnogami Pireneów; w ostatnich dopiero czasach Bory de Saint-Vincent mylność tego zdania wykazał: siedm głównych pasm i pośrednie ich odnogi wymienił, kierunek ich i naturę oznaczył.

1. Pasma Pireneów właściwych ciągnie się w prostym kierunku od wschodu na zachód, od przylądka Creuz do ujścia Bidassoi. Grzbietem ich biegnie granica Hiszpanię od Francyi dzieląca. Sterczące skały, prosto cięte boki gór, są od strony Francyi, do niej też najwyższe szczyty należą: Canigou, w bliskości morza Śródziemnego, ku środkowi zaś Maladetta, Montperdu, Vignemale, Pic du Midi, i kilka innych wiecznym śniegiem pokrytych. Powolniejszy daleko spadek od strony Hiszpanii najmniej pięć mil przestrzeni zajmuje, w wielu wszakże miejscach w pomniejsze odnogi się rozchodzi.

Właściwych Pireneów dalszym ciągiem są pasma: Kantabryjskie, które na Basków krainie cięży, Asturyjskie, które prowincyę tegoż nazwiska od królestwa Leonu oddziela. Obadwa pasma pełne stromych skał, trudnych do przebycia wąwozów, nieodgadnionych w czasie wojny kryjówek i miejsc do zasadzki dogodnych. Wreszcie rozbiega się cały ten łańcuch w Galicyi u przylądka Ortegal na północ i Finisterre na zachód, ku południowi zaś aż przy ujściu Duero kres znajduje.

Kiedy średniowiecznych możnowładców krwawemi zapasami znużone ludy, skupiać się poczęły około dzwigających się tronów i silną europejską społeczność narodów zawiązały; Hiszpania morderczą u siebie walką z afrykańskimi zdobywcami zajęta, o byt reszty Europy nie troszczyła się wcale, i nie bez słuszności, bo nie doznała od Europy pomocy, jakiej oczekiwać miała prawo. Własną siłą skruszywszy Maurów władzę, niezłomne zastępy na krańce świata rzucała, sama wszakże w dumnym odosobnieniu z pogardą cudzoziemców odpychała. Zdaje się, że

sama natura poniekąd na to odosobnienie skazała Hiszpanię; przez niedostępne bowiem Pireneów grzbiety dwie tylko dość dogodnie wiodą drogi: pierwsza przez most na Bidassoi pod Irun do środka Hiszpanii, do jej stolicy; druga niedaleko morza Śródziemnego z Bellegarde do la Jonquera i kwitnącej handlem Barcelony. Mniej dogodne jest przejście przez dolinę Roncesvalles, głośną zgonem Rolanda i towarzyszków jego, drugie z Montlouis do Puicerda, niedaleko bellegardzkiej drogi, tak jak pierwsze w bliskości iruńskiej. Zresztą kilkadziesiąt ścieżek po gór urwiskach znajdują pasterze, i ci, którzy się słynnym w Hiszpanii przemytników rzemiosłem żywią.

2. Iberyjskie pasmo tam się zaczyna, gdzie Ebro z wnętrzości skał tryska. Zbliżając się ku morzu Śródziemnemu, w różne strony rozechodzą się odnogi, znane pod nazwą gór: Molina, Albarracin, Cuenca, i aż do wybrzeżów Murcyi sięgają. Gdzie góry Molina z odnogą Albarracinu się łączą, tam jest źródło rzeki Tajo, największej na całym półwyspie. Nurt jej sto dwadzieścia mil geogr. kraju przerywa. Rzeka złota, najroskoszniejszą, błogą krainę skrapia, tak starożytni pisarze podają. Dziś Bory de St. Vincent tak ją maluje: »Strome i płonne brzegi, dziki, bez ładu nurt, tysiącem rozrzuconych skał zavalony lub ścieśniony, żółta błotnista woda, muł, w którym nawet ziarna krzemionki nie dostrzeżesz: oto są rysy, które cechują rzekę, tak przesadnie w ubiegłych czasach wielbioną. Żółty Tajo rzuca się jak zbłąkany w posępną, opustoszałą krainę, spiekłą żarem słońca. Na jego nizinach szalone wichry pędzą raz po raz tumany czerwonego pyłu, który odrażającą barwą piętnuje rysy wynędzniałego wieśniaka, brudną farbą szpeci karłowate dęby wśród nagich bez ładu pozwalanych opok. Żarłoczny sęp, jedyny mieszkaniec powietrznych szlaków nad dziką równiną, ustawnie zagraża stadom brudnych merynosów, których brudniejsi jeszcze pasterze przed napaścią rabusiów, wilków i zięjących mordem rysiów, strzegą.«

Z tegoż samego pasma, w bliskości źródła Tajo, wydobywa się Guadalaviar, która rokosznej Walencyi przerywa bujną krainę, i pod stolicą tegoż królestwa z morzem Śródziemnym się łączy.

3. Karpetano-Wettonskie pasmo, tak zwane od ludów starożytnych, które w tych stronach swoje siedziby miały,

W kierunku zachodnio-południowym z pomiędzy północy i wschodu ciągną się te góry i zalegają środkową wzniosłość półwyspu, którą na północ i wschód Iberyjskie pasmo otacza. Karpetano-wettoński łańcuch dzieli Starą od Nowej Kastylii, biegnie granicą Estremadury i Leonu, a dosięgnąwszy Portugalii, prowincję jej Beirę zalega, i w portugalskiej Estremadurze, powyżej ujścia Tajo, nad Atlantykiem się zatrzymuje. W środkowej części po nad obłoki wznosi swoje szczyty śniegiem wiecznym pokryte, i tu Sierra Gredos nosi nazwisko. Zwracając się ku zachodowi, nim sięgnie portugalskiej granicy, Sierra Gata przybiera imię, wreszcie w Beirze, Sierra Estrella się zowie. W prawo od środkowego pasma ku wschodowi spłaszczone grzbiety kończą się sterczącymi skałami Samosierry i Guadaramy. Z bram Madrytu widać ten łańcuch gór, jakby ciemny pas okrążający horyzont od strony północnej. Ztąd w zimie szalone wichry biją na stolicę; w lato skwarny sirocco, afrykańskiej puszczy płód, odbija się o te głązy, i duszącym żarem trapi mieszkańców stołecznego grodu.

4. Luzytańskie góry dźwigają się w południowej stronie Toledu i tam od tegoż miasta biorą nazwę, dalej ku zachodowi Sierra Guadalupe się zowią. W Portugalii zniżają się znacznie i na różne strony ku południowi rozprzechają.

5. Maryańskie pasmo (Montes Mariani) oddziela dwóch znacznych rzek łożyska: Gwadyany i Gwadalkwiwiru, które, tak rozłączone, prawie równoległe od siebie płyną, najprzód w zachodnim kierunku, później załamują się i prosto ku południowi zwracając, do oceanu wpadają. Obiedwie rzeki ze ścieków Maryańskiego pasma znaczny zasilek zyskują. Gwadalkwiwir (Wadal'kibir, wielka rzeka po arabsku), za Rzymian Batis zwana, od Korduby dla mniejszych łodzi dogodna, od Sewilli dla mniejszych statków przystępna, płynie środkiem żyznych, pyszną roślinnością strojnych nizin. Dwanaście tysięcy mnogim ludem osiadłych wiosek liczyli tu Arabowie za rządów swoich Kalifów, dziś ledwie ośmiuset dorachować można, i to dalekich od zamożności dawnych mieszkańców, o jakiej niezaprzeczone świadczą dzieje.

Maryańskie góry nie mają owych w obłoki strzelających szczytów, skał stromych, mimo to nie są niższe od

innych pasm; dlatego tylko nie przedstawiają uderzającego widoku, że się zwolna wznoszą z górzystych płaszczyn kastylskiej prowincyi Manszy. W północnej części piętrzą się pod nazwą Sierra Alcaraz, ku południowi zaś posuwają się w mniej więcej łagodnych stokach i pochyłych płaszczynach. Tu góry i ich podnóża, ciemnym zarosłe lasem, Sierra Morena (czarne góry) się zowią. Dzika i pusta kraina; rzadko gdzie nędznego wieśniaka, częściej zbójcę lub przemytnika napotkasz. Tak smutny stan nie jest przecież z winy natury: gnuśność mieszkańców, obojętność władz, na pustynię skazała żyzną ziemię, licznymi strumieniami zwilżoną, przyjaznym roślinności powietrzem obwianą. Wiadomo, że w drugiej połowie ubiegłego stulecia szlachetny hrabia Olavides, wielkorządca Sewilli, zwał tu cudzoziemskich osadników, którzy znaczny przestwór tej puszcy w rozkoszne zamienili siedziby. Pola pokryły się bujnym zbożem, powstały ładne i wesołe wioski, wszędzie przebijała się zamożność i swoboda; nieszczęściem, rzucone podejrzenie różnowierstwa między osadnikami, Olavidesowi uutorowało drogę do więzień, inkwizycyji, a osady powoli niszczały.

Sierra Morena obfituje w kopalnie rozmaitego gatunku kruszców, lecz między temi pierwsze zajmują kopalnie żywego srebra w Almaden, w stronie południowo-zachodniej tego pasma, na północ Korduby. Co do obfitości kruszcu, jest to jedyna może kopalnia w całym świecie. Przy niewielkiej umiętności, a znacznym niedbalstwie, ogromne rząd ma dochody; cóż dopiero, gdyby umiętnego trudu przyłożono!

6. Betyckie pasmo, od starożytnego imienia rzeki Betis (Gwadalkwiwir) tak zwane, od wschodu na zachód ciągnąc się zalega Granadę aż do Malagi, przebiega południową Andaluzję, i w skałach Gibraltaru i Taryfy nad morzem staje. Na przeciwległym Afryki wybrzeżu pasmo Atlasu w tym samym kierunku dalej się ciągnie. Jednakowy skład obustronnych opok jawnie dowodzi afrykańskiej natury tego pasma i świadczy, że rewolucya ziemi, w epoce w dziejach niezapisanej, pasmo Atlasu przerwała i morzu Śródziemnemu drogę do Atlantyku otworzyła. Bez wątpienia jest toż samo straszne wstrząśnienie, o którym starożytni na głuchych podaniach oparci prawili; wstrząśnienie, które ca-

ły pas ziemi, od bram Kaspjskich począwszy, aż do nieznannej Atlantydwów ziemi, z gruntu rozburzyło. Wtedy Czarne morze przedarło się do Śródziemnego drogą Hellespontu, a nagły wód napływ w Śródziemnym rozwarł sobie wrota do Atlantyckiego morza; wtedy niejedna ziemia na dno morskie zagrzezła, a niejedna z głębi morza na jaw wystąpiła. Ślady tego wybitne są w niejednym miejscu w Hiszpanii, i oczywiście we Francyi wzdłuż pirenejskiego podgórze.

Niewielka jest Betyckiego pasma rozległość, ale nad obłoki dźwigające się potężne ich stropy, ogromem i okazałą postacią zdumiewają. Najwyższe szczyty wznoszą się w części pasma, pod nazwą Alpuharras i Sierra Nevada znanej. Choć w parnej strefie położone, przecież wiecznym śniegiem pokryte. Zachwycony groźnym tych olbrzymich skał widokiem wędrownik, jeżeli odważy się na ich grzbiecie wdrzeć, wtedy ruszywszy od podnóża, o które się fale morskie roztrącają, nim wierzchołka dosięgnie, w jednym dniu może ujrzeć roślinność wszystkich klimatów, od zwrotnikowych pysznych krzewów począwszy, aż do mchów śnieżnej północy. Szczyt Malhacenu, równie jak Pic na Teneryfie, 11000 stóp się wznosi, Picacho de Veleta ledwie o parę-set stóp niższy, obadwa zaś o wiele przechodzą najwyższe Pireneów wierzchołki. Jeżeli kogoś ciekawość na ich najwyższy punkt uniesie, jakież czarujący widok otworzy się oczom jego! Tuż u stóp skupione masy skał nagich, w iskrzące się bryły lodu i odwiecznych śniegów stopy na grzbieciech gór zwalone, poroztrącanych opok urwiska; dalej nieco pyszniejsza roślinność, czarowna mieszanina niziny, pagórków, gór i równin; w odległości z jednej strony wzrok tamuje łańcuch ponurzej Moreny, z drugiej widok na morze Śródziemne, jego zachwycające wybrzeża, malownicze zatoki i nad brzegiem morskim osiadłe cypel. Gdy się zwróci ku ścieśniającemu powierzchni morza przesmykowi Gibraltaru, sięgnie po za fale, trafi na równie wdzięczne, w długim przestworze widoczne Afryki brzegi, póki w ciemnym błękitcie słabnący wzrok nie utonie.

Od Sierra Nevada pasmo Betyckie ciągnie się dalej ku wschodowi i królestwa Murcyi dosięga, różne przybierając nazwiska, jak Sierra de Filaberes, Sierra de Cabrera; skłaniają się zaś ku zachodowi Sierra Tejada, Alhama, Torqual;



początem zwracając się ku południowi w pasmie Sierra de Ronda, sięgają ku Kadyksowi. Na najwyższym punkcie gór Ronda stoi klasztor pustelniczy, którego nazwa: *nostra Sennora de la nieve*, bliskość strefy śnieżnej wskazuje. Po między pasmem Ubrique, góra San Christoval pyszne wznosi czoło. Odtąd zwolna zniżają się góry, w miarę jak się do morza zbliżają, i wreszcie zmieniają się w żyzne pochyłości i pagórki, na których wiją się bujne szczepy znanych win Xeres, Bornas i Bajoreta. Nad samym brzegiem atlantyckie rozległe rozciągają się równiny.

7. Pasma Kunejskie, od przyłądka Cuneus u starożytnych tak zwane, teraz S. Wincentego, mogłoby się za przedłużenie gór Maryańskich uważać, gdyby go pierwotna formacja nie odróżniała. Do składowych części Maryańskiego pasma należy łupek, Kunejskiego zaś piaskowiec. W tamtym, prócz wzmiankowanych wyżej kopalń żywego srebra w Amaden, nie mało jest kruszców rozmaitych; w tym zaś widoczne ślady wulkanicznych rozburzeń, szereg wygasłych kraterów, które świeżym jeszcze pozorem przerażają. Nie długie to pasmo, od wschodu na zachód ciągnąc się, małe królestwo Algarbii od prowincyi Alemtejo oddziela. Kraina tym górą przyległa nie ma wcale postaci europejskiej ziemi, zakrawa raczej na klimat Madery lub wysp Azorskich.

Taką postać ziemi hiszpańskiej mając przed oczyma, gdy od zachodniego podgórze Karpetano-wettonskiego pasma, nieco ku północy od ujścia Taju, grzbietem tychże gór prostą poprowadzimy linię, przecinając Iberyjski łańcuch aż do punktu Pirenców, między źródłami francuzkiej rzeki Arriège i hiszpańskiej Segre, linia takowa rozdzieli nam Hiszpanię na dwie, co do wielkości mało się różniące części, co do klimatu zupełnie sobie przeciwne. Część północno-zachodnią, europejską; część zaś południowo-wschodnią, afrykańską nazwaćby można. W pierwszej umiarkowany klimat, jak w środkowej Europie; należy do niej kantabryjskie podgórze i większa część iberyjskiej spadzistości, nadewszystko Basków dziedziny, Asturya, Galicya i cała prawie Nawarra. Wszystkie tu płody ziemi też same co w środkowej Europie: zboża, owoce, mniej więcej kwaskowatej natury wina; po lasach też same drzew gatunki; a jeżeli gdzie niegdzie znajdują się owoce południowej strefy, jak-

kolwiek nędzne, jestto dobrodziejstwo szczególniej błogięgo położenia, lub wypadek troskliwych zabiegów. Jeszcze się tu gdzie-niegdzie kryje niedźwiedź, mroźnej strefy mieszkanie; często przenikającym chłodem powieje wiatr z północy, a galicyjski Galego nieraz mroźnym poddmuchem delikatniejszą zwarzy roślinę.

W części południowej afrykańskie powietrze, klimat między-zwrotnikowych krain. Tu ziemia wydaje oliwę, kosztowne wina słodkie, złote owoce południowej strefy, i to nawet w stanie dzikim, bez przyłożenia ręki ludzkiej. Tu się udaje trzcina cukrowa, dojrzewa bawełna i ryż hojne nastrocza zbiory. Koleczysty aloes żywym płótem wiejskie rozgranicza siedziby, różne kaktusów gatunki pokrywają ziemię, a nieuprawne odłogi wonnych pełne roślin, z powiewem wiatru opodal miły rozsyłają zapach. Już tu nie ujrysz asturyjskiego niedźwiedzia, ale natomiast często nastroczy się ostrowidz, mały nawet swym wrzaskiem napełniały niegdyś gór beteckich załośla, i do dziś jeszcze około Gibraltaru między skałami rokoszne wyprawiają skoki. Znajdą się i płazy afrykańskie, a nawet na najmniejsze zimno tkliwy kameleon czepia się po krzewach téj okolicy. Parne powietrze nieznośne jest dla północnego wędrowca, a cóż dopiero, gdy afrykański *solano* duszącym zionie żarem, tego już i krajowcy bez jusczerbku znieść nie potrafią.

To wszakże, co pod względem klimatu za ogólne podaliśmy prawidło, ogólnym także ulega wyjątkom. Wybrzeża morskie umiarkowańsze, choć wilgotniejsze mają powietrze, grunta żyzniejsze, lepiej uprawne i przemysłniejszym osiadłe ludem; a wybrzeża półwyspu nie małą przestrzeń, bo przeszło czterysta mil zajmują. W głębi półwyspu inne jest powietrze na spłaszczonych gór grzbiecach, na płaszczyznach wysoko nad poziom morza wzniesionych; inne w dolinach, wąwozach i nizinach po nad łożyskami rzek ciągnących się. Nadto, przy każdym niemal pasmie gór mieszkańcy spadzistości północnej chłodniejszym oddychają powietrzem, na spadzistości południowej odbite od skał promienia słońca upał zwiększają. Tym sposobem w niewielkich nawet odległościach wielkich zmian powietrza doświadczać przychodzi.

Tak rozmaite położenia ziemi, taka różnica klimatu, nie mało wpływa bez wątpienia na charakter mieszkańców; lecz koleje losów, jakie kraj od niepamiętnych czasów przechodził, wybitniejsze bez porównania zostawiły ślady na umysłowym usposobieniu ludów półwyspu. Od czasu jak pewniejsze dziejów podania pomrokę wieków rozjaśniać zaczęły, ziemia hiszpańska ciągle była widownią krwawych zapasów z nowemi coraz napastnikami. Najprzód Kartagińczy, dalej Rzymianie, w późniejszych wiekach germańskie plemiona, wreszcie ogorzałych Maurów synowie, z kolei na harc występowali, by odzierżyć błogą krainę. Cóżto za mieszanina ludów i charakterów! Przebiegły Kartaginiec, za zyskownym frymarkiem biegnący; dumny podbojem świata Rzymianin, znękanych ludów srogi zdzierca; Wandal, wróg sztuki i oświaty; zabobonny Westgota; ognisty w boju, zmysłowych roskoszy w spokojności zwolennik, afrykański Moslemin: wszyscy krwią swoją napoili ziemię hiszpańską, krew swoją po wszystkich zakątkach roznieśli. Lecz siedmiowieczna mordercza walka; pod godłem Zbawiciela świata, przeciw chorągwi proroka toczona, może najsilniejsze i najtrwalsze piętno na charakterze mieszkańców wytoczyła.

Albo napastowany raz poraz przez saraceńskie zastępy, co na gruncie chrześcijańskiej oświaty panowanie błędu utwierdzić siły się; albo wstępny bojem łamiąc szyki natarczywych przybyszów: zawsze Hiszpan stać musiał na czatach, w ścieśnionych hufcach otaczać swoich przywódców, baczyć na najmniejsze ich skiniecie. Pod westgockich królów władzą, starcie się krwawe arianizmu z prawem wyznaniem nadało religijnym Hiszpanów uczuciom ten hart niezłomny, który ich aż do srogości uwodził. W zapasach z islamizmem przedewszystkiem szło o wiarę: kapłani, przewodnicy ludu, godło zbawienia niosąc pośród hufców, do boju zachęcali, zwycięzców u stopni ołtarza korne zginali czoła, zgnębionym przez niewiernych pociechę i nadzieję w serca wlewali, do męczeńskiej korony budzili zapał. Tym sposobem wzrastał wpływ duchowieństwa, i wnet stał się przeważnym; tym sposobem rozkrzewiało się w sercach ludu przywiązanie do monarchów, przywódców boju.

Tak w kolei czasu rozwijały się dwa główne rysy charakteru Hiszpana: przedewszystkiem silnie wkorzenione uczucie religijne, i z niem niemal zlانة przywiązanie do tronu, tak dalece, iż nie ma ofiary, którójby nie poniósł za wiarę i króla. Kiedy w dzień uroczysty wstąpi w progi świątyni srebrem i złotem jaśniejącej, zdobnej przepychem sztuki; gdy przez różnobarwne szyby jaskrawy promień słońca, w świetnych kolorach tęczy odbity, od blasku drogich klejnotów uderzy wzrok jego: wtedy pada na kolana, zgina korne czoło przed ołtarzem Pana Zastępów, a skarby świątyni, cały jęj przepych odnosząc do niepojętej wielkości tego, na którego cześć widzi je tak hojnie zebrane, raduje się w sercu, że w tak wspaniałym przybytku pokorną modlitwą uczyć go może. Żadna myśl obca bogobojnego nie zmiesza uczucia, a gdy do nizkiej, a nawet po większej części biednej wróci zagrody, wesół do skromnej zasiada uczyty; ani żądza widzianych skarbów nie zakłóci pokoju duszy, ani go otaczająca do koła nędzą nie smuci: nie zapragnie lepszego bytu. Umiarkowany w jedzeniu i napojach, szczególną trzeźwością przed wszystkiemi może ludami Europy odznacza się, bo wśród wojennej pożogi przywykł na małym przestawać.

W latach ucisku, gdy zmienne boju koleje nieraz brzemieniem klęsk pognębiały naród, wtedy religia jedynie pokrzepiała umysły, orzeźwiała znękanych. W jęj wspaniałych obrzędach, majestatycznych processyach, bogobojne lud czerpał zadowolenie, przez nie obchodził swoje tryumfy: bo w najwyższym upojeniu radości, równie jak w smutku rozpaczy bliskim, do Boga wszystko odnosił Hiszpan, jego świętej woli złe i dobre prowadzenie przyznawał; i ztądto zapewnę mniej samobójstw w Hiszpanii niż w którymkolwiek innym kraju. Do tej wystawności religijnej tak nawykł mieszkaniiec półwyspu, iż z równemże uniesieniem spieszył na święte *auto da fe*, nie żeby rozkosz znajdował w jękach gorejącej na stosie ofiary, lecz okazałość smętna processyi przejmowała duszę jego; mniemał, iż uczucia bogobojne składa w ofierze przed tronem Przedwiecznego, poświęcając tym sposobem wrogów jego ołtarza, wrogów swojej wiary. Zwolna religijne obrzędy rozbudziły żądzę widowisk pompatycznych wszelkiego rodzaju, za któremi namiętnie ubiega się Hi-

szpan, a między któremi pierwsze miejsce wystawa walki byków zajmuje. Być może, iż to puścizna starożytnego cyrku Rzymian, a kto wie, czy lud w zuchwałym torreadorze nie uwielbia męstwa dawnych rycerzy, którzy godło półksiężycą kruszyli. Cyd, niezrównany wojownik, ze wszystkiemi marzeniami fantazyi tkwi w pamięci każdego Hiszpana.

Wśród ciągłego ścierania się w boju, wśród zaciętej walki o życie lub śmierć, wykształcił się zapewne uwielbiany powszechnie rozsądek ogółu mieszkańców półwyspu. »Zdumiewać się trzeba, mówi jeden z pisarzy francuzkich, nad zdrowym rozsądkiem, dowcipem i łatwością wyrażenia się hiszpańskiego wieśniaka, takiego nawet, który najmniejszego nie odebrał ukształcenia. Pod tym względem wyższy on jest niezrównanie od wieśniaka francuzkiego. Zakres jego wiadomości jest naturalnie bardzo szczupły, sfera wyobrażeń bardzo ścieśniona, lecz co zna i pojmuje, to zna i pojmuje dokładnie.« To nam lepiej nad wszystkie dziejopisów rozumowania wyjaśnić potrafi nie jeden w dziejach tego ludu wypadek, nie jedną pozorną sprzeczność w działaniach. To, co nieraz głupocie, nieoświeceni przypisywano, po bliższem rozpoznaniu okaże się wypadkiem rozsądku ludu, ze swojego stanowiska na rzeczy zapatrującego się.

Kiedy rozpaczny bojem znużony lud już ręce opuszczał, i niemal padał pod przeważnym ciosem Napoleońskiego oręża, wtedy oświeceni w narodzie mężowie, dla podniecenia na nowo zapału, ogłosili nową ustawę (1812. r.). Po wszystkich zakątkach półwyspu rozległ się okrzyk radości, nowe życie zdawało się poruszać waleczne hufce obrońców kraju: natarczywości ich uległy przeredzone szeregi nieprzyjacioł; tryumf ustawy wraz z niepodległością narodu zdawał się być ugruntowany. Tymczasem, jakież sprzeczne zjawisko! Ferdynand kruszy dzieło prawodawców kadyksskich, a lud z radością wita go okrzykiem: »Niech żyje król samowładny!« Ten sam lud odpycha ustawę i śmierć jej twórcom głosi. Miałoby to być lekceważenie własnych swobód? Bynajmniej. Jeżeli lud hiszpański walczył przeciw potędze Napoleona z tak bezprzykładnem poświęceniem, jeżeli pierwszy wstrząsnął kolosem pod Baylen tak silnie, że musiał runąć pod Lip-

skiem: do téj walki nie inna myśl zapalała lud, tylko myśl utrzymania swobód, które orężem obcych zagrożone być mniemał; lecz swobód, jakie ze swojego stanowiska pojmował, nie jakie mu narzucało prawodawców zgromadzenie: tych bowiem już nie rozumiał i nie upatrywał w nich tego, coby go z bliska obchodziło, owszem wszystko w nióm złowrogim mu się wydawało. Przez długie lata odwykł od zgietkowych zgromadzeń prawodawczych, znał tylko władzę monarchy i powagę kościoła, a co ważniejsza, że na téj zmianie nie nie stracił. Tym sposobem w ograniczeniu władzy monarchy przez nową ustawę, ograniczenie własnych swobód uważał; a targnięcie się na duchowieństwo i jego niezawisłość, obaleniem wiary w oczach jego zagrażało, wiary, pod której tarczą żył tak swobodnie.

Górujący w nowéj ustawie pierwiastek gmino-władny, żadną dla ludu nie był ponętną nowością. Między szlachcicem hiszpańskim a człowiekiem z gminu majątek jedyną stanowi różnicę, innéj nie dostrzeżesz. Wieśniak, rzemieślnik, tragarz, w obejściu się ze szlachcicem zupełną zachowują swobodę. Niech raz tylko otworzą im drzwi domu, odtąd wchodzą doń śmiało, zasiadają i gawędzą ze szlacheckim jego właścicielem w tonie zupełnéj poufałości i równości. W trudnych okolicznościach, w jakich się od trzech wieków raz poraz znajdowała korona, gmin nie miał jéj czém podźwignąć, duchowieństwa nie odważono się uciskać, uciekano się więc do mienia szlachty. Przeglądano nadania dawniejszych monarchów, a najmniejsze w nich dostrzegłszy uchybienie, co nie trudno było, niszczone natychmiast akta, a majątek pod tytułem sprawiedliwego zwrotu pomnażał zasoby korony. Za wstąpieniem na tron Burbonów, znaczenie polityczne szlachty znikło zupełnie. Szlachta była przeciwna testamentowi Karola II., a silne jéj wystąpienie o mało co nie zniweczyło tego aktu; kiedy więc wpływ księcia Harcourt, zabiegi kardynała Portocarrero utwierdziły koronę na głowie wnuka Ludwika XIV., wtedy całe brzemie zemsty Filipa V. spadło na szlachtę. Zgasły wielkie Hiszpanii imiona, ustępując miejsca cudzoziemcom Alberonim, Riperdom, Grimaldim, lub świeżo uszlachconym Ensenadom, Arandom.

Szlachta, utraciwszy wpływ do spraw publicznych, z wolna utraciła nawet zdolność do nich, a spadając ze stopnia na stopień, skończyła na zupełnej głupocie. Rozwiążność, lub przynajmniej czeze rozrywki, stały się jej zatrudnieniem codzienném. Wkrótce zagrzeżała w długi, bo dobra przy złém gospodarstwie nie starczyły na wydatki źle wyrachowane. A tak zacierała się ostatnia różnica między szlachtą a ludem, to jest różnica majątku.

Myliłby się wszakże, ktoby zapatrując się na ten wyjątkowy rys charakteru szlachty hiszpańskiej, mniemał ją być wolną od przesądów. Wyjąwszy Basków krainę, w której połowę przeszło ludności stanowi szlachta (*hidalgos*), w reszcie półwyspu stan ten co do liczby nie wiele czyni wrażenia. Grandów mało co więcej nad sto rodzin liczą, dwa razy tyle ma być tytułów (*titulos de Castilla*), margrabiów, hrabiów, vice-hrabiów i t. p., więcej daleko jest rycerzy i pospolitej szlachty (*caballeros i escuderos*). Lubo dyplomata po wypędzeniu Maurów dopiero się pojawiły, przecież szlachta północnych prowincyj mało waży, a poniekąd wcale nie uznaje szlachty z południowych stron, uważając krew ich zmieszana z krwią Maurów lub Izraelitów; co dziwniejsza, że nie jeden z niższej i wcale ubogiej szlachty wyżej się ceni, i więcej u ogółu ma poważania, od niejednego tytułada w wysokim znaczeniu będącego, dlatego jedynie, że ród swój starożytniejszym być mieni. Genealogicznej gałęzi trzymając się szlachcic hiszpański, z pogardą patrzy na kupca i fabrykanta, honor ich wątlejszym od dziewiczego w swoim przysłowiu głosi; a gdy nierozwaga lub przygody do nędzy go przywiodą, służalea obowiązek przyjmie, skarbami przemysłu wzgardzi, bo tradycyjna zasada opiewa, że w służbie szlachectwo drzymie, w handlu i rękodzielnach umiera.

Taki jest ogólny rys charakteru mieszkańców półwyspu pirenejskiego; nie wszędzie atoli w téj samej przedstawia się on barwie, i śmiało rzec można, iż w każdym zmienném położeniu ziemi hiszpańskiej w odmiennój objawia się postaci.

Na stoku kantabryjskiego pasma gór, wzdłuż brzegów Atlantyku, który tu pochylając się -ku sobie hiszpańską z francuzką ziemię w obszerną obejmuje zatokę, mieszkają rzeźwe Basków ludy, starożytnych Kantabrow nieodrodne

potomki. Z bielszej cery i dobrego wzrostu znać zaraz odmiennie plemię, szczep północnych Celtów bez wątpienia. Zachowali dawną przodków mowę, dla Kastyljana niezrozumiałą, lecz wielce podobną do tej, której się echo jeszcze rozlega wśród skał Walii angielskiej, między górami Szkocyi; bo nawet irlandzkie narzecze i mowa bretońskiego gminu wę Francyi z tego samego źródła podobno wypływają. *Lengua Vascongada et bascuenze*, zowią Hiszpanie; Francuzi językiem Basków mowę tych okolic mienia. Cywilizacya ledwie tu jedną stopą się wdarta, ani jej korzyści, ani wady nie zagnieżdziły się między tym poczciwym ludem. Biskajczyk nie cierpi płaszcza hiszpańskiego, boby mu wolny ruch tamował; w krótkim otwartym kaftanie śmiało wdziera się na skały, ognistym wzrokiem mierzy przepaści, znaną ścieżką zabiega drogę nieprzyjacielowi, w miejscu najmniej spodziewaném napada z przodu, szarpie z boków i z tyłu, przed przemocą w szczelinach skał niedostępnych się kryje, lub na szczycie stromiej opoki z gniewu wroga się naigrawa. Ileżto krwi kosztowało Rzymian, ile lat ciężkiego i morderczego boju, nim jako tako uśmierzyli Kantabrow, niewprawnych do jarzma, jak opiewa Horacyusz. Najdzielniejsi Maurów wodzowie napróżno się kusili, by chorągiew proroka na górach Basków zatknąć: noga ich tam nie postąpiła. Owszem, skruszonego gockich królów berła odłamek oni pochwycili, jako świętą przechowali relikwię, i do wydarcia reszty z rąk Saracenów drogę wskazali. Lud śmiały i bitny, jak pospolicie górale, lecz przytém wesoły i uprzejmy, dla biednych, jak wszyscy Hiszpanie, religijnie miłosierny. Kobiety biskajskie co do siły i wytrwałości nie ustępują mężom tego rodu. Znajdziesz je przy przewozach przez rzeki i strumienie, i zdziwisz się, patrząc, jak dźwigają paki, ładują ciężary, śmiało kierują łodzią i wiosłem silnie biją wodę. Inne najcięższe roboty około uprawy gruntów odbywają. A gdy słońce zapada, dzienna kończy się praca, wtedy biorą się za ręce i przw odgłosie tamboryna i gitary w wesołych płasach wieczór spędzają. Biskajczyk z ochotą siada do stołu nie skąpo zastawionego; on jeden od trzeźwości ludu hiszpańskiego stanowi wyjątek. Biskaja, Alawa i Gwipuskoa, składają rodzinę Basków; Asturyjczyk, jeżeli nie więcej, tedy przynajmniej



przyrodnim jest Biskajczyka bratem, tak dalece do niego we wszystkiem podobny. Kiedy Biskajczycy, dla formy przynajmniej, przystąpili do związku aragońsko-kastylijskiej monarchii, zawarowawszy sobie odrębne przywileje, Asturyjczyk pozornie nawet obcym poddanym zostać wzdrygał się, póki nie pochlebiono dumie jego, następcę tronu kastylijskiego do godności asturyjskiego księcia podnosząc.

Na zachodnio-północnym krańcu półwyspu, gdzie asturyjskie góry w różne strony rozpieczęchają się, zniżają, i nad brzegiem Atlantyku płaszcą, posępny i pracowity Galicyanin płoną, niewdzięczną uprawia ziemię. Nędza charakteru jego nie złamała: jak silny stawił opór wdzierającej się potędze Rzymian, tak również Saraceni znaleźli w nim nieprzebytą zaporę.

Pierwsze tu fundamenta potęgi swojej rzucili królowie Leonu, zład dalej ku południowi do Estremadury i ku wschodowi do Stariej Kastylii rozszerzali władzę swoją. Już tu w pewnej części kraju szczep Celtów z Iberyjskim zmieszany, lecz waleczność kantabryjskiej nie ustępuje. Galicyanin, dumny podaniem, że pierwszy na półwyspie światło wiary ujrzał, w murach stolicy swojej (Sant Jago de Compostella) przechowuje drogie szczątki Śgo Jakóba. Sam mało mając, chętnie zasila ubogich pielgrzymów tém, co sam od bogatszych uzyska. Lecz od r. 1760. traci zwołana te korzyści, Karol III. opiekę królestwa N. Pannie poruczył, a pielgrzymki odtąd zwróciły się do kościołów Boga-Rodzicy poświęconych.

Doliny i wąwozy Nawarry przesiąkły krwią ścierających się przez długie lata galijskich hufców z krajowców zastępami. Rozrzucone po kraju zbielełe kości wskazują ślady bojowisk, na których śmierć całe pokolenia zmiatała. Tu na dolinie Roncesvalles, pod ciosem nawarskiego miecza, legł wielki Roland z gronem rycerzy, którzy potężnego cesarza Franków nieodstępniemi byli towarzyszymi. Silny jest i nieustraszony góral nawarski, w niczem nie ustępuje Baskom, z któremi do jednegoż rodu należy. I on nienawidzi hiszpańskiej kapy, boby mu przeszkadzała w śmiałych skokach, gdy mu wąwozy i parowy przesadzać przychodzi, w czém nad innych górali celuje. Po śnieżnych gór grzbietach bez chwiania się kroczy, bo *abar-*

*ka* (a) nogę jego od zimna zabezpiecza, potrzebnej nie odejmując lekkości.

Prosty w ubiorze, skromny w jedzeniu i napojach Aragończyk, wśród najdzikszego pasma Pireneów wzrosły, przyswoił sobie dziką waleczność i wytrwałość górali północnej strefy półwyspu. Równie jak Nawarczyk gardzi zbytkiem, od najprostszych nawet wygod stroni. Hiszpanie zaciętszym go głoszą od kantabryjskich potomków; w malowniczym sposobie wyrażania swoich myśli przedstawiają Biskajczyka, jak głową własną wbija gwóźdź w ścianę; to opór niemały! Aragończyk gwóźdź łebkiem przykłada do muru i czołem w ostry koniec godząc, wbić go weń usiłuje; to opór większy! Nie dziwnego, że takimi przymiotami obdarzony, szeroko swoje panowanie rozciągnął i długo z kastylskimi sąsiadami o jedynowładztwo półwyspu krwawe zwodził boje, póki przebiegły i szczęśliwy monarcha, przez zaślubienie kastyljskiej królowej, dwóch spółzawodniczych nie zjednoczył ludów.—Ależ ta waleczność, ta wytrwałość w przedsięwzięciach, nie samym góralom aragońskim wrodzona: mieszkańcy płaszczyzn na spadzistości pirenejskiego i iberyjskiego pasma, i ci, co na nizinach Ebru roztoczyli swoje siedliska, nie dają się pod tym względem wyprzedzić góralom. Gdy staniesz wśród murów Saragossy, nie tyle uderzą cię wielkie wspomnienia, świetne gmachy miasta, ile sami mieszkańcy. Rzućwszy okiem na te poważne, olbrzymie postacie, szerokim, ciemno-brunatnym płaszczem osłonię, z ognistym afrykańskim wzrokiem, gęstą czarną brodą, zdaje się, żeśmy czarodziejską siłą nagle na wschód przerzuceni. To pierwsze wejrzenie od razu wyjaśnia, jakim sposobem miasto bezbronne potrafiło wytrzymać dwa oblężenia, z których drugie sześćdziesiąt dni trwało, choć najbieglejsi Napoleonscy wodzowie najbitniejsze polskie i francuzkie hufce do szturmów prowadzili. Podobnej zaciętości przykłady dzieje tylko Hiszpanii w obronie Saguntu i Numancyi przedstawiają.

a) Abarca, obuwie podobne do tego, jakiego u nas mieszkańcy niegdyś puszczy Ostrolęckiej używali, a które u nas kurpiami zwano.

Gdzie Śródziemnego morza fale, o brzegi południowe Francyi odbite, ku wschodniemu wybrzeżu Hiszpanii zwracają się, myjąc stopy Pireneów na różne odnogi rozpięchłych, tam rozciągnięte leży księstwo Katalońskie, zamężne handlem, bogate pracą i przemysłem swoich mieszkańców. Nie byłoby pierwsze na ziemi hiszpańskiej Iberów siedlisko? pyta się nie jeden dziejopis; lecz nie ma nikogo, ktoby mu z pewnością odpowiedział. Ale bo też ciekawi wiedzieć, co byli za jedni ci Iberowie? nie w dziejach zaspokajającego nie znajdują. To niby zdaje się niewątpliwa, że Katalonia i wcześniej bardzo zyskała mieszkańców, i od dawna otwarta była dla różnych przybyszów. Na ośm wieków przed naszą erą usadowiła się tu Greków rodyjskich rodzina; dotąd stoi miasto Rosas, ślad niejaki ich nazwiska zachowujące, tak jak Ampurias mało zmienionem jest imieniem innych Greków osady, Emporion (Targowica) przez nich nazwanej. To nam wskazuje, że Katalończycy przez handlowe stosunki i ścieranie się z obcymi przybyszami, musieli przyjąć rysy ludów, z którymi obcowali. Żywość i przemysł Greków, ich skrzętność z odwagą i stałością Iberów zmieszana, usposobiła Katalończyków do wszelkich przedsięwzięć, jakich nieraz okazali dowody, a osobliwie w nowszych czasach w wojnie Napoleońskiej. Pracowity i przebiegły Katalończyk stał się niemal najzamożniejszym mieszkańcem półwyspu. Stały w przywiązaniu, zacięty w nienawiści, nie zna ofiary, którejby dla zaspokojenia tych dwóch popędów nie poniósł, i w tém jest prawdziwym Hiszpanem. W pobożności także nie ustępuje innym mieszkańcom półwyspu. W pieśniach trubadurów katalońskich ostatnie technienie Rolanda po całym rozległo się półwyspie, echo jego nawet po za Pirenee sięgało, mieszając się z głosem prowancskich śpiewaków. Długo energiczne Katalonów narzecze szło w zawody z poważną Kastyllanów mową, póki wyższość władzy pierwszeństwa wyrazowi nie zapewniła.

Poważny i milezący Kastyllanin, połę czarnej lub ciemno-brunatnej kapy na ramię zarzuciwszy, z pod wysokiego kapelusza ognistém dumnie strzela okiem. Jeszcze do dziś nie zapomniął, że herb jego zajaśniał na szczycie Alhambry po siedmio-wiecznej walce z potęgą maurytańskich najezdników; nie zapomniął, że oręż jego zwycięzki roz-

nosił pogrom po różnych stronach Europy, że chorągiew jego we wszystkich częściach świata powiewała. Zład dumne czoło wznosi, gardząc wszystkiem, co nie jest hiszpańskie, a nawet co nie jest kastylskie. Ależ czasy sławy i potęgi minęły; Kastyllanin nie myśli o podbojach; na odgłos dzwonu zrywa się, i spieszy na obrzęd kościelny, na uroczystą processyę. To jego wszelkie uczucia oparowało, w tém jego jedyne zadowolenie. Uniesiony myślą ku niebu, nie troszczy się o ziemskie dobra. Przebywszy bujnym plonem okryte katalońskie niwy, jakżeż smutna postać kastylskiej ziemi uderzy oczy cudzoziemskiego wędrowca! Najżyźniejszej ziemi obszary leżą odłogiem: wśród całodziennej podróży, żarem słońca spieczony, nie znajdziesz krzewu, którego cię jakiegokolwiek nastroczył ci orzeźwienie; znikły złotych pomarańczy gaje, a nikt o zasadzeniu nowych nie pomyśli. »Któż widział jutro!« powtarza ozieble Kastyllanin i nie imie się pracy, której owocu, jak mu się zdaje, nie doczeka. Myliłby się, ktoby tę obojętność próżniactwa lub niedołęztwa fizycznego skutkiem być sądził, nie, religijna rezygnacya, niepojęta wstrzeźliwość w jadłach i napoju, łatwość zaspokojenia ograniczonych potrzeb przy najmniejszej pracy, oto są powody, dla których Kastyllanin nie rozwija wrodzonej sobie energii i czynności; a rząd, od Filipa II. począwszy, przyklaskiwał tej gnusności, i zamiast podżegać do pracy, nowe coraz przemysłowi kładł tamy. Między wady Kastyllan policzyć należy niepohamowaną zazdrość i ognistą żądzę zemsty, która się objawia w każdym razie obrażonej dumy, a szczególnież też w przygodach miłosnych. I na tych wszakże wadach wybija się ich religijny charakter, choć w sposobie dziwacznie przewrotnym. Gdy w sercu zemstą rozżarzonem Kastyllanin gotuje zamysły najczarniejszej zbrodni, wtedy biegnie do ołtarza, składa ofiarę, odprawia nowennę, gorące ku niebu śle modły, jak gdyby je wyzywał na potwierdzenie swych złośliwych zamachów i o pomyślnie ich spełnienie błagał.

Ubogi pasterz Estremadury mało znany mieszkańcom innych prowincyj, i nie dba o to, sam unika związków z sąsiadami. Ograniczone są jego potrzeby, a dzień i noc pod gołym przepędzając niebem, zahartował zdrowie swo-

je na wszelkie przygody. Skoro kraj do spólnej obrony da hasło, synowie Estremadury niezłomne tworzą zastępy.

Część południowa półwyspu w klimacie swoim i ziemi wybitne nosi piętno afrykańskie: mieszkańcy z samego wejrzenia wskazują, że plemiona parnej strefy długo między nimi gościły. Nie dochodzą wzrostu biskajskich górali, a cera ich ogorzalsza; lecz, mimo to, budowa ciała silna, włos czarny, wejrzenie ogniste. Czarny płaszcz, którym krępą obrzucają postać, z szerokimi skrzydłami kapelusza w różno-barwne pióra lub wstążki strojny, uroczy nadają widok mieszkańcowi południowej Hiszpanii. Takim jest Andaluzyjczyk, takim lud Walencji i Mureyi. Błogie krainy, nieprzeliczonego ludu kiedyś pełne, dziś znacznie opustoszałe, a przecież jeszcze zajmujący widok przedstawiające, szczególnież też Walencya, pyszny ogród Hiszpanii. Błogosławiona ziemia, równie przemyślnym i pracowitym ludem osiadła jak Katalonia, lecz pod przyjemniejszym niebem położona. Mgła i chmurami zasępione niebo do zjawisk tu należą, a szron jest osobliwością, którą nie każdemu w życiu widzieć się zdarzy. Równiny, wzgórza, niziny nadrzeczne najpyszniejsza pokrywa roślinność, gaje pomarańczowych i cytrynowych drzew miłą woń z powiewem wiatru unoszą, wysmukłe palmy miejsca rozrywek zdobią. Słynne tu jest wino Alicante, słynne po całej krainie szczepy winnej latorośli, na których grona do 14 funtów ważą. W takiej krainie czegoż nie dokáže pracowita i przemyślna ręka, której Walencji nie brakuje? Znana w całej Hiszpanii walencyjska Huerta, jak przemyślnym, jak zdumiewającym zaleca się nawodnieniem! Mimo to, Hiszpanie Walencyanina płochym mianują, szydę powtarzając przysłowie: że tam mężczyźni są kobietami, a kobiety niczem; a przecież Walencya nie mało liczy znakomitych mężów, którzy w sztukach i umiejętnościach ozdobą są Hiszpanii.

O ścianę tylko od Walencji jest Mureya, a jakże odmienny przedstawia widok! Lud próżniaczy, czas między zabawy i spoczynek dzieli. Dzieciuch Mureyjski, mówi Murillo, rzadko się odważy stracić z oczu wieżę parafialnego kościoła. Dlatego mało ich ujrzysz w wyższych zakładach naukowych, mniej jeszcze w wojsku, a do marynarki rzadko się który zabłąka.

Andaluzyjczyk, próżny i samochwalczy, prawdziwym jest Gaskończykiem Hiszpanii i za takiego powszechnie uchodzi. On pospolicie służy za wzór drammatykom do ról trefnisiów: andaluzyjski dandy (*majo*) na scenie madyckiej rozwesela publiczność. W Andaluzyi najpierw usadowili się Maurowie i najdłużej się w niej gnieździłi; dlatego trudno tu szukać cech pierwotnych Iberów, ani nawet późniejszych Rzymian, Wandalów, choć od nich prowincya nazwę swoją wywodzi (Wandaluzya), ani Gotów, którzy tych ostatnich wyparli: wszystkie te plemiona powikłane, krew wszystkich zmieszana, zawsze atoli ognisty, natarczywy, afrykański charakter przemaga. Nie ma zakąta w Hiszpanii, w którymbyś namiętnych taneczników nie spotkał; lecz w Andaluzyi o każdej godzinie usłyszysz trzask kastanietów w ulubionym fanango.

Mając ten główny rys położenia kraju i charakteru jego mieszkańców przed oczyma, śmiało możemy się puścić na obszar ogrodów Hesperyjskich (a). Już nas wyjaśnienia tego rodzaju przy szczegółowych wypadkach zatrzymywać nie będą. Nie uderzy nas podział półwyspu na różnorodne królestwa, ani dziwić będą właśnie różnobarwnych ludów.

Lecz z drugiej strony, aby wytlómaczyć ścisłość związku politycznego pomiędzy tak różnorodnemi żywiołami, dodamy do tego opisu zewnętrznej konfiguracyi i kraju kilka słów o charakterze języka i cywilizacyi ludów, wchodzących w skład dzisiejszego narodu hiszpańskiego.

**Język i literatura hiszpańska.**—Mowa hiszpańska córką jest łacińskiej, i więcej do niej podobną jak włoska i francuzka. Do obcych żywiołów, które na wykształcenie jej wpłynęły, należy nie tylko narzecze gotyckie, ale i arabskie, które podczas długiego panowania Arabów w południowej Hiszpanii rozpowszechniło się do tego stopnia pomiędzy chrześcianami, że nawet biblię przełożyć musiano na język arabski. Dzisiejszym językiem hiszpańskim

a) Opis ten zewnętrznej konfiguracyi wyjęty po większej części z bardzo znakomitej historyi Hiszpanii, przez T. Dziekońskiego, b. Dyr. Gimn—Autor „Wspomnień” nie znalazłszy nigdzie tak dokładnego opisu, użył słów swego dawnego, wielce zasłużonego Profesora.

jest właściwie narzecze kastylijskie, które się na cały kraj rozszerzyło. Tylko w Aragonii, Katalonii i części Walencyi lud jeszcze mówi po katalońsku;—narzecze to mniej daleko ma powinowactwa z kastylijskiem jak z prowansalskiem. W prowincjach nawarreńskich inném jeszcze, do żadnego europejskiego nie zbliżoném mówią narzeczem.

Charakterem hiszpańskiej mowy są: powaga, głębokość i wykwintność.

Hiszpańska literatura, zachowująca się przez czas bardzo długi wolną od wszelkiego wpływu obcego, nosi na sobie cechę pięknej swój narodowości; nie jest ona jednakże bardzo bogatą w porównaniu z literaturą innych narodów, i dopiero od lat kilkunastu zaczyna odzyskiwać z samowiedzą życia: godność swą i oryginalność. Literatury tej najświetniejszą i najbogatszą stroną jest poezya. Na wykształcenie tej poezyi arabska wywarła wpływ bardzo potężny, można nawet powiedzieć, że jęj nadała właściwą swą cechę. Arabowie w swych wierszach nie ścigali za rymem, tylko za równobrzmieniem samogłoski w końcówce. Hiszpanie do ballad i romansów, w ogóle do lirycznej poezyi, przyjęli ten wygodny sposób rymowania, nie gardzą jednakże rymem w innych utworach. Często jedna i ta sama samogłoska panuje w całej balladzie, i dlatego nazywają je męzkami, jeżeli samogłoski *o* i *u* przeważają, lub żeńskimi, kiedy *a* i *e* lub *i* daje brzmienie wyrazom.

Hiszpania jest ojczyzną rymowanego romansu, powstałego z zlania się arabskiego żywiołu w chrześcijański. Przygody wojenne i miłosne, długie walki Hiszpanów z Arabami są w niej opisane. Bajeczne czyny Karola Wgo i jego bohaterów, czyny i losy sławnego Cyda i ostatnie wojny Kastylii przeciw Grenadeńskim Maurom, tysiącom podobnych poezyj posłużyły za przedmiot. Najstarożytniejsze pomniki hiszpańskiej poezyi, na przykład: *«el poema del Cid»* i *«el poema del Alexandro»*, sięgając XII. wieku, należą do tego rodzaju rymotworstwa.

Poeci romantyczni XII. wieku, a po dziś dzień najulubieńsi w Hiszpanii, są: don Enrique de Villena, Inigo Lopez de Mendoza, Guzman i Enzina. Najsławniejszymi poetami XVI. wieku są: Juan Boscan, nauczyciel księcia Alby; Garcilaso de la Vega, Monte Mayor i Luiz de Leon. Ale w ich utworach już się daje czuć duch Dantego, Petrarcki i Bocca-

cia. Castillejo, sekretarz cesarza Maksymiliana, wzgardził wszelką obczyzną. Cervantes, wstawiony jako poeta swymi pieśniami, sonetami, a mianowicie swym poematem: *Viage al Parnasso* (podróż do Parnasu), należy już do periody przechodniej pomiędzy XVI. a XVII. stuleciem, w którym słynęli Gongora, bracia Argemola, a przed wszystkimi innymi Estevan de Villegas, nazwany *Anakreontem* hiszpańskim. Ośmnasty wiek spłodził dość późno kilku poetów sławą się cieszących, mianowicie: Huertę, Iriartę, Heredia, i Melendes Valdesa. Ostatni, który umarł dopiero w r. 1817., stał się twórcą nowej szkoły, połączywszy sztukę rymu starożytną z nowożytną. Do nowszej szkoły należą: Gonzales Carjoajal, którego tłumaczenie psalmów i innych poetycznych części Pisma Świętego należy do najznakomitszych płodów poezji hiszpańskiej; potem Arriaza, Ceroni, Hermenegildo de la Torre i inni. Hiszpania posiada także kilka znakomitych tłumaczeń obcej literatury. Estella przekład Aristofanesa i Sofokla, Hermosilli przekład Homera, Escoiquisa tłumaczenie Milтона, Romera tłumaczenie pór roku Thompsona.

Epopeja nie mogła się wykształcić w kraju, w którym romans i ballada najwięcej zyskiwały zwolenników. Jednakże *Araucana*, napisana przez Alonza de Ercilla (an. 1595.), i *Mexico conquistada*, przez Escoiquisa, dowodzą, że i w tym zawodzie Hiszpanie mogli dojść wysokiego stopnia. W powieści żartobliwej wygórowali po nad wszystkie inne narody i to od dawnych czasów. Cóż może się równać z *don Quiszotem*, lub nawet z *Amadisem de Gaula*, romansem z XIV. wieku! Dzieła, jak: *Lazarillo de Tormes* Mendozy, *Guzman* Tomasza Aleman, *Vida del gran Toccanó* Villegi, *el Diablo coxuelo* (kulawy djabełek) Duenni, utwory Jezuity Isla i Triguery, należą do pocztu tychże samych utworów.

O dramacie hiszpańskim nie wspominać. Każdy, jakkolwiek obeznany z literaturą, wie, że Hiszpanie twórcami byli dramatu, tragedyi i komedyi. Niezliczone ich jest mnóstwo wszelkich gdzieindziej nieznanymi rodzajów, np. *Comedias de capa y espada* (komedye płaszczowe i mieczowe), treści heroiczo-allegorycznej; *Autos sacramentales* (czyny sakramentowe), to jest: sztuki teatralne odgrywane się w kościołach i klasztorach; *Saynètes i Entremes-*



ses, małe sztuki miejscowego interesu czyli farsy, często-kroć improwizowane, odegrywające się pomiędzy jednym a drugim aktem poważnej jakiej tragedyi, dla wypoczęcia umysłu, *para reposar los espiritus*, jak się wyrażają. Sztuki te, podług zdania najpierwszych znawców, często więcej zawierają dowcipu, jak owe sławne wodewille francuzkie, obiegające świat cały na skrzydłach płochej mody.

Któż nie słyszał o cudnych utworach *Lopez de Vega*, *Calderona*, o »*Donnie Diany*« *Moretego*, i o przedziwnych sztukach dramatycznych księdza *Solis*, sławnego dziejopisarza zdobycia Meksyku!

Ale wyznać musimy, że razem z Burbonami i z wpływem francuzkim wtargnęły w XVIII. stuleciu do Hiszpanii mody francuzkie. Narodowa literatura uległa francuzkiej. Racine, Molière, Voltaire i Rousseau zaczęli władać w Hiszpanii, i posiadli umysły tego narodu. Zatraciła się oryginalność literatury do tego stopnia, że Hiszpan zwątpił o swym własnym talencie; tak jak w innych mniej jeszcze szczęśliwych krajach zwątpiono o talencie narodowców w hołdach oddawanych utworom panów: Balzaka, Eugeniusza Sue, Jerzego Sand, Aleksandra Dumas i Pawła de Kock. Nawet i ci panowie wtargnęli do ogrodów hesperyjskich i zaczęli burmistrzować na scenie w budoarach; i dopiero w widoku tego co się dzieje, z trwogi, żeby i gorsze jeszcze tą samą bramą nie weszło, obudziła się duma, ocknął się duch Hiszpanów. Zawiązały się liczne towarzystwa literackie, nie tak nazwane literacko-salonowe zbory, w których przydują i zasiadają ludzie nie mający żadnego prawa zwać się przyjaciółmi literatury i żadnej szczerzej chęci być niemi, lecz prawdziwe stowarzyszenia, mające na celu poprawę złego smaku, zawięzujące się dla dania protekeyi literatom.

Usamowolniono się, dzięki tym stowarzyszeniom, dzięki ofiarom i czynności, zpod ohydneho jarzma obcych wodewillistów i romansistów, osłabiających swemi utworami niby europejskimi wszelką rzeźwość umysłu czytających, niweczających wszelkie usiłowania narodowców do zawodu literackiego powołanych.

Towarzystwa zwane: *Ateneo*, *Liceo Instituto* i *Museo*, mające cele li tylko literackie, zawiązały się, że tak powiem, same z siebie, aby tamę położyć złemu, i tak silny wpływ wywarły swemi rozgałęzieniami, że w lat dziesięć najwię-

cój wskrzeszoną została w całym narodzie pamięć dawnych klasyków, że się ocknął z letargu smak lepszy, że obrzydły narodowi mające płody obcych surowizn. Wiara w swoje talenta wstąpiła w serce, literaci znaleźli znów pole dla swój czynności, człowiek talentu mógł żyć z swego pióra, tak jak ksiądz żyje z ołtarza, i stanąć pracą swą na stanowisku godnym poważania.

Moratin, Cieufuegos i Arriaza, żyjący jeszcze Nestorowie literatury hiszpańskiej, usiłujący już na końcu zeszłego wieku opierać się wpływowi francuzkiemu, stanęli przy schyłku życia na czele towarzystw literackich, mających na celu odrodzenie smaku w Hiszpanii. My, zdaleka sądzący o rzeczy, czerpiący wszystkie zasoby nowych myśli, razem z modami, tylko w jedném i tém samym źródle, nie posiadający, prócz »Przeglądu dwóch światów« Paryżkiego, żadnego innego organu zwiastującego nam ruch literacki objawiający się w innych krajach, nie przypuścimy ani na chwilę, ani też nie uwierzimy, żeby po za Paryżem znajdowały się jakieś silne ogniska życia intelektualnego, godnego poznania i uszanowania.

A tak jest przecież.

Drammaturgia hiszpańska wysoko stanęła, dzięki utworom księcia de Rivas, dzięki pismom ministra Martinez de la Rosa, don Euzebia Arquerrino, don Manuela Cannete, don Antonia Gid i don Euzebia Hartzenbusch (a), potomka niemieckiej rodziny. Najślawniejszym ze wszystkich w tym zawodzie pracujących jest don Tomasz Rodriguez Rubi. Swą wielką komedią pod tytułem: *La rueda de la fortuna*, zyskał sobie order Karola III., bardzo rzadko i tylko *istotnie* uczonym rozdawany. Jego *Bandera negra* i *La Corte de Carlos II.*, zaciemniają wszystkie płody nowój francuzkiej drammaturgii. Sztuki Autequerrina, Manuela Bre-

a) Drammatem, którym sobie Hartzenbusch wielką zjednał sławę, jest: *Los amantes de Terruel*, a najchlubniejszą jego komedią jest: *Las polvos de la madre Celestina*. Chwałą także bardzo hiszpańskie dzienniki drammat historyczny don Antonia Cid, pod tytułem: *Guzman el buceo*; Martinez de la Rosa *Edyp* klasyczną jest, wyborną tragedią, również i don Alvaro księcia de Rivas.

Najnowszym utworem tragicznym Hiszpanii jest: *Los dos Foscari*, autorem jego Cannele.

ton de los Herreros (a), don Romana de Navarrete, don Ventury de la Vega, sekretarza królowej Izabelli, sprowadzają codziennie tłumy do wszystkich teatrów hiszpańskich. A jest ich obecnie trzydzieści dziewięć, pomiędzy nimi kilka tak pysznych, jak drezdeński i bordoski. Hiszpanie wszystkich klass towarzystwa nadzwyczajnie lubią reprezentacje teatralne.

Nie braknie i bardzo wziętych powieścio-pisarzy w Hiszpanii. Romans don Wacława Ayguals de Izeo, pod tytułem: *Maria, o la ija de un jornalero* (Marya, czyli córka wyrobnika), tak jest pięknym, jak Eugeniusza Sue *Tajemnice Paryża*, z podobną dążnością, a jednakże zupełnie nie na wzór francuzki pisany. Romans don Antonia Flores, pod tytułem: *Doce Espannolles de brocha gorda* (Dwunastu Hiszpanów starój daty), i inny don Jana Ariza pod tytułem: *Los dos reyes*, powieści don Franciszka Villoslada i don Mariana de Larra, don Modesta Lafuente, tak są cenione w Hiszpanii, jak u nas płody pani Sand i pana Pawła Koka.

I literatura ściśle naukowa bardzo wiele zyskała w ostatnich czasach. Hiszpania od dawna świetniała swemi dziejopisarzami. Medoza (1575.), który opisał wojnę przeciw Maurom Grenadeńskim; Zurita (1580.), autor historyi Aragońskiej; Mariana (1623.), który wydał dobrą historię powszechną; Herrera (1625.), dziejopisarz wojny zachodnio-indyjskiej; Solis (1686.), historyograf zdobycia Meksyku, znaleźli w nowszych dziejopisarzach godnych siebie naśladowców. Do tych należy Llorente, który w r. 1838. wydał wyborną historię inkwizycyi, don Xavier Burgos, dawny minister, i pan Mellado, zawołany statystyk i jeograf.

W roku 1848. było w Madrycie akademij 8, towarzystw literackich 4, teatrów 7, drukarń 100, dzienników 52, samych codziennych przeszło 30,—i to wszystko w mieście liczącem zaledwie 180,000 mieszkańców!

Więcej, więcej daleko powiemy o naukach i sztukach hiszpańskich, kiedy będziemy sami w Madrycie. Teraz tylko tyle, ile koniecznie wypadało dla przekonania czytelnika.

a) Don Manuel Breton de los Herreros, nader jest płodnym poetą. Jego najlepsze sztuki są następujące: *Un tercero en discordia* (Trzeci w kłótni); *El: que diran? y la: quese esso da a mi!* (Pan: co o mnie powiedzą? i Pani: co mi z tego przyjdzie?) i t. d.

ków, że kraj Hiszpanów godnym jest zajmować nas i ściągać na się oczy przyjaciela nauk; że głos córek Apollina usłyszany był w wszystkich szczelinach górzystej i przepaździstej Iberyi, pomimo burz, wojen, rzezi i anarchii nią miotających. Cichy, skromny głos muzy znajdzie drogę do szlachetnego serca, żeby go nawet wycia harpij zagłuszyć usiłowały. Nie go przytłumić nie jest w stanie w powietrzu, przez które promienie światła bezkarnie przejść mogą.

---

## ROZDZIAŁ III.

GWADYANA.—STATEK KANONIERSKI.—KAPITAN.—STERNIK.—ZA-  
ŁOGA.—CELNICY.—ŻEGLUGA PAROWA.—ANGLICY.—ZASADZKA.—  
NAPAD.—AYAMONTE.—ALARM.—KONTRABANDZISTA ANGIELSKI.—  
POTYCZKA MORSKA.—ZWYCIĘZTWO.—KOMMENDANT PORTU.—  
POTOMEK MAURÓW.—HUSSAN PASZA.

---

Słońce zachodzi za góry Alemtejo i złoci ich modre szczyty; już nam z oczu zniknęły w wieczornym pomroku wieże Badajoz; góry Estremadury hiszpańskiej błyszczą zdaleka na widokregu północnym, oświetlone owém drżącym półświatłem, jakie mu śle Febus żegnając się z ziemią. Księżyc prawie tuż nad naszymi głowami: błądy i nieśmiały spogląda na nas, czeka niecierpliwie na znikające promienie słońca. Wówczas jego rozpocznie się panowanie, wówczas będzie się mógł przeglądać do woli w tych pięknych wodach Gwadyany, na których falach spieszymy ku południowi.

Jeszcze daleko ztąd do Ayamonte, tak daleko, jak z Torunia do Gdańska; ale wszystko nam sprzyja: wiatr dmie w żagle, woda pędzi i unosi nas z sobą; a zresztą, gdyby i wiatr ustał i strumień się ku nam zwrócił, dwadzieścia cztery wiosła wpadnie na jedno skinienie kapitana w nurty Gwadyany, i pchnie naszą łódź szybko ku celowi.

Gwadyana—piękna, już przez Maurów w licznych rycerskich balladach sławiona;—Gwadyana, rzeka, której samo nazwisko wskrzesza w pamięci długi szereg romantycznych obrazów; Gwadyana początek swój bierze u stóp Sierry Moreny w jeziorach Królewskimi zwanych. Płynie najprzód ku północy i zwraca się ku zachodowi w prowincyi zwaney Mancha; potem oddziela część Manchy od południa Nowej Kastylii, przekracza w tym kierunku

całą Estremadurę, nareszcie wzrosła wodami wielu rzek i strumieni, obmywa mury twierdzy Badajoz, zwraca się ku południowi, i pędzi jak strzała ku oceanowi Atlantyckiemu. W tym zaś kierunku odgranicza część Estremadury od prowincyi portugalskiej Alemtejo, przebiega wschodnią część téj prowincyi, nareszcie oddziela zachodnią Andaluzję od królestwa Algarwii.

Gwadyana staje się potężnym strumieniem dopiero pod Badajoz. Anglicy, gdyby posiadali Gwadyanę, umieliby z niej zrobić niewyczerpane źródło bogactw dla kraju, który ona oblewa; ale Portugalczycy i Hiszpanie jeszcze się nie nauczyli korzystać z darów boskich, lub téż, nie przyciśnięci jeszcze gwałtowną potrzebą, nie dbają o korzyści zdobyte wielkimi wysileniami.

Gwadyana nie ma charakteru jednostajnego. Raz, jak nasza Wisła, rozacza flegmatycznie swe wody, szeroko, szeroko po piaszczystej płaszczyźnie, a wierzby, nie tak piękne jak Wilanowskie, wyciągają swe gałęzie ku powierzchni, suwając się całą płaszczyzną jak niezmierne zwierciadło na miękkim, bieluteńkim łożu; drugi raz bieży potok wartki i rwący między górami, pokrytymi, jak brzegi cudnego Renu, wysokimi sosnami, winnicą i ruinami zameczysk; potem znów się rozlewa i znów się ścieśnia między sromemi skałami: huczą nurty, rwą i kipią spadające ze skały na skałę, rozlewają się na mnóstwo miłkich strumieni, jak niegdyś Clyda, nim jej potężna ręka Szkotów nie ujęła i zmusiła płynąć w rozstrzelone prochem głębokie łoże; nareszcie w jednym miejscu niknie prawie cała Gwadyana w podziemnych jaskiniach, tak jak Rodan; szczupły tylko pozostaje przesmyk, i ten jeszcze spada kaskadą. Tutaj wielkie trudy w przeprawie; sternik też nie ustępuje ani na chwilę od steru, w ściśniętej brwi skupia się pamięć, myśl czuwa na tém brunatnym, zornym czole! Wielka na nim ciąży odpowiedzialność, to łącno odkryć z wyrazu jego twarzy.

On nie stoi na pokładzie, tegoby dokazać nie mógł; obie ma nogi ustrzelone pod Talaweirą, jeszcze za czasów francuzkich wojen. To stary weteran, ale jędrny na umyśle, rad pełnić trudne swe obowiązki, zwłaszcza teraz, kiedy Hiszpania nawiedzona bratobójczą wojną, musiała powołać pod oręż wszystko, co go nosić może.

Kapitan siedzi obok na ławce. Ma lat już czterdzieści kilka, już lekki szron mu przyprószył głowę, ale co to za bystrość w tém wielkiem czarném oku! a w tej twarzy jaki wyraz szlachetnej smętności, a woli i życia zarazem! Jestto jeden z tych uprzywilejowanych ludzi, którym ani zmartwienie, ani ból, ani sam wiek, nie odbierają młodości. Dusza i życie klinem wbite w każdy atom ciała tego człowieka; żywość uczucia, pragnienie czynu, zdradza się w każdym jego słowie, w każdym geście i ruchu. Powiedziałbyś, że w swój osobie niewielkiej, chudej, prawie delikatnej, kupią się i tłoczą istności tysiąca ludzi. Twarz jego wyrazista, choć rysy dość drobne, czoło szerokie, choć dość niskie, usta cokolwiek szerokie, a zęby białe nieraz trzeszczą, gdy w namiętném uczuciu lub wspomnieniu przeszłości ścisną swe silne szczęki.

Ale i on także weteran; drewniane szcudło zastępuje mu nogę, którą mu ustrzelono pod Trocadero, w walce Francuzów przeciw liberalnym Hiszpanom. Kilka dekoracyj błyszczy na karmazynowych rabatach munduru marynarki hiszpańskiej; na kolanach trzyma gitarę, i często jego wprawne palce przebiegają struny dźwięcznego instrumentu; czasem głos jego zanuci kilka strof o kochance, o Cydzie i o Abenceragach.

Dziwna rzecz! i pomiędzy liczną załogą statku naszego spostrzegam wielu weteranów: ten kuleje, tamten plastrem przykrył wystrzelone oko, inny jeszcze zaledwie do człowieka podobny, tak ma twarz porozrywaną bliznami. Widać, że go proch musiał wysadzić w powietrze na minie jakiegóś, na reducie, lub też na okręcie. Ale co pozostało z ciała tych mężnych, to dobre i waleczne; każdy cal tych ludzi jest bohaterem. Patrz, jak spoglądają na pokład zawałony bronią.

Co to za statek z taką załogą chciwą boju, a inwalidom powierzony?

Nazywa się »la joven Isabel« (młoda Izabella).—Jestto rodzaj galery kanonierskiej, opatrzonej masztem i dwudziestu czterema wiosłami, rozdzielonemi na dwa piętra. W spodniem piętrze siedziało dwunastu galerników, zamkniętych w klatkach za przestępstwa kryminalne, a mianowicie za zbrojną kontrabandę. Na pokładzie dwunastu ludzi w mundurze marynarki, uzbrojnych w sztuce, pi-

stolety i pałaze, pełni służbę wiosłarzy w razie potrzeby; ośmiu innych przeznaczono do rozpinania żagli. Przytém było kilku kanonierów; dział jednakże nie było, tylko na przodzie stały dwie lawety bez rur, a na tyle okrętu jedna ogromna, także bez rury: same działa leżały w Ayamonte. Statek nasz, póki płynął na rzece, nie zniósłby ciężaru tak wielkiego, bez zanurzenia się zanadto głęboko w wodę, a łożo Gwadyany w niektórych miejscach dość jest płytkie. Dwie tylko dość długie trzy-funtowe armatki przytwierdzone były na żelaznych ruchomych podporach do galeryi tyłu okrętowego. Z nich można było strzelać bardzo celnie. Około masztu ustawiono kilkanaście gardłaczy (trabucos), z pół tuzina śmigownic i z trzydzieści karabinów i pistoletów; przytém innéj broni, pałaszy, pik, toporów mnóstwo leżało na pokładzie.

Cały statek długi przeszło stóp 40, szeroki na 14 w środku, nowy, świeżo z igły zdjęty, wybudowany był, z wielką, rzadką w tym kraju troskliwością, na warsztacie w Badajoz, pod przewodnictwem kapitańa Pedrillo, tegoż samego weterana, który w téj chwili śpiewa o królu Boabdilo, i z rokoszą spogląda na swe dzieło. Niższe piętro wiosła wystawało tylko na półtoréj stopy po nad powierzchnią wody, i tak było urządzone, że jego otwory, w razie fali lub głębokiej wody, można było zatkać grubemi, szczelnie zamykającemi okiennicami, przepuszczającemi zaledwie rękojeść wiosła w wydrążeniach w górze umieszczonych, a filcem wody nieprzepuszczającym opatrzonych.

Nasza galera była statkiem umyślnie wybudowanym dla użytku straży celnej, strzegącej ujścia Gwadyany. Pierwszy raz puszcza się do Ayamonte, zkąd wieści dochodzą, że Anglicy ciągle dowożą gerylasom portugalskim broni, hiszpańskim przemycarzom towarów zakazanych, bigotóm biblij i traktatów religijnych.

I ja tu jestem pomiędzy celnikami hiszpańskimi, i gotów ratować celników, i bronić ich w potrzebie! Czytelniku, nie pytaj dlaczego. Wszakże wiesz, że chmiel pnie się po tyeczce, bo mocniejsza, psy opadają żebraka, bo sła by i stary; ale człowiek rad zawsze bronić słabszego przeciw mocniejszemu, gdy posiada wiedzę swéj zacności, gdy w nim cierpienia nie przytarły uczucia, lecz owszem zaostrzyły wzrok serca.



Jestem tedy pomiędzy celnikami, już nawet noc jedną z nimi spędziłem, już się porozumieliśmy z kapitanem Pedrillo: od dnia wczorajszego spędziliśmy z sobą lat dwadzieścia, i w jedném uściśnieniu ręki obiecaliśmy pamiętać o sobie wiecznie.

Świeci nad nami słońce Andaluzyi, i z pałającego rydwanu strzela promieniami na wschód na błonia Estremadury, na zachód w tajemnicze doliny gór Monchique. Tu się pasą liczne stada owiec i chmary bawołów: jednych pilnują zadumani pastuszkowie, nucąc płaczące, monotonne pienia; drugich strzeże na dzielnym koniu silny Torrero z włócznią w ręku, z groźbą na opalonej, zziąbanej twarzy. Tam znów, ze strony portugalskiej, z za skały lub krzaku wzierają na nas oczy, jak ostrze pugałałów błyszczące. To nie sępy ani krogulce, to są czaty owych obywateli gór i dolin, których już znamy z Estrelli.

Dopływamy do miejsca, gdzie się zapadają w podziemną otchłań wody Gwadyany. Wiążą liny do statku, na skały wysadzają jego załogę, wypróżniają go z wszelkiego ciężaru. Trzydziestu ludzi napiętrzonych po urwiskach skały przyprzega się do końca lin, wstrzymuje prawie w powietrzu ciężką łódź i przenosi ją tuż na zwierciadle kaskady, tuż ponad kipiącą otchłań. Ha! przecież dzieło dokonane! Łódź w całości, lecz niemalą to zwycięstwo odniesione pracą. Spadek ten prawie tak wysoki, jak spadek Renu pod Szafuzą, tylko wązki bardzo. Kilka set kroków za kaskadą ziemia znów wyrzuca z swego łona część Gwadyany, którą była pochłonięta wyżej spadku. Pieni się, jak mydlane szumowiny, rozgrzany kryształ; zdaje się, że z kotła wulkanu wyrzucony.

—«I tu marzą o żegludze parowej na Gwadyanie!» rzece kapitan Pedrillo; «łatwiejby żółw przebył Sierre Morenę, lub skowronek zanucił piosnkę nad śnieżnymi szczytami Alpuharry, jak statek parowy skalał swym oddechem jasne niebo naszej Andaluzyi.»

—«Kapitanie, mylisz się. Dwadzieścia lat nie minie, a koła parostatku zakłóca te czyste fale Gwadyany,» odrzekłem.

—«*Jamas, mi Sennor! jamas!* Nigdy, mój panie, nigdy. Patrz, jak tam wre wulkan i strzeże świętości naszych wód i potoków. Patrz, jak się piętczą granity

i groźnie spoglądają w przepaść. Biada śmiałkowi, coby chciał wzruszyć te dzieła natury!« rzecze dalej kapitan.

—»A ja ci powiadam, że przyjdzie tu kiedyś Anglik, zapisany przez twe ministerjum, że wulkany wygna z ich siedzib minami podwodnemi, elektrycznością zapalonemi, że tu porobi śluzy i zapory, prochem wysadzi nierówne łoża, ostrzem roztoczy głazy, i że ci odda Gwadyanę tak grzeczną i równą jak kanał jaki.«

—»Dowiedź mi pan to rysunkiem, dowiedz mi, bo inaczej pomyślę, że żartujesz,« prosił kapitan.

I łatwym prostym rysunkiem przekonałem kapitana, że ten cud jest możliwym.

—»*Malediccion sobre la Inglaterra!* Prawda, ani słowa! Rzecz może być wykonaną wielkiem wysileniem pracy i pieniędzy. Nieznośni ci Anglicy! swemi czartowskimi sztukami zmuszają świat cały do współubiegania się z nimi; inaczej, wечно musielibyśmy płacić im haracz. I tak już każdą rzecz musimy nabywać od nich, nawet takie, których pierwszy materyał na naszej rodzi się ziemi. Sukna, bawełny, kapelusze, papier, proch i strzelby, wszystko nam przychodzi z Anglii; cała Hiszpania zalana jest jej towarami, pomimo celników i dobrych niby stosunków dyplomatycznych.«

—»A jednak macie piękne merynosy, wyroby żelazne toledańskie słyną od ośmiu wieków, strzelby z San Sebastian i z Wittoryi cieszą się bardzo dobrą sławą; Katalonia dostarcza wam bawełnianych wyrobów, papier wasz aloesowy wcale dobry, siarki macie tyle, że świat cały moglibyście nią zapalić.«

—»Panie doktorze! gotówem sam rozsadzić się z gniewu, gdy o tych rzeczach pomyślę. Patrz pan: nasza Hiszpania, pierworodna córka nieba, arcydzieło Boga, ojczyzna najszlachetniejszych ludzi świata, ogród hesperyjski złotemi jabłkami świecący: patrz pan, jak zubożała nasza ojczyzna! Wprzód nie wiedzieliśmy co z metalem robić: srebrem brukowaliśmy dziedzińce, złotem pokrywaliśmy dachy kościołów; a dziś?—dziś dlatego jesteśmy niewolnikami Anglii, że jej towary, choć daleko pośledniejsze od naszych, tańsze są przecież o cokolwiek. Anglicy weszli do nas jako przyjaciele. Pan wie, co zrobili z fabrykami naszymi! spustoszyli je i z ziemią zrównali wszędzie, gdzie

tylko mogli. W Madrycie spalili tak piękną fabrykę porcelany, dlatego, że niby kilkunastu Francuzów w niej się obwarowało. San Sebastian spustoszyli ze szczerem, oszczędzając załogę francuską, ale w pień wycinając całą ludność miasta, złożoną z fabrykantów i wyrobników. Tysiąc podobnych opowiedziałbym czynów. A dziś, co u nas robią Anglicy? podszczuwają w miastach portowych zamieszki i rewolucyjki, a w chwili, gdy się wojsko bije z ludem, wprowadzają towary. Tak robią w Santander, w Bilbao, a mianowicie w Maladze kilka razy do roku. Codziennie cała armia przemycarzy, gerylasów i malkontentów pracuje dla Anglii, broczy w krwi bratniej żeby lepiej smakowały bifsztyki. Panie! daj mi tu Anglika za wagę złota, żebym go mógł....

—»*Capitanito! capitanito! paciencia!* Kapitanie! kapitanu, uspokój się,« przerwał sternik Asbudera! siedzący bez nóg na pokładzie, i swą godnością, nigdy go nieopuszczającą, przytłumił wybuch gniewu zapalczego kapitana. »Patrz,« rzecze dalej sternik, »patrz, co się tam dzieje na górach.«

Noc.—Księżyc znów świeci, już się nawet chyli ku zachodowi, zapadnie za godzin kilka. Jesteśmy jeszcze na gruncie prowincyi Alemtejo, nieopodal miejsca, gdzie Caldeicao, odnoga gór zwanych Sierra Monchique, wkracza w Gwadyanę i stanowi granicę Algarwii, dawnego emiratu maurytańskiego. Jeszcze z pięć mil do morza, licząc biegiem krętej rzeki, a trzy najdalej, lotem ptaka. Wtém od południa, od strony morza, błysnął w ciemnym lazurze noonego nieba płomień jakiś, wznoszący się pionowo w górę. To raca kongrewska! jedna, druga, trzecia w krótkich przestankach.

—»Patrz kapitanie!« powtórzył sternik, wskazując na meteor ognisty.

—»To nie jest bez kozery,« rzecze kapitan.

—»Spodziewam się,« odpowie sternik. »I to nie bez kozery, że na szczytach gór Monchique zatlały w miejscach dość od siebie odległych prawie jednocześnie ognie jakieś. To nie Sobótki; daleko do św. Jana. To gerylasy, kapitanie! to Migueliści zamyślają nam wypłatać jakiego figla. Zapewne to Anglik jakiś zwabia do siebie owemi racami.«

—»Miejmy się na baczności, sterniku!« powie kapitan; »utrzymuj statek w jak największém oddaleniu od portugalskiego brzegu.«

*Sternik:*—»O ile się da; ale pół mili ztąd nie da się, chyba byś mi kazał po piasku jeździć twą łodzią. O pół mili ztąd musimy się zbliżyć na pięćdziesiąt kroków do przedgórza wkraczającego w rzekę, a w ścianach tego przedgórza mnóstwo jest małych zatok, w których gerylasy mogą się łatwo zaciąć w małych łodziach, strzelić do nas, zabić kilku ludzi, spalić statek szmermelami wrzuconemi w żagle, wyrznąć załogę, oswobodzić więźniów, uzbroić ich, napaść z niemi na Villa Real de San Antonio, i roznieśćszy pożogę, wnieść do Portugalii i Hiszpanii tyle kontrabandy, ile zawiera w sobie ów Anglik. Takie się już rzeczy działy na Gwadyanie, zanosi się coś na powtórzenie tego przedstawienia.«

*Kapitan:*—»Zanosi się na bójkę, to rzecz pewna; co robić w tej chwili?«

*Sternik:*—»Nie przybliżać się nocą do złowróznej skały. Remechido dowodzi gerylasami; jestto człowiek bardzo śmiały, bardzo przedsiębiorczy, godzien naszego Cabrery cabecilla. Szczęście dotychczas doświadczone zrobiło go nader zaufanym w swe siły, a to zawsze rękojmią tryumfu, mój kapitanie! Ja radzę spocząć na kotwicy, przeczekać noc; źle się bronić w nocy, więcój ona sprzyja napadającemu.«

*Kapitan:*—»Nie, sterniku; nie, do tysiąca czartów! Przewiduję, że nas będą potrzebować w Villa Real nasi sąsiedzi Portugalczycy. Nie chcę się narazić na zarzut tchórzostwa lub nawet zbytnej ostrożności. Musimy iść dalej. Zwińmy żagle, by nam ich nie zapalono.«

*Sternik:*—»Nie można, kapitanie, nie można zwijać żagli.«

*Kapitan:*—»A to znów czemuż? niech wioślarze zastąpią wiatr i żagle.«

*Sternik:*—»Niech galernicy zatrzymają pół minuty statek pod ogniem, a jesteście straceni.«

*Kapitan:*—»To prawda! wielka prawda! na galerników wierność w takich chwilach liczyć nie można.«

Zamyslił się kapitan chwil kilka, potem zgromadził załogę na tyle okrętu i tak do niej przemówił:

—»*Escuchad amigos soldados y marineros!* Słuchajcie przyjaciele żołnierze i żeglarze! Według wszelkiego prawdopodobieństwa, będziemy napadnięci niezadługo tam około przylądka wkraczającego w Gwadyanę. Rozkazy me następujące wypełnijcie w cichości, żeby się galernicy na naszych nie pomiarkowali ruchach i nie zechcieli nam szkodzić jakim zamachem buntowniczym. Wy szczęściu wynieście wszystkie sikawki na pokład, wodą oblejcie żagle i postronki, żeby się mogły oprzeć wpływowi palnej materii. Czterech was wniesie na pokład skrzynkę z ręcznymi granatami i rozda ich po dwanaście pomiędzy załogę. Tyleż gardłaczy nabitych siekaniem i gwoździami rozdzieli się pomiędzy was. Armatki nabijemy pojedynczymi kulami; walić z nich w spód łodzi nieprzyjacielskiej dla zatopienia jej, jeżeli można. Te rozkazy wykonajcie z jak największą spokojnością; tymczasem wy śpiewacy i gitarzyści, dalej! zanućcie piosnkę, wy co macie zdrowe nogi tańczcie, a wy co ich nie macie, bijcie w kastaniety; starajcie się wesołością wazą oszukać baczność bandytów i podejrzliwość galerników. Haki, włócznie, siekiery i lonty mieć w pogotowiu, a ostrożnie z ogniem. Dalej do dzieła! Czekaj nas pod Villa Real inna jeszcze trudniejsza sprawa.«

Rozkaz kapitana wypełniono: wniesiono sikawki, zwilżono żagle, broń nabijano przy odgłosie wesołej muzyki, do boju się gotowano tańcząc. Dziwny to był i ujmujący widok!

—»Panie doktorze! teraz chroń się do kajuty i przygotuj plastry i bandaże. Krew tu płynąć będzie nie zadługo,« rzecze do mnie kapitan.

—»Wszystko w pogotowiu, kapitanie; ale przedewszystkiem wypada widzieć, jak się zadają owe rany, które mam goić; nie mam jeszcze jasnego wyobrażenia o bitwie morskiej na słodkiej wodzie,« odpowiedziałem.

—»Ale, na Boga, panie doktorze! Migueliści nieostrożnie strzelają, a ja święcie przyrzekłem gubernatorowi w Badajoz, że pana żywego i zdrowego do Ayamonte dostawię, i tam prześwietnemu Ayuntamiento oddam,« przedstawia kapitan Pedrillo.

—»Gubernatorowie długiej pamięci nie mają, kapitanie. Zresztą bądź spokojnym, żaden mnie konsul reklamować nie będzie, a mym spadkobiercą mianuję twego syna, tutaj,

uroczyście, w obec całej załogi okrętowej, w razie, gdyby jaka kula ułakomić się chciała na me życie.«

—»Trudna widać z panem sprawa! Dobrze, niech i tak będzie. Stań pan tutaj na schodach prowadzących do kajuty; tak! ztąd pan wszystko zobaczysz, a nie podasz strzałom nie, prócz głowy...«

Nie, prócz głowy! — pomyślałem sobie; — dość naiwna przeczność.

Księżyc opada na zębate szczyty góry Caldeicao, w miarę jak my się zbliżaliśmy do brzegu skalistego, pod którym płynął wartki strumień. Na lewo, ku Hiszpanii, Gwadyana rozciąga szeroko swe wody; ale w tém miejscu była płytka. Zbliżać się do tego brzegu niebezpiecznie: łatwo mogliśmy osiąść na ławie piaszczystej, a wówczas sprawa nasza przegrana.

I zapadł nareszcie księżyc; wiatr łamie się na skałach zasłaniających nasz widok; chwilowo następowała cisza. Wioślarze biorą się do wiosła czynnie i raźnie, galera ślizga się jak łabędź na powierzchni wody. Znowu zrywa się wiatr i unosi na swych skrzydłach odgłos wiosła, śpiewu i monotonny dźwięk gitary. Opoka wkraczająca w rzekę stała jak czarny Tytan przed nami. Ciemno! Już jesteśmy pod stopami Tytana.

—»*Montad las ventanas!*« krzyknie kapitan. Ale zaledwie wzięto się do zakładania grubych okiennic, mających zasłonić wioślarzy od kul nieprzyjaciela, kiedy przeraźliwy huk moździerza dał się słyszeć tuż nad naszymi głowami. Sto szermeli spada na żagle i pokład. Jednocześnie rażą nas wystrzały z broni ręcznej; trzy łodzie napełnione uzbrojeniem wylatują przeciw nam, zakładają haki na galerię naszego statku, wrzucają nań zarzewie. Niesłychany wrzask i łoskot roztrąca powietrze, żagle już goreją!

Ale i my nie byliśmy bezczynni. Sikawki gaszą ogień, wioślarze, choć kilku z nich rannych, nie ustają w pracy, gardłacze siekają najeźdźców całemi garściami grubego siekańcu, pękają w łodziach granaty wprawna wyrzucone ręką, ogień karabinowy nie ustaje. Przeraźliwy jęk na łodziach dowodzi, że razy nasze trafiają boleśnie. Haki pozostają przyczepione do naszego statku, lecz żadna ich już nie utrzymuje ręka.

Wszystko to trwało zaledwie minutę.

Młoda Izabella buja swobodnie na falach Gwadyany, lecz jej pokład krwią zalany. Pałą się żagle i postronki, nieugaszone strumieniami wody wytryskującej z sijkawek; tu i owdzie drzewo się zajmuje. Nie masz rady; żagiel trzeba zwinąć i tlejący się do rzeki wrzucić. Pięciu rannych jęczy na statku: jeden z nich ducha oddaje, drugi stracił ramię.

— »Nic to w porównaniu klęski zadanej napastnikom,« mówi kapitan, zdejmując kapelusz z skrwawionej głowy; »i mnie coś dotknęło włosów zaraz przy pierwszym wystrzale, nawet mnie coś piecze bardzo; ale to nic, to ułamek granatu, ot tu pozostał w kapeluszu: woda zimna krew zatamuje. Ratuj pan mych wiarusów, doktorze!«

Tymczasem nie stracono ani chwili; naprawiono powrozy i zaciągnięto żagiel rezerwowy. »Śpieszmy ku Ayamonte całą siłą żagli i wiosel, tam nas czekają nowe walki,« wołał kapitan.

Śpieszymy tedy. Księżyc, którego wzdętą tarcz odstłoniły nam góry za nami pozostałe, chylił się ku zachodowi, by sobie wypocząć w nurtach oceanu. Jeszcze dwie godziny do wschodu słońca.

Już nas dochodzą zdaleka głosy warty hiszpańskiej z Ayamonte, i warty portugalskiej z Villa Real. Już się rzeka rozłącza z obu stron na szerokie koryto, brzegi giną w nocnym pomroku; tylko stary Maurów zamek wyciąga swe wieże wysoko w niebo, i pilnuje białych jak śnieg dachów miasta Ayamonte, a tu na prawo portugalskie *Castro marin* wkracza redutą aż w środek Gwadyany.

Zawijamy do przystani Ayamonte.

Tu nas czeka komendant portu, stary, suchy, zwiędły hidalgo. Słyszał zdaleka wystrzały zwiastujące nasze przybycie.

— »Kapitanie! chwili jednej nie trać. Tu w bliskości ujścia krąży od wczorajszego wieczora silny bryg kontrabandyerski, i usiłuje zwabić do siebie przemyrczy z gór. Skuner portugalski pięcio-działowy nie da mu rady; nam przykazano w podobnych okolicznościach ująć się za naszymi sąsiadami. Gotuj się tedy kapitanie do obrony naszego brzegu, zabierz z arsenału przystani działa na lawety, przydadę ci dziesięciu ludzi dla wzmocnienia twój załogi. Ile ci trzeba czasu na przeniesienie dział?«

—»Godzinę przynajmniej.«

—»Dobrze! przed wschodem słońca bądź w pogotowiu, i nie czekając dalszych rozkazów, wypłyn na morze; ale żadnej walki nie zaczynaj z kontrabandyerem nim cię zaczepi, bo to może Anglik: gotów na dyplomatycznej drodze upomnieć się o krzywdy. Ostrożnie z Anglikami. Ale powiedz kapitanie, co to za cudzoziemiec, co się tam krząta około twych rannych? to coś na Anglika zakrawa.«

—»*Sia Usted sim desconfianza, Commandante! es un amigo, un Polacco!* Można mu zaufać, to przyjaciel: polecił mi go gubernator Estramadury i kazał zawieść do Ayamonte. Pozwól tedy, panie komendancie, bym ci go przy tej sposobności przedstawił i polecił twym względem; Ayuntamiento bowiem śpi w tej chwili, a ja w dalszą wyruszam podróż.«

Nastąpiło ceremonialne przedstawienie, wymiana wzajemnych grzeczności.

—»Wszystko dobrze, kapitanie, ale ja przy tobie pozostaję, dopóki nie odpędzisz nieprzyjaciela twego handlu i przemysłu; wielkim jestem zwolennikiem celników.«

Kapitan przystać musiał na me życzenie.

Wszędzie ruch, zgiełk i wrzawa. Gwardya narodowa miasta Ayamonte stanęła pod bronią; z Villa Real de San Antonio dochodzi nas odgłos bębna. Przybyła tam kompania piechoty z Tavira. Rozciągnięto kordon wojskowy na około miasta, mianowicie od strony północnej: ztamtąd zapewne przybędą gerylasy roznieść postrach i pożogę.

Działa żurawiem wniesione na pokład, już spoczywają na lawetach. Luki od dolnego piętra zamknięto okiennicami, bo głębiej pod ciężarem spżu nurza się statek. Amunicya już także w miejscu; wszystko gotowe.

Drżą od wschodu jakieś srebrne, lekkie jak gaza obłoczki; rumienią się z radości, bo tam z wysoka już widzą zbliżające się słońce. Przybywa złotowłosa młodzian, rozpędza pomrok nocy, i zalewa żywą purpurą całe niebo. Cały wschód w płomieniach; oceanu szmaragdowe fale igrają w połysku słońca.

I my już kołyszymy się na falach Atlantyku.

Skuner portugalski zoczył punkt jakiś czarny ku zachodowi, i pędzi ku niemu, dając nam sygnał baczności; zwracamy się w tę stronę.



O mały strzał armatni od brzegów Portugalii, niedaleko ujścia Gwadyany, stoi wielki bryg czarny malowany. Żadna na maszcie nie powiewa flaga:—to statek kontrabandyerski trzymający morze. Zbliżony jest do brzegu o tyle, o ile jego głębokość pozwala. Portugalczyk podsuwa się do podejrzanego statku i wzywa go do objawienia swój narodowości wystrzałem z działa, prochem tylko nabitego, i wywieszeniem narodowej flagi.

Kontrabandyer nie na to.

Portuga'czyk jeszcze raz grzmi z działa, teraz już kulą nabitego, ale je wymierza na prawo od brygu. Żelazo zaryło po trzykroć fale oceanu, odbija się trzy razy, a potem tonie w jego nurtach.

Dumny kontrabandyer stoi w miejscu, potem powoli zwraca swój tył ku skunerowi. Kłęb dymu z niego wychodzi, kula świszczy po nad masztami Portugalczyka, wpada w morze o kilkaset kroków za nim, silny odgłos roztrąca powietrze.

—»Co to znaczy taki manewr?« zapytałem kapitana.

—»To znaczy: gadać z tobą nie chcę, choć mam silniejsze płuca. To brzydka odpowiedź, panie doktorze, to musi być Anglik: któżby miał odwagę urągać się w ten sposób z flagi portugalskiej?«

Tymczasem i my się zbliżyli na połowę strzału armatniego pod statek. Za pomocą perspektywy doskonale można było widzieć, co się działo na brygu. Zupełna spokojność na jego pokładzie; majtków zaledwie dwunastu, stoją oparci o galerię okrętu, i spoglądają na nas bardzo obojętnie. Twarze mają ogromne, wygolone, czerwone, z jednej strony wypchane prymką.

—»To Anglicy, rzecz pewna,« rzeknę do kapitana; »ja nawet znam ten okręt, znam jego nazwisko, nazwisko jego patrona, i nazwisko portu, do którego należy.«

Istotnie, wywiczony długim doświadczeniem w rozpoznawaniu szczegółów budowy okrętu, poznałem, wprowadzony jednem wspomnieniem na ślad drugiego, że ten okręt ze zdjętą figurą na przodzie, szczupły ale długi w piersiach, niosący dwa maszty wysokie i na tył pochylone, był właśnie owym tajemniczym statkiem, o którym mój gospodarz w Falmouth w Cornwallii mówił, że na ucziwy statek kupiecki miał za długie nogi i za wąskie piersi; *owym statkiem*

którego piękna, romantyczna Miss Diana była chrzestną matką.

—»*Cien mil bombas, sennor doctor!* jeżeli to prawda, jeżeli się nie mylisz, wówczas będziemy mieli kapitalną zabawę; zuchwalec, raz zdemaskowany, uciekać będzie jak zając z wody. Przecież nie śmiałyby na własną swą rękę wydawać wojny Jéj Królewskim Mościom Izabelli II. i Maryi da Gloria. Dalej! panie doktorze, dalej na Boga! napisz trzy obiecane nazwiska,« rzece kapitan z najwyższą radością, i krzyczy na chłopca okrętowego: *Muchacho! Muchacho!* przynieś tu maźnicę z czarnym pokostem, przynieś pędzel i kawał żagla wielkości obrusa.

W mgnieniu oka junga przyniósł zażądane przedmioty, a ja napisałem na płótnie, wyraźniej niż zwykle piszę, trzy następujące słowa:

»Diana,—Davenport,—Falmouth.«

Kapitan, by zwrócić na siebie uwagę kontrabandyera, kazał wciągnąć na szczyt masztu ową długą wążką wstęgę, nazwaną po hiszpańsku *flamula*, a potem rozpięte na dwóch wiostach płótno kazał podnieść w górę.

Kapitan angielski spostrzegł nasz manewr, i za pomocą perspektywy przeczytał trzy nazwiska. Oczom swym nie dowierzał: przeciera je, przeciera szkła perspektywy i jeszcze raz spoziera. Nareszcie woła sternika i każe mu patrzeć. Te same znaki zadziwienia daje sternik, potem kiwa głową jak automat i wraca do steru.

Kapitanowi Pedrillo serce rosnęło na widok sprawionego wrażenia.—»Nie zawiodłeś mnie pan; *Viva Usted mil Anos* (żyj za to lat tysięcy)! ani słowa, to oni, *Carajo!* zdarliśmy maskę szalbierzowi; zobaczysz, jak zmiatać będzie Anglik, aż się z niego zakurzy. Ha! łajdaku! dam ja tobie! A precz mi zład rozbójnika morski!«

Rzeczywiście okręt się wykręca, staje tyłem do nas, i z niego wychodzi.... *co?*—kłęb dymu bardzo wielki, ale bez żadnego prawie huku i łoskołu, tylko z świstem jakimś niegłośnym. Dawszy taki znak życia kontrabandyer, wraca do swéj dawnéj postawy.

—»Ah jaka hańba!« krzyknie kapitan Pedrillo zgrzytając zębami, jak gdyby febrą trzęsiony; krew ustępuje mu z oblicza, i zimny pot oblewa czoło.

—»Ah! jaka hańba! widział pan, co ten bezwstydný hultaj zrobił?«

—»Widziałem, że się jakoś zakurzyło, ale nie widzę, żeby uciekał,« odpowiedziałem ruszając ramionami.

—»Ale wie pan, co taki obrót z takim kłębem dymu i poświstem znaczy w języku angielskim?.... Panie doktorze, na Boga! pęknę ze złości.«

—»Domyślam się co to znaczy; zapewne: *me dbam o ciebie.*«

—»Nie, tego nie zniosę; jak mi Bóg i honor drogi, tego nie zniosę. Kanonierzy! nabijcie działo na tylnym kastelu najlepszym prochem i szlifowaną kulą, a ja sam mierzyć będę.«

Kanonierzy nabijają działo, kapitan zębami zgrzyta, z oczu pryskają mu iskry jak z krzesiwka.

Wtém się odzywa sentencyonalnie nasz mądry, rozważny sternik:

—»Istotnie, kapitanie! diablego wypłatasz mu figla, jeżeli od pierwszego wystrzału tylny mu maszt zgruchotasz. Maszt spadnie na pokład, pokaleczy mu ludzi, nie da mu ruszyć z miejsca; wówczas dalej *obces* na kontrabandzistę, i *viva Sant Jugo y Espana!* zdobywamy statek, topimy Anglików, lub też ich wieszamy na pozostałym drugim maszcie, jak nam ochota przyjdzie, ha! i mścimy honor Gwadyany we krwi przemycarskiej! Ale jeżeli chybisz kapitanie, co jest rzeczą najpewniejszą, wówczas bądź zdrów z nami! wszyscy zginiemy, i mysz okrętowa nie ocaleje. Kontrabandyer nie długo się z nami bawić będzie: da kilka razy do nas ognia ze wszystkich swych karonad, i topi młodą Izabellę wraz z jej dziećmi.«

—»Chybię czy nie chybię, utonę lub nie utonę, ale hańby nie zniosę: wolę ginąć!« odpowie kapitan, ściskając piersi swe wydymane zapalczywością.

—»Dalej sterniku! daj statkowi obrót!«

Młoda Izabella stanęła tyłem do zdemaskowanej Diany. Kapitan spieszy do działła, klęka przed niem, mierzy; długo mierzy, obraca śrubę podpierającą ciężki spiz w prawo, w lewo, nareszcie wstaje i sam wydziera lont kanonierowi.

Serce nam biło wszystkim potężnie. Położenie nasze nie było godnym zazdrości, to rzecz pewna. Los nas

wszystkich zależał od trafności jednego wystrzału, zależał od ręki kapitana, a ta ręka drżała!»

—»Kapitanie! słuchaj raz jeszcze! Na Boga! zastanów się! Wystawić statek i życie czterdziestu bliźnich na los szczęścia jednej kuli, to rzecz nieludzka! Nie wyzywaj Boga! Flaga hiszpańska krzywdy nie ucierpiała, wszakże ona na maszcie nie powiewa jeszcze. Wolno psu na Pana Boga szczekać.«

—»Wolno psu na Pana Boga szczekać?... Ha! to filozofia tchórzów, którzy żadnej hańby uczuć nie są w stanie. Flagi nie wywiesiłem? Junga! zdejmuj flammę i wywieś flagę królowej. Jeżeli dwie minuty pozostanie na szczycie masztu bez odebrania należnych hołdów, wówczas upomnimy się w imię Boga o jej prawa!« przemówił kapitan rozkazującym głosem.

Flamma spada z wysokiego szczytu, a na jej miejscu wlatuje złoty lew Kastylii w karmazynowym polu.

—»*Viva la Reyna!*« krzyknęła jednogłośnie cała osada okrętu, dotychczas struchlała. Dobosze biją w bębny; od tej chwili nie szło już o fraszki, lecz o rzecz każdemu człowiekowi najdroższą: o honor narodowy. Czuł każdy w swém sercu ważność tej chwili, czuł każdy, że ręką swego przewodcy rzucił śmierci rękawicę; ale nie drżał już i nie truchlał: uczucie szlachetne przemogło nad wszystkimi innymi względami, i stało się uczuciem rządzącym.

Kapitan wydobył zegarek i wlepił węń oczy, w ręce prawej trzymając tlejący się lont.

Wszyscy staliśmy w milczeniu z odkrytymi głowami, jak gdyby oczekując wyroku niebios.

Kontrabandyer stał nieporuszony; osada jego spoglądała na nas głupio i obojętnie. Nie jedna może z tych surowych, Merkuremu sprzedanych dusz szydziła sobie z uczuć władających nami, z sere przed Bogiem stojących.

Ciężkie chwile oczekiwania, płonnego oczekiwania minęły. Kapitan schował zegarek, i badawczym wzrokiem spojrzął na nas kolejno; czoło miał pogodne. I na mych oczach spoczął chwilę bystry jego wzrok, i na nich wyczytał wyraz: *pal!* Dusza moja wrzała świętym gniewem przeciw tym kupcom, którzy w imieniu *szylinga* życiem ludzkim szafują.

»Brawo!« powiedział sam do siebie kapitan; ukląkł jeszcze raz przed działem, długo mierzył, ale tym razem pewną ręką; wstał, przytknął lont do zapalnika: kula prochem porwana, tylu ludzi modłami wiedziona, leci, pada na maszt nieprzyjacielski, trzaska go i wywraca na pokład.

—»*Viva Sant Jago y Espana!*« krzyknęliśmy wszyscy.

Była to chwila w życiu mojem pamiętna, bo nie często byłem świadkiem tryumfu sprawiedliwości!...

Maszt nieprzyjacielski runął na pokład; Anglik w mgnieniu oka rozpiął żagle na przodzie okrętu, i umykał co miał tehu przed nami. Walił do nas uciekając, tym razem serdecznie, dobrymi kulami; ale spieszo mu było, źle mierzył, kule padały blisko, lecz żadna nie ugodziła młodej Izabelli. Były to kule ogromnego kalibru, każda byłaby statek nasz przedziurawiła na wylot.

I znikł nam wreszcie z oczu dumny kontrabandyer, tylko maszt zrzucony w morze dostał się w ręce nasze: ciągnęliśmy go za nami, jako zdobycz zwycięstwa.

Powracamy do portu. Jakie tu uniesienie! Wszyscy nas witają hucznym radości okrzykiem: »*Viva el valeroso capitan Pedrillo! viven los bravos ninnos de la joven y gloriosa Isabel!* (Niech żyje waleczny kapitan Pedrillo! niech żyją dzieci młodej i zwyciężkiej Izabelli!)«

Cieszył się lud, gwardya narodowa, żołnierze i księża, tylko się nie cieszył stary komendant portu. Stał z surową miną sam jeden w pełnym mundurze; twarz cierpka, chuda, zmarszczona, zielonkowata, zanurzała się do połowy w wysokim, złotem haftowanym kołnierzu.

—»O źle!« rzecze kapitan »źle! Stary komendant wystąpił ze swą szczupaczą fizyonomią, i w swój najpiękniejszą skórę! Źle! pewno zamysła odegrać jaką heroiczną rolę w obliczu całej ludności: całe życie był zazdrośnym jak szatan, zwyczajnie jak hidalgo dawniej daty.«

I kapitan także przypiął szpadę i szlify, zapiął mundur i przywdział kapelusz stosowany.

Statek przybija do bulwaru przystani; kapitan wysiada i idzie składać raport swemu zwierzchnikowi. Komendant słucha go w milczeniu, z miną poważną, tonie prawie cały w ogromnym kołnierzu swego munduru, nareszcie tak rzecze:

—»Wszystko, coś mi właśnie raportował, kapitanie, jest prawdą; sam bowiem z bastyonu zamkowego przypatrywałem się całej akeji, i pierwszy pospieszyłem winszować ci chlubnego jej końca, gdyby mnie, panie kapitanie, obowiązki nie zmuszały do sprawiedliwego, bezstronnego ocenienia twego postępku. Kapitanie Pedrillo! komendant straży celnej morskiej nie ma prawa postępowania sobie jako komendant marynarki królewskiej, i zaczepiać okręty nie złapane na gorącym uczynku kontrabandy. Szafowałeś życiem twych podkomendnych dla dogodzenia własnym wyobrażeniom o honorze; przekroczyłeś twe obowiązki i dowiodłeś, że słabe jeszcze masz wyobrażenie o godności życia chrześcian. Wzywam cię przeto, kapitanie, do oddania mi szpady, i do oczekiwania w więzieniu zamkowym odpowiedzi z Madrytu, to jest opinii naszego ministryum.«

—»Słabe mam wyobrażenie o godności życia chrześciańskiego?« zapytał sam siebie kapitan, oddając szpadę, drżąc i blednąc ze złości.—»Oh! panie komeńdancie! niegodna to przymówka; wiem, do czego ją stosujesz! Dziękuj Bogu, że twa niedołężność i zgrzybiałość ostantia cię od mego gniewu.«

—»*Muera el viejo solito!* Niech ginie stary szczupak!« krzyczeli uliczniki, odprowadzając komendanta do domu, i sutą mu sprawili kocią muzykę.

Kapitan Pedrillo, otoczony licznym orszakiem obywateli, gwardzistów narodowych, nawet oficerów liniowych, piął się po spadzistęj ulicy ku bramie starożytnego zamku. I ja mu towarzyszyłem; za wstawieniem się księży i oficerów, uzyskałem nawet pozwolenie odwiedzania go w więzieniu dla opatrywania rany.

—»Kapitanie! czemuż cię tak wzruszyły słowa komeńdanta portu? jakaż to przymówka tyle cię obeszła, żeś zbladł z gniewu, jakby piorunem rażony?« pytałem go jeszcze tego samego dnia.

—»Innym razem pomówimy o tém, dziś zanadto jestem wzruszony, jeszcze mi cierpnie serce na samo wspomnienie wyrządzonej mi zniewagi,« odpowiedział kapitan, blednąc i odwracając głowę.

Szczególna rzecz! pomyślałem sobie; nasz kapitan tak się obruszył wyrzutem postępowania niechrześciańskiego, jak gdyby się poczuwał do krwi starozakonnęj. Wiem

o tém wprawdzie, że są w Hiszpanii żydzi, którzy tylko pozornie na wiarę chrześcijańską przeszli; Mendizabal, niedgdyś wszechmocny minister Donny Krystyny, ma do ich liczby należeć. Pan Borrow, missyonarz angielski, który długo w Hiszpanii podróżował, utrzymuje nawet, że pomiędzy biskupami katolickimi miał się znaleźć żyd zacajony. Ale Pedrillo, choć ma twarz bardzo charakterystyczną i istotnie coś orientalnego przypominającą, nie wygląda wcale na żyda, bije się jak bohater i o żadnych spekulacyjkach nie rozmawia. A zresztą, choćby i był żydem, wszakże i Machabeusze byli żydami, i pan Cerfbeer generał francuzki jest żydem: to mu wcale nie ujmuje wartości w mych oczach. Widziałem go przy dziele zimnym i odważnym, walecznym jak lew: takich ludzi się szanuje w każdym narodzie.

I nie pytałem kapitana więcej o przyczynę jego nagłego gniewu, choć go odwiedzałem codziennie po dwa razy. Stan jego zdrowia wymagał tego, zapadł bowiem w skutku rany i doznanych cierpień moralnych na gorączkę żółciową, w krajach gorących prawie zawsze gwałtowną. Ale on sam, poznawszy mnie bliżej, i widząc, że mu bardzo sprzyjam, przypomniał sobie, że mi winien odpowiedź i wyjaśnienie.

— »Chciałeś pan wiedzieć, panie doktorze,« rzekł do mnie Pedrillo, »czemu mnie tak boleśnie trafił zarzut uczyniony mi przez komendanta. Teraz panu mogę objawić przyczynę tego żalu; widzę bowiem, że nie dzielicz nieszczęśliwych przesądów mego narodu. Zarzucają mi niechrześcijaństwo, wiesz czemu? oto dlatego, że przodkowie lat temu przeszło dwieście pięćdziesiąt nie byli chrześcianami. Jestem z pokolenia Maurów, jestem potomkiem dzieci wydanych na świat w więzieniach inkwizycyi przez matki na śmierć skazane, a później po rozwiązaniu publicznie spalone. Siedmset prawie takich dzieci litość króla Filipa II. uchroniła przed śmiercią, grożącą im jeszcze przed urodzeniem. Nie wiem, czy w całej Hiszpanii dwieście jeszcze pozostaje potomków tych biednych istot; a jednakże my, choć tak nieliczni, dźwigać musimy po dziś-dzień cały ciężar dawnych przekleństw inkwizycyi i dziś jeszcze istniejących przesądów. Nie wiemy, komu winniśmy nasze poczęcie, kto nas rodził; urodzeni jesteśmy

w wierze chrześcijańskiej, i szczerze do niej przywiązani; nie znamy innego języka prócz hiszpańskiego, innej ojczyzny prócz Hiszpanii; bronimy sławy naszego kraju z poświęceniem bez granic, zasługujemy się Hiszpanom gdzie tylko możemy i jak tylko możemy, każdy nam to przyznaje, a jednakże co to wszystko pomoże? Ciśnie nas dotąd całe brzemie przekleństw i przesądów, które naszym pradziadom grób wykopały. Hiszpan, a szczególnie hidalgo hiszpański, dumny a niedołączny, nie przepuści żadnej sposobności upokarzania nas w tém co nam jest najdroższém:—w naszym honorze, który przecież wart tyle, co honor każdego Hiszpana. Oto pan znasz teraz powody mego gniewu, mego zmartwienia i méj choroby. Nie pierwszy to raz w mém życiu podobnych doświadczam zgryzot; gdyby nie ta krew maurytańska, której kilka kropli jeszcze w mych żyłach płynie, byłbym już generałem od dawna, moje dekoracye, moje rany dowodzą, że się umiał bić za ojczyznę. Ale najczęściej zamiast nagrody trafiały mnie wyrzuty i przesładowania, jak tym razem; i odznaczywszy się w dwudziestu bitwach, oddawszy cały mój majątek dla sprawy publicznej, utraciwszy nogę, czémże zostałem nareszcie? kapitanem małej galery przeznaczonj do służby celnej, celnikiem, nie więcej; urzędnikiem tak poślednim, że taki pan komendant, który nigdy w swém życiu w żadnej bitwie nie był, może mnie aresztować, więzić, może nawet o stratę miejsca przypawić.«

—»Pojmuję twe zmartwienie, kapitanie,« rzekłem do Pedrilla, »pojmuję twe zmartwienie tém lepiej, że się zrodził w kraju szczerze religijnym, bardzo katolickim, a jednakże wołam od takiej potwornej nietolerancji. Powiedz mi kapitanie, czy te upokorzenia i niesprawiedliwości nie zępiąją w was miłości do kraju i rodaków? Czy nie zazdrościcie nigdy owym potomkom waszych pradziadów, którzy się pod niebem Afryki rodzili?«

—»I my także cierpimy, ale ojczyznę naszą hiszpańską szczerze kochamy i o innej nie marzymy nigdy. Nie zazdrościmy bynajmniej Maurom afrykańskim: to ród dziś bardzo znikczemniały, żadnego z nim nie mamy punktu zetknięcia. W pamięci naszej przechowywamy dawne świetne dzieje naszych pradziadów; ale to nam służy jedynie za pobudkę do szlachetnych czynów, z których Hiszpa-



nia korzysta. Maurowie uważają nas za odszczepieńców; biada nam, jeżeli który z nas dostanie się w ich ręce! Bystry mają wzrok i w każdym odkryją choćby najmniejszy ślad krwi maurytańskiej. Po wypadkach 1823. r., po ugaszeniu za pomocą francuzkich bagnatów rewolucyi, wynikłej z wpływu ducha francuzkiego, młody jeden oficer inżynierji, potomek dawnych Maurów, a syn powieszonoego niby za zdradę kraju generała Torrixa, a ztamtąd protegowany przez konsula angielskiego, dostał się do Maroko. Panował wówczas w tym kraju Muley Abd-er-Rhamman piąty, czy dziesiąty, i widząc w młodym człowieku wielkie zdolności, namówił go obietnicami świetnej przyszłości do wyrzeczenia się chrześcijańskiej wiary. Młody Torrixa uległ nadziejom, obietnicom, a podobno i miłości; zmienił religię, mówią, że tylko pozornie. W krótkim czasie nauczył się języka arabskiego, został bejem, to jest pułkownikiem, potem baszą, a nareszcie ministrem wojny. Cesarz dał mu własną córkę za żonę; miał ich właśnie z ośmdziesiąt na wydaniu. Rok rocznie nawet starał się ścieśnić węzeł pokrewieństwa pomiędzy sobą a młodym Torrixa, który przybrał nazwisko Hassana-Paszy; rok rocznie dawał mu świeżą córkę za żonę, tak, że ich zięć cesarski miał aż cztery za sobą. Hassan-Pasza był prawie wszechwładnym, opływał w niewyczerpane bogactwa, seraj miał liczniejszy jak trzoda, a konie piękniejsze jak sam cesarz. Przez lat blisko dziesięć Torrixa umiał się utrzymać przy władzy i wzięciu, co jest rzeczą nadzwyczajną w tym kraju, gdzie koło fortuny tak się szybko toczy. Nareszcie umiera Ferdynand VII. król hiszpański, stronnictwo konstytucyjne znów górę bierze. Hiszpanie jęczący na wygnaniu wracają do ojczyzny. Dowiaduje się o tém Hassan-Pasza w Larrasz, w twierdzy marokańskiej, położonej na brzegach oceanu. Wspomnienia młodości, sprawa, dla której ojciec stracił życie jako męczennik, uczucia miłości do kraju i narodu, budzą się w duszy potężnego baszy. Okręt hiszpański, na którym powiewa złoty lew Kastylji, właśnie stoi w przystani, właśnie kotwicę wyciąga, i przy radosnym śpiewie wraca do ojczyzny.

»Hassan-Pasza już nie należy do siebie: jego dusza wróciła na rodzinne niwy, kędy brzmią dzwony kościelne i rozlega się śpiew chrześcian. Hassan-Pasza musi biedz za

swą duszą. Zdiera z siebie turban i baszowską opończę, zdiera dyamenty i depcze je nogami, wsiada na okręt, powraca do Hiszpanii, i staje jako Alfons Torrixo, jako podporucznik inżynieryi. Dziś już jest majorem. Prawda, że mu ustrzelili Karliści pod Bilbao rękę lewą, ale pozostaje mu jeszcze prawa; zresztą tego nie żał, choć to boli i niewygodnie,« dodał kapitan Pedrillo, patrząc na własną drewnianą nogę.

—»A rodzina Hassan-Paszy, a jego liczne żony, cóż się z niemi stało?« pytam kapitana.

—»Żony Hassana-Paszy? Murey Abd-er-Rhamman kazał je wydusić za to, że nie umiały sobie przywiązać męża, za to, że wilk wrócił do lasu; a niewolnice, których było z kilkaset, sprzedane na targowisku.«

—»A zatem, kapitanie, bądź co bądź, najlepiej jeszcze w rodzinnym kraju.«

—»Najlepiej, panie doktorze, doprawdy najlepiej.«

—»Podajmy sobie ręce, kapitanie: *viven las almas generosas.*«

—»*Viva Sant Jago y Espana!*« odpowiedział potomek Maurów.

Odpowiedź z Madrytu nadeszła. Ambasador angielski nie reklamował. Kapitan Pedrillo wrócił do swych obowiązków, i dziś jest komendantem portu w Ayamonte.

---

## ROZDZIAŁ IV.

OKOLICE MIASTA AYAMONTE.—WIKARY.—TAŃCE.—WEGETACJA.—  
PŁODY.—WPLYW PIĘKNÉJ PRZYRODY.—DZIECKO MATKĄ.—KSIĘ-  
ŻNICZKA Z DOMU BOABDILA.—GOSPODARSTWO WIEJSKIE.

---

Już od tygodnia bawię w Ayamonte, w tém małym znanim miasteczku, położoném prawie tuż nad ujściem Gwadyany do Atlantyku, wzniesioném na podnóżu gór, a tak ładnym, schludnym, białym. Miejsce to było niegdyś stolicą emiratu maurytańskiego; w dziedzińcu tego groźnego, dziś na pół zniszczonego zamku, odbywały się tak sławne turnieje, że rycerze z nad Rodanu, ba! nawet z nad Renu doń przybywali kruszyć kopie, zdobywać wieńce waleczności i uroczę uśmiechy młodych, przesłicznych niewiast.

Dziś Ayamonte nie jest już czém było. Podwoje książąt maurytańskich przemieniono na magazyny wojskowe, na koszary i więzienia, obszerny dziedziniec porósł chwastem i zjadliwemi ziołami, padalce i jaszczurki wkradły się do podziemnych krużganków, a zamiast bonzy wzywającego na pacierze, puszczyk jęczy z wieży meczetu, i straszny swym złowróżbnym głosem zabobonne Andaluzjanki.

Nawet te klasztory, które wzniosły się po ustąpieniu Maurów z Hiszpanii i przytułek dawały tylu biednym i nędzarzom, od lat kilku stoją opuszczone. Już tu sowy powybiły okna i torują drogę szatanom zniszczenia, już pasożytna zielska dławią te piękne akacje, granaty i pomarańcze.

Jeden tylko klasztor opiera się zniszczeniu: to klasztor Urszuliniek. Dobre to i nabożne panny, miasto je kocha, i edykta Mendizabala nie pomogły. Miasto nabyło budy-

nek wystawiony na sprzedaż, i napowrót osadziło wygnane zakonnice. Dziś ten zakład już nie istnieje kosztem rządu, ani własnych dóbr dochodem, lecz wolą obywateli, ich współczuciem i miłosierdziem. Prawda, nowych już zakonnice przyjmować nie wolno; ale te, które dziś jeszcze istnieją, nie wymrą tak prędko; tymczasem wiele rzeczy stać się może na tym świecie: pozostaje Urszulinkom nadzieja, ten błogi, niewyczerpany żywioł szczęścia!

Ja mieszkam w najlepszym hotelu miasta, w *Fonda de las hermanas mudas*, w oberży Sióstr głuchoniemych.

Istotnie, boginie tego domu były głuchonieme, już nie młode panny, chude i suche, ale wesołe i dobre, choć mówić nie umiały, albo może dlatego, że mówić nie umiały. Dom ich był prawdziwym wzorem porządku i czystości; wszystkie potrzeby każdego podróżnego zawczasu przewidziane: ten lubił wesołość, życie i wrzawę, dano mu tedy stancję, której okna wychodziły na dziedziniec; tamten potrzebował samotności i cichości, dano mu tedy pokój na ustroniu, którego okna wychodziły na ulicę. Taki bowiem w Hiszpanii południowej charakter: życie skupia się w domach tam, gdzie jest cień, chłód i ciągle wytryskująca z fontan woda; życie znika z ulic, gdzie słońce dokucza, gdzie bruk rozgrzany piecze w nogi. Klimat zmusił Hiszpanów do przybrania od Maurów zwyczajów ludu wschodniego.

Co wieczór wesołe *tertulie*, to jest zabawy towarzyskie niespraszane, na dziedzińcu domu Sióstr głuchoniemych. One tak lubią śmiechy, romanse i tańce, choć same ani słyszą, ani tańczą, ani też romansują! Lwem naszych tertulij, najlepszym tancerzem, najweselszym opowiadaczem, śpiewakiem i gitarzystą, był ksiądz wikary z Ayamonte. Nie wystawiamy sobie bowiem, żeby ksiądz hiszpański był zawsze tak ponurym, chytrym i czarnym, jak go tuzinkowe romanse opisują; bynajmniej. Ksiądz bierze tutaj często serdeczny udział we wszystkich sprawach rodzinnych; raz odbywszy swe *funkeye religijne* w kościele, miesza się ze wszystkimi *klassami* ludu jako przyjaciel, poradzca, lub też po prostu jako uczestnik.

Nasz ksiądz wikary, młody, piękny i dość wykształcony człowiek, często nas nawiedzał: opowiadał co się dzieje w mieście i w świecie, potem przygrywał na gitarze, za-

nucił smętną balladę maurytańską, hymn bohaterski o Cydzie i generale Riego, piosnkę wesołą o czarno-okięd Andaluzce, a potęd dał się uprosić, zdjął swą rewerendę, pozostał w krótkim, pstro wyszywonym lejniku, w krótkich czarnych, opiętych spodniach, w długich jedwabnych pończochach, trzewikach ze sprzączkami, i zatańczył najprzód poważnego *fundango*, a nakoniec, przeszedłszy stopniowo skoczne *bolero*, wesołą *arragonezkę*, zakończył na romantycznęd i namiętnęd *caciuci*.

Lwicą naszych tertulij była młodziuchna męzatką, matka dwunastoletnia, istota, jaka tylko pod błogięd, płodnęd, życiodawcęd niebem Andaluzji urodzić się i rozwinąć może.

Donna Maria Pastora de Dias Serenas y Torres Almillas, łączyła w swęd przeszlicznęd osobie wszystkie uroki dzieciństwa i wszystkie ponęty dojrzałego wieku. Niewinna i wesoła jak dziecko, troskliwa o swe niemowlę, które jęd nigdzie nie odstępowało, czasem na chwilę smętna i zamysłona, przedstawiała widok, któryby i najtwardsze serce był rozrzewnił. Mąż jęd, powołany pod sztandary w kilka tygodni po ślubie, opuścić ją musiał, nim jeszcze minął cukrowy miesiąc dla młodego stadła. Dziecię to urodziło się kilka temu miesięcy; młodziuchna matka sama je karmi.

Ale te obowiązki, te smutki, wcale nie przeszkadzają Hiszpankom bawić się, skoro tylko nadarzy się sposobność. Młodość tu prędko przemija, a długo trzeba żyć jęd wspomnieniami!

Coś jest w tęd wesołości andaluzkięd czarującego, porywającego, Widząc te dzieci pogodnego nieba śmiejące się, śpiewające i tańczące, każdy się zachęci do śmiechów, do śpiewu i do tańca, nawet najzimniejszy człowiek. Raz uchwycony duszą takt owęd ochoczęd, choć monotonnęd muzyki, przechodzi pomiwołnie w ręce i w nogi; ręce wyciągają się pomimo naszęd wiedzy do owych tęsknych, namiętnych ruchów, nogi nas unoszą, a oko? oko śledzi w oku tanczniczki odgłosu tych niewypowiedzianych uczuć, które nas przejmują jak sny młociane, i znajdzie zawsze ten odgłos. Taniec andaluzki nie jest tańcem: jest on mową tęd wymowniejszą, że jęd słów żaden filolog w słowniku opisać nie zdoła; jest on więcęd jak to, jest on moralnęd połączeniem się dwóch dusz, nękanych zmysłowością.

Zdradliwy to taniec; nie chciałbym żeby go nasze Polki znały.

Okolice tego zachodniego krańca Andaluzji nie celują malowniczością, ale świetniejszą bujnością wegetacji, a co więcej, są dobrze uprawne. Klęska wojny już oddawna nie dotknęła tych odległych niw bezpośrednio, nie wrzały tu nigdy polityczne namiętności. Prawda, że bratobójcza walka, rozdierająca Hiszpanię, pozbawiła i tę okolicę wielu rąk roboczych; ale kobiety starały się zastąpić mężczyzn, powołanych do służby wojskowej. Żal mi nieraz ścisnąć serce na widok tylu młodych, zaledwie z dzieciństwa wyrosłych dziewcząt, których kształtne, pełne gracyi kibicie, uginały się jak trzcina pod ciężarem wielkich snopów kukurydzy. Było coś uroczystego, poszanowanie wzbudzającego, w tych twarzach tak smętnych, znużenie i cierpienia wyrażających. Przechodziły koło mnie piękne jak Cerery, i choć nieznanomego, choć cudzoziemca, witały dźwięcznymi słowami: *»buenas dias a Sennor Cabalero!*« dzień dobry panu kawalerowi; lub też: *»vaya Usted siempre con Dios, Sennor!*« niech ci Bóg zawsze towarzyszy, panie! Potrzeba grzeczności wrodzona jest temu poczciwemu ludowi, który się przecież brzydzi wszelką unizonością.

Było to w drugiej połowie maja. Już się tu rozpoczęły żniwa, zbierano jęczmień, pszenicę, różne rodzaje grochu, a nawet i kukurydzę.

Pszenica andalużka jest tak dobrą, jak nasza sandomierska; ziarno, choć większe, cieniutką ma łuskę i białe jest jak śnieg. Mąka, którą wydaje, pulchniutką jest jak najdelikatniejszy puder.

Dziwnym tu sposobem wymłacają ziarno. Na wielkiem, marmurowemi taflami wyłożonem bojowisku rozkładają snopy, a potem na nie wpuszczają sześć do ośmiu koni tak wyuczonych, że pozostając ciągle w jednym szeregu, wolno postępują naprzód, i ciągle małemi krokami deptają w miejscu.

Wino tu uprawiają tylko na południowej ścianie góry, przegradzającej północny widokrąg. Cały schyłek przemieniano powoli w olbrzymie schody, murami podpierającemi ziemię. Ze sto szeregów tego muru piętrzą się jedne nad drugimi aż na sam szczyt, a mury te, zasłonięte winnemi liśćmi, wyglądają z daleka jak schody Tytanów,

prowadzące do nieba. Tylko młodego wina dostać tu można: rozeszli się OO. Kapucyni, rozpierzchbli się księża Dominikanie, z niemi jakoś zatracił się sekret przechowywania i doskonalenia win tej strefy.

Najlepsze grunta przeznaczone są na jarzyny, włoszczyzny i warzywa, udające się tutaj najwyborniej. Mało patatów, to jest ziemniaków, mało kapusty, ale za to bardzo wiele pysznych melonów, arbuźów, pieprzu tureckiego i selerów, jarzyny tak potrzebnej w tym ognistym klimacie; wiele sałat, kalafiorów, szparagów, karczochów i *oberginas*, rodzaju ogórka koloru fiołkowego, który przecznięty wzdłuż, piecze się, polany oliwą, na gorącym popiele. Wiele także ananasów i *garbanzów*, to jest grochu okrągłego, wielkiego jak orzech laskowy, bardzo smacznego, a nie udającego się nigdzie jak w południowej Hiszpanii.

Woda potrzebna do odwilżania gruntów pochodzi częścią ze źródeł wytryskujących z gór, częścią z studni, z których, za pomocą bardzo prostej mechaniki, wół lub osieł, obracając kołem, dźwiga wodę i zlewa ją bezustannie w rynny, rozprowadzone po polach.

W stronie północno-wschodniej pól znajduje się jeszcze jedna z owych monumentalnych studni, któremi dbali o dobro publiczne Maury kraj ten niegdyś obdarzyli. Studnia ta przeszło 130 stóp głęboka, mająca średnicy 25 stóp, ocembrowana jest samemi z granitu ciosanemi głazami, a wodotrwałym cementem spojonymi tak szczelnie, że żadnego nie dostrzeżesz odstępu pomiędzy głazami. Schody granitowe, na półtrzeciej stopy szerokie, prowadzą w około wnętrza studni ślimakiem aż do spodu. Temi schodami dojść można łatwo aż do samego zwierciadła wody, nigdy niebrakującej; ale nie radzę nikomu puszczać się w tę podróż bez lampy, i pozostać w otchłani skoro ta zgaśnie; osiada bowiem tutaj kolumna kwasu węglowego, mogąca każde żyjące stworzenie zadusić.

Proboszcz miasta Ayamonte, wraz z tutejszym księgarzem, nawet spowiednik panien Urszulinek, tolerowanych w Ayamonte dlatego, że się do polityki nie mieszały, słowem, wszystkie znakomitości naukowe miasta utrzymują, że istnieje podziemna droga pomiędzy zamkiem maurytańskim strzegącym miasta, a wnętrzem studni, która, jak to

gruzy dotychczas dowodzą, kiedyś była fortyfikacyami opasana. Utrzymują nawet, że Maurowie, nadwyzwyczajnie biegli w sztuce hydrauliki, umieli osuszać studnię i sprowadzać jęj wody aż do zamku, i że przekradając się tą drogą z zamku w czasie obleżenia, oblegającym tył zabierali.

Nie byłem w stanie sprawdzić tych szczegółów, pomimo najusilniejszych experimentacyj z tyczkami. Wiem wprawdzie, że się Maurowie dłużej trzymali w Ayamonte jak w reszcie Andaluzyi; wiem, że świetny emir Nadzir-alkharun potrafił ujsć ze swego zamku z znaczną częścią załogi i przedrzeć się aż do ujścia Gwadyany, gdzie go oczekiwały statki Berberów: ale nie wiem, czy to figlom hydraulicznym przypisać należy.

Mamże jeszcze opisywać wegetacyę tego błogosławionego kraju? Widziałem ją w najpiękniejszym rozwoju, jeszcze świeżą, jeszcze ani pyłem przypruszoną, ni słońcem zwarzoną. Widziałem granaty jak pęki rubinów, pomarańcze piękniejsze jak złoczone jabłka, palmy wysokie jak nasze topole, a wysmukłe jak trzcina; akacye kwitnące milionem najpyszniejszych motyli, aloesy noszące swe drgające kielichy na cienkich, długich włóczniach. Widziałem cyprysy, modrzewie, klony, laury, drzewa świętojańskie; widziałem wszystko, co ta piękna ziemia wydała pysznego, i w ubóstwieniu natury ronilem łzy szczere i Bogu dziękowałem, że mi było daném nasycić się serdecznie widokiem Jego utworów.

Korzystając z mego położenia przechodniego, pełniąc dobrowolnie przyjęte obowiązki lekarza garnizonu, pozostałem w Ayamonte dni kilkanaście. Czas mój wolny przepędzałem w gaikach i na polu, w ciągłej, ściśłej styczności z matką naturą, przemawiającą zawsze tak wymownie do mego serca.

Odgłos oceanu szumiącego tak uroczyście, dźwięczne tętnienie dzwonów kościelnych, zapach atmosfery wzruszanęj morskim powiewem, tęskny śpiew rolników, wracających do swych kwiatami porośłych siedzib: oto skromne, ale ulubione, ale niewyczerpane żywioły mego szczęścia. Dumny byłem, że tak mało mi wystarczało, aby być szczęśliwym, że ludziom tak dobrym i szlachetnym, tak hojnie przez Boga obdarzonym, mogłem stać się użytecznym. Nikomu wówczas nie zazdrościłem, i z rozczule-



niem uznawałem, że nie jest nieszczęśliwym człowiek, którego cała dusza może się zapełnić uczuciami wdzięczności i ubóstwienia dla swego Stwórcy; uczuciami, których ani wspomnienia przeszłości zatrzcć, ani obawa przyszłości strwożyć, zdeptać nie zdołają. Żyjąc całkiem życiem terażniejszości, napawałem się, jak gdyby przecuciem jakimś do tego wzywany, wrażeniami chwili, w której wpływ nieba w sobie czułem; gromadziłem w mej pamięci wszystkie czyste rokosze momentu, jak owa mrówka przewidująca długą zimę.

Tak jest! dusza moja była wówczas w ciągłym stanie błęgiego zachwycenia; po długich cierpieniach odpoczęła w rękę Boga, nie dbając o to, co się na ziemi dzieje.

Nawet mnie na chwilę przestała trapić tęsknota.

Dusza ludzka powinna czasem umieć się usamowolnić z węzłów i więzów tej ziemi, wznieść się do swęj niebieskiej ojczyzny, i pokrzepić się zapomnieniem, choć krótkotrwałem, tych drobnych namiętności, w których nie jeden człowiek zatracą wiedzę swęj wyższęj istności.

Razu jednego, wracając wieczorem z wycieczki, zabłądziłem w labiryncie krętych ścieżek, wijących się na podnózu góry. Mnóstwo małych chatek, otoczonych ogródkami, rozsianych było tu i owdzie na różnych wysokościach podnóża. Żywe płoty splecione z aloesów, kaktusów, bluszczu, granatów, kwitnącego jasmínu i kapryfolii, odgraniczały jedno pole od drugiego, i tak się wysoko pięły, że mi wszelki widok na miasto przejmowały. Nie wiedziałem, gdzie jestem i którędy wrócić do domu. Pukam do jednęj chatki, nikt mi nie odpowiada; widać, że gospodarstwo jeszcze w polu. Pukam do drugięj, tu tylko kilkoro dzieci pozostało, a te pierzchają przedemną. Narazcie dochodzi mię głos tęsknego śpiewu z innego ogrodu, z po za którego wznosił się dach schludnie posyty liściami palmowemi.

Głos ten nie jest mi nieznanym, mówię sam do siebie; ale nie! myślę się zapewne, kogóżbym tu znał w tej okolicy tak odosobnionej od miasta?

Staję pod żywym płotem, usuwam starannie liście i kwiaty przejmujące widok, zazieram do ogródka, i spostrzegam dziecko jakieś spore, tyłem do mnie obrócone i na murawie siedzące. W lekkim było stroju, na nogach

nie nie miało prócz płyciuteńkich sandałów; kusa spódniczka z surowego jedwabiu, szerokim, czerwonym, w zęby wykrojonym szlakiem ozdobiona, spadała nie wiele dalej, jak do kolan; koszulka tak zsunęła się z szyi, że prawie całe plecy były obnażone. Włosy rozplecione roniły się jak czarna katarakta w bogatych kędziorach na barki i na ziemię. To dziecko, z tak długimi włosami, kołysało na swych kolanach inne jeszcze dziecko, jakieś niemowlę, nie większe jak dobra lalka, i nuciło mu srebrnym, czystym głosem smętną piosnkę o Grenadzie, upadku Maurów i rozpaczy króla Boabdila. Do dziś dnia brzmią mi w uszach tęskne nuty téj ballady, i słowa te nigdy z méj nie wyjdą pamięci.

Passcabase el rey Moro,  
Por la ciudad de Granada,  
Desde las puertas de Elvira,  
Hasta las de Vivarambla  
Ay de mí, Alhama!

Cartas le fueron venidas,  
Que Alhama era ganada;  
Las cartas echò on el fuego!  
Y al mesagero matava;  
Ay de mí, Alhama!

Hombres, niños y mugeres.  
Lloran tan grande perdida,  
Lloraban todas las damas,  
Cuantas en Granada avia,  
Ay de mí, Alhama!

Por las calles y ventanas,  
Mucho luto parecia,  
Llora el rey como fembra,  
Que es mucho lo que perdía,  
Ay de mí, Alhama!

Król Boabdil jechał konno  
Przez miasto Grenadę,  
Od bram Elviry,  
Aż ku twierdzy Vivarambla.  
Biada mi, Alamo!

I listy mu wręczono,  
Że się podda Alama;  
Listy spalił w ogniu,  
Posłańca zaś ubił na miejscu.  
Biada mi, Alamo!

Męże, kobiety i dzieci,  
Płacze téj wielkiej straty.  
Płaczą damy we wszystkich oknach,  
Ile ich było w Grenadzie.  
Biada mi, Alamo!

Na ulicach i w świątyniach,  
Wszędzie panuje żaloba,  
Płacze król jak kobieta.  
Bo dziś spadła jego korona.  
Biada mi, Alamo.

Jakim sposobem ta pieśń Maurów zaleciała aż tutaj, i stać się mogła pieśnią ludu tak nieprzychylnego dawnym panom Hiszpanii? pytam sam siebie. Zobaczemy, przemówmy do téj dziewczynki, co tak młoda, a tak tęsknie śpiewa.

— *«Mi niana, quieres decirme por gracia, para donde esta el camino de la ciudad? (Moje dziecko, chciej być łaskawe powiedzieć mi, którądy droga do miasta?)»*

Głos mój uderzył jak piorun w młodą dziewczynkę; żywy rumieniec odbił się purpurą na jej obnażonych plecach; stuliła się jak gołębica, i cała się otoczyła kędziorami swych bogatych, czarnych jak heban włosów.

—»Ah panie doktorze! *ah virgen purissima!* podchodzić mnie jak zwierzynę, tak ukradkiem, to nie pięknie! My wszystkie myślały, że pan święty: tak pan dobrze skromnego udawał. Powiem to głuchoniemym Siostram, powiem, jak mi Bóg miły!«

Istotnie to dziecko, ta dziewczynka, była to powabna Donna Maria de Dias Serenas, matka owego niemowlęcia.

—»Przysięgam ci na honor, piękna Donna Maryo, że cię nie podchodził; ślepy traf wszystko zrządził. Od godziny już błądzę w tym labiryncie, i wyjść nie mogę z niego. Nie mogąc się nigdzie dopytać o drogę, usłyszałem głos pani z daleka, i za nim przybyłem aż tutaj. Głos twój słowiczy mnie zwabił; gniewaj się na niego, ale nie na mnie, o Donna Maryo! Ale pani! co tu robisz w tém ustroniu, u kogo tu jesteś?«

—»Ha, ha! jestem w moim własnym pałacu, w mojem królestwie! Ale czy mnie pan widzisz z po za płotu?«

—»Zaledwie słabe rozeznaję zarysy jakiegoś krzaku czarnego, poruszającego się na murawie.«

—»Do prawdy? nie pan nie widzi więcej?«

—»Nic a nic; spostrzegam także coś białego, okrągłego, co wygląda z pod tego krzaka; to zapewnie...«

—»To nie, Don Teodoro! Odwróć się pan i zamruż oczy, proszę; służę za chwilę, tylko mego Pablita odniosę do domu.«

—»Już oczy me zamrużone!«

Donna Marya, lekka jak antylopa, skoczyła na swe nagie nóżki i pobiegła do chatki, tuląc do łona dziecię. Wróciła niebawem z mantylą na głowie, w białych pończochach i płyciuteńkich trzewieczkach, i otworzyła furtkę prowadzącą do ogrodu.

Śmiała się do rozpuku ładna mała istota, owym dzwicznym, srebrnym głosem niewinności.

—»Więc pan istotnie nie wiedziałeś, że biedna Pastora, przedzająca od rana do wieczora u Sióstr głuchoniemych, jest kasztelanką tego pałacu?«

— »Któżby mi miał to powiedzieć? Siostry głuchonieme nie mogły, pani nie powiedziałaś, a pytań niedyskretnych nikomu nie zadaję.«

— »To prawda. *Usted es un verdadero Caballero!* pan jesteś prawdziwym kawalerem. Patrz pan, wszystko to do mnie należy: ten pałac, ten ogród, pole, lasek oliwny i te obory; wszystko.«

Spojrzałem w około. Ogród był wielki jak sala balowa, pole jak dziedziniec, pałacem była chatka, lasek składał się z kilkunastu drzew, a w oborach mogły znaleźć miejsce: osieł, koza i kilka owiec.

»Cha, cha, cha!« śmiała się znów Donna Marya de Dias Serenas. »Cha, cha, cha! smutne coś powzięłeś wyobrażenie o mojem bogactwie, a to jednak mój raj i moje szczęście, i wystarczy nam na utrzymanie, byle tylko wrócił mój kochany Don Valerio. Widzi pan: to pole daje nam chleb, kozy mleko, te pomarańcze wety, oliwki światło do lampy na uczczenie naszej Patronki, drzewo sprowadzamy z gór naszym osiołkiem, mamy wełny i jedwabiu podostatkiem, a na trzewiki wystarczy sprzedaż naszych włoszczyzn; ryby zaś sam Valerio łowi, i na niedzielę królika zabije w tej puszczy, tam na górach; podatki zaś płaci przepisując akta rady miejskiej: mój mąż bowiem jest uczony, zna nawet łacinę!«

— »A któż teraz uprawia wasze pole?«

— »Dobrzy sąsiedzi i sąsiadki. Ja nie mogę, słaba bowiem jestem już z natury, i karmić muszę moje dziecię. Ja znów wywdzięczam się moim sąsiadom szyciem i przędzeniem, i tak żyjemy, lepszych wyglądając czasów. Bodajby przyszły jak najprędzej! Ale wstąp do mego domu, panie doktorze, i uczej mą Patronkę.«

Jedna izba, nie więcej, ale dość obszerna, czyściutka; kominek w jednym kącie, łóżko białe jak śnieg w drugim; tu obraz Matki Boskiej pasterskiej, przed nim pali się lampka.

Złożyłem hołd Patronce tego domu, pocałowałem śpiące dziecko, pokłoniłem się matce na znak, że ją we własnym witam domu. Taki bowiem zwyczaj w Hiszpanii, taki i u nas, i nigdzie więcej na świecie.

— »Boże! jaki szczęśliwy traf pana tu sprowadził; napiśz to memu Valerio, on się tak cieszyć będzie.«

—»Powiedz Donna Maryo, co znaczą te książki: brewiarz, pismo święte, egzegeza, dogmatyka, żywoty świętych aż dwadzieścia tomów, przez ojca Anzelma Societatis Jesu?«

—»Cha, cha! to biblioteka mego męża. On się na księdza sposobił, był nowicyuszem w klasztorze Domikanów, tak jak ja byłam nowicyuszką w klasztorze Urszulinek; ale edykt Mendizabala inny dał obrót naszemu losowi. Klasztorzy zniesiono, zakonników rozproszono, zakonnice wprowadzie miasto Ayamonte wzięło w protekeyę, ale nowicyuszek już nie wolno było przyjmować Urszulinkom. Głuchonieme siostry dały mi przytułek w swym domu, do nich chodził dawny nowicyusz, Don Valerio, na tertulie; spokaliśmy się, polubili i pobrali nareszcie.«

—»Zakonnik z zakonnica?«

—»Nie! dziecko z dzieckiem, panie doktorze,« odpowiedziała rumieniąc się Donna Marya. Mąż mój miał wówczas lat siedemnaście, a ja jedenaste; w tym wieku ani Bóg, ani prawa ludzkie nie mogą wymagać ślubu kapłaństwa. Wolni byliśmy zupełnie i sieroty; miłość rozwija się przed rozsądkiem; tak u nas wszyscy mówią, a rozsądek gdy się rozwinię nie potępia nigdy ślubu zawartego w imieniu miłości.«

—»Jestem zwyciężony, *mi joven Sennorita*, młoda moja pani; ale jeszcze jedno pytanie, wybacz mój ciekawości: powiedz, kto cię nauczył téj ballady o królu Boabdilu, którą z tak rzewnym uczuciem śpiewałaś w ogródku?«

—»Kto mnie nauczył śpiewać rodzinne me piosnki? ja tego nie wiem, doprawdy. Może ojczyzny mój powietrze, może słowiki, co się gnieźdzą w ogrodzie Generalifu, może puszczyki Alhambry. Wszakżeż ja córka Grenady, wszakżeż w mych żyłach płynie krew...« nie dokończyła frazesu.

—»Wszakże w twych żyłach płynie krew... O dokończ! Donna Maryo! krew, która w twych żyłach płynie, jest piękną i szlachetną, nie wyrzekaj jęj się,« mówiłem, śledząc w obliczu młodej kobiety potwierdzenia myśli od dawna powziętej. Czoło to szerokie, powieki długie, ukośnie skrojone, noszek nieco zadarty, zęby bieluteńkie, małe, ale cokolwiek odległe jedne od drugich, cera czysta, ale śniada jak spiz polerowany, a jednak tak przezroczyta, że

każde najłżejsze uczucie w niej błyskało gorącym płomieniem; kibić wysmukła, ten ruch czarujący gracyą i giętkością, ta przedwczesna dojrzałość i to wilgotne, przyćmione, tęskno lubieżne spojrzenie: to typ maurytański czysty, bez skazy, bez przymieszania obcych żywiołów, jasno wybitny.

—»I cóż? Tennorita, jesteś z pokolenia dawnego rodu?« pytałem ośmielając ją do odpowiedzi.

—»Dawnego rodu królów Grenady!« odpowie dumnie młoda kobieta, »z pokolenia dawniej, dobrej szlachty, chrześcianej już w XVI. wieku. Arcybiskup tolekański oblewał święconą wodą mego antenata.«

Ani słowa! gospodyni moja była księżniczką z domu niegdyś panującego, księżniczką na zagrodzie wprawdzie, księżniczką jak niejedna z córek Peleologa, Zenona, Lascaris i Comnena, i dziś jeszcze żyjących; księżniczką, jak może będą potomkowie dziś już niepanujących rodzin, ale zawsze potomkowie sławnego rodu.

Ale po cóż zgłębiać przyszłości tajniki? pocóż domniemywać się tego, co być może?

—»Księżniczka z domu Zegriz żoną bombardyera Donny Izabelli de Bourbon?« spytałem mimowolnie.

—»Żoną szlachcica, panie doktorze,« odpowiedziała dumnie donna Marya.

—»Nie jestem biegłym w heraldyce, *mi Sonnorita*, ale pierwszy raz słyszę o domu szlacheckim *de Dias Serenas*.«

—»Mój mąż jest własnego rodu dynastją, mój mąż urodził się szlachcicem z woli Boga.«

Pojmuję, rzekłem do siebie, pojmuje: twój mąż jest dzieckiem miłości, ma w herbie parę dziobków gołębih pod naguteńkiem niebem i na goluteńkiem polu. O Hiszpanio! cóż za tobą przemawia wymowniej, jak twe dawne, w uczuciu religii czerpane prawa? Gdy się dziecię urodzi, i żaden się do niego nie przyzna ojciec, wówczas prawo Hiszpanii supponuje, nie chcąc robić krzywdy małej niewinnej istocie, że *szlachcic* był ojcem tego dziecięcia, i mianuje je szlachcicem. W Anglii po dziś dzień syn miłości jest uważanym za dziecko ostatniego z ludzi, i według tej myśli wychowywanym w domu podrzutków. Tłumią w niem zdolności, wywyższyc je mogące po nad położenie *minorum gentium*; »niech innym godniejszym nie

zabiera miejsca.« mówi prawo angielskie, zimne, nieubłagane, samolubne.

Prawo hiszpańskie usiłuje wynagrodzić dziecku krzywdę wyrządzoną mu przez urodzenie; prawo angielskie potępia je za nią. Niech sobie Anglik wygórjuje w drogach żelaznych, w fabrykach i komforcie; wyższego ducha ludzkości nie masz w jego prawach; wołę mych Hiszpanów.

Słońce chyliło się ku zachodowi i długie drżące rzucało cienie.

—»Donna Maryo! a którądy droga do miasta?«

—»Pokażę ją panu, tylko osiołka mego schwytam i okiełznam. Dziś tertulia u Siostr głuchoniemych, ksiądz wikary obiecał śpiewać nową *tragala*.«

Donna Marya siedzi na osiołku i dziecko trzyma przy piersiach, ja zaś prowadzę osła za lejce. Istna ucieczka do Egiptu. W tym kraju wszystko jeszcze przypomina czasy biblijne.

## R O Z D Z I A Ł V.

WYCIECZKA DO KRÓLESTWA ALGARWII. — VILLA REAL DE SAN ANTONIO. — POMBAL. — PORÓWNANIE PORTUGALCZYKÓW Z HISZPANAMI. — ŻYWIÓŁY NARODOWE. — NAŁÓG PRZYRODZONY. — RÓŻNOŚĆ JEZYKÓW. — NOSSA SENHORA DA LUZ. — UPRAWA KRAJU. — NIEDBALSTWO POLUDNIOWCA I CZYNNOŚĆ MIESZKAŃCA PÓŁNOCY. — TAWIRA. — FARO, STOLICĄ ALGARWII. — CHOROBY DO MIEJSCOWOŚCI PRZYWIĄZANE. — BOGACTWO KRAJU. — TRUDNOŚĆ KOMMUNIKACYI. — CHEŁPLIWOŚĆ PORTUGALSKA. — GWARDYA NARODOWA. — KOMMENDY. — KOŃ, MUL I OSIEL. — OSOBLIWOŚĆ. — LAGOS. — ALBUFERA. — VILLA NOVA DE PORTIMAO. — TUŃCZYK. — LOULÉ. — KSIĄDZ PORTUGALSKI. — POWRÓT DO HISZPANII.

---

Tak miło i dobrze w Hiszpanii, a jednakże opuścić ją muszę, wrócić raz jeszcze, i to na cały tydzień, do owiej Portugalii, która, przyznam to szczerze, straciła dla mnie znaczną część uroku, od chwili gdym przekroczył Gwadyanę.

Gubernator królestwa Algarwii wysłał do mnie swego sekretarza, i prosi, bym zjechał do Faro ratować syna złozonego jakąś bardzo gwałtowną, a dziwną chorobą. Ostatni to syn z pięciu, których mu dało niebo. Wszysey inni poumierali w kwiecie wieku na polu bitwy, w prezydyach afrykańskich, lub téż w skutku ran i chorób.

Dałem się nakłonić, i już w pół godziny niosła mnie lekka łódź na drugą stronę Gwadyany. Miasto portugalskie Villareal de San Antonio wygląda, ze strony miasta hiszpańskiego Ayamonte, jak fronton ogromnego pałacu, prawie tak jak fronton wersalskiego zamku. Wszystkie bowiem domy zupełnie do siebie są podobne, wszystkie na trzy piętra wysokie, balkonami ozdobne, jednako malowane i w równo-odległych liniach na coraz wyżej wznoszącym się brzegu rzeki napiętrzone. Lecz reszta miasta, leżąca za temi szeregami imponujących domów, składa się z brudnych ulic i niskich źle utrzymywanych domków. Wszędzie tu widać ślady zniszczenia; myślałbyś, że miasto to od wieków za-



niedbane, a ono jest przecież jedném z najnowożytniejszych Europy. Wystawił je wszechmocny minister Józefa I., sławny margrabia Pombal, lat temu zaledwie siedmdziesiąt. Chciał on zrobić dla swego kraju to, czego Hiszpanie dokonać nie byli w stanie; ufając swemu geniuszowi przedsiębiorczemu, swemu dotychczasowemu szczęściu, zaimprovizował tutaj przy ujściu Gwadyany miasto, i przeznaczył je na najważniejszy port morski w całym królestwie.

Ale niełaska zaskoczyła zawód przedsiębiorczego ministra, nim swego dokonał dzieła; następcy Pombala nie umieli naśladować następców Piotra Wielkiego, i dziś improvizowane i zaledwie do piątej części ukończone miasto, nie kwitnie i nie prosperuje, lecz wraca szybkim krokiem do swój dawniej nicości. Port, wielkim kosztem niegdyś z mielizn oczyszczony, dziś znów jest zasypany ławami piasku, wielka tama zabezpieczająca go od nawałnic pogrążona w głębi odmętów, reduty broniące przystani zsunęły się do wody, działa spadły ze spruchniałych ławet i służą ulicznikom do zabawy, niańkom za ławki, a wielki obelisk, wystawiony na placu zwanym konstytucyjny na cześć Józefa I., także nie długo na swém pozostanie miejscu, już się chyli ku spadkowi.

Nieraz mi się zdarzyło słyszeć w wschodniej Francyi, w Niemczech i w naszym kraju, jak ludzie poczuwający się do znajomości ludów, twierdzili, że nie ma narodu podobniejszego do Hiszpanów jak Portugalczycy. Mylne to zupełnie zdanie! Portugalczyk nienawidzi Hiszpana, szczególnie za to, że Hiszpan gardzi Portugalczykiem, i że usiłuje wystawić go na śmiech gdzie tylko może, do czego mu zresztą komiczna chełpliwość Portugalczyka częstą daje sposobność. Oba te narody mieszkają tuż obok siebie, a nie amalgamują się nigdy. Wzdłuż Pyreneów, oddzielających tak niedostępnie Hiszpanię od Francyi, Hiszpanie nieznacznie przechodzą w Francuzów: pomiędzy ludem nie widać wcale tego raptownego odgraniczenia narodowości. Mieszkańcy Nawarry i Biskai, to prawie jedno; mieszkańcy Roussillonu i części Langwedocyi, nie wiele się różnią od Katalończyków nawet i językiem; ale pomiędzy Hiszpanią i Portugalią, lubo nie ma żadnej trudnej do przebycia granicy w postaci kraju, wielka i natychmiastowa zachodzi różnica w narodowościach. Aya-

monte jest miastem czysto Andaluzyjskiem co do języka, ubioru i zwyczajów, a tu z téj strony Gwadyany nie już ni w języku, ni w ubiorze, ni w zwyczajach, ani nawet w rysach twarzy i wyrazistości ruchów ciała, nie przypomina Andaluzyi. Język już nie dźwięczny, ubiór nie malowniczy, na twarzach podejrzliwość, chytrość, a w minie jakaś śmieszna, fanfarońska, wyemancypowaną żydowszczyzną trącają zarozumiałość.

Rzecz dla psychologa bardzo zastanawiająca, owa różnica narodowości pomiędzy dwoma ludami ościennymi. W stanie obecnym historyi nie możemy wytłómaczyć owego dziwnego w oczy bijącego zjawiska. Portugalia dzieliła przez długi czas losy półwyspu Iberyjskiego. Druidzi byli tu przed Rzymianami, i zostawili wieczne pamiątki, nie w religii, cywilizacyi i prawach tego narodu, lecz na jej powierzchni w stosach głazów, których ani ręka ludzka, ani trzęsienie ziemi, zachwiać nie zdołały.

Spoczęły tu bystre orły legionów Rzymskich przez wieków kilka, i zostawiły niezatarte ślady; nie jeszcze w charakterze ludu, nie w ich religii, lecz już w prawach, w cywilizacyi, a szczególnie w języku. Gotom winna Hiszpania jak i Portugalia panowanie chrystyanizmu; Maurom, swój duch bohatersko-romantyczny; Galicyi, Asturyi, Biskai i rycerzom francuzkim swe wyzwolenie z pod jarzma Maurów; a dzisiaj półwysep Iberyjski, od pięciu zaledwie wieków wolny, przedstawia w jednej religii dwa różne państwa, dwie różne cywilizacye, dwa różne języki, słowem, dwa różne i zupełnie odrębne narody, z których jeden słabszy wolałby może zginąć, jak być opanowanym przez drugi mocniejszy.

Każdy z tych dwóch narodów splodził z Ameryką swych synów, synów już z pod opieki ojców usamowolnionych, już własnymi siłami, koleją przez swych rodziców utoroną biegących. Brazylia świadczy za żywotnością narodowości portugalskiej, tak, jak Meksyk za żywotnością hiszpańskiej; a gdyby dla grubszych umysłów na tych wszystkich jasnych dowodach zbywało, jest Luiziada, ów wieczny pomnik geniuszu, dowodzący ludziom serca i duszy, że narodowość Luzytanów ma osobne prawo obywatelstwa w wielkiej dziedzinie historyi, gdyż już przed trzema wiekami posiadała język tak wykształcony, jak dziś najoświe-

ceńsze posiadają ludy. Narodowość Luzytanów, raz wyrobiona, nie chciała czyli nie mogła zrzec się swęj istności, choć polityka jasno dowodziła Portugalczykom, że połączenie się, zlanie w jedno dwóch narodowości obok siebie w zawiści mieszkających, nieskończonyby na nie sprowadziło dobrodziejstwa. Ale nie, nie nie pomogło, ani usilne Hiszpanów starania, ani długi szereg burz i nieszczęść, ani nieugięta i żadnej narodowości nie szanująca wola Napoleona. Portugalczyk obstawał przy swojej, bo nie pojmował życia bez niej.

Pan gubernator, dbały o me wygody, przystał mi powózkę zawieszoną na resorach, a dla obrony dodał mi pięciu dragonów na tęgich, rącznych koniach. Przebywszy ogromne zasy piasku, zawarte pomiędzy Gwadyaną, brzegami morza i lagunami twierdzy Castro Marin, wjechaliśmy na niskie pasmo gór, porośnięte jodłami i świerkami, a frontem obrócone do prawdziwego raju, błyszczącego najpyszniejszą vegetacją, wszystkimi barwami kwiatów i owoców południa. Pomiedzy miasteczkami zwanymi Conceicao i Nossa Senhora da Luz, kraj przybiera postać najstaranniej uprawionego parku: drogi są szerokie, dobrze utrzymane, dąbrowy nadobne, sto rodzajów różnych drzew i krzewów, od palmy, morwy, cyprysa i pomarańczy, do kaktusów, aloesów i fig kolezastych, służą tu za punkt oparcia niezliczonemu mnóstwu pnących się roślin, i tworzących nieprzejrzane, kwiatami umajone baldachimy. A wszystko to ręka ludzka stworzyła: grunt bowiem bardzo jest piaszczysty, i tylko długoletniej pracy, częstemu odwilżaniu gruntów wodą z studni sprowadzonej, winniśmy to przeistoczenie puszczy w najroskoszniejszy ogród. Tyle mówią u nas o gnuśności Portugalczyka i Hiszpana; jest on daleko mniej czynnym jak Anglik lub Francuz, lecz istotnie innym mógłby jeszcze za przykład służyć. Błonia Algarwii piaskiem zawiane, a tak śliczną vegetacją kwitnące, są tego najoczywistszym dowodem.

W pośrodku tego Edenu, gdzie nic nie braknie prócz węzów kusicieli i Ew nadobnych, leży miasto Tavira na obu brzegach rzeki Sequa. Najpiękniejsze to miasto Algarwii, liczy do 10,000 mieszkańców. Wielka ilość wysokich domów, liczne kościoły, place publiczne, nadają temu miastu postać prawdziwie okazałą.

Kościół Panny Maryi, godny widzenia, niegdyś był meczetem. Tutaj znajduje się grobowiec domu Paio Perez Correja, bohatera, który wyparł Maurów z Tawiry r. 1242. Starożytnie bramy miasta i sędziwy czarny zamek, świadczą o dawniej potędze Maurów Algárwii.

O milę za Tawirą zmienia się krajobraz. Okolica staje się skalistą, górzystą, a nareszcie błotnistą; na prawo mijamy na szczycie pasma gór Cadeiro wznoszący się okrągły, niezmierny, bo na 2000 stóp wysoki kopiec. Na samym wierzchołku tego, nie ręką ludzką usypanego, lecz dziwną jakąś katastrofą z wnętrza ziemi wyrzuconego kopca, pobóźny jakiś pustelnik obrał sobie mieszkanie.

O drugiej godzinie po południu wjeżdżamy na źle brukowane ulice miasta Faro, stolicy Algarwii. Półdziewiętej mili geograficznej zrobiliśmy w dziewięć godzin, co dowodzi, że i w Portugalii podróżować można szybko, kiedy się jedzie jako lekarz, pocztowemi końmi, do samego pana gubernatora.

Faro jest miejscem mniej pięknym jak Tawira, ale liczy 3000 mieszkańców więcej. Położenie jego nie szczególne: leży na płaszczyźnie dość oddalonej od gór, na brzegu błot i stawów morskich, w których gnije woda. Budynki nie mają ganków i owych miłych dziedzińców hiszpańskich zwanych *patio*, podłogi i schody drewniane a nie marmurowe, czystość tu wszędzie bardzo podejrzana; kościołów jest kilkanaście, ale ani jeden na wielką uwagę zasługujący, nawet i katedralny, chyba tylko dlatego, że biskup i kanonicy w karmazynowych pończochach właśnie z niego wychodzą. Publicznej przechadzki nie ma tutaj; wszędzie w każdym mieście hiszpańskim znajduje się ona. Bulwark przystani służy za miejsce przechadzki, ale wyziewy wody gnijącej w sadzawkach morskich bardzo są niezdrowe, a nawet i niebezpieczne w tym miejscu. Ztąd mnóstwo tu gorączek tak nazwanych przepuszczających w najrozmaitszych i najdziwniejszych kształtach, z przypadłościami najdziwniejszemi, pod którymi febrы te nigdzie indziej się nie wyjawiają. Przyciem typ tych gorączek, częstokroć podwójny i półtoradniowy, tak staje się niewyraźnym, że trudno odkryć periodyczność i zorientować się w chorobie.

Na jedną z podobnych febr chorował syn gubernatora; choroba wyjawiała się wyraźnie pod postacią zapalenia

mózgu z wszystkimi jej przypadłościami. Puszczano choremu krew, obstawiono głowę lodem i pijawkami, i to mu sprawiło ulgę. Ale choroba w kilka godzin wracała z nową, jeszcze większą wściekłością. Panowie Sangrado nuż znowu *resegnare, repurgare*, i taka sprawa powtarza się kilka razy, aż nareszcie chory tak został osłabionym, że ręką ruszyć nie mógł, a pomimo tego przypadłości zastraszające wracały.

Dziesięć granów dobrej angielskiej chininy, którą miałem w aptece mej podróźnej, wziętych właśnie w krótkiej chwili apyrexji, to jest w czasie wolnym od febry, zniszczyło całą chorobę od jednego razu. Osłabienie potrwało jeszcze dni kilka, te spożytkowałem na wycieczki w całej Algarwii, o której wiemy, że bardzo obszerną nie jest, zawiera bowiem zaledwie mil kwadr. geogr. 100.

Ale choć szczupłą w swych rozmiarach ta prowincya, najbogatszą jest ze wszystkich wchodzących w skład całej Portugalii. Mniej jest obfitą w zboże jak w owoce. Połów ryb, a szczególnie stokfisz, sardelów i ogromnych tuńczyków, zatrudnia mnóstwo ludu. Góry zawierają podostatkiem metalów, mianowicie miedzi.

Ztém wszystkiem prowincya ta mało jest znaną światu a nawet i stolicy Portugalii, Lizbonie, zapewne dlatego, że się nie może szczycić żadnymi wielkimi pomnikami, lub arcydziełami sztuki, wartość historyczną albo artystyczną posiadającemi. Prócz majtków angielskich i hiszpańskich, nikt tu nie przybywa z zagranicy; a żaden majtek nie wyrze nigdzie dobroczynnego wpływu na cywilizacyę, o tém wiemy.

To odosobnienie od reszty Europy spowodowało zapewne ową barbarzyę umysłową, w której się znajduje lud Algarwii. Fizyonomia ludu Algarwii jest chytra, filuterna, ale bynajmniej tak mądra, jak reszty mieszkańców południa Europy, bynajmniej nie mądra, tylko co się nazywa głupia. Nosy mają spiczaste, kości policzkowe wystające, wazkie wargi, małe, głęboko leżące, czarne, kolące oczy. Coś zaczajonego w całym wyrazie twarzy. Mniej daleko są żywi jak inni południowcy, wyglądają czarni, zdziczali jak Beduini; ale tyle mają komiczności w swoich ruchach, w swojej chępliwości, w swój niewolniczej grzeczności, że pomimowolnie śmiać się z nich trze-

ba. Jeden z nich, chwając swą siłę, powiedział mi z najspokojniejszą miną w świecie, tak jak gdyby mówił o rzeczy, którą już sto razy sprawdził:—»Trzeba panu wiedzieć, *najświętejszy* panie (a), że jak ja nóż dobędę, to ziemia zdrzży; a jak nogą tupnę, to gwiazdy spadają z nieba.«

Algarwczyk nie liczy swęj kawaleryi na konie, tylko na nogi, umyślnie żeby szumięj brzmiało.—»Mamy dwieście nóg konnej gwardyi narodowej w królestwie obu Algarwii!« zaręczał mi pan gubernator, robiąc wielkie oczy. To znaczy, że było pięćdziesiąt koni na papierze, a dwadzieścia zaledwie w naturze całego kontyngensu.

We wszystkie się objawia wiara, którą pokładają Algarwcyki w przechwalaniu, w szarlataneryi i fanfaronadzie, nawet w komendach wojskowych. Przed oknami, podczas mego pobytu w pałacu gubernatora, mustrowała się codziennie rano przez godzinę gwardya narodowa miasta Faro, i tam mnie przynajmniej pięć razy na kwadrans dochodziła następująca komenda: »*Bem finchar a figura!*« to znaczy: »przybrać marsa w twarzy!«

Miasto Faro posiada muzeum historyi naturalnej, które warto zwiedzić. Składa się li tylko z indywiduów w Algarwii znalezionych: ze zwierząt ssących, z ptaków, ryb, płazów, muszli, niezliczonego mnóstwa jestestw organicznych morze zamieszkujących, a ustrojem swym średnie miejsce pomiędzy zwierzętami i krzewami zajmujących, nareszcie z roślin, grzybów rosnących na ziemi, z minerałów i petryfikacyj w niej zawartych. Muzeum to, założone przed stu cciem przez jednego z gubernatorów, już przed połową wieku miało tyle wartości, że o nięm bardzo zaszczytnie wspomniął w swych podróżach pan Link, professor botaniki przy uniwersytecie berlińskim. Najwięcej go zastanowiło wypchane tu znajdujące się zwierzę, a zajmujące swym ustrojem średnie miejsce pomiędzy mułem i koniem. Istotnie zwierzę to jest synem muła, ale daleko więcej zbliżone do konia jak muła; uszy bowiem ma mniej długie, zaledwie ślad owęj ciemnej linii ciągnącey się u muła od grzywy aż do ogona, ogon sam inaczęj osadzony jak u muła, i przy samej prawie osadzie w wło-

sie wyrastający. Wiemy, że natura, by zakonserwować o ile możności typy pierwotne, nie dozwoliła używać ojcowskiej radości dzieciom, z spółkowania jednej różności (variété) z drugą wynikłych.

Muł jest wszędzie zwierzem nieplodnym; chytra złoliwość jego znaną jest na całym świecie. Tu jednakże w Algarwii natura oczywiście odstępuje czasem od praw swych wiecznych: dowodem tego jest nie tylko wypchane zwierzę znajdujące się w muzeum, ale i żyjące podobnego rodzaju, będące w posiadaniu sędziego pokoju miasta Faro. Widziałem nie tylko syna, ale także ojca i matkę na me własne oczy. Syn ma wszystkie odmiany ojca, to jest: strzałkę na czole i dwie nogi lewe białe aż po pętlice; ale zresztą kolor ma swój matki, nie jest brudno-kasztanowatym, tylko białym, a oczy i ogon ani zupełnie do matki, ani też do ojca podobne, tylko średnie pomiędzy niemi zajmujące miejsce. Tak tedy muł Algarwii, nie tylko że nie jest wyzutym z drogiego każdej żyjącej istocie przywileju, dawania życia podobnym sobie istotom, ale nawet posiada wyjątkowy przywilej dawania życia szlachetniejszym od siebie istotom. Któż zgłębić zdoła przyczyny tych wyjątków łask natury?

Feluką wojenną żaglową popłynąłem z Faro do miasta Lagos, leżącego tuż pod przylądkiem zwanym: *Punta de Pietade*. Statek ten zaledwie na dwadzieścia łokci długi, trzema małemi działkami uzbrojony, i który jeszcze żadnemu nie dokuczył kontrabandyerowi angielskiemu, Portugalczycy ochrzcili szumném nazwiskiem: „O terror do mundo« (postrach świata).

Mijamy miasto Albufere, wybudowane częścią w skale zawieszonój po nad morzem, podmywajacém z wielkim rykiem i łoskotem jój podnoże, częścią na dwóch wzgórzach, z których jedno ku wschodowi obronne jest zamkiem. Tu się schroniła dnia 27. lipca 1833. r. część mieszkańców miasta, w chwili, gdy nań Migueliści napadli. Poddać się musieli i siedmdziesiąt cztery osób różnego wieku i płci życiem przypłaciło zaufanie położone w szlachetność i słowność zwycięzców.

Mijamy i inne miasteczko zwane Villa nova de Portimao, leżące w czarującej krainie, w pośrodku pysznych plantacyj, nad brzegiem pięknej obronnej przystani. Nad

tém miejscu ku półnoocy wznosi się najwyższa góra pasma zwanego Monchique; tam na szczycie leży miasto tegoż nazwiska, sławne kopalnie, i ważne wody mineralne Caldas de Monchique, wody siarczane umieszczone w głębi niezmierniej jaskini. Ale wszystko to: góra, miasto, kopalnie i wody, nie należą do Portugalii od lat kilku; tam jeszcze panuje z swemi hordami śmiały gerylas Remechido; biada podróżnemu, który mu wpadnie w ręce, u niego liłości nie ma. Ale i on nie utrzyma się wiecznie, zostanie schwytanym i rozstrzelanym w Faro.

Jesteśmy pod malowniczą przystanią Lagos, mamy pod sobą zajmujące widowisko. Morze, pędzone przyplływem i wiatrem południowym, bieży do zatoki, a z falami jego chronią się całe chmary sardelów, uderzające jak ławy piasku o nasz statek; chronią się także tysiące tuńczyków, wyskakujących jak stada prosiąt sinym grzbietem po nad fale oceanu. Poczekajmy tu sześć godzin. Morze się znów cofa i ryby rade się z nióm cofnąć. Ale już zapadła klamka!

Sto łodzi zamyka wejście do zatoki, trzysta rybaków bije wiosłami i drągami w wodę. Potrwożone ryby zostają w zatoce, oczekując lepszych czasów. Ale te nie przyjdą niestety! wody do oceanu wrócą, a pozostanie w zatoce wał ogromny, w niektórych miejscach na dwadzieścia stóp wysoki, cały złożony z sardelów i tuńczyków. Szeszęset siedmdziesiąt tuńczyków, z których każdy waży w przecięciu trzydzieści funtów, pięćset sześćdziesiąt beczek sardelów ważących po sto dwadzieścia funtów, słowem ośmdziesiąt sześć tysięcy funtów ryb na jeden połów bez matni i bez sieci, bez znoju i niebezpieczeństwa! o to obfitość! Nie każdym razem tak się uda połów, i nie we wszystkich porach roku przyplływają tu tak grzecznie owe ryby; ale w przecięciu uda się podobny ośmdziesiąt razy do roku, i jakichże niezmiernych bogactw byłby źródłem dla miasta Lagos, gdyby Portugalia posiadała łatwiejsze środki komunikacyi. Trzy części połowu zmarnuje się tutaj w podróży, a reszta źle jest soloną, dlatego, że sól jest monopolem rządu, a zatem bardzo droga.

Powracam do Faro lądem przez Silvas, dawną stolicę Emirów czyli królów Maurytańskich Algarwii. Jeszcze



sterczą tutaj wieże i mury okazałego zamku Saracenów, jeszcze zdumiewają pięknnością starodawne bramy miasta.

Nocuję w Loulé, mieście do 9000 mieszkańców liczącym, a rozpościerającym się na pięknych wzgórzach, obfitujących we wszystkie cuda téj niewyczerpanej vegetacyi Algarwii. Doliny, pagórki, rzeki, młyny, krynice i stawy, w pośród cyprysów, palm, drzew pomarańczowych, figowych, drzew oliwnych, kaktusów, aloesów, pól, a raczej lasów kukurydzy, łąk porośniętych wysoką trawą i ryżem. A któż zdoła wyliczyć wszystkie kwiaty, czarujące zdumiałego wędrowca swym zapachem i barwą? I to wszystko dla ludzi tak żydowsko chętnych, tak kobieco zarozumiałych, tak niewolniczo grzecznych,—a chytrych!—a głupich! Boże wielki, popsułeś ich Twemi darami!

I wróciłem do Faro, i mego pacjenta już na nogach ujrzałem, i tysiąc dzięków od gubernatora i od wielu obywateli przyjąłem.

—»Kochać tak rzewnie naturę, jak ja ją kochać umiem, nieść tak chętnie ulgę swym bliźnim, jak ja ją niosę, wszystkie me dobre myśli i uczynki Bogu, a złe sobie samemu przypisać, księżu dobrodziejju! i to nie jest być chrześcianinem?« pytałem z zadziwieniem proboszcza z Villa-Real, z którym wracałem do Gwadyany, tym razem bez eskorty. (Pan gubernator upewnił mnie, że suknia księdza dobrodzieja starczy mi za eskortę dragonów... Istotnie nikt nas nie atakował po drodze, ale od czasu jak mieszkam w kraju, w którym posyłają po lekarza koczem, a odsyłają go bryczką, nabrałem dokładniejszych wyobrażeń o procederze *potrzebujących* względem *potrzebnego*.)

Wracam tedy do méj kwestyi i jeszcze raz pytam sędziwego księdza proboszcza z Villa-real:—»Czy mam prawo uważać się za chrześcianina lub nie?« On zaś, załamawszy ręce i podnosząc oczy, odrzekł:—»Nie, mój synu, nie! to nie dosyć, doprawdy nie dosyć.«

—»A więc dopiero wtenczas będę chrześcianinem, gdy się stanę zupełnie podobnym do rolnika portugalskiego?« pytam dalej bardzo zmartwiony.

—»Tak, tak, synu! nie inaczej; wtenczas będziesz chrześcianinem, gdy się wyrzekniesz zaufania w twój krótki, mylny rozum, gdy do twych słów i czynów natchnienia bę-

dziesz szukał w téj niewyczerpanéj krynicy ducha, w której wszystko jest cudowném, wszystko możebném.«

To usłyszałem w królestwie Algarwii, a w kilka lat potem, pewien *ktoś*, o którym dziś jeszcze nie wiem czém jest, w Bazylei powtórzył mi słowo w słowo toż samo, z większém jeszcze namaszczeniem.

*Nihil novi sub coelo*, wielka to prawda! po cóż ja jeździłem do Portugalii? po to, żeby się dowiedzieć, że nie jestem chrześcianinem!

Przybywam do Villa-Real. Tu mnie już czekają dwa herkulesy, dwaj kolosalni wioślarze z Ayamonte, i witają wesołym okrzykiem: »*Ah Don Teodoro! ya todas las donzellas de Ayamonte estan llorandas, y todas piden a Usted!*«

Wracam do téj Hiszpanii, do której tak chętnie i od razu przyśtałem. Tobie wolno być dumnym, kraju tęgich ludzi i pięknych kobiet! I mnie także wolno być dumnym gdy sobie przypomnę, że takiemu ludowi stałem się pożytecznym, gdy sobie sumiennie powiedzieć mogę, że pomiędzy nim czerpane nauki nie poszły do lasa.

## ROZDZIAŁ VI.

KADYX.—DZIEJE TEGO MIASTA.—ZATOKA.—PAN UTHOFF KONSUL PRUSKI.—NARODOWOŚĆ NIEMIECKA.—KONSUL WIELKIEJ BRYTANII.—CÓRKI JEGO.—PIĘKNOŚĆ KOBIEC.—ZAZDROŚĆ KOBIECA.—DONNA DELFINIA.—TERTULIA.—SERENADY.—KLASZTOR KAPUCYNÓW.—NABOŻEŃSTWO.—OSOBLIWOŚĆ BOTANICZNA.—SZPITAL.—SIDI AHMET.—TUNIS.

Czyto Wenus Afrodyte występuje jak śnieżna piana z odmętów bezdenne go morza? Czyto grupa srebrnych minaretów wзира po nad wzburzone fale oceanu? Czyto nie złudzenie mego wzroku, lub kaprys wyobraźni, wybujałej obrazami tego południowego nieba? Nie! to Kadyx, wznoszący się po nad modre wody Atlantyku, Kadyx śnieżny, piękny, kąpiący swe stopy w czystych nurtach morza, a pławiący swe szczyty w jasnym lazurze przezroczy stego nieba. Piękność jego ciągle wzrasta, coraz więcej świeci się z każdym obiegiem potężnych kół, rozdzierających bałwany i zostawiających długą, pienistą drogę za nami. Kadyks wydaje się odosobniony od lądu jak wyspa; długi, piaszczysty język, łączący go z lądem, znika zupełnie: nawet jeszcze w bliskości tak jest mało wyniesionym po nad powierzchnią piętrzących się fali. Niezmierne miasto z swemi bieluteńkiemi domami, z których prawie każdego pnie się ku obłokom misterna wieżyczka, *miradorem* zwana; niezmierne miasto, mówię, opasane jest zewsząd granitowym wałem, o który, ciągłym dręczone gniewem, huczą fale morskie i rozbijają się w białą pianę. Piękny to i wspaniały, bohaterski gród, co się wznosi w śnieżnej bieli przed memi zdumiałemi oczyma. Trzydzieści przeszło wieków kołatało tu o te ogromne skały, i zawsze wydawało dźwięk cywilizacji, roznoszącej się jak niebieska harmonia na odległą okolicę. W najciemniej-

szęj pomroce przedhistorycznych wieków osiedli tu Fenicyanie i przezwali to miasto imieniem Gades; złąd wypływali w dalekie morza do Tyru po purpurę i aż na brzegi dzisiejszych Prus i Kurlandyi. Bussoli jeszcze nie znali, wiedzieli tylko, że fale Bałtyku wyrzucają bursztyn, a bryłom niekształtnym już wówczas umieli nadawać powabne kształty. Później Kartagińczykowie odbili Fenicyanom to miasto, tu wzniesli bóstwom swym ołtarze, i tu, w świątyni Herkulesa, Hannibal zaprzysiągł, po wzięciu Saguntu, w ręce swego ojca Amilkara wieczną nienawiść przeciw Rzymianom.

Rzymianie opanowali miasto w drugiej wojnie Punińskiej; Juliusz Cezar dał mu nazwisko: Julia Augusta Gadtana, i wyniósł je do godności *municipium* rzymskiego. Pod panowaniem Rzymian kwitnęło to miejsce, jako jedno z najpiękniejszych całego państwa; wydało kilku znakomitych obywateli rzymskich, mianowicie historyka Korneliusza Balbę, poetę Kanjusza, i Columelę, ojca agronomii.

Później hordy Wandalów, chmary Gotów zalały Hiszpanię i zacierają ślady cywilizacji. Kadyx upadał. Wkraczają Maurowie do Europy i zdobywają miasto, lecz nie oceniają ważności tego punktu, i mniej daleko zadają sobie pracy na upiększenie go, jak na ozdobienie Sewilli, Korduby, Toledu i Grenady. Ztém wszystkiém sumienny Aben-Zoar, dziejopisarz i lekarz arabski, żyjący w XIII. wieku, zaręcza nam, że Maurowie wielkimi wysileniami rozprzestrzenili i oczyścili ze skał przystań Kadyxu, i że w środku samego miasta niesłychanemi trudami wydrążyli w opoce jedyną studnię, która do dziś dnia tu istnieje. Będziemy mieli sposobność przypatrzenia się jej z bliska.

Wiemy, że krzyż chrześcijański długo i cierpliwie czekał na sposobność odebrania półksiężycowi mahometanowskiemu jego zdobyczy. Przyszła nareszcie upragniona chwila. Złoty lew Kastylji znów powiewa na wysokich wieżach Kadyxu. Odkrycie Ameryki nadaje mu ważność, jakiej nigdy nie posiadał: drży bruk Kadyxu pod ciężarem wozów obładowanych złotem Meksyku i skarbami peruwiańskimi. Taką przebyło przeszłość to piękne miasto, ale mało bardzo zachowało zabytków, mogących dziś żywo przypomnieć tę świetną a starożytną epokę jego istności. Zadrżała po trzykroć, jak lew ze snu przebudzony,

ta silna opoka, na której wystawiono tyle pałaców i kościołów; z jej grzbietu runęły w otchłań morską wszystkie zabytki starożytności. Czego nie dokazało trzęsienie ziemi, to dokazały bomby angielskie w r. 1596. Kadyx znów był pustynią jak 3000 lat przedtém, tylko mu pozostała część pracowitych i przedsiębiorczych mieszkańców. Oni odbudowali miasto według zupełnie nowego planu.

I tak się stało, że Kadyks, najdawniejszy gród całego półwyspu Pirenejskiego, jest dziś najwytworniejszym miastem w całej Hiszpanii, jedném z najokazalszych w całej Europie.

Dumne jego wały, świetne, marmurem brukowane ulice, pyszne place i alamedy, wysokie marmurowe pałace, ogromne magazyny, przypominają dziś jeszcze panowanie Ferdynanda aragońskiego i Izabelli kastylskiej, Karola V. i dwóch Filipów, kiedy Kadyks był jednym z najważniejszych portów handlowych świata.

Dziś już tém nie jest Kadyx. Dziś jest tylko jedną z najobronniejszych twierdz świata.

Gruby, na 45 stóp wysoki granitowy wał, w nim kamizaty z kul szydzące, i siła bastyonów w morze wkraczających, opasują miasto w około. Dwie groźne cytadele pilnują wejścia do zatoki; straszna, potrójna linia fortyfikacyj broni bramy Trocadero, jedyniej od strony lądu, a mnóstwo oddzielnych baterij i szaniców piętrzy się około zatoki, mającej pięć mil geograficznych obwodu, a tak obszerniej, iżby wszystkie floty świata pomieścić mogła.

Nie znam miasta morskiego, nie wyjmując nawet Kopenhagi i Palermo, któreby ze strony przystani miało postać tak wspaniałą i dumną, jak Kadyks. Czarujący widok! mianowicie gdy gazem oświetlone przegląda się w własnych wód zwierciadle. Domy okazałe, prawie wszystkie na próbę bomby wystawione, na 3 lub 4 piętra wysokie i tyłuż gankami ozdobione; marmuru nigdzie nie szcędzono; dachy płaskie, lasem krzaków zastawione a nad dachami wznoszą się wysoko w powietrze owe »miradores,« owe wieże, z których widok na morze i przybywające okręty tak precudowny. Wieże te udzielają miastu szczególny powab i charakter. Ściany, pokoje, schody a nawet i sienie domów, powykła-

dane są białym marmurem: wszędzie tak ładnie i czysto, wszystko tak białe, świecące i misternie, iż zdaje się, że to z cukru upieczone. Tylko ulice położone około kościoła katedralnego, mniej się odznaczają czystością. Pyszna architektura domów, szlachetna postać miasta, ruch zawsze jeszcze żwawy w porcie, świat elegancki krążący na spacerach, wystawne, pełne przenikającej uroczystości nabożeństwo w kościołach; nareszcie to niebo południa, chłodzone ciągłym powiewem oceanu, to powietrze tak czyste, którym tak swobodnie oddychasz, ten niewypowiedziany urok rozwoju ciągle młodzieńczego, niezatrutego żadnym nieszczęściem, a odbijający się tak wyraźnie na wszystkich twarzach młodych i starych, pięknych i nie pięknych; ten odgłos życia bez granic, który znajdujesz w każdej duszy tej bohaterskiej ludności Gadetańskiej, która zawsze broniła cnoty i była przedmurzem cywilizacji, przyszłość rodu ludzkiego odgadującej:—oto przyczyny mego szczęścia, mój czulej sympatyi, mego uniesienia, gdym się znalazł w murach Kadyksu.

Czytelniku! znasz ty historję życia tego miasta? wiesz ty, ile cierpiało od lat pięćdziesięciu?

Opowie ci ją ten starzec z siwiuteńką głową, z obliczem tak ezerstwem; którego tam zoczysz w pośród licznego grona mężczyzn i kobiet na Alamedzie. To pan Uthoff, konsul pruski, rodem Niemiec, ale od końca przeszłego wieku tutaj osiadły. On tak mówi: »W r. 1801., Anglicy bombardowali nasze miasto. Wszystko, co broń nosić mogło i nosić chciało, zostało powołaniem do obrony. Żaden z cudzoziemców nie pozostał głuchym na to powołanie. Wstąpiłem i ja z memi trzema braćmi do gwardyi narodowej. Flota francuzko-hiszpańska przyszła nam na odsiecz; Anglik ją pobił, ale zwycięstwem samym dnia 22. lipca tak się osłabił, że odstąpić musiał od oblężenia. Jeden z mych braci stracił życie w bombardowaniu. W trzy lata potem żółta febra wkradła się do naszego portu aż z Ameryki. Połowa mieszkańców miasta wymarła; z nią mój brat drugi. Po wybuchu wojny w r. 1808. bombardowaliśmy z baterij Trocadero, Puntales i Sancti Petri flotę francuzką, leżącą w zatoce, a dowodzoną przez admirała Rosselly, i zmusiliśmy ją do poddania się. W roku 1810. regencya królestwa Hiszpanii, ścigana przez marszał-

ka Soult, schroniła się do Kadyksu. Francuzi blokowali i bombardowali nasze miasto przez lat dwa. Nikt nie zdołał opisać naszej nędzy: brakło i amunicyi i żywności, ale o poddaniu się nikt nie myślał nawet. Pod bombami i kulami nieprzyjaciół, umierając z głodu i z wycieńczenia, układaliśmy prawo zasadnicze dla całej Hiszpanii. To owa sławna konstytucya 1812. r., dla której się tyle krwi rozlało. Napróżno Soult, Victor i Sebastiani roztrącali kulami swemi bohaterski Kadyks; napróżno doń stali olbrzymie bomby z umyślnie lanego móżdżierza, z zdobytego na nas portu Matagorda; myśmy się nie poddali i nieprzyjaciół odciągnąć musiał. Pokój potrwał aż do r. 1820.; wzmocniłyśmy się znów w siły, a ja, choć konsul dalekiego kraju, dzielając wszystkie koleje mej przysposobionej ojczyzny, zostałem uznany, prawem kraju i wolą ludu, za rodaka tych bohaterskich dzieci Kadyksu, którzy nigdy nie ulegli żadnym przeciwnościom. Dnia 1. stycznia 1820. r. zbuntowały się na Isla de Leon hufce, które miały być wysłane na uśmierzenie powstania amerykańskich kolonij, pod przewodztwem podpułkownika Riego, i spowodowały ruch ogólny, do którego przystąpił król Ferdynand VII., uznawszy powtórnie prawo zasadnicze 1812. r. Kadyks odgrywał w tej okoliczności główną rolę, król bowiem i kortezy schronili się tutaj przed francuzką armią, dowodzoną przez księcia Angoulême. I znów klęski wojny i powietrza morowego zlały się jednocześnie na nasze miasto. Nieubłagane nam dokuczały postrzały francuzkie i żółtej febry zaraza. Trzeci mój brat padł ofiarą ostatniej. Francuzi, ci sami, którzy nam lat temu dwadzieścia przynieśli *pojęcie o godności i prawie człowieka*, którzy w dziesięć lat potem wytepiali nas najnielitościwiej, ciż sami Francuzi w r. 1823., spaliwszy nam miasto, zaprzysięgłszy pod marszałkiem Bourmont warunki kapitulacyi, wtargnęli do nas i odbudowali, dopuściwszy się niestychanych gwałtów, panowanie inkwizycyi. Skutkiem takich wojen i klęsk rozlicznych, skutkiem późniejszego odpadnięcia kolonij amerykańskich, handel Kadyksu został zniszczonym. Ferdynand VII., chcąc wznieść upadające miasto, uznał je za port wolny. Jeszcze raz zabłysła nadzieja lepszego bytu i błogie wydała plony: liczba mieszkańców wzniosła się do 70,000. Lecz stan ten nie potrwał długo: reakeya wzięła górę i cięży dotychczas

na tém miejscu. Kadyks wprawdzie pozostał wiernym swym zasadom, i jeszcze w r. 1843. ofiarował przytułek Esparterze, ściganemu przez wojsko reakcyonistów. Ex-regent nie przyjął jednakże téj ofiary i udał się do Anglii. Takie przetrwałem koleje w tém miejscu,« mówił dalej don Ludolfo Uthof, rodem Niemiec i konsul pruski; »kilkakrotnie otrzymałem chrzest narodowości w klęskach méj przysposobionéj ojczyzny, i dziś otoczony dziećmi i wnukami tutaj spłodzonymi, jestem Hiszpanem tak dobrym, jak i każdy inny pod tém niebem zrodzony Hiszpan.«

Cóż można zarzucić takiemu rozumowaniu? potępić staro konsula za wyrzeczenie się własnéj narodowości dla innéj, obcój, żywotnéj, bohaterskiej, w poświęceniach się swą czerpającej? niesposób! Nie przywiązał go do siebie ów żywioł germanizmu, który nawet w swój pełnej istności jest raczej potęgą ujemną, odbierającą, jak dodajną: zachwyił go żywioł hiszpański, jedrny, życiodawczy, nawet wtenczas, kiedy cierpi i boleje. Szczęście to wielkie rodzić się na ziemi godnéj kochania, pomiędzy ludźmi szacunek wzbudzającymi, w atmosferze, której dźwięk tak jest mownym, że jój harmonijne tony towarzyszą nam od kolebki aż do grobu, w dalekiej odległości i po długim czasie. Ale nie każdemu dane to szczęście. Niemcowi widać nie dane, kiedy go tak pełno we wszystkich obcych krajach, kiedy się tak łatwo wynarodowia.

Innego był usposobienia konsul angielski w Kadyksie. Ten, choć od dawna w Hiszpanii przebywa, nie stracił ani cała z swój sztywnéj narodowości, ani nawet nic z swych przesądów, nałogów, upodobań i oryginalności. Oficerem był marynarki w swój młodości, lat temu ze trzydzieści, i dlatego też wprowadził w swój dom marmurowy i nie chwiejący się, wszystkie zwyczaje żeglarskie. W konsulacie angielskim nikt nie śpi w łóżku, tylko w hamaku, zawieszonym na sznurach u sufitu. Równy ze świtem, na znak dany wystrzałem, zbierają się hamaki i przytroczają na ganku, niby na galeryi okrętowej. Co cztery godziny dzwon powołuje coraz innych lokajów do służby. Ledwie wstąpisz do konsulatu, a już cię odźwierny piszczałką gospodarzowi anonsuje: trzy razy jeżeliś *gentlemanem*, dwa razy jeżeliś *osobą*, raz tylko jeżeliś po prostu *człowiekiem*. Wiemy już z poprzednich opisów, że w oczach Anglika



ludzkość dzieli się na *gentlemen, persons* i na *men*. Konsula nigdy nie ujrzysz bez *tuby maryny* w rękę, którą tylko przemienia od czasu do czasu na kielich ogromnego rozmiaru, gdy się chce napić z tobą *the good morning toast* (dzieńdoberek), co mu się trafi ze dwadzieścia razy na dobę. Gdy audyencya skończona, konsul świszczy w piszczałkę, lokaj ubrany za majtka wpada do pokoju, otwiera drzwi na oścież i także gwizdże, drugi lokaj w przedpokoju gwizdże, odźwierny gwizdże, i tak cię wyświstują z konsulatu bez żadnej litości, aż staniesz na bruku. Na samym gmachu konsulatu wznosi się, zamiast wieży, wysoki maszt okrętowy, ubrany we wszystkie swe powrozy, liny, drabiny i kosze, a w koszu siedzi majtek z perspektywą i ciągle spogląda na wszystkie strony, i krzyczy jak opętany, gdy z daleka okręt jaki spostrzeże. Na samym szczycie masztu dumnie powiewa flaga Wielkiej Brytanii.

Ztém wszystkiém konsul angielski w Kadyksie jest osobą godną widzenia, godną poznania i szacunku godną. Wystawnie reprezentuje wielkość swego kraju, rozsądza jak Salomon spory pomiędzy kapitanami kupieckich statków i ich majtkami, propaguje metodyzm, i jest ojcem dwóch prześlicznych córek, wysokich, poważnych, białych jak lilie, i jak białe róże powiew różowy na licach noszących.

Ż niemito właśnie jestem na *Plaza de San Antonio*, dziś przechrzczonej imieniem *Plaza de la Constitucion*, na tym obszernym czworo granie, wysadzonym w około pysznemi exotycznemi drzewami, wyłożonym tafflami białego marmuru. To spacer publiczny; tu co wieczór zbiera się cały piękny świat gadetański, a przedewszystkiém *las Sennoras y Sennoritas, Donnas y Duennas, Manolas y Muchachas,—todas las hermosuras de la muy heroica ciudad Cadix*, wszystkie piękności bohaterskiego miasta Kadyksu.

Często mnie się pytają: »czy piękne Hiszpanki?«

»Czy piękne Hiszpanki?« na to pytanie nie łatwo odpowiedzieć jedném słowem.

Cóż pod pięknością kobiet wystawiamy sobie?

Gdyby dowiedzioném było, że istnieje gdzieś typ idealną piękną kobiety zmateryalizowany w ciało, w marmur,

lub przynajmniej ujęty pędzlem malarza; gdyby wierzyć można, że natura daje sztuce lub umiejętności prawo przedstawienia lub obrachowywania jęj bezwzględnego piękna w formatach powszechnie przyjętych: natenczas na powyższe pytanie odpowiedzi dawać nie śmiałbym, nie miałem bowiem nigdy sposobności sprawdzać łokciem i cyrklem tych interesujących badań. Podciągnąć pod rozmiary matematyczne takich drażliwych kwestyj nie można, dopóki w postrzegaczu trwa życie choć tylko odbiciem wspomnienia.

Zresztą, według jakiej porównawczej skali mamy cenić piękność kobiet? Czy istotnie w utworach dłuta Fidyusza i Praxytelesa? Czyż istotnie mieli oni odgadnąć najwyższy stopień piękna, do jakiego na tej ziemi wzniesić się może owe najładniejsze stworzenie Boga—kobieta?

Nie! wszakże rodzaj ludzki kształci się fizycznie, w miarę jak się wykształca jego dusza; wszakże każde szlachetne uczucie odbić się musi i znaleźć trwałą przystałość w obliczu człowieka; a religia chrześcijańska silnie wpłynęła na wydoskonalenie duszy. Przypomnijmy sobie, jakie surowe, jakie materialne wyobrażenie robili sobie Grecy o Najwyższej Istocie i o jęj przymiotach, jak tłumaczyli *miłość*, tę najpiękniejszą i najświętszą własność serca ludzkiego, przez Chrystusa po pierwszy raz w całej swęj godności pojętą, a dziś jeszcze niestety nie przyjętą za podstawę wszelkiego szczęścia doczesnego i wiecznego.

Rzecz niezaprzeczona! Ród ludzki kształci się ciągle i doskonali bezwzględnie, tylko nie jednostajnie, nie jednocześnie na tym samym punkcie ziemi.

A zatem doskonalimy się także w piękności; i to, co było niegdyś uważanęm, lub duszą artysty przecutęm za najwyższego piękna ostatnie słowo, już przewyższonęm zostało rzeczywistością na tym lub owym punkcie ziemi, gdzie ani klimat, ani przesąd, ani głupstwo, nie kępują rozwoju człowieka. Canova i Thorwaldsen powinni być wyższymi od Fidyusza i Praxytelesa, gdyby im równy był dany talent, lub gdyby byli mieli szczęście wyszukać sobie również grzeczne Chryne, Galatee i Laisy. Aleksander Macedoński, ów wielki zdobywca, pod którego młodzieńczemi stopy zadrżał niegdyś świat cały w swych podstawach; Aleksander, stanąwszy nad gro-

bowcem Achillesa, w szczupłym tylko obrębie bohaterstwem wstawionego, zawołał: »O szczęsny młodzieńcze! któryś znalazł w lutni Homera sławy twój tłómacza!«

Aleksander zazdrościł Achillesowi, tak jak my, chrześciance, zazdrościć musimy Grekom ich wielkich rzeźbiarzy; ale znajdzie się kiedyś godny tłómacz chrześcijańskiego piękna, wyższy geniuszem plastyczności od geniuszów kolorytu Rafaela i Murilla.

Dość, że nie było nigdy na téj ziemi wyższych piękności jak te, które za mych czasów żyły, lub też jeszcze żyją; posągów zazdrościć Grekom, ale nie żyjącego piękna typów.

I gdzież przykłady tych typów najczęściej znajdziemy?

Teoretycznie rozumiejąc, zapewne tam, gdzie się dusza najswobodniej rozwija, w obrębie jeżeli nie pojęć, to przynajmniej uczuć religijnych; tam, gdzie klimat łagodny nie zmusza do ciągłego pozostawania w murach i nabywania nałogów z jednolajności życia lub nudów wypływających; tam, gdzie wychowanie modne, wykwintne, to jest jednostronne i źle zastosowane, nie rozwija zbyt znacznie jednej własności ciała i umysłu, ze szkodą drugiej; nareszcie, gdzie wielką jest wiara w moc Boga i siły natury, gdzie się nie uciekają zanadto prędko do sztuki i lekarstw dla przywrócenia zachwianej równowagi zdrowia, gdzie sobie sami umieją radzić wodą, ziółkami, gimnastyką i odpoczynkiem.

Jednym z krajów, w których znajdziesz wszystkie te warunki rozwoju najwięcej skupione, jest niezawodnie Hiszpania; i w żadnym też kraju nie znajdziesz tyle piękna rozlanego na ogół, jak w Hiszpanii, tyle kształtności połączonej z siłą, tyle szlachetności, gracji i zręczności w ruchu, tyle objawu swobody i życia w każdym atomie ciała, jak w Hiszpanach.

Niech się tedy litują nademną Angielki ile tylko zechcą, niech się wściekają Francuzki, niech płaczą Niemki, zębami zgrzytają Włoszki, niech się nawet żalą na mnie własne me piękne współrodaczki, — ja utrzymuję uroczyscie i stale, że nie masz w Europie kraju, w którymby przesterzeń wdzięków obszerniejszą była, jak w Hiszpanii; w którymby ogólny diapason piękna wyżej stał, jak w szczęsnych ogrodach hesperyjskich.

Rozumie się samo z siebie, że przez to me zdanie wcale nie myślę utrzymywać, żeby najpiękniejsze kobiety świata miały się koniecznie znajdować w Hiszpanii, a przypadkiem nie gdzieindziej, u nas, lub w Anglii. Fenomenalne zjawiska właśnie dlatego są nadzwyczajnymi, że się tylko wyjątkowo wydarzają, że pod żadne nie dadzą się podciągnąć prawidło. Najcelniejsi filozofowie, uczeni i artyści świata, nie wychodzą czasem z najlepszych szkół; często się to nawet wydarza; czemużby piękności kobiece miały mieć przywilej wychodzenia zawsze z jednej kulebki?

Hiszpania zawiera tedy na daną ilość kobiet stosunkowo największą liczbę pięknych; a ojczyznę najpiękniejszej kobiety może być każdy inny kraj, nie wiem który, ale zapewne ten, w którym, pisząc te słowa, przebywam.

A tak bez naruszenia niczyjjej miłości własnej, zdołaliśmy przecież wyrzec prawdę.

Ale dość tutaj o piękności Hiszpanek w ogólności. Później o szczególnych typach Hiszpanek, o charakterach piękna do miejscowości przywiązanych. Niezaprzeczoną bowiem jest rzeczą, że Andaluzka od Arragonki różna, że nawet Gadetanka do Sewilianki niezupełnie podobna.

Wróćmy tedy na plac S. Antoniego, do naszych Angielek ślicznych, białych, wysokich. Strój ich jasny, świecący, kapelusze z kwiatami, powiewające woale gazowe, niezmiernie odbijają od tych czarnych mantyl, sukni i koronek, w które ubrane wszystkie Gadetanki, przesuwają się około nas tak lekko, jak chińskie cienie.

Mister Borrow, podróżujący w Hiszpanii dla upowszechnienia znajomości ewangelii, wyrzekł w swém dziele, pod tytułem: *Gatherings from Spain*, zdanie następujące: »Lubię Kadyks za to, że się jego *damy* (ladies) w niczem nie odróżniają modami od jego *kobiet* (women), chyba tylko cienkością mantyli, sukni i koronek.«

Wyborny Angliku! dla ciebie damy nie są kobietami, gentlemani nie ludźmi, i oficerowie nie żołnierzami! Miło mi jednak, że się cieszysz z tego, co w Hiszpanii jest dobrém, a czego u ciebie nie ma. Równość zalecasz w ewangelii, której 1,000,000 egzemplarzy rozrzucisz rok rocznie, a nie masz jej u ciebie ani w stroju, ani nawet w kościele.

Ale co jest mantyla hiszpańska? Nie to samo, co u nas pod tém nazwiskiem znane. Jestto strój, składający się z dwóch z sobą złączonych części: z jedwabnego kołnierzyka przyczepionego do wysokiego grzebienia i spływającego na tył szyi, i z kwefu koronkowego, do kołnierzyka przyszytego. Zazwyczaj kwef ten spływa także na barki, ale można go wzniesić i nim zasłonić lica. Strój ten ubiera daleko lepiej i okazalój głowę, ciemnym, bogatym włosem ozdobioną, czarném okiem błyskającą, białém, pogodném i dumném czołem świetniejącą, jak owe jaskrawe papierowe trąbki, damskimi kafuluszami nazywane, a od których paryzkiego stroju zwolenniczki pożyczają blasku swego lica.

Francuz utrzymuje, że *le piquant* tworzy cały urok Hiszpańskich twarzy, tak jak gdyby mówił o pieprzu tureckim lub o musztardzie. Prawda, że jest coś dziwnie zachęcającego, ponętneho w tych oczach tak aksamitnych, tak długich, w tym wyrazie ust lekko szepleniących, w tym ruchu ręki ciągle i z taką zręcznością igrającej z wachlarzem; ale to nie stanowi jedyne uroku Hiszpanki. Patrz na tę kibić tak cienką, że ją rękami objąć mógłbyś i chciałbyś, gdyby tylko było wolno; kibić tak giętką, jak u węża! Zgadujesz, że tam nie ma sznurówki, przejmującej jak kirys serca tego bicia; patrz na tę nóżkę tak drobną, wąską i posuwistą; fizyonomia téj nóżki wiele obiecuje, i wiele dotrzymać jest w stanie, do prawdy!

Ale srebrny głos miss Seliny zwraca się do mnie i wyrywa mnie z zachwycenia, pytaniem:—*Well, Sir*—jak się panu podoba świat ten gadetański?«

—»Jak mi się podoba ten Olimp? Pani, gdybym sto ócz posiadał, powiedziałbym, że mię oczarował; ale teraz odpowiedzieć muszę, że nie wiem. A czyż para oczu wystarczy na objęcie tylu piękności?« odrzekłem z zapałem.

—»Na syna północy masz pan wiele ognia,« rzecze znów uśmiechając się cośkolwiek gorzko miss Selina!

—»Pani! u nas klimat nie jest tak zimnym, żeby nam odbierał ogień, tylko go skupia wewnątrz cały w sercu: to właśnie nasze nieszczęście!« odpowiedziałem, także się uśmiechając niekoniecznie słodko.

—»Któraż się z tych dam hiszpańskich najwięcej panu podoba?« spyta znów miss Flavia, młodsza siostra miss Seliny.

—»Ta wysoka, z tak smętném, bladém licem, bielsza niż wszystkie inne, co ma oczy tak tęskne z umyślnie przyémionym blaskiem. Chodzi z tym *caballero* podeszłego wieku, z siwiuteńką głową, za niemi dwie murzynki. O, teraz nas mija, spoziera na panią z ukosa; jaka szlachetna gracya w tym ruchu! Młoda jest, a tak smętna jednakże; na tém boskiem czole myśl jakaś smutna osiadła. Ah! chciałbym ją poznać!«

—»I ta się panu najwięcej podoba?« pyta znów miss Selina, starsza z siostr, rumieniając się nieco.

—»Ta, ta, najwięcej, na honor!«

—»Cha, cha, cha! panie doktorze, jak nieszczęsny pan masz gust, *dear me!* A wiesz pan kto ta osoba? *Oh fy! shocking!* (o pfe! to zgroza!)«

—»Nie wiem, dopiero od kilku dni w Kadyksie bawię, ale pragnąłbym to wiedzieć; może to żona tego *caballero*?«

—»Ja zaspokoję pańską ciekawość; nie, to nie żona tego *caballero*, to jego córka, to Donna Delfinia de Redondo, ta sama Donna Delfinia, która w Tunis....«

—»Ah wiem! to żona beja tunetańskiego; wiem, że tu bawi w Kadyksie.«

—»To nie żona beja, doktorze! Donna Delfinia jest chrześcianką, chodzi do kościoła bardzo regularnie, codziennie raz przynajmniej, żadnego nie ominie kazania; a panu musi być wiadomém, że prawa alkoranu wzbraniają muzułmanowi żenić się z chrześcianką.«

—»Czémżeby więc było to anielskie stworzenie dla owego monarchy muzułmańskiego, którego tak chwalamy mądrość i ludzkość? to chyba jego Egeryą? Tak jest, Egeryą, nieprawdaz? Powiedz, że tak jest, o miss Selino, błagam panią!«

—»Egeryą! cha, cha, cha! panie doktorze, na miłość Boga! wszakże Egerya była Nimfą, Rusalką; Numa Pompiliusz nie widział jej nigdy, choć z niej czerpał swe piękne natchnienia. Nie, Donna Delfinia nie jest Nimfą, jak pan widzisz, tylko bardzo ziemskim stworzeniem; a wieści głoszą, że była z bejem w stosunkach, w stycznościach rodzaju tak osobliwego, że....«

Zakrzuszyła się wstydliwie miss Selina, i twarz zasłoniła wachlarzem.

—»Że... na Boga! mów pani dalej.«

—»Litości, panie doktorze! Pan długo bawiłeś w Anglii i zapewne znasz naszą delikatność, nasze *przesady*, jak je nazywają cudzoziemcy, i wiesz bez wątpienia, że o pewnych rzeczach angielska lady nigdy nie mówi.«

I na tém się skończyła nasza rozmowa. Ścigałem oczyma za piękną Donną Delfinią; spostrzegłem, że się jej ojciec przyjacielsko przywitał z konsulem pruskim, który otoczony licznym hucnem dzieci i wnuków, przechadzał się po alamedzie. Obie grupy połączyły się. Donna Delfinia rozmawiała żywo z jedną z córek Don Ludolfa, i przechodząc mimo nas rzuciła ogniste, ukośne spojrzenie na moje Angielki.

Byłem roztargniony; rozmowa nie szła już ani żywo, ani swobodnie. Spostrzegły to dumne córki Albionu, i pożegnawszy mnie dość opryskliwie, opuściły spacer i wróciły do konsulatu angielskiego, nie zapraszając mnie na herbatę.

Za pół minuty byłem w obozie nieprzyjacielskim, wyznaję to bez ogródki.

—»Jeszcze wam jednego zwerbuję kawalera, *mi Senno-ritas*,« mówił odwracając się do swych dam konsul pruski; »dziś u nas tertulia, panie doktorze, bądź łaskaw, poświęć nam dzisiejszy wieczór: będziem śpiewać, grać na gitarze i tańczyć. Pan lubisz nasze zabawy hiszpańskie, nieprawdaż?«

—»Prawda, i chętnie w nich biorę udział. Panie konsulu, kto jest ta dama piękna, wysoka, blada, która rozmawia z pańską najmłodszą córką?«

—»To Donna Delfinia, córka tego tu caballero, Don Feliksa de Redondo, który był konsulem hiszpańskim w Tunis. Jestto młoda dama, bardzo interesująca, bardzo ukształcona i bogata, bogata na miliony. Poznasz ją pan u nas zbliska; mówi doskonale po francuzku.«

Rzadka to rzecz, żeby Hiszpanka mówiła po francuzku; Hiszpanka gardzi wszelką cudzoziemszczyzną, i nie przyjmuje ani mody, ani języka cudzoziemskiego. Donna Fernanda zaledwie rozumiała po francuzku, w chwili, gdy się książe Montpensier z nią żenił; a jeszcze nie umiała się wy-

słowiec płynnie w tym języku, w chwili, gdy ją pan Lasteyne podczas wybuchu lutowego zabrał z sobą z Tuilleries, i w swym domu przechował.

Wysokiego stopnia ukształcenia nie posiadają Hiszpanki. Napotkałem w nich raczej wielką niewiadomość o wszystkich rzeczach, które ich bezpośrednio nie dotyczą. Z dzieciennym jakimś ograniczeniem umysł ich krąży w szczerpłym zakresie otaczających je stosunków, i w tej sferze niewysokiej, nie obszernej, rozwijają nieskończenie wiele dowcipu i gracyi. Znają swój język, dzieje swego kraju, swych poetów i swych malarzy: i na tém się kończą ich wiadomości! Przeniesione do salonów londyńskich i paryzkich, do warszawskich nawet, istoty te filozofią cudzoziemską nie karmione, systematami modnemi nie przesiąknięte, nie odegrałyby może świetnej roli. Ale tu, w Hiszpanii, gdzie każdy mężczyzna więcej kocha kobietę dla *jéj* osoby, jak dla *jéj* rozumu, istoty te własnego chowu (jak je u nas nazywają), większy daleko wywierają na młodzież urok, niż w innych krajach owe modnie wykształcone panny, umiejące mówić po francuzku, znające tyle filozofii, ile potrzeba do przejęcia się maksymami pani George Sand, tyle historyi, ile potrzeba do zrozumienia panowania Dyany, Gabryeli, Lavallierki i Pompadourki; tyle geografii, ile wystarczy na korzystanie z opisów podróży pana Aleksandra Dumas i romansów pana Eugeniusza Sue; umiejące nawet rozwijać nieskończoną gracyę w polce *tremblante*.

Ton towarzyski Hiszpanek jest sobie dość wolnym, to prawda. Młode panienki rozmawiają się tu często z zastanawiającą śmiałością o rzeczach, którychby wcale znać nie powinny, a mężatki jeszcze są śmielsze i szersze. Ale mniej tu owych rozmów, duszę może więcej drażniących, w których pod zastoną przenośni i dwuznaczności, niektórzy mężczyźni popsutego smaku, a biegli w tego rodzaju konwersacyach, wystawiać umieją rzeczy nieprzystojne, rubaszne, częstokroć nawet szkaradne, i ubiegają się o smutny zaszczyt wywołania rumieńca wstydu na licach niewinności, lub też zmuszają panny, z różnemi stanami pewnych rzeczy już lepiej obznajomione, do udawania pożyczanej naiwności.

Mężczyźni, mając szerokie pole do korzystania z nauk biernie i czynnie, daleko się więcej kształcą niż kobiety, i więcej także posiadają wiadomości.



Hiszpania swobodna, niezależna, doznawszy dobrodziejstw pokoju, otworzyła swęj młodzieży szerokie bramy do wszystkich zawodów. Towarzystwo mężczyzn na tertulii konsula pruskiego składało się z kommissantów bankierskich, z kilku adwokatów, z oficerów floty, artyleryi i inżynierii. Każdy z nich, mianowicie kupcy i marynarze, znał po kilka języków, ale nikt nie robił parady ze swęj umiejętności; owszem, wszyscy zebrani w jednym celu, dla przyjemności zabawienia się, umieli zapomnieć różnicę zawodów i poddawali się bez dumy i ogródki wszystkim natechnieniom wesołej chwili. Ten tańczył, tamten śpiewał, inny improwizował wiersze; był i dowcipniś, bawiący towarzystwo krotoczwilami. Błazna nie było, któryby z swego dowcipu robił trybularz, to rzecz pewna; w narodzie tak szlachetnym, rycerskim, jak hiszpański, wszystkie podziemne kadzidła są wzgardzone.

Alegrya! wesołości! jak czarujący, jak zarażający jest twój urok. Znikła chmurka wisząca na świetnym czole pięknej Donny Delfinii, i na twarzy tej bladej wykwił dziewczęcy rumieniec, błysnął na koralowych ustach, nabrzękłych napływem krwi, słodki uśmiech rokoszy, i okazał dwa rzędy pereł tak pięknych, że każda warta była parę milionów. Dała się ubłagać, poszła do tańca; zręczna ręka chwyciła za kastaniety, i postać ta wysoka, szlachetna, we wszystkich klassycznych postawach, w każdym atomie swego cudnego ciała, jaśniała promieniami niewypowiedzianego wdzięku.

*Diva! Divina Delfinia!* jęczały usta wszystkich mężczyzn; obłok nieprzejrzwały zakrył mi całe towarzystwo, widziałem tylko ją w niebieskim świetle bengalskiego płomienia, zapalonego iskrą mej wyobraźni.

—»Bardzo ziemskie stworzenie!« powiedziały Angielki. Oh nie! to zazdrość, to bardzo nadprzyrodzona istota, to Nimfa, to anioł, to muzyka z lutni Orfeusza, zdolna przemienić w posłuszne owieczki wszystkie lwy i tygrysy Atlasu.

Wraca na swe miejsce omdlała, z drgającymi ustami, z oczyma w łzach rokoszy pływającymi. Tak zapewne wyglądała Danae, gdy ją zrosił ów deszcz Metamorfozy.

Oto Hiszpania!—w powietrzu rokosz, na ziemi mitologia, w sercu religia, w głowie duma.

Miałem sposobność poznania bliżej donny Delfinii. Widząc mię wprzód w towarzystwie Angielek, nie dowierzała mi zrazu.—»Czyś ty przypadkiem nie zdrajca?« pytały jej bystre oczy, przyémione długimi rzęsami. Takie podejrzenie długo spoczywać nie może nad głową, któraby raczej wolała upaść, jak zniżyć się przed fałszem. Wkrótce, za minut kilka, odgadł to nieomylny instykt kobiecy, uczuł, że jakaś niezwalczona siła pędziła tam umysł, gdzie było już serce. Jednego nie przemówiliśmy słowa ani po francuzku, ani o Tunis, ani o Angielkach. Mówiliśmy o tańcach i piosnkach, o Hiszpanii i o dalekiej ojezynie podróżnika, zawiązanego burzą na brzegi oceanu. Oczy jej otwierały dawne rany, słowa jej dla nich były balsamem.

Przypadek, a może i nie przypadek, tak zrzucił, że wychodząc z konsulatu pruskiego, spotkaliśmy się w jego wrotach z Donną Delfinią. Ojciec jej dawniej już wrócił do domu, tylko pozostały z nią dwie murzynki nieme, ale dobrze wszystko spostrzegające. Kilku kawalerów czekało, może także tylko przypadkiem, i ofiarowało Donnie Delfinii ramię. Nie przyjęła: chciała mieć *un momento de rorogimiento*, chwilkę do zebrania myśli. Ja nie dałem się odstraszyć; udaje, że w inną idę stronę, potem puszczam wyteżonym cwałem za piękną Hiszpanką, dopędzam ją i pytam:

—»Ah! Sennora, zapomniałem się spytać, w jakim kościele składasz Bogu dzięki za tyle łask, któremi cię obdarzył?«

—»*Et à quelle heure je rends mes graces, n'est ce pas vrai? Ah, vous etes excellent, Docteur!*« odpowiedziała Donna Delfinia, przemawiając pierwszy raz po francuzku.

—»Ah! nie wiem czy jestem doskonałym, ale chciałbym nim być istotnie, by stanąć na równi z istotą tak doskonałą.«

—»*Taisez vous, écoutez!*« przerywa Donna Delfinia. Przebiegliśmy szerokie, odludne ulice miasta. Przed wielkim pięknym domem stał w długim płaszczu jakiś mężczyzna, trzymający gitarę w ręku. Nie grał na niej jednakże, tylko rozmawiał z damą, na balkonie pierwszego piętra stojącą, i wychylającą się z niego. Widząc nas w pomroku nocnym gwiazdzistego nieba zbliżających się, cofnęła się dama, mężczyzna zagrał kilka ponurych

akordów. Minęliśmy dom. Gitara ucichła. Znów się rozpoczęła rozmowa.

—»Co to przedstawiają owe nocne stosunki?« pytałem.

—»Nic nie przedstawiają, jak serenadę. Dama ta jest córką właściciela domu, bardzo ładną i młodą panią, a jegomość młodym kawalerem, składającym jej co noc swe hołdy.«

—»Są zapewne zaręczeni?« zapytałem.

—»Nie wiem tego.«

—»A stosunki podobne czy nie szkodzą sławie młodej pani?«

—»Oh, wcale nie! Dzieje się to wszystko z wiedzą rodziców. Żresztą, proszę pana, co może wyniknąć z stosunków ganku pierwszego piętra z brukiem ulicy? Gdyby okna parteru opatrzone były kratami, mogliby rozmawiać swobodniej pod protekcją żelaza, strzegącego cnotę. Chcesz pan widzieć sławną naszą piękność gadetąską, Donnę Inez, rozmawiającą z swym Novio?« spyta Donna Delfinia.

—»I owszem. Ale co jest *Novio*? czy to narzeczony? czy też to samo, co *Cavaliere servente* lub *Sigisbeo*?«

—»A pfe, Don Teodoro! takich atrybucyj *Novio* nie ma jak *Cavaliere servente*, ani też takich nie używa przywilejów jak *Sigisbeo*. Noviovi świat winien przypisywać chęć zostania narzeczonym: to wszystko! My Hiszpanki lubimy być ubóstwiane, młodzi kawalerowie potrzebują ubóstwiać, i z tej zobopólnej potrzeby wyrodziła się instytucya Novioów, bardzo niewinna, i bardzo dla naszego klimatu wygodna. Widzi pan śliczną Inez? Ha! jak rączkę swą białą szybko wyciągnęła z po za kraty, a on jak piękny i jak pięknie śpiewa: *un glorioso Novio!* do prawdy! Ale oddalmy się, żeby mnie młoda Inez nie poznała; kaprysiłaby jutro ze mną.«

—»Donno Delfinio! a pani, czy masz swego *Novia*?«

—»Co pana tak interesuje ta instytucya Novioów? Cha, cha! masz może ochotę zostać nim sam podczas pobytu w Kadyksie. Zobaczymy. Ale otóż i mój dom. Dobranoc, *Muy buenas noches, don Teodoro!*«

—»Pani! racz odpowiedzieć na me pytanie: w którym kościele składasz Bogu dzięki za twą piękność i za twój rozum?«

—»Ah, jaki natrętny! Jestem na mszy codziennie u Kapucynów o dziewiątej godzinie. Jutro będę z młodą przyjaciółką; możesz nam wychodzącym podać święconą wodę, i potem zaprowadzić nas do owego szpitala, który tak chwaliysz. *Buenas noches Amigo!* Ale, Don Teodoro! na miłość Boga, nie wracaj trotoarem, tylko środkiem ulicy, i puginału nie wypuszczaj z ręki. We drzwiach jednego z owych niskich domów, gdzie mieszkają Bóg wie jacy ludzie, może czyhać zbójca, przebić cię przechodzącego, wciągnąć do domu, obedrzyć, a potem z wałów wrzucić w nurty morza. To się nie raz dzieje z nieostrożnymi cudzoziemcami.«

—»Dziękuję ci za twą radę, Sennora, za twą troskliwość. Dobranoc, *diva, divina!*«

—»Słuchaj, jeszcze jedno słowo. Kiedy się zobaczysz z pięknymi Angielkami?«

—»Już nigdy.«

—»Nie! raz jeszcze musisz je widzieć.«

—»Dla czego panią interesują te Angielki?«

—»*Ah que pregunta insidiosa!* Ah jakie podstępne pytanie! Mego oka nigdy nie nie ujdzie, bądź pewnym. *Hasta a manana por la manana*, do jutra rana. Adjo!

»Wiem teraz co mi grozi; mam być narzędziem małej zemsty kobiecej,« pomyślałem sobie. »Takię roli nie lubię wcale, a przeczuwam, że pod tym tylko warunkiem osiągnę zaszczyt zostania Noviem młoděj Hiszpanki, zaszczyt wyprawiania jēj nocnych serenad, wzdychania przy świetle księżycy, rozmawiania z nią z po za kraty żelaznej. A gdybym przypadkiem igrając, swawoląc tak niewinnie z uczuciem miłości, naraził się jeszcze jakiemu Caballero, lub też rozkochał się na dobre! A, ba! spodziewam się poprowadzić tak rzeczy, że i serce pozostanie całém, i honor i osoba.

\* \* \*

Kościół Kapucynów w Kadyksie, florentyńskiego stylu, słynie ze swėj wspaniałej facyaty i z obrazów pędzla Estebana Murilla.

Msza, odprawiana codziennie przed ołtarzem Matki Boskiej Różańcowej, jeszcze nie była wyszła. Miałem czas przypatrzeć się przedziwnym utworom hiszpańskiego Rafaela.

Jeden wystawiał Ś. Franciszka z Assizu. Na jego niewypowiedzianie pięknej, choć sędziwej twarzy, malują się

wszystkie walki burzą miotanego życia. Trudno widzieć coś piękniejszego.

Drugi obraz wystawia Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny; trzeci zaś zaślubienie świętej Katarzyny.

Obraz ten, obok swjej wielkiej artystycznej wartości, ma jeszcze inną historyczną cenę. Jest on ostatnim utworem, a zarazem przyczyną śmierci wielkiego malarza, tak potężnie działającego duchem i pędzlem. Murillo bowiem, skończywszy obraz ten, odstąpił kilka kroków w tył, by raz jeszcze obejrzyć całość swym badawczym wzrokiem. Zapomniał, że rusztowanie było bardzo wąskie i że nie miało poręczy, i padł z wielkiej wysokości tyłem głowy na marmurową posadzkę kościoła.

W sześć miesięcy potem umarł wielki Murillo w Seville, w skutek tego nieszczęsnego upadku.

W ogrodzie klasztornym OO. Kapucynów znajduje się grupa drzew palmowych, może najpiękniejsza w całej Andaluzji.

Inną jeszcze osobliwość, dotychczas nieocenioną, a dla botaników bardzo powabną, odkryłem w tym ogrodzie: drzewo figowe tak zrosłe z swym sąsiadem, drzewem do zupełnie innej rodziny należącym, a *Sanguis Draconis* (sinoczą posoką) zwanym, że sok tego drzewa, czerwony jak krew, przeszedł w gałęzie, liście, nawet i owoce figi. Całe drzewo wygląda jak krzew koralowy. Te styczności nienaturalne figi z smoczym drzewem, bardzo bawią poczciwych Kapucynów; nacieszyć się nie mogą swemi purpurowemi figami.

Już się schodzą dziewice gadetańskie na mszę przed ołtarz Boga Rodzicy Rozańców. Żadna ławka nie zasłania miejsca w kościołach, podłoga zawsze jest tak czystą, tak białą i połyskującą, jak niezmierne prześcieradło. Na tém śnieżnym tle klękają damy, i potem zmówiwszy pacierz, siadają jakoś oryentalnie, ale dziwnie pięknie na posadzkę, i w tém położeniu pół leżącym, pół klęczącym, w którym bardzo trudno z gracyą się zachować, pozostają Hiszpanki podczas nabożeństwa. Wznoszą się na kolana jednym pełnym gracyi ruchem podczas ewangelii, - potem znów siadają. Obszerna czarna suknia otacza każdą jak aureola; z pod niej wyziera część nóżki, ubraniej w płyciućki trzewik. Ile tu gracyj rozestanych na tym marmu-

rze! Jest i Donna Delfinia z swą przyjaciółką, daje mi jedném drobniutkiém ściśnieniem powiek serdeczne powitanie: w kościele nie wita się inaczej.

Nabożeństwo trwało pół godziny. Msza była śpiewana przy odgłosie organów i oboi; najwykwintniejsze palono kadzidła, mnóstwo zapalono świec, kapłan w najnowsze i najświetniejsze szaty obleczoney. Była to msza elegancka w całym znaczeniu tego słowa, mniej uroczysta, jak msza w wiejskim kościółku, o świcie, w pomroku porannym.

Wychodzę. Maczam końce mych palców w święconej wodzie i wyciągam rękę ku nadchodzącym przyjaciółkom. One zbierają swemi paluszkami święconą rosę i żegnają się nabożnie.

— „Nie wiedziałam, żeś pan tak nabożny, Don Teodoro; nie często widywałam doktorów w kościele,“ rzecze Donna Delfinia.

— „Prawda, pani; rzadziej są w kościele, jak przy łożu cierpiącego, ale i to miejsce jest kościołem dla chrześciana.“

— „Idziemy obejrzyć nową budowę kościoła katedralnego; chce nam pan towarzyszyć?“ zapyta Delfinia, wiedząc dobrze, że nie odmówię propozycji.

Wielka to, wspaniała świątynia ta katedra, którą od r. 1722. budują i dziś podobno jeszcze nie skończono zupełnie. W dość mieszanym stawiana stylu, nie przedstawia z zewnątrz harmonii, znamionującej czysto-gotyckie lub bizantyńskie budowle; więcej się trzymało pomysłów Michała Anioła, czyli tak zwanego stylu odrodzenia.

Wnętrze jest regularniejsze, i ma kształt podługowatej rotundy. Przepych marmurów wszędzie czaruje oko. Imponująca kopuła wznosi się wysoko nad wielkim ołtarzem. Główna nawa i poboczne kaplice zawierają kilka wybornych malowideł starzej i nowszej szkoły hiszpańskiej; pomiędzy pierwszemi obraz Maryi Magdaleny, przypisywany Murillovi, przypisywany, mówię, gdyż brak szlachetności w postawie, nieprzezroczystość w kolorycie, pozwalają powątpiewać o autentyczności pędzla.

Pod kościołem znajdują się obszerne katakumby, doskonale odpowiadające w swych olbrzymich rozmiarach miejscom nad niemi leżącym, a sklepienia ich tak są sztu-

cznie z ogromnych głazów złożone, że spojeń wcale nie widać.

Kościół ten podziemny służył za przytułek starcom i dzieciom w chwili, kiedy Francuzi w r. 1823. Kadyks bombardowali. Żadnej tu nie ma wilgoci. Pod sklepieniem odpowiadającym wielkiemu ołtarzowi znajduje się jedyna studnia w Kadyksie. Zawiera ona słodką wodę, choć jej zwierciadło daleko leży głębiej jak powierzchnia morza. Kapituła katedry ciągnie niesłychane dochody z tej studni, którą tutaj ośm wieków temu, jak głoszą dzieje i podania, Maury długoletniem wysileniem pracy i pieniędzy, w twardej wydrążyli opoce. Woda z tego źródła, potem deszczowa zbierana w cysternach, nakoniec rzeczna przywożona z Puerto de Santa Maria, służy za napój biednym Gadetańczykom, otoczonym zewsząd falami morskimi.

Idźmy *al hospicio*, do szpitala. Jestto dom przytułku dla 700 chorych, 500 sierot, 400 starców, i dla obłąkanych całej prowincyi. Leży w zachodniej części miasta, i zdumiewa nie tylko kolosalnością swęj budowy, ale porządkiem i czystością wszędzie panującą. Wszędzie dochodzi światło i powietrze, a nigdzie wilgoć. Wszystkie posadzki wyłożone marmurem, fontanny biją ciągle nie tylko w dziedzińcach, lecz i w salach, i odświeżają atmosferę.

Sieroty czyściuteńko poubierane nie mrą na wyszcigi, jak w największej liczbie podobnych zakładów, lecz się wychowują zdrowe, piękne i szczęśliwe. Wiemy już, że ludzkość hiszpańska stara się wynagrodzić dzieciom naturalnym krzywdę, wyrządzoną im przez urodzenie, i czyni to w sposób czuły, ujmujący. *Las amarias* (mameczarnie), *las ninnarias* (niańczarnie) i inne instytucye, jako to: szkoły, sale pracy, infirmerye dla każdego rodzaju chorób, nawet ortopedyczna sala: oto zakłady wchodzące w skład części szpitala, przeznaczonego dla dzieci.

Inny jeszcze przytułek, może jedyny w swoim rodzaju, świadczący tak wymownie, tak silnie, za dobrocią serca owego narodu hiszpańskiego, tak źle pojętego, tak niedokładnie opisanego przez cudzoziemców; inny jeszcze przytułek, stanowiący część szpitala, zasługuje na serdeczne podziwienie, na całe współczucie zwiedzającego cudzoziemca. Przytułek ten chwalony przezemnie w wyrazach peł-

nych zapału na tertulii w domu Don Ludolfa Uthof, wzniecił w Donnie Delfinii chęć zwiedzenia go.

W jednej części szpitala, zupełnie odosobnionej od głównego gmachu, znajdowała się na tej szczupłej wysepce, zaledwie wystarczającej na pomieszczenie 70,000 mieszkańców, mała osada, raczej wioska, tak jest wioska, zamieszkała przez stadła, których *mąż* przeżył rok *siedmdziesiąty*, których *żona* przeżyła rok *sześdziesiąty*. Każde stadło miało osobny domek, wielki wspólny dziedziniec, i sierotę jedną, wybraną z najgorliwszych, najczynniejszych, a zatem najreligijniejszych dusz *domu podrzutków* do usługi.

W tej wiosce panowała miła, rozrzewniająca spokojność. Kwiat młodości i łupina sędziwej starości mieszkaly tu razem, i nawzajem zgadzały się ze smutną koniecznością życia, nawzajem doskonaliły się w obliczu obrazu szczęsnej chrześcijańskiej śmierci. Ekstra-legalna młodość służy tu za podporę legalnej starości: jedna uczy się cierpliwości, druga, choć w sędziwym wieku, jeszcze się uczy pobbżania.

Chodziliśmy od domku do domku: było ich z piętnaście, i wszędzie wypytywaliśmy się, czy zdrowy Filemon, czy szczęśliwa Baucis. Filemon, stary rzęda, czasem się skarżył, że mu mało tabaki dają do zażywania; Baucis, stara gderaczka, żaliła się tu i owdzie na zbytnią wesołość, na roztrzepanie młodej wychowaney.

—»Jeżli chcecie, mogę wyrobić, że wam inną dadzą; jestem bowiem znany dyrektorowi zakładu, więc mi nie odmówi.«

—»Ah, broń Boże! Sennor Caballero! ah broń Boże! ah to najlepsze dziecko w świecie. Od roku z nami pozostaje; kochamy ją jak nasze dziecko, więcj jak to, jak naszą wnuczkę!«

I nuż płakać rzewnie, i nuż chwalić, przechwalać wnuczkę.

—»Wystawcie sobie, moje panie, nikt tu nie wie, kto pierwszy podał myśl do tego zakładu, który dopiero od roku istnieje, kto wyłożył kapitał na zakupienie tego drogiego gruntu, na uposażenie tych dobrych ludzi. Nikt nie wie ani w mieście, ani w państwie, czyj duch chrześcijański unosi się nad tą siedzibą szczęścia i pokoju. O! jak



zazdroszczę temu pięknemu sercu, jak radbym wiedzieć, czy to człowiek szczęśliwy, czy nieszczęśliwy, który padł na tę zbawienną myśl kształcenia serca młodzieży w widoku cierpień zgrzybiałości!»

Nic mi nie odpowiedziano na moje pytanie, tylko drgnęły usta Donny Delfinii, twarz jej zbladła, a ramie jej lekko zadrzało w mojem.

—»Odprowadź pan nas do domu,« rzekła stłumionym głosem.

Spoczęliśmy na *patio*, to jest na dziedzińcu domu Donny Delfinii, zewsząd otoczonym gankami, na marmurowych filarach dźwiganemi. W środku niego fontanna alabastrowa, wytryskująca wodę zbieraną w cysternach, na dachu umieszczonych. Gęste szeregi kwiatów i krzewów, na stopniach naokoło umieszczonych, rozsyłały woń, więzioną w atmosferze przegrodzonej niebieskim namiotem od upałów słońca. Wygodne dywany, adamaszkciem wybite, stały naokoło fontanny.

Spoczęliśmy na tych dywanach. Przyniesiono lody, cygaretki i gitarę, ale nikt na niej nie grał. Gospodyni domu w uroczystym była humorze: mało mówiła, zdawała się zasypiać na swym dywanie; przyjaciółka jej toż samo. Chciałem sobie pójść, lecz mię zatrzymano.

—»Oczekuję mego brata, jedynego krewnego, jakiego mam na tej ziemi prócz mego ojca; radabym poznać go z panem, zostań pan chwilkę, proszę!«

Zostałem.

Wkrótce potem wchodzi jakiś ksiądz wysoki, blady, z czarnym włosom, w dość zaniedbanej sutannie i wielkim płaszczu, ale z uczuciową, sympatyczną twarzą.

—»To mój brat, a to doktor cudzoziemiec, którego wczoraj poznałam w konsulacie pruskim,« rzekła Donna Delfinia, wstając i całując rękę duchownego.

Duchowny skłonił się lekko, zapalił cygaretko i usiadł. Długo się wpatrywał we mnie i okiem rzucił na damy.

—»Coś panie jak porażone?« rzekł nareszcie.

—»To wina doktora,« odpowiedziała z żywością przyjaciółka Donny Delfinii. »Wystaw sobie Don Gerundio, doktor nas zaprowadził, zgadnij gdzie?—do szpitala; i tam z widoku sierot i starców tyleśmy się rozrzewniły, żeśmy

cały nasz humor postradały, i teraz leżymy tu na dywanach jak marmurowe grobowce.«

—»Nie łaj za to doktora, Inesillo; bądź mu raczej wdzięczną. Ja sama prosiłam go o to; a potem on cudzoziemiec, a tak wynosił ludzkość naszego narodu; czyż nam się godzi łajac go za tę chwilę rozrzewnienia, tak rzadką w naszym życiu?« odparła żywo Donna Delfinia.

—»Pewno, że nie,« odrzekł Don Gerundio; »bądźcie mu owszem za to wdzięczne. Nie się więcéj nie podoba Bogu, jak kiedy z natury wesoły umysł rozpamiętywa nad rzewnemi wrażeniami, które otrzymał. Chwile takie są płodne w dobre postanowienia, rodzą dobre uczynki.«

Słowa te, wyrzeczone skromnie i bez przesady, sprawiły przecieź widoczne wrażenie na Donnie Delfinii. Opowiedziała bratu żywo i nie zapominając żadnego napozór drobnostkowego szczegółu, wrażenia ubiegłego poranku; nie zapomniła żadnego z moich słów, żadnej nawet ich intonacji, ani też odpowiedzi ze strony ludzi, z którymi rozmawialiśmy. Jakiś niezwykle zapał ożywiał jéj opowiadanie.

I ksiądz także słuchał jéj mowy z napiętą uwagą; szczerze go widać zajmowały uczucia i zdania jego siostry. Nie spodziewałem się znaleźć tyle dowodów udziału w téj zimnej i ascetycznej twarzy.

—»Istotnie, panie doktorze, podobnego domu przytułku dla starców nie widziałeś nigdzie?« spyta mnie się Don Gerundio.

—»Nigdzie, doprawdy! ani nawet w Anglii, gdzie przecieź ludzkość arystokracji wymyśliła już stajnię przytułku dla czworonożnych inwalidów, którzy w gonitwach stargali swe siły,« odpowiedziałem.

—»Anglicy wiedzą, że o końskim domu przytułku więcéj będą prawie gazety, jak o naszej gadetańskiej wiosce, mieszczącej kilkanaście sędziwych stadł, które nie miały potomstwa, lub téż je przeżyły. We wszystkich swych instytucjach, Anglia dba więcéj o sławę, jak o ludzkość.«

Rozmawialiśmy jeszcze czas niejaki bardzo poważnie i mądrze; ale nareszcie krew południowa wzięła górę, i wyrwała nas z uroczystej smętności. Posiedzenie zakończyło się bollerami i segedillą, to jest tańcem i śpiewem na dziedzińcu hotelu Redondo.

Często widywałem Donnę Delfinię podczas mego pobytu w Kadyksie, i powoli, powoli dowiedziałem się całej prawdy.

Kto była Donna Delfinia?

Żoną Sidi Ahmeda, beja tunetańskiego, wyznającego potajemnie wiarę chrześcijańską, nawróconego do chrystyanizmu słowami Don Gerundia, a może jeszcze więcej wdziękami Donny Delfinii.

Tak jest: piękna Hiszpanka była i jest jedyną żoną tego mużułmańskiego monarchy, który zniósł w swym kraju nieludzkie, hańbiące niewolnictwo.

Donna Delfinia była już od lat czterech potajemnie zaślubioną bejowi, gdy, korzystając z nieobecności męża, przybyła z ojcem swym i bratem do Kadyksu, do swego rodzinnego miasta, i tutaj, chcąc zostawić wieczny ślad swego pobytu, wpadła na piękną, na szczęśliwą myśl założenia w największym sekrecie przytułku dla starców żonatych, a nie mających dzieci.

I ona także bezdzietną była, co ją niemało martwiło. Kochała bowiem swego męża z całym zapałem Hiszpanki, i mniemała, że potomstwo będzie tém większą rękojmią stałej wzajemności. Lecz pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Ahmed Bej mało jest podobnym do innych monarchów mużułmańskich. Żadnego nigdy nie miał dziecka, nawet wprzód, gdy nie znając jeszcze Hiszpanki, i korzystając z praw Mahometa, trzymał sobie kilkaset żon różnego koloru.

Padiszach ottomański, doszedłszy zaledwie do lat dwudziestu, już więcéj miał dzieci jak wiosen życia.

Nieraz rozmawialiśmy z piękną Gadetanką i jéj bratem o Jego Wysokości beju tunetańskim. Monarcha ten objął rządy regencyi Tunis po swym ojcu w r. 1837. Matka jego jest chrześcianka z Genui, zabrana do niewoli tunetańskiej w Tabarca, razem z całą osadą genueńską, żyjącą na téj wysepce. Zmieniwszy wiarę, wprawdzie tylko na pozór, Genuenka została żoną beja Mustafy, i umiała synowi swemu Ahmedowi wpoić te szlachetne uczucia, które go tak świetnie dały poznać ludzkości.—»Już i Mustafa tyle miał poszanowania dla godności kobiecćj,« mówiła mi razu pewnego Donna Delfinia, »że na bramie prowa-

dzającj do haremu, następujący kazał wyryć wiersz z Alkoranu:«

„Nigdy hańbiącą karą nie karz kobiety, nawet gdy ci sto razy dokuczy.“

—»A jak dokuczy raz a dobrze, tak jak to kobiety czasem umieją, jakże ją wtenczas Alkoran radzi karać?« spytałem.

—»Śmiercią: karą, która hańby na życiu zostawić nie może,« odpowie pani bejowa.

—»To doprawdy grzecznie, bardzo delikatnie, ani słowa; ale diable surowo, moja pani. Możeby kobiety wolały zrobić tak, jak żołnierze angielscy, i prosić najpokorniej o łaskawe przywrócenie chłosty. Kara śmierci wówczas nie byłaby tak częstą.«

—»A pfe, Don Teodoro! Cóż warta kobieta, która otrzymała chłostę lub jakąkolwiek karę hańbiącą? Czy w niej pozostać może choć jedno uczucie szlachetne?« rzekła z oburzeniem Hiszpanka.

—»Różnie o tém różni mówią. Honor człowieka nie może być ofiarą potworu, który ma władzę, choć nie prawo, karania go. A potem, gdyby wszyscy niesprawiedliwie cierpiący, i niezasłużonym bólem karani, mieli być odarci z uczuć honorowych, moja pani, wówczas cierpiącym dostałoby go się najmniej. Ale wróćmy do kwestyi pierwotnej, do obowiązków, praw i przywilejów małżeńskich. Wie pani, co prawo celtyckie jeszcze za Ludwika XVI. we Francyi za podstawę jurysdykcyi używane, głosi? Oto, że:

*Le mari peut battre sa femme, mais pas l'assomer.*«

—»Oto prawo łagodne, ale hańbiące, i wydało potemu plony!« krzyknęła Donna Delfinia; »wolę być sądzoną według Alkoranu, wolę raz umierać, jak być ciągle ofiarą brutalstwa.«

Inną razą zgadało się o samém mieście Tunis, o jego zabawach, o życiu towarzyskiem.

—»Pan istotnie myślisz, że żyjemy jak jak w pustyni, odosobnieni od świata i od cywilizacyi? Niech się pan nie myli. Wszystkie mamy pisma peryodyczne francuzkie, angielskie, włoskie i hiszpańskie. Towarzystwo dramatyczne marsylijskie i opera neapolitańska odwiedzają nas rok rocznie. Ja zajmuję pałac osobny i pyszny ogród w sa-

mym obrębie książęcego zamku, zwanego Bardo. Wyjeżdżam na spacer albo w lektyce na wielbłądzie, albo konno, przebrana w najświetniejsze suknie za Turka. Zresztą tańczymy i obiadujemy, gramy w karty i polujemy, tak jak niegdyś książeczki w Europie. Towarzystwa nam nie braknie. Matka mego męża jest osobą silnego charakteru, mądrą i wysoko wykształconą. Generał wojska naszego, Kasnadar Sidi Mustafa, Grek rodem, ma trzy młode i piękne siostry. Najstarsza już nie żyje; była ona przedemną żoną mego męża. Kawaler Ruffo chrześcjanin, Włoch rodem, pułkownik inżynieryi i defterdar mego męża, ma przy sobie swą siostrę i córkę: dwie prześliczne panny, wychowane w Sacré Coeur w Paryżu. Wiele także jest oficerów francuzkich w służbie beja, wielu osiadło w mieście konsulów i kupców europejskich z rodzinami.

»Bawimy się jak najdoskonalej. Robimy częste wycieczki w czarujące okolice miasta, do kaplicy katolickiej, wystawionej na cześć Ś. Ludwika na miejseu, na którym umarł; czasem idziemy płakać na ruinach Kartaginy, czasem spieszymy na fajerwerki do obozu beja, stryja mego męża, starca pełnego dobroci; polujemy na flamingi po błoniach, a w górach na lwy i na tygrysy. W naszym książęcym pałacu Bardo mamy kaplicę katolicką; już nawet więż śmieliśmy nad nią wznieść. Do czterdziestu księży mahometańskich potajemnie nawróciło się do katolicyzmu. Idzie o przekonanie całego narodu. Bóg nam dopomoże, byleby mąż mój pożył długo i przyjaźń Francyi potrwała.

---

## R O Z D Z I A Ł VII.

ODPUST W CHICLANA.—CUDOWNY OBRAZ MATKI BOSKIEJ.—TOWARZYSZE.—ANDALUZY I ANDALUZKI.—ILLA DE LEON.—GWARDYA NARODOWA.—UROCZYŚĆOŚĆ RELIGIJNA.—TARG I TARGUJĄCY.—TEATRY JARMARKOWE.—CYRK WALKI BYKÓW.—NIEMIEC, FRANCUZ I INDIANKA.—GWARDYA NARODOWA.—WIDMO.—DON LUIZ DE CASTANNEDA.—ZEMSTA.—TRWOGA.—BANDYTA.—ZABAWA.—TAŃCE.

---

Od kilku tygodni już o niczem nie mówiono w Kadyksie, jak o świątynnym odpuście, który corocznie ściąga do Chiclana tysiące ludzi, wszelkich klas społeczeństwa, z najodleglejszych stron królestwa, a nawet i okolicznych krajów. W hotelach, kawiarniach, na przechadzkach publicznych, w salonach arystokracji pieniędzy i urodzenia, w kościołach nawet, nazwisko Chiclana było w ustach wszystkich. Hiszpania jest jeszcze jednym z tych krajów, w których i najboleśniejże wypadki polityczne nie zdołały przytłumić wrodzonego ludzom pociągu do zabaw; jedynym z tych krajów, w których istnieją po dziś dzień zabawy publiczne, wabiące zarówno i księcia i żebraka, i księdza i rokosznika, dewotkę i manolę.

Zapewne wiadomo czytelnikom, bo o tém w swych wiekopomnych i wiarogodnych dziełach wielki Aleksander Dumas pisał, że Chiclana jest ojczyzną Monteza, sławnego matadora byków; ale zapewnie nie wiadomo, bo o tém Aleksander Dumas jeszcze nie miał czasu pisać, że w Chielanie znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, który, podobnie jak nasz obraz Najświętszej Panny Maryi Jasnogórskiej, zstąpieniem swém z nieba (jak powiadają podania) uratował, cztery wieki temu, miasto zagrożone przez hordy barbarzyńców maurytańskich. Tak wielka odwaga wstąpiła za zjawieniem się cudownego obrazu w serca poddających się już obywateli Chiclany, że poprzysięgli raczej zginąć,

niż żyć pod panowaniem nieprzyjaciół chrześcijaństwa. I zginęli istotnie prawie wszyscy w bitwie, która zaraz nastąpiła, a nieprzyjaciel nie wiedząc o tém, nie odważył się przypuścić drugiego szturm i odciągnął. Zginęli prawie wszyscy, ale synowie bohaterskich ojców przedłużyli byt ich i pamięć w długie życie, bo piękne czyny, wielkie ofiary i poświęcenia, nie giną, nie przemijają.

Wypadki te miały miejsce cztery wieki temu, jak mówiłem, w połowie miesiąca maja, i od tego czasu wdzięczne miasto, okolica, wielka część królestwa Andaluzji i Grenady, obchodzą rocznicę wiekopomnego tryumfu wiary nad przemocą.

I ja się wybierałem na sławny odpust, szczęśliwy, że oddając hołd Matce Boskiej, będę miał sposobność poznania synów i córek wesołej Andaluzji, skupionych w jedném miejscu, i w zupełnej, świątecznej okazałości. Mieszkałem w hotelu bardzo porządnym, w którym tylko gości na dłuższy czas do Kadyksu przybyłych, za szczególnymi rekomendacyami przyjmują. Było nas wtedy sześciu młodych ludzi, z sześciu różnych krajów; ale żyliśmy tak ściśle z sobą, jak tylko można żyć, kiedy się jest młodym, ciekawym i wesołym, i kiedy od kilku tygodni podróżuje się razem. Jeden dla drugiego stał się niezbędnym. Organizatorem zabaw i wycieczek był pan Ewerard, młody, majątny Irlandczyk, który przybył do Kadyksu dla zaślubienia jednej z najpiękniejszych dziewic Andaluzji. Mentorem był jego przyjaciel, Anglik, porucznik marynarki angielskiej. Oryginałem był Dr. Lange, uczony niemiecki, wysłany przez profesora Schönleina na zbieranie wszystkich obywateli morza i ziemi, których można śpilką przekłuć, wypchać, lub w spirytusie konserwować. Orfeuszem był Don Ramon Z., młody syn niepokonanej Kantabryi, z powołania swego uczeń medycyny; ale go nie zgnębiła zbytnia uczoność, ani chęć wygórowania w swym zawodzie; sam mówił, że w szkole przygotowawczej lekarskiej w Bilbao nauczył się grać na gitarze, w fakultecie Salamanki śpiewać, w uniwersytecie madryckim komponować piosnki, i że teraz przybył do sławnych klinik Kadyksu, dla nauczenia się kaciuci i fandango, dla uzupełnienia swego wychowania; bo, powiadał, za pomocą gry, tańca i śpiewu, lepszym będzie lekarzem, niż owi uczeni myśliciele, zrywający siły swoje dla ulżenia

cierpień ludziom, którzy ich nie oceniają. Istnym szatanem naszego towarzystwa był młody Don Juanito, alfercz czyli chorąży dragonów hiszpańskich, wścieklej wesołości szalał, co dlatego zdaje się żył, by płać figle tym, którzy je najmniej lubili. Lekarzem nareszcie towarzystwa byłem ja sam, który o sobie nic powiedzieć nie mogę, tylko, że mnie los przerzucił z brzegów Proсны, Nidy i Wisły na brzegi Gwadalkwiwiru i Oceanu, tak jak niegdys rzucił synów Izraela z brzegów Jordanu na brzegi Wisły, Nidy i Proсны.

Wybieramy się na Mayrenę wszyscy razem, nie w prozaicznych formułkowych frakach i surdutach, tak źle odbijających przy malowniczym stroju andaluzkim, tylko także w spencerkach aksamitnych wyszywanych, w pasach czerwonych i kapeluszach wysokich, spiczastych, z szerokimi rondami. Zwyczaj to oddawna przyjęty u wszystkich podróżujących, że, aby lepiej dzielić huczne zabawy publiczne Hiszpanów, ubierają się tak jak i oni: to nawet daje pewne przywileje cudzoziemcowi. Manola najuboższa i najbrzydsza nie przyjęłaby towarzystwa w fraku lub surducie występującego kawalera; gdy tymczasem najmłodniejsze damy hiszpańskie pozwolą na zaszczyt towarzyszenia sobie, byleby być ubranym jako majos, to jest kawaler hiszpański. To nas właśnie skłoniło do przyjęcia cudzoziemskiego stroju; dużym wydatkiem trzeba było to opłacić.

Ale już bramy Kadyksu otwarte, piąta godzina bije, całe miasto ożywione, ulice zaludnione kawalkadami pieszemi i gdzie niegdzie kolasami do lektyk podobnemi. Wesoły gwar rozlega się wszędzie, przyprowadzają nam konie w piękne czapraki i haftowane lejce ozdobne. Rozjeżdżamy się po nasze damy, wsiadają już na muły, obwieszone pomponami i srebrnemi dzwonekami. Duenny, to argusy kobiece, tak niewygodne, wążą na osiełki i biegną za nami wrzeszcząc: »wolno, wolno!« a przy każdym zakręcie ulicy popędzają swe osły nielitościwem biciem, krzyząc jeszcze lepiej.

Zebrałiśmy się nareszcie wszyscy przed okazałą bramą Trocadero. Szósta godzina bije. Summa w Chiclana o dziewiątej, a do Chiclana jeszcze pół trzeciej mili polskiej. Spieszmy na mszę świętą; nie krzyćcie duenny!



Patrzcie na tych Andaluzów brunatnej cery, żywych ocz i lekkich jak u jeleni nóg! Jaka radość, wesołość w ich twarzy, przytém jakie zaniedbanie junackie, przypominające bursza akademickiego; istny obraz próżności, skutek niezém niezamąconego szczęścia! A jak mało mu do tego potrzeba. Byleby miał promień słońca i cygarettów podostatkiem, byleby mógł wytańczyć się i wyśpiewać do woli, co go obchodzi świat? On nie jest ani Hiszpanem, ani obywatelem, ani żołnierzem, ani nawet chrześcianinem; on jest synem Andaluzyi, to jest Maurem w nowoczesnej sukni, poetą, marzycielem; kocha roskosze aż do szaleństwa, żywi się miłością i wonią kwiatów. Katolicyzm jest dla niego grą fantastyczną, czarującą go i podnoszącą jego uczucia, dopóki zostaje pod wpływem bezpośrednim jego głęboko przenikających obrządków; ale zresztą, raz wyszedłszy z kościoła, już nie wie co jest religia, nuci sobie kaciucię i myśli o swój kochance.

A Andaluzka! jakże tęskne jój oczy, jak wymowny, ponętny, pragnący ich wyraz, a zarazem jak ogniście i rozkazujące te spojrzenia! jak są powabne w swych czarnych, czerwono podszytych mantylkach, w owych różowych baskinkach, czarną delikatną koronką obszytych! Z pod tych baskinków wyglądają w płyciuteńkich trzewieczkach dwie nóżki, drobne, okrągłe, zgrabne, co cię zachwyca, zdumieją. I one lubią zabawy, swobodę, tańce, śpiewy; z pierwszego wejrzenia możnaby je posądzić o płochość, ale bliżej dostrzeżesz, jak wiele jest pomiędzy nimi dziewic szlachealnych, co nie rozrzucają swych uczuć, nie rozdrabniają kokieterią, ubieganiem się za chwilową radością, przechodniem szczęściem. Instynktem jakimś wiedziona, umie wabna Andaluzka przeniknąć wartość uczucia miłości, ceni świętość jego, jak świętość religii. W sercu Hiszpanki miłość jest tak ściśle skojarzoną z religią, że jedno użalenia drugie, i że za sponiewieraniem jednego, drugie więdnije, maleje, niknie.

Ale już przebyliśmy długi język piaszczysty, łączący Kadyks ze stałym lądem. Jesteśmy na połowie drogi, w mieście Illa de Leon. Wieleby można powiedzieć o tém mieście, w którym niegdyś rozpoczęła się rewolucya, za pomocą Francuzów tak krwawo ugaszona, ale nie teraz; my dziś

chcemy się bawić, tak jak i inni; zakopmy głęboko te wszystkie wspomnienia, choćby tylko na dzień jeden.

Wynoszą nam śniadanie nasze: szklankę limonady, którą Irlandczyk kazał dobrze przyprawić szampanem, szczególnie dla duennek. Piją dobrze: rozochocą się przecież; dajcież się bawić młodzieży, wy stare argusy! i wy byłyście kiedyś młode, i wicie, jak to prędko przemija ten wiek złoty, którego wspomnieniami trzeba żyć tak długo.

Gwardya narodowa miasta Illa de Leon wyrusza do Chiclana, dla oddania hołdów wojskowych Matce Boskiej; pięknie to przybrany oddział piechoty, uzbrojony w karabiny z bagnetami. Już idą w marsz, ale nie piechotą, tylko na mułach i osiełkach i pod deszczochronami. Poczełwi obywatele, zacni ojcowie, rzetelni kupcy, doskonali mężowie i czuli synowie, nie chcą się męczyć w pełnieniu swych obowiązków dobrowolnie przyjętych.

Ustały nareszcie te przebrzydłe piaski. Kraj się rozwija piękny przed nami. Miesiąc maj w Andaluzji! Niech każdy Stwórcy dziękuje, kto go raz w swém życiu widział. Jaka obfitość, świeżość, barwa i życie w tej wegetacyi tak różnorodnej i różnokolorowej. Wszystko tu rośnie, rozwija się, kwitnie i dojrzewa od razu, częstokroć nawet na jedném drzewie, jak na pomarańczy lub cytrynie. Złociste kłosa pszenicy same się chylą, już sierpa żądają, a cała atmosfera pała wonią tysiąca kwiatów.

Ale wkrótce, za kilka już tygodni, przekwitniesz luba wiosno! Słońce zwarzy twe kwiaty, subtelny pył pokryje twe zielone liście, tumany kurzawy wzbijają się w powietrze i zaduszą woń twoją! nie się nie zostanie prócz pewności, że na przyszły rok przybierzesz równie piękną i świetną szatę! Nie tak z wiosną życia naszego!

Biją z moździerzy w Chiclanie, i wszystkie dzwony w harmonijnym rytmie rozsyłają swój dźwięk uroczy, poważny, na wszystkie krańce widnokregu. Huczą echem ogromne ściany gór Alamydy, jęczą szumne wały oceanu, wszystko wzywa do korzenia się przed majestatem Boga: i nagle ustają i śmiechy i żarty, spadają kapelusze, każdy staje jak wryty, na miejscu, w którym doszła go wiadomość, że »Słowo stało się ciałem, i że będzie mieszkać między nami.« Chwilo uroczysta! tryumfie katolicyzmu! czemuż nie trwasz wiecznie? czemuż nie trwasz dłużej jak przez czas

trzech Zdrowaś Marya i jednego przeżegnania? Znikasz zawczasie, i nie zostawiając może śladu, jak w pamięci i sercu tego, który już wiele wycierpiał, i wszystkie swe cierpienia odnosił do Boga!

Przybywamy do Chiclany, usiłujemy wejść do kościoła ale nadaremnie. Nietylko kościół, ale i cmentarz, ulica nawet napełnioną była klęczącymi pokornie ludźmi wszelkich stanów, płci i pokoleń. Obok mnicha klęczał żołnierz, obok margrabięgo żebrak, obok wielkiej pani cyganka; wszystko się zrównało i zjednoczyło przed Bogiem!

Podczas wspa iałej processyi wyprowadzono cudowny obraz Matki Boskiej na tryumfalnym ołtarzu. Ołtarz ten, cały z srebra, ozdobiony płaskorzeźbami i posągami szczerozłotemi, stał na kołach zasłoniętych zewsząd kobiercami, najeżonemi złotem i perłami. Czterech ludzi, których także nie widziano, popychało go z wewnątrz. Sam obraz przedcudownego pędzla (podanie mówi, że Boskiego), nie był pokrytym owymi blachami metalowemi, któremi u nas zdobią obrazy Świętych. Na wzór Matki Boskiej Częstochowskiej, i według słów wzniosłej pieśni: »Czarną jestem, ale miłą, o wy córki Jerozolimy,« obraz Panny Maryi z Chiclana przedstawiają z twarzą koloru ciemno-oliwkowego, ale wyraz tej twarzy był uroczym, boskim. Pana Jezusa nie trzymała przy piersiach, lecz wzniesionego w powietrze, nad prawe ramie; oczy miała zwrócone na widza, zdawała się przemawiać: »To wasz Pan, tego brońcie do ostatniej kropli krwi waszej.«

Umie głęboko przemówić do serca ludzkiego obraz ten; nie wiem, czy wyszedł z pod pędzla Boskiego, ale że wyszedł z jego natechnienia, o tém już nie wątpię.

Skończyła się uroczystość religijna, ustał śpiew święty, ostatni huk działa odbił się o góry, i dźwięczyć przestało głosem dzwonów poruszone powietrze; teraz wszystko wraca do wesołości i zabawy, jakby jedyną iskrą elektryczną tknięte. Trzydzieści tysięcy ludności, skupionej przed progami kościoła, porusza się nagle z niesłychanym gwarem i rozpada w tysięczne grupy i jednostki. Teraz proszę się przypatrzeć żywiolom składającym tę pstrą całość. Żołnierze i mnichy, szlachta i dorobkowicze, mieszczenie i chłopci, karcjarze i kuglarze, szachraje i rabusie, angielki i cyganki, dewotki i manole, wróżki i gryzetki, alguazile i mu-

szary, kontrabandziści i celnicy, majtkowie i rolnicy, mawrowie i żydzi, bandyci, których nie brakło, jak się przekonamy; oto tylko część, mała część żywiołów naszego towarzystwa.

Ale czemuż tak wszyscy weseli, tak szczęśliwi? Ponieważ każdy stan, najuboższy i najbogatszy, ma udział w zabawie, w ogólnej radości, w wspólnych przyjemnościach. Wykluczonym nie jest nawet i żebrak, przynajmniej on wie, że nie straci, tylko to, co z obcej wyjdzie kieszeni! Żebrak hiszpański nie potrzebuje jęczeć i lamentować, jak nasz, żeby zmiękczyć serce; nie! on żebrze z gracyą i powagą nawet, ale zebrawszy tyle, ile mu potrzeba do przepędzenia dnia, już nie żebrze więcej i idzie bawić się z tymi, od których wyzbrał.

Fale tego żywego morza unosiły nas na obszerny rynek, gdzie stoją szałas, szałasiki, namioty i budy z najrozmaitszymi rzeczami dla zaspokojenia wszystkich potrzeb i gustów. Tu dla zepsutego dziecka bogactw i przepychu są najdelikatniejsze cukierki, sorbety, esseney, marcepany, perfumy z Arabii, kobierce z Damaszku i szale z Kaszmiru. Tu dla ludu są tańce, skoczki, maryonетки, to co mu najmilsze; a dla zaspokojenia jego mało wymagającego apetytu, są pierniki, ciastka migdałowe, słodczyce afrykańskie, pachnące daktyle, figi i tym podobne rzeczy mało kosztujące.

Tutaj pod wielkim namiotem! suto przybranym chorągwiemi wszystkich narodów, Genuńczyk założył pyszną restauracyę. Za cztery złote polskie można tu dostać obiad godny Lukullusa, z winem xeręs, malaga i alicante, *à discretion*. Tam znów pod cieniem gałęzi w nadobnym szałasie stoi w kwiaty przybrana, i wyjątkowo w czystych sukniach, czarno-brewa cyganka i zaleca swe paszteciki. Inny cyganek roznosi je w koszyku, i spotkawszy dzieci jakie wlokące się za rodzicami, bije i krzyczy: *«Llora por bolos, ijo de puta!»* (płacz o paszteciki bębnie!) Dziecko płacze z bólu i krzyczy o paszteciki; mamunia je kupuje, i cygan wygrał.

Tu nas zaprasza grzecznie grenadeńska dziewczyna, otoczona, jak Pomona, najpiękniejszymi owocami.

Ów człowiek siedzący na piętach, z głową brązową w biały zawój zanurzoną, z burnusem w najżywsze kolory wyszytym, jest Maur z Tafiletu. Na wielkiej tacy z liścia

palusowego trzyma daktyle z Barbary i zachwala je andaluzkim dziewczynom, mówiąc: »Piękne córki szczęśliwej Hiszpanii! Mahomet tak pięknych w swym seraju nie miał; kupcie od biednego Maura owoce afrykańskie.« I kupują Andaluzki; wszystkie córki Ewy lubią pochlebstwa.

Ale gdzie idziemy, aby czas do wieczora przepędzić wesoło? Do marynetek, na sztuki kuglarskie, gymnastyczne, czy też do teatru, w którym Hiszpanie, nie pomni sławy swych dawnych dramatyków, nie przedstawiają sztuk oryginalnych Calderona i Lopez-de-Vega, lecz mdłe tłumaczenia sztuk francuzkich?

Nie! dość téj francuzczyzny; nie chodźmy do teatru, tylko do cyrku.

Znany jest światu cyrk w Chiclana, jeden z najpierwszych w Hiszpanii. Wszakżeż w Chiclana rodził się ów Achilles Tauromański, wielki Montes, który w panu Aleksandrze Dumas znalazł swego Homera. Montes jest właśnie w swém mieście rodzinném; korzystajmy z zapalem ze sposobności podziwiania nieśmiertelnego Matadora.

Niech się czytelnik nie obawia; nie będziemy go częstowali nowym opisem walki byków z Hiszpanami. Wiemy, że pan Dumas aż nadto przesycił nimi Europę.

Opiszemy tylko to, czego jeszcze nie widział, lub czego nie zmyślił, co na jedno wychodzi.

W cyrku znalazło wygodne miejsce do 6000 ludzi, i to jeszcze nie wystarczało publiczności; pomimo bowiem podwyższonej ceny, połowa zaledwie ciekawych wejść mogła. Nieopodal od naszej łoży był balkon zajęty przez los Mozos, to jest młodych ludzi, akademików, oficerów, poczynających literatów, aktorów, buchhalterów kupieckich, słowem, przez ludzi dających ton młodzieży i przyswajających sobie w podobnych okolicznościach prawo kierowania opinią publiczną, sądzenia aktorów, a nawet i tyranizowania publiczności. Co tylko raziło uszy tego trybunału, było natychmiast wysmianém i skarconém bez litości. Godzinę jeszcze mieliśmy do rozpoczęcia widowiska. Powinnością trybunału było nas bawić. Długo czekał na dobrą sposobność, by wypłatać jakiego figla, lecz naprózno, w końcu dopiero się zjawiła. Drapie się na ławki cyrku jakaś dziwna istota, podobna do tych kolonistów niemieckich, lubiących osiadać w Polsce. Było rzeczywiście Niemiec,

który przywędrował z Szląska do Kadyksu dla sprzedaży pończoch i nici, i miał odwagę wydać pieniądze na widowisko; rzecz zastanawiająca! Drapie się tedy na ławki owemi nam znanemi nogami przyklękającemi, ściśniętymi niebieską pończochą i czarną skórzaną spodnią. Zresztą nosił ów klasyczny kusy fraczek niemiecki. Znalazł miejsce, siada, wydobywa z futerału ogromne okulary, i siodła niem: nos odpowiedniej długości; poczem wspiera swą wystającą kościstą brodę systematycznie na gałce łaski, i patrzy się. Tego widoku trybunał nasz znieść nie mógł, i naradziwszy się pomiędzy sobą, odśpiewał w kadencyach, znanych już w całej Hiszpanii, i na podobną sposobność powszechnie przyjętych, następujący wyrok:

El con las gaffas  
Que se las quite.

(Ten z okularami, niech je sobie zdejmie.)

Słowa te ciągle powtarzane, najprzód przez trybunał, a potem przez publiczność, i takt do nich bity kijem, nie wystraszył naszego Niemca z flegmy, nie wiedział bowiem, że do niego pito, nie znał języka hiszpańskiego. Nareszcie ktoś mu wskazał na okulary i oznajmił, o co idzie, gestami. Biedny Niemiec struchlał, zdjął okulary, schował do kieszeni drżąc ze strachu, i pokłonił się bardzo nisko publiczności; za to posłuszeństwo zaraz został ulaskawionym, innym wyrokiem także odśpiewanym a brzmiącym w ten sposób: *«El sin las gaffas, que se las ponga.»* (Ten bez okularów niech je sobie włoży.) Uszczęśliwiony Niemiec klania się jeszcze niżej. Teraz cały Szląsk wie, jak się Hiszpanie z bykami biją, a to wszystko z łaski jego potulności; co dowodzi, że każda cnota znajdzie swój pożytek.

Nie koniec na tém; przejdźmy z Niemiec do Francyi.

Na jednej z ławek siedział z brodą wyszwarcowaną przy stojny Francuz; modnie przybrany w rajtfrak, w jaskrawy halsztuk, w jasną kamizelkę i w spodnie kołoru piaskowego. Słowem, był to jeden z owych komiwojażerów francuzkich, przebiegających świat jak szarańcza, którzy, gdy nie umieszczą dobrze swego towaru w Hiszpanii, i gdy zdobędą w niej jakąś niewygodną chorobkę, powracają do Francyi, i piszą z niewymownym dowcipem o ubóstwie i braku w Hiszpanii, o załotności, lekkości jej córek.

Nasz Francuz miał szczęście umieścić się obok bardzo ładnej lecz skromnie przybranój Andaluzki. Z tój przyczyny wziął ją zapewne za gryzetkę. *En vrai Français*, nie umiając ani słowa po hiszpańsku, zaczął się zalecać sąsiadce bardzo przyjemnymi spojrzeniami, czarującemi grymasami. Znalazłszy, albo też myśląc, że znalazł jakieś zachęcenie, zdjął z ręki rękawiczkę koloru masła, w myśli prowadzenia dalszej rozmowy na migi, tylko, zapewne nie chcąc ze zbytnej dyskrecyi przypuścić całej publiczności do rozmowy, zamiast gestykulować nad, gestykulował pod ławką. Język ten nie przypadł do gustu młodój dziewczynie: wstała, odsunęła się z żywością i miotła na sąsiada spojrzeniem, jakie tylko lwica lub Hiszpanka z swój żrenicy wydobyc zdoła. Czuwał stoocznie trybunał, i wydał następujący wyrok w srogich kadencyach odśpiewany:

Que Don Futraque  
Sus manos tienda.

(Niech pan Futraque swe ręce wciągnie.)

Trzeba wiedzieć, że Hiszpanie nazywają Francuza, i we fraku chodzącego Hiszpana, panem Futraque, co może pochodzić z nadużywania przez Francuzów pewnego słowa, stanowiącego pierwszą syllabę wspomnionego przezwiska.

Francuz nie wiedział o co idzie, ale mu wytłómaczyli; zrazu zrywał się ze złości, ale spostrzegłszy, że tu żartów nie ma, udał, że bierze rzecz *en bonne partie*, i wyciągnął ręce, śmiejąc się z miną człowieka mającego w ustach dwie łyżki octu siedmiu złodziei. Śmiech ofiary był tylko słabém echem śmiechu całej publiczności; ale kto się śmiał najgłośniej? oto tuż pod Francuzem siedząca murzynka, *Aauna*, najbrzydsza z córek Senegalu, sławna z swój brzydoty w całym Kadyksie, potwór z czołem jak tasiemka, i wargami ważącemi pół funta! Trybunał zawsze czuwał i wydał następujący wyrok:

Y la Indiyana  
Que la de beso.

(I niech Indyanka da mu całunek.)

Zrozumiała natychmiast Indyanka; rzuca się na Francuza, obejmuje go kościstemi ramionami, i całuje z całym wytężeniem owemi tłustemi wargami; myśleliśmy, że pół-

knie biedaka. Komiwojazer stracił równowagę, i wyciągnął nogi jak telegrafy w niebo.

Opisać, co się działo z publicznością, tego żadne pióro dokazać nie jest w stanie. Nie były to śmiechy, ani konwulsye, jęki, którym wtorował ryk do wsciekłości przywiedzionych byków, zamkniętych w stajniach cyrku.

Bije godzina trzecia, i alguazile, przy szpadach z czerwoną pochwą wstępują na scenę cyrku i proszą o spokojność. Otwierają się drzwi łoży rządowej i jawi się Alcalá, Corregidor i café Ajuntamiento. Rozpoczyna się widowisko. Ale czém? Jeszcze nie walką byków, na którą z napiętą czekano ciekawością. Bynajmniej. Czekala nas rzecz programem nie objęta, zupełnie niespodziewana; widowisko nie często na teatrach przedstawiane: rewia wojskowa czyli rewia gwardyi narodowej, co może nie zupełnie na jedno wychodzi.

Potomkowie dawnych obrońców Chielany, zformowani w dwie kompanie gwardyi, chętni okazać światu, że nie są wyrodnymi synami przodków, wpadli na osobliwy pomysł zrobienia *«una manifestacion de fuerza»*, to jest objawienie potęgi na arenie cyrku. Niewinny to pomysł, ale w Hiszpanii niewinność weszła w modę, od czasu jak niewinność nad nią panuje, a cnoty rządzących błogi przykład wywierają na naród.

Poprzedzone muzyką wojskową, przygrywającą hymn Riega, z lepszą chęcią jak harmonią, dwie kompanie za grenadyerów przebranych obywateli wstąpiły w arenę cyrku. Twarz ich przybrała na się, przy téj okoliczności uroczystej, największą marsowość, na jaką się tylko zdobyć mogła; na kaszkietach dumnie powiewały wielkie kity z piór żółtych i czerwonych, także na tę okoliczność sprawionych. Rozpoczęły się ewolucye i musztry dość dobrze wykonywane. Zachodzono kompaniami, odłamywano się w plutony, półplutony i sekcye, zwijano się w kolumny, w czworoboki, rozwijano w linię wcale chwalebnie; dawano ognia razem i rotami, słowem, tak dobrze udawano żołnierzy, jak na teatrze ich udać można. Publiczność nadzwyczajnie zadowolona tak pięknymi rezultatami błogiej instytucyi żołnierzy obywateli, biła w ręce krzycząc: *«Viven los heroicos Chielaneros! viva la guardia nacional!»*



Któż mógł przewidzieć, o gwardyo narodowa! że bohaterstwo twe wkrótce na ciężkie będzie wystawione próby? że za chwilę miała zajść scena tak nadzwyczajna, iż tylko Hiszpania, w smutnych czasach wojny domowej, mogła być jej widownią? Nie przerywajmy. Zabierano się do złożenia hołdu władzom miejskim defiladą półplutonami. Już na boku uszykowana kolumna. Już bębny i muzyka w swém miejscu gra marsza, już komendant woła: batalion naprzód! krok zwyczajny! mar...! lecz ostatnie słówko słabnie i kona na jego wargach, noga lewa do wyciągnięcia gotowa wrasta w ziemię, twarz blednieje, a oczy w słup wlepiają się w jedną z łóż przyległych rządowej, do której właśnie wchodzi jakiś jegomość z całą rodziną, z żoną, dziećmi i sługami.

Plutony naśladują postawę komendanta, stają w miejscu jak wryte i blednieją patrząc się w łóż.

Ale i Ajuntamiento zbladło, Alcalde truchleje, Corregidor zasępił się jak noc.

I trybunał zamilkł jednomyślnie.

Tylko publiczność przedstawia różny i rozmaity widok. Z wszystkich uczuć malujących się na jej twarzach, uczucie bojaźni i trwogi najmniej było wydatnem, radość nią była raczej, radość z zadowolonej ciekawości, skoro półgłosem rozeszły się słowa: »Don Luiz de Castanneda.«

Tak jest, ten jegomość średniej tuszy, wzrostu i wieku średniego, z twarzą łagodną, lecz bystremi oczyma, nie różniący się w ubraniu i układzie niczem od każdego innego obywatela, poczciwego ojca rodziny, był celem wszystkich uczuć, przyczyną trwogi jednych, radości drugich: było Don Luiz de Castanneda.

Ale patrz! jak bystro śledzące oko oprowadza spokojnie po całym cyrku, po gwardyi narodowej bardzo nieruchomej, po biednym Ajuntamiencie; jak wstaje, i z królewską godnością rzuca, po pełnym szlachetności ukłonie do władz, gwardyi i publiczności: »*No tengan Ustedes sosiego.*« (Bądźcie państwo bez obawy.)

Ah! teraz wiem; to jest król, to jest pretendent, który zdołał uciec Francuzom i przybył do Chielany, korzystać z zbiegowiska włościów sprzyjających mu, i prawa swe do korony poprzeć.

Nie! to nie jest Don Carlos de Bourbon, lecz Don Luiz de Castanneda.

Ale kimże i czémże jest Don Luiz de Castanneda? Czy to statua Kommandora? Czy to Piotr okrutny zmarłychwstały? Filip II. wskrzeszony? lub inkwizycya nie-dobita i łeb swój wznosząca?

Spytaj się każdego dziecka, ono ci odpowie: Don Luiz znany jest od Ayamonte aż do Algeziras, na całym wybrzeżu oceanu i na wszystkich górach o 10 mil od niego odległych. Tu go zowią obrońcą kościołów, bo ich kilka obronił przed chciwością krystynosów; tam znów protektorem wiary, dlatego, że ratował mnichów i mniszki podczas prześladowania; inni nazywają go opatrnością podróżujących, dlatego, że za jego paszportem można podróżować bezpiecznie po wszystkich górach i wąwozach, w razie potrzeby zawezwać pomocy jego urzędników. Inni znów nazywają go podporą handlu, dlatego, że osłania kontrabandę, a pilnuje, żeby się Anglicy miernym zyskiem zadowalniali. Biedacy nazywają go ojcem, bo nim jest w istocie dla nich. Koczujący aktorowie, śpiewacy, baletnicy, poeci i malarze, zowią go synem Apollina dlatego, że w najgorszym razie, kiedy pracy nie ma, długi cisną a głód dokucza, znajdują w jednej ze *stu* rezydencyj Don Ludwika przytułek, wyżywienie i pracę. On sam bowiem lubi grać na gitarze i wiernie komponować. Pani Ludwika lubi śpiewać, a córeczki przepadają za fandangiem i bolerami. Dziwna rzecz, że pomimo tylu tytułów do szacunku publicznego, władze krajowe skazały Don Ludwika zaocznie, na śmierć przez powieszenie, i że nazaczyły 20,000 złotych ceny na głowę jego, na tęż samą, którą dobrze wyczesaną, wymuskaną, teraz jeszcze na bar-kach jego oglądamy.

Czémże zawinił na tak srogą karę protektor wiary, zbawca kościołów, opatrność podróżujących, brat Merku-rego, a syn Apollina? Oto jedynie tém, że jest po prostu bandytą! tak, bandytą, hersztem licznego towarzystwa, szeroko rozgałęzionego, odnogami swemi tajemnymi aż do władz prowincjonalnych, ministeryalnych nawet wkraczającego, a złożonego: 1) z armii czynnej polowej, rozstawionej po górach, drogach, wąwozach, przesmykach, nad brzegami morza i rzek spławnych, zawsze gotowej do

działania odporne i zaczepne; 2) z armii pomocniczej, rekrutującej się pomiędzy kontrabandzistami i wieśniakami w razie potrzeby; 3) z agentów tajnych wszelkich klas, wieków, płci i pokoleń we wsiach i miastach.

Don Luiz panuje sobie w imieniu cnoty i sprawiedliwości, ale według własnego o nich pojęcia. Broni mniichów prześladowanych, ale sam ściga, prześladuje i z pieniędzy obdziera księży, którzy uznali Donnę Izabellę. Ubogiemu daje, bogatemu odbiera. Podróżnego okupującego się agentom proteguje; podróżnego drwiącego z jego potęgi spotyka inny los: zatrzymanie, odarcie, a w razie oporu śmierć.

Don Luiz zaślania przemytników, lecz nieubłagany jest nieprzyjacielem celników i wojska. Biada celnikowi! biada żołnierzowi zbliżającemu się doń na przestrzeń, w której dosięgnąć może kula jego sztucea, lub kulka fuzji jego żony; gdyż ta pani Ludwikowa, której biała rączka poprawia w tej chwili, z macierzyńską troskliwością, mantylkę na głowie córeczki, jest najlepszym strzelcem w całej bandzie swego męża. Przebrana po mężku, uzbrojona, nie odstępowała go ani na krok, dopóki tylko stan *interesujący*, w którym zwykła się znajdować często, nie wzbronii jej przebiegać skał i gór piechotą, dosiadać zwawego rumaka i nosić ubioru męskiego. *«Oh hermosa tiradora!»* (o piękna strzelczyni!) ręka twoja więcej zniszczyła życia, aniżeli ty go wydałaś! Takim jest Don Luiz i jego rodzina, których tutaj widzimy przypatrujących się z uśmiechem defiladzie; ta bowiem poszła swoją drogą, lubo dość nieporządnie, skoro tylko ajuntamiento i komendant ochłonęli z odurzenia.

Władze postanowiły nie wiedzieć, że jest wilk w owczarni, udać, że go nie poznały. Rzecz niepojęta dla wszystkich może, prócz tych, którzy jak ja byli świadkami nieładu i scen nieodłącznych od wojny domowej, nurtującej w owych czasach nieszczęsną Hiszpanię, wojny nieważniejszej jej siły i paralizującej działania rządu.

Mianoż się rzucić na bandytę i związać go? Jeden ruch, jeden tylko krok, jeden gest, a sto osób pada z ręki stu bandytów, rozsianych w cyrku pod różnemi postaciami. Gwardya narodowa zaległaby trupami swemi arenę cyrku, nimby broń nabić zdołała. Ten sam sztylet, któ-

ryby przebił sąsiada, rzucony z miejsca, zadrziałby ostrzem w sercu gwardzisty. A brakłóż palnej broni pod temi długimi płaszczami? brakłóż tu owych tromblonów, których jeden wystrzał razi dwudziestu?

Wiedział o tém Alcalá, wiedział, jak okropną sprawdzi rzecz, jeżeli się nie podda konieczności, i nie uzna potęgę wykletego, skazanego bandyty. Ze względu na dobro publiczne, na całość swych dzieci, siedzących tuż pod panią Ludwikową, w której wachlarzu niezawodnie był sztylet ukryty, udał niewidomego, choć wiedział, jak okropną na siebie ściągnie karę za to publiczne wyznanie niemocy swego rządu.

Wiedzmy, że nie błaża ciekawość ściągnęła tutaj, na publiczne widowisko, Dona Luiz de Castanneda. Poprzysiął on zemstę Alcaládowi, za zanadto gorliwe wykonanie rozkazów rządu względem jego osoby, za zwalenie w Chiclana domu, w którym się był rodził, za zrównanie go z ziemią i powieszenie w obrazie na szubienicy, w tém miejscu wystawionej.

Poprzysiął mu zemstę w tych słowach przybitych puginałem na drzwiach jego domu: »Powiesić cię mam własną ręką, byłoby dla mnie rzeczą zanadto łatwą; chcę żebyś był powieszonym przez tych, którym z zbytnią służysz gorliwością, i méj zemsty dopnę!«

Aby dopiąć zemsty, Don Luiz korzystał z téj uroczystej sposobności, ściągnął na jeden punkt wszystkich swych podkomendnych, zbójców, kontrabandzistów, cyganów, przebrał część ich za kupców, przekupników, majos, kawalerów, wieśniaków, żebraków; rozesłał na wszystkie drogi szpiegów, obstawił wyjścia czatami, i przyszedł urągać się, w obliczu całej publiczności, z gwardyi i władz konstytucyjnych, wyrzucić stronnictwu tryumfującemu największą jaką tylko można zniewagę, zawstydzić stronników królowej Izabelli.

Gwardya narodowa, skończywszy defiladę, chciała wyjść z cyrku; lecz Don Luiz, obawiając się oblężenia z zewnątrz, wszystko przewidział i zawołał: »*Los Seniores nacionales quederan aqui, y por les hazer ptaca todas, las ninnas y viejas duennas dexaran el circo.*« (Panowie gwardziści pozostaną w cyrku, a dla zrobienia im miejsca, małe dzieci i stare duenny opuszczą cyrk.)

„*Viva Don Luiz!*« krzyknęła jednogłośnie młodzież, a nawet nie jeden gwardzista z radości, że im nie kazał pozostać w arenie cyrku i potykać się z bykami.

Teraz nastąpiło wydalenie się duennek i dzieci, przy odgłosie nieskończonych śmiechów i żartów trybunału, któremu znów odtajały usta.

Nam się dostało czterech bohaterskich gwardzistów w miejsce naszych nieznosnych argusów. Radość wstąpiła znów w ściśnione serca wszystkich, lecz nie wróciła do serca Alcaldy. Przeczuwał on los swój, przewidywał surowość sądu.

Wiemy, że nie masz okrutniejszego jak zemsta słabego! Mocny tylko nie lęka się być wspaniałym i przebaczyć.

Przytoczę w krótkości, że sąd wojenny, któremu rząd ówczasowy porucił sprawę Alcaldy, wydał nań wyrok śmierci. Odrzucono prośbę o ulaskawienie. Obżałowany byłby skonał na szubienicy, gdyby go Don Luiz, tknięty litością, nie był kazał wykraść z więzienia w nocy, poprzedzając stracenie. Bandyta przebaczył swemu nieprzyjacielowi; nie tak był szlachetnym sławny ów książę Zwycięstwa z nieprzyjaciółmi, których tyle i walecznych padło ofiarą jego zimnej, drobnostkowej zazdrości.

Później, pod sprężystszemi i roztropniejszemi rządami generała Narvaez przebaczone Alcaldy, i zdjęto klątwę z jego nieprzyjaciela, potem zbawcy, gospodarza, a teraz przyjaciela Dona Luiz, pod warunkiem, żeby na lat dwadzieścia opuścił półwysep. Don Luiz żyje na jednej z wysp Kanaryjskich, cały oddany wychowaniu dzieci, których ma dziewięcioro, i sposobieniu ich na uczciwych obywateli. Najstarszy syn jest już księdzem. Tak ostatni bandyta godny Rinaldego, doczekawszy się prozaicznie późnej starości i prawnuków, umrze sobie zapewne najspokojniej w łóżku!

O poezyo! już cię nawet w jaskiniach Sierry Moreny, w Alpuharrach i Alhambrze, znaleźć nie będzie można! Nie się oprzeć nie zdoła wpływowi prozaicznemu XIX. wieku, pary i potrzebie wygod, ani nawet bandyta andaluzski. Gdzież cię mamy szukać urzeczywistnionej? Podobno już tylko w wielkich zjawiskach natury, do których ręka ludzka nie nie dokłada.

Wróćmy do cyrku, gdzie się tym razem na prawdę rozpoczyna walka byków z Hiszpanami. Obiecałem jej nie opisywać i dotrzymam słowa. Dodam tylko, że z łaski Francuza, który wzbudził swą śmieszoną przygodą szalone śmiechy, i z łaski musztry ogniowej gwardyi narodowej, nie było już potrzeba rozjuszać zaciekłych byków. Pierwszy zaraz położył trupem czterech koni. Wielki Montez nie zawiódł oczekiwania: nadziewał szpadą byki z taką łatwością, z jaką nasz zoolog nadziewa szpilką chrabąszcze i motyle, tylko ich sobie na kapelusz nie przypinał. Z jego potężnej ręki padło dziesięciu byków, a z ręki jego synowca, młodego matadorka, pełnego najpiękniejszych nadziei, jeszcze czterech *novillos*, to jest byczków. Koni zginęło siedemnaście; w zaciętym boju kilku pikadorów i banderilerów odniosło bolesne rozbicia, jeden nawet głęboką ranę w udo.

Skończył się krwawy bój. Wychodzimy po czterogodzinném posiedzeniu. Słońce już się chyliło ku widokregowi, stopy rozdętej czerwonej tarczy już się nurzały w odmętach oceanu, a głowa przed bliskim zapadnięciem jeszcze jaśniała całym blaskiem, rozsyłała pałające płomienie na połowę firmamentu i zalewała purpurą łożę swoje.

Czy już koniec odpustu? O nie, odpust hiszpański bez tańca, byłby jak obiad bez wetów dla Francuza, jak życie bez podróży dla Anglika, jak raj bez piwa dla Niemca, i jak u nas kościół bez karczmy. Idziemy tedy na tertulję, to znaczy idziemy przepędzić wieczór na muzyce, śpiewach, tańcach, rozmowie i opowiadaniu historyj o strachach, upiorach i bandytach.

Wszystko było przewidziane. Dobre ćwierć mili za Chiclaną był gaj pomarańczowy urozmaicony większemi drzewami, jakoto: święto jańskimi, modrzewami, jaworami i klonami. Ciągnął się ten gaj, przemieniając się powoli w las, a potem stopniowo w dziki bór, aż do stóp łańcucha gór ograniczających północny widokrąg. Tam, w tym gaju, było mnóstwo wzgórków, pochyłości, wyrębów tworzących najpiękniejsze doliny. Jedną z nich przysposobiono na przyjęcie naszego towarzystwa. Tam nas czekała zimna kolacya, sorbety, lody, limonada winna, owoce, cukry, xerez i szampan; tam nas czekali muzykanci, gitary, kastaniety i nasze nieodstępne Argusy.

Zaszło słońce i pociągnęło za sobą swój płaszcz purpurowy. Ognie i latarnie chińskie zastąpiły światło dzienne. Zabrzękły gitary, śpiew się rozlegał z razu tęskny, potem śmielszy; wreszcie zatętniały kastaniety: bal się rozpoczyna.

Wieleby tu można rozwodzić się nad tańcami hiszpańskimi, mającemi szczególny dla mnie powab: bo tak jak nasze wesołe krakowiaki i dziarskie mazury, są obrazem charakteru ludu, który je utworzył. Ale nie tu miejsce. Zresztą, pocóż opisywać suchemi słowami to, co nasze córki Terpsychory, tak pojętne, gdzie idzie o przejęcie się obcemi narodowościami, umieją przedstawiać cudnie pięknie na naszej ziemi.

Ah, czemuż nie umiałem tańczyć fandanga! nie byłbym pozwolił szczęśliwemu Don Juanio unieść cię z pod mego boku piękna Delfinio! nie byłbym pozwolił patrzeć się tak długo i miłośnie na twe piękne długimi rzęsami tęskno przyémione oczy; nie byłbym widział, jak kołysząc się w namiętnym tańcu, wyciągasz ramiona, niby dręczona snem miłosnym. On cię ściga; ty uciekasz, gdzie? pod mą opiekę? o nie! ty uciekasz, lecz chcesz być dognaną. On dopada, błaga, a ty się okrutna poddajesz! Powracasz nareszcie do mnie, blada z wzruszenia, omdlewająca, litosném okiem spoglądasz na me zasępiione czoło, i podajesz mi chustkę, bym twoje obtarł.

Na tém skończył się odpust w Chiclana.

## ROZDZIAŁ VIII.

ZNIKOMOŚĆ I PAMIĄTKI.—POMNIKI W HISZPANII.—ANDALUZYA.—XEREZ.—KONIE ANDALUZSKIE.—WINO XEREZ.—GALERYA OBRAZÓW.—PUERTO DE SANTA MARIA.—SERENADA.—AKADEMIK Z SALAMANKI.

Puśćmy się lotem ptaka nad ten piękny ogród hesperyjski, który potem nazwano Hiszpanią; rozłoczmy nasze skrzydła tam wysoko nad obłokami: biegu naszego hamować nie będą ani skały, ani przepaści, ani huczące strumienie, ani téż owe zuchwałe góry, które wierzchołkami swemi sięgają nieba. Tylko jeden cel mamy tu przed oczyma, cel święty i dla nas pełny uroku: wysledzić, w *tém co jest*, śladów potęgi i upadku *tego, co było*. Umysł ludzki niechętnie pogadza się z myślą znikomości rzeczy ludzkich. Do wieczności powołany, nadzieję wieczności pielęgnując w sobie od kolebki aż do grobu, człowiek chciałby w życiu i w pracy najodleglejszych swych pradziadów znaleźć żywą pamiątkę, i żywą rękojmię przyszłych myśli, działań i rzeczy. A człowiek, który w pocie czoła obsiewa łany, wyrwane niestęchaną pracą z własnego serca i z własnego mózgu; człowiek, który nic więcej nie posiada jak to, co w sobie samym niewypowiedzianym mozołem stworzył, którego pędzi wiara i nadzieja tak przemagającą siłą ku przyszłości, że w mimowolnym biegu zapomina wszelkiej oględności na terażniejszość: człowiek taki czyż może znieść straszną ideę *znikomości*, czyż może choć jedną tylko chwilę istnieć bez odwoływania się do przeszłości po zasoby wieczności?

Wszystko tu w Hiszpanii przyciąga jeszcze oko młodzińca, wszystko czaruje smętny, ale czujny umysł filo-



zofa. Wielkie katastrofy historyczne nie przeminęły tu bez zostawienia głębokich i niezatartych śladów na powierzchni ziemi i w gruncie charakteru narodów.

Ogromem swym zastanawiające stopy głazów, wzniesione jak gdyby ręką Tytana, siłą, sztuką dotychczas nieodgadniętą, świadczą, że i Druid w ciemnym swym chaotycznym umyśle, jasno i potężnie przejrzał potrzeby przyszłości, potrzebę życia wiecznego. Mówią, że on się do swych bożyszczów modlił na tych ołtarzach; nie! on naszego Boga błagał tutaj swemi niezmiernemi głazami, tym surowym, kamiennym językiem błagał o przyszłość, o życie wieczne. Pocóżby bowiem znosił te ogromne kamienie ten naród, który, zdawałoby się, wszystkich swych sił potrzebował na pokonanie dzikich zwierząt, pierwotnych naszej ziemi mieszkańców? Idea wieczności, owa rzewna, święta tęsknota za nieustającym życiem, pojęcie religijne wrodzone, tlało już w tych surowych dzieciach puszczy, i czynem się objawiało niesłychanej potęgi.

I stoją od wieków może czterdziestu, jako pierwsze świadki ruchu umysłowo-popopotopowego, owe niezmierne ołtarze Druidów, i urągają się z burzy, nawalnic i z trzęsienia ziemi. Stoją, jak meteory z nieba spadłe i w kamień skrzeplę; a gdy zabrzmi trąba archanioła i wezwie nas z łona ziemi do zmartwychwstania, gdy my już nie znajdziemy może ani śladu naszych filgranowych utworów, Druid wówczas ujrzy w całości pracę swoją, i zostanie sownie wynagrodzonym za swą wielką tęsknotę do wieczności.

Ale tu, obok ołtarzy Druidów, wznoszą się na fenicyjskiego przemysłu, na kartagińskiego męstwa szczątkach, zabytki dumy rzymskiej, chrześcian pierwsze świątynie, Maurów uroczę grody w całej swęj pierwotnej kształtności, świetne gotyckie przybytki, nowożytnie budowle pełne piękności, i świadczą o nieprzebranych skarbach kraju, o duchu przedsiębiorczym narodu, który umiał tyle razy powstać z gruzów i zadziwić świat całej żywotnością swęj istności.

Szczęśliwa Hiszpania! ona nie potrzebuje dziejopisarzy, ona ich się lękać nie powinna. Sama sobie pisała swe dzieje granitem, marmurem i spizem, dzieje niczém niezatarte, ani się ukryć, ani sfalszować niedające. Tu w Hisz-

panii jeden wiek ustąpić nie chciał drugiemu bez zostawienia na ziemi godnego sobie pomnika, świadka i obrońcy prawdy.

Puszczam się z Kadyksu w dalszą podróż w głąb Andaluzji, na drugą stronę zatoki, tworzącej przystań Kadyksu.

Gdziekolwiek rzucim okiem, wszędzie widzimy kraj jak najlepiej uprawny. Na rozległym błoniu, obficie wodą zwilżonym, spostrzegamy stado koni, do 800 sztuk liczące. Wyborne, sławne na świat cały winnice pokrywają pagórki. Tu znów lasy oliwne, tam łąny pola, z których już zebrano pszenicę, i jeszcze będą zbierać inne zboże przed końcem lata, i na których jeszcze wyrosnie koniczyną przed zimą.

Wiele miast dość znacznych leży tu w małej od siebie odległości: Puerta de Santa Maria, San Lucar de Borromeda, Rota i Xerez. Wszystkie te miejsca do miast maurytańskich bardzo podobne: te same białe domy, te same w nich rozporządzenia, takie dziedzince i ogrody, jak w Tangerze, Tetuan i Larasz.

Tu na tych błoniach Xeresu półksiężyc tryumfował nad Rodrygiem, nieszczęsnym wodzem Gotów (w r. 711.), i ztąd rozniósł swe panowanie nad całą Hiszpanią. Tylko w górach Gallicyi, Asturyi i Kantabryi oparł się krzyż półksiężycowi i pozostał niezwalczonym.

Przedsiębiorczy Maur sam sobie wszystko chciał być winien, i w dumie swój nie wiele uszanował śladów cywilizacyi Gotów; własną zaś pragnął zaszcześcić na gruzach lub na gotym polu. Ale prawda, gdzie przedtem stały chaty i lepianki, tam stanęły murowane domy; gdzie były niekształtne surowe zamki Gotów, tam się wzniosły pałace, przewyższające w piękności wszystkie marzenia ludzkie; gdzie było żelazo, tam umieszczono złoto. I to właśnie zgubiło tych dumnych, w przepychu zniewieściałych Maurów. W siedmset ośmdziesiąt lat leżał na górach Grenady złoty półksiężyc pod ciosami żelaznego krzyża; lecz ślady jego pobytu pozostały niezatarte, pomimo wszystkich prześladowań, wymierzanych przeciw synom islamizmu. Wpływ wywarty przez Maurów na Andaluzję objawia się w obyczajach, w stroju, nawet w języku teraźniejszych jej mieszkańców. Nie jedną zagadkę ich charakte-

ru odgadnąć można z pokrewieństwa Hiszpanii z Wschodem. Język obrazowy Wschodu, jego zamiłowanie w rzeczach cudownych, jego powieści, słowa i zwroty przeszły w zwyczaj Andaluza; sposób nawet wymawiania narzecza andaluzskiego świadczy o długotrwałym wpływie Arabów; naprzykład mocna intonacya głosów gardłowych i syczących.

Miasto Xeres leży wysoko na wyniesionej, cokolwiek pochyło ściętej opoce. Na lewo piętrzy się ogromny taras, który mieszkańcom służy za miejsce przechadzki. Bramy i obwodne mury ustąpiły domom, w miarę, jak się ludność miasta powiększyła; dziś dochodzi do 40,000, i wzmagą się ciągle w dostatki ta ludność; wszakże to stolica wybornych win i sławnych rumaków.

Z wysokości obłoków nie spadajmy do głębokości piwnic, ale namówmy naszego Pegaza do fraternizowania za swemi nieskrzydlatemi braćmi, którzy tutaj tak wesoło, tak swobodnie na polu pływają. Siostr tu nie masz wprawdzie; zwyczajem maurytańskim trzymają tutaj płęć piękną czworonożną pod szczególnym i bardzo starannym zamknięciem; mężką zaś utrzymują w zupełnej niewiedomości, że coś podobnego, jak klacz lub kobyła, istnieje. Mówią, że takie wychowanie przykłada się wiele do utrzymania rasy w pełnej swój szlachetności.

Stadnina, z którą fraternizujemy w tej chwili, liczna i czysto andaluzska, miała wprzód zaszczyt należeć do Ojców Kamedułów, posiadających ów niezmierny klasztor tuż pod Xeresem. Nieubłagany edykt Mendizabala pozbawił pociwych Ojców przytułku, wraz z niewinną przyjemnością trudnienia się rozmnażaniem rasy końskiej. Stadninę kupił z dobrami jeden hidalgo, w spółce z kilkoma majątnymi włościanami.

Konie czystej andaluzskiej rasy mają prawie bez wyjątku dwa ważne błędy piękności: to jest głowę wielką, rysów cokolwiek pospolitych, i krzyż cokolwiek wązki, zniżający się pochyło, nieco *świński*, jak to mówią. Zdawałoby się, że konie te słabe są w zadzie, a jednakże to się nie sprawdza, bo i nadzwyczajnie dobrze skaczą, i do dziesięciu mil geograficznych pod jeźdźcem ubiedz są w stanie bez schwacenia się, lub też zbytniego znużenia. Inny błąd, według mnie także bardzo ważny, leży w ustroju

tylnych nóg zanadto wygiętych, a zatem za daleko prześcigających przednie nogi. Krok takich koni jest długi, posuwisty, ale w wypuszczonej klusie tylne kopyta zacinają się o przednie. W galopie niedogodność ta wcale się nie spostrzega, dlatego też Andaluz rzadko używa klusa.

Konie andaluzskie nie tak prędko dorastają i dojrzewają, jak, stosunkowo mówiąc, ludzie z tego kraju. Dopiero w siódmym roku przychodzą do swęj właściwej siły; lecz za to nieprędko z pola schodzą. Konie wierzchowe dwadzieścia lat mające jeszcze są szybkie, giętkie i wytrzymałe. Późne rozwijanie się koni andaluzskich pochodzi zapewne także ze sposobu wychowania ich w znaney nam niewiadomości. Do czwartego roku tak są dzikie, chude i kudłate, że pojąć nie można, żeby z takiego stworzenia wyrobił się koń silny i piękny.

Don Diego Gonzales de Ribeira pokazał mi pysznego bułanego ogiera, u którego, prócz łba cokolwiek wielkiego, nie było nic a nic do zganienia: krzyż bowiem miał piękny i nogi nie zanadto wygięte. Rosły, silny w kościach, z grzywą i z ogonem koloru jedwabiu surowego, a włosy tak bogate, że aż na ziemię spływał,—koń ten miał dumny wysoki chód, a w galopie tak orał ziemię, jak gdyby ją chciał w kawały rozbić. Właściciel żądał za niego złp. 12,000. Piękne i wielkie konie zawsze są w Hiszpanii i drogie i rzadkie. Za konia, jako tako zdolnego pod oficera kawaleryi lekkiej, zapłacić trzeba przynajmniej 14,000. Dodam tu jeszcze, że Hiszpanie nigdy klaczy pod wierzch nie używają, ani też nigdy ogierów nie walażą. Zdaje się, że cała siła konia andaluzskiego spoczywa w jego męzkości; gdy ją raz postrada, przepadł do wszystkiego.

Pewny jestem, że nasza polska rasa koni, tak ładna i silna, w rękach umiejętnych i dbałych o jej sławę gospodarzy, wyższejby mogła dostąpić doskonałości, jak rasa andaluzska. Ale wlec za sobą źrebięta, zaledwie kilka tygodni żyjące, na wszystkie jarmarki i imieniny, zaprzęgać je do koczki w konkury, gdy zaledwie trzech lat dojdą, jestto barbarzyństwo, prowadzące najoczywiściej do spolenia całego plemienia koni. W sztuce ujeżdżania koni Hiszpan bardzo jeszcze nisko stoi. Siedzi on wprawdzie mocno na koniu, z urodzenia bowiem śmiałym jest jeźdź-

cem; ale nie potrafi obejść się umiejętnie z koniem, nadać mu dobre chody, wygiąć go należycie w stawach. Konie andaluzyjskie daleko są łagodniejsze i rozumniejsze jak nasze; uporu nie mają żadnego, niełatwo je znarowić i łatwą bardzo pracą możnaby z nich wszystko zrobić, możnaby je wszystkich sztuk nauczyć. Pomimo tego, Hiszpan kładzie swemu koniowi munsztuk tak mocny, żeby nim hypopotama ujeździł, przytém wędzidło do ściskania języka opatrzone jest sztangami, na dziewięć cali długiem. Takim munsztukiem można wywierać nieograniczoną siłę na biedne zwierzę, można je odrazu osadzić na zadzie. Hiszpan namiętnie lubi używać takich rycersko-żakowskich efektów, drzyć galopem po bruku, raptem, krótko parować konia w najbystrzejszym biegu.

Eleganci madryccy zaprowadzili gonitwy konne na sposób angielskich; koń hiszpański jednakże nie celuje wcale szybkością biegu, i w tym względzie o tyle jest niższym od naszego, ile nasz od angielskiego.

Koń andaluzyjski jest pamiątką, którą Maur pozostawił w Hiszpanii; to potomek tej samej rasy, którą z Numidyi z sobą sprowadził, i na tych koniach dowiedli w niejednej potyczce ułani, że istnieją jeszcze potomkowie zwycięzców z Samo-Sierry.

Dość na ten raz o koniach; jeszcze nieraz w ciągu tego dzieła będziemy mieli sposobność do nich wrócić.

Idźmy do piwnicy, złożyć winne hołdy owemu darowi Boga, który już stary Noe tak mądry i przezorny nauczył nas wyrabiać.

Wszakżeż jesteśmy w Xeres, mieście sławném na świat cały z swych winnic i piwnic. Można być w Rzymie i nie oglądać Papieża, ale być w Xeres i nie zwiedzić piwnic, to rzecz nie do wybaczenia. Piwnice zostają w miejscu w zimie i w lecie, w dobre i złe czasy.

Sam don Gonzales de Pacheco, majątny właściciel winnic, a przytém gościnnie, miły hidalgo, raczył nas zaprosić do obejrzenia swych składów wina.

Do składu wina nie zstępuje się schodami. Budynek bo wzniesiony na powierzchni ziemi, wyglądający jak ogromny cyrk Olimpijski, ma 300 stóp długości a 60 szerokości i wysokości tyleż prawie. Jest to piwnica szczególnego rodzaju. Długie szeregi kuf, prawie tak wielkich jak Heidelbergaska,

spoczywają sobie poważnie po obu stronach. Okna, wzniesione na stóp 12, otwarte są ze strony cienia. Jedne beczki były całkiem, drugie tylko w połowie napełnione winem; jedne lekko, drugie zaś wcale nie zaszpuntowane.

Było nas kilku turystów z rozmaitych stref i krajów: dobór przyjaciół wina. Gospodarz zmusił nas usiąść w środku cyrku, gdzie stały stoły i krzesła, i kosztować wszystkich gatunków win, od lekkiego suchego Amontillado (wino wyciskane z winogron bez pestek), aż do 60 nawet 70-letniego Xeresu, który stary, zasłużony, doświadczony, już dwa razy odbył podróż około ziemi, przez co wiele zyskał na mocy i dobroci. Badajto być winem i nabierać wartości starzejąc się w podróżach.

Człowiek tego nie dokaże, wierzajcie mi, o młodzieńcy! szukający szczęścia z daleka od rodzinnych zagród.

Próby te były prawdziwie wyborne: jedna kropla alkoholu nie skalała tego nektaru, żaden Anglik nie miał ich jeszcze w swym ręku.

Ale nie tanie są te wina, nawet na miejscu. Beczka, zawierająca 600 kwart dobrego Xeresu, kosztuje tutaj złp. 2,200, a najlepszego dwa razy tyle.

Z winami hiszpańskimi i portugalskimi inaczéj obchodzić się trzeba jak z francuzkimi lub nawet z węgierskimi. Zawierają one tyle alkoholu rodzimego że przystęp powietrza, odbierający im nadmiar alkoholu, korzystnie na nie wpływa. Z téj przyczyny miejsce, w którym one przebywają, musi mieć przeciąg, aby się ulotnił zbytek alkoholu.

Wina do Anglii przesyłane wymagają téj ostrożności: im więcej w nich alkoholu, tém lepiej. Często nawet do win młodych, w których fermentacya alkoholiczna nie odbyła się dostatecznie, przylewać należy spirytusu winnego. Anglik chce być alkoholizowanym koniecznie.

Co my pijemy w naszym kraju za Maderę, Xeres, Malagę i Oporto, to nigdy ani widziało Madery, Hiszpanii i Portugalii, na to każdy znający choć cośkolwiek handel i geografję, śmiało przysiędz może. Wszystkie owe wina pod tém nazwiskiem do naszego kraju dostarczane, wyrabiają się w Francyi w Cette, w owych domach noszących kolosalne napisy: *Fabrique des vins du midi*, nie oszczędzających wcale dowcipu na naśladowanie win, korków, etykiet i bu-

telek. Wszystkiego dokaże Francuz za pomocą rodzynek zagranicznych, drzewa korkowego, piasku, sody, papieru, stęplów, łupin z cebuli, alkoholu i mysich ogonków. Najdosłojniejszego smakosza złowi mysim ogonkiem z piwnic Malagi, z Xeresu i z Oporto. Ale mysich ogonków z sklepów kościelnych potrzeba na złowienie religijnych smakoszków,—takie już zaczynają być rzadsze, kosztowniejsze, od czasu jak zakazano nieboszczyków chować w kościołach.

Wszystko to jedno dla owych znawców, którym najwięcej idzie o zaszczyt upicia się winem, tyle a tyle dukatów kosztującym, a prawdziwi znawcy niech się także pocieszą. Wina fabrykowane w Cette tak dobrze naśladowują naturalne wina, nie tylko hiszpańskie, portugalskie i włoskie, lecz nawet francuzkie południowe, że fabrykanci win w Cette dając i tańsze i lepsze wyroby, zniszczyli uprawiaczów win w Frontignan, Lunel, St. Georges i innych pobliskich miejscach. Winnie już nie masz w tych niegdyś tak sławnych z swego wina polach. Pozostały tylko małe winniczki wydające winogrona, potrzebne do fabrykacji Muszkatelu Lunelskiego i Frontignańskiego.

Co się dzieje z winem hiszpańskim i w ogólności z południowymi winami w Cette, to się dzieje w pewnych miejscach z winami węgierskimi, tylko Węgier dla nabrania myszki potrzebuje całego szczura z gatunku szczurów muszkatelowych (*Myoxus avellanarius* Gmel.—rat d'or de Bourgogne, — moscardino, po włosku; — dormouse, po angielsku).

Wszystkich innych cech starości można nadać winu węgierskiemu różnemi sztukami i figlami, doskonale znanemi niektórym kupcom wina. Lekarz nieraz o tém przekonać się może. Niechno zapisze handlarzowi wina, kiedy jest chorym, dobrego, prawdziwie starego węgryna, a zobaczy, w jaki go ambaras wprawi. W całej swój słynnej z starych win piwnicy, nie będzie może ani kropli naturalnego, nieprzyprawionego.

A tak ludzie zagłuszający codziennie trunkiem sumienie, nie mają nawet satysfakcyi topienia duszy w prawdziwem winie.

Jeszcze na chwilę zabawmy w Xeres, idźmy odwiedzić wielkiego lubownika sztuk pięknych, który z domu swego zrobił muzeum, zawierające wiele arcydzieł malarstwa

hiszpańskiego. Po zniesieniu klasztorów, łatwo tu było zakupić za bezcen najkosztowniejsze malowidła. Od dziedzińca otoczonego kolumnadą, wyłożonego marmurem, ozdobionego fontannami i kwiatami, aż do schodów, ganków, kurytarzy i pokojów, wszystko było przepelnioném obrazami, a niektóre z nich były pędzla Ribeiry, Velasquesa, Zurbarana a nawet i Murilla. Właściciel tego zbioru wydarł zapomnieniu i poniewierce nie jedno arcydzieło sztuki, poświęcał całe swe dość szupłe dochody na wzbogacenie go, oddawał wszystkie swe wolne chwile organizacyi tego rajy, którego był twórcą.

Część takich ludzi, umiejących szanować i przechowywać pamiątki lepszych czasów.

Nie wiele w naszym kraju ludzi obdarzonych takim smakiem. W chwili gdy sam ognisty żywioł pochłania najdroższe kraju pamiątki, wówczas miło jest spotykać ludzi wyższego usposobienia, umiejących dla sztuki i pamiątek przeszłości poświęcać swe życie, i usamowolnić się z pod władzy owego niecnego cielca, któremu ogół tak serdeczne składa hołdy.

Tego doświadczyłem szczęścia tu nieopodal od brzegów Nidy, gdzie te spisuję wspomnienia. W tym zakątku znalazłem męża, umiejącego w sztuce czić wartość duszy ludzkiej, w pamiątkach świetnej przeszłości kochać nadzieję godniejszej przyszłości dla sztuki i nauk.

Z Xeres przewiozła mnie ciasna kalessina, podobna więcj do lektyki na kołach noszonej, jak do czego innego, do Puerto de Santa Maria, miasta 18,000 mieszkańców liczącego. Leży o dobrą milę od Xeres, nad samém ujściem Gwadalety do oceanu, w pośrodku kwitnących ogrodów i pól żyznych, a piękne jest, białe, po skalistych gradusach rozpostarte.

Ztąd Francuzi bombardowali Kadyks w r. 1823., owym olbrzymim moździerzem, umyślnie na ten cel lanym, którego pociski dwie przeszło mil przebiegając, dochodziły miasta dopiero w dziesięć minut po wystrzale. Vigia Kadyksu oznajmiała miastu dzwonem, że bomba z paszczy żelaznej wyrzucona spieszy na jego zagładę. Mieszkańcy czekali, mając w pogotowiu wszystko co potrzeba do gaszenia. Bomba najczęściej pękała w powietrzu, nim do swego celu



dobiegła. Francuzi nie tyle zrobili szkody, ile sobie zamierzali.

Już pod wieczór stanąłem w Puerta de Santa Maria na przedmieściu w hotelu, którego okna wychodziły na morze.

Zmierzcha się, ściemnia,—noc; już gitary i kastaniety umilkły. Porozchodziły się tanecznicze i taneczni, albo też mówią z sobą półgłosem gdzieś w gruzach starego zamku, pod zasłoną aloesów, róż i oleandrów, gdzie nucą jeszcze słowiki, przysłuchując się poważnemu głosowi oceanu.

Ja chodzę po stancyi pierwszego piętra i od czasu do czasu podziwiam cudną sceneryę.

Wtém przybywa pod me okno, pod mój ganek, mężczyzna jakiś w czarnym płaszczu, z gitarą w ręku, i niebawem zaczyna śpiewać czyli raczej jęczyć następujące słowa:

Mas vale trocar  
Placer por dolores,  
Que estar sim amores,  
Que sim novia estar.

Mas dulce es mor'r,  
Que vivir en olvido.

Aquel noçes vivir.  
Mejor es sufrir  
Passion y dolores,  
Que estar s'm amores.

Wolę porzucić  
Szczęście dla niedoli,  
Jak zostać bez miłości,  
Jak żyć bez wzajemności.

Słodziej jest umierać,  
Jak żyć zapomniany.

Nie, to n'e jest żyć!  
Wolę cierpieć  
Żądzę i boleści,  
Jak żyć bez miłości.

Jęczał mój Caballero jeszcze przez pół godziny na nutę tak tkliwą, że mi serce pękało z żałości. Komuż ta serenada przeznaczona? Obok mnie, nademną i podemną nikt nie mieszka, wiem o tём doskonale. Ja zatém sam, zapewne jakim błędem, przychodzę do szczęścia tój serenady. Jęczę sobie, mój Caballero, kiedyś taki grzeczny. Caballero już płakać zaczyna, ale nie przestaje wtorować sobie na gitarze, płacze na nutę: *Ahi mi! desdichado, ahi mi! mi ninnia!*—i prosi choć o kwiatek.

Dałem się zmiękczyć. Wydobywam snop cały ubieranych stokrotków, jaskrów, maków i bławatu z mój puszki botanicznój i rzucam go na ulicę. Wpada na niego tęskny Caballero, zapala jakąś latarkę i chce wyczytać ze składu kwiatów myśl swój ulubionój. Długo bardzo syllabizował w kwiatkach, nareszcie przecież odgadł myśl allegoryczną,

nastroił znów gitarę i na nutę: *Te deum laudamus*, zaśpiewał pieśń dziękczynienia.

Potem zaś westchnawszy jak lokomotywa, puścił się znów w *be mole* i śpiewał wzdychając taktownie:

Oh mi cruel Soberana,  
Quatro dias por mannana,  
Es un siglo por mi amor,  
Es un anno por tu adorador!

O ma okrutna królowo,  
Cztery dni i to od jutra,  
To jest wiekiem dla mej miłości  
Rokiem całym dla twego ożciecia!

I znów trzy niezmierne westchnienia nastąpiły.

»Co ten błazen wyczytał z moich kwiatów?« myślę sobie, i śmiejąc się do rozpuku, klaszcząc w ręce i wołając: »bravo! bravissimo!« wstępuję na ganek.

Trzeba było widzieć zdumienie i wściekłość Caballera.—»Ha! przeklęty Francuzie; ha zdrajco! dam ja tobie jutro rano! nie chciałbym być w twój skurze jutro. Przyśięgam ci vendettę i ogłaszam w stan oblężenia!« krzyczał Hiszpan, grożąc pięścią.

Widząc, że rzecz może się skończyć bardzo źle dla mnie, wołam na Caballera, oddalającego się tragicznym krokiem ku zwałiskom zamku:

—»Ale zaczekaj Caballero! na miłość Boga! una palebretta! choć jedno słówko. Francuzem nie jestem, dali-bóg, przyjechałem przed trzema godzinami z Xeres; nie naraziłem ci się w niczem, a tyś gotów mnie zabić, wściekły szatanie.«

—»A Rozyna? a Rozyna?« spyta Caballero; »za jęj zapłacisz mi zdradę, za jęj kłamstwa; czemuż mi bukiet rzuciła, i tym bukietem raj obiecała? Nie odwołam słowa nigdy! jesteś w stanie oblężenia, z oka cię nie spuszczę, jutro umrzeć musisz.«

—»Rozyna? donna Rozyna? czy mówisz o tancerce, która w Kadyksie występowała?« spytam.

—»Ta sama, o zdrajco przebrzydły! vendetta!«

—»Ta wysoka, co zawsze chodzi z owym murzynem małym i czarnym, podobnym do buta kirasyerskiego dobrze wyszuwawkowanego?«

—»Ta wysoka, z murzynem! carajo, punnetero!«

—»Ta sama co zyzem patrzy?«

—»Ah! to jęj wzrok przeszywający! to jęj cudne spojzenia dziurawiące jak puginały serca dwóch nieszczęsnych

od razu,« zaśpiewał Caballero recytatywem i ponury wyszarpał akord z gitary.

—»Ah! to bóstwo widziałem pijane, dziś po południu, w Xerez de la Frontera, u don Gonzala de—e—e l'ache-co,« odpowiedziałem także recytatywem, i potężnym dodałem głosem na nutę znakomitego chóralu z Roberta Diabła: »A było pijane okropnie! i leżało w rękach komiwojżera paryzkiego z czarną brodą i z czerwonym halstukiem!«

—»Oh! jakżem nieszczęśliwy! zgruchotany leżę na ziemi, i Boga Abencerragów o zemstę błagam,« zaśpiewa Caballero, tarzając się po ziemi, a nie zapominając wtórować sobie na gitarze.

—»Słuchaj przyjacielu!« rzeknę do Caballera, »może żal twój słuszny ukoić zdoła butelka tego samego Xeresu, który twe bóstwo powalił w ramiona komiwojżera? Jest na twoje usługi, zaraz schodzę i dom otwieram.«

—»O wspaniały cudzoziemcze!« odpowie Caballero, »bo cudzoziemcem jesteś, Anglikiem zapewnie.«

Sprowadzam Caballera do méj stancyi: był to młody, piękny, czystej krwi Andaluz, ubrany w strój jakiś opięty, czarny, kroju prawie teatralnego i dość już obszarpany.

—»Oto nektar, który córkę Terpsychory zrobił poddanką paryzkiego Merkuryusza.«

—»A gdzie kości i karty, gdzie gwinee? Oh Angliku! ja do stołu nie siadam, aż na nim ujrzę kości, karty i gwinee.«

—»Oh! panie bracie, wprzódy poznajmy się bliżej, do gry nie zasiada się tak łatwo w Hiszpanii,« odpowiem.

—»Słuchaj Caballero: ja ci się przedstawię, tylko drugą zaświeć świecę, bo w całym mym występie splendorze,« rzekł Caballero i gitarę swą nastroił.

»Aktora mam przed sobą, to rzecz pewna,« pomyślałem sobie.

Caballero zaczął śpiewać improwizacyę:

Como Jupiter altanero,  
Noble como el gran Cid;  
Pobre como marinero,  
Que jamas ha visto la lid.  
Se va el bachelor de Salamanca,  
Cantando, ballando a Villafranca.

Jak Jowisz dumny,  
Szlachetny jak wielki Cyd,  
Biedny jak majtek  
Bez zdobyczy wracający  
Idzie sobie uzeń z Salamanki,  
Śpiewając, tańcząc aż do Villafranki.

Y los hombres le dan monetas,  
Y las donnas dan mucho mas.

Viva el estudiante!  
Viva la Accademia!

Si! yo soy ijo de Musas,  
De Esculapo discipulo,  
Mi nombre es Juan Zelosas,  
Mi patria Arniculo.

Y quando el paiz se cobre de grana. I gdy ziemia pokryje się owocem,  
Me voy cantando en España, Przebiegam, śpiewając całą Hiszpanię;  
Coger pecetas por studios, Zbieram pieniądze na nauki;  
Hurtar rosas sin acudios. A zrywam róże bez kołców.

Oh! viva el estudiante,  
Oh! viva la Accademia!

I mężczyzni dają mu pieniądze,  
A kobiety dają mu daleko więcej,

Niech żyje uczeń z Salamanki,  
Niech żyje akademiał

Tak jestem muzy synem,  
I Eskulapa wychowawcem;  
Nazywam się Jan Zelosas,  
Ojczyznę mą Arniculo.

Oh! niech żyje uczeń Salamanki,  
Oh! niech żyje akademiał

—»Ołóż masz całą mą biografię wyśpiewaną, wydekla-  
mowaną i wytańczoną,« mówi don Juan; »a teraz dalej do  
wina, do kości i do kart, bo mi pieniędzy okropnie trzeba.  
Muszę na chwilę opuścić Muzy iść w trop za Francuzem, za-  
bić go, odebrać mu Terpsychorę i wzgardzić nią, a murzyna  
z skóry obedrzyć, wypchać go i darować gabinetowi anatomi-  
cznemu w Salamance. Złota! złota Angliku!—złota! za-  
stawiam ci co mam najdroższego, zastawiam ci wąsy syna  
mego.—Ale prawda! nie mam żony ani dzieci! zastawiam ci  
tedy cały majątek odziedziczony po ś. p. mym ojcu.«

—»I z czego się składa ten majątek?« zapytam don Ju-  
ana.

—»Z szpady bez srebrnej rękojeści, bo tę złożył mój  
stary ojciec na ołtarzu ojczyzny, gdy sam już nie mógł wła-  
dać orężem; dalej brzytwa podobno angielska, będziesz mógł  
łyżę patriotyczne nad nią ronić; dalej egzemplarz brewiarza  
w aksamit oprawny; dalej parę sprzączek od trzewików wiel-  
kości ramek od sylwetki, a srebrne, dalebóg szczero srebrne;  
nakoniec posiadłość, która nam nadaje tytuł szlachecki i pra-  
wo zwania się *de Palomar*.«

—»Jakaż to posiadłość Palomar?«

—»To gołębnik cały pokryty blachą jak Eskurial, gołę-  
bnik monumentalny, przez dziadka mego wystawiony w Ar-  
niculo. Ale uprzedzam cię, Caballero, że na tym gołębniku  
cięży już hipoteka, rzetelność przedewszystkiém.«

—»A to śliczny inwentarz, mój dobry don Juanie; ile so-  
bie zyczysz milionów? masz u mnie otwarty kredyt!«

—„Jednę tylko żądam uncję złota, ona mi wystarczy na zagładę Francuza, na upokorzenie Terpsychory, i na wypchanie murzyna, któremu dałem 24 maravedis za to, żeby piękność mą i talenta wychwalał owęj zyzowatęj Rozynie.“

—„No! don Juanie! teraz przysłuchaj się mój eposi, którą ci wyłożę częścią w deklamacyi, częścią w recytatywie. Słuchaj: Anglikiem nie jestem, gwinei żadnej nie mam, kilkadziesiąt tylko piastrow w kieszeni. A teraz przysłuchaj się reszcie, którą ci wystawię śpiewem na nutę recytatywa z opery jeszcze przez nikogo nie napisanej, ale przezemnie już oddawna skomponowanej, pod tytułem: *don Job*.“

I tu nastąpiło recytatywum, którego osnowę każdy z mych współbraci odgadnie.

Wyraz płochości, wesołości znikł z twarzy don Juana; zasepił się, zdjął kapelusz i stał przedemną w pokornej postaci.

Ja skończyłem, a on ściskając mi ręce, powiedział z trudnym do opisanja, dobrodusznym, serdecznym wyrazem:

—„Panie Doktorze! przebac mi proszę. Ja pana Doktora wziętem za jakiego Mylorda, i byłem sobie żartobliwym, drwiącym, zwyczajnie, jakto szlachcic hiszpański z obcym magnatem bywa. Ale teraz, wiedząc, że pan jesteś Doktorem, i że chcesz nam pomagać w naszej biedzie, przepraszam pana, jestem na jego usługi. I do Madrytu się pan puszczasz?—a jak się puszczasz?“

—„Na dwóch dobrych Pegazach, *per pedes Apostolorum*, don Juanie.“

—„Ah! Bogu dzięki! ah to rzecz przedziwna! pójdę z panem, usługiwać mu będę jak przyjaciel, jak sługa. Pan jesteś mym zwierzchnikiem, masz do tego prawo. Bravo! niech żyje Doktor polski!“

—„Ale donna Rozyna, francuzki komiwojażer, murzyn?“

—„Ah! niech diabli ich wezmą; zawieszam mą vendette nad ołtarzem przyjaźni. Do nas świat! do nas Hiszpania! do nas andaluzskie dziewice! Piechotą przebieżemy kraj ten uroczy! grosza nie wydamy, i ani razu głodni ani smutni nie będziemy. Panie Doktorze! wstępuję w pańską służbę, a zaczynam służbę od wypicia Xeresu i od wyspania się na pańskiej kanapie! Jutro ku Sewilli przez

ogrody Hesperyi! Nie masz kraju jak nasza Hiszpania,  
w niej im biedniejszy tém szczęśliwszy.«

I odtąd don Juan, dobry mój kolega, był mi nieod-  
stępny towarzyszem miesiąc cały. Jakie zasoby brater-  
stwa w sercu tém, na pozór tak płochém! Dziś jeszcze  
tesknię do niego! on już od tak dawna w grobie!

---

## ROZDZIAŁ IX.

PODRÓŻ NA PEGAZACH. — ŻYCIE AKADEMICKIE W HISZPANII. — PALACIOS. — SEWILLA. — PROCESSYA BOŻEGO CIAŁA. — GALERYA OBRAZÓW. — MURILLO. — KATEDRA SEWILSKA. — STYL GOTYCKI. — ALCAZAR. — GIRALDA. — GROBOWIEC DON JUANA DE TENORIO. — WIELKA ŚMIERĆ I MAŁA ŚMIERĆ. — FABRYKA CYGAR. — BUDYNKI.

---

Niedługo pakowaliśmy się nazajutrz. Don Juan miał gdzieś mały tłómaczek w jakimś hotelu, którego mi nie chciał wyrazić nazwiska. Zdaje mi się, że akademickie *Omnia mecum porto*, spoczywało po prostu sobie w sklepieniu niezawaloném jeszcze starego zamczyska, którego rozległe gruzy sterczały nieopodal od mych okien. Straży cieniów Maurytańskich don Juan Zelozas de Palomar powierzył swój majątek ruchomy. Nieruchome zaś w Arniculo strzegły heraldyczne gołębie rodu Palomarów i hipoteki, zaczynające okropnie wkrazać w heraldykę szlachty hiszpańskiej.

Rzeczy posyłamy do Sewilli dylizanssem, sami zaś puszczamy się w podróż na naszych pegazach apostołskich, wzajemnie uszczęśliwieni z zabranéj znajomości.

Najpyszniejsze słońce przyświecało bujnym tanom Andaluzyi. Tu się pały nieprzeliczone trzody merynosów, owdzie znów płaśały różne konie, w inném jeszcze miejscu Torrero uganiał się za niesfornemi bykami do walk w Sewilli, Kadyksie, Xeres i Medina Sidonia przeznaczonemi.

Fraternizujemy z wszystkimi żniwiarzami. Oni już z daleka spostrzegali trubadura z gitarą i prosili go o małą Segedillę, o Bollera, lub inną piosenkę. On nigdy nie odmawiał, siadał na snopie zboża, i dalejże żniwo przeciwstoczone w balet. Nie jeden się też poradził doktora o to

lub owo. Don Juan umiał w pompatycznych słowach przechwalać jego zręczność znaną w całej Europie od bieguna do bieguna. Hiszpan chętniej uwierzy w nadzwyczajne rzeczy jak w zwyczajne, jego bujna wyobraźnia wyrywa się z szczupłych obrębów rzeczywistości. Nie jedna pieseta wpadła w kieszeń wesołego Akademika, a winogron, pomarańcz, wina, daktyłów, brzoskwiń i migdałów tyle nam wszędzie nadawano, żeśmy ich ani unieść nie byli w stanie.

Czasem też zapolowaliśmy na ścierni, obaj bowiem byliśmy uzbrojeni w espingardy, bez których nikt się tutaj nie puszcza w podróż daleką lub bliską, w dyliżansie, konno lub nawet na pegazach.

Nie omijaliśmy żadnego zabytku starożytności, żadnych zwalisk i żadnego pięknego kościoła. Nie raz odwiedzaliśmy i księży, i w rozmowie poważnej z tymi ludźmi zawsze myślącymi, zawsze ciekawymi, czas schodził bardzo mile. Ale wyznać muszę, że mnie don Juan nie raz zostawił w kościele lub w plebanii, a sam pobiegł do gajku lub nawet w pole kukurydzy, dawać lekcye muzyki i śpiewu młodemu wieśniaczkom, z którymi zaznajamiał się bardzo prędko.

Szczególny miał talent zabierania znajomości: każdego nazywał po imieniu, odgadywał jakoś te imiona z fizjonomii, i rzadko się kiedy mylił. Ze wszystkimi był poufałym, a zarazem rozkazującym. Taki sobie system obrali akademicy podróżujący po kraju, dla zebrania środków do nauki. Cztery miesiące trawiają na podróżach, potem uczą się przez ośm miesięcy i tym łatwym sposobem wychodzą na adwokatów, na doktorów i profesorów. Prawie połowa uczniów uniwersytetu gitarze i głosowi winna swe utrzymanie. Mnóstwo także jest stypendyów i zakładów dobroczynnych w miastach uniwersyteckich; rzadko który akademik płaci za stół lub stancję. Droga do Parnasu bardzo jest ułatwioną w Hiszpanii. Nikt tam pracować nie lubi, dlatego też tyle zakładów i ułatwień zachęcających do pracy. Noce spędzaliśmy w wentach, i ani razu nie zapłaciliśmy za nocleg. Podróż ta trwała dni cztery. Nie od nas przyjąć nie chciało w tym kraju, w którym tak lubią obdzierać bogatych.



Co to za chaos zwalonych murów pod nami? co to za wieże i bastiony, wznoszące się pośród drzew i krzaków? to ruiny potężnego grodu Rzymian, to zamek maurytański, to Palacios. Tu w tym zamku Al-Tanazor więził piękną Temirę księżniczkę Asturyi; i gdy groźby i katusze nie wymogły na niej miłości, tu książe Maurów otrzymał z ręki swój niewolnicy chrzest Zbawiciela. Z tych murów uciekli oboje do Oviedo: ona, by się zamknąć na wieki w klasztorze; on, by umrzeć z miłości po długich cierpieniach. Stara ballada maurytańska ostrzega:

Cheesz-li wiedzieć, co chrześciana?

O! spytaj cieniów błędnych Tanazora,

Serce jej zimne nie bije dla Moslema,

Choćby jej tron, wiarę i życie poświęcił.

O zabij ją, nim się w nią wpotrząsz,

Zabij, przepadles na wieki, gdy chwilę przeczekasz;

Mata! mata! desdichado!

Zabij, zabij nieszczęsny!

Czyż można znaleźć w jakimkolwiek języku piękniejszy hymn na pochwałę kobiety wiernej narodowi i religii.

I Pegaz mój ożywiony tą atmosferą, wieczną poezją palającą, wzbił się wysoko, wysoko pod niebo: tam, gdzie mnie myśl i wdzięczność potęgą całej mej tęsknoty ciągnęła; tam, gdzie jest wieczne źródło piękna, zdobiącego swym blaskiem naszą ziemię. Mało też już zobaczyć mogłem z tej ziemi, tylko jakieś szmaragdowe kryształy i sznurek dyamentów przelewający się węzłem po nich. Były to zapewne błonia Andaluzji i srebrne wody Gwadalkwiwuru. Długo bujałem w nadpowietrznych strefach; nareszcie wyrwał mnie z zachwyceń tłum odgłosów i harmonii, wznoszący się z głębi ku niebu.

Rozpoznaję huk dział i dzwonów uroczysty odgłos; rozznaję harmonię licznej orkiestry i śpiew religijny wielu tysięcy wiernych. Zbliżam się znów ku tej ziemi, dzielącej tak rzewnie me uczucia; spostrzegam wysokie wieże, wielki gotycki kościół, wiele innych wież i kościołów, zamków i pałaców; ulice napelnione ludźmi, w świetne szaty przybranymi, niezliczone mnóstwo świateł, chorągwi, proporców, woj-

ska i kapłanów. Ha! to Sewilla! kwiat ziemi, *la flor del mundo*, jak ją Hiszpan nazywa, to processya Bożego Ciała.

—»Zatrzymajmy się tutaj, tu tak dobrze i pięknie, mówię do Pegaza.

—»Chętnie», odpowiedział Pegaz, «i ja jestem zmęczony, radbym odpocząć.»

—»Jakto? Pegaz się męczy?» zapytałem zdziwiony.

—»A to dobre», odpowie z oburzeniem Pegaz. «I Homer czasem zasypia, niesie stare greckie przysłowie. Muzy czasem mleka dać nie chcą, jak to wiedzą niektórzy poeci, a ja nie miałbym się męczyć? Wszystko się z czasem zmęczy, nawet panna w tańcu.»

—»Oho bratku! nie byłeś widać dawno w W.....wie?»

—»Istotnie, nie byłem od lat kilkunastu.»

—»A czemu nie byłeś?»

Pegaz zamilkł, stulił swe skrzydła ostrożnie pod czaprak... i zaniósł mnie piechotą do hotelu.

Ciągle jeszcze brzmiało tysiące dzwonów w stu kościołach Sewilli; ciągle jeszcze powietrze drżało odgłosem ogromnych dział z murów Alcazaru, to jest pałacu królów maurytańskich; ciągle jeszcze wzmagala się siła harmonii religijnej w instrumentach muzycznych i piersiach ludzkich. Wielkie bramy jednej z najwspanialszych bazylik świata stały otworem, z nich jeszcze wyruszała procesya na ulicę wystaną kwiatami i zasłoniętą od promieni słońca niezmiernymi kurtynami z jedwabnej materyi, rozciągniętej od dachu do dachu.

Sta chorągwi bujają w powietrzu, wiele tysięcy pali się gromnic, legia seminarystów w białych haftowanych komżach, śle ku niebu na znak dany wonie z pięciuset trybularzy. Dzieci na pół nagie, z skrzydłami z gazy srebrnej przyprowadzonymi, i aż na piety spadającymi włosami, przedstawiają chóry aniołków. Za nimi postępują heroldowie w złocistych szatach, a dalej jeszcze jawią się kolosalne figury, okryte kosztownymi ubiorami i przedstawiające historyę Męki Pańskiej.

Ołtarzy nie budują w Hiszpanii na Boże Ciało takich jak u nas, tylko wysoki, do trzeciego piętra sięgający, najpyszniejszymi rzeźbami ozdobiony, srebrny, bogato wyłaczany, drogiemi kamieniami połyskujący, ołtarz, toczy się na

przykrytych kołach, popychany niewidzialną ręką. Szesnastu ludzi porusza ten gmach, miliony kosztujący, z wewnątrz.

Za ołtarzem liczny orszak księży, w ciężkich od złota i kamieni ornatach. *Sanctissimum* niósł sam arcybiskup pod baldachinem, dźwigany przez gubernatorów, generałów, admirałów. Szpalery tworzyli gwardziści narodowi, przybrani w paradne mundury, naczupurzeni piórami. Kilka orkiestr wojskowych pieszych i konnych gra marsze wojskowe, tyleż chórów śpiewaków śpiewało hymny religijne, przerywane od czasu do czasu wrzaskliwym i umyślnie fałszywym odgłosem trąb jerychońskich, w które dęto najniełitościwiej ze trzydziestu jakichśiś atletycznych jegomości, przybranych w habity czarne, brunatne i białe, habity podobne do dominów, i w wysokie, śpiczaste kapelusze kształtu trąbki od cukru. Za tymi muzykantami, uszy rozrywającymi, postępowały trzy *hermandades de penitencia*, trzy bractwa skruchy, przybrane w takież suknie białe, brunatne lub czarne, z twarzami zasłoniętymi workami podobnego koloru.

Dawniej byłoby za temi *hermandades de penitencia* postępowało ze trzy tysiące zakonników, przybranych w habity różno-kolorowe, i wydobywających z potężnych piersi tony godne Lablasza i Tamburinięgo. Ale nieubłagany edykt Mendizabala wszystko to zmienił. Dziś jeszcze tu tylko trzy tysiące żołnierzy z kaszkietami w ręce lewej, z gromnicami w prawej, żołnierzy broniących kraj w imieniu Boga.

Liczny orszak panien w bieli, mężatek w niebieskich sukniach, wdów zaś w czarnych, ciągnął w długim szeregu. Panny niosły i rozrzucały kwiaty, mężatki niosły palące się świece, wdowy zaś niosły różańce.

Teraz znów idą cechy z chorągwiemi, szkoły i fakultety w długich togach, poprzedzone pedelami, buławami dźwigającymi.

I znów orszak jakiś komedyantów i komedyantek przedstawiający Rzymian w chełmach i z mieczami, żydów szachrujących wszystkiemi rzeczami, Faryzeuszów z książkami do modlitwy, Indyan i Maurów, Gotów i Ostrogotów. Pontus Pilatus wystąpił w własnej osobie; był tam i Herod i Barabasz, św. Piotr i Marya Magdalena, był i nasz Odkupiciel krzyż dźwigający, i jego Matka łzy roniąca.

I znów orkiestry i żołnierze pod bronią, lecz bez gromnic, i tysiące, tysiące ludzi; i tacy, co zbierali jałmużnę, wołając: *para decir missas y hacer bien a las almas que suffren en el purgatorio* (dla zakupu mszy na zbawienie dusz pozostających w czyscu), i koszami przytwierdzonemi do długich żerdzi sięgali po jałmużnę do pierwszego, drugiego i do trzeciego piętra.

Spadały w te kosze hojne jałmużny.

Każdy raz, kiedy *Sanctissimum* na ołtarzu spoczęło, *los seises*, to jest sześcioro za aniołów przepysznie przebranych dzieci, tańczyło około ołtarza, śpiewając i bijąc w kastaniety.

Tak w Hiszpanii chwałą Boga! I temi środkami do zmysłów zmierzającemi, wszystkie zmysły w najskrytszych tajnikach przenikającemi, ale w przelocie i zmysłowość trafiającemi, temi mówię środkami, wiara utrzymuje się tutaj w poszanowaniu!

Istotnie wiele jeszcze jest, zawiele obrządków tehnących zmysłowością poganizmu w katolicyzmie hiszpańskim, więcj daleko, niż w jakimkolwiek bądź kościele chrześciańskim południowym. Duchowieństwo hiszpańskie, pojmujące może świętość religii, zanadto wiele poświęca słabości natury ludzkiej, zanadto często odzywa się do zwierzęcego instyktu człowieka po zasoby duchowe. Jestto widok rażący dla syna północy, przyzwyczajonego chwalić swego Boga poważnie i z godnością; a jednakże trudno jest bardzo opierać się ogólnemu wrażeniu, trudno nie wyznać przy końcu ceremonii, że odurzający wywarły wpływ na naszą duszę.

Nie tak pojmowali świętość religii poeci i malarze Hiszpanii, choć nie duchowni, choć nie księża. Idźmy do muzeum sewilskiego, a przekonamy się o prawdzie tego zdania.

Kosztowny zbiór malowideł, należący do miasta, umieszczony jest w dawnym klasztorze Kapucynów, którego kościół i sale przeistoczone zostały w akademię sztuk pięknych. Nie nie można zarzucić organizacyi tego muzeum. Malowidła wiszą w najlepszym świetle, codziennie i bezpłatnie z wiedzic je można.

Tu na tém niebie świetnieją nazwiska: Murilla, Velasquesa, Zurbarana, Valdes Leala, jako gwiazdy pierwszej wielkości.

Wchodzimy do sali zawierającej utwory Murilla. Jest ich ośmnaście; wszystko arcydzieła czarującej piękności. Usiadłem na ziemi, oparty o mur przeciwny cudotworom, i ugiąłem się przed wielkością artysty. Najwięcej zastanawia koloryt Murilla: wielki mistrz wlał weń całą swą duszę, i z niego dusza widza czerpie pomimowolnie jakieś dziwne, uroczne usposobienie, przenoszące go w sferę piękna, dotychczas niepojętego. Murilla nikt jeszcze nie przewyższył w głębokości i przezroczystości tonów; a jednak w jego dziełach wielka prostota w wyborze kolorów, i tylko sztucznym rozdzieleniem światła i cienia wrażenie tak głębokie sprawiają. Mistyczna ciemność rozpościera się zazwyczaj na obrazach Murilla, światło pada tylko na główne osoby i wydobywa je tylko w pewnych i jasnych zarysach z drżącego pomroku. Każdy odgaduje: natychmiast akcyę osób i wysoki pomysł malarza pojmuje, tak jest olbrzymim, wyraźnym geniuszem napiętnowane tło Murilla.

Nigdy nie podziwiałem utworów Murilla, żeby mi analogia nie wskrzeszała w myśli Szekspira. Obum zarzucano brak poprawności. Dostojni estetycy nazwali obydwóch dziećmi natury! Ale to, co płytkie umysły nazywają nieklassycznością, jest właśnie ową poezją, wydobywającą się własnymi siłami z ciasnych konwencyonalnych kształtów i więzów.

Murillo nie znał starożytnych pierwowzorów sztuki! zarzucają mu jedni. Nie! on niemi pogardził. Pierwowzorem jego była przyroda. Zdrowa jego wyobraźnia nie wydała nigdy nic chorowitego, ani się też nigdy nie dała ułudzić urokowi zmysłowości.

Obrazy jego wolne są od wszelkiej lubieżności, czego nie można powiedzieć o wielu obrazach dawniej szkoły włoskiej. Jego czysta, wstydliva muza służyła jedynie religii i kościołowi, nie wychodząc jednakże nigdy po za obręby widzialnego świata, świata ludzkiego, naturalnego. Jego święci nie są zubóstwione, zdywinizowane istoty, lecz uszlachceni ludzie. Jego Panny Marye nie noszą na sobie piętna nadziemskiej delikatności i świętości, są one tylko wzorami najszlachetniejszych istot płci swojej. Ileżto Murillo nie malował Maryj *de la conception*, Niepokalanego

Poczęcia, które na półksiężycu stojąc, unoszone są przez aniołów i niemi otoczone; a wszystkie mają łube, świeże twarze, wzruszające wyrazem najmilszej niewinności. Boski duch, który w tych twarzach mieszka, nie zniszczył formy, tylko ją zidealizował. Owe czarne, głębokie, wielkie oczy nie wypierają się wcale żyjących wzorów, które niezawodnie bujały przed oczyma wyobraźni andaluzyjskiego malarza, w chwili, gdy je tu swym nieśmiertelnym pędzlem wiązał; lecz te jasne, złotego połysku włosy, łagodzą zapal owoych oczu, tak pełnych ognia, tak wymownych.

Hiszpańscy malarze, w ogólności, nigdy nie zaniedbywali, wystrzegać się owoych nieprzystojności, owoych indecencyj, których malarze włoscy wcale nie unikali, a które Rafael za konieczny żywioł malarstwa używał. Sumienniejszymi byli Hiszpanie: nie poświęcali nigdy celu dla efektu.

Patrz na ten obraz: przedstawia on mężczyznę i dziecko, oba najpiękniejsi, jakich w życiu mojem widziałem. To S. Józef i Dziecię Jezus. Nie wiem, czemu inni malarze pierwszego przedstawiają zawsze jako łysiego starca?—zapewnie tego sami nie wiedzą. Murillo maluje go inaczej: pięknym, poważnym, a najwięcej lat 40 liczącym człowiekiem. Że w takim mężu rezygnacya jest rzeczą bolesną, wiele znaczącą i inaczej się wydaje jak w zgrzybiałym starcu, tego sobie inni malarze wcale nie wystawiali. Stoi tedy przed nami S. Józef, wysoki, czarnooki, z czarnym włossem i gęstą poważną brodą, w długiej, brunatnej szacie. Głowa jego pełna myśli i męskiego bólu! On ściga swemi troskami przyszłość tego dziecięcia, przy którego urodzeniu aniołowie śpiewali Alleluja; tego dziecięcia, które spoczywa tak swobodnie w jego ramionach. Dziecko to trzyma w ręku jakiś biały kwiatek, tuberozę, jeżeli się nie mylę, a główkę opiera o pierś S. Józefa, jak gdyby było znudzonym. Pełna, nieporównana gracya dzieciństwa! Zrenice te brunatne, pływające w bieli lazurowego połysku, oczy tak swobodnie marzące, a jednak tak *dzicznie przeczuwajaco wyglądające*; ta sukienka niebieska, z której ukazują się szyja, nogi i ręce tak plastycznie, tak świeżo; wszystko jest oddane z czarującą prawdziwością, wszystko wonieje ziemią, a jednakże wszystko unosi duszę.

Zadajmy sobie gwałt, odstępmy choć niechętnie od Murilla; inaczej on jeden stanie się przedmiotem naszych my-

śli, naszego ubóstwienia. W inném miejscu więcej o muzeach hiszpańskich, tak bogatych w narodowe arcydzieła. Szczęśliwy kraju! straciłeś obie Indye, spalono ci flotę i złote źródła ci wyschły, ale ci pozostały Murille, Valasquezy i Zurbarany, pozostała ci dusza twój świetnej przeszłości.

Ale! *a propos*, jakież istnieje związek pomiędzy Maurami, processyą, a wrażeniem niezatartém, pozostałem mi po muzeum sewilskiém, do którego piękności Maurowie nie przyłożyli się przecież wcale?

Czyż mam dowodzić algebraicznie analogii lub kontrastu?

Murillo nie był duchownym, tylko malarzem, a jednakże wcale inaczej pojmował świętość religii, i najmniejsze swe utwory umiał ożywić wielkim, a jednak dostępnym duchem chrystyanizmu, i wznieść umysł człowieka ku sobie.

Nie tak ciało, które z powołania i powinności powinno było czuwać nad świętością powierzonego mu skarbu, i nad rozwojem umysłu ludzkiego: »łatwiej oczarować duszę tysiąca ludzi, jak przeświadczyć umysł jednego człowieka,« powiedział Aben Zoar, filozof maurytański. Od tego czasu zmieniły się cele, ale sposoby pozostały też same, a większy daleko wpływ wywierają sposoby, niż cele, nawet w najświętszych rzeczach.

Ale mówiąc tyle o religii, i o sztukach, i obyczajach z nią związek mających, nie sposób byłoby opuścić Sewillę bez zwiedzenia sławniej bazyliki tego miasta, tój dumy całej Hiszpanii.

Założona w r. 1401., nie została ukończoną jak w 120 lat potem. Kapituła sewiliańska, zakładając tę olbrzymią budowlę, postanowiła jednomyślnie wznieść coś tak ogromnego, że na widok jego późniejsze pokolenia miały się zdumieć i ostupieć. I od tój chwili wszyscy i następni członkowie kapituły poświęcili całe swe niezmierne dochody na budowę kościoła, i żyli przez lat 120 tylko chlebem i wodą.

Był to jeszcze wiek wiary i potęgi ducha; w nim uciekano się do ofiar dla dowiedzenia świętości celu.

Biedny tumie Koloński! ty dotychczas figurujesz w całości tylko w sztychach i cynowych medalach, i łakniesz wybudowania, tak, jak nasza drobnymi namiętnościami

spiekła ziemia łaknie rosy niebieskiej i urzeczywistnienia słów Chrystusa.

*Santa Maria de la sede de Sevilla* jest największą, a w wnętrznem wykończeniu najwspanialszą świątynią gotycką. Stoi na miejscu głównego meczetu Maurów, z którego pozostała tylko owa różowa niebotyczna *giraldá*, najwyższa wieża hiszpańska, a obszarem swój olbrzymiej podstawy zajmuje ogromny czworobok. St. Hilaire powiada, że ani kościół Ś. Piotra w Rzymie, ani katedra Medyolańska, nie sprawiły na nim tego religijnego wrażenia, jakiego doświadczył przy wstępie do tego domu Boga, oświeconego pełnym tajemnicy drżącym pomrokiem. Tu wszystko jest wielkie a proste, przywoite i godne. Żadnych wyłatań, żadnej cisnącej massy ozdób. Wysokie wysmukłe filary, dźwigające na swych szczytach śmiałe łuki, które spotykając się i wiążąc tworzą wysokie sklepienie, wznoszące się jak niebo nad twą zdumiałą głową. Nie wstydz się korzyć człowieku przed tą niemą wielkością, która wznosi a nigdy nie grozi.

Kościół ma 420 stóp długości, a 260 szerokości; rozpada się trzydziestu dwoma pilastrami na pięć naw, wysokości 130 stóp, a podłoga jego sztucznie jest wyłożona mozaiką z czarnego i białego marmuru. Wysokie, dziwnie pięknie oprawne, i pysznemi malowidłami na szkle ozdobione okna, słabo tylko oświecają wnętrze kościoła, co i wznioślejsze sprawia wrażenie, i korzystny rozlewa urok na wspaniałe malowidła Murilla, Zurbarana i innych mistrzów szkoły sewiliańskiej. A jest ich ze wszystkiem 82 tych arcydzieł sztuki!

W chórze, znajdującym się w środku głównej nawy, umieszczono z jednej i drugiej strony organy. Te, które się z prawej strony głównego ołtarza znajdują, zawierają 5,000 piszczałek; na samym ołtarzu stoi wielka trumna z czystego srebra, a w niej przechowują zwłoki Ś. Ferdynanda króla Hiszpanii, patrona Sewilli. Obok pochowany syn jego Alfons IX., przewany Mądrym, i żona królowa Beatrice. Skarbiec tego arcybiskupiego kościoła, głowy czterech biskupstw i 234 parafij, przechodzi w bogactwie wszystkie wyobrażenia. Samych koron królewskich jest jedenaście, a ile beret szczerzo złotych i monstrancyj, ile kandelabrow, lamp, patyn, kielichów i innych starożytności,



jak zbroje królów i bohaterów, ich pieczęci i t. p. kosztowności, to rzecz niestychana.

Na każde święto inny jest garnitur ornatów na trzydziestu sześciu księży, zaczawszy od infuły, a skończywszy na stulach.

Bazylika sewiliańska przedstawia w swém wnętrzu najszlachetniejszy utwór gotyckiego stylu. Dusza się wznosi w tym przybytku, jak gdyby na skrzydłach archaniola, a serce się korzy na widok tych niezmiernych przestrzeni, unoszonych okiem niedościgłemi słupami.

Kto jest wynalazcą tego boskiego stylu, tego urzeczywistnienia najbujniejszych pomysłów snu fantastycznego, tego przeobrażenia w żyjący kamień najuroczystszych uczuć religijnych, czuwających od wieków w duchu człowieka?

Nie wiem kto.

Odgadli go ludzie, ale nie wynalazł człowiek. Ten styl istniał wiecznie, może jeszcze nie na ziemi, ale gdzieś w niebie, i umysły wierzących a pragnących wpadły na trop wiecznego piękna, tak, jak dziecię nowo-narodzone tuli się do łona swjej matki i chwyta pierś dającą mu pokarm.

Starożytni tworzyli swych Bogów według idei ludzkich, ludzkiemi ich przystrajali przymioty i chwalili ich po ludzku; a zład ich świątynie zawarte w liniach poziomych, lub od ziemi równo odległych, świątynie niskie, szerokie i płaskie. Dla architektury nie masz wielkiej przyszłości w podobnego rodzaju budowlach.

Ale zlewa się na spragnioną ziemię błoga rosa słów Chrystusa, odradza się człowiek i pojmuje, że już inaczej chwalić przystoi Boga; już duszy jego uszlachetnionej nie wystarczały poziome linie, unosi go gorejącej wdzięczności polot, i zrywa te płaskie dachy, ciężące na usamolnionym umyśle.

Znikają jednostajne zapory, wznoszą się linie ku niebu, kopuły się wzdymają i wieże chmur sięgają; rosną na wysokich słupach śmiałe sklepienia, okno się wyciąga w swych cienkich jak wstęga, misternych oprawach, mury się zdobią tą uroczą siatką, której ani początku, ani końca nie ujrzysz; i jest styl gotycki. I na nim koniec—piękniejszego mieć nie będziemy nigdy.

Odstąpiliśmy dość znacznie od przedmiotu naszego, od Maurów, ale tylko pozornie; znajdziemy później, że istnieje

jakiś tajemniczy, a przecież wyraźny węzeł pomiędzy przeszłością a teraźniejszością Sewilli, pomiędzy katolicyzmem, jak go księży hiszpańscy pojmują, a filozofią, jak ją Maurowie pojmowali.

Najpiękniejszy pomnik maurytańskiej architektury, jaki posiada Sewilla, niewątpliwie z zewnątrz okazalszy, ale w środku nie tak powabny jak granadeńska Alhambra, najpiękniejszy mówię pomnik Maurów, jaki posiada Sewilla, jest Alcazar, czyli zamek dawnych królów Sewilli, założony w VIII. wieku przez Abd-el Aziza, syna kalifa Muzy, który zawojował Hiszpanię. Zajmuje ten pałac przestrzeń bardzo obszerną, i stanowi, tak jak *Palais royal* paryżki, całą dzielnicę miasta.

Przez piękną bramę, wylamaną w wysokim, wałem podniesionym murze, wchodzi się do *Patio principal*, do głównego dziedzińca, ozdobionego marmurowemi fontannami, drzewami pomarańczowemi i cytrynowemi, a otoczonego portykami na pięćdziesięciu dwóch kolumnach dźwiganym. Obok znajduje się wielka sala ambasadorska, przybytek wyniosły, pokryty kopułą sztucznie z hebanu złożoną, a mającą kształt połowy pomarańczy. Miejsce to jest napiętnowane smutnemi historycznemi wypadkami. Piotr, zwany Okrutnym, kazał w niej ubić brata swego Don Fadrique, wielkiego mistrza orderu Santiago, i tutaj własną ręką zabił Mahometa VIII., króla Granady, który błagając o pomoc, pod jego udał się opiekę. Salę tę wybudował arabski architekt Jalubi w r. 1811., pod panowaniem Abd-el Mumena.

Pokazywano mi łaźnie królów maurytańskich, znajdujące się w podziemnych sklepieniach pałacu tak jeszcze silnych, że dzieci i starcy Sewilli w nich znaleźli przytułek, w chwili, gdy owa gwiazda zachodząca, księżciem Zwycięstwa przezwana, z Hiszpanii uchodząc, a tytuł swój chcąc usprawiedliwić, najpiękniejsze miasta swój ojczyzny bombardowała.

Obszerne ogrody Alcazaru, przed siedmiu wiekami założone, przechowane są do dziś dnia w takim stanie, w jakim je Maurowie utrzymywać chcieli. Drzewa pomarańczowe wyrosły tu jak lipy, cyprysy jak topole; pełno tu odwiecznych myrtów i róż najrozmaitszych odmian. Styl tych ogrodów zbliżony do staro-frankońskiego, to jest dość

wymuszony i nienaturalny: szpalery obcięte pod cyrklem w kształcie kopuł i minaretów, ścieżki powykładane różnokolorowemi kamieniami, ułożonemi w arabeski.

*Quien no ha visto Sevilla, no ha visto maravilla* (kto nie widział Sewilli, nigdy nie widział cudu), mówi Hiszpan, w jakiegokolwiek części owego rozległego i pięknego kraju zrodzony; i każdy cudzoziemiec, Anglik nawet dumny i uprzedzony, nie spuszczaający nigdy swęj maksymy *nil admirari* z oka; każdy cudzoziemiec zdolny uczuć tęj poetycznej atmosfery, razem z Hiszpanem sławić będzie uroki tego cudownego miasta.

Podziwialiśmy muzeum Sewilli, jęj katedrę i ogród maurytański górujący nad miastem, i wieżę wznoszącą się ku niebu.

Jeden tylko pominęliśmy przybytek bardzo ważny.

Może pałac inkwizycyi, leżący z drugiej strony Gwałkwiru, na przedmieściu zwaném Itálica?

Oh nie! nie wskrzeszajmy jęj, niech sobie leży w swym czarnym grobie na zawsze pogrzebiona. Nie zostawiła ona żadnych miłych wspomnień ani pamiątek po sobie. Ale wskrzesimy na chwilę pamięć innęj istoty: istoty, któręj osobistość przedstawiana na ziemi nieraz nas zajmowała, nieraz rozśmieszała, ale niestety! rzadzięj może zgorszyła.

W jednęj z odległych części miasta stoi od ośmiu wieków mały, ale piękny kościół *de la Caridad*, a przy nim klasztor zamieszkały przez Siostry Miłosierdzia.

W kościele tym wiele wspaniałych pomników, uwieczniających pamięć rycerzy i bohaterów. Ale tuż pod chórem zakonnice zastanowił nas pomnik z białego kararyjskiego marmuru, pomnik skromny z pierwszego wejrzenia, ale wykwińtny, gdy mu się zbliżka przypatrzysz. Ciągła siatka arabesków przeplatana kwiatkami. Anioł płacząc rzewnemi łzami, obejmuje urnę jedną rączką, a w drugięj trzyma zgaszoną pochodnię.

To zapewnie jakiś pięknyj damie, zmarłęj w kwiecie wieku, postawiono ten ładny i panieński pomnik?—mówiłem do siebie samego, zbliżając się tragicznym krokiem wolno ku chórowi.

Ale nie! to nie dama tu spoczywa, to mężczyzna. Taki napis na pomniku:

*Aquí en la esperanza de una dichosa resurreccion duerme el cuerpo de Don Juan de Tenorio hidalgo Castellano y Caballero de Sant Jago de Compostella. Una muerte exemplar merece el pardon por una vida ilena de pecados. (a)*

Kto był ten Don Juan de Tenorio?

Wielkim grzesznikiem, doprawdy bardzo wielkim był ów Don Juan; wszakże to ten sam, którego Mozart swą operą uwiecznił, i na końcu opery do piekieł wysłał. Ale wielki bałamut nie zaszedł tam tak prędko, jak go wypadło kompozytorowi, dla swego pięknego, serce wzruszającego finału, wysłać. Owszem, bałamut żył, doczekał się późnej starości, pędząc życie jak najroskoszniejsze; a jak go wszystkie opuściły nałogi, wówczas oddał się skrusze i umarł, nie zostawiając ani grosza na pogrzeb, prosząc, żeby go choć pod ścieżką do klasztoru wiodącą pochowano.

»Niech choć nogi bogobojnych Sewillanek grób mój błogosławią,« mówił stary Don Juan, oddając ducha.

A poczciwe Siostry, chociaż dobrze wiedziały, co sumienny Leporello o swym panu wygadał, poczciwe Siostry dały się przebłagać tym wielkim dowodem zaufania i wiary: nabalsamowały starego grzesznika, pochowały go jak najokazalój, wzniosły mu śliczny pomnik, i na wieczne czasy msze zakupiły.

Tak się szlachetnie, litościwie obeszyły poczciwe Siostry z tym bałamutem, którego sławą tętnią i długo jeszcze tętnić będą wszystkie teatra świata.

—»Dobrze jest mieć dowcip i w chwili śmierci; ale że trudno jest mieć dowcip każdemu, nawet w chwilach zdrowia, nie radziłbym zatém i najmniejszemu Don Juanowi uciekać się do podobnych środków, dla zabezpieczenia sobie pogrzebu i grobu,« rzekłem do towarzysza podróżny.

—»Nie obawiaj się pan Doktor ani jednej chwili. Wcale nie myślę o grobie i pogrzebach. Dla takich śmierci,

a) Tu śpi w nadziei szczęśliwego zmartwychwstania ciało Don Juana de Tenorio, szlachcica kastylijskiego i kawalera św. Jakóba z Compostelli. Przykładna śmierć zasługuje na przebaczenie za grzeszne życie.

na jakie ja zwykłem umierać, zmartwychwstanie zabezpiecza od potrzeby grobu,« odpowie don Juan de Zelozas, porywa za gitarę i nuci.

Ya bien sabes Mariquita,  
 Sim peligro es el mar!  
 Una muerte chiquitita,  
 Es muy dulce de passar.

Bo ty wiesz, ma Maryniu,  
 że bezpiecném jest morze.  
 A jak słodko jest umierać  
 Ową małą krótko śmiercią.

Tak śpiewał i drwił z śmierci młody don Juan na grobie swego imiennika. W tej młodej, pięknej życia duszy, myśl śmierci pomieścić się nie mogła.

A jednak parka już chwyta za nie twego życia, biedny młodzieńcze. Już nie długo będziesz się cieszył tém świetném słońcem Andaluzyi, i bystre oczy dziewic Andaluzskich nie przenikną ziemi, pod którą spoczywasz.

Znajdują się w Sewilli i nowsze budynki, godne ściągnąć na się oczy znawców pięknością struktury. Takim jest niezmierny, do cytadelli podobny, rowem i wałem otoczony gmach, w którym 1,400 młodych kobiet kręci cygara z tak złęgo liścia, że ich same palić nie chcą. Tytoń bowiem, w samej Hiszpanii rosnący, niegodziwym jest w porównaniu z hawańskim. Budynek ten, jedyny w swym rodzaju i bardzo czysto utrzymawany, kosztuje niesłychanie wiele, do 18,000,000 złp.

Razu pewnego zbuntowały się kobiety kręcące cygara i porozumiawszy się, chciały wymócić od rządu wyższą płacę. Administratora wraz z urzędnikami wzięły w niewolę, i tak okropny zrobiły harmider, że się w całym wielkiem mieście rozległ. W niedostatku wojska regularnego, wykomenderowano straż ogniową przeciw zbuntowanym kobietom; a ta ciesząc się podobnie jak nasza sympatją płci pięknej *minorum gentium*, potrafiła zwykłym sposobem ugasić płomień buntowniczy. To doświadczenie podało, jak mówią, Marszałkowi Lobau-myśl wojowania sikawkami przeciw Paryżanom.

Inne jeszcze budowle zastanawiają ogromem i pięknoscią, mianowicie: Collegio de Sant Elmo, gdzie się znajduje szkoła marynarki; Casa de Pilatos, pałac wystawiony przez dawnego margrabiego de Terifa, na wzór Jerozolimskiego pałacu Piłata; nareszcie pyszna bursa, la Lonja,

wystawiona przez Filipa II. Wieleby jeszcze można mówić o innych osobliwościach Sewilli i jej mieszkańcach, ale na to tom cały jeszczeby nie wystarczył.

Duszą, duchem i geniuszem Sewilli pozostanie na zawsze świetna bazylika, na której podziwianiu strawiłem najpiękniejsze chwile mego dziesięcio-dniowego pobytu w tém uroczém mieście. Żadnemu innemu wrażeniu nie dałem w me serce wkroczyć, i dziś sobie samemu za to dziękuję. Nic nie przyemi blasku mych religijnych wspomnień po Sewilli.

---

## ROZDZIAŁ X.

PODRÓŻ DO KORDUBY. — DYLIŻANS. — PRZYJEMNE WRAŻENIA. —  
CARMORA. — TEATR. — CACHUCHA. — GRÓD MAURÓW. — ECIJA. —  
MOROGOCI. — NAWARRO BANDYTA. — CIEKAWOŚĆ DWÓCH ZNUDZO-  
NYCH LORDÓW.

Jedziemy do Korduby, tym razem już nie na szybkich pegazach, lecz po prostu dylizansem. Pierwszy to raz w Hiszpanii tak podróżuję. Toczy się wóz ciężki, ciągnie go jedenaście mułów. Na przednim, najźwawszym, siedzi małeć jakiś, foryś, i popędza go nielitościwie głosem i batem, wcale nie pytając, co się w tyle dzieje. Jego jest missyą wybierać drogę i torować ją następującym parom, przyprzężonym jedna do drugiej za puśliska. Ostatnia tylko najważniejsza przyprzężoną jest do dyszla. Pan Majoral, to jest konduktor, poważny jak inkwizytor, trzyma lejce téj ostatniej pary, i w ciągłej pozostaje rozmowie z swym zaprzęgiem. »Dalej Valeroso! naści Platera! będziesz mi się leniła Capitana? cóż tobie ośle Sabodero? he! he! a niech cię jasny piorun—no—no! Espartero nie zrywaj się poczciwino. Coronelo! bądź sumiennym, nie len się; a ty nie stękaj Forcadel! Patrzcie! a to mi wisus, dalej go batem Zagal, i zdejm mu pompon ze łba, on jego nie godzien.«

Ale kto jest Zagal, i co znaczy pompon?

Ten biedny wyrostek, który z biczem długim, jak niemieckie kazanie, biegnie piechotą galopem obok zaprzęgu, bije nielitościwie w co tylko może trafić winowajcę, i od czasu do czasu wskakuje na stopień dylizansu, by sobie odpocząć na laurach, nazywa się zagalem. To jest prawa ręka konduktora.

A owa kita czerwona z wełny, która zdobi głowy mułów hiszpańskich, nazywa się *el pompon*. Muły tu w tym względzie bardzo do ludzi podobne: wolą znieść karę cielesną, jak być zdegradowani z pomponu. Taka i w zwierzętach hiszpańskich ambieya.

Tętnią dzwonki, rzą muły, bicz trzaska, Majoral peroruje, Zagal kłuje i bije, foryś peroruje, kłuje i bije. Około nas, traf—traf—traf—traf—biegnie w cwał dwunastu dragonów na dzielnych konikach; zdaje się, że jazda wesoło idzie: ale spojrzij tylko w środek dylizansu, a zobaczysz co się święci, jakie się tu okropności dzieją.

Każdy, komu pilno było, chciał korzystać z eskorty wojskowej, a konduktor nie pytając się ani o przepisy, ani też dbając o ludzkość, korzystał z dobrej gratki i napchał dylizans tyłoma passażerami, ile się tylko zmieścić mogło zwiniętych w kłębek, złożonych w troje jak miara ciesielska, zgiętych jak sztaba cyny i przyczepionych do dylizansu konwulsyjnie jak umierający mąż do ukochanej żony. To istotna beczka śledzi. Jedno siedzi na drugiem, a na domiar nieszczęścia znalazł się i niezawodny nudziarz, który sobie był zajął dwie godziny przed odjazdem najwygodniejsze miejsce w dylizansie, i opowiada jak na złość długie historye o przyjemności podróżowania ekstra-pocztą; drugi znów, ciekawiec z przyrody i z temperamentu, pyta się kolejno każdego: która godzina? myśli pan, że będziem opadnięci przez bandytów? a ile ich jest? ciekawym, gdzie dziś w Hiszpanii rewolucya? czytasz pani *el Castelano*, czy też *el eco del commercio*? lubi pani baraninę wędzoną?

Jéjmość jakaś tłusta stęka i jęczy, astmę ma — prosi na miłość Boga, żeby otworzyć okna. Tam znowu panienka jakaś nerwowa, młodziuchna, mająca zaledwie lat 30, zaklina, żebyśmy okien nie otwierali, bo jéj ból zębów najokropniej dokucza. Don Juan, ruchliwy jak piskorz w błocie, podaje nerwowej istocie flaszczykę z tynkturą bardzo skuteczną; młokos jakiś siedmnastoletni, należący do rzędu najniecznośniejszych stworzeń w świecie, chcąc być nader grzecznym, sięga po flaszczykę, upuszcza ją w zapale niezgrabiasz, tłucze się buteleczka na okularach starego gadatywusa, rozlewa się lekarstwo; na Boga! to tinctura assae foetidae. Zgiełk okropny! Jakiś oficer palący



najgorsze cygaro, jakie tylko z rąk emancypancki sewi-  
liańskiej wyjść mogło, zrywa się, zrywa się, bo drzymał dotychczas,  
i czoło opala jakiemuś dziecku, które naprzeciwko niego  
na kolanach mamki, podobnej piersią do dwóch snopków  
siana, siedziało. Dziecko ryczy i skowyczy, mamka klnie  
jak przekupka z za Żelaznej Bramy, gaduła łaje młokosa,  
młokos przeprasza, przysięgając się że to nie jego wina,  
młoda osoba jęczy, tłusta dama krztusi się i umiera; ja się  
śmieję do rozpuku, wyrzucić mnie chcą z dylizansu, ja  
się bronię po mojemu jedynym argumentem i pięścią; don  
Juan, mój wierny Achates, czynony bierze udział przeciw  
napastnikom: już kilka nosów skrwawionych. Boże drogi  
i kochany! podobnego zgiełku w życiu mém nie był  
świadkiem. Szczęściem, że jakiś pijak biskajski spadł z in-  
peryały dylizansu na drogę, i ramię sobie nadwerczył.  
Dylizans się zatrzymuje, ja biorę rannego w opiekę.  
W uczuciu ludzkości i litości wszystkie inne znikają  
w poczciwej Hiszpanii!

Ah! jesteśmy tuż pod pięknym jakimś miastem!

W pośród żyznej okolicy, otoczone gajkami oliwnemi,  
wznosi się na kilku górach powabne, świeże miasto, a nad  
niem góruje gród Maurów, którego potężne, czarne, brzozą  
uwieńczone wieże, chmury w biegu zatrzymują.

To Carmona, dawna Carmo Rzymian.

Dwie jeszcze okazałe po niej pozostały bramy; muszą  
być piękne, kiedy znalazły łaskę u Maurów. Do jakie-  
goś wysokiego, rzeźbą ozdobionego domu cisną się tłumy.  
To nowo wykończony teatr. Jakto? w mieście zaledwie  
13,000 ludności liczącem stawiają teatr i to podczas woj-  
ny, gdy nieprzyjaciel domowy stokroć straszniejszy od  
obcego kraj zalewa? A przecież *silent musae inter arma*,  
mówi stare przysłowie.

Tak nie jest w Hiszpanii. Tu bardzo głośno muzy ni-  
gdy nie gadają, ale i w czasie wojny mówić nie przestają.  
Wojna nie wyczerpuje nigdy wszystkich sił narodu, nie  
oddającego się obżarstwu, pijaństwu i kartowym nałogom,  
tępiącym umysł, serce i czynność ludzi.

W Carmona bawiło właśnie towarzystwo dramatyc-  
zne. Nie mając nic lepszego przed sobą, pośpieszyłem  
razem z innymi do teatru niedawno wybudowanego i pra-  
wdziwie bardzo ładnego. Gustownie ozdobiony, trzema

rzędami eleganckich łóż opatrzone, dobrze oświetlony,—  
cóż można więcéj żądać, zwłaszcza podczas wojny, kiedy  
nieprzyjaciół tuż blisko?

Młoda dyletantka, znana w świecie, tańczy cachuchę  
z młodym jakimś w mieście nieznanym dyletantem. Do-  
chód widowiska przeznaczony dziś dla rannych w bitwie  
zaszłej pod Penna Cerrada. Co jest cachucha? (wyma-  
wiał kaciucia). Warto się spytać dziś, kiedy nie tylko na  
scenie u nas ją tańczą, ale i na prowincyi w domach oby-  
watelskich tańczyć jej uczyć.

Słowo *cachucha* nie ma pewnego, czystego, wyraźne-  
go znaczenia w żadnym ludzkim języku, chyba w języku  
aniołów lub czartów.

Jest w człowieku nieskończona ilość namiętności, żą-  
dzy, uczuć, chęci i chuci, których, dla braku słowa odpo-  
wiadającego, lub z obawy prawdziwego znaczenia, wyrazić  
nie można.

Wszystko to razem Hiszpan chrzei nazwiskiem *cachu-  
cha*. Kocha kobietę i ubóstwia ją wszystkimi przymila-  
jącami nazwiskami, zawartemi w bogatym słowniku miło-  
ści. Ale przyjdzie czas, chwila, gdzie w zapale tkliwej  
wdzięczności dać jej musi nazwisko nad wszystkie inne  
droższe, a malujące nowe zaszłe stosunki. I wtenczas ją  
nazywa: *mi cachucha*, i nie gniewa się Hiszpanka, choć tłą  
oko zaszłe.

Owo pragnienie pełne tajemniczego uroku, które nie-  
bo wlało w serce dziewicy, a którego wspólność młodzień-  
cza siła często tak zdradziecko nadużyje, nazywa się *ca-  
chucheria*.

Jako taniec, cachucha jest tak pełną znaczenia jak sa-  
mo słowo; Hiszpanka tańcząc go, może bez otworzenia ust  
wyrazić całą głębokość swych uczuć miłosnych, swego  
pragnienia, swój roskoszy już doznanej, lub jeszcze oczeki-  
wanéj. Nuty *cachuchi* uczy się dziecko w kolebce i ona  
mu towarzyszy aż na progi tamtego świata. Teraz wiemy,  
co znaczy cachucha. Francuzi wymawiają *cache tout ça*,  
może nie bez racyi.

Ale przypatrzmy się tańcowi, tylko go nie opisujemy:  
nie masz na to słów w żadnym słowniku ludzkim.

Przypatrzmy się tańcowi, tylko go nie uczmy naszych  
polskich dziewic.

Po reprezentacyi teatralnej wdrapaliśmy się z don Juanem na wysoki pagórek panujący nad miastem. Tu wznoszą się zwaliska starego potężnego grodu i fantastyczne przedstawiają cienie w świetle księżyca.

Stary zamek Maurów czuwa nad tobą Carmono i przypomina ci, żeś kiedyś była stolicą potężnego bejlika, słynnego z swych turniejów, na które zjeżdżali książęta z po nad Garumny, Renu i Tamizy.

Lśni się na murawie i mruczy po okrągłych kamiakach srebrny strumyk, nareszcie rozlicza swe wody po płaskiej, skalistej dolinie. Nikt tu nie mieszka prócz karłowatych palm, chylących swe głowy ku rzecze.

Przy świetnym niebie, rozgrzanym wschodzącego słońca promieniami, opuściliśmy nazajutrz Carmonę, i spuścili się wolno i ostrożnie, po krętej drodze wykutej w kształcie ślimaka w twardej opoce, na głęboką dolinę u stóp przepaści leżącej.

Około godziny dziesiątej niebo pokryło się gęstymi chmurami. Deszcz padał rześisty. Woda lała jak z koneyek w chwili, kiedyśmy wjeżdżali do Luisianny, kolonii przez Karola III. założonej. Deszcz towarzyszył nam ciągle aż do Cija, gdzieśmy stanęli wieczorem. Piękne to miasto zawiera kilka kościołów godnych widzenia, a leży na kilku pagórkach lewego brzegu spławnego Jenilu. Starożytne to miasto, już bowiem Rzymianom pod nazwiskiem Astygii znane, dziś jeszcze liczy do 35,000 mieszkańców. Uważane jest za najgorsze miejsce Andaluzyi i dlatego nazywają je: *«el sarten de Andaluçia»* (patelnią Andaluzyi).

Za Maurów były tu sławne artezyjskie studnie, wyświdrowane wielkim kosztem w twardej opoce. Ale dawni panowie Hiszpanii, przymuszeni z niej uchodzić, zarzucili te studnie głazami. Późniejsi panowie tak mało dbali o dobro kraju, że nawet głazów wydobyć nie rozkazali.

W bliskości Ecji mieszka liczne plemię Morogotów, to jest potomków owych Gotów, którzy po wkroczeniu Maurów do Hiszpanii, wiarę Mahometa przyjęli, później zaś, po wypędzeniu Maurów, znów na łono chrystyanizmu wrócili. Za tę zmienność swych przodków do dziś dnia odpowiadają Morogoci ogólnym, w całej Hiszpanii doświad-

czaném potępieniem. Hiszpanka wolałaby zostać niewolnicą Maura, jak pójść za Morogota, choćby najmajętniejszego, a Hiszpan nie spowiada się, gdy go zabije: za grzech to wcale nie uważa. A jednakże ci potępieni są uczciwymi ludźmi, rzetelność ich w przysłowie weszła; tylko wzrosłszy od tyłu pokoleń w prześladowaniu, szczególny sobie wyrobili charakter: stali się chciwymi i nieufnymi jak nasi żydzi. Z innych względów mniej są do nich podobnymi: odważni, dumni bez chępliwości, surowi względem innych i względem siebie samych; noszą znamiona swego wyjątkowego charakteru na grubych rysach twarzy i atletycznych postaciach. Kobiety ich również silne, trudnią się uprawą roli, a oni sami przewożeniem towarów z jednego końca Hiszpanii na drugi. Ubiór ich przypomina Maurów. Noszą niezmiernie szerokie, ledwo do kolan spadające spodnie, pas z całym arsenałem pistoletów i noży, przytém lejbik w arabeski wyszywany, i czapki zwane *montero* kształtu turbana.

Jest coś nieubłaganie srogię w tój zemście, wywieranej na Morogotach za to, że ich przodkowie byli przed czterema wiekami Mahometanami. W naszym kraju nie mamy na szczęście ani wyobrażenia o podobnej nietolerancji.

Tym razem podróżowaliśmy nocą pod zastłoną podwojonej eskorty. Okropna to noc, pamiętna w dziejach mych wędrówek. Spać niesposób, nóg nawet wyciągnąć ani ramion rozeprzeć nie można bez urażenia jakiegoś sąsiada, i wydobyć z niego krzyków mniej więcej burezących. Znużona, dziwnemi hallucynacyami trapiąca głowa, chwije się na wszystkie strony. Wolałbym był iść piechotą, ale nie zdążyłbym za dylizansem, a tu bandyci niezawodnie nie daleko.

I na eskorcie zbyt polegać nie można. Nieraz Navarro i tę rozpędził, dylizans rozbił i kobiety w góry uprowadził, jeżeli były ładne, a mężczyzn do szcztetu złupił, lub nawet zabił, jeżeli opór stawiali. Wszystko w jedném oka mgnieniu. Żadna się nie udała z wypraw wojskowych przeciw śmiałemu bandolerowi przedsięwziętych; znał on wszystkie przesmyki, miał wszędzie zwolenników tajnych, swą własną tajną polięę, i sztydził z wojska, wiedział o jego ruchach nim się ukazało. Ludu wiejskiego nie lękał się wcale, rozdawał bowiem sam część zdobyczy, tak jak niegdyś

Ś. Kryspin, i tém sobie jego przyjaźń zjednał. Przytém grał zawsze el sennor Navarro rolę kawalera i obdzierał podróżnych z najszlachetniejszą gracyą, z wszystkimi względami przynależnemi płci, wiekowi, stanom i stopniowi wychowania.

Właśnie nas młody oficer razem z nami podróżujący bawił opowiadaniem historyi, która się wydarzyła dwa tygodnie temu; przysłuchajmy się:

»Dwóch bogatych Lordów angielskich przybyło do Sewilli. Excentryczni, i zawsze znudzeni, nawet w Sewilli, wpadli na myśl szaloną poznania się z panem Navarro, o którym tyle ciekawych anegdot krążyło. Bawił ten bohater gór i wąwozów wówczas jak i teraz w górach Moreny i Antekwerry, na drodze z Sewilli do Kordoby, na przestrzeni trzydziestu mil długości i nie wiem ile szerokości. Anglicy umieli sobie wielkimi ofiarami pieniężnemi zjednać zaufanie konduktora dyliżansu, dostarczającego bandycie proch i amunicyę. Ten ich prowadzi do samotnego domku wiejskiego w pobliżu Kordoby, i tam zastają naszego bandytę już uwiadomionego oczekujących go odwiedzinach. Przybrany w świetny strój andaluzski, przyjmuje ich bandyta okazale i bawi podczas obiadu opowiadaniem tysiąca awantur. Anglicy oczarowani są gracyą i dowcipem gospodarza, nareszcie wstają i chcą się pożegnać.

—»A propos,« mówi nasz bandyta otwierając swe biurko,—»panowie może zechcą mi zrobić małą grzeczność i podpisać te świstki.«

»Świstkami temi były dwa weksle wystawione właśnie na bankiera tych lordów w Sewilli, weksle dosyć znaczne i mające być wypłacone okazicielowi. John Bull zadziwił się nie mało, ani wiedział, jak do tych wekslowych interesów przychodzi, protestuje najsolenniiej i chciał zaimponować bandycie brutalstwami. Navarro zadzwonił. Drzwi się otwierają i ze trzydziestu uzbrojonych ichmościów mierzą z groźnych gardłaczy, *trubacos* zwanych, do wyspiarzy.

»Navarro jeszcze raz prezentuje Anglikom weksle, mówiąc:—»Dalibóg! moi panowie, najlepiej będzie podpisać te papierki: ci dobrzy ludzie gotowi się guiewać na panów, a widać, że na zdobycz liczyli, kiedy tutaj w takiej znajdują się sile.«

Lordowie podpisali, widząc że to nie żarty, i pojechali do Kordoby. Towarzyszył im Navarro przez czas niejaki, opowiadając im to i owo. Nareszcie spytał się, kiedy wrócić do Sewilli.

—»Kiedy nam się będzie podobało, mości bandyto,« odzlekli Anglicy.

—»Dobrze, moi panowie, byleby nie dziś, ani jutro, drogi niepewne, rozboje częste. Dragoni placu nie dotrzymają. Pojutrze rocznica śmierci mej matki, zamówiłem księdza, który przyjedzie odprawić mszę żałobną na jej intencję. Droga wówczas będzie wolna dla wszystkich, możecie o tém uwiadomić całą Hiszpanię. Żegnam was Milordowie, dziękuję za już, a proszę o więcej.«

»Tak rzekł jak najspokojniej Navarro, dał ostrogę koniowi i w jednem oka mgnienu znikł swym gościom z przed wzroku. Anglicy trzymali się rady pana Navarro i powróciwszy do Sewilli, dowiedzieli się, że bankier weksle wypłacił. Nie chwalili się wiele tą przygodą, ale ją sam Navarro w obieg puścił.«

Skończył oficer swe opowiadanie, a ja spytałem:—»Widać, że wasz bandyta posiadać musi pewien stopień ukształcenia umysłowego; a osobistego męstwa czy też dał kiedy dowody?«

—»Panie Doktorze, to jest zapytanie prawie nam ubliżające,« odpowie uśmiechając się młody Teniente. »Navarro jest Hiszpanem, *bostande dicho* (to dość powiedzieć); nigdy się nie dał schwycić wojsku Jej Królewskiej Mości, i sam zawsze w pełnym ubiorze andaluzskim szarżuje na czele swego hufca.«

—»Dziwi mnie tedy, że będąc walecznym i mając wychowanie, nie zrobił, jak inni tego rodzaju bohaterowie, i nie wstąpił w służbę don Carlosa, gdzie podobnym łatwo się [dosłużyć wysokiej rangi.«

—»Navarro nie jest za tamtą formą rządu. Mając zaledwie lat 18, służył w wojsku liniowém Ferdynanda VII. jako oficer milicyi, i dał próby wielkiej waleczności dnia 7. czerwca 1822., w chwili, kiedy gwardye królewskie chciały zwalić zaprzysiężoną konstytucję, i zrobiły kontr-rewolucję. Milicya wówczas wystąpiła przeciw gwardyom i pokonała je, a król *wyudzięczając się za wierność*, ozdobił przewódców orderem. Navarro szykanowany przez swego

zwierzchnika, zabił go, uciekł w góry, został przez bandytów przytrzymanym i przymuszonym do przewodniczenia im. Raz wystąpiwszy po za obręby miasta, już w nie wrócić nie mógł, i odtąd żyje w górach od lat blisko siedemnastu; jeszcze mu się ani razu noga nie zachwiała, a jednak prędzej czy później będzie schwytyany i *passado por las armas* (to jest przeprowadzony przez broń, co znaczy rozstrzelany). Żal mi takich ludzi, choć zasiadając w sądzie wojennym, nie jednego z nich na tamten świat wystać pomogłem.«

Nasz oficer dobrym był wieszczem. Navarraez, pozbywszy się swych rywali na dworze i na czele wojska, chciał panować i nad górami, dotychczas przez bandolorów i rabusiów opanowanemi. Zaimprovizował więc nową, męzną i dobrze płatną żandarmeryę, zwaną *Guardia civil*, i tej porучzył oczyszczenie kraju z bandytów.

Navarro został schwytanym dopiero kilka lat temu, i w Ecija, mieście swém rodzinném, rozstrzelanym. Dwa lata przed śmiercią obchodził swój dwudziesto-pięcio-letni jubileusz z wielką okazałością. Przez ciąg całego życia lubił święcić uroczystości wielkimi fetami, dawać bale i obiady, i często, by mieć nowych gości, kazał chwytac podróżnych na drodze, przymuszał ich do zabawy *ex officio*, potem obdarzał hojnie i puszczał w dalszą podróż.

## ROZDZIAŁ XI.

OKOLICE KORDOBY. — MIASTO I MIESZKAŃCY JEGO. — AZZAHRA  
PALAC KALIFÓW. — PRZEPYCH. — FONTANNA ŻYWEGO SREBRA. —  
AVERROES. — TOLERANCYA RELIGIJNA MAURÓW. — ABDERHAMMAN  
III. — RHAZES. — BIBLIOTEKA. — STARODAWNY MECZET. — CHÓR  
KATOLICKI. — KSIĄDZ PUSTELNIK. — OBRZĄDEK ŁACIŃSKI. — WY-  
DRAŻENIE W MURZE MECZETU. — FAKIRY I MUEZZINY. — KAPITAN  
GWARDYI NARODOWEJ.

---

Już ostatnie pasmo gór przebyte, pod naszymi stopami rozpościera się zielona dolina, drzewami oliwnymi umajona; błyszczy na ciemném tle szerokie zwierciadło Gwadalkwiwuru, jak ocean żywego srebra. Z drugiej strony rozwijają się żółtawe błonia Campiny, to jest płaskiego lądu prowincyi korduańskiej, i łączą się od południa z szarym, zamglonym widnokręgiem. Od wschołu i północy piętrzy się bałwaniste pasmo Sierry Moreny, tém ciemniejsze, im więcej od nas odległe. Tam leży na podnóżu gór Kordoba, miasto kalifów, niegdyś tak świetne, tak dumne. Błyszczą w świetle księżyca liczne wieże, a ogromny meczet Abd-er-Hammana cięży swą olbrzymią masą na znękanój ziemi i zdumiewa oko podróżnego. Lecz znów się zapada miasto za pagórkami, pomiędzy któremi wije się nasza droga. Niezliczone mnóstwo willi ozdobionych gankami, marmurowemi słupami podpartemi, niezliczone mnóstwo lasków i ogrodów poprzedza miasto. To są mieszkania letnie bogatych Korduańczyków. Potém długie ciągnie się przedmieście: wiele w niém ruchu i życia, chmary ludu poruszają się z miejsca na miejsce. Każdy wnosząc z tego co widzi, obiecuje sobie, że ujrzy za chwilkę ludne, możne, handlem ożywione miasto. Już i brama wysoka, okazała, i na niej wyryte pod herbem szlacheznego miasta następujące godło herbowe:



•Cordoba, casa de guerrera gente,  
Y de sabiduria clara fuente.»

Co znaczy:

Kordoba, ojczyzna rycerskiej ludności,  
I czyste źródło wszystkich wiadomości.

Ale jakież nas przykre czeka odczarowanie! Właściwe miasto smutne jest i opuszczone; nie masz w niém ani sklepów, ani rzemieślników, ani gwaru ludzi, ani życia. Smutnie tętnią dylizanse na tym bruku trawą porośłym, pomiędzy temi wysokimi domami, z wybitemi lub papierem zalepionemi oknami.

Smutno się spogląda na nas z po za swego płaszcza wysoki Korduańczyk swemi czarnemi długimi oczyma, zdaje się do nas przemawiać ponurym głosem:—»Wy tu przybyliście do méj ojczyzny z tak wielkim zasobem ciekawości, ale nie zapominajcie tego, co nasz rodak Lopez de Vega powiedział wieszczym duchem o kwiatach:

Aprénded flores de mí,	Naučcie się kwiaty odemnie,
Lo que va de ayer a hoy!	Zmiany od dnia wczorajszego do dzisiejszego;
Ayer maravilla fui,	Wczoraj byłam ubóstwiana,
Hoy sombra mía no soy.	Dziś nawet cień mój nie pozostał.

to do naszego stosuje się miasta.«

Nie masz w świecie całym miejsca noszącego smutniejsze ślady upadku i zniszczenia. Tyle innych miast pochłoneły żywioły, zalały hordy barbarzyńców, zniszczyły trzęsienia ziemi; widok ich ruin sprawia boleść, ale nie rozdziera tak serca, jak widok świetnej Kordoby, której szatany zniszczenia nigdy nie nawiedzili, ale z której jednego razu ustępować zaczęło życie, jak nieraz ustępuje z ciała pięknej młodej kobiety, której już nie zdrowia przywrócić nie zdoła, która musi umrzeć na wolną, ale nieochybną konsumpcję.

Kto tu uwierzyć zechce, patrząc na te próżne place, na te zasypane dziedzińce, na te ogrody, w których gady panują, a sowy się rozgościły; kto tu uwierzyć zechce, patrząc na zaniedbane suknie wysokich i bladych Korduańek, że Kordoba liczyła kiedyś milion mieszkańców, że

jój obwód miał siedm mil długości, że jój bogactwo i przepych przewyższały wszystko, co tylko bujna wschodnia wyobraźnia wymyślić zdoła?

Tu w Kordobie stał ów na cały świat sławny *Azzahra*, pałac zbudowany przez Abderhamma na III. dla jednej z swych żon, dla téj, którą najwięcej kochał. Przytoczę słowa arabskiego kronikarza: »Pałac zwany *Azzahra* wznosił się w pośrodku niezliczonego mnóstwa budynków, które wszystkie do rezydencyi Zahry, żony kalifa, należały. Dziennie do 10,000 ludzi zatrudnionych było budowaniem; 1,500 mułłów, 400 wielbłądów i 200 słoni zносиło ciągle materiały do budowli. Spotrzebowano dziennie 6,000 kamieni ciosowych, prócz nieciosanych, których ilości obliczyć nie można. Kolumn marmurowych 4,312 dźwigało sklepienia: wszystkie były lazurem i złotem powleczone, bogatą rzeźbiarską robotą ozdobione. Prócz cedrowego, żadne inne drzewo nie wchodziło w skład budynku. Sala kalifa cała była z porfiru, a ściany jój i sufit wysadzone arabeskami z dyamentów, szmaragdów i pereł. W środku téj sali znajdowała się fontanna, z ogromną misą jaspisową, a dno jój wyłożone drogiemi kamieniami, naśladującemi dno naturalnych źródeł.

»Dwadzieścia zwierząt drapieżnych, z szczerego złota lanych, a naturalnej wielkości, pilnowało téj krynicy; z nozdrzy tych zwierząt wytryskała najczystsza woda w jaspisową misę. Na zwierciadle fontanny pływały złote łabędzie, a nad niemi wisiła, przyczepiona do sufitu, owa perła bajecznej wielkości, którą cesarz grecki Leon przysłał w darze korduańskiemu kalifowi.

»Również pięknie ozdobione były i inne podwoje. Wszędzie obicia z Damaszku, kobierce z Persyi, złoto na najrozmaitszy sposób przerabiane: młotkowane, dłutowane, bite i kręcone, a przytém różne przybierające kolory! Wszędzie kwiaty i owoce z mozajki tak piękne, że się motyle i ptaszki do nich zlatywały, a same motyle i ptaki z mozajki tak naturalne, że się zdawały trzepotać skrzydełkami i śpiewać.

»Tu się znajdowała i mennica kalifa. Trzydzieści stępłów złoto bijących w ciągłej było robocie. Koszar było dwadzieścia dla samej gwardyi przybocznej, z 15,000

jeźdźców złożonej; pałace z najpyszniejszymi łożenkami i ogrodami.

»Szczęśliwi tego raju mieszkańcy przechadzali się pod cieniem altan, albo też wozili się po jeziorze, którego woda napawana wonią najrzadszych kwiatów, zdawała się być perfumowaną. Miryady zagranicznych zwierząt i ptaków ożywiały płasami i śpiewem owe szpalery, błonia i drzewa.

»W pośrodku tych ogrodów wznosił się pawilon kalifa. Sufit jego i ściany zdobiły szczerokształte, dyamentami wysadzone zwierciadła. Olbrzymia muszla z porfiru stała w środku głównej sali: była ona napełnioną żywem srebrem, w ciągłym ruchu zostającym. Fontanna ta metalowa ulubioną była zabawką Abderhammana. W tém miejscu przyjmował goście odwiedzających go po raz pierwszy. Lubił im robić niespodziankę w ten sposób, że na znak dany otwierały się podwoje, dach zlatywał, promienie słońca wpadając strumieniami na ściany, odbijały się po milion razy na powierzchni polerowanej złota i drogich kamieni, i raziły swym blaskiem jak błyskawice; a padając na stumanioną powierzchnię żywego srebra, tak oślepiającym blaskiem świeciły, że wszystko zdawało się być w płomieniach. Goście truchleli na ten niespodziany widok, a ich przestрах był źródłem rokoszy dla wielkiego kalifa.«

Tyle jest słów sławnego filozofa i historyografa Averroes, żyjącego za panowania Abderhammana przy dworze korduańskim, a później prześladowanego za swe liberalne opinie przez imanów i ulemów, i zmuszonego do ucieczki do Maroko; gdzie umarł wielkim dygnitarzem 1198 roku. Temuż samemu Averroes świat winien, że dziś zna Arystotelesa; on bowiem z zapomnienia wydobyl jedyne kompletny rękopis tego filozofa, i ogłosił go wraz z swym własnym komentarzem, dziś jeszcze za dzieło klasyczne uważanym. W swjej filozofii Ibn-Rochd-Averroes, połączył doktrynę Arystotelesa z doktryną Aleksandryczyków, i uznawał istność emanacji ducha, nawet istność ogólnej uosobionej idei, rozlanę na świat cały, a przejmującej zewnątrz z makrokosmu istotę ludzką. Razem z Platonem jednakże dzielił pod względem rozumu dusze ludzkie na dwie ważne kategorie: 1) na dusze ludzi, którzy tylko w ślepej wierze rokosze umysłowe czerpać winni i szczęście zna-

leżć mogą; 2) na dusze ludzi, którym dozwolony być wien wolny zbiór kwestyj wiary dotyczących.—Pędzłem godnym Lavatera opisał charaktery znamionujące jednych i drugich, wytknął ulemom i imanom drogę, według której mają rozsądzać sprawy prawodawcze, przestępstwa religijne i urzadzenia pedagogiczne, jeźli chcą postępować zgodnie z naturą człowieka i z zdrową filozofią. Wyszły one w Wenecyi r. 1695, in folio, w łacińskim języku, i od tego czasu przetłómaczone zostały kilkakrotnie na język angielski, francuzki, niemiecki, a nawet i włoski.

Historya zna, dzięki wspomnionemu filozofowi i kilku innym współczesnym kronikarzom, cały bieg życia wielkiego kalifa Abderhammana III. i upewnia nas, że nie tylko był wykwiótnym i pełnym rycerskiej godności monarchą, ale nawet sławnym wojownikiem, mądrym politykiem, człowiekiem, którego serce i geniusz sięgały po za swe wieki. Gardził przesądami Mahometanów, zakazujących wyobrażeń ludzkiej postaci, jako rzeczy prowadzących do bałwochwalstwa; wyraźnie protegował obrządek katolicki, pozwalając chrześcianom, pod jego berłem żyjącym, wszelkiej wolności religijnej i wszelkich przywilejów osobnego sądownictwa.

Mieli wówczas chrześcianie swych księży, biskupów i arcybiskupów; wolno im było dzwonić w dzwony nie tylko na prowincyi, lecz także w samej rezydencji kalifa, a nawet odbywać processy po wszystkich ulicach, wyjąwszy ulice, na których stały meczety. Jednem słowem, pod panowaniem Maurów w XI. wieku, katolicy doświadczyli większych przywilejów niż dziś w Anglii.

Pod pięćdziesięcioletniem panowaniem Abderhammana III-go, Korduba wzrosła w niesłychaną potęgę. To miasto stało się słońcem, którego promienie rozgrzewały wszystkie uniwersytety świata: sięgały do Aleksandryi, do Konstantynopola, do Salerny i do Montpellier, mojej *alma mater*. Akademia korduańska tak była sławną, że monarchowie chrześcianscy wysyłali do niej swych synów na wychowanie. Język arabski stał się językiem niezbędnie potrzebnym nie tylko dla uczonych, ale nawet dla wszystkich wyżej wykształconych kawalerów. Abu-Ibn-Sina, znany powszechnie pod nazwiskiem Avicenna, Arab urodzony w Persyi, założył jeszcze przed Abderhammanem fakulte

medyczny w Kordobie r. 1012.; fakultet ten stał się matką wielu innych w chrześcijańskich krajach. Avicenna, pomimo że był skorym do awantur i do rozpusty, umiał pracować z niesłychaną usilnością. My lekarze winniśmy bardzo wiele temu Hipokratesowi arabskiemu, który zebrał rozrzucone po świecie i zapomniane dzieła ojca medycyny Hippokratesa z Kos, Falena i Celsyusza Aureliana. I filozofia wiele mu winna. Avicenna napisał dzieło pod tytułem: *Metafizyka czyli Filozofia pierwsza*, które podczas kilku wieków służyło za podstawę filozofii nauczanej w Azji i w Europie, i dziś jeszcze zaszczytnie jest wspominanym przez niemieckich i francuzkich ideologów.

Ale już wprzód Mohammed-Abu-bekr Ibn-Zakaria, znany światu pod nazwiskiem Rhazes, lekarz bagdadzki, odwiedził Kordobę i w niej zorganizował zarodek późniejszej akademii lekarskiej. Napisał on do trzydziestu grubych tomów o higienie i sztuce lekarskiej. Księga jego o ospie i odrze, do dziś dnia bardzo jest poważaną.

Muzyka słynęła w Kordobie, wraz z innymi sztukami pięknymi. Konserwatorium tutejsze, już wówczas zwane szkołą wyższej muzyki, wydało sławnego Muzali, uważanego jeszcze dzisiaj za jednego z największych znawców fizyki i mechaniki chromatycznej.

Biblioteka kalifa korduańskiego zawierała za Abd-er-hammana III go 600,000 tomów. Szkół bezpłatnych było wówczas w Kordubie 83; w wielu z nich sposobiono się na hydraulików, geometrów, budowniczych, a mianowicie na fabrykantów zbroi i broni. Klingi korduańskie słynęły kiedyś jak dziś damasceńskie lub toledańskie.

I cóż dziś pozostało, coby świadczyło o świetnej przeszłości tego miasta?

Z sławnego zamku Azzahra ani śladu; tylko tu i owdzie rolnik kopiąc ziemię, wydzwignie lemiuszem kawał złocznego marmuru, porfiru lub jaspisu. Zresztą stoi jeszcze w swém miejscu stary gród królów zakopcony, czarny, pomiędzy jaśminem, bluszczem i aloesami, tak, jak pajak osiadł na kwiecie.

Ale nie! bądźmy sprawiedliwymi; Kordoba zawiera dziś jeszcze w swych zaniebanych murach jedno z najpyszniejszych arcydzieł architektury, jakie gdziekolwiek w starych lub nowszych czasach praca ludzka i cierpliwość wzniosły.

Któż nie sływał o sławnym meczecie Kordoby, służącym od sześciu wieków za kościół chrześcijański?

Obudowany na około domami, tak jak kościół Ś. Pawła w Londynie, trudno zrazu wynaleść ów starodawny zabytek świetnych czasów Kordoby, nie sposób objąć go z bliska jednym rzutem oka. Budowla to imponująca swym ogromem, ale z zewnątrz nie oczaruje cię pięknoscią kształtów. Wysokie mury, których szczyty wykrojone w sposób staro-teutoński w zębate flerony, przedarte są tu i owdzie oknami, misternie w podkowy wykrojone. Ale to wszystko spoczywa na podstawie 360,000 stóp kwad. zajmującej! Proszę sobie wystawić budowlę wzniesioną w kwadrat, którego boki mają sześćset stóp długości! Na wschodniej połowie gmachu wznosi się wysoka kopuła i potężna w niebo sięgająca wieża po nad chórem katolickim, wbudowanym w meczet. Powierzchnia zewnętrzna pokrytą była niegdyś siatką złożonych arabesków, ale ręka niezręcznych odnowicieli pokryła ją warstwą gipsu i pokostu. Szczęściem, że nie starczyło tych materiałów, gdy przyszło do odnowienia façady, a tak przynajmniej ochronioną została i zachowała starodawną piękność. Dawniej 24 bramy prowadziły do świątyni; dziś pozostały tylko trzy, resztę zamurowano. Wysoki krużganek drzewami pomarańczowemi wysadzony, marmurem brukowany i na marmurowych kolumnach spoczywający, otacza w około całą świątynię. Dwanaście fontan chłodzi tu ciągle powietrze i jednostajnym mruzeniem wzywa do marzeń i uspokaja duszę.

Drżącą ręką odsuwam kurtynę przegradzającą wejście i staję w kościele. Zdumiały, ujrzałem się w lesie kolumn, przedstawiającym, gdziekolwiek staniesz, nieskończone perspektywy rozciągające się we wszystkie kierunki. Uroczysta cisza panowała w tych niezmiernych przestworach; czasem tylko przerywał ją głos słodki i poważny organów, brzmiących w tym lesie jak eolska harfa, która me ucho niegdyś czarowała w parkach szkockich. Kolumny te, całe z jednej sztuki marmuru, tworzą od zachodu na wschód trzydzieści dwie naw, szerokich na czternaście, a długich na 250 stóp; od północy zaś na południe szesnaście naw daleko szerszych, a na 600 stóp długich. W symetrycznych odstępach rozstawione kolumny, grupują się regu-

larnie; wszędzie widzisz przed sobą długie, w odległości zwięzające się i schodzące szpalery.

Dla chóru katolickiego, wbudowanego w dawny meczet, zwalono 360 kolumn; pozostało ich jeszcze 860. Ta świątynia już teraz tak obszerna, jeszczeby wydawała się ogromniejszą, gdyby jej sklepienie było wyższem. Ale wysokość jego, zaledwie do 35 stóp dochodząca, nie odpowiada rozmiarom rozciągłości i nęka duszę pewnym niezwalczonem uczuciem ciężkości. Gmach ten, dopóki był meczetem, nie cieszył się nigdy światłem dziennem: szczelne kurtyny zasłaniały okna, a lamp kryształowych 4,700 ciągle tu gorzało, w odstępach regularnych zawieszono. Tyle światła rozbijającego się o złoczone arabeski! Musiał to być cudny widok.

Już ucichły organy, i już mogę postąpić dalej bez obrażenia solennego usposobienia duszy mojej, i już mogę przebiegać ten święty przybytek i przypatrywać się z bliska wszystkim szczegółom tej zastanawiającej budowli. Inni wprawdzie, oswojeni z imponującym widokiem, nie robili sobie żadnego przymusu: przebiegali podczas mszy wszystkie kąty, rozmawiali głośno, śmiali się, i ucierając zatańczony nosy, dęli w nie jak w jerychońskie trąby, strasząc echa drżemiące tu od lat tysiąca. Byli to księża kanonicy, schodzący się na sumnę. Byli u siebie, nie żenowali się.

Jeden tylko ksiądz z siwiuteńką głową stał oparty o filar, i z oka mnie nie spuszczał; odgadł on uczucia mną władające, i widząc mię niepewnym krokiem postępującego naprzód, zbliżył się do mnie i ofiarował służyć mi za *cicerona*. Przystałem na to z wielką wdzięcznością; na twarzy starego księdza malowały się bystrość rozumu i dobroć serca: dwa przymioty bardzo rzadko razem istniejące.

Żadna część meczetu nie daje tak wysokiego wyobrażenia o doskonałości, do jakiej doszła sztuka architektoniczna w Hiszpanii pod Maurami, jak kaplica kalifów. Ani Alcazar sewilski, ani granadeńska Alhambra, nie są w stanie wytrzymać porównania z tém miejscem. Kaplica ta, podzielona na trzy części, pokryta trzema wysokimi kopułami, cała jest z białego marmuru i ozdobiona nieustającą siatką najcudniejszych arabesków. Szesnaście wy-

sokich kolumn marmurowych różnego koloru, unosi śmiało a lekkie sklepienie, a wewnątrz jego, wyłożone różnokolorową mozaiką na tle złotém, sprawia wrażenie, którego opisać niepodobna.

Z tej kaplicy wchodzi się przez drzwi, z jednego kawałka porfiru wyciosane i w srebro oprawne, do owego *santissimum* mahometańskiego, w którym przechowują relikwie. Światło dnia nigdy tu nie wpada, i tylko za pomocą pochodni obejrzeć można te ściany, pokryte iskrzącą się mozaiką z najdroższych kamieni. Ale nie jeden już ztąd wydłubano kamyczek od czasu, kiedy i do tego miejsca wniesiono ołtarz i w niem mszę odprawiają. Francuzi za czasów wojen Napoleońskich chętnie tu chodzili na mszę, mianowicie marszałkowie Soult, Davoust, Suchet i inni miłośnicy religii, relikwii i obrazów. Generał Dupont na swą własną rękę zabrał z sobą blach złota ważących 8,000 uncyj (wartość przechodząca 1,000,000 złp.), które w jego pakunkach znaleziono po bitwie pod Baylen, tak nieszcześnie dla Francuzów.

Chór katolicki, wbudowany w XV. wieku w katedrę, tak jest wielki, jak katedra nie jednego wielkiego miasta. Jest to niezaprzeczenie arcydzieło najczystsze florenckiego stylu, ale nie odpowiada reszcie budynku. Chór ten rozpada się w trzy nawy, wyższe daleko jak nawy reszty przybytku, i pyszną uwieńczone kopułą. Kaplice poboczne zawierają nie jeden szacunku godny obraz korduańskiej i sewilskiej szkoły, a płaskorzeźby, zdobiące organy i ambony, przedziwnej są roboty i rysunku najpoprawniejszego, jaki widzieć można. Stalle kanoników, wyłożone hebanem i perłową macieją, służyły niegdyś za model owym precydnym stallom, które zdobiły kościół Franciszkanów w Krakowie. Zawistny los pozazdrościł nam tego arcydzieła sztuki; niedawno temu zgorzały one wraz z kościołem.

Na jednej z kolumn marmurowych dźwigających sklepienie, *el padre Jage*, poczciwy ksiądz oprowadzający mnie po przybytku, wskazał na obraz Chrystusa, wyróżniony dość niezręcznie, a przegrodzony żelazną siatką od dotknięć profanów. Następujący piękny dystych łaciński obznajmia nas z naturą tego rysunku:



*Hoc sua dum celebrat Mahometicus orgia templo,  
Captivus Christi numina terra vocat.  
Et quem corde tenet, rigido saxo unque figurat,  
Laureolam pro quo fune peremptus habet.*

Nie masz rady: dla pięknej łaciny i ku zbudowaniu chrześcian, trzeba tutaj uwierzyć, że rysunek ten niezgrabny wyrznął paznogciem niewolnik chrześciański, przykuty przez Maurów do tej kolumny.

—»Czasu musiał mieć bardzo wiele, a paznogcie twarde jak stal angielska, mój ojcze Jakóbie, ów niewolnik chrześciański, którego Mahometanie w świątyni trzymali,« rzekę do ojca Jago.

—»*Fides salvat hominem*,« odrzekł stary ojciec, »kto chce niech wierzy; *volenti nihil difficile*. Ja po prostu wyznam, że nie wierzę. Maurowie mieli tę świątynię w tak wielkiem poszanowaniu, że żadnego chrześcianina, nawet ambasadorów, cesarzów Wschodu, ani królów Leonu i Kastylii, którzy nieraz Abderhammana odwiedzali, wpuścić doń nie chcieli. Poczoby tedy trzymać zechcieli więźnia w tej świątyni? «Pomimo, że 900 było łazienek publicznych w Kordobie, a nikomu do meczetu wchodzić nie było wolno w obuwii: tyle oni dbali o czystość, że 180 derwiszów usługujących czyściło każdej nocy posadzkę, obcierało kurz i zmieniało kryształowe lampy. Trzysta sześćdziesięciu takich usługujących derwiszów mieszkało tutaj w samych murach świątyni.«

—»Jakto! ojcze? w samych murach świątyni? gdzież, chyba w samej świątyni; żaden tu budynek nie przytyka,«

—»Mury tej świątyni są wydrążone jak ule, i roje pobożnych derwiszów w sobie zawierały. Pokażę panu, jakie to dziwne schody i kurytarze snują się wewnątrz tych murów; niktby się nie spodziewał, że w samych ścianach tej świątyni zawarte są mieszkania dla tak licznej ludności. Panu je pokazać mogę, bo pan się przecisnąć zdoła do tych ciemnych siedzib. Nie jesteś bardzo tłusty.«

Czy mnie do jaszczurczej jamy wieść zechce? —pomyślałem sobie. Istotnie, w jednej ze ścian za ołtarzem, tam, gdzie się spotykają dwie kolumny, ojciec Jago oparł się całą siłą o mur, i ogromny głaz, wysokości pięciu stóp, a szerokości zaledwie jednej, ustąpił pod naciśnięciem. Dalej

schody kamienne, ciasne jak trumna, a wijące się ślimakiem; dalej jakieś ciemne krużganki; światło tu dochodzi przez ukośne szczeliny, których z zewnątrz wcale nie widać. Te krużganki długie a ciasne, podzielone na nieskończenie wiele celek, tak wąskich, że prócz ławki kamiennéj, półtory stopy wysokości, nic w sobie nie zawierały, nic wcale; a przechód z jednej celki do drugiej zawsze tak ciasny, zdaje się, że coraz ciaśniejszy. Przebyliśmy takich celek wysokich i długich na sześć stóp, a szerokich na półtrzeciéj, dziewięć; dziesiąta była dwa razy szerszą, choć również długą i wysoką, przepuszczała cokolwiek więcej światła: kaganiec w niej tlał chudziutki. Odetchnąłem,

—»To moje mieszkanie,« rzece mi ojciec Jago.

—»Jako? ten grób to pańskie mieszkanie?« zapytałem zdziwiony. »Księżu dobrodzieju! przecież tu żyć nie sposób!«

—»To moje mieszkanie od lat blisko sześćdziesięciu; innego nie mam, a to mię nic nie kosztuje. To mieszkanie dziesiętnika derwiszów, te inne prości derwiszowie zajmowali. Jest takich celek 360 w czterech ścianach meczetu.«

—»Wcale nie zazdroszczę ci tego lokalu, i proszę Boga, żebyś przypadkiem nie utył; nie mógłbyś wejść do swéj celi: tak tu ciasno.«

—»Proś raczój Boga, żebym nie spuchł jednéj pięknej nocy w tém wilgotném powietrzu, bo nie mógłbym wyjść z méj celi; musiałbym z głodu umrzeć; mało jest bowiem ludzi wiedzących, że tu mieszkam, a mniej jeszcze ludzi, których los mój zajmuje. Aniby się spostrzegli, że mnie nie masz, gdybym im w oczy nie wchodził. Żyję z jałmużny, z tego, co mi pobożne dusze pod krużgankę przyniosą; czasem przyniosą za wiele, często nie przyniosą nic wcale; wtenczas prosić trzeba. Nie masz tedy niebezpieczeństwa, żebym tu utył,« mówił uśmiechając się ojciec Jago.

—»I żadnych innych nie masz dochodów?«

—»Czasem dadzą na mszę, czasem i który z kapitulnych księży odstąpi mi swéj mszy, gdy zachoruje, lub da stary habit. Żyję tak, jak niegdyś żyło 360 derwiszów; żyję z jałmużny i nie żalę się nigdy, bo jeżeli tamci dla swego proroka toż samo znosili, czemuż ja dla mego Boga nie mam znieść mniej, jak oni? Nocą przechadzam się sam jeden po wspaniałéj świątyni, po tych podwojach, po których stąpali od wicków dziesięciu tylu sławnych mężów, pod które-

mi spoczywa tylu świętych biskupów i walecznych rycerzy. To mój raj, to moje szczęście; nikomu nie zazdroszczę, o wierzą mi cudzoziemcze! Znam tego przybytku całą historję; w tych celach zgromadziłem, co jeszcze uratować się dało z zabytków starożytności; samych lamp maurytańskich wynależem ze trzysta w ulach; mnóstwo ksiąg i ułamków marmuru; broń mých skarbów przed wkraczającemi puszczykami, sowami, kawkami i nietoperzami. Bóg wie, kto je odziedziczy. Ja może jednej nocy tu umrę, i w tym grobie aż do sądu ostatecznego pozostanę. Niech się dzieje wola Boska!»

—»A wierzysz w duchy? księżu Jakóbie?»

—»Wierzę.« odpowie uśmiechając się stary.

—»I nie boisz się duchów owych imanów, muezzinów, fakirów i derwiszów, którzy tutaj nocną porą niezawodnie hulać muszą z puszczykiem, sową, kawką i nietoperzem?»

—»Oh mój synu!« rzecze zdumiony ksiądz, częstując mię tabaką i śmiejąc się serdecznie. »Wszystko to byli dobrzy ludzie: żyli oni więcej duchem niż ciałem, choć im chrześcijańskiej wiary światło nie przyświecało. Bóg im przebaczy, a ja ich się nie obawiam wcale. Nie myśl także, żeby za dawnych czasów, póki jeszcze światło nauk i sztuk pięknych jaśniało w Kordobie, żeby tu chrześcijanie doświadczali prześladowań. Juliusz Cezar kazał wymordować 22,000 Korduańczyków za to, że Pompejuszowi sprzyjali. Ale Maurowie żadnych się nie dopuszczali okrucieństw przeciw chrześcijanom. Tylko 45 chrześcijan postradało życie w skutek zatargów, sprowadzonych wybrykami fanatyzmu, a Ojciec Święty nie śmiał ani jednego z nich kanonizować, nie śmiał wystąpić wbrew prawdzie.«

Pozegnałem poczciwego księdza, i z głową brzemioną myślami, z sercem miotaném uczuciami, wróciłem do hotelu.

—»Poznałem w katedrze ojca Jago,« mówię do mego gospodarza, kapitana gwardyi narodowej konnej.

—»*Ha! es un loco, es un descendiente de los Moriscos!* (Ha! to wariat, to potomek Maurów)« odpowiedział waleczny kapitan.

—»*Es un hombre santo, Sennor Caballero!* (Jestto człowiek święty, panie kawalerze!)« dodała cicho pani gospodyni.

O przedziwny instynkcie kobiecy! ty często jesteś jak ów promień słońca, przekradający się przez grube chmury w ciemne przepaści; ty przeczujesz prawdę, nim ją tępy rozum męczyzny rozpoznać zdoła!

Oh nie! ten człowiek, który żyje z cieniami swych zmarłych przodków, i całą swą istność poświęcił na chwałę Boga i na przebłaganie Go za błędy swych naddziadów, ten człowiek szalonym nie jest. On w oczach moich większą ma wartość, niż oni wszyscy, którzy w hołdach składanych materyi zatracają prawo do wieczności.

## R O Z D Z I A Ł   X I I .

SZPITAL.—LEKARZE.—POLITYKA HISZPAŃSKA.—OBOJĘTNOŚĆ DON JUANA NA POLITYKĘ.—RODZINA PAŁOMARÓW.—GOMEZ GENERAL KARLISTÓW.—NASZ GOSPODARZ.—ZBLIŻAJĄ SIĘ KARLIŚCI.—TRWOGA.—UCIECZKA.—RODZINA BIBLIOTEKARSKA.—STAROŻYTNOŚCI TOLEDAŃSKIE.—NOCLEG W LESIE.—MEDAL ZŁOTY.—PIOTR OKRUTNY.—KAPELAN.—DUSZE W CZYSCU.—ALCALÁ LA RÉAL.—MARGRABIA DE CIENFUEGOS.—ARYSTOKRACJA.

W Kordobie miałem się zatrzymać dni kilka i czekać na listy i pieniądze z Madrytu. Bawię tu już od tygodnia, oddając się z zapałem wysiedzeniu pamiątek starożytności; wielką część dnia spędzam w okazałym meczecie Abder-Hamana, na podziwianiu tego cudu sztuki budowniczej i na rozmowach z księdzem pustelnikiem, który, chociaż już w wieku, bardzo się do mnie był przywiązał i codziennie mnie oczekiwał z nową jaką historią lub legendą, odkopaną w wiernej swój pamięci. Wieczory, póki światło słońca starczyło, obracałem na wycieczki w pobliskie okolice, a później, gdy słońce zaszło, don Juan brał mnie z sobą na tertalię, których był duszą. Niewyczerpany miał zasób piosnek w swój pamięci, niezmordowany był w tańcu, w figlach różnego rodzaju. Trefniś to zawołany, stworzony na bawienie towarzystwa. Nie zaniedbywał przytém weale swych nauk: codziennie trawiliśmy kilka godzin na czytaniu ksiąg lekarskich, codziennie także ranniuteńko chodziliśmy do szpitala wojskowego, gdzie nie koniecznie dobre nabyłem wyobrażenie o zdadności lekarzy armii czynnej hiszpańskiej.

W Kadyksie wprawdzie znalazłem w szpitalach bardzo piękny porządek, i lekarzy światłych, ciągle się doskonalących nie brakło w tém mieście; ale pod tym względem, jak pod wieloma innymi, Kadyks, Walencya i Barcellona wiele się różnią od miast wnętrza Hiszpanii.

Nie wiele mnie zajmowała polityka dzienna hiszpańska: historia sporów pomiędzy różnemi odcieniami różnych partyj, dobijających się o panowanie, była rzeczą tak zawikłaną do nauczenia się, że mogła tylko być znaną człowiekowi, który przez długie lata dzień dziennie wiele godzin czasu poświęcał czytaniu gazet. Zresztą korzyści intelektualne zyskane takim oddaniem się polityce, wcale nie opłacały straconego czasu: a wiara zyskana zamiłowaniem się w zasadach jego stronnictwa, najczęściej odbierała zwolennikom swym możliwość sprawiedliwego sądu o działaniach i zasadach innego stronnictwa.

Od dawna już jakoś instynktownie przeczuwałem, że tam nie może być prawda, gdzie tyle jest nienawiści i namiętności rozkiełzanych.

Nie nie może dać wyobrażenia o zaciętości, z jaką z sobą walczyło stronnictwo exaltowanych z stronnictwem umiarkowanych. I w obecnej chwili zaciętość ta do tak wysokiego doszła stopnia, że zaślepiła zwolenników konstytucyi na wspólne im grożące niebezpieczeństwo;—nieprzyjaciel umiał z tej nienawiści bardzo dobrze korzystać.

Nie bardzo mnie dziwiła ma obojętność na politykę dzienną Hiszpanów: byłem cudzoziemcem, przytém więcej zamiłowanym w mym zawodzie, w którym można było zdrowe zdania i głos zyskać tylko wielką pracą, jak w polityce, gdzie każdy partacz, mający cokolwiek pamięci i przeczytawszy parę numerów jakiej gazety, byleby tylko miał wykląpany język, mógł głos swój podnieść, decydować, sądzić, potępiać i zyskiwać sobie u głupich, łatwowiernych wzięcie. A że głupich jest więcej jak mądrych, więc panowie podobni, tak liczni w Hiszpanii, jak piasek nad morzem, mogli odgrywać pewną rolę pomiędzy ludźmi lubiącymi się gapić na mówiących i gestykulujących. Ja takich szarlatanów już od bardzo dawna znałem, nie mieli oni dla mnie nawet powabu nowości; nie dziwiła mnie tedy ma obojętność na to, co nazywamy polityką, ale mnie dziwiła obojętność mego don Juana, który się nigdy ani na chwilę nie troszczył o to, co się w Kortezach, w ministerjum, lub na linii bojowej dzieje, a przecież w każdej innej rzeczy brał serdeczny udział.

W Kordobie, jako w mieście próżniaczem, mnóstwo było kawiarń, w których od rana do wieczora szyby tętniały

od głosu mów i dyskusyj politycznych. Don Juan nigdy nie uczęszczał na te zbory, chociaż był w wieku, w którym najczęściej młodzież zwykła interesować się polityką, a przytém wymownym był bardzo i zdolnym zyskać sobie kółko ezcicieli i zwolenników. Jednakże zaniedbywał tych sposobności dania się poznać światu.

—»Jak na Andaluza lubiącego wiele mówić, jak na akademika Salamanki lubiącego o wszystkiém decydować, mało okazujesz kochany don Juanie zamiłowania dla polityki,« powiedziałem do mego towarzysza.

—»To wielka prawda,« odrzeczł mi towarzysz; »nie nadużywam wcale tego daru Bożego.«

—»Zkądże pochodzi to odstąpienie od zwyczajnego prawidła?« zapytałem dalej.

—»Pojmie to pan łatwo z tego, co panu opowiem z dziejów naszej rodziny.—Dziadek mój był architektem w Sewilli, bardzo zamiłowanym i zdatnym w swym zawodzie. Ale mając zaledwie lat czterdzieści kilka, złamał nogę i nigdy już nie wrócił do zupełnego zdrowia. Za zebraną sumnę kupił sobie w Arniculo piękny domek z wielkim kawałem gruntu, ożenił się z młodą i piękną kobietą, i nie mogąc wychodzić z domu, już to dla swój złamanój nogi, już to dla swój młodój żony, założył sobie w najobszerniejszym pokoju domu swego warsztat, i budował wierny model potężnej bazyliki Sewilskiej. Dziesięć lat strawił na tém dziele i trzech synów przybyło mu tymczasem. Po ukończeniu bazyliki pokazało się, że ani drzwiami ani oknem wynieść jej nie można było na dwór, tak była ogromną. Zniesiono tedy dach, wybito sufit, wyniesiono bazylikę na dziedziniec i ustawiono ją w środku niego na wysokim marmurowym słupie. Wielkie to były dziwy w miasteczku Arniculo: z daleka przybywano przypatrzeć się cudnemu dziełu. Tymczasem jedną z kolorowych szyb bazyliki wybiła gołębia i założyła sobie mieszkanie i gniazdo w środku kościoła. Dziadek mój spostrzegł się dopiero na przybytku, gdy młode gołąbki piszczeń zaczęły, a będąc bardzo dobrego serca, nie śmiał wyganiać z świętego przybytku owego garnizonu. Od tego czasu rozmnożyły się gołębie, bazylikę głos publiczny przezwał gołębnikiem, to jest Palomar, i dziadkowi także nadano przydomek de Palomar. Don Antonio Zelozas de Palomar, jakoś nie źle brzmiało. Dzia-

dek nabrał gustu do tego przydomku i zechciał być dynastą sławną rodziny Palomarów. Trzech miał synów i trzech też w świat wysłał; jednego zrobił żołnierzem, drugiego urzędnikiem, trzeciego adwokatem, a każdemu powiedział, żeby się starał o uzyskanie tytułu szlacheństwa i pracy nie szczędził. Żołnierz, zostawszy kapitanem, okrywszy się sławą i orderami, i zyskawszy tytuł szlachecki pod nazwiskiem de Palomar z herbem gołębiczy bujającą nad dwoma na krzyż złożonemi szpadami, legł w boju. Urzędnik zapracował się w biurze i umarł; ojciec zaś mój o mało co nie został powieszony razem z generałem Riego w r. 1823. z łaski Francuzów. On jedyny pozostał przy życiu, na niego spadły herby i tytuły najstarszego brata, musiał je dźwigać *nolens volens* pomimo swych zasad, bo tak dziadek rozkazał. Dziadek umarł, poleciwszy synowi, żeby dbał o świetność swego rodu. Ojciec mój tak dobrze wypełnił rozkazy ojca, że cały swój majątek przeczęstował w ucztach wydawanych braciom szlachcie, i zostawił mi tylko, jako majorat, gołębnik wraz z obrębem dwudziesto-piętrowym gruntu; ja zaś narobiwszy na tę posiadłość tyle długów, ile tylko można było zrobić, poszedłem do Salamanki uczyć się sztuki lekarskiej. Ojciec mój w chwili swjej śmierci błagał mnie, żebym nie wierzył w politykę, zaklinał, żebym w żadnym względzie nie szedł za jego przykładem, tylko za jego ostatnią radą.—»Całe me życie sam siebie łudziłem i innych zwodziłem. Nieprzyjacielem byłem ludzi, którzy inaczej myśleli, a przecież Boga tak szczerze kochali, jak ja sam, a może i lepiej. Dla mej wiary politycznej o mało co życia nie straciłem, a potem dla próżności przejadłem mój majątek razem z tymi ludźmi, którzy mnie na szubienicę wysłali. Synu mój! jesteś ostatnim z świetnego rodu Palomarów, starajże się być pierwszym mądrym w familii, nie rzucaj się w politykę, jesteś jedynakiem, jedyną podporą twój matki, do wojska iść nie potrzebujesz; korzystaj tedy z swego położenia i uzdolnij się na człowieka świata pożytecznego, ludziom bez względu na stan, majątek, wiarę i narodowość usługi wyświadczającego.»—Otóż ostatnie słowa mego pocziwego ojca; tętnią one ciągle w mych uszach i przygłuszają huk armat, mowy Korteżów i wrzaski kawiarnianych klubów; ucho mam tylko na jęki mych bliźnich i na muzykę podającą mi tak hojnie środki kształcenia się. Nie zabra-



knie Hiszpanii na obrońcach, a zresztą, gdyby koniecznie wypadło, tobym i ja nie wyłamywał się z pod konieczności niesienia jej pomocy krwią moją i ramieniem. Oto moja wiara, wznosi się ona po nad politykę, która codziennie nowe, nieprzewidziane i nieprzewidzialne przybiera kształty. Powiesz mi może, panie Doktorze, że w moim wieku i przy moim romantycznym usposobieniu nie wolno mi mieć tyle zimnego rozsądku; ale rozsądek można mieć w każdym wieku, a lekarz, będący tak często zmuszonym patrzeć na to, co jest najważniejszym w życiu, *na śmierć bliźniego*, nabiera, jeżeli tylko jest jako tako sumiennym, w młodym jeszcze wieku bardzo zdrowych idei mnóstwo. A tak niech żyje Hiszpania! niech żyje ludzkość przedewszystkiem, ale krzyczęć nie będę: niech żyje *Isturiz, Mendizabal, Zea Bermudez, Torreno* lub *Espartero*, tak jak nie pozwolę nikomu krzyczęć: niech żyje *don Juan Zelozas de Palomar*.

«To co tu panu wyjawiam, pewno nie powiem w kawiarni, ani naszemu bohaterskiemu kapitanowi gwardyi narodowej, to rzecz pewna: dziś jeszczebym wisiał najpiękniej na szubienicy; ale przekonany jestem, że dobrze myślę i nie dbam o resztę.»

—«Nie byłbym się spodziewał znaleźć tyle rozsądku u ciebie, mój Gaskończyku hiszpański, ale może masz rację. Słuchaj, kiedyś takięj dobrej rady człowiekiem, to mi może powiesz: dla czego od dwóch dni kuryer z Madrytu nie przybywa? dla czego powietrze polityczne tak ciężkie?»

—«Ha! włóśnie też miałem się rozmówić o tém z panem, Interesa źle stoją w Madrycie. Gomez, waleczny wódz Karlistów, korzystając z rozdwojenia umysłów w Kortezach i w ministeryum, korzystając z nietadu panującego na linii bojowej wojska Krystyny, prześliznął się z nielicznym a dobranym hufcem przez Arragon i starą Kastylię, i zagroził Madrytowi. O mały włos go nie wziął; nikomu nie wiadomo, dla czego szturm nie przypuścił. Gomez jest szlachetnym Hiszpanem. Zapewne się obawiał, żeby hordy Cabrery rzezi nie sprawiły w Madrycie. Odstąpił tedy od oblężenia, załaził nową Kastylię i Manszę, połączył się z gerylasami Sierry Moreny, minął Toledo i podsuwa się ku nam tutaj, ku Andaluzji. Drogi już przecięte. Każda chwila płodna w wypadki. Generał komenderujący tu w Kordobie, wiem, że truchleje, wiem to z ust jego żony, z którą tańczę kaciucę.

A gospodarz naszego hotelu, ów dumny piękny kapitan gwardyi narodowej konnej, którego pełno wszędzie na tegich koniach z piórem jak krzak jałowcu na kaszkiecie, nasz gospodarz, który dotychczas wszystko organizował, wszystkim ochoty dodawał, który krzyczał, wrzeszczał, że nic nie pragnie więcej jak umrzeć dla ojczyzny,—nasz gospodarz jakoś od parę dni zdechł pies, siedzi w domu i umizga się do swęj staręj żony, która wielkie ma zachowanie u księży, i w przypadku wzięcia Kordoby przez Karlistów, potężną się stanie osobą. Panie doktorze! czas pomyśleć o sobie i nie dać się złowić w Kordobie jak mysz w łapce. Zleby było z panem, Karliści nie cierpią cudzoziemców. Ja będę czuwał; dzięki kaciuci, nie jednę się dowiem ważnej rzeczy, ale pakunki miejmy w pogotowiu.«

Tak radził don Juan i rada jego dobrą była. Gomez z nieubłaganym Cabrera, z olbrzymim Llangostera, z szybkim jak błyskawica Forcadelem, z zbójcekim Palillosem, zbliża się ku Kordobie.

—«Już są wszyscy w Bujalance, o trzy mile od Kordoby!» krzyczy don Juan, wpadając do mnie o 2. czy 3. godzinie rano. «Dalej ku Alcala! dobra sposobność. Generał ku Santa Cruz wysłał patrol konny!»

—«Ale na czém? zlituj; się don Juanie!» pytam.

—«Na wierzchowcach gospodarza; już wszystko obmyślone, chodźmy je siodłać; rzeczy zostawmy, najniezbędniejsze tylko weźmy z sobą, w te je oto w pakujemy tłómaczki i przytroczy je do siodła!»

Schodzimy do stajni, każdy z nas dzwiga swój tłómaczek pod pachą. Masztalerza zyskujemy groźbą i pieniędzmi. On sam kulbaczy konie gospodarza. Wszystko gotowe w oka mgnieniu. Wsiadamy na konie, wyjeżdżamy na ulicę. Brzydko, blade wyglądał ów zuch ogromny. Brodę już miał dobrze przyciętą i wasy także gotowe do opadnięcia, jak liście w jesieni.

—«Słuchaj Kapitanie!» mówi don Juan; «słowa nie piśnij nim wszystko powiem, bo ci w łeb wypalę. Ja Karlisa!»

Pistoletu nawet nie miał don Juan, ale wiedział, jakie sprawi wrażenie.

—«Słuchaj! rzeczy nasze zostawiamy u ciebie i rachunek także. W zastaw bierzemy twe hetki. Dzisiaj a naj-

dalej jutro przybędzie tu Gomez, Cabrera, Foreadel, Pallilos, Llangostera i inni dobrzy ludzie, nie lubiący zostawiać nic na swém miejscu. Wąsy ogół i chorego udawaj, żonę kochaj i księży zaproś na obiad. Nie troszcz się o twe konie, poślij po nie do Alcala Real, jak burza przeminie. Do księdza proboszcza kościoła Ś. Trójcy po nie poszlij; nie zapomnij odesłać rzeczy, o rachunku możesz zapomnieć. Tyle ci daję wolności, nie więcej. Bądź zdrow i żyj lat kilka tysięcy. A harmidru nie rób, bo cię każe powiesić.»

—»Dalej! w imię Boga! Vamo—nos!« I konia spał ostrogami dzielny don Juan z gitarą na plecach, i zostawił walecznego kapitana z otwartą jak otchłań gębą, skrobącego się w brodę, która za minut kilka znikła z horyzontu korduańskiego.

Dognaliśmy patrol jeszcze przed bramą miasta. Don Juan fraternizuje z komendantem patrolu, opowiada historje, śpiewa, zagaduje; przebywamy bramy miasta. Już popłoch rozszerzył się na okoliczne włości. Obywatele ziemscy cofają się do miasta z rodzinami, z bydłem, żywnością i furazem.

Jesteśmy w Santa Cruz, popasamy chwilę. Jesteśmy w Castro, popasamy dłużej. Wieczorem stajemy w Baena i tu spotykamy bibliotekarza uniwersytetu Toledańskiego, uciekającego przed Karlistami z żoną i córkami do Alcala la Real. Zabawny to był oryginał, coś ośmnaście lat nie wyrzwał z swjej biblioteki i teraz ucieka trwogą ścigany nie wiedzieć czemu.

—»Naraziłeś się pan don Carlosowi?«

—»Nie! anim wiedział, że istnieje don Carlos.«

—»Czemuż tedy uciekasz?«

—»Żona kazała.«

—»A pani dobrodziejka czemu kazała uciekać mężowi?« spyta w stosownej chwili don Juan w sekrecie.

—»Bo mnie o to prosiła córka moja, zaręczając mi, że Karliści najokropniej obchodzą się z kobietami.«

—»Czemuż pani tak spieszo do Alcala?« spyta znów don Juan Inezy w jeszcze stosowniejszej chwili.

A ona mu się zwierza i ze łzami w oku przyznaje, że pewien akademik z Alcala posiadał jej serce, wrócić obiecał i nie wraca.

—»Ależ na miłość Boga! w Alcala Real uniwersytetu nie masz; to chyba w Alcala Hernares, o siedm mil za Madrytem, właśnie z przeciwnój strony; tam jest sławny uniwersytet i tam akademicy bardzo niebezpieczni.«

—»Ah mój Boże! mój Boże! mój Boże! ja myślałam, że tylko jedna Alcala w Hiszpanii,« odrzeknie płacząc donna Ineza.

—»Jest ich dwanaście małych i większych,«

—»A cóż ja biedna pocznę? Co tu robić Boże!«

—»Wziąć jednego akademika za drugiego, tak jak pani wzięła jedno miasto za drugie. Nie ma innój rady.«

—»Ah Boże! Boże! on mi tak przysięgał.«

—»Ja jeszcze lepiej przysięgać będę.«

—»Wstąpię do klasztoru.«

—»Klasztory zniesione.«

—»Umrę z żalości.«

—»Nie pani! żyj raczej dla zemsty. Zemsta jest roskoszą Bogów. Ja środki podam i ułatwię.«

Podróżujemy tedy razem z bibliotekarską rodziną do Alcala la Real. Oni mieli powózkę dość dobrą i obszerną, a złe szkapy. Przyprzegamy tedy nasze konie, don Juan powozi, a sługi bibliotekarza biegną na hetkach naprzód i robią nam kwatery.

Rodzina bibliotekarska nie dowiedziała się nigdy w swém życiu, że jest ofiarą niewiadomości geograficznej roskochanej donny Inezy. Nikt im nie odkrył prawdziwój przyczyny téj niepotrzebnój ucieczki, rozumie się samo z siebie.

Donna Ineza wyglądała bardzo smutno, trzeba nawet przyznać po prostu, że wyglądała nieco głupio na Hiszpankę: oczy miała cokolwiek zaspale i wargę wierzchnią nabręskłą. Zresztą jednakże ładna to była, rassowa kobieta, dość rosła, dobrze zbudowana, ręka i noga mała, zęby białe, nieco odstające jeden od drugiego, usta prawie zawsze otwarte, powieki cokolwiek zwieszzone na owe czarne wielkie oczy, w których jakieś znękanie waleczyło z tęsknotą. Słowem była to jedna z tych lymfatycznych, melancholicznych piękności, które o jednéj tylko myślą i marzą rzeczy, ale myślą i marzą ciągle, bez przestanku.

Smutną tedy była, ale wzrok swój już utopiła w młodym akademiku, który chociaż końmi powoził, zwracał

się często na Inezę, i ścisnięciem powiek wieloznaczącem przyrzekał dotrzymać obietnicy.

Matka drzymała, druga córka, zaledwie 11 lat mająca, wyciągała mi pokryjomu czekoladę z kieszeni i chrupała ją milczkiem. Sennor Migaja zaś, tak się bowiem nazywał nasz uczony, opowiadał mi wiele ciekawych szczegółów o swęj bibliotece, o starożytnościach zawartych w sławném mieście Toledo, w którém się rodził lat temu wiele i które po pierwszy dopiero raz w swém życiu opuścić.

—»Oh tak, panie Doktorze!« rzecze Sennor Migaja. »Nasze Toledo nie na darmo nazywa się twarzą Hiszpanii. Żadne z miast Hiszpanii nie jest tak imponującém a zarazem smutném. Nigdzie indziej wspomnienie melancholizne przeszłości nie wybiło się na kamieniu w rysach tak wyraźnych, tak wspaniałych. A jak jest dawném? żadne miasto w Europie nie jest tak dawném. Założone prawie na tyle lat przed Chrystusem, ile już istnieje po Chrystusie, i przez kogo? przez ród, który dziś w Hiszpanii bardzo znieawidzony.«

—»Jako? przez Anglików?« zapyta don Zelozas de Palomar, popędzając konie.

—»Oh! don Juanie! oh, na Boga! jaki anachronizm! Angielskiej krwi kropla jedna wówczas jeszcze nie była na świecie. Angliacy są narodem prawie tak nowęj fabrykacyi, jak bifszyk, porter i kalosze z kauczuku. Żydzi to, żydzi, hebrajczycy, jeszcze przed przyjsciem Gotów a nawet Fenicyan do Hiszpanii, założyli miasto Toledo. Tak jest, żydzi założyli Toledo.«

—»Caramba! patrz pan,« rzecze don Juan; »ja dotąd myślałem, że żydzi nie zakładają miast, tylko banki, loterye, mydlarnie i handle tytoniu.«

—»Myliteś się, szlachetny don Juanie Zelozas de Palomar, myliteś się. Toledo założyli żydzi. Tol—e—doth znaczy po hebrajsku: miasto starych rodzajów,« odpowie bibliotekarz.

—»Starych rodzajów! ja myślałem, że nie było nigdy na świecie starszych rodzajów jak męzki i żeński,« rzecze znów don Juan.

—»Oto pan widzisz! oto widzisz pan, jakie u nas zepsucie!« rzecze do mnie bibliotekarz; »ja mówię o starożytnościach, a oni myślą Bóg wie o czém. Boże kochany,

bodajto dawne czasy, w których młodzieniec trzydziestoletni ani wiedział nawet *cui* jest *genetis*»

—»Sennor Migaja! jakież macie dowody świadczące o starożytności waszego miasta?» zapytałem.

—»Posiadamy kilkanaście głazów z hebrajskimi napisami, znalezionych w ziemi około miasta i w mieście. Słowa Tol—e—doth wymienione są na kilku z tych kamieni tąż samą pisownią, jakiej się w Egipcie znajdują ślady na kilku głazach przechowanych w katakumbach w wnętrzu piramid. Pisownia ta uległa jakiejś zmianie później na puszczy, dziesięcioro bowiem Przykazań Boskich odmiennym nieco Mojżesz spisał charakterem. Zdaje się, że Żydów część jakaś zdołała uciec z niewoli egipskiej i że przebywszy morze Czerwone i międzymorze Suez, puściła się morzem Śródziemnym trzymając się brzegów aż do Hiszpanii, potem dalej aż do ujścia Tagu; że płynąc ciągle korytem tej rzeki, zajęła aż do miejsca, na którym od tak dawnych wieków wznosi się Toledo. To mogło mieć miejsce na 1,600 lat przed Chrystusem. Miło jest mieszkać w tak starożytnym miejscu, wskrósł przesiąkniętą historią, poezją, tysięcznych tryumfów, tysięcznych boleści wspomnieniem,« rzecze stary bibliotekarz i twarz jego zmarszczona, wybladła, zajaśniała na chwilę błogim uśmiechem.

—»Nie wiem, co w tym jest tak miłego,« powie znów don Juan de Zelozas, i doda spoglądając się znaczącem spojrzeniem w oczy donny Inezy; »ja wolalbym mieszkać w mieście nigdy wprzód przez nikogo nie zajętem.«

Rumieniec wystąpił na twarz młodej dziewczyny, a ojciec zgorzszony zdaniem akademika, rzekł z wzgardą:

—»Tak rozumieją młokosy, nie umiejący cenić powabu starożytności. Takie też zdanie objawiał nam ów akademik z Alcala, ów don Alfons de—jakże się nazywał? ty Inezillo, ty sobie może przypomnisz, ten sowizdrzał, któregośmy zawsze spotykali na Alamedzie, ten sam, co ci wyprawiał owe serenady, które ja ci zakazywałem przyjmować. Timem tre, czy Domembre, nie przypominasz sobie Inezo? twoja pamięć żywsza.»

—»Nie przypominam sobie, mój kochany tato, tak coś na miembre się kończyło jego nazwisko,« odpowie donna Ineza wzdychając melancholicznie.

—»Tak! na miembre się kończył, patrzaj! i cóż mówił ten młodzieniec kończący się na miembre?«

—»Mówił, że nie lubi starożytności. Dla tego też kazałem Inezie nie przyjmować jego serenad, chociaż ładnie grał na kilku instrumentach.»

Tak w rozmowach i opowiadaniach schodził czas bardzo przyjemnie. *La buena posa quebra el día*, dobra rozmowa dzień ukróca, mówi Hiszpan. Don Juan tak dobrze prowadził towarzystwo, że na popasy stajemy zawsze w jakich romantycznych ventach, to jest szałasach postawionych w pomarańczowych gaikach, w pięknych dolinach i nad mrużącym strumykiem. Zanadto długo popasaliśmy jednego razu w jednym z tych pięknych miejsc. Spóźniamy się, noc zapada, ciemno, a do Alcalá jeszcze przynajmniej mila; ciemno, a droga najokropniejsza, przepaści na lewo i prawo.

—»Nie masz rady!« rzecze don Juan »noc przepędzić musimy w gaiku, i doczekać się w nim powrotu słońca. Zresztą powietrze ciepłe, konie popaszą się trawą, a my się najdoskonalej prześpiem na słomie kukurydzowej, pomiędzy krzakami jażminu i kapryfolii. Kolejno będziemy czuwać nad bezpieczeństwem towarzystwa. Nie prawdaż? panie doktorze!« tak zapyta don Juan. Musieliśmy zezwolić na ten romantyczny nocleg, bo istotnie innej nie było rady, i obozem rozłożyć się w gaiku.

Był to figiel don Juana, każdy to zapewne już odgadł, a figiel godny imiennika, spoczywającego pod chórem Sióstr Miłosierdzia w Sewilli.

Nazajutrz rano już dobrze słońeczko było weszło, kiedyśmy w dalszy wyruszyli pochód. Donnie Inezie już pięknie śpiewały ptaszki, kwiatki ładnie pachniały, wiatr nie wył, tylko harmonijnie szumiał. Nawet weselszą była, rozmawiała i uśmiech, przyjemny igrał ciągle na otwartych ustach, tak jak po gwałtownej burzy kiedy niekiedy połyskują błyskawice na wypogodzonym niebie. Don Juan coś małowówny, dalibóg zasypia na koźle.

Tylko mamunia ciągle drzémie i w dzień i w nocy. Pepita wykradłszy resztę czekolady z mych kieszeni, nudzi się, ziewa. Ale Sennor Migaja zawsze rzeźwy, opowiada dzieje miasta Toledo, wie wszystko co się działo w każdym kącie za Rzymian, za Kartagińczyków, za Fenicyan nawet. Erudyta to wielki!

—»Tak jest, widzi pan, nikt nie zna lepiej swego miasta jak ja znam moje Toledo,« rzece poczciwy bibliotekarz; »25 lat pracowałem, nie tracąc ani jednej chwili, nad odkopaniem pamiątek przeszłości w ziemi i w szpargach. A jaka mnie nagroda za to spotkała? Mój podbibliotekarz, człowiek surowy jak gruszka polna, podkraść się pod moje zbiory, zakradł w me papiery i wydał na świat najpyszniejszy opis statystyczny i archeologiczny Toledo. Miał nawet zuchwałość wręczyć przejeżdżającemu księciu Sasko Koburskiemu egzemplarz swego dzieła w czerwony safian oprawny, za co mu później Królowa angielska przysłała medal złoty tylko uczonym dawany. Widzi pan, że trutniowi zawsze lepiej jak pszczole,« tak narzekał dobry Sennor Migaja.

Już się ukazują przedmieścia miasta Alcala. Już i starodawny przed przyjściem Maurów do państwa Granadeńskiego wybudowany kościół wyziera z po za wysokich palm. Idźmy go zwiedzić ten szanowny zabytek starożytności, sięgającej aż do VI. stulecia. Sama budowla uległa na nieszczęście pewnym zmianom. Maurowie zrobili z niej meczet, przybudowawszy tu i owdzie kaplice. Jednakże styl gotycki ukazuje się jasno w częściach pozostałych w pierwotnej czystości. Proboszcz Panny Maryi de la Sede opowiadał nam okropną legendę o tym kościele.

»Razu pewnego, król Piotr, bawiąc w Alcala Real, kazał się zanieść w lektyce na przechadzkę i zobaczył przed tym oto kościołem mary okryte całunem. Na marach stała trumna wyziewająca okropne powietrze, a na trumnie talerz i na nim kilkanaście maravedis, czyli groszy.

—»Co to jest?« zapytał monarcha, i kazał stanąć lektykarzom.

—»Panie!« odpowiedział jeden z towarzyszących mu dworzan; »będzie to zapewne jakiś chudy pacholek, który umarł nie zostawiając nic na pogrzeb, i dlatego czeka tutaj jego ciało i przemawia do litości chrześcian, którzy się powoli złożą na grób.«

—»A więc« pyta dalej monarcha, »a więc trup pozostać tu może do sądnego dnia, jeżeli przechodzący nie będą mieli litości?«



—»Aż do złożenia dwóch talarów, taki tu zwyczaj,«  
odpowie Grande.

—»Taki zwyczaj?« zawołał Król; »poprosić mi tu proboszcza!«

«Nadszedł niebawem proboszcz, był w domu na swe nieszczęście, i zbliża się pokornym krokiem do lektyki królewskiej.

—»Ile kosztuje pogrzeb?« pyta Król.

—»Panie, to zależy od okoliczności,« odpowie proboszcz: »biedni płacą tylko dwa talary, kogo na to stać, może być pochowanym bardzo przyzwoicie za cztery dublony, w to rachując tuzin mszy. Za pogrzeb pierwszej klasy bierze się co łaska.«

—»Ile ci zapłacili, mój wielbny proboszczu, za najszystszy pogrzeb, któryś w twém życiu odprawił?«

—»Pięćset dukatów i 50,000 realów z góry za msze na trzy lata.«

—»To wcale nie źle zapłacone, mój księże, musisz mieć pieniędzy nie mało?« rzecze Król.

—»Grosza nie mam, Bóg widzi, wszystko oddaję ubogim, zanadto mam dobre serce.«

Król przywołał grabarza, kazał mu dać dwa talary i pochować wystawionego trupa.

—»Nie prawdaż Ojcze! dobry to uczynek chować biednych?« zapyta Piotr proboszcza.

—»Jeden z najpiękniejszych w oczach Boga!«

—»A więc grabarzu, wykop jeszcze jeden grób i pochowaj tego biednego księdza, który gotów umrzeć w ubóstwie i łaknąć pogrzebu, tak jak ów biedak,« rzekł król, a proboszcz skamieniał i słowa przemówić nie mógł.

—»Cóż? czy nie słyszałeś grabarzu?« krzyknie Piotr okropnym głosem. Kapłan padł na kolana i błagał litości.

—»Ja nie chcę, żeby trup twój roznosił zarazę, dla tego lepiej cię zaraz pochować, mój księże, ujdiesz zawczasu niebezpieczeństwa.«

—»Litości, litości nad mą biedną duszą! ja jestem wielkim grzesznikiem i nie śmiem stanąć przed obliczem Boga w tym stanie, bez obrachunku sumienia. Ah! dla Boga! panie zabij me ciało, jeżeli taka twa wola, ale duszę moją ocal! litości!«

—»Ho! ho! dobrodzieju!« odpowie Piotr jak najspokojniej w świecie; »mam ja cię już od dawna na oku, wiem, żeś człowiekiem cheiwym, skąpym, niemoralnym, a zatem złym i niegodnym kapłanem. Dla tego też posłużysz innym za przykład. Bóg ci to wynagrodzi przy obrachunku na tamtym świecie. Dalej! zmów pacierz, godzina twa wybiła!«

»Biedny ksiądz modlił się i płakał. Przytomni ledwo oddychali. Grabarz grób wykopał, oprawca, będący zawsze w bliskości osoby królewskiej, porwał plebana i wciącił go do grobu. Grabarz grób zasypał. Piotr wyszedł z lektyki i kilka garści ziemi na jęczącego biedaka przysypał, a potem rzekł:

—»Przypomnieć mi, żebym nowemu proboszczowi posłał 500 dublonów na zakupienie mszy na intencję jego poprzednika.«

»Wrócił Król do lektyki i oddalił się z tego miejsca.

»I my tu stojemy przed tym kościołem na tym cmentarzu, na którym tak okropne odegrały się sceny!

»Jedni historycy nazywają króla Piotra okrutnym, winiąc go o śmierć najbliższemu stojących osób: dwóch własnych braci, żony i gościa swego, króla Grenady, który go przyszedł błagać o pomoc. Inni zaś historycy, również wiary godni, mienią go tylko przezwiskiem *el justuciaro*, to jest sprawiedliwość wymierzającym. Prawda, że lubił wymierzać sprawiedliwość, ale tylko karami. Zbrodnie nie uszły nigdy jego przenikliwego oka. Inaczej działało się z cnotami i zasługami: tych nagradzać nie umiał król don Pedro, i dla tego też odstąpiony później przez własnych dworzan, szukał przytułku w obozie nieprzyjacielskim, i w namiocie Konnetabla Dugeselin został ubitym.«

Wszystko to opowiadał nam ksiądz kapelan, a potem widząc nas zasmuconych i w uroczystym usposobieniu zatopionych, wydobyl z nanadrza jakiś talerzyk, prosząc, byśmy coś złożyli na wykupienie dusz z czyśca. Don Juan nie dał nam nic ofiarować, tylko z wielkim dla mnie zdziwieniem wydobyl z kieszeni całego piasra, to jest bitego talara, i złożył go księdzu na talerzyk.

Kapelan zdumiała tą wspaniałomyślnością, rzekł do don Juana: »oh Sennor! wybawiłeś od jednego razu calutęnką duszę z czyśca.«

Don Juan kładzie jeszcze jednego piasra na talerzyk. Był to cały jego majątek.

— »Ah! bogobojny panie!« rzeknie kapelan, przejęty radością; »jeszcze jedną wybawiasz duszę. Widzę obie, jak wlatują ku niebu, aniołowie spieszą na ich powitanie. Ah! jaka serdeczna radość w całym niebie, wszystko to widzę.«

— »Więc teraz obie te dusze są w raju?« pyta don Juan.

— »Oh, z największą pewnością w niebie są, aniołami otoczone, i kosztują chwały i szczęścia świętych,« zaręczał kapelan.

— »I nigdy już nie wrócą do czyśćca?« pyta don Juan.

— »Bądź spokojnym, z nieba już nikt nie wraca,« odrzeczł kapelan.

— »A więc oddaj pieniądze, już ich nie potrzeba!« krzyknie don Juan, porywa za piasry i pakuje je nazad do kieszeni.

Takięj zuchwałości nie spodziewał się ksiądz dobrodziej; otworzył oczy i usta i stał jak skamieniały, a gniew zalał mu twarz purpurą.

— »A niecny bezbożniku! a zaraz cię kłtawą obłozę! a ty ateuszu; ty akademiku kacerski!«

— »Księżę dobrodzieju! na miłość Boga, nie przeklinaj studenta, oto dwa piasry« krzyknie przerażona tą groźbą donna Inez i wykupuje swego don Juana z kłtawy.

Oto Hiszpania! miłość i religia, ręka w rękę. Jedna dodaje drugiej uroku.

Proboszcz przyjął piasry, ochłonał z gniewu, zaprasza nas wszystkich do siebie na przekąskę, godzi się z don Juanem, śmieje do rozpuku z jego figlów i dowcipów; zegnając się z nami, wsuwa mu w kieszeń dwa piasry otrzymane za wykupienie dusz z czyśćca. Bodajto mieć dowcip i serce razem, ale to rzecz arcy-rzadka: najczęściej zatracamy serce, starając się o dowcip. Zdarza się nawet często, że i zdrowy rozum utracamy ścigając za dowcipem. Ludzie chcący *a tout prix* dowcipkować, najnieznośniejszymi są stworzeniami na świecie; zawsze gotowi poświęcać co jest najpoważniejszego, dla zdradliwej chęci zjednania sobie reputacyi ludzi wyższych, spadają często bardzo głęboko rozumem, sercem i duszą. Do tego rodzaju dowcipnisiów nie należał don Juan. Przyrodzoną sobie wesołością charakteru pędzony, umiał i w wszystkich chwilach być żartobliwym,

ale nigdy w swém życiu rozmyślnie nie powtarzał od domu do domu jednej i téj saméj anegdoty, nigdy się nie targnął na żadną dobrą sławę, nigdy też nie przemyślał nad wynajdywaniem szyderstw i paradoksów.

Już wjeżdżamy w mury miasta Alcala la Real. Do 9,000 ludności liczące, dość pięknie jest zabudowaném. Pyszne opactwo góruje nad wszystkiemi budowlami. Domy ozdobione pstro malowanemi gankami, mnóstwo na nich kwiatów i czarno-okich dziewic, spoglądających z ciekawością na nas. Świeże czerwone róże miały w czarnych włosach. Wysokie palmy na rynku, a pomiędzy niemi przechadza się kilkunastu mężczyzn w malowniczych strojach Andaluzyi.

Stajemy w najlepszym hotelu, w Fonda de Granada.

W hotelu, w którym najprzód na koniach wystąpi służyący kazali nam przygotować stancye, czekała na mnie margrabina de Cienfuegos, jedna z najświetniejszych piękności królestwa Granady. Mąż jej od dni kilku podagrą trapiiony, jęczał i powierzyć się nie chciał Sangradom z Alcala. Margrabina bardzo kochała swego męża, pomimo jego wieku i podagry.

Przyjęła mnie z tą grzecznością ujmującą, a pełną spokojności, którą znajomość świata wykształca, ale która się rodzi w sercu. Donna Leonor de Cienfuegos czarowała me oczy swą pięknoscią, swym nadzwyczajnie interesującym wyrazem twarzy i swemi ruchami tak miłemi i powabnemi, jakich u żadnej nie znalazłem Hiszpanki. Znała język francuzki, lubo nim nigdy rozmawiać nie chciała, i wiele czytała książek. Jednakże żywość jej ducha szkodziła uwadze, sama się uskarżała na brak pamięci, sama utyskiwała na małą korzyść, którą jej pamięć z czytania odnosi.

— Nie wiń pani swój pamięci, pamięć zatrzyma co się jej z uwagą powierza. Ale największa część dam literackich podobna do owych turystów modnych gdy podróżują. Przebiegają oni kraje i światy pędzeni żądzą stanięcia jak najprędzej w hotelu, a gdy wrócą do ojczyzny, nie mądrego nie są w stanie opowiedzieć z tego, co widzieli. Zdaje się, że wszystko zapomniane lub zatopione w wodach Lethy.

Szczególne rzecz! donna Leonor wierzyła, iż cnoty i ludzkość otwierają we wszystkich religiach bramy nieba nie była jednakże zdolną poświęcić swój dumy arystokratycznej w nicém.

—»Czy pani istotnie myślisz, że organizacya osobista szlacheica wyższą jest od organizacyi chłopa, mieszczanina?« spytałem się raz Margrabiny.

—»Nie sposób, żebym tak myślała,« odpowie donna Leonor: »nasza wysoka szlachta hiszpańska nie celuje pięknnością rasowości, owszem w tym względzie może nawet niżej od innych stanów stoi.«

—»I ja tak myślę. Nigdy mi nie wyjdą z pamięci słowa księcia de Frias, który widząc się niepoznanym jako grand Hiszpanii przez Trabanta dworskiego, krzyknął na niego z gniewem:—Czym nie dosyć do małpy podobny, że mnie jako granda nie poznajesz? Wczémże tedy pani upatrujesz wyższość szlacheica? Czy w jego wierności do osób lub idei, w jego odwadze lub poświęceniu?«

—»Ah, broń Boże! panie doktorze,« odpowie donna Leonor;» wszakżeż i w tym względzie rozdwoiły się umysły szlachty. Jedni z trwogi poszli do lasa, drudzy z bojaźni uciekli do Sasa. Systemu ogólnego nie masz w ich postępowaniu.«

—»A zatem pani uznajesz wyższość ukształcenia umysłowego w szlacheice?«

—»Nie tyle wyższość ukształcenia umysłowego, bo i nieszlacheicę dostąpić go może, ile coś, co mi się zdaje być przyrodzonem szlacheice, tę szlachetną spokojność poruszeń, tę elegancką gracyę gestu, to przeczucie wszystkiego, co podobać się może w jednej chwili, a w drugiej się nie podoba, tę przenikliwość w odgadnięciu wartości człowieka, jednem słowem to coś, czego nieszlacheicę osiąść nie zdoła.«

—»Teraz rozumiem doskonale myśl pani.«

65 ✓

10

20212